

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

4262/54  
M. GRABOWSKI

**BIBLIOTEKA**

# WARSZAWSKA.

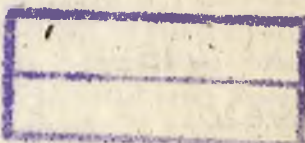

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1854.**

**Tom drugi.**

**OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIV.**



**WARSZAWA.**

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

**1854.**

NEW OBARD B

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620.1854.2

II

1854

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie, d. 10/28 Marca 1854 r.

Starszy Cenzor,  
RADCA DWORU, **J. Papłowski.**



30.000,-

X-14153  
4620/ 2.

1854

WARSZAWA

1854



## POGLĄD OGÓLNY

### NA NAUKĘ I HISTORIĄ DAWNEGO PRAWA POLSKIEGO.

PRZEZ

*W. A. Maciejewskiego.*

Rzymianie tylko mieli naukę prawa, stanąwszy na najwyższym stopniu wiadomości prawnych, jakiej żaden naród przed nimi i po nich nie miał. Ludy średnich wieków, a pomiędzy temi i Słowianie, mieli tylko pewną biegłość w prawie przez zwyczajenie się raczej, niż wmyślenie w Prawdę lub Zakon (ustawę) nabytą. Polacy odznaczyli się w tej mierze, mając odwiecznie mocne zamiłowanie w rozprawach sądowych, posiadając od czasów niepamiętnych немало mężów w nauce prawa biegłych; takimi byli: Stanisław biskup krakowski, Franek biskup wrocławski; Choniński biskup krakowski a królewski kanclerz (1). O Drogośławie ze Skórewa, na biskupa późnianskiego obranym, powiedział Baszko: że z powodu jego małej znajomości nauki prawa, od godności tej został przez papieża usunięty. Z pojedynczych nadto wspomnień kronikarzy można wnosić, że od dawnych czasów rozróżniali Polacy umiejętnego w prawie od nieumiejętnego (2).

(1) Vita S. Stanis. 328, przy kronice Gała, wyd. Bandtklego. Baszko u Sommersb. II. 185. Kromera kronika u Pistor. II. 476.

(2) Już Mateusz u Kadłubka mówi: „Jaris non imperitus quidam.” Toż samo było i na Rusi, gdzie w zdarzonych okolicznościach badano, czy użyty do prowadzenia jakiej sprawy człowiek uczony jest (umny muž) lub nie.—Porównaj traktat Mściława Dawidowicza, przy Rakowieckiego Rusk. Prawdzie, I. 192.

W zdarzeniach ważnych zwracali uwagę na przepisy prawa. Najlepszym na to dowodem jest: sprawa Zbigniewa, naturalnego brata Bolesława Krzywoustego, podług prawa roztrząsana; spory o następstwo tronu między panującym a możnowładcami zachodzące; rozprawy toczone o nadużywanie władzy urzędników Mieczysława Starego; nakoniec ów spór o ważność testamentu Kazimierza Wielkiego wszczęty, i prawnie popierany, z powoływaniem się na przepisy krajowego prawa (1). Czytając w kronikarzach, a mianowicie w Kadłubku, wypisy z wszystkich czterech części zbioru Justyniańskiego zrobione, wnieśćby można, że aczkolwiek szło to wolnym krokiem, wszelako nabywano w ówczesnej Polsce znajomości prawa, sposobem naukowym. Ale mniemanie to okaże się płonnem, skoro się zapytamy: gdzie i jak prawa u nas uczono? Bo że go nie wykładano w szkołach klasztornych, a tém mniej w parafialnych, na to, jak sądzę, każdy się zgodzi. Same téż wyrażenia prawne Kadłubka, które pozbierali i źródło ich wykryli: Janowski, Gastel, Korytkowski (2), okazują, że uczony Kadłubek sięgając po dowody do prawa rzymskiego, nie uczynił tego w celu rozszerzenia w swym narodzie oświaty prawnej, lub ulepszenia praktyki sądowej; lecz przywiódł takowe w zamiarze poparcia tego prawem rzymskiem i kanonicznem, o czém mu przyszło rozprawiać. Nie widać téż w jego przytoczeniach, ażeby się miał stosować do sposobu uczenia podówczas używanego prawa rzymskiego w szkołach glossatorskich; albowiem nie ograniczył się na tych tylko częściach zbioru Justyniańskiego, które w owych czasach wykładano z katedry, lecz z całych niemal dygestów, z całego kodexu wyjątki przywiódł, a noweli i instytucyj Justyniańskich zaledwie dotknął. Nadto przywołując dwa razy więcej z dygestów, niż z kodexu, a do tego z tytułów zupełnie w owych czasach za nieużyteczne dla prawnika uznanych, bo obejmujących przepisy prawa nieużywane w praktyce: oczywiście dowiódł, że robiąc wyjątki z prawa rzymskiego, a do tego przywołując takie, które wówczas mało kto rozumiał, nie miał na względzie naukowości prawnej, ale własne cele. Wnieść przeto można, że wyobrażenia i wiadomości pra-

(1) Quid juris esset, de jure polonico?— Archid. Gulezn. u Sommersberga. II. 102.

(2) J. Lelewela: Polska wieków średnich. I, 312. i następn.



wne, rozwijały się i rozszerzały nietylko w Polsce, ale w całej słowiańszczyźnie, tymże co i gdzieindziej, np. w starożytnym Rzymie, sposobem. Krótko mówiąc, nabywano praktycznie wiedzy o prawie, udając się po nią już za czasów pogańskich do mężów, u narodu ztąd słynnych, że przez naukę wszechstronną zapoznawszy się z bóstwem, przybytkiem mu niejako serce uczynili swoje. Mężowie tacy ugadzali łatwo w punkt sporny przedstawionej sobie do wyroku sprawy, bo poznali świat i ludzi, odgadli ich zalety i szwanki, potrzeby wyrozumieli i wynaleźli na wszystko zaradcze środki. Czy ich pytano o to, jak należy postąpić sobie według prawa w tym a tym przypadku (1); czy też upewnić się chciano o tém, czy zgodnie z prawem czynność jakąwą przedsięwzięto (2); lub sądząc, albo stanowiąc prawo na wiecy, chciano się upewnić o tém, czy wyrok lub postanowienie przyjętemu się w kraju zwyczajowi lub ogólnemu nie sprzeciwi dobru:—o wszystko to zapytywano kapłana, lub świeckiego stanu znajdującego się na prawie męża. Na co znajdzie dowody czytelnik w dyplomatach, które obecność kapłanów na wiecach poświadczają i mówią o tém, że dla większej spraw załatwionych ważności, pieczęcie swe przykładali na akcie; że król ten lub ów spór rozpoznać i załatwić polecał w prawie biegiemu mężowi (3).

Ten atoli środek radzenia sobie w potrzebie, nie mógł starczyć na długo. Miał prawnik odpowiadać na pytania i rozsądzić spór, o którym nie stało w prawie; miał prawodawca sta-

(1) Ważny o tém jest akt urzędowy kijowski z r. 1404. w Akt. Istor. I. 484. Pyta tamże arcybiskupa kijowskiego o prawo pewna wdowa; na co on: „I'jaz Klprean Mitropolit w jesrl esmo w Namakonon da iznaszel esmi prawilo aże piszet w zakon tak.“ Porównaj i Karamz. II. przyp. 79. Jeszcze w XV wieku zobowiązywali Dytmarsowie (porówn. § 3 ich statutu) swoich księży do tego, ażeby się dla ogólnego dobra uczyli prawa.

(2) *Quid juris esset de jure polonico?* zapytał król Ludwik podsejda krakowskiego, mając wątpliwość o ważności testamentu Kazimierza W. Porówo.— Archid. w Sommersb. II. 102.

(3) R. 1176, mówi Kazim. Spraw:—*sigilli sui (arcybiskup gnieźń.) et nostri et Fulconis Episcopi Cracoviens. maximine roboravit; r. 1221, judicante Thoma subjudice assistantibus etiam hijs; r. 1237 Pacozlaus Castellanus qui supradictam causam coram me judicavit; r. 1251. Presente Buzizlao judice qui hanc causam terminavit.* w Rzysz. i Muczkowsk. Codex diplom. I. 13. 26. 42. 60.

nowić z dobrem powszechném zgodnie, a na czém to dobro zależy, nie wiedział o tém, niemając wyobrażenia o stosowaniu przeszłości do terażniejszości na drodze nauki i sztuki, czyli niedomyśliwając się nawet tego, że można łatwo wyszukać zasadę do wyroku, lub znaleźć podstawę do mającego się nowo stanowić prawa, byle upłynione wieki z bieżącym porównać czasem, byle towarzyszące obudwom okoliczności zbliżyć do siebie, i wniosek z nich prawie niemylny, bo na doświadczeniu przez rozum rozważoném, oparty, wyprowadziwszy ztąd, z wszelką na terażniejszość i przyszłość do obecnego stanu rzeczy zastosowaną oględnością. Nie wiedziano o tém, powtarzam, w czasach owych, nie znając sposobu zapatrywania się na prawo historycznie i filozoficznie, i tylko naśladować, czyli przenosić przeszłość w terażniejsze czasy umiejąc. Drogi więc praktyki sądowej nie opuściwszy, udano się jeszcze w drogę inną, i przybrano naukę do pomocy.

Nauką bywało zawsze i będzie prawo; uczyć się go bowiem potrzeba. Stosownie do stopnia w jakim się je posiada i stosować do wypadków umieć, jest rzemiosłem lub sztuką. Została ta nauka sztuką u Rzymian, i to nie za rzeczypospolitęj, ale pod cesarzami, nabywszy takiej doskonałości jak nigdy potem, lubo u Francuzów w XVI wieku wielce się zbliżyła do niej. Współzawodniczką miewała ta nauka zawsze i ma politykę, która pod różną postacią, przybrana w szatę dziejów, wymowy, a nawet poezyi, posiadując ją, spycha na dół, a samą wyższe jój zajmuje miejsce, ilekroć nauka prawa ze szczytu sztuki zstąpiwszy, schodzi na rzemiosło. Zeszła nań nauka prawa w rzeczachpospolitych greckich: dlatego téż wymowa zajęła tamże jój miejsce. Zeszła nań i przy schyłku rzymskiej rzeczypospolitéj: i wtedyto, jeżeli jój nie towarzyszyła wymowa, mało cenioną bywała. Atoli pod panowaniem cesarzów kwitnący prawnicy dowiedli tego przez swoje równie naukową, jak praktyczną wartość mające pisma, że i prawnictwo może być sztuką; dlatego téż żyjący po nich europejscy prawoznawcy, ilekroć mieli potemu usposobienie, rozważali dzieła Papiniana, Ulpiana i innych rzymskich prawników; podobnie jak malarze i rzeźbiarze pracom się Michała Anioła i Kanowy przypatrując, uczą się sztuki od umarłych, gdy im żywi nic wzniosłego i zadziwiającego przedstawić nie umieją.



Atoli prawo przestało być sztuką w samém państwie rzymskiem już po śmierci Hadryana cesarza, i znowu zniżywszy się do rzemiosła, nie poszło w górę ani pod Justynianem cesarzem z rodu Słowianinem, a tém mniej pod rządami ludów germańskich, w rzymskiem osiadających państwie (na którym oni rodzime osnowywali swe prawa), ani w XI wieku, w którym znowu odgrzebane zostało i powszechnie uczone we Włoszech; zwłaszcza gdy utworzone na jego wzorze prawo kanoniczne, podzieliło z niem wziętość, podciągnęło go pod siebie, i na usługach trzymało swoich. Dopiero w XVI wieku godność dawną odzyskało we Francyi, stało się znowu sztuką i wzięło nad kanoniczném górę. Miało to swoją przyczynę ważną. Uчени krajów tych, gdzie ludy germańskie nowe założyli państwa, koniecznością k'temu wiedzeni będąc, a następnie zamilowania do niego nabywszy, uczyli się go naprzód jako obowiązującego, później zaś dla wewnętrznej jego wartości, jako wartość naukową mającego prawa. Gdzie tego nie było, jak w Anglii, tudzież u słowiańskich ludów, nic tam nie pomogło, że mu hojne sypa-no pochwały; albowiem nie było pochopu do zamilowania się w prawie, za obowiązujące nieuznaném w kraju. Przeciwnie kanoniczne, jako w pewnym przynajmniej względzie (w kwestyi o małżeństwach) wartość praktyczną mające, popłacało zawsze.

Kazimierz Wielki był pierwszym ze słowiańskich królów, który u siebie szkołę główną założył. Węgielny jój kamień rzucił w roku 1364 na Kazimierzu, (tak się zowie dotąd jedno z owych trzech miast, które Kraków, ówczesną stolicę Polski stanowią). O urządzeniu téj szkoły dowiadujemy się z przywilejów jój nadanych, a przez Władysława Jagiellę (który zakład ten naukowy, z Kazimierza do Krakowa w roku 1400 przeniósł) potwierdzonych, i w zbiorze praw przez Herburtą i innych zamieszczonych. Twierdzi Sołtykowicz (1): „że Kazimierz nadał akademii, (tak bowiem owę szkołę prawa nazywano) francuzkich powszechni nauk (2) przywileje”; co ma znaczyć, że nie na sposób paryżkiéj tylko, (gdzie głównie prawa kanonicznego pilnowano), lecz i na wzór innych głównych szkół (po Paryżu, były najznakomitsze w Montpellier, Orleans) francuzkich, [które

(1) O stanie akademii krakowskiej. — J. Lelewel w Tygodniku Wied. I. 172.

(2) Tak Sołtykowicz spolszczył wyraz: *universitas*.

rzymskie prawo szczególnie pielegnowaly (1)], krakowska akademia zalożona byla. Jakoż chciał Kazimierz Wielki, ażeby w niej tak rzymskiego jak i kanonicznego uczono. W czém jest to uwagi godne, że mimo swęj skłonnaści jaką ku obudwom miał prawom, nie wsunął z nich w Wiślicki Statut tyle, ile z rzymskiego prawa w statut swój wcielił Karol IV cesarz niemiecki i król czeski, przyczyniwszy się zapewne i przez to do upadku kodexu prawa, nad którym tak skwapliwie pracował. Dziwować się należy temu, że król polski miał już wówczas takie o prawie rzymskiem pojęcie, jakiego o niem nie mieli europejscy XVIII wieku prawodawcy: którzy, a mianowicie też austriaccy i pruscy, przepelnili ułożone od siebie statuta prawem rzymskiem. Kazimierz Wielki przeciwnie, przenikając istotne prawa tego przeznaczenie, dobrze rozumował nad niem, myśląc, że gdy się polscy prawnicy przejmą jego duchem, większa ztąd korzyść na prawodawstwo krajowe spłynie, aniżeli by spadła nań, gdyby niem krajowe prawa zapychać miano. Wiedział też o tém, że główną szkołę zakładając, nie pracuje dla swego wieku, lecz dla przyszłych pokoleń, i że ziarno przez niego w ziemię rzucone, dopiero dla jego następców obfite plody przyniesie.

Dzieskan przez professorów obierany, kierował wydziałem, złożonym podług urzadzania Kazimierza Wielkiego z siedmiu professorów; a mianowicie: *Decretorum, Decretalium, Clementinarum, Legum codicis* (kodex Justyniana) *Inforciati, Digesti veteris et novi, Voluminis* (czyli reszty zbioru praw Justyniańskich, do czego głównie liczono instytucye, tudzież nowele) (2). Rzecz zastanowienia godna, że wydział prawa, tak pięknie jak powiedzieliśmy urzadzony przez Kazimierza W., nie był czynny za jego życia (3); że właściwe otwarcie wydziału tego datuje się od czasu zaprowadzenia uniwersytetu krakowskiego r. 1400 przez Władysława Jagiełłę; że nakoniec tenże Jagiełło nie otworzył wydziału dla rzymskiego, lecz tylko dla kanonicznego prawa

(1) Savigny, Geschichte des Roem. Rechts im Mittelalter, w tomie III, 337 i następ.

(2) Porównaj: Savigny Geschichte des Roem. Rechts. III, 420, i następ. 519.

(3) Data statutu z Krakowa r. 1364; umarł Kazim. W. r. 1370. Uniwersytet jego nie był czynny. Porówn. Łukaszewicza Hist. szkół. I. 33, następ.



wyłącznie (1). Wszystkiego tego przyczynę tłumaczy nam ta okoliczność, że gdy u nas, równie jak w Anglii nie miało mocy obowiązującej rzymskie prawo, przeto mimo usilnych o wzrost jego starań monarchów polskich, nie mogło mieć powodzenia. Zapomniane po Kazimierzu W., dopiero za wnuka Jagielly wprowadzone znowu do uniwersytetu zostało. W r. 1538 wezwał Zygmunt Stary na katedrę bawiącego właśnie podówczas w Polsce Rojzysza, rodem Hiszpana, w szkole włoskich, słynnych w ówczesnej Europie prawników dobrze ukształconego, który prawo rzeczone z wielką gorliwością próżno, jak wnet opowiem, wykładał. Stefan Batory wzywał do Polski na katedrę tegoż prawa, europejskiej sławy francuzkiego prawnika Balduina, co lubo nie przyszło do skutku, świadczy jednak o należytem pojęciu ważności tego prawa przez monarchów polskich. Więcej atoli uderza, że pomimo niedostatku nauki, zdrowiej wówczas u nas niż na Zachodzie o nauce prawa rozumowano. Gdy albowiem wszędzie, Francyi nie wyjąwszy, wyłącznie prawa rzymskiego, kanonicznego i feudalnego pilnowano; u nas przeciwnie obok praw tych (z wyjątkiem trzeciego) uczono jeszcze prawa krajowego, *ziemskie* przez to w krakowskim, a w zamojskim, r. 1595 kosztem Jana Zamojskiego wielkiego kanclerza koronnego, założonym uniwersytecie, *ziemskie i miejskie*; w akademii zaś wileńskiej r. 1569 założonej, *litewski statut* pojmując przez to. W zamojskim uniwersytecie wykładano także historią prawa porównawczą, co niesłychaną podówczas było na wydziałach europejskich rzeczą. W mniej pomyślnym stanie znajdowała się nauka prawa w jezuicko-wileńskiej akademii o dwóch wydziałach, teologicznym i prawnym założonej, a więc nie uniwersytetem, lecz szkołą specjalną będącej. Jeszcze w mniej pomyślnym była w tak zwaną akademii lubranieckiej, w Poznaniu założonej, następnie przez Jezuitów wraz z lwowską dzierżanej. Wszelako jakkolwiek był u nas stan nauki prawa, nigdy jednakże nie brakło na nią; owszem coraz więcej mnożyła się, wykładaną będąc nietylko po uniwersytetach i akade-

(1) W urywku kazania na pogrzebie Władysł. Jagielly r. 1434 powiedzianego (znam je z rękopisu) powiedziano: *Erezerat insuper in civitate Krakoviensi generale studium, instituens legi theologiā canones et artes, non vero leges, quia non legibus sed consuetudinibus patria illa gubernaretur*. Zład sprostować Putanowicza u Łukaszewicza, Illst. szkół 1. 46.

miach, ale i po gimnazyjach, tudzież w tak zwanych rycerskich szkołach, których się coraz więcej, mianowicie od wieku XVIII mnożyło. Chociaż w szkołach tych, a mianowicie protestanckich, tudzież katolickich, pod zarządem księży Pijarów będących, również jak w szkołach rycerskich, wykładano prawo na mały rozmiar; jednakże dobór dzieł gruntownych i z dobrym napisanych smakiem, nagradzał ubytek nauki. Atoli zmarniały dobre chęci, gdyż się teraz w odwrotnym stosunku miała nauka prawa do wykładu jój za Władysława Jagiełły. Wtedy, że wiele, ale niestosownego dla potrzeb wieku uczono, a teraz przeciwnie, że uczono mało i mało w naukach pomocniczych usposobioną młodzież, przeto właśnie ta okoliczność przywiodła naukę o zgubę.

Praktyczny prawnik przestawając początkowo na takiej tylko biegłości w prawie, w którą się raczej przez wzwyczajenie wdrożył niż wmyślił w Prawdę i Zakon, ujrzał się wkrótce w potrzebie nabywać jój przez naukę. Był naprzód i tój nader mały zakres, atoli niezabawem rozszerzył się znacznie. Ztreszczał prawnik artykuły prawa, robiąc z nich tak zwane *sumaryusze*; przez co z przepisu szczegółowego tworzył ogólny, i tak podnosił prawo do pewnej, w króciuchnych słowach wyrażonej zasady. Takową mógł łatwo każdy spamiętać, i przez to uogólniać sobie w pamięci prawo. Dzieła tego rodzaju są pierwszym w piśmiennictwie krajowo-prawném pojawem, jako najważniejsza praktycznych prawników praca. Układano je niby *syłwa rerum*, różnemi różnej treści zapychając pismami (1).

(1) Dla dania czytelnikowi wyobrażenia o zakresie dzieła tém mianowanego nazwiskiem (szczegółowo zastanawiałem się nad tém w Piśmienn. II, 623, ustpn.) zwracam jego uwagę na rękopis w kształcie arkuszu, który w bibliotece Załuskich w St. Petersburgu czytałem. Początek jego wydarty. Na stronicy pierwszej są rozdziały (*capitula*) obejmujące treść ustaw Statutu wiślickiego, mającą napis: *Summarii casus Juris terrestres polonicis editi per Regem Kazimirum prelatos et Barones*. Na końcu stol: „Per me Mathiam petersolcz de Slupcza pro nuuc morantem in Pyszno anno domini 1449 (rzymską liczbą). Poczém idą także w skróceniu Statutu warteńskiego Władysława Jagiełły r. 1423, tudzież opożyńskiego (*in loco campestri qui vocatur Opoky*) Kazimierza Jagiełłończyka r. 1455. Następują różne pismka drobne z historii naturalnej (o zwierzętach czworonożnych, ptakach i t. d.), teologiczne i moralne. Kończą dzieło wyjątki z dygestów Justyniana, które ucząc prawa spisał ojciec (czy sam autor rękopisu?) dla własnych dzieł.



Następnie brano się do przekładu statutów po łacinie pisanych na język ojczysty. Najważniejszą pracą stanowiły słowniki, czyli spisy wyrazów dawnych do przekładu statutów stosowanych, lub też utworzonych nowo przy robieniu przekładów tychże. Najstarszy z r. 1444 utworzono dla zrozumienia ziemskiego prawa. Po nim idzie z r. 1450, mający wyrazów 75, dla objaśnienia prawa magdeburgskiego zebranych. Trzeci z r. 1455 pochodzący, ma ich 87, atoli nie wszystkie są wyrazami prawnymi (1). Na nim urywa się wątek tego rodzaju prac rękopiśmiennych, a zaczynają się druki. Najstarszy wygotował Jan Cerwus Tucholczyk r. 1546 w Krakowie.

Prace te coraz więcej przekonywały praktycznych prawników o potrzebie nauki prawa, co nawet na naród, czyli reprezentujących go posłów ziemskich, wpływ wywarło wielki.

W czasach o których mówimy, nie chciano ani słuchać o prawie rzymskiem nietylko w Anglii, tudzież w krajach słowiańskich, gdzie prawo to nawet pomocniczo nie obowiązywało, lecz i w Niemczech, gdzie je cesarze za pomocnicze wskazali sędziom: I miano w tém poniekąd słuszność: albowiem uczeni za granicą prawnicy, sprawując po swoim do kraju powrocie urzędy sądowe, zamiast podług ojczystego, odsądzali sprawy podług rzymskiego, wprost temu przeciwne zasady mającego prawa (2). Monarchowie też spisując statuta, nie innem jak kanonicznem i rzymskiem prawem dopełniać go umieli, używając k'temu w prawie boskiem i ludzkim czyli kanonicznem i rzymskiem biegłych mężów (3); co jeżeli się ostrożnie, i z wszelkim dla zwyczajowego, tudzież pisanego nie działa szacunkiem, jeżeli się w głównych zasadach swoich nie zmienił przez to dotychczasowy skład sądownictwa: nic przeciwko temu, jak w Polsce w czasie układania statutów za Kazimierza W., nie miano wcale. To nam tłumaczy powód, czemu pomimo odrazy do rzymskiego prawa, czepiano się go przecież; zkąd to poszło, że naród polski sam nawet poddawał się wpływowi rzymskiego

(1) Porówn. Piśmiennictwa, I. 340. Lelwela Polska wiek. śr. IV. 232 nastp.

(2) Porówn. Eichorna *Deutsche Staats und Rechtsgeschichte* § 444 nastp.

(3) *Adhibitis viris doctis in lege divina et humana peritis*, mówi Archid. u Som. II. 97 i Długosz L. 1081 o Kazimierzu Wielkim.

prawa. Coś podobnego dziś nawet o Anglii zauważyć można, gdzie w gronie sędziów pokoju (*Justice of the Peace*) prawnicy w pewnej liczbie według ustawy zasiadając, z mocy urzędowania swego, o ile się to krajowemu nie sprzeciwia prawu, rzymskiego zasady upowszechniają w narodzie (1). Podobnie nasz Zygmunt I wprowadził do władzy prawodawczej naukę prawa. W roku 1520 oznajmił narodowi: „że ponieważ się ma ważna na przyszłym sejmie odbyć dla kraju praca, to jest przejrzenie zwyczajowego, ustawowego, statutowego i sejmowego prawodawstwa, przeto wzywa naród, ażeby nań wybrał na posłów ziemskich takich z pomiędzy siebie obywateli, którzyby się znali na nauce prawa; i że on ze swój strony wezwie do wzięcia w tej pracy udziału doktorów kanonicznego i rzymskiego prawa; że nakoniec obowiązuje się drugich utrzymywać swoim kosztem w czasie trwania sejmu, pod warunkiem, ażeby się nie oddalali z miejsca, póki powierzony sobie nie ukończą pracy; swoich zaś z grona swego wybranych posłów-prawników, szlachta własnym kosztem utrzymać ma (2).“ To było przyczyną, że ówczesni panowie, którzy się jak Ostroróg Jan do nauki przykładali prawa, przed kasztełańskim tytuł doktora prawa kładli (3): wyżej ceniąc to, czego sami dostąpili, nad to, co z urodzenia na nich przyszło.

Mając w tym przykład w posłach ziemskich, brali się do nauki urzędnicy, mianowicie ci, na których całość polegała sądów; rozumiem przez to pisarzów, którzy, a bynajmniej sędziowie, u nas, w Czechach i na Węgrach, musieli znać koniecznie prawo. Byli im też do tego pobudką notaryusze, to jest ludzie, którzy nie przez królów polskich, lecz albo cesarów niemieckich,

(1) *Darstellung der inneren Verwaltung Grossbritaniens, von L. Frh. v. Vincke, Berlin, 1848. Zweite Auf. Porówn. 12.*

(2) Roka 1520 w Voluminach legum. Porów. Vol. I. 392, 393, tak mówi: In proximo generali conventu futuro, omnibus consuetudinibus iuribusque et statutis vetustis, et omnibus palatinatibus congregatis, reformationem omnium constitutionum per deputatos et deputandos jurisperitos regni nostri, favente Deo, aggrediemur. Doctoribus etiam juris pontificii et legum adhibitis, qui a loco conventionis generalis proxime celebrandae non discedant, donec eandem regni iurium et constitutionum debitam emendationem faciant. Et tales per nos deputatos et deputandos, expensis nostris providebimus; alios autem nobiles viros, jurisperitos, quos nobilitas ex palatinatibus adjunget, suis expensis providebit.

(3) R. 1466, Vol. I. 218, 220.



albo papieżów umocowani do tego będąc, zajmowali się u nas pisanem akt, zeznań i t. p. bynajmniej zaś hipotecznych, tylko pisarzy atrybucją będących. Ich rzemiosło było w Polsce zyskowne przez to, że stali w opinii publicznej wysoko, cenieni będąc jako prawni formalisci i ludzie rzetelni; zkad też zapewne używali przywileju, że im tylko wolno było powierzać sądowe księgi, wnosząc je poza kancelaryą, jak dziś mówimy, hipoteczną, i wpisywać w nie ostatecznej woli zeznania (1). Z nimi więc spółzawodnicząc pisarze, brali się do nauki; dlatego też wybierano ich niemal zawsze do deputacyi prawodawczej, zwłaszcza, że dobrze się znali na formułowaniu prawa, do czego wszystkich narodów prawodawcy słusznie przypisywali wielką wagę. Bo prawo albo się samo tworzy, albo tworzone bywa, kształtując się podobnie jak język. Przyjmuje bowiem nauka będące w pospolitem użyciu słowa, lub jako niestosowne, odrzucając je, w miejsce ich pokłada nowe. Toż samo prawodawca spisując zwyczajowe prawa i tak sankcyonując je, lub w miejsce uznanych za niestosowne podsuwając własnego utworu lub wyboru przepisy, formuluje przez to nowe prawo. Probiernym jest to kamieniem ducha cywilizacyi ludu, tudzież prawodawczego umu męża, który się zajmuje tą pracą. Trudniejsze jego zadanie, niż prawodawcy języka, i większa przed potomnością odpowiedzialność: gdyż pracą swą na pomysłność narodu wpływa, i stan jego dalszy ustawą przez siebie daną powoduje. Wybornie się z tego sprawiał Zygmunt I, formułując prawa w sposób rzeczony, z nauką i praktyką zgodnie.

Wpływali nakoniec na praktykę obrońcy sądowi, którzy dopiero teraz w skład hierarchii weszli, i pod kontrolę rządową podciągnięci zostali. Zygmunt I albowiem przepisał, że mają być przysięgli, i władzy ulegać sądu (2). Wielu z nich zajmowało się i pisanem dzieł, do praktyki zmierzających sądowej.

Pięknie zaiste było widzieć, jak w XV i XVI wieku kojarzyły się wzajemnie nauka prawa z praktyką sądową; jak jedna wspomagając drugą, zmierzały do tego celu, ażeby krajowe prawo należycie pojęte, objaśnione i zrozumiałe było. Dalej bowiem nad ten zakres nie sięgała u nas nauka, gdy, jak rzekliśmy, rzymskie za pomocnicze nie zostało uznane, a więc nie

(1) J. W. Bandtk. Hist. pr. 413, 460 nstpn.

(2) R. 1543 Vol. I. 576 nstpn.

miął praktyczny prawnik potrzeby wyżej nad zwyczaj i ustawę sięgać. Wszelako i na téj drodze daleko nie postąpił, gdyż mu nie umiał iść należycie w pomoc teoretyk, objaśnić mu wyraz praw, ducha jego ukrytego w dziejach odsłonić, wskazać cechy według których mógłby na sam rzut oka rozpoznać, że w téj lub owéj ustawie, niby w rudzie zawierającej drogi w sobie kruszec, znajduje się właśnie dowód, którego szuka na poparcie bronionéj przez siebie sprawy. Nie było wprawdzie obowiązującego w kraju prawa, o którémby nie pisano, nie brakło téż na ochocie piszących; atoli ktokolwiek przeczytał z uwagą, cokolwiek nam ówczesni przekazali (1) prawnicy, powie zaiste, że prócz kilku dzieł nie mamy nic takiego w literaturze prawnej, z czémbyśmy się przed Europą pochwalić mogli. Wyszczególniłem znakomitszych prawników w dziele własném o piśmiennictwie polskiém wydaném, i w dalszym dzieła tego ciągu wyszczególniać ich będę. Ponieważ pominąłem tamże piszących po łacinie, przeto wywiodeę z nich na widok tych właśnie, z którymi aż do XVI wieku śmiało przed ówczesną Europą występując, możemy jéj zapytać o to, czy większych może nam wskazać u siebie? Liczę do nich Ostroroga i Frycza Modrzewskiego.

Jan Ostroróg, syn Stanisława wojewody kaliskiego, uczył się w XV wieku prawa w Bononii, gdzie uzyskawszy stopień doktora, wyżej od senatorskiego przez siebie ceniony, używany bywał za powrotem do kraju do spraw dyplomatycznych. Pozostawił dziełko małej objętości, ale niezmiernie ważne, które dziwnie rozsądném słusznie nazwał Czacki. W łacińskim napisane języku, dochowało się w trzech rękopisach: z wilanowskiego wydał je częściowo w polskiém tłumaczeniu Hip. Kownacki roku 1818; z puławskiego najstarszego ogłosił je J. W. Bandtkie bezimiennie i bez wyrażenia miejsca druku (2), w oryginale i z przekładem obok polskim. Składa się z dwóch jakoby części, z których pierwsza o duchownych, druga o świeckich mówi sprawach, w sposób uderzający, jakiego-

(1) J. W. Bandtkie zebrał bibliografią prawa polskiego i w druku ją tomie Historii literatury polskiej Bentkowskiego wydrukował. Dopełnił téj pracy i rękopism pozostawił, który ma wyjść z druku.

(2) *Clarissimi Baronis Joannis Ostroróg juris utriusque doctoris monumentum pro comitiis generalibus regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione congestum* (toż samo po polsku).



byś się nie spodziewał po człowieku żyjącym w wieku XV. Przy końcu oświadcza, że wyrażone w piśmie swém myśli rzucił dla takich, którzy dla zatrudnień w sprawach publicznych nie mają czasu zajmować się głębszą nauką. Nie zastanawia wcale, że w taki jak się odezwał sposób o duchowieństwie przemawiał: protestantem bowiem snadź już był wówczas, jak później była téj wiary cała Ostrorogów rodzina; ale mocno zdziwia, że sam należąc do rzędu panów, nie poszedł przeciw ich torem, że o zmniejszeniu władzy królewskiej wcale nie myślał, ale owszem za nią, tudzież za mieszczanami i włościanami podnosił głos, przyganiał nadużyciom, przesądom, zbytkom. Zgoła obstawał Ostroróg za poprawą rzeczypospolitej, i gdy o niej miano r. 1459 radzić na sejmie, dla niego więc pismo wygotował swoje. Również i to zastanawia, że niemal wszystkie jego o sprawach świeckich rady, przyjął naród; téj nawet nie wyjąwszy, którą mu dał o potrzebie prawa stanowionego, uwagę uczyniwszy: „żeby należało wybrać z rzymskich co potrzeba dla sądów, a resztę zdać na rozagę sędziego.” Poszedł za tą radą Jan Łaski, wcieliwszy do zbioru praw układ Rajmunda, w sądach miejskich już za czasów Kazimierza W. używany (I), i na tém rzecz, wbrew zdania radzącego, skończył. Nie tego bowiem chciał Ostroróg, lecz nowój, dla Polski stosownej i sędziów obowiązującej wymagał kompilacyi; radząc sejmowi, by ich zniewolił do sądenia podług téjże kompilacyi w przypadkach, o którychby milczały krajowe prawa, a do woli zostawił im radzić się z resztą lub nie radzić rzymskiego prawa.

Wcale inną drogą poszedł Frycz Modrzewski, snadź Wielkopolanin, którego rok urodzenia i śmierci nie jest zupełnie wiadomy, (przed r. 1500 urodził się, przed 1560 umarł). Ucząc się przez lat trzy w Witenbergu, sprawował za powrotem do kraju urząd sekretarza królewskiego, a przytém do różnych poselstw dyplomatycznych używany bywał. Przy końcu życia mieszkał we włości do biskupstwa kujawskiego należącój, którą z ojca i dziada za nadaniem posiadał, sprawując przytém urząd sędziego (Advocatus) patrymonialnego w dobrach biskupich. Jako człowieka, który chociaż z kościołem rzymskokatolickim nie zerwał, jednakże przeciwko hierarchii jego, a nawet zasadom wiary mówił i pisał, rugował ztąd Karnkowski,

(1) J. W. Bandtk. hist. prawa 247.

skoro na to biskupstwo wstąpił, zakupiwszy od niego prawa jakie miał do owój włości. Nie wiadomo, czy rugowanemu z miejsca przyszedł w pomoc król Zygmunt August, który go do pisania w materyach do zjednoczenia różnych sekt religijnych, tudzież do poprawy rządu i praw zmierzających, zachęcał. Widać z czynów i pism Modrzewskiego, że chociaż dyplomatyką się trudnił, jednakże dyplomata nie był; że jak z ludźmi, na których chlebnie siedział znosić się nie umiał, tak i nauk, które opracowywał, nie pojmował praktycznie. Pisywał po łacinie niezmierną w swoim czasie wziętość mające dzieła, z których najznakomitsze na język polski i niemiecki przełożone zostało. Zaczął je wydawać w Krakowie 1551, a całkowiec wydał za granicą (w Bazylei) 1554. Rozłożył je autor na pięć ksiąg, mówiących: o obyczajach, prawach, wojnie, kościele, szkołach. Poprzednio, r. 1543 drukować dał mowę do króla, w której dopraszał się usunięcia z praw krajowych główszczyzny, a naznaczenia kary śmierci na wszelkie mężobójstwa. W tym duchu pisywał i inne mowy, a w nich między innymi powstawał i na prawo na sejmie r. 1494 za Alexandra Jagiellończyka zapadłe, zakazujące mieszczanom nabywać dóbr ziemskich. Zgoła wychodząc z tej zasady Modrzewski, że nauki będą czczą marą, jeżeli się ich radzić nie będziemy w potrzebie: zmierzał w pismach swych do tego, że należy koniecznie poprawić prawa krajowe, i przez nie zreformować sądy, obyczaje narodu i t. p. (1). Co jak wielką okryło sławą autora, i umieściło go w pierwszym swojego wieku polityków rzedzie; tak znowu, po bliższém rozważeniu tego co napisał, przekonało o tém, że Modrzewski nie umiał się nad rzeczą zastanawiać praktycznie, i wcale o tém nie wiedział, że prawa o których się zniesienie dopraszał, jak nie powstają z przepisu, tak też nie uchylają się przepisem: czyli, że jak się same przez siebie wzniosły, tak też przez siebie upadają, skoro czas na nie przyjdzie, który jeden tylko może je przyprowadzić o życie, gdyż jak im go dał, tak też sam tylko odebrać im go może. Prawda, że jest w mocy człowieka przyspieszyć ten czas; ale więcój nad to uczynić on nie jest mo-

(1) Wszystko com dotąd o Modrzewskim powiedział, wyjąłem z artykułu Józ. Maks. hr. Ossolińskiego: *Jędrzej Fryc Modrzewski*; umieszczonego w tomie IV jego *Wiadomości historyczno-krytycznych we Lwowie 1852* wydanych. Porówn. 67 nstp.



cen. Pomimo że wyrzekł w przeszłym wieku sejm czarnogórski, iż zemsta mieć nie powinna miejsca, że gdy się komu krzywda stanie, skargę o to do sądu zanieść i u niego obrony szukać powinien; trwa tam jednakże zemsta w dawniej mocy, i trwać będzie wieki, póki się naród nie ucywilizuje, nie zbrzydzi jój sobie, i nazawsze nie oddali od siebie téj, do której od kilku tysięcy lat przywykł. Taką dobę przeżyła i zasada, której niegdyś wszystkie ludy od Kaukazu aż do Anglii krańców wzdłuż i szerz Europy hołdowały (Greków i Rzymian wysoce ucywilizowanych wyjąwszy), której zniesienia dawno przed Modrzewskim dopraszali się u rządów męzowie w boskich i ludzkich prawach uczeni, a która dopiero r. 1768 u nas zniesioną została, czyli zniosła się sama, skoro się w narodzie polskim upowszechniło to zdanie, że zabójca, czy szlachcica czy chłopa, śmiercią a nie karą pieniężną powinien zgładzić popełnioną przez siebie zbrodnię. Gdyby się był Modrzewski zastanowił nad tém, że ponieważ to nie wzięło dotąd skutku, o co się od dawnego dopraszano czasu, i ponieważ kara śmierci na wszelkiego rodzaju mężobójców ogólnie postanowioną nie została, musi w tém ważna zachodzić przyczyna; gdyby, mówię, był śledził dróg, po których doszli wreszcie prawodawcy europejscy do usunięcia głowszczyzny: byłby zaiste odgadł, że gdy nie można uchylić od razu złego, można je przynajmniej ograniczyć, a ograniczając coraz bardziej, uchylić z czasem zupełnie. Tym końcem należało usunąć z praktyki sądowej, co się w nią przez złe zastosowanie przedawnienia do mężobójstwa wkradło. Dawne prawa opiewały, że kto się mężobójstwa dopuścił, powinien się zań okupić; późniejsze zaś, że *tylko wtedy* uczynić mu to wolno, gdy przypadkiem popełni tę zbrodnię. Jeszcze później przyjęto, że jeżeli na uczynku złapany mężobójca, śmiercią *natychmiast* ukarany nie został, nie może, zwłaszcza gdy jutra dożył, być o gardło przypawion, lecz tylko jak zabójca *przypadkowy* sądzony być winien. Tę właśnie zasadę wprowadziwszy do naszych sądów praktyka, zagęszczeniu się mężobójstw dopomogła (1).

(1) Rozwinięte na drodze postępu téj zasady, gdzieindziej historycznie przezemnie wykazane będzie. Tu dosyć odesłać do Kromera (*Polonia* t. d. przekład polski dał p. Wład. Syrokomla w dziele: *Polska* t. d. w Wilnie 1853 wydaném. Porówn. 125) który mówi: że według

Modrzewski przeto nie tak o zniesienie głowszczyzny, jak raczej o przejrzenie praw, na których się ona wspierała, do-  
 praszać się był powinien; co właśnie mógł uczynić król, nawet bez odniesienia się o tém do sejmu. Tą idąc drogą prawodawcy i prawnicy francuzcy, coraz więcej ścieśniali panującą w swych sądach wziętą z niemieckiego prawa głowszczyznę, aż ją wreszcie tak ścisnęli, że mimowolnie usunąć się z praktyki musiała. Środków na to dostarczyła im nauka prawa, która gdy pod owe wieki na samém tylko rzymskiem polegała wyłącznie, nie poplaczając u nas, a nawet pogardzaném, bo nieznaném, przeto nie mógł téż wiedzieć o tém Modrzewski, w co i jak uderzyć należy, by dojść do celu życzeń.

Ponieważ prawo rzymskie niemając u nas mocy obowiązującej, służyło raczej ku zabawie niż pożytkowi; ponieważ nie zaglądano nawet wewnątrz niego, przestając na samych prawa tego starożytnościach, czyli polityczne tylko prawo rzymskie uprawiano, a cywilne zarzucano zupełnie: przeto nietylko téj korzyści, co literatura rzymska, ale nawet téj co łacina (1) nie przyniosłszy, zaszkodziła owszem. Na jego wzorze kształtowało się nasze prawo polityczne, mianowicie po wyjściu na widok dzieła Jana Zamojskiego o senacie rzymskim (2). Jego téż prawa używano do porównań z krajowém (Drezner zajmował się tą rozrywką), i tak po dziecinnemu bawiono się niém, niby grając w prawo, a nie wiedząc o tém, że i owszem idzie się przez to w lewo. Rozumiejąc, że coś arcymądrego przez to robią, wciskali układacze praw krajowych w system pandektów statuta królów i ustawy sejmów polskich, a czerpiąc wiadomość o tém, nibyto rzymskiem prawie z pomąconych źródeł, i tak mimo wiedzy w logicznym stosunku skutków do przyczyn postępując, wyprowadzali z niego fałszywe zasady. Z tych to zasad czyniącym również fałszywe wnioski naszym prawnikom, wypadł w rezultacie ten wynik, że zamiast obalamucac się nauką prawa, daleko lepiej wieszac się po kancelaryach trybunalskich i w nich na rzemiosło terminować prawne. Z błę-

praktyki w sądach polskich używanej, nie wolno śmiercią karać mężo-  
 bójcy, który w 24 godzin po spełnieniu zbrodni pochwycony dopiero został.

(1) Odróżniałam jedną od drugiej, o czém Pismien. I. 47, II. 78 porównaj.

(2) Porówn. Pismien. II, 116 nastp. Lelwela Consid. 174.—176.



du brnąć w nowe błędy pozwolono sobie szydzić naprzód ze stopni uniwersyteckich, następnie z sądowych magistratur. W r. 1590 stawił się przed księgami sądów grodzkich krakowskich Andrzej Rej z Nagłowic, i prosił o przyjęcie od siebie zeznania: „że odtąd aż do końca roku postanowił nie pijać co dzień jak tylko pół garnca wina (*mediam ollam vini*), a gdyby więcej wypił, gotów za to ponieść jakąbądź zesłaną nań od Boga karę.” Sąd, niepomnąc na swą godność, przyjął od niego akt taki na żart podany, i w swoje kazał go wpisać księgi. W roku 1678, przyjął również sąd grodzki krasnostawski do swych ksiąg protestacją zająca przeciwko wilkowi (Zajączkowskiego przeciwko Wilkowskiemu?) w te słowa: „ja bojaźliwy zając oświadczam, że mając sąsiadem drapieżnego wilka, który co dzień z tłuszczą podobnych sobie napada na mnie, i nie zważając na prawa, jakie lew najwyższy zwierząt rządca postanowił, wbrew tymże prawom, mienie moje szarpie niełitościwie, tak, że nie czując się we własnym domu bezpiecznym, muszę błąkać się po chróstach, uciekać w góry i lasy i t. p.; dlatego niniejszy protest zanoszę do sądu (1).”

Ten stan nauki prawa i źródło jego rozważając na ambonie, żyjący na początku XVIII wieku kaznodzieja (2), tak powiedział: „radbym wiedział, co to za *regula aurea*? prawidło złote? Podobnoby i nasze prawa polskie, Łauda, konkluzy, konstytucye, w lepszej obserwie zostawały, żeby były w złoto oprawne: *Regulae aureae!* Teraz kędyś trabałne tomy, opętane dyptychy, zaplesniałe szpargały pod ławą leżą; więcej w nich pajęczyny niż papieru, najczęściej je mole wartują! Dosyć na tym że są w schowaniu! lub w niezachowaniu! Droższa u kogoś w barszczu *rura*, aniżeli ojczyście *jurá*; dopieroż lepsze *rus*, niżeli *jus*, miłsza *włes*, niżeli dusza i sumnienie *gdzieś*. Małoć pomocą *leges*, kiedy nieboże *eges*; nie wiele wskórasz *ex codice*, kiedy w szkatule *modice*.” Słowa te gorzkiej ironii pełne, jak nic nowego nie głosiły dla dziejów prawnictwa, tak znowu palcem niby ukazywały lekarstwo na złe, którego z wielką dla

(1) Akta te znajdują się w księgach ziemskich lubelskich, a mianowicie w księdze 9/31 na stronnicy 254. O pierwszym porównaj Dodatek do Piśmiennictwa przezemnie wydanego na stronnicy 159.

(2) Święta kaznodziejskie X. Stanisł. Bielickiego Soc. Jesu, w Kaliszu, 1717. Porówn. Jochera Obraz bibliograficzno-historyczn. II. 383. 635. Jest kilka wydań tych kazań.

siebie korzyścią nżywały zawsze narody i używać będą, dopóki im stanie mężów o dobro powszechnie gorliwych. Bo jak zacny nasz kaznodzieja upominał polskich prawników, ażeby wzięli znowu przed się leżące pod ławą księgi, i, mówiąc jego słowy, w lepszej obserwie mieli krajowe prawa; tak i we Francyi wołał o toż samo na spółziomków Monteskiusz (1), upominając ich, że czas porzucić fraszki, a zająć się poważną pracą. I niedaremnie wołali o to oba mężowie; drugi wywołał Pottiera (2), dzisiejszych prawników francuzkich ojca; pierwszy przemówił do serca życzliwego nam Niemca (3); który znowu na Tadeuszu Czackim, a ten na Janie Wincentym Bandtkie i Joachimie Lelewelu zrobiwszy wielkie wrażenie, dał popęd u nas uczonemu prawnictwu, które drugiego zwłaszcza uczeni słuchacze utrzymują dziś przy życiu.

Nie jest tu miejsce rozważać tak ich, jak i owych mężów uczone prace; osobnej bowiem wymaga to rozprawy, którą w dalszym ciągu artykułu tego napiszę. Powiem tylko, że jaką drogą poszedł Monteskiusz, by nowe w obumarłą naukę prawa wlać życie, taką téż Lengnich i jego następcy.

Co mówi przysłowie „że klin klinem wybić należy” nie stosuje się do nauk, która jeżeli upadnie, nowój na polu literatury musisz poszukać umiejętności, i nią wlać nowe w obumierającą życie. Tak wymowa, filozofia, poezya nawet i historia, cucila nieraz obumierającą naukę prawa, i niby choremu, dla którego potrzeba zmienić lekarstwo, przywracała utraczone zdrowie. Ostatniój chwycił się Monteskiusz, i wielkie zrobił na prawnikach wrażenie; którzy znowu, mówiąc polskiego kaznodziei słowy, trabałne tomy, opętane dyptychy, zaplesniałe szpargaly, wzięwszy przed siebie, nowy nauce dali kierunek. Historia więc, jak w dalszym ciągu tego artykułu opowiem, była ową dźwignią, która upadła u nas naukę prawa podniosłszy, kierowała dalszym jój postępem. Wstępując w ślady mężów, na polu dziejów polskie i litewskie prawo opracowujących, histo-

(1) *Car. de Secondat Baron de Brede et de Montesquieu*, um. 1755. Jego dzieło *Esprit des lois* dwa kroć na język polski przelożono. Porówn. *Hist. lit. polsk. Bentkowskiego*. II. 68. 790.

(2) *Rob. Jos. de Pothier*, um. 1772.

(3) *Gotfryd Lengnich*, um. 1774. Porównaj o nim artykuł Ossolińskiego w piśmie: *Biblioteka naukowego zakładu* i t. d. I. 87 następ.



ryą sobie za przedmiot badania i ja obrałem, obszerniejszy jęj wszakże naznaczywszy zakres. Słówko o tém powiem, i na tém artykuł mój nateraz skończę.

Dwoiste lice ma nauka prawa, bo téz dwojako, teoretycznie i praktycznie, spogląda na prawo. Podaną sobie bowiem pod rozsádek sprawę, częścią dogmatycznie, częścią historycznie rozważa prawnik, badając: w jakim stosunku zostaje ona do prawa stanowionego, i w jakiej styczności z przeszłością i terażniejszością jest tegoż prawa przepis. Jaśniej powiem: ma obrońca w wywodzie sprawy okazać sędziemu, że zasada (*δογμα, placitum*) prawodawcy była ta a nie inna, gdy prawo bądź nowo stanowił, bądź uświęcone zwyczajem, przyjmował do księgi prawodawczej. Przekonać go téz ma: że z tych, a nie innych powodów chciał mieć tak postanowioném. Co jeżeli odrzuci sędzia, musi nawzajem w powodowaniu (w motywowaniu) wyroku, odwrotnie wyjaśnić zasadę prawdy, takimże ją co obrońca torem rozwinąwszy. Takowém prawa wyrozumieniem i historycznym go wyjaśnieniem, samo tylko rzymskie prawodawstwo, w wieku znakomitych prawników (których zdania w miejsce stanowionego prawa, nakazywali sędziom szanować cesarze rzymscy) rozwinięte, szczyci się słusznie; do takowej doskonałości zbliża się i kopia jego, czyli prawo francuzkie, jaśniejąc blaskiem, którego mu słońce rzymskiej pożyczło prawdy. O takowy zaszczyt dla swojego prawodawstwa, może się kiedyś postarają i słowiańscy prawnicy; ale to nie tak prędko nastąpi, zwłaszcza gdy dotąd zaledwie pojmują tę prawdę, że chcąc dojść do celu, należy wprzóó poznać drogę, która do niego prowadzi; czyli, że chcąc rozumować nad prawem, z filozofią obeznać się im naprzóó wypada. Nigdy wszakże zdrowo rozumować nad niém nie będą, niepoznawszy wprzóó samego prawa.

Zkąd wynika ten znowu wniosek: że gruntowna nauka prawa, powinna się przedewszystkiém zająć rozpoznaniem Prawdy i Zakonów, z dziejowego na oboje zapatrując się stanowiska; czyli, że historia ma poprzedzić dogmatykę prawa, i nauczyć, jak prawo słowiańskie (podobnie co język i zwyczaje) razem z ludem wzrosłszy, zetknęło się z celtyckim i niemieckim; i wspóół z temi pomieszane, weszło w ustawy niemieckie najdawniejsze, będąc wyrażone na piśmie w okolicach dzisiejszej

Belgii (1), Bawaryi (2), Saksonii; jak następnie nad Łabą (Elbą) w niemieckie statuta wsiąkało, i gdyby był tenże los spotkał Słowian co niegdyś Celtów, całkiemby było weszło w niego, i niejako nowe północnych ludów *jus gentium* utworzyło; jak nakoniec w swojskich statutach występujące słowiańskie prawo, ma ścisły związek z niemieckim, i nieinaczej jak historycznie pojmovać się daje na drodze postępu.

Mało jest dotąd narodów takich, któreby historią praw swoich posiadały; historia bowiem prawodawstw jest nowszych wieków wynalazkiem, gdy przeciwnie, dawne wieki, dogmatyką się zajmowały głównie. Mało obchodziła historia prawa nawet rzymskich prawników; i nie dziw: bo to byli praktyczni ludzie, którzy mieli na uwadze dogmatykę szczególniej; na historią zaś o tyle baczyli, o ile tego wyjaśnienie sprawy wymagało koniecznie. Ich torem poszły wszystkie Romańskie ludy: żaden bowiem z nich, ile mi wiadomo, nie posiada historii swojego prawodawstwa. Pierwsi Niemcy, potrzebą i ciekawością ku temu wiedzeni, zaczęli obrabiać historią praw nietylko swoich, lecz i obcych narodów; wszakże dokładniej dotąd rzymskiego rozwinięcie się i wpływ jego na prawa romańskich i swojskich ludów, aniżeli historią swoich prawodawstw wyluszczyli. Znane jest dzieło Gustawa Hugona, historią prawa rzymskiego (3) zawierające, znane dzieło p. Sawigny historią wpływu tegoż prawa na romańskich i niemieckich ludów prawoznawstwo i prawodawstwo opowiadające (4). Obadwa po swojemu, bo w guście niemieckim ludom tylko właściwym, czyli ciężko ucze-

(1) *Lex saxonica*, czyli prawo Franco-Sallów, w V po Chrystasie wieku, na granicy dawnych Weletabów, czyli Willów, Morlów i Fryzów napisane.

(2) O tém w wydanych przez siebie Dziejach pierwotnych Polski i Litwy na str. 164 i następ. powiedziałem. Nie należy też spuszczać z uwagi praw, które spisać kazali Burgundowie i Goel, dla państw na gruzach zachodniego cesarstwa przez siebie założonych. Wylicza je i ocenia Sawigny: *Gesch. des R. R.*, IV, I, 65 i następ.

(3) *Geschichte des Roemischen Rechts bis auf Justinian*; pierwsze jego wydanie wyszło roku 1790, dziesiąte r. 1826, i takowe rozebrał krytyczule F. A. Schilling, spory tom tym końcem napisawszy. *Bemerkungen ueber Roemische Rechtsgesch.* 1 t. d. Lelpzig, 1829 roku.

(4) *Geschichte des Roemischen Rechts, im Mittelalter, Heidelberg* 1825—1831. Tomów VI. Pierwsze trzy tomy, w drugiem się okazały wydaniu, tamże r. 1834 i następ.



nie, napisali swe dzieła, i można to o pracach obudwóch powiedzieć, co o piśmie drugiego rzekł Guizot (1).

Słowian również jak Niemców, wielka potrzeba do historii prawodawstw nagli; wielka bowiem praw mieszanina, która rodzime nasze prawodawstwo uwikłała, nie da się inaczej jak tylko na drodze historycznej rozwikłać. Gdy właśnie jesteśmy drugim europejskim ludem, który prawodawstwo swoje historycznie rozwija, i gdy dlatego dokładniej od Niemców rozwijając go powinniśmy: należy nam usilnie starać się o to, ażeby o ile można uczynić zadosyć warunkom, które piszącemu historią prawa nałożył bystry Francuz, sam ich w skreślonym od siebie dziele niedopełniwszy (2). Bacząc na to, że praktyczny przedewszystkiém pożytek dać nam historia powinna (3), winniśmy się naprzód starać o to, ażeby ona nietylko rzuciła światło na całe wewnętrzne nasze dzieje (których częścią będąc historia prawa, jest oraz ich jakoby słońcem), sprostowawszy popelnione o nich pomyłki nawet przez historyków głośniejszy; lecz była przedewszystkiém przewodnikiem prawnikowi w pojęciu zasad prawa (nie mogą nam tu bowiem posłużyć za wzór Hugona i Sawiniego dzieła, aczkolwiek one dziś za najlepsze uchodzą), stosunkowo do czasu, a prawodawcy skazówką przy zastosowaniu przeszłości do terażniejszości.

(1) „La recherche des faits, l'étude de leur organisation, la reproduction de leur forme et de leur mouvement, voilà donc l'histoire telle que la veut la vérité. Dans tout ce qui tient à l'étude anatomique de cette portion du passé qui a fait l'objet de son travail, il (Mre de Savigny) ne laisse presque rien à désirer. Comme histoire philosophique, comme étude de l'organisation générale et progressive des faits, je n'en saurais dire autant. Je ne vois pas que M. de Savigny se soit proposé cette tâche, qu'il y ait même pensé. Non seulement il n'a point cherché à mettre l'histoire particulière, dont il s'occupait, en rapport avec l'histoire générale de la civilisation et de l'humanité; mais, dans l'intérieure même de son sujet, il s'est peu inquiété de l'enchaînement systématique des faits, il ne les a point considérés comme causes et effets, dans leur rapport de génération. Ils se présentent dans son travail isolés, n'ayant entre eux d'autres rapports que celui des dates, rapport qui n'est pas un lien véritable, et ne donne aux faits ni sens ni valeur”. Zobacz jego *Cours d'histoire moderne. Histoire de la civilisation en France. Paris, 1829* i następ. tomów V. Porównaj I. 390 i następne.

(2) W osobnym artykule słówko o tém z czasem powiemy.

(3) Niedokładnie się o tém wyraził Gustaw Hugo, którego myśl prostuje jego krytyk. Porównaj Schilling *Bemerkungen* 21 i następne.

W opowiadaniu historyi sami sobie zostawieni będąc, puścimy się powtórnie na rozległy ocean badań, przewodnika i obcej pozbawieni pomocy: ufni, że coś lepszego od naszych poprzedników zbudujemy na tém polu, a oraz przekonani o tém, że nasza praca wiele jeszcze do życzenia pozostawi, dla braku źródeł i niemożności usunięcia nateraz wszystkich zawad, jakie się nam przy układzie tego dzieła nasuwają. Z takowych największą stawia gruba pomroka nocy, która dotąd pierwotne czasy naszego prawodawstwa pokrywa. Sokoli wzrok potrzeba utopić w sercu starodawnego Germanii prawodawstwa, bystrym węchem należy zwietrzyć archiwa dawne, i przenikliwém myślicielca okiem wytropić ślady starożytnych pomników słowiańskiej Prawdy i Zakonów; wytrwałą i niezłomną wolą wysłęczyć ich znaczenie, pojąć ich ducha, różnicę naszego, a obcego na Słowiańszczyznę wpływ mającego prawa rozeznąć. Co jeżeli się nam nie ze wszystkiém uda, pochlebiamy sobie jednakże nieco głębiej, trochę bystrzej i wytrwalej od najzawołanszych na polu naszego prawodawstwa badaczy, (Tadeusza Czackiego i Joachima Lelewela rozumiem przez to) wejrzeć w ducha prawodawstw słowiańskich, porównać ich zasady z prawami najucywilizowanych świata narodów, (w których niezliczonym poczcie, zaledwie cząsteczką jest wielka, bo 80,000,000 gromada Słowian!) i jakkolwiek jasno je opowiedzieć. Sądzimy też pierwszy krok zrobić do napisania historyi prawodawstw, jakiej żądał Guizot, i jaką przed innemi mogą mu napisać słowiańscy tylko prawnicy; zwłaszcza gdy zniewoleni odwiecznie będąc do uniwersalności, skazani są na to, ażeby się uczyć rozlicznych języków i prawodawstw europejskich, które od wieków gościły i goszczą na ich ziemi.





## WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

W LATACH 1852—1853.

(Dokończenie).

Około Innsbrucka góry tworzą z trzech stron jakby nieregularny amfiteatr, wpośród którego w równinie zalegléj łąkami i kukurydzą wznosi się miasto z licznemi wieżami. Na południe Alpy i Schönberg, wzniesienie wysunięte naprzód Brennera. Ten łańcuch gór spuszcza się na dół jakby piętrami, przedstawiając różne otwory. Kilka strumieni spada z niego w dolinę na łąki. W różnych malowniczych załawkach wznoszą się kościoły z opactwami, stare zamki i piękne domy wiejskie. Od strony północy przeciwnie nie ma zdaje się przejścia pomiędzy łąką, równiną a skałami; jak mury prostopadłe i nieregularnie sterczą one porozpadane w różne kształty olbrzymie, wznosząc wierzchołki obnażone i bez wegetacyi do niezmiernéj wysokości, i panując nad równiną, której większą część szerokości zajmuje Innsbruck. Wzdłuż doliny, którąśmy przebyli, rozciąga się widok na miasteczko Hall, otoczone niezliczoną liczbą wiosek. Na prawo Ambras, wspaniały zamek, niegdyś mieszkanie Ferdynanda i Filipiny Welser; na górze błyszczą jego okna i ośmiokątna galerya, która zdobi wierzch budynku. Na przeciwnéj stronie Wejerburg, ulubiony pobyt cesarza Maxymiliana. Bliżej miasta opactwo Wilten z kościołem i budowlami w stylu pałacowym.

Miasto to jest prawdziwie położone na stolicę kraju: tu koncentrują się i rozchodzą wejścia i zejścia na wszystkie strony tego dziwnego i nieobfitego w łatwe komunikacye kraju; tu jest prawie srodek i złamanie główne największej rzeki, jakby

główniej arteryi Tyrolu. A lubo położeniem swoim nie panuje nad okolicą i nie imponuje wielkością; okolica jednak cała i całe jego otoczenie jest nietylko malownicze, ale okazałe. Ludności przecież nie liczy więcej nad 13,000; nie ma gmachów okazałych, ani wielkiej liczby pięknych kościołów. Ruch w niem niewielki, sklepy niestrojne i nie świadczy, aby się było w środkowym punkcie, w ognisku kraju ludnego i pełnego życia. Nic też nie nadaje mu piętna właściwego i nie odróżnia od innych miast średniej wielkości. Ubiorów miejscowych nie widać wcale. Mówiono, że tylko w czasach wielkich jarmarków, kiedy ludność różnorodna zejdzie z swoich dolin i gór, jest wiele życia i ruchu, i miasto przybiera nader charakterystyczną i właściwą sobie postać. Wtenczas zobaczyć tu można rozmaitość ubiorów oryginalnych, choć niezawsze pięknych, fizyonomij oddzielnych, płodów przemysłu rozmaitych, a właściwych różnym klimatom i miejscowościom. Teraz wszystko było bez barwy i bez życia. Zamek cesarski ani wnętrzem swoim, ani zewnętrzną strukturą nie może długo zatrzymać uwagi podróżnego. Więcej dla niego może mieć powabu nowe muzeum zwane Ferdynandeum; zawiera ono w sobie exemplarze skamieniałości, okazy flory tyrolskiej, zbiór motyli i interesujące próbki przemysłu miejscowego, właściwego różnym okolicom; wreszcie najpodobniejszy (jak mówią) portret Hoffera, i dzieła pędzla tyrolskich artystów.

Najwięcej zasługuje na uwagę podróżnego kościół Franciszkanów, położony w bliskości zamku i będący zarazem kościołem dworskim (Hofkirche), zbudowany w XVI wieku. Architektura jego jest pospolita i nie odznacza się niczem; kolumny marmurowe są całą jego ozdobą wewnątrz i zewnątrz; ale posiada dzieła sztuki nader zajmujące pod względem historycznym i artystycznym. Wchodząc do niego, dziwnie uderza bogactwo pomników i posągów, zwłaszcza przy szczupłości kościoła i przy dziwnym sposobie w jaki są ustawione. Zdaje się, że zaszła jakaś pomyłka, że się weszło do sali muzealnej, ale nie do świątyni. Grób Maksymiliana cesarza jest w środku głównej nawy. Po bokach w dwóch równoległych szeregach przez całą długość aż do chóru, stoją posągi ze spiżu kolosalnej wielkości, monarchów różnych epok i krajów. Jest ich 28, wszystkie są wybornemi dziełami sztuki; każdy nosi piętno narodu i epoki do której należy; uderzają zarówno wyrazem fizyonomii, jak ubiorami i uzbrojeniami pełnemi rozmaitości i artystycznego wykon-



czenia. Zwróciła naszą uwagę wpośród tego zgromadzenia tak zajmujących postaci, Zymburga, księżniczka mazowiecka, żona Ernesta austriackiego, właściwością stroju, który nie byłby bez interesu dla tych, którzy dawne ślady narodowych ubiorów pragną uratować od zagłady, równie jak dla malarzy naszych historycznych. Ktokolwiek wnijdzie do tego kościoła, niepodobna aby się oparł wrażeniu, jakie robi to liczne i imponujące zebranie postaci poważnych w swoim milczeniu, a wrażenie to podnosi jeszcze ciemny kolor metalu i kolosalność posągów. Przyłbice są ruchome u tych, którzy są uzbrojeni; miecze i łańcuchy rzeczywiste, a niektórych figur jest tak naturalna postawa i wyraz twarzy, że zdają się istotnie stać w milczeniu. Złudzenie powiększa się jeszcze tém, że posągi owe nie mają żadnych wywyżzeń; jest się niemi otoczonym, jest się jakby wśród gości kościelnych z innego świata i z innych wieków.

Nagrobek Maxymiliana spoczywa na 3 stopniach marmurowych; balustrada metalowa, która go otacza, jest ułożona z broni i trofeów. Na szczycie pomnika, który jest równie z marmuru, cesarz klęczy na poduszce. Posąg ten jest modelowany przez artystę Duca, Sycylianina, w r. 1582. Po rogach stoją gieniusze, przedstawiające cztery cnoty główne: sprawiedliwość, roztropność, męstwo i umiarkowanie, dłuta Ledenstreichera. Główną jednak wartość nadają temu pomnikowi boczne jego tablice, podzielone na pola równoległoboczne szesnastoma pilastrami z czarnego marmuru w dwa szeregi, dając w ten sposób 24 obrazów, z których każdy ma dwie stopy długości, a jedną i pół wysokości. Każda z tych płaskorzeźb wyobraża jeden z pamiętnych czynów Maxymiliana w różnych epokach jego życia, od jego ożenienia w r. 18 aż do obrony Werony przeciw Wenetom i Francuzom. Jedna z nich więcej nas zajęła: jest na niej widzenie się Maxymiliana z Władysławem królem polskim, w celu ułożenia małżeństwa wnuka tego pierwszego z córką ostatniego; nieszczęściem, ta jest w części uszkodzona, jak mówił dozorca przez Francuzów w czasie zajęcia Innsbrucka. Ostatnie cztery z tych płaskorzeźb są wykonane przez braci Abel z Kolonii, a pierwsze 20 przez Alexandra Colin z Malines. Tamte są znakomite, ale maleją bardzo obok ostatnich, które są arcydziełami i prawdziwą osobliwością w sztuce. Jestto robota miniaturowa w marmurze. Trudno wierzyć, aby życie jednego

człowieka mogło wystarczyć na wykonanie tak mozolnego dzieła. Najdrobniejszy szczegół jest z mikroskopiczną doskonałością wyrobiony, a obok tego całość odznacza się wyborynym układem, i każdy przedmiot najdokładniejszym rysunkiem. Typy różnych narodów po mistrzowsku są uchwycone, ubiory właściwe z prawdziwą mniszą dokładnością obrobione. W mnogości tak drobnych figur żadnego nie ma zamieszania: największa różnorodność fizyonomij, a w bitwach pełno życia i energii. Jeżeli stylem te płaskorzeźby nie wyrównują niektórym nowszym, a mianowicie starożytnym pod względem wykończenia, delikatności, miękkości, życia, rysunku i układu: mogą się mierzyć z najlepszymi tego rodzaju dziełami sztuki. Portret Colina, który umarł w r. 86 życia swego wisi obok nagrobka.

Przy bocznej ścianie kościoła jest grób i pomnik Hoffera; i ten, mówi pewien podróżny, skromny wieśniak, który poległ dla kraju, po śmierci stał się równym monarchom, których sprawy bronił. Pomnik ten wzniesiono w roku 1834, d. 5 maja. Hoffer stoi w narodowym stroju z chorągwią w ręku; postawa jego poważna i spokojna, ale twarzy zarzucają brak podobieństwa. Piękna płaskorzeźba wyobrażająca przysięgę Tyrolów na chorągwie, jest godna uwagi.

Naprzeciw posągu Hoffera wzniesiono świeżo piękny swoją prostotą pomnik z białego marmuru, dla poległych w obronie kraju Tyrolów. Obok niego wstępuje się po schodach z białego marmuru do kaplicy zwaney srebrną. Arcy-książę Ferdynand kazał zbudować ją w r. 1558 na grób dla siebie i Filipiny Welser. Pomnik grobowy jest również dziełem Colina, wykonany z białego i czarnego marmuru, i ozdobiony mozaiką bogatą i pełną gustu. Obok nagrobka znajduje się zbroja arcy-księcia, ustawiona w ten sposób, iż wyobraża rycerza w klęczącej postaci z spuszczoną przyłbicą; robi ona dziwne i przejmujące wrażenie.

Kościół ten mimo swój szczupłości tak zajmujący i pełen znakomitych dzieł sztuki, jest jeszcze tém pamiętny, iż w nim Krystyna szwedzka, jak sądzi wielu pisarzy, przeszła na łono kościoła katolickiego.

Utrzymują, że opactwo Wilten zbudowane zostało na miejscu, w którym znajdowała się kolonia weteranów rzymskich zwana Vildidena. Później z upadkiem państwa rzymskiego, kraj ten cały i okolica nawiedzane były i pustoszone z kolei przez różne hordy barbarzyńskie; jednakże jako położone na głównym



połączeniu Niemiec i Włoch, niebawem zaczęły się ożywiać i nabierać ważności. W XI wieku Innsbruck był już kwitnącym punktem tranzytowym, nawiedzanym często przez cesarzy w podróżyach ich do Włoch i Niemiec. Otton I, książę Meranu wzmocnił miasto wałami i basztami, i zbudował dla siebie rezydencją. Na Ottonie II wygasła linia Andechs, a dziedzictwo osierocone przeszło na Alberta z Tyrolu, jego teścia. Po różnych kolejach, przechodach i układach, Innsbruck należał do Mejnarða z Gorycyi (Goerz), który poślubił matkę nieszczęśliwego Konradyna. Następca jego Henryk z Gorycyi pojął w małżeństwo Adelaidę brunświcką. Ichto córką była owa głośna księżniczka, znana pod imieniem *Maultasche*, jak jedni chcą od jakiejś nieforemności twarzy, a podług innych, i co jest podobniejszém do prawdy, od jednego z zamków Tyrolu, który lubiła zamieszkiwać, i którego resztki dotąd to nazwisko dochowały. Podania o téj nowoczesnej Messalinie żyją dotąd w pamięci ludu: onato po śmierci w młodzieńczym wieku jedynego swego syna, ustanowiła spadkobiercami swemi Rudolfa, Alberta i Leopolda austriackich książąt, wnuków siostry jej ojca. Odtądto, i na mocy jej testamentu sporządzonego w Bolzano (Botzen) r. 1363, losy Tyrolu związały się nierozzerwanym węzłem z domem Austrii, a lud téj pięknej krainy wielokrotnie położył dowody swego przywiązania i wierności dla niego. Odtąd też książęta Bawaryi zaczęli z zazdrością patrzeć na to połączenie, i wtenczas po raz pierwszy pokusili się mocą oręża przywłaszczyć sobie Tyrol; ale mieszkańcy jego odparli tę napaść z mężstwem i niechęcią, która towarzyszyła wszystkim następnym wojnom przeciw Bawaryi aż do czasów ostatnich. Niechęć ta, jeżeli nie wzrosła, to z pewnością nie zmniejszyła się do dnia, w którym to piszemy. Dzisiejsi pisarze tyrolscy opisują ostatnie wojny z namiętnością przeciw Bawaryi, której tak świeże marzenia zjednoczenia, z wielkiem zgorszeniem patryotów niemieckich, wcale stłumić ani zmniejszyć nie były w stanie.

Kilkakrotnie Tyrol był teatrem krwawych wojen; mianowicie w r. 1544 wojska ligi Smalkaldzkiej pod wodzą Maurycego saskiego, zajęły dolinę Inn i Innsbruck, i zmusiły bawiącego tam wówczas Karola V do nagłej ucieczki. Po układzie passawskim, cesarz powrócił do Innsbrucka, i tamto, jak utrzymują, powziął on postanowienie, znużony próżnością świata i ciężarem władzy, złożyć koronę i zamknąć się w klasztorze. Na-

stepnie w czasie wojen o sukcesyą hiszpańską, Tyrol został napa-  
 dnięty przez Bawarów pod wodzą Maxymiliana Em. Bawars.,  
 który wziął Kufstein i Rattenberg, i odprawił wjazd do Innsbruc-  
 ka 26 czerwca 1703 r. Przy przejściu Brennera dla połącze-  
 nia się z ks. Vandôme, jego straż przednia była zniszczona  
 przez powstałych w massie chłopów. Zewsząd niepokojoy  
 i ściśnięty musiał opuścić kraj. Kiedy w r. 1796 Francuzi zbli-  
 żyli się z dwóch stron, Tyrolczycy wzięli się do broni i odparli  
 ich. W roku 1797 Joubert dotarł aż do Brennera, ale pokój  
 w Campo-Formio położył koniec wojnie. Jednakże w dwa lata  
 już generałowie Dussolles i Loison zajęli ten kraj; znowu chłopi  
 wzięli się do broni, ale wszędzie pokonani, tylko pokojowi lu-  
 newilskiemu byli winni swoje ocalenie. Pokoje i traktaty tak  
 mało miały wówczas trwałości, iż zaledwie zawieszeniami broni  
 nazwać je można; były raczej wytchnieniem po walce i przygo-  
 towaniem się do nowój. Jakoż już w końcu 1805 r. marszałek  
 Nej kazał śpiewać *Te Deum* na cześć poddania się Tyrolu.  
 Traktatem presburskim przeszedł w ręce Bawaryi; ale lud nie-  
 chętny zawsze temu państwu, niecierpliwie znosił jego pano-  
 wanie. To też zaledwie Austriacy pokazali się w Brixen 1809  
 roku, powstał lud w massie, obległ Innsbruck, a gubernator ba-  
 warski poległ usiłując otworzyć sobie odwrót. Książę gdański  
 i generał Wrede, wkrótce po krwawém zwycięztwie weszli znów  
 do Innsbrucka, ale to wcale nie położyło końca wojnie; owszem  
 rozszerzyła się po całym kraju. Andrzej Hoffer karczmarz z Sand  
 w Passejer, był dowódcą i duszą całego powstania. Pokonani  
 Bawarzy przymuszeni byli cofnąć się. Hoffer odprawił uroczysty  
 wjazd do Innsbrucka. Bawarzy jednak powrócili wzmocnieni;  
 taktyka i artylerya wzięły górę nad męztwem i poświęceniem  
 walecznego chłopstwa, a kraj podbity, dopiero w r. 1814 po-  
 wrócił pod władzę domu austriackiego, i odtąd nieprzerwanie  
 cieszy się spokojnością i dobrym bytem.

Nie chcieliśmy odwiedzać zamku Wejenburg, lubo posia-  
 dającego niektóre rzeźby Albrechta Dürera i obrazy Holbeina;  
 bo i czas był ciągle niepogodny, i oprócz tego do miejsca te-  
 go łączy się wspomnienie świeże, ale okropne, zarówno wstyd  
 przynoszące sercu ludzkiemu, jak wstręt budzące w podróży.  
 Każdy unika, a nie wyszukuje miejsc ohydzonych zbrodnią i okru-  
 cieństwem. Powiadają, że w roku 1799 urządzony był szpital



w Ambras, i że na wzgórzu zwaném Tummelplatz, a przyległém zamkowi Wejenburg, chowano umarłych; ale chciwość dozorców i liwerantów podsunęła im myśl piekielną, grzebania ze zmarłemi zarazem chorych i umierających. Obawa zarazy, która zaczynała grasować, połączyła się z chciwością i spuściła zasłonę na tę okropną zbrodnię. Jak podaje Golbery w swoim opisie Tyrolu, 8000 przeszło osób żywych i umarłych zostało w ten sposób pogrzebanych na tém smutnej pamięci wzgórzu, które dziś stało się miejscem pobożnych pielgrzymek i modlitwy dla ludu zbiegającego się tłumem, i znoszącego liczne vota, któremi drzewa są zawieszane.

Zamek Ambras łączy z sobą wspomnienia Filipiny Welser, której cnót pamięć tak żywo zapisała się w podaniach ludu, jak ohydne zbrodnie i sprośności słynnej *Maultasche*. Ferdynand poznał ją w Augsburgu w czasie sejmu w r. 1548 i poślubił potajemnie. W czasie okropnego trzęsienia ziemi i głodu, które nawiedziły Tyrol wkrótce po sobie, ona była opiekunką i matką wszystkich potrzebujących. Pokazują dotąd jęj wieżę ulubioną, pokój łaźnienny, gdzie, jak wieść niesie, poniosła śmierć przez otwarcie żył po 31-letniem małżeńskim pożyciu. Z jednego z okien tego zamku spadł w czasie snu Wallenstejn, dzieckiem jeszcze będąc, bez szwanku żadnego. Widok z zamku, a mianowicie z wieży jego na dolinę Innu, na Hall i Innsbruck ma być zarówno rozległy jak okazały.

Spieszyliśmy przebyć Brenner, póki pora spóźniona tój przeprawy trudniejszą nie robi. Wyruszyliśmy więc, i zaraz za miastem po szerokiej, wygodnej i wężykowatej drodze poczeliliśmy wstępować w góry. Jak wszędzie wstęp w łańcuch gór trzyma się brzegu rzeki lub ważniejszego strumienia, tak i tutaj wiliśmy się nieodstępnie ponad szumiącym i gwałtownym strumieniem Sill. Szumił on i pieniał się raz w mniejszej, drugi raz w większej głębokości, niekiedy gwałtowne przepaści tworząc około naszej drogi. Z wierzchu Schönbergu wdzięczny i rozległy otworzył się widok na wysokich pochyłościach gór rozłożoną dolinę Stubai, z jęj zielonemi łąkami i ciemnymi lasami. Uderzającą tworzyły one sprzeczność z lodowniami i śniegowemi wierzchołkami, tworzącemi ostatnie tło pejzażu. Jeszcze rozciąglejszy jest widok, kiedy się wstąpi na Matrej. Dalej droga zwięża się w dolinę i idzie brzegiem samym łożyska Sillu, malownicze jeszcze widoki przedstawiając około Stejnach. Dalej już

dziczeje, podnosi się, strumień się zmniejsza bliżej swego źródła, a lasy modrzewiów zacieniają przyległe góry. Cała okolica staje się więc bezludna i pusta: znać przecież jeszcze kulturę i ślady człowieka. Zjawia się nowa rassa bydła, siwa, dzikięj maści, odpowiedniej dzikości pejzażu, nierównie jednak późniejsza od tej, którąśmy zostawili w dolinach. Nieliczne stada kóz, osłów i bydła ożywiają gdzieś samotność gór i lasów. Tak wstępuję się na najwyższy punkt drogi, 4,379 stóp wyniosły, niedomyślając się nawet tego: że wszystkich bowiem stron wzniosłe i dzikie góry, śniegami pokryte, zakrywają widok. Droga obchodzi je, nieprzekraczając ich nigdzie, dlatego też przejście (tylko bieg wód i pochyłość drogi wskazuje). Widok nie jest nigdzie więcej ściśnięty i zamknięty jak na najwyższej wyniosłości drogi. Tu jest dom zajezdny i miejsce wypoczynku. Dążyć lał strumieniami, góry były zakryte chmurami, błoto okropne. Wkrótce jednak obłoki przerzedziły się i używaliśmy wspaniałego widoku tęczy, wiszącej pod naszymi stopami. Po krótkim spoczynku ruszyliśmy dalej.

W bliskości tych miejsc, w które wjechaliśmy, równie jak w okolicy Hall i Innsbrucku, niemniej w tych, które następnie mieliśmy przebyć, ciągle spotykaliśmy wspomnienia lub pomniki walk, stoczonych różnemi czasy przeciw Francuzom i Bawarom. Kilka godzin niżej, na południowym spadku drogi, wśród skalistych wąwozów pokazują miejsce, gdzie przednia straż generała Joubert w r. 1797 zmuszona była do odwrotu. Wystawiono tu kaplicę z obrazem Matki Boskiej, przedstawiającym ją jako przywódczynią Tyrolów, pod którym jest napis: *Bis hierher und nicht weiter kamen die feindlichen Reiter*. Dalej jeszcze, niżej Mittelwald jest miejsce, gdzie w r. 1809 marszałek Lefèvre, chcąc pomścić dągnię swoich poprzedników, z Francuzami i Sasami spuścił się z Brennenu w ciasne wąwozy. Napadnięty z dwóch stron od Kapucyna Haspinger, od Speckbachera i Hoffera, na głowę został porażony i zmuszony do odwrotu. Oprócz wspomnień przywiązanych do miejsc i pomników wyrażających się w widomie, wszędzie czy na stacyach pocztowych, czy w domach zajezdnych, spotyka się ryciny bitew i zwycięstw ważniejszych narodowych. Portrety Hoffera są niemal w każdym pokoju, do którego się wnijdzie. Mocniej jeszcze wyryte są wspomnienia tych czasów w umysłach i pamięci ludu. Dumna narodowa i duch wojenny ciągle podniecają



się tém uprzytomnieniem zapasów niezawsze szczęśliwych, ale zawsze zaszczytnych w obronie kraju i ulubionej dynastji. A lubo nienawiść do nieprzyjaciół, która z temi wspomnieniami się łączy i z nich wyrasta, nie jest właściwie pafryotyzmem dodatnim, bo cóż dodatniego może wypłynąć z nienawiści: jest ona przecież zasłoną moralną dla Tyrolu od najść i wpływów obcych, a mianowicie rękomią dla domu austryackiego wierności tego prostego, ale walecznego ludu.

Wśród takich wrażeń i wspomnień spuszczałyśmy się ciągle na dół po błotnistej i podziurawionej długimi deszczami drodze. Jak w górę rzeczka Sill, tak na dół towarzyszyła nam ciągle z szumem i hukiem rzeka Eisach, przybierając siły i szerokości w miarę jak oddalaliśmy się od jej źródła. Ciągle mijały nas ogromne wozy ładowne, ciągnione z trudnością ośmiu, a niekiedy dziesięcią parami wołów lub koni, prowadząc różne płody Południa. Pomiędzy niemi spotykać już było można dwukolne, czerwono malowane, ciągnione mułami pojedynczo zaprzężonemi, jeden za drugim, a stojnemi w dzwonki, pióra i sukna czerwone. Jak zaprzęż i odmiennosc wozu, tak fizjonomie śniade, oczy żywe i ubiór, wskazywały włoskich furmanów. Od pierwszego spotkania malowała się zaraz i żywo przedstawiała oczom ta do najdrobniejszych szczegółów rozciągająca się odrębność dwóch ras sąsiednich, tak związanych stosunkami, a tak przecież odmiennych. Droga spadała w coraz głębsze wąwozy; ogromne łomy różnokolorowych skał, nagie lub pokryte wegetacją i lasami, piętrzyły się z stron obudwóch, rozsuwając się lub spłaszczając niekiedy, aby dać miejsce łące, lub coraz częstszemu domowi lub wiosce całej. Raz-po-raz strumień wody rzucił się z wysokości, roztrzając się po kamieniach na drogę i zalewał ją szeroko. Gdzieindziej znów urwiska skał wisały nad głowami i groziły zniszczeniem. Wśród niestalej pogody i nieba pokrytego chmurami, które przesuwały się po górach, olbrzymie ich szczyty wyglądały nieraz nad warstwą obłoków i zdawały się ulatać lub pływać w powietrzu. Poza największym ścśnieniem wąwozu, na zbiegu wielkich dróg: włoskiej, tyrolskiej i karyntskiej, na małym wzniesieniu panującym nad temi drogami, a wokół zamkniętym ogromnemi i niedostępnemi górami i skałami, odkryła się twierdza Franzesfest. Zbudowana ona jest na sposób tych, które otaczają Linz, i jest złożona z pojedynczych, półokrągłych, w większej części

w ziemię skrytych baszt, podobno połączonych z sobą krytemi chodnikami. Od tego punktu już roślinność nie tylko staje się bogatszą, ale przybiera jakąś odmienną południową postać. Dolina się rozszerza, słodki kasztan i orzech włoski okazałej wielkości ocieniają wzgórza i osłaniają drogi olbrzymie, a bluszcze niewidziane dotąd opasują malowniczo całe łomy skał; słońce już jest cieplejsze i powiew wiatru łagodniejszy. Około Bryxen widok jeszcze jest szerszy, dolina łamie się w liczne spadzistości i pochyłości, pokryte winnicami; ale większa część gron wisiała zeschła lub zgniła, liście nawet były pożółkłe i spłowiałe, trawione zarazą podobną do téj, która u nas grassowała w kartoflach.

Miasto samo Bryxen, niegdyś stolica arcybiskupstwa udzielnego (po włosku *Brissanone*), w przyjemnym położeniu, otoczone winnicami, pięknymi drzewami i żywą roślinnością, jest małe, bez życia i ruchu, i niczem nie zatrzymuje oka podróżnego. Tém przyjemniej uderza niedaleko za niem następujące Klausen, w ścisnięciu wąwozu położone, z jednéj ulicy tylko składające się, ale nader malowniczo zbudowane i otoczone. Dawniej miejsce to (po włosku *Chiusa di Bressanone*) uchodziło za bardzo silną pozycyą wojskową. Na wysokiéj, 700 stóp przylegléj górze, wznosi się klasztor zakonnic na szczycie stromych skał, z których, jak wieść niesie, jedna z zakonnic rzucić się miała w przepaść w r. 1809, chroniąc się przed pogonią Francuzów; krzyż wysoki oznacza to miejsce. Niżej ponad miastem wznosi się i panuje nad niem średniowieczna baszta. Na przeciwlegléj stronie jest piękny zamek *Griesbruch*, a dalej nad wnijsciem do wspaniałéj doliny *Grödner* panuje z wysokości dobrze utrzymany zamek *Trostburg*. Za *Klausen* droga staje się niebezpieczną dla wiszących skał, które niekiedy odmoczone deszczami zsuwają się i zasypują droge; ale dalej ku *Botzen* znowu się dolina rozszerza.

Po pochyłych bocznych wyniosłościach widać gęsto rozrzucone i zielonością otoczone letnie mieszkania obywateli botzeńskich, a przed nami rozwijać się powoli zaczęła żyzna dolina, wśród której błyszczało *Botzen* z licznymi wieżami kościołów. W amfitear otoczyły tę dolinę odległe góry, ginące w obłokach i pokryte śniegami, a nad niemi jeszcze wznosiły się dwa olbrzymie zęby dolomitowe z pośrodku łańcucha Alp. Poza nami błyszczały wieczne śniegi *Brenneru*. Wszystko to oświecone zachodzącém słońcem, nieporównany przedstawiało krajobraz.



Botzen, włoskie Bolzano jest nie najludniejszym, ale najhandlowniejszym miastem Tyrolu; chociaż handel jego dzisiejszy zaledwie jest cieniem tego, czém był za czasów kwitnienia Rzplitej weneckiej. Przy wejściu w główną drogę alpejską, na zejściu się zaalpejskich dolin, jest nietylko składem głównym płodów południowego Tyrolu, ale ważnym punktem pośrednim pomiędzy Włochami a północą. Samo położone wpośród żyznej równiny i otoczone wzgórzami obfitującemi w płody południa, własną produkcją już czynny prowadzi handel. Jakoż targ miasta tego odrębną już przedstawia fizyonomią: zapełniają go owoce i jarzyny, które dotąd spotykało się tylko jako rzadkości, lub jako wysiłek przemysłu ogrodniczego. Z poza murów, któremi są opasane winnice i ogrody, wyglądają drzewa figowe, brzoskwińowe, migdałowe i cytrynowe, rosnące pod gołym niebem w porośrodku winnic. Lubo ludność jest niemiecka, mowę jednak włoską często się spotyka, a w ogólnej fizyonomii miasta przebija się już coś włoskiego. Ulice wąskie, domy wysokie i czarne; rzemieślnicy pracujący w oknach, sieniach, nieledwie na ulicy, i mniejsza pilność w porządku: przypominają już miasta dalsze półwyspu, chociaż ruchu i skrętności w niem więcej, jak zwykle w miastach włoskich tego rzędu. Tutaj już zaczynają się owe kolonie chorych, przybywających na zimę z północy dla łagodności klimatu; ale miasto to ciemne i nadzwyczaj smutne, niewiele przyjemności może obiecywać na dłuższy, mianowicie zimowy pobyt. Nie ma w niem ani wygod, ani rozrywek większych miast. Więcej nierównie jak samo miasto warte są jego okolice, które są nader ujmujące i malownicze. Główny łańcuch Alp z olbrzymiemi wyniosłościami od strony wschodniej jest prawdziwie majestatyczny. Dolina na której leży miasto jest rozległa, zielona, żyzna, i dwie rzeki wbiegają na nią do koryta Adygi, która szeroką wśród gór drogą, otwierającą piękny widok ku Włochom, płynie do równin Lombardyi. Ogromne ruiny zamków na różno-kształtnych górach wznoszą się od północy i zachodu: to Hoch-Eppan na płaskich pochyłościach gór, to Sigmundskrone, to Greiffenstein na ostrym szczyście skały, do której znikąd nie ma przystępu. Szersze lub węższe szyje różnych dolin otwierają się w licznych kierunkach: na północ szyja Brenneru, niedaleko od niej dolina Meranu, dalej szyja doliny Eppanu, szeroka równina Adygi i najobszerniejszy okrąg równiny ku góróm wschodnim.

Ztąd można robić bardzo zajmujące wycieczki w różne strony, w góry i doliny nad brzegami rzek; bo jakby w ognisku jakim, i rzeki i drogi tu się zbiegają, góry schylają, ułatwiając wstęp na swoje grzbiety. Ztąd można zwiedzić te wysokie nappowietrzne płaszczyzny, pełne powabu i piękności, które są jakby innym krajem, wiszącym pomiędzy ziemią a niebem, i którego istnienia z dolin ani domyślać się można. Ztąd można ścieżkami trudnemi po szczytach wysokich, ale pełnych widoków wspaniałych i nowych, dostać się do jeziora Garda. Ztąd jeszcze można zwiedzić szczyt Eppanu i dolinę Groeden, zajmującą pod trojakim względem: jużto jako piękne dzieło natury, jużto jako ciekawa zagadka dla badaczy ras i pochodzenia języków, jużto wreszcie jako siedlisko owęj pięknej gałęzi przemysłu czy sztuki, nie wiem jak to nazwać, owych cacek drewnianych, tak delikatnych, wykończonych, które po całym świecie w handlu się rozchodzą. Początek tych wyrobów odnoszą niektórzy do początku przeszłego wieku i przypisują wyobrażeniom powziętym o sztuce w Wenecyi. Przecież Tyrol miał już znakomitych artystów w oddalonych wiekach, którzy mogli ten kunszt zaszczerpić w kraju, a mianowicie znanym jest jako rzeźbiarz w drzewie i malarz Pacher, którego wybornęj roboty oltarz oglądaliśmy w Wolfgangu. Obecnie rząd wielce się opiekuje ową gałęzią przemysłu, i corocznie kilku młodych ludzi okazujących większe zdolności, bierze na naukę rysunku do Wiednia. Ale Tyrol jest krajem dawnego zwyczaju i starych nawyknień: trudno cokolwiek odmienić nawet na lepsze; z żelaznym uporem trzyma się najśmieszniejszych nawet zwyczajów, dlatego tylko, że pokryte powagą czasu, i, jak utrzymuje pewien pisarz, śmieje się z nauk wiedeńskich, robiąc po dawnemu i po swojemu swoje cacka i fraszki drewniane, które pomimo tego są zręczne, delikatne, a niekiedy nader kształtne. Mowa jakiej tu używają nosi nazwę ladińskiej, i ma wiele wyrazów i zwrotów właściwych różnym językom romańskim; pomimo tego wielu poważnych uczonych uważają te kolonie już za resztki plemion etruskich, albo za ich kolebkę.

Zwracając się od Botzen w stronę północno-zachodnią i postępując w górę biegu Adygi, wstępuje się do doliny Meranu. Jój kształt nie różni się i nie podnosi wyżej nad inne okolice tych stron Tyrolu, ale jój położenie jest szczęśliwe. Wychylona ku południowi, a z trzech stron osłonięta górami, ma kli-



mat stosunkowo łagodniejszy, mniej wiatrów i bujniejszą wegetacją, zbliżającą się już mocno do włoskiej. Dzika figa szerokolistna miesza się wśród drzew leśnych, lub pojedynczo krzewi się w rozpadlinach skał. Co krok spotyka się nowe rodzaje drzew, roślin, kwiatów, nieznanne okolicom na drugiej stronie Alp położonym. Wszystkie wzgórza okryte są winogradem rozpiętym w szpalery, które osłaniają uprawną rolę zasianą zbożem, a wino tu rosnące uchodzi za najlepsze w Tyrolu. Szeroki kobierzec łąk okrywa całą nizinę Adygi, bardzo jeszcze skromną tutaj w swoich rozmiarach. Wioska następuje za wioską, kościół za kościołem; wszędzie gdzie okiem rzucić wieszają się po górach pojedyncze domy górali, a wszystkie wydatniejsze wysokości ozdobione wspaniałemi ruinami zamków, lub zamkami w całości utrzymanemi. Nigdzie ich nie zgromadziło się tyle, jak tutaj: nawet brzegi Renu nie mogą w tym względzie równać się z doliną Meranu. Każdy odmienny wiekiem, postacią lub położeniem: ten oczerniały i zgruchotany burzami czasu i wiekiem, ten obok starości zachował jeszcze czerstwość i całość, z tamtego już szczątki tylko, baszta i kilka strzelnic, ten cały świeży i imponujący ogromem rozmiarów; jeden w obłokach, drugi wśród lasów, ten zawieszony na urwisku, ten rozłożony wśród wspaniałej zieloności i ocieniony, a wszystkie razem samą liczbą i różnaitością mocno przyczyniają się do ozdobienia tej pięknej okolicy. Wśród świeżych i zielonych winnic, wśród lasów kasztanów i orzechów włoskich, bardzo do twarzy tym wspaniałym starcom i świadkom tyku wieków. Liczne stada siwego bydła okrywają łąki. Z każdym zakrętem drogi widok się odmienia w tej bogatej w piękności i różnaitości okolicy. Wsi przecież i domy wieśniacze nie są już tak schludne i malownicze jak w północnym Tyrolu; styl domów odmienny i więcej zbliżony do włoskiego, ale mniej kształtny i lekkie. Piękność natury i wegetacji wynagradza sownie za to. Dolina cała zamyka się śpiczastemi wierchołkami, u stóp których leży Meran. Koryto Adygi skręca się na lewo, tworząc dolinę noszącą nazwę Wintsch-gau, a mały przesmyk obok miasta nad brzegiem hucznego strumienia, płynącego z północy, daje ciasne przejście do doliny Passeir.

Temuto położeniu winno Meran swój wyjątkowy klimat i napływ cudzoziemców w niektórych porach roku. Miasteczko samo małe, ściśnięte pomiędzy górą a rzeką, nieludne i nie-

powabne. Uliczki ma ciasne, mieszkań mało wygodnych, jedno tylko i to nader mizerne miejsce przechadzki w bliskości. Zresztą żadnych zabaw wewnętrznych dla cudzoziemców, co pobyt zimowy robi prawie niepodobnym. Pomimo tego niektóre rodziny odważają się tutaj zimować. Dodać do tego potrzeba, że pomimo otoczenia górami, wiatry północne przedzierają się wązkim przesmykiem z doliny Passair i dmą niekiedy z niesłychaną gwałtownością, a dolina Wintsch-gau otwiera także niekiedy przystęp wiatrom zachodnim. Dni też wilgotnych i deszczowych, jak się o tém przekonaliśmy, więcej jest jak obliczenia meteorologiczne wykazują. Okolice jednakże są bardzo piękne i zajmujące, wycieczek naokoło w góry bez liku, czas więc użycia serwatek na wiosnę można tu przyjemnie przepędzić. Więcej przecież gości nawiedza Meran w jesieni dla kuracji winogronowej, mianowicie we wrześniu i w pierwszej połowie października. Napływ w téj porze zastaliśmy bardzo znaczny, mieszkania dosyć trudne i niewygodne, bo ociężał tutaj mieszkaniec pozbawiony jest ducha przedsiębiorczego, z okoliczności korzystać nie umie, a wykwinniejszych potrzeb cywilizowanego świata nie pojmuje. Winogrona chociaż dotknięte zarazą, dochodziły zadziwiającej wielkości, ale wodniste i niekiedy dosyć kwaskowate, bardzo były nietrwałe. Téjto wodnistości, równie jak niedbałemu i nieumiejętnemu obchodzeniu się z winogronami przypisać potrzeba pośledniość win tyrolskich. Jeżeli jednak praca około wytłaczania jest nieumiejętna, to za to staranie około winnic jest wzorowe; są one skrapiane, mierzwione, pilnie uprawiane, wybornie rozpinane i obcinane, i ilością wynagradzają jakość. Czas winobrania jest tutaj najprzyjemniejszy, klimat w téj porze jest najumiarkowańszy i okolica piękna w całym swym blasku. W istocie trudno mieć wyobrażenie o bogactwie i różnitości widoków, jakie się przedstawiają naokoło w którąkolwiek zapuścić się stronę. Miłe są przechadzki po łąkach Adygi, lub po winnicach rozrzuconych wokoło po przyległych wzgórzach; ale nierównie przyjemniejsze pośród wiosek sterczących w pośrodku ogrodów, i dalej do zamków wiszących wyżej i niżej, dalej i bliżej, a tych jest bez liczby. Najpiękniejsze z nich są: Tyrol, który całej prowincyi dał nazwisko; Schonau, będący dawniej własnością hrab. Lichtenstejn, a dziś arcyksięcia Jana; Loewenberg wybornie utrzymany i w pyszném położeniu, będący dziś w rękę



jakiegoś spekulanta; Traxburg własność damy polskiej, która w nim rezyduje; wreszcie Zenoberg niegdyś rezydencya Henryka, który przybierał tytuł króla czeskiego, a ojca słynnej Maultasche o której poprzednio mówiliśmy. Niektóre z nich są bardzo wysoko położone, ale drogi do nich lub raczej ścieżki tym piękniejsze, tym rozmaitsze, tym bogatsze w widoki. Szkoda przecież, że ścieżki te są tylko dla mułów i osłów; wstęp na nie utrudzający i nie każdy może tych uroczych, ale pracowitych przechadzek używać. Wszystkie zaś widoki z równiny i niżej położonych wzgórz ani się równać mogą z temi napowietrznemi wędrownkami.

W późniejszej jesieni, kiedy zieloność zniknie i liść z drzew opadnie, widoki gór tracą cały swój wdzięk i urok. Zima jednak nastaje tu powoli: naprzód wierzchołki gór pokrywają się śniegiem, który zwolna spuszcza się coraz niżej; w dolinie tymczasem jeszcze zielono, róże kwitną w ogrodach, stada pasą się po łąkach. Wreszcie i dolina czernieje, więdnie, zasepia się, lubo właściwej zimowej barwy nigdy wśród zimy nawet nie przybiera. W dolinie zima prawie włoska; w górze śniegi i lody jak u nas. Tak samo jak klimat, tak i flora i fauna jest różna w okolicach dolnych i górnych. W górze zajace i kuropatwy białe jak w Syberyi; w dolinie ptastwo błotne przebywa w końcu listopada jak na błotach pontyńskich. Jeżeli klimat w górze jest bardzo ostry w czasie zimy, za to w lecie powietrze tam jest nierównie lżejsze, czystsze i zdrowsze jak w dolinach. W góry też posuwają się wszyscy przyjeżdżający na letni pobyt, a sam głąb doliny zamieszkują ci, którzy osiedlają się na zimę.

Cała okolica Meranu jest nader zamieszkała i ludna; własność podzielona na posiadłości chłopskie prawie wyłącznie: chłopcy są także właścicielami większej części zamków, i albo mieszkają w nich, albo je na gospodarski obrócili użytek. Wszędzie pełno wiosek i mieszkań pojedynczych, wszędzie widać dostatek i dobry byt. Nie same jednak chaty i zamki zapęniają dolinę i wzgórze: mnóstwo obok nich i wśród nich kościołów i klasztorów, bardzo licznie obsadzonych zakonnikami obojga płci. Wszędzie wyglądają śpiczaste wieże, a dźwięk dzwonów rozlega się zewsząd w górze i na dole, zdała i zblizka. W dni mianowicie świąteczne, dźwięk ten jest tak ciągły, silny i tak powszechny, że wszystko zagłusza, a powietrze i ziemia zdają się drżyć, zewsząd nim poruszone. Na wszystkich załam-

kach drogi spotyka się kapliczki, figury, krzyże, a na wszystkich ścieżkach księży lub zakonników, używających przechadzki lub spokojnie zatopionych w swoim brewiarzu. Wszędzie otacza ich wielkie poszanowanie, i widać posiadają wpływ niemały nad tym ludem prostym, ale nadzwyczaj pobożnym. Trudno gdzie zobaczyć kościołów tak pełnych, kazań tak uczęszczanych jak tutaj. Processy publiczne częste i zawsze niezmiernie liczne, przypominają porządkiem i skrucą biorących w nich udział, owe odległe czasy głębokiej pobożności, której ślady zdawały mi się już zagubione. Kiedy się widzi kilka tysięcy ludzi idących z kapłanem na czele, w największym porządku w parach, z głową schyloną, z wyrazem twarzy pełnym pokory i zebrania ducha, i głosem poważnym wznoszących pieśń pobożną: zdaje się, że się jest w innych czasach, w innych wiekach, że sen albo wyobraźnia poety o kilkaset lat w tył nas przeniosła, tak ten widok jest nowy i uderzający w czasach dzisiejszych. Całe też wychowanie jest w ręku duchowieństwa, i za moralność swoich duchownych owieczek nie ma się ono potrzeby wstydić. Lud ten jest rzadkiej uoziwości mimo grubości i nieokrzesania: praeowity, prosty w sposobie życia, skromny w swoich potrzebach, miłujący stan, zwyczaje i obyczaje aż nadto może, aż do przesądu niekiedy. Ma on coś właściwego, co go odróżnia od mieszkańców reszty Tyrolu, z przeciwniej strony Alp położonego. Poważny, surowy, milczący, tańca i muzyki nie lubi. Można nieraz spotkać przed kościołem tamtejszych wsi i miasteczek gromadki chłopów, stojących w milczeniu przez kilka godzin. Nieruchomi jak posągi stoją obok siebie: jeden patrzy w ziemię, drugi wprost przed siebie, ten w niebo, i dymią swoje małe fajeczki. Jeżeli który z towarzystwa po długim milczeniu rzuci kilka wyrazów: najczęściej kiwnięcie głowy jest jedyną odpowiedzią towarzyszków. Niekiedy który skrzese ognia, naciśnie chupkę, wkłada ręce za pas i znowu wraca do dawniej posągowej postawy i milczenia. I tak kwadransy, godziny upływają.— „Patrz, jak różne sposoby mają ludzie bawienia się,” rzekł do mnie jeden z moich znajomych, wskazując mi taką milczącą gromadkę. Ubiór odrębny i oryginalny, chociaż wcale niemalowniozy, jest zawsze gruby i pospolity. Nikt nie odważyłby się żadnej zmiany w nim zaprowadzić, równie jak w jakim bądź innym zwyczaju. Wszyscy wieśniacy umieją czytać i chętnie po kawiar-



niach zbierają się dla czytania gazet. Ale ulubioną ich rozrywką i można powiedzieć jedyną, jest strzelanie do celu. Po wszystkich miastach są strzelnice; w każdy dzień są amatorowie, a w niektóre dni zbierają się ich tłumy, mianowicie kiedy są premia i zakłady. Wtenczas tylko ich nieruchome atletyczne postaci ożywiają się cokolwiek, i znak zajęcia objawia się na ich miedzianém i surowém obliczu. Jest to jedyna zabawa, której oddają się prawie z namiętnością. Są téż wybornymi strzelcami i wyborną broń posiadają. Co rok zbierają się lepsi strzelcy w jednym z miast głównych, i rozgrywają się o nagrody, które niekiedy są bardzo wysokie; miasta i doliny współubiegają się o zwycięstwo, a wygrywający jest przyjmowany z tryumfem. Tak więc spółzawodnictwo, interes i zamiłowanie wrodzone łączą się, aby téj rozrywce, a raczój ćwiczeniu wojennemu nadać charakter ogólny i narodowy.

Te cechy charakteru właściwe są nietylko dolinie Meranu, ale i dolinie Wintsch-gau, Passair i innym na południe Alp położonym, niemiecką ludnością osiadłym. Nic dziwnego przeto, że z pośrodku tego ludu tak odrębnego i tak właściwie odcechowanego, wyszedł bohater ludowy Tyrolu. Łączył on téż w sobie i wyobrażał najwydatniejsze rysy charakteru miejscowego. Andrzej Hoffer urodził się i był karczmarzem w dolinie Passair, jednej z najskrytszych zakątków Tyrolu, która jedną tylko ścieżką dostępną mułom, łączy się z doliną Meranu, a trudnemi i niebezpiecznemi przejściami przez przepaści i głeczery z innymi dolinami. Ubogi, bo jego przychody oberżowe nie wystarczały na utrzymanie licznej familii, trudnił się przeprowadzaniem na mułach osób i towarów przez góry. Znany z uczciwości i prawości charakteru, równie jak ze swój odwagi i ducha przedsiębiorczego, powierzono mu tajemnie przygotowanie umysłów do powstania. Miał wtenczas lat 40. Udał się skrycie do Wiednia, powrócił z instrukcyami, i pod jego dachem zebrała się rada wojenna. Natchnieni przez niego wieśniacy wzięli się do broni, a odniesione pewne korzyści podniosły ich zapał i odwagę. Hoffer po wzięciu Innsbrucka zamieszkał zamek cesarski: bił pieniądze, wykonywał prawa monarsze, ale nigdy nie przybierał innego tytułu jak oberżysty z Sand. Zawsze prosty w życiu, skromny w swoich potrzebach, brzydził się wszelkim zbytkiem i nie wychodził ze swój doliwieśniaczój. Jego pisma i akta urzędowe starannie zachowywane

dotąd, noszą cechę jego prostoty, a zarazem szlachetności duszy. Surowość jego nawet pod względem obyczajów tak daleko zachodziła, iż sądził się być powołanym na ich reformatora. Ściagał zbytek nawet w płci pięknej. Na piersiach nosił medal z wizerunkiem Matki Boskiej, i często widziano go modlącego się z wielką skrucą.

Drugie powstanie, jak powiada jeden z wiarogodnych pisarzy, było mu prawie nakazane. Po licznych niepowodzeniach, długo wierzyć nie chciał w zawarty już pokój, i trzymał się w Sterzing, wszystkie doniesienia uważając za podejszcia i zmyślenia. Nareszcie zmuszony uciekać ukrył się w górach, gdzie od swoich własnych został zdradzony i wydany. Odprowadzono go do Mantui. Familią swoją, która się z nim złączyła odesłał do domu; zatrzymał tylko sekretarza swego przy sobie. Ten w pamiętniku swoim podaje, iż ofiarowano mu przebaczenie, jeżeliby wszedł w służbę francuzką, co Hoffer odrzucił. W dniu 21 lutego został rozstrzelany, a dnia następnego nadęszło ułaskawienie. Na chwilę nie stracił zimnej krwi; na kilka godzin przed śmiercią napisał list zachowany dotąd w Ferdynandum, polecając jednemu ze swych przyjaciół żonę i dzieci. Jeżeli odwaga, talenta wojskowe, surowość obyczajów i pobożność tego człowieka wyszłego z ludu, wzbudzają podziwienie i szacunek, trzeba przyznać, iż śmierć jego otoczyła pamięć i imię Hoffera nierównie jaśniejszą aureolą sławy, i zamieniła go w bohatera narodowego. Niepotrzebna i bez pożytku zemsta, stała się przysługą dla sławy jego. Tenże sam waleczny karczmarz, gdyby jako major austryacki skończył żywot spokojnie na wzór jego towarzysza broni Speckbachera, byłby podobnie jak tamten zachował znaczne imię w pamięci ludu, ale nie stał się jego bohaterem ubóstwionym, i hasłem wiecznym jeżeli nie zemsty, to nienawiści.

Lud tych okolic, które były ojczyzną Hoffera, więcej jak inne strony Tyrolu okazuje zamiłowania do strzelby i prochu; ale pomimo tego jest to lud rolniczy i starannie hodujący wino i owoce, które obok wychowu bydła są głównym jego bogactwem. I tu jak w Salcburgskim i w północnym Tyrolu, posiadłości chłopskie średniej wielkości nie tylko przeważają, ale wyłącznie zaległy ziemię od spodu równin aż do szczytu gór. Większych posiadłości nie ma prawie wcale. Zamki są zupełnie wydziedziczone i odosobnione, i jeżeli posiadają jakie majątko-



ści i winnice, żaden stosunek feodalny nie łączy ich z przyległą ludnością. Lasy wszystkie należą do chłopów; ztąd też narzekanie na drogość i brak drzewa powszechne, tak, że rząd musiał ogłoszeniem prawa leśnego zagrozić zupełnemu w bliższej przyszłości niedostatkowi drzewa. Wieśniak jest panem niezależnym na swój siedzibie; umiejętnie i rządnie zdaje się nią kierować, bo wszędzie widać zamożność i porządek. Ale jaką drogą przyszedł do tego położenia? gdzie się podziały dawne stosunki podległości? gdzie znikli owi potężni baronowie, którzy te liczne i silne zamki pobudowali i zamieszkiwali? gdzie się podziały ich bogactwa i posiadłości? w co się obróciły ich prawa i przywileje?... Gdzieindziej nie przyjdzie nawet na myśl pytać się o to. Gruzy zamków nadreńskich naprzykład, wskazują tak wielką zgrzybiałość, odnoszą myśl do tak odległych i mgłą czasu zakrytych wieków, że wszelka ciekawość jeżeli nie niknie, to przynajmniej tępieje. Tutaj co innego: wiele zamków jest dotąd mieszkalnych, dość świeżych, a przecież stoją puste, lub przeszły w ręce wieśniaków albo spekulantów. Gdzież są rewolucye, które te zmiany sprowadziły? gdzie jest owa wydziedziczona i upadła arystokracja? Ani ludzie, ani książki które mieć w ręku mogłem, jasno mi o tém oświecić nie zdołały. Nierazto napróżno przychodzi szukać w historii odpowiedzi na podobne pytania. Przemiany, mianowicie społeczne i historia wewnętrzna, jako mniej uderzające oko, mniej pochlebiające dumie narodowej, płynące i rozwijające się wolno i nieznacznie, dość często dotąd uchodziły jej uwagi.

Niektóre z zamków należały do rodzin panujących i przez nich samych zostały opuszczone i zaniebane. Zdaje się, że inne w ręku baronów i rycerzy będące, upadły w owych jeszcze czasach, kiedy władza monarsza gruntując się silniej, oczyszczała kraj z siedlisk łupieztwa i nadużyć, a zbrojnych i niekarnych właścicieli zamków zmuszała siłą oręża do poddania się prawom ogólnym. Tak zamek Greifenstein w bliskości Bolzano, po dwuletnim oblężeniu zdobyty został przez władców Tyrolu. Wojna także chłopska, która się rozlała po Niemczech wraz z reformacją, rozciągnęła swoje spustoszenie i na Tyrol. Nienawiść ludności tak była wówczas wielką do duchowieństwa i panów, że Ferdynand rządzący tamże, nie odważył się powołać ich na sejm. Powstawszy pod wodzą Gajs-

majera zażądali zniesienia wszelkich służb, opłat i powinności dominialnych, co zezwolonem zostało na lat 25. Lubo w r. 1532 zwolnienia te upadły i cofnięte zostały: skutki ich poprzednie pozostać musiały w znacznej części. Czas, zmiany powolne stosunków, wpływy nowszych prawodawstw, działały ciągle choć powolnie; wreszcie rok 1848 zerwał do reszty wszystkie i ostatnie już nie feudalne. Wieśniacy tyrolscy nienawistni wszelkiej odmianie i nowości, tę jedną chwycili skwapliwie i gorliwie, i wszelkie powinności i opłaty dla panów i zamków upadły. Niektóre bogate rodziny posiadają przecież jeszcze majątki w Tyrolu i administrują je swoim kosztem. Po miasteczkach rozpierzchły się resztki zubożałej arystokracji, przypatrując się gruzom zamków, które zamieszkiwali ich przodkowie. Kilka takich niedobitków spotkaliśmy pogrążonych w ubóstwie, a co gorzej w pijaństwie, jakby chcieli utwierdzić słowa Tocquevilla, który wyrzekł: iż arystokracja upadła, zacierając często swojemi występkami i znikczemnieniem blask wszystkich dawnych zasług i przymiotów.

Niektórzy podróżni opisujący Tyrol sądzą, że własność jest w nim nazbyt rozdzielona, i że rolnik tamtejszy pomimo całej niezawisłości jest biedniejszy jak robotnik najemny wielu innych okolic. Mieliśmy sposobność wielkokrotnie i naocznie przekonać się, iż tak nie jest. Pola ich są dość obszerne, równie jak łąki i pastwiska. Posiadają, jak powiedzieliśmy, lasy, a w niektórych okolicach znaczne winnice, co im pozwala ciągnąć rozmaite rodzaje korzyści. Widać też zamożność w ich mieszkaniach, w ich ubraniu i w ich sposobie życia. Jeden z podróżnych angielskich p. Inglis opisuje, iż będąc zapędzony burzą do domu górala tyrolskiego podzielał z rodziną cały obiad na jaki natrafił. Rolnik u którego znalazł gościnność, posiadał na własność roli uprawnej cztery akry; jednakże obiad przygotowany na 6 osób składał się z zupy, z mleka i kukurydzy, z dużej sztuki wieprzowiny i sałaty. Oprócz tego dane było wino botzeńskie, chleb z pszenicy i kukurydzy. Powszechniejsze są przecież i obszerniejsze własności. Nie używają wprawdzie Tyrolczycy tego dostatku i wygod, jak rolnicy szwajcarscy, gdzie własność jest nierównie więcej rozdzielona; ale różnica ta z innych musi pochodzić przyczyn. Pomiedzy innemi ważną rolę wyższe ukształcenie wieśniaków szwajcarskich i ich skłonność i zdolność do przemysłu i rzemiosł.



Dzisiaj więc nie spotyka się w Tyrolu wielkich dostatków i świetności, ani wielkiego ubóstwa. Mierność dostatnia jest prawie powszechna. Szkół jest dosyć, mających czytać i pisać bardzo wiele, rzemiosła i przemysł przecie nisko stoją. O rozpowszechnieniu sztuki i umiejętności w wyższém pojęciu, jakie się do tych wyrazów przywiązuje, nie może nawet być mowy. Jednakże ślady naturalnych usposobień, zdolności i smaku ludu, zdają się wszędzie przebiegać. Widać je w zręczném użyciu wód, ich biegu i siły, w kształcie, zręczności i sile budowli wiejskich. Widać je w owych delikatnych i kunsztownych wyrobach drewnianych. Wyższego rzędu nawet artystów wydał Tyrol: wspomnieliśmy już o Pacherze; słynny w nowszych czasach rzeźbiarz Szwanthaler pochodzi z familii tyrolskiej. W zamku Hauenstejn mieszkał niegdyś Oswald de Wolkenstejn, trubadur i wojownik, który zwiedził ziemię świętą, Afrykę północną i większą część Europy, wytrzymał oblężenie w swoim zamku od Fryderyka austriackiego i należał do walki z Hussytami. Po nim zostało dwa tomy poezyi. Wieśniak z okolic Innsbrucka, wychowaniec tamtejszych Jezuitów, pierwszy zrobił kartę Tyrolu północnego, wynalazł niektóre narzędzia, zbudował glob ziemski i niebieski. Wielu nowoczesnych artystów tyrolskich, zdarzyło mi się spotkać nagrobki i dzieła we Włoszech i Bawaryi. Historia także ostatnich czasów z Bawarami i Francuzami, starannie jest obrobiona przez miejscowych pisarzy.

Obok tego wszystkiego kraj cały, ludność cała, ludność miast nawet powleczone jest jakąś prostotą wieśniaczą. Prostota ta nie ma nic odrażającego, ale nadaje właściwą i odrębną cechę temu krajowi wśród wszystkich innych. Wszystko to co stanowi blask, świetność, dumę dzisiejszej cywilizacji, wszystko to, mówię, prawie tu nie istnieje. Wysoki przemysł, polet umiejętności i ich zastosowanie do wszystkiego; ruch naukowy i przemysłowy, sztuka skracania czasu i przestrzeni, są tu prawie nieznanne. Nieznane również narosła i skrzywienia tej cywilizacji sztucznej a wybujałej: wyuzdana chęć zysku, zmysłowość i namiętność użycia. Bogactwo i nędza nie ścierają się ze sobą z taką groźną i złowróżbą niechęcią, jak w krajach na czele tegożoczesnej oświaty stojących. Nie wiem doprawdy czy żałować tego ludu, czy mu zazdrościć. Ma on to, co stanowi szczęście i trwałość narodu każdego: prostotę obyczajów, głęboką wia-

rę, mierny dostatek, miłość zwyczajów i tradycji miejscowych, niezaprzeczoną odwagę i zamiłowanie strzelby. Jakaś czerstwość i siła moralna i fizyczna maluje się na wszystkich postaciach, która tém jest wdzięczniejszą obok głębokiej pobożności. Lud ten dobrze i użytecznie skierowany, zdolny jest niepospolitą energią rozwinąć; ale nic łatwiejszego jak zbłąkać lud tak prosty i naiwny, nadużyć jego wiary i prostoty, i w nierozważny i bez celu fanatyzm je zamienić. Niepospolite już zasługi położył dla dynastji teraz panującej w Austrii, i niepospolite jeszcze położyć może, byleby w swoich uprzedzeniach, obyczajach i zwyczajach nie był dotknięty. Ale ważniejszą ten lud rolę odgrywał i odgrywać ma przeznaczenie i powołanie w walce rasowej, jeżeli walka ras jest jeszcze możebną w Europie. Panuje on nad najtrudniejszymi i najważniejszymi przejściami z południa na północ i trzyma w swoim ręku klucz Włoch i Niemiec. Trzymając go zaś silną i krzepką dłońią, daje plemieniu niemieckiemu przewagę położenia nad mieszkańcami południa. Dzięki tym dogodnościom, łatwo utrzymywać teutonizmowi w posłuszeństwie plemiona równin lombardzkich, spuszczać się na nie, cofać, zamykać w niedostępnych kryjówkach i w chwilach niepowodzenia skutecznie wojnę odporną prowadzić.

Dziwne jest podobieństwo i harmonia pomiędzy tą silną i dzielną rasą ludu alpejskiego, a naturą, którą ona zamieszkuje. Natura ta jest dzika, nieprzystępna i surowa, ale zarazem wspaniała. Piękność jęj jest uroczysta i poważna. Śmiejąca w dolinach, żyzna i bogata, w wyżynach jest straszną i niegościnną. Świat górnych śniegów i napowietrznych we mgły owiniętych glecerów ma swoje tajemnice i okropności, z któremi nie każde oko i nie każda stopa potrafi się mierzyć. Ale niżej nawet łomy skał wystrzelone w górę z płaskimi ścianami, lasy wiszące na urwiskach, strumienie i rzeki rzucające się w przepaści po niezmiernych i przerażających spadzistościach, ścieszki wijące się ponad przepaściami: wszystko zgoła zdaje się wyzywać odwagę tutejszego mieszkańca, wszystko zdaje się być stworzone na zahartowanie jego ciała i podniesienie jego siły moralnej do wysokości trudów i przeszkód, jakie co krok spotyka. Niepodobna nie uznać piękności i nie ukorzyć się przed wspaniałością i ogromem tutejszej przyrody. Jest w niej coś olbrzymiego. Jak gieniusz Jean Paula łączy ona w sobie najpiękniejsze kwiaty, śmiejącą zieloność, przepaści, ryczące wody,



nagie skały i pustynie lodów. Świat podrównikowy i podbiegunowy zdaje się tu zlewać, jak na kartach tego mistrza zarazem poety i filozofa, w majestatyczną całość, która i oko podbija i głęboko duszę porusza. Rozliczne domniemania naprowadzają wszystkich podróżnych zwiedzających morza północnypodbiegunowe na domysł, iż tamże poza pasem lodów i natury obumarłej jest sfera cieplejsza, obfita we wszystko, a może i mieszkalna. Poza pustyniami lodów napotkano już morze bez lodów, wyspy bogate w roślinność i zwierza. Uważano szeregi ciągnących przelotnych ptaków rozmaitych, stada renów, piźmowców, zwierza innego zмирzającego licznie jeszcze dalej ku północy, co dozwala a raczej każe się domyślać warunków jeszcze dla nich przyjaźniejszych. Jeśli mówię jest prawdziwy ten domysł, to kraje tamte, pozostałe jeszcze do odkrycia dla przyszłości, a w których nawet wyobrażenia niektórych żeglarzy osadza Franklina zgubionego dla świata, mają jakieś podobieństwo choć na większy rozmiar z dolinami Tyrolu, zamkniętymi wśród gleczerów i grzbietów śniegowych. Jest to natura odrębna i oryginalna, wyspa wśród oceanu śniegów i chmur. To też mieszkaniec tutejszy jest odrębny i oryginalny jak wyspiarz: śmiały, silny, nawykły mierzyć się z potęgami niezwykłymi natury; muszkularny i zręczny jak koza alpejska. Zamknięty w tym świecie nieprzystępnym a tak odmiennym, żyje w sobie i po swojemu: nic obcego do niego nie przylega. Lubi swój obyczaj i nad wszystko swoje góry, skały i doliny. Wylany na zewnątrz, nie odznacza się głębokością umysłu; w życiu jego, w naturze otaczającej go jest nazbyt wiele poezji, aby się miał troszczyć o poezją pismieną.

To wszystko przecież nie odnosi się do Tyrolu włoskiego, który jest odmienny naturą, ludźmi, niebem, zgola wszystkim, i którego nic nie łączy z resztą Tyrolu tylko nazwisko dowolnie nadane, i linie dowolnie pociągnięte na mappie, które tak łatwo prowadzić na papierze, jak łatwo mazać i przemieszczać gdzieindziej. Zanim jednak wstąpimy w niego, zatrzymać się musimy na granicy prawie dwóch plemion, ale jeszcze w Tyrolu niemieckim, na jednym z fenomenów, który w zdumienie wprowadzał wszystkich podróżnych. Nie jestto przecież ani osobliwość natury, ani arcydzieło przemysłu lub sztuki; ostatnich w innych jak ten potrzeba szukać krajach, a cudów i piękności natury niepodobna tutaj opisywać, bo cała przyroda jest piękna i cudowna. Jestto fenomen innego ro-

dzaju, tém bardziej zadziwiający, że się pojawił wśród ludu prostego umysłu i prostej wiary, i wcale nieskłonny do mistycyzmu. Chcę mówić o dziewicy extatycznej z Kaltern, która od dość dawna zwróciła już na siebie uwagę nie tylko ciekawych podróżnych, ale wszystkich ludzi bezstronnych a myślących, szukających prawdy i nauki nawet tam, gdzie ona nie zdaje się zbudowaną na tych podstawach, jakie rozum ludzki zwykł prawdzie i nauce podkładać. Jakoż mamy przed sobą relacye ogłoszone drukiem mnóstwa ludzi (1), z których niektórzy znani w świecie naukowym; mamy oprócz tego w pamięci opowiadanie ustne ziomekó w światłych i sumiennych, duchownych i świeckich, którzy Maryą Moerl oglądali, i z tych to źródeł te kilka słów, które o niej powiedzić mamy, czerpać będziemy. Nam bowiem nie dostało się widzieć zachwyconej z Kaltern; od czasu jak ją rodzice odumarli, zamieszkała w klasztorze, przystęp do niej jest utrudniony i potrzeba na to zezwolenia arcybiskupa, które nie każdy podróżny ma czas i możność uzyskać.

Córka pobożnych, uczciwych i nieubogich rodziców, Marya Moerl urodziła się w r. 1812. Z młodości łagodna, dobra, pracowita, nie odznaczała się przecież szczególnymi zdolnościami; a lubo odebrała pewne wychowanie, czytywała zawsze mało. Kilkakrotnie zapadała mocno i niebezpiecznie, a z czasem cierpienia jej stały się prawie ciągłemi. Wychowana w pobożności, młoda ta dziewczyna dokuczliwą często chorobę zносиła z anielską rezygnacją; a po stracie matki, jako najstarsza siostra liczego bardzo rodzeństwa, z łóża boleści kierowała całym domem, i zatrudniała się drobnymi siostrami i braćmi. Domyślają się, iż wśród cierpień, modlitwy i trosk domowych jej stan zachwytu powoli rozwijać się poczynął; uważano w niej różne zjawiska niezwykle, które albo mniej zwracały uwagi, albo brane były za skutek choroby. W roku dopiero dwudziestym jej życia, spowiednik jej ojciec Kapistran, człowiek doświadczony (jak o nim mówią wszystkie relacye) w różnych kolejach życia, prosty i uczciwy, a bynajmniej nie skłonny do mistycyzmu, zaczął spostrze-

(1) Antonio Riccardi, Goerres, Edm: Cazales, Lord Shrewsbury, Th. Baron Giovanelli, biskup Trydentu Ernest Moy i inni w piśmie: *Les Stygmatisées du Tyrol* p. Léon Boré.



gać, że młoda jego duchowna córka po przyjęciu komunii św. odchodziła niejako od przytomności. Stan ten stając się częstszy i wyraźniejszy, zaczął uaprowadzać go na domysł, iż przyczynę jego szukać należy gdzieindziej. Wreszcie kiedy dnia jednego przez przeciąg 36 godzin pozostała klęczącą z oczami wzniesionemi w górę, bez czucia i wiadomości o tém, co się wokoło niéj działo: przekonano się, iż ekstazy głębokie zapuściła korzenie w jéj duszy.

Rodzina przecież i osoby ją otaczające nie zwracały na to bynajmniej uwagi; pozostawiono ją jéj zachwyceniu, modlitwom i cierpieniom. Ale rozgłos o jéj stanie nadzwyczajnym rozszedł się w okolicy i dalej. Gromady ludu zdjętego ciekawością zaczęły odwiedzać ją często, z dalekich bardzo okolic. Parafie całe z krzyżem i chorągwiami na czele przychodziły jedne po drugich. Wszystko to odbywało się w jak największym porządku, żadne nie zdarzyło się nadużycie; niekiedy jednak 3,000 osób dziennie ją odwiedzało. Policya zarazem jak i władza duchowna zwróciły na to uwagę, i wędrowki te zostały wstrzymane. Śledztwo przedsięwzięte nic nie wykryło, coby wskazywało albo zamiar zysku, albo jakieś podejście prostéj pobożności ludu; Marya Moerl bowiem, ani nikt z otaczających ją żadnego wsparcia nie przyjmowali, a saméj zachwyconéj przykreść nawet sprawiał ten nacisk ludu niezwykły.

Tymczasem na rękę, nogach i boku pacjentki rozwijały się znamiona, które Marya z przestraczem postrzegła; przybrały one kształt podłużny, średnicy 3 do 4 linii. Co piątek poczyniała się z nich sączyć kroplami krew jasna, która w następnych dniach przysychała, bez pozostawienia przecieź śladu zapalenia i ropienia. To nastąpiło w roku 1833. Długo Marya kryła się z tém, ale nareszcie wyszło to na jaw. Goerres, który wielokrotnie ją odwiedzał, tak stan jéj, postać i zachowanie opisuje: „Marya Moerl jest budowy drobnéj i delikatnéj. Całe jéj pożywienie kiedy uczuje tego potrzebę, lub kiedy jéj to spowiednik poleci, składa się z kilku rodzenków, albo jakiego innego owocu i trochy chleba. Lubo jest chudą w skutek tak szczupłego pożywienia, twarz jéj dosyć jest pełną; ale zmienia się podług stanu w jakim się znajduje. Pierwszy raz kiedy odwiedziłem Maryą znalazłem ją w postaci, którą przez większą część dnia zachowuje, to jest klęczącą na łóżku i w zachwyceniu. Na jéj rękach skrzyżowanych na pier-

siach widać było znamiona, twarz napół podniesiona ku niebu, oczy wyrażały zupełne zatopienie ducha. Przez całe godziny nie widać w téj klęczącej postaci żadnego poruszenia, oprócz lekkiego oddechu i lżejszego jeszcze niekiedy chwiania; czasami również dosłyszć można cichy szmer w jéj gardle. Jedném słowem, nie umiém porównać postawy Maryi, chyba do postawy aniołów przed tronem Przedwiecznego. Na wszystkich, nawet na najtwardszych charakterach widok jéj robi głębokie wrażenie, a często łyż wzruszenia wyciska." Wizye Maryi, jak mówi dalej tenże Goerres, ograniczają się na przedmiotach religijnych i pobożnych. Niepodobna do jasnowidzących i magnetycznym snem uspionych, stan jéj wewnętrzny jest jéj zupełnie niewiadomym. Przytacza kilka przez nią przepowiedzianych zdarzeń, ale w ogólności z nikim oprócz spowiednika o przedmiotach swoich widzeń nie mówi. Ale wracamy do własnych słów wyżej powoływanego pisarza:

„Z liczby wizyj jakie ma Marya, najczęściej się powtarza, najwyraźniej na jaw występuje i najgłębsze sprawia wrażenie: męka Chrystusa Pana. Powtarza się to duchowne rozpamiętywanie w niéj w każdy piątek, ale najwybitniej w Wielkim Tygodniu. Wszystko to przecież odbywa się w sposób prosty i jakby naturalny. Idzie się za wszystkimi przemianami, i każda scena tego dramatu uroczystego odbija się na téj, która jest jego organem." Tutaj Goerres tłumaczy według swego sposobu widzenia cały akt duchowy, który w Maryi się odbywa, i tak dalej rzecz samą opisuje:

„Jak niektóre osoby myślą mówiąc, albo raczej mówią myśląc i nie wiedzą o słowach jakie wymawiają; tak samo Marya rozpamiętywa mękę i przedstawia ją, albo raczej przedstawia ją rozmyślając bez wiadomości tego co robi. To téż z początku poruszenie, jakie nią wstrząsa, podobne do poruszeń pogodnego zwierciadła wody, jest łagodne; ale w miarę jak akcja staje się boleśniejszą i więcej przejmującą, obraz w którym się ona odbija przybiera wyraz głębszy i bardziej odznaczający. Wreszcie kiedy wielka chwila się zbliży, kiedy boleść przeniknie do głębi duszy Maryi: jéj rysy przedstawiają obraz śmierci. Klęcząca na łożku, ręce skrzyżowane na piersi, wokoło niéj panuje milczenie, które zaledwie oddech otaczających przerywa. Zdaje się, jakoby słońce jéj życia na zachodzie



spuszczało się powoli poza widokrąg, i jakoby w miarę słabnięcia, cień śmierci, wydobywając się z otchłani, wstępował na nią powoli i osłaniał wszystkie jej członki jeden po drugim, i obejmował jej ducha, dopóki i ten wreszcie nie utonie w ciemnościach. Bładość powiększa się, dreszcz śmiertelny przebiega jej ciało, i życie zdaje się niknąć widoczniej. Głębokie westchnienia wyrwywające się z trudnością, wskazują miarę boleści. Z oczu coraz więcej nieruchomych spadają łzy, które w grubych kroplach toczą się po twarzy. Nerwowe wstrząśnienia poruszają ustami; jak błyskawice które zwiastują burzę, rozbiegają się one po całej twarzy i zmieniają się we wstrząśnienia, które całe ciało poruszają. Tymczasem oddech już utrudzony zmienia się w jęk rozdzierający; usta się okrywają sną czerwonością, język zdrewniały przylega do suchego podniebienia, wstrząśnienia wzrastają coraz mocniej; ręce skrzyżowane na piersiach, które zsuwały się powoli, teraz opadają nagle, paznogie sinieją, palce splatają się konwulsyjnie. Wkrótce potem oddech zaledwie się już wyrwywa z wielkiem usiłowaniem, rysy twarzy się zmieniają do niepoznania; szczęka dolna opada, nos się zwęza i przedłuża, oczy stają się szklane; w długich przestankach słyhać jeszcze nieco oddechu, wydobywającego się z trudnością z organów ściśniętych zimnem śmiertelnym; wreszcie zdaje się że ostatni oddech już wyszedł. Wtenczas głowa schyla się, i z wszystkimi znakami śmierci opada. Tak zostaje wszystko około 1½ minuty. Potem głowa się podnosi, ręce składają się na piersi; twarz jakby otrząsała się z objęcia śmierci, przybiera wyraz spokojności i słodczy. Kłęcząca, ale już spokojna, znowu wznosi oczy do nieba. Taki dramat powtarza się co tydzień, z różnemi drobnemi zmianami, pobudzającemi z wewnętrznego usposobienia, bo w całym tym akcie nie masz nic sztucznego, wyuczonego, udanego; płynie to same jak źródło ze skały, i gdyby Marya Moerl umierała rzeczywiście, nie mogłaby umierać inaczej" i t. d.

Taką jest Marya Moerl, o której, jak powiedzieliśmy wyżej zgadzają się tak relacye ogłoszone drukiem, jak ustne, które mieliśmy sposobność zebrać. Fakt sam jest szczegóły i nie wahałiśmy się podać go tu obszerniej. Porusza on mimowolnie głębokości naszego umysłu, z jakimkolwiek usposobieniem do zapatrywania się na niego przystąpićbyśmy chcieli. Za pobozną

mystyfikacją brać go trudno; rzecz jest zadługa, za publiczna, zanadto znana i badana; opiera się na świadectwach nazbyt rozlicznych i rozmaitych. Ludzie różnych narodów, różnego wieku, różnych professyj, różnych usposobień i zasad, dali swoje świadectwo. Można wedle różności stanowisk, jakie się obrać podobna do rozpatrywania się w naturze fizycznej człowieka i fenomenach ducha rzecz tę uważać, zgłębiać i sądzić; można fenomen sam do odmiennych przyczyn i źródeł odnosić, tak lub inaczej tłumaczyć: czy jednak pierwiastku, zasady tego fenomenu szukać będziemy w niebie, czy na ziemi, w głębokościach ducha czy w sprzężnach organizmu ciała ludzkiego i jego mechanicznej budowy, zawsze przyznać musimy, że jest wyjątkowym i godnym uwagi. Zdawało się nawet, że dla terażniejszych pokoleń, widok tego zjawiska jest stracony. Już tradycje kościoła co do osób na których podobne zjawiska się okazały, zaczynały wchodzić jakoby w szereg legend i stawać się niejako mytem; Marya Moerl ukazuje się jakoby nowy węzeł, nowe ogniwo przeszłości z terażniejszością. Pomimo tego, uprzedzenia i odmiennie zasady czerpane w wychowaniu, wyobrażeniach religijnych; systemata, których ludzie trzymają się silniej jak widocznie bijącej w oczy prawdy, skoro się raz w nich zawikłają, zamykają usta wielu. Wołę milczeć o tém, co burzy lub podkopuje ich ulubione lub wybrane idee i wyobrażenia, niż śmiało i oburącz wziąć się z nimi w zapasy i dać uledeż temu, co słabsze. Kto się nie przywiązuje ślepo lub namiętnie do wątpliwych teoryj, kto ma dostateczny zapas bezstronności, a w swym umyśle zachował zawsze miejsce wolne dla tego, czego rozum ludzki jeszcze nie wytłumaczył, nie objaśnił, jako téż dla tego, czego nigdy pod prawidła nauki i systematów pociągnąć nie zdoła: ten śmiało może patrzeć w oczy tego rodzaju zagadnieniom i mówić o nich swobodnie.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej w naszym opowiadaniu na granicach Tyrolu niemieckiego, a w rzeczywistości biegliśmy bardzo szybko. Pora była spóźniona, a ogromna przestrzeń ziemi dzieliła nas od celu naszej podróży. Jak ptaki ochromiałe i opóźnione w swoim przeciągu peryodycznym, dążyliśmy prędko ku południowi. Coraz cieplejszy powiew witał nas w miarę jakeśmy się posuwali naprzód, coraz czystsze niebo mieliśmy ponad sobą, i coraz bardziej południową naturę naokoło. Wejście krajobrazu zmieniło się, zagłębiając się w Tyrol wło-



ski. Jechaliśmy wprawdzie ciągle brzegami téj saméj Adygi i wśród pasma wysokości, które, jak w całym Tyrolu, biegną z obu stron drogi, nieprzerwanym choć niejednostajnym szeregiem. Ale postać, barwa, odbicie słońca na nich już było znacznie odmienne; więcej ogniste i złotawe, mniej wegetacją osłonięte, góry w oddaleniu nabierały téj barwy różowój i gorąco-błękitnéj, jakiej po téj stronie Alp nigdy nie mają, a którą w najwyższej potędze czystości i gorąca, za Apeninami a mianowicie w Neapolu i Sycylii ujrzyć można. Nieledwie jeszcze naglęj i niespodzianiej jak sama natura, zmieniało się od chwili wjazdu w Tyrol włoski wszystko, cokolwiek tutaj jest dziełem ręki ludzkiej. Ślad innych nawyknień, potrzeb, innego charakteru, obyczajów, usposobienia ducha, odmiennych wpływów przeszłości, widoczny był we wszystkiém na pierwszy rzut oka. Nigdzie dwie rasy, dwie narodowości nie mogą stać obok siebie w większej odrębności, jak tutaj niemiecka obok włoskiej. Nie wiem dlaczego Tyrol włoski nosi nazwę Tyrolu, bo to są zupełne Włochy, tylko w najgorszym i najsmutniejszym swoim wyrażeniu. Żadnego tu przejścia, żadnego pomieszania, żadnego złączenia: nic, coby dwie barwy tak odmienne i tak uderzająco wpadające w oko, w jakąś harmonią spajało. Żaden nawet znak widomy, słup inaczéj pomalowany, herb, znak kamienny nie oddziela jednego kraju od drugiego, a przecieź we wszystkiém na co się spojrzy, widać inny kraj, inny obyczaj. Żaden pas graniczny i straż nie oddziela jednego od drugiego, a przecieź i stosunki codzienne i łączność panowania, ani w ubraniu, ani w zwyczajach, żadnej nie mówię wspólności, ale nawet podobieństwa ustalić nie zdołały. Siła repulsyjna jest widać wielka z obu stron, a niechęć wzajemna podtrzymuje naturalne różnice, jeżeli nie z nich wypływa. Pas w którym dwie mowy mieszają się i łączą jest bardzo wąski. W Trydencie wcisnęło się do tamtejszego włoskiego dyalektu kilka wyrazów niemieckich; w Botzen do tamtejszój niemieczyny nieco wyrazów włoskich. W ogólności więcéj w nadbrzeźnym niemieckim Tyrolu znają i używają języka włoskiego, anizeli w Tyrolu włoskim niemieckiego. W niemieckim, znajomość języka włoskiego jest dystynkcyą i należy do staranniejszego wychowania; we włoskim nikt znajomości języka niemieckiego nie uznaje za zaletę i wcale się o to nie ubiega. Sami Niemcy przyznają, że język włoski ma moralną przewagę. Osady niemieckie wśród

włoskiego Tyrolu, z wielkiem ubolewaniem pisarza niemieckiego, który o tém wspomina, przyjęły język włoski. Zależność téż handlowa Tyrolu, znaczna ilość produktów, które albo wprost z Włoch ciągnie, lub za jego przewodnictwem na północ przechodzą, może się do téj potrzeby obznajomienia z językiem włoskim przyczyniać. Na harmonią bowiem i wdzięk téj mowy, zdaje się ucho niemieckie być obojętne. Od dumy zaś rodowej, deptającej wszystko co obce, może mniej, ale niewiele mniej są wolni mieszkańcy Tyrolu, jak wszystkie plemiona niemieckie. Upór zresztą Włochów we wstręcie do mowy niemieckiej zmusza wszystkich, którzy z niemi potrzebują być w stosunkach, aby się jęj uczyli.

Architektura i postać zewnętrzna budowli zmienia się jednocześnie z językiem. Wysokie mury budynków, proporcjonalne okna i drzwi, płaskie dachy dachówką kryte, wysokie, kształtne i ozdobne kominy, przenoszą od razu jakby w środek półwyspu włoskiego. Ale nigdzie na całym półwyspie nie przedstawiają one takiego ubóstwa i opustoszenia. Wielkie i kształtne, widocznie rozmiarami swemi przechodzą potrzeby i ilość numeryczną dzisiejszej generacji. Okna często bez szyb, lub okiennicami tylko osłonięte, nadają im smutny charakter pustek. Nieczystość i zaniedbanie osiadły na murach, podwórzach i wnijsiach. Wszędzie widać ślady dawniejszego dostatku i dzisiejszego ubóstwa, i w miastach i po wsiach. Nie widać nowych budowli, bo starych aż nadto. Jak wszędzie i na wszystkiém we Włoszech, widać i tutaj to, dziwne połączenie smaku i wytworności, z ubóstwem i opuszczeniem. Nigdzie oprócz Rzymu i jego okolic, te dwa charaktery nie wybijają się w rysach tak wyrazistych jak tutaj. Nie widać już tych kształtnych i schludnych domów wieśniaczych, rozrzuconych po wzgórzach, wysokościach i nizinach, wśród zieleni, łąk i sadów owocowych. Mola własność znika tutaj, a z nią dostatek, porządek, staranność i ogrodowa uprawa. Na to miejsce wielkie budowle, obszerna przedziałnie jedwabiu, rozmiarami i kształtem uderzają oko. Uprawa wina już jest odmienna, mniej wypięszczona i staranna. Nieprzejrzaną szereg drzew morwowych zleaga na niezrównych równinach, pochyłości i kamieniste wysokości. Jedwabnictwo jest głównym bogactwem i zatrudnieniem tych okolic, nie odznaczających się w ogólności wielką rybołówką.



gleby. Tu i owdzie wysmukły cyprys strzelający do góry, błada i mdła zieloność drzew oliwnych, nadają widokowi charakter południowy.

Przejeżdżając niezmiernie uczęszczaną i wyborną drogą główną pomiędzy Innsbruckiem i Weroną, spotykaliśmy co chwila szeregi wozów ładownych, prowadzących produkta południa ku północy, jakoto: pszenicę, ryż, jedwab, owoce i t. p. Dziwnie odbijały wozy niemieckie obok włoskich. Włoskie nierównie kształtniejsze, bardziej malownicze, ale zaprzęgi mniej silne i czyste; konie i muły choć kształtne, małe i często źle utrzymane; sam ubiór woźnicy odarty, lub niedbaly. Nie pali on nigdy fajki dłatego, że Niemiec ją pali. Leży zawsze na wozie wsparty na łokciach, i z pod obszernego kapelusza ocinającego czarne pierścienie włosów i twarz śniadą, rzuca okiem pogardy i szyderstwa na mijających go cudzoziemców i Niemców. Wozy miejscowych wieśniaków któreśmy spotykali, ozdobione były rzeźbami i czerwono malowane. Woły piękne jak w całych Włoszech, prowadzili wieśniacy z pewną powagą i wdziękiem. Zaprzęgi te wyrównywały w malowniczości tym z okolic Rzymu, które służyły za wzór do cudnego utworu Roberta. Na wielkiej liczbie ludzi zajętych pracami około naprawy drogi, wszędzie widać było ubóstwo i zaniedbanie. Odzienie ich brudne i odarte. Pracowali leniwo i niedbale. W spojrzeniach i wyrazie twarzy było coś podejrzanego i złowrogiego; jakoż bezpieczeństwem wielkiem te okolice pochlubić się nie mogą. Po miasteczkach i wioskach spotykaliśmy grupy niezajętych niczem spektatorów. Żadnym nie wchylili nigdy kapelusza i nie pozdrowi nigdy przechodnia lub podróżnego. Kobiety równie zaniedbane i nieczyste; pyszne ich włosy zwyczajnie w nieładzie, a rysy rzadkiej niekiedy delikatności i wdzięku. Mężczyźni już tutaj lubią się okrywać płaszczami kolistemi, które zreoznie i malowniczo drapują na swych ramionach, choć zabłocone i dziurawe. Twarze ich są surowe, blade, ocały żywe i przenikające, i jakaś niemiła w nich mieszanina dumy i szyderstwa, które tém gorzej odbijają przy ich brudzie i ubóstwie. Kiedy przecież w dzień niedzielny wszedłszy do jednego z kościołów wiejskich, zastałem ludność miejscową w świątecznych szatach, korzystniej mi się nierównie wydała. Kobiety mianowicie w białych zasłonach zarzuconych ma-

lowniczo na wielkich ciemnych włosach, dziwnie pięknie się wydawały. Blask i żywość ich oka podwójnym ogniem zdawały się gorzeć, pod tą przejrzystą osłoną niewinności. Ostrość twarzy męzkich łagodziła świętość miejsca. Schludniejsze i kształtne odzienie dodawało im szlachetności i usprawiedliwiała nieco wyraz dumy, mieszkający wiecznie na ich obliczach.

Bawiąc dość długo w Niemczech przed wyjazdem do Włoch, staraliśmy się zasięgnąć wiadomości o kraju, który zamierzaliśmy odwiedzić. Wszystko, cośmy słyszeli i czytali było bardzo dla niego niekorzystne, a dla nas przyszłych podróżników smutne a nawet odstrasające. Wjeżdżaliśmy do kraju Hesperyd w najgorszym usposobieniu. Wielokrotnie jednak później przekonaliśmy się, że w relacjach niemieckich o Włoszech było nieco przesady i niesprawiedliwości. Jak wszystkich swoich sąsiadów, tak i Włochów nie oszczędzają. Jednostronni i namiętni w swoim sądzie, Słowian więcej nienawidzą, ale Włochów równie surowo sądzą. Chcieliby wmówić i w siebie i w Europę, że tylko ich wpływ i cywilizacja może odżywić tę ziemię tak bogato wyposażoną od natury, a tak dziś upadła. Tak źle we Włoszech nie jest, jak piszą i mówią Niemcy, chociaż wiele, niestety! byłoby do naprawienia. To jednakże trzeba przyznać, że przejście z Tyrolu niemieckiego do włoskiego jest nader dla tego ostatniego niekorzystnym. Nigdzie też narodowość włoska nie spotyka się z inną pod niekorzystniejszymi warunkami. Sąd wydany z tego jednego punktu zetknięcia byłby bardzo niesprawiedliwy. Lud niemieckotyrolski co do budowy i rysów twarzy jest najpiękniejszy w całym Niemczech; ma on nierównie więcej życia i wesołości, okazuje na zewnątrz w mieszkaniach i ubiorach narodowych nierównie więcej smaku i uczucia piękności, jak inne jego pobratymcze plemiona. Niezbywa mu na zamięłowaniu czystości, regularności i dobrego bytu materialnego, chociaż nierównie w tym mniej jest wykwintny i umiętny, jak te gałęzie niemieckiego szczepu, które ocierają się o zwyczaje francuskie, angielskie i holenderskie. Zresztą mała a niezbyt rozdrobniona własność powszechna w Tyrolu niemieckim daje krajowi całemu pozór powabu i kultury, a ogółowi mieszkańców byt dobry i niezawisłość. Tyrol włoski przeciwnie jest krajem wielkich posiadłości: miasta jego znikły w świetności, upadły i wy-



ludniły się z upadkiem handlowym Wenecyi, natura sama nie jest bogata, a ziemia niewszędzie żyzna. Zdaje się w ogólności zbywać na pastwiskach i łąkach. Widocznie jest to jedna z uboższych części Włoch. Niektóre tylko okolice państwa kościelnego znajdują się w dość podobnych warunkach jak Tyrol włoski, a przecież tamte nawet są stosunkowo lepiej położone. Ani w Lombardyi, ani w Toskanii, ani w Neapolitańskiem, ani nawet w uboższym od innych Piemontcie, podobnego zaniedbania i nędzy nie zobaczy. Zresztą terażniejsza nędza nie może wypływać czysto z charakteru narodowego, z jego niedbalstwa i próżniactwa wrodzonego, bo kraj ten nosi niezatarte wszędzie ślady dawniej świetności, dobrego bytu, wysokiego smaku i cywilizacji. Był innym, w innych warunkach stał się tём, czём jest w dzisiejszych. Charakter ludu mieni się, upada i podnosi; cnoty i występki rodzą się i znikają, moralność nawet i zamięłowanie pracy dźwiga się lub słabnie, w miarę okoliczności. Pojedynczy tylko człowiek może siłą woli i rozumu opierać się biegowi wypadków, i do pewnego stopnia panować nad niemi. Może przymioty swoje, zdolności i zasady moralne z pośród fal przeciwnego losu w całości wynieść. Narodom i ludom nierównie to trudniej, i prawie do wyjątków policzyćby to można: bo narody i ludy są zbiorem ludzi różnego stopnia oświaty i nierównych zasobów moralnych.

Widoki przecież są miejscami nadzwyczaj pociągające dla oka. Z natury samej urozmaicone i bogate, masy murów jakie przedstawiają gęste wsi i miasteczka, jeszcze robią je bogatsze; każda bowiem najmniejsza wioska ma ogromne murowane domy, czasem kilka-piętrowe. Widok wokoło tych okazałych grupp niepospolicie przyozdabia, podnosi krajobrazy; zblizka tylko zasmuca. Oprócz tego po wzgórzach i wysokościach porozsiadaty się obszerne zamki, gdzieniegdzie dawne opuszczone warownie, pałace i obszerne rękodzielnie jedwabne.

Trydent jest pierwszym większym miastem, mającym już charakter czysto włoski. Ale jakież to smutny widok! Wpośród okazałych murów, pałaców, fontan i świątyń, tyle opuszczenia, ubóstwa i brudu. Ruch mały, lud ubogi, odarty; zdaje się, że rabunek, powietrze, lub to wszystko razem ze sobą niosąca wojna świeżo przez nie przeszły. Pusto jakoś i smutno wszędzie; niektóre tylko ulice są więcej ożywione. A przecież jest to miasto liczące 13,000 mieszkańców, środkowy punkt

południowego Tyrolu, droga główna z południa na północ! Wspaniała starożytna katedra zajmuje środek miasta: jest to jeden z nader pięknych zabytków stylu lombardzko-gotyckiego tak częstego we Włoszech, a z którym tutaj pierwszy raz zdarzyło nam się spotkać. Tego stylu kościoły mniej wysmukłe, lekkie i strzeliste, mają przecież wiele wdzięku. Nietyle misterne i ozdobne, mają urok prostoty i harmonii. Oryginalny gieniusz włoski, wszystkiemu czego się dotknął umiał właściwie, oryginalne nadać piętno. Gotycyzm nawet tak odrębny i sam w sobie, w inną tutaj przyobłócił się postać. Tak samo wszystkie inne style i formy nigdzie nie są ślepu naśladowane: wszędzie przez myśl twórczą przechodząc, składały się na ten oddzielny, narodowy i właściwy charakter budowli włoskich, które całemu półwypowi tak odmienną i odrębną postać nadają. Zwiedziwszy i obejrzawszy w kościołach pamiątki wielkiego konsylium ekumenicznego, błądziłszy po mieście i patrzyli na starożytne domy, z których niektóre okryte były freskami zbłądłymi i znikłymi. Pałac sprawiedliwości prostotą i czystością stylu zwrócił naszą uwagę. Szliśmy wśród pustych ulic i pustych pałaców, i weszliśmy bez myśli do jednego zbudowanego z marmuru, oczerniałego wiekiem i zaniedbaniem. Ogromne sienie i wewnętrzne krużganki były puste; kilka pochyłonych posągów stało samotnie wśród pustek. Wielkie i okazałe schody groziły upadkiem. Okna bez szyb, gdzieniegdzie tylko deskami pozabijane; podwórze było zarosłe trawą. Dwa pawilony środkowe w tym samym były stanie upadku i zaniedbania. Ale z środka tych pustek najpiękniejszy otwierał się widok na szeroką równinę i błękitne pasmo gór. Niebo było przecudne, powietrze ciche i łagodne, słońce grzało ciepłem lata, pomimo spóźnionej pory roku. To przeciwieństwo nieba, światła, ciepła, pięknej natury z pustką, z zniszczeniem i zubożeniem naokoło, tak powszechne i zwyczajne we Włoszech, ale tutaj pierwszy raz przez nas widziane: w niezatartych rysach zapisało się w naszym umyśle.

W Trydencie kończą się ostatnie ślady języka niemieckiego, równie jak obieg austriackich banknotów. Odtąd już nikt nie rozumie pierwszego, nie patrzy na drugie, a z głodu i pragnienia możnaby umrzeć przy obudwóch. Odtąd już jest ze wszystkiem we włoskim żywiole, zwyczajach i obyczajach, które pomimo odległości i różnic pomiędzy różnymi czę-



ściami półwyspu, mają ze sobą wielkie podobieństwo. Trzy drogi prowadzą stąd w głąb południa, a wszystkie zajmujące i malownicze, lubo każda innego charakteru. Udając się do jeziora Garda, północny jego brzeg dotyka do miasteczka Riva, które tak łagodny klimat posiada, a tak wybornie jest osłonięte i tak precudnie położone, iż z najpiękniejszymi miejscami ubiegać się może o pierwszeństwo. Ziemia jest żyzna. Dwa pyszne strumienie staczają się z gór około miasta. Naokoło pełno winnic, a oprócz tego wszystkie owoce południa wybornie tu dojrzewają. Sprawiedliwie to miejsce nazywają rajem Alp tyrolskich. Bogactwo tej okolicy stanowi obfitość drzew cytrynowych, które mieszkańcom znaczny dochód przynoszą, bo niektórzy z nich po 70,000 sztuk rocznie zbierają, a w rok najtańszy sztuk 100 sprzedają po 3 — 4 cwancygiery austryackie. Oprócz tego obfitują już brzegi jeziora w drzewa oliwne, figowe i wszelkiego rodzaju owoce. Niektóre miejsca okryte są pysznymi ogrodami, pełnymi pomarańczy i drzew laurowych; ależ brzegów jeziora nie można już liczyć do tyrolu włoskiego. Inna droga prowadzi przez dolinę Sugana do Wenecyi i ta jest najbliższa. Na tej drodze jest pięknie i szczęśliwie położone miejsce Borgo de Val Sugana, które włoskim Meranem nazwano, z powodu podobieństwa klimatu, obfitości wina i owoców, i osłonięcia od północy. Z tej też doliny, a właściwie z jej rozgałęzienia Tesino, pochodzą nieomal wszyscy handlarze rycin, Włosi. Najbogatsza i najgłośniejsza nawet w tym zawodzie rodzina Artaria, ztamtąd ród swój wywodzi. Cała ta droga jest bardzo romantyczna i pełna piękności natury. Od Primolano, wśród niebotycznych ścian skalistych, wjeżdża się w granice Lombardyi. Wreszcie najprostsza ku południowi droga i najlepsza dla tego, kto nie chce zwiedzać jeziora, prowadzi w kierunku Werony przez Roveredo. Tutaj niebawem wstępuje się na klasyczną ziemię włoską. Ogrody z drzew cytrynowych i pomarańczowych otaczają ostatnie wyżej wymienione miejsce, a około San Marco pierwszy raz spotyka się podróżny z Dantem i jego Boską Komedją. Zdaleka już dojeżdżając widać niezmierną pochyłość góry na długość przynajmniej mili polskiej, ku korytu Adygi, zawałoną olbrzymiemi gruzami skał. Sterczą one wyżej i niżej jakby Tytanów ręką nagromadzone materyały do jakiej olbrzymiej budowy. Kiedy się wjedzie w środek tego morza skalistego, ogółocznego

z wszelkiej wegetacyi, widok jest zarówno zadziwiający jak dzi-ki. Droga zaledwie przeciska się wężykowato, widocznie z ogromnym trudem przeprowadzona wśród brył rozlicznych form, nieregularnych i dziwacznych nieraz odłamów. Te wryte w ziemię, te powalone, te sterczące do góry, te rzucone jedne na drugie, tak pozostały, jak je potężna ręka, która je wstrząsła, porzuciła. Przeszło pół godziny jedzie się wśród tej pustej i strasznej natury, wśród tych dzikich głazów, któreby tylko porównać można do morza rozburzonego i nagle skamieniałego. Nic dziwnego, że Dante widokiem miejsca tego uderzony, przeniósł je do swojego piekła; w istocie jest coś piekielnego w obrazie, jaki ono przedstawia. W XII śpiewie tak on mówi:

Qual è quella ruina, che nel fianco  
Di qua da Trento l'Adice percosse,  
O per tremuoto, o per sostegno manco;  
Che da cima del monte, onde si mosse,  
Al piano è si la roccia discosciosa,  
Ch'alcuna via darebbe a chi su fosse.

Chociaż Dante mówi wyraźnie, że ta skalista ruina natury jest skutkiem albo trzęsienia ziemi, albo usunięcia się góry i stracenia przez to punktu oparcia: różne jednak jak nad każdym innym ustępem tak i nad tym czyniono domniemania i objaśnienia, które rzecz tylko mogły zaciemnić i w wątpliwość podać. Niektórym komentatorom zdawało się, że ustęp powyższy odnosi się nie do tego miejsca, o którym mówimy, ale do innego, które dalej spotkamy, zwanego Chiusa di Verona. Dość jest jednak spojrzeć na obadwa i przeczytać wiersze poety, aby się o mylności tego domysłu przekonać. Więcej jeszcze robiono domniemań, również jak badań uczonych, dla oznaczenia epoki, w której ta dziwna rawolucya natury zaszła. I tutaj sprzeczności było bez liku. Ks. Giovanelli w swoim pamiętniku rozebrał domysły, zbadał źródło i doszedł do przekonania, iż kronika Fuldejska, odnosząca tę katastrofę do roku 883, przed innemi na wiarę zasługiwać powinna. Chętnie dajemy mu wiarę i czytelnikom naszym też samo zalecamy.

Kiedy się minie to morze kamienne, okolica staje się znowu piękna i malownicza. Wyniosłe na 7000 blisko stóp góry, oddzielają na prawo dolinę Adygi od jeziora Garda. Mija się na prawym brzegu rzeki położone Rivoli, pierwsze pole sławy Napoleona, i wkrótce wjeżdża się w skaliste zwężenie, środ-



kiem którego płynie koryto Adygi. Mury skaliste do ogromnej tutaj dochodzą wysokości. Brzegi ich ostre, nagie i prawie prostopadłe. Zaledwie tylko miejsca jest dosyć pomiędzy niemi na koryto rzeki i drogę, która się łamie poza ciasno zbudowaną wioską po jej brzegach. Miejsce to z natury swój już jest fortecą, a na wstępie samym gór położone, jest ich kluczem i strzeże wstępu w góry. Już w roku 1155, Otto z Witelsbach odpięrał tutaj ścigających go Włochów. Wenecyanie wzniesli tutaj warownią, której dziś już śladu nie ma. Ale na to miejsce powstały nowe fortyfikacye, które drogę zupełnie zamykają i są w związku z dziełami obronnemi, pozawieszaniami i wyrąbaniami w skałach i wysokościach przyległych drodze. Chociaż jeszcze niezupełnie wykończone, najeżone już były działami i obsadzone załogą.

Zaledwie to piękne, ale dzikie z natury, a smutne ze swego przeznaczenia mineliśmy miejsce, droga zwróciła się nagle na prawo. Wąwóz się rozszerzył, pochyłości gór złagodniały, i kiedy podziwialiśmy na jednej wzniosłości malowniczo położoną wśród skał i zieloności małą pustelnią, nagle przed nami jakby ze zmianą dekoracyi, góry znikły i roztoczyła się niezmierną okiem równina Lombardyi, przerywana kanałami, jaśniejszą najpiękniejszą zielonością, i pokryta lasem drzew morwowych, opiętych wieńcami winogrodu. Ale jednocześnie, jakby los oszczędzić nam chciał zbyt wiele wrażeń, gęste tumany mgły roztoczyły się po równinie i okryły ją tajemniczą zasłoną; wszystko znikło, i góry za nami, i pola przed nami, pozostało tylko ołowiane niebo, wilgotna i wszystko osłaniająca atmosfera naokoło nas. Zdawało się, iż nagle niewidoma siła przeniosła nas na północ, wpośród naszych płaszczyzn i w środek naszej jesieni. Podobnie nieraz w życiu: w chwili oczekiwania, wśród bogactwa nadziei, los roztoczy przed nami mgłę smutku i zwątpienia, albo zakryje bliższą przyszłość tumanem sroższej jeszcze niepewności, i wszystko przed umysłem zniknie co błyszczało przed chwilą najpiękniejszemi barwanami; pierś wzdętą nadzieją opadnie ciężar smutku, głowa się spuści przygnieciona nawałem bolesnych myśli!...

Tak wjechaliśmy w równiny Lombardyi, ale granice Tyrolu już pozostały dawniej za nami.



## ŚWIĘTOSŁAW ORZELSKI.

PRZEZ

*Severyna Gołębiowskiego.*

Świętosław z Orla Orzelski, urodził się w uczciwym i zamożnym szlacheckim domu 1549 r. Początki nauk pobierał w Krakowie, a następnie kształcił się w Frankfurcie nad Odrą; we Wrocławiu i w Witenbergu. W młodym wieku trafił na czasy burzliwe; starcie się wyobrażeń religijnych, trzykrotne bezkrólewia, częste zjazdy i sejmy, na których prawie zawsze posłował, dały mu sposobność przypatrzenia się biegowi spraw publicznych. Piastował urząd pisarza, potem sędziego ziemskiego kaliskiego. Był wyznawcą wyobrażeń reformowanych; w ciągu całego życia złożył dowody cnót niepospolitych, światła i stałości charakteru.

Podczas pierwszej elekcji głosował za Janem królem szwedzkim, podczas drugiej trzymał stronę Batorego.

Na sejmie elekcyjnym 1573, gdy dworzanie zmarłego króla zanieśli skargę o otrucie go, o czary i o rozkradzenie pieniędzy królewskich; Orzelski będąc jednym z deputatów dla rozpoznania sprawy, odczytał z karty przed zgromadzonym senatem, śmiało i dobitnie wystosowane zarzuty przeciw Mniszchom, ulubieńcom królewskim, dowodząc, że oni byli przyczyną wszystkiego złego, które się działo na dworze królewskim. Ale Mniszchowicze mieli silnych stronników, sprawa zatem upadła, a rozszarpanie skarbu Zygmunta Augusta uszło bezkarnie.

W 1582 stan rycerski polecił Świętosławowi Orzelskiemu marszałkowi izby poselskiej, żeby podziękował Stefanowi



Batoremu za chwalebne rządy. Orzelski jako był wielce wymowny, porównał sprawy króla Stefana ze sprawami innych królów polskich, i pokazał na oko, że król Stefan wszystkich za sobą zostawił, jeno mu tego brakuje, żeby długo panował. Przeszedł potem do głosów ubliżających królowi, powiadając, że pomówienia, jeśli są jakie, tych stan rycerski nie pochwała, i owszem prosi, aby tém się nie obrażał: boć to jest właściwa ludzom urodzonym w téj Rzptéj, aby każdy zdanie swoje wypowiedział; zwłaszcza że ludzie, jak pan marszałek koronny mądrze powiedział, uwiedzeni są miłością swobod i obawą ich utracenia. Gdyby jednak wniósł kto na sejmie rzecz przeciwną godności majestatu królewskiego, nietylko król ująć się za to powinien, ale i stan rycerski chętną pomoc ofiaruje, jakoby taki dla pohamowania drugich znacznie był karany (1).

Na te słowa między posłami powstał szmer, a wkrótce groźby i obelgi słyszeć się dały. Powiadano, że marszałek zdaleka się zapędził, i przekroczył granice w których zatrzymać się należało.

Na sejmie 1584 kilkunastu posłów ze stronnictwa Zborowskich odczytali przed królem protestacyą. Protestacya napisana cudnymi słowami, zawierała wiele rzeczy wielkich i ostrych. Odpowiedział na nią w imieniu izby Orzelski, skarżąc się na panów kolegów, że dali przyczynę do upuszczenia czasu na sejm przeznaczanego, i dla jednej sprawy wszystkich doległości koronnych odbieżeli (2).

Po śmierci Stefana trzymał stronę Zamojskiego i był jednym z posłów koronnych dla powitania Zygmunta na ziemię polską przybyłego; a gdy Zygmunt wykonał przysięgę, Orzelski z listem przysiężnym, z potwierdzeniem praw i z paktami przez króla podpisanymi, przedarł się szczęśliwie z Gdańska do Krakowa, obleżonego przez arcyksięcia Maxymiliana. Za tę przysługę król obdarzył go starostwem radziejowskiem (3). Mąż nieskazitelny, nauką i wymową znakomity, wielkiej w kra-

(1) Przemowa do króla przez Świętosława Orzelskiego od koła poselskiego, miana na sejmie 1582.

(2) Na protestacyą od posłów ziemskich fakcją Zborowskich respos od koła poselskiego przez Świętosława Orzelskiego uczyniony przy żegnaniu króla, ostatniego lutego 1584.

(3) Justyfikacya na sejmiku w Srodzle przez Świętosława Orzelskiego czyniona 10 stycznia 1597.

ju powagi, pod innym królem przyszedłby do wysokich godności i do znakomitego znaczenia; Zygmunt III nie lubił go i odsuwał jako gorliwego ewangelika.

Wraz z Janem Rusinowskim i Andrzejem Grodzickim był posłem od reformowanych w Wielkopolsce i przekładał królowi, że gwałty się dzieją, opowiadając jako księdza Bartłomieja kaznodzieję, człowieka sędziwego, przykładnego i spokojnego, niektórzy szlachcice, dlatego, że różni się od nich w wierze, pojмали na drodze, oszarpali, zbili, zranili i wtrącili do więzienia, z którego nieprędzj wyszedł, aż im dał kwit, że krzywdy swj dochodzić nie będzie. Na to król dał odpowiedz, że ta sprawa do sądu grodzkiego należy (1).

Na sejmie inkwizycyjnym, przy pożegnaniu króla, Orzelski rzecz uczynił od posłów ziemskich. Wspomniał o tém, że sejm najbardziej zabawiła obawa odjechania króla i praktyki cudzoziemskie. „Ta obawa ustała, mówił dalej, za złożeniem deklaracyi w. kr. m. na której nietylko przestajem, ale za nią dziękujemy; to jest że acześ w. kr. m. myślił o odjeździe, jednak umysł swój odmieniłeś. Co do praktyk, acześ w. kr. m. zaciągan był od cudzoziemców, nie dałeś się im tak dalece zaciągnąć, aby ztąd Rzpta w niebezpieczeństwo przyjść miała.“

„Ale nie tu koniec rzeczom, bo z drugiej strony ogień się zajął. Nie dopiéro jest różność wiary w Polsce, ale dopiéro za panowania w. kr. m. zaczęło się prześladowanie, co się rzeczą samą pokazuje, a mianowicie burzeniem miejsc do nabożeństwa nadanych, jako w Wilnie i w Krakowie, a działo się to nie przypadkiem, ale umyślnie, nie porywcz, ale przez pięć dni, pod bokiem i pod ramieniem w. kr. m., gdzie każdy powinien być bezpieczny. Patrzały na ten ogień oczy w. kr. m. i uszy rozruch słyszały. Rynek i ulice krwią były złane a trupami okryte. Niedosyc na tém, rzucono się na szpital ludzi ubogich a chorych, którym miasto ratunku chrześcijańskiego, rozbój się stał. A nawet grobów nie szanowano i ciała z nich wyrzucano. Zwierzchność w. kr. m. tego nie obroniła, hultajów karać w. kr. m. nie raczył, i już dwie lecie dochodzą jako słowy tylko jesteśmy zaspokojeni. Jeśliby próśby nasze miejsca nie miały, oświadczyamy się Panu Bogu i w. kr. m., wszej koro-

(1) Rzecz od posłów wielkopolskich i respons od króla w Wiślicy 24 stycznia 1592.



nie i wszystkiemu światu, że jeśli padnie co nie k myślnego, nie z nas to pójdzie, bośmy byli cierpliwi (1).“

Na sejmie w Krakowie 1595 przy żegnaniu króla, Piotr Gorajski głos zabrał i w imieniu pewnej liczby senatorów i posłów zaprotestował, że nie mogli otrzymać tak długo dopraszanego procesu konfederacyi; pomimo to widząc potrzebę obrony, a niechcąc zgody sejmu zatrudniać, przestają na tém opowiedzeniu się przed królem i Rzptą. Tę protestacyą napisał Orzelski, a Gorajski z karty odczytał (2).

Odmówienie sprawiedliwości wywołało synod w Toruniu, na którym ewangelicy połączyli się z wyznawcami kościoła wschodniego. Orzelski był jednym z głównych przywódców.

Na sejmie 1596 w imieniu ewangelików i wyznawców kościoła wschodniego dopominał się o wprowadzenie w wykonanie konfederacyi, i o zachowanie pokoju między różniąciami się w wierze, i zaniósł protestacyą przeciw sprawom sejmowym, która krzykiem została zagłuszona (3).

Silne z natury zdrowie osłabił natężoną pracą umysłową, i czuwaniem nocnym. Skończył życie niemając spełna lat 50.

Napisał po polsku pamiętniki obejmujące dwa pierwsze bezkrólewia. Jestto jedno z najszacowniejszych źródeł historycznych, lecz pod względem kunsztu dzieło jego nie ma wielkich zalet. Treść piękna i obfita, rozrzucona sposobem kronikarskim, wlecze się leniwo; wypadki nie wiążą się i nie objaśniają siebie nawzajem. Orzelski ugrzązł w szczegółach, a z bryły kamienia posągu wykuć nie umiał. Nie brakowało mu wielkich zdolności ani doświadczeniem nabytej znajomości ludzi; ale wśród wrzawy staroszlacheckiej, zajęty urzędowaniem i biesiadami, nie miał chwil spokojnych, w których wielkie zdolności rozwijać się zwykły.

Pamiętniki napisał ze szczerością i z dobrą wiarą: każdego nazwał po imieniu, Piotra Piotrem, a łotra łotrem; dlatego

(1) Rzecz do króla od posłów zleńskich, przez Świątosława Orzelskiego czyniona, przy żegnaniu na sejmie walnym koronnym 19 października 1592.

(2) Protestacya o pewne urazy przez Świątosława Orzelskiego pisana, a przez Piotra Gorajskiego mówiona 21. marca 1595.

(3) Mowa do króla 6 maja 1596, protestacya na sprawy sejmowe przez Świątosława Orzelskiego pisana, a przez Marcina Brodowskiego czytana 7 maja 1597.

niektórzy ze współczesnych dotknięci osobiście, i ich potomkowie, starali się żeby je zniszczyć albo zatrzymać w ukryciu. Przetłumaczone zostały na język łaciński i dotychczas nie były wydane. J. U. N. dał nam tylko wyjątki.

Słyszałem o zamierzonym wydaniu Pamiętników Orzelskiego, tłumaczonych z łacińskiego. Pozostaje do życzenia, żeby tłumaczenie było wierne, odpis poprawny a wydanie staranne, bo wszelkie wydania dzieł historycznych najeżone błędami, są grzechem przeciw publiczności. Panowie przedsiębiorcy nie chcą wiedzieć o tém, że dzieła historyczne tracą wartość, jeżeli korekta nie jest starannie utrzymana; dają piękny papier, piękny druk, winiety, i błędów co niemiara.

W rękopiśmie współczesnym udzielonym mi przez K. W. Wojcickiego, znalazłem rozmaite mowy Świętosława Orzelskiego w języku polskim, pięknym i poprawnym, z bardzo małym domieszaniem łaciny. Jestto ważny zabytek wymowy publicznej z epoki złotej Zygmunto-wskiej, zasługujący na wydanie; tém bardziej, że niektóre z nich rzucają światło na wypadki dziejowe. A ponieważ u nas często lada śmieci wydają, a rzeczy ważne zostają w ukryciu; podaję do wiadomości spis mów Orzelskiego:

1) Mowa między posły ziemskimi w Toruniu na sejmie 1576 o recessach sejmowych i o dwojeniu wojny.

2) O toż rzecz do króla.

3) Odpowiedź do panów rad koronnych od posłów ziemskich w Toruniu na sejmie 1576 uczyniona.

4) Żegnanie poselskie króla j. m. w Toruniu na sejmie, 14 stycznia 1577.

5) Przemowa do króla j. m. od koła poselskiego miana w Warszawie na sejmie 1582.

6) Książąt słuwickich miejsce w radzie koronnej, jeśli słusznie być ma, mowa na sejmie 1582.

7) Na protestacyą od niektórych posłów ziemskich fakciej Zborowskiej na karcie podaną respons od koła poselskiego, ostatniego lutego 1584.

8) Witanie poselskie Zygmunta III w Krakowie na zamku w izbie pod głowami odprawione 11 grudnia 1587.

9) O wyprawie wojska, rzecz od posłów ziemskich do króla, w Krakowie, 7 stycznia 1588.

10) Mowa o panach Batorych, 12 stycznia 1588.



11) Mowa z strony pogłównego, na sejmiku średzkim 13 września 1590.

12) Rzecz od posłów wielgopolskich do króla w Wiślicy 24 stycznia 1592, wraz z responsem królewskim.

13) Rzecz do króla od posłów ziemskich przy żegnaniu na sejmie walnym koronnym w Warszawie, 19 października 1592.

14) Rzecz do króla od posłów wielgopolskich w Malborku, 13 sierpnia 1593, i odpowiedź królewska w Gdańsku 25 sierpnia 1593.

15) Witanie króla od panów rad i rycerstwa w polu przed Poznaniem czynione, wę wrześniu 1594.

16) O obronie tatarskiej wotum na zjeździe średzkim 1 października 1594.

17) O wojnie tureckiej i innych potrzebach, wotum na sejmiku średzkim 10 stycznia 1595.

18) O procesie konfederacyi, mowa do króla w Krakowie na sejmie walnym, miana 11 marca 1595.

19) Protestacya o pewne urazy, przez starostę radziejowskiego pisana, a przez Piotra Gorajskiego mówiona, w Krakowie na sejmie przy żegnaniu, 21 marca 1595.

20) O zbór poznański zburzony, rzecz do generała wielgopolskiego w Poznaniu na zamku w jurydykę czyniona, 3 sierpnia 1595.

21) Respons Bykowskiemu kasztelanowi łączyckiemu dany w Toruniu na synodzie w kościele Panny Maryi, 23 sierpnia 1595.

22) Drugi respons tegoż dnia dany kasztelanowi dobrzyńskiemu i jego kolegom.

23) Instrukcyja panom posłom do króla, z synodu toruńskiego wysłanym, pisana i podana 28 sierpnia 1595, *których słuchać nie chciał.*

24) O paktach konwentach i o lidze przeciw Turkowi, rzecz we Sredzie na sejmiku 19 lutego, 1596.

25) O kommisyi do ligi z pany chrześciańskimi na Turka, wotum w Warszawie na sejmie 4 maja 1596.

26) O procesie do konfederacyi, mowa do króla na tymże sejmie 6 maja 1596.

27) Protestacya na sprawy sejmowe przez starostę radziejowskiego pisana, a przez Marcina Brodowskiego na końcu sejmiku przed stany zaczęta, lecz dla zagłuszenia niedoczytana 7 maja 1596.

28) O nierządach domowych i o wojnie tureckiej, wotum we Sredzie na sejmiku 8 stycznia 1597.

29) Justyfikacya tamże na sejmiku od panów posłów z przeszłego sejmiku czyniona, 10 stycznia 1597.

30) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

31) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

32) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

33) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

34) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

35) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

36) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

37) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

38) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

39) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

40) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

41) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

42) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

43) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

44) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.

45) O wojnie tureckiej i o wojnie w Górnym Śląsku 1597.



# CHATA ZA WSIĄ.

## POWIEŚĆ

*Józefa J. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy).

Po wierzchu patrząc na życie, jak potężne w niem różnice, jak wielkie stopniowanie losów w różnych klassach społeczności, a w miarę ich wykształcenia i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia, zajęcia, namiętności! Ale wewnątrz odartszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy: płaczem, radujem się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody.... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dlatego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz co w górze. Pozmieniane nazwiska, pochryzczone przystojniej czynności, poprzybierane namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach—wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczej tylko mniej komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedia odegrana nieuczono, instyktowie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne; a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadzój wprawdzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia; ale raz powstawszy śmieliej i rączej idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło ukrywać się i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia; już przed przybyciem cyganów wyгнаły je wspomnienia, zawsze następujące po nagłej a zupełnej życia zmianie, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żalami i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie, a Tumry zobojętniony, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jój plotła nieuważnie; ale nadto była hardą, żeby ze słowem wymówki odezwać się miała: Bolesć swoje zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innej przyszłości, przewidując zawczasu, że ten, dla którego wycierpiała tyle, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi, Motruna winna była instynktowemu wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry téż od téj nocy, w której powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżném się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błakał się beczynny, zdziaczały, nie widząc nic wkoło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roz-targnioném patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc choć niby nie opuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wątlą, jedyną dla niój zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Azę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zwieszoną na ramię Adama; gdy pieśń stara cygańska rozkołysała nim do reszty: nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jój ciężkiem powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, kręcąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowém panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtém;



a Aprasz, dawny jój dowódzca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także zmienił się do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drzeniem, i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy, lub zemsty pragnienie. Pod namiotem nie było ruchu jak dawniej; miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie koło kociołka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły i panosząc się łatwowiernością ludu z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swój władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nekając Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzémaniu.

Gnuśny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plądrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się tam w nim działo; ale codzien widoczniejszym było, że wkrótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłej trzymać dłoni.

Tumry przywłókszy się pod obozowisko, zastanowił się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej ziemi, sparty na żylastém ręku, leżał samotnie opodal od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego, spotkały się ich oczy, ale oba byli zarówno nieszczęśliwi, i dawna ich nieprzyjaźń zagasła w sercach, przybita nowemi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dados*, w najgorszym miejscu na gołej leżącego ziemi, nie miał już serca więcej mu naigrawać się.

— Ha! — rzekł zcicha uśmiechając się Aprasz — zabłąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie!

— Nie lepij sobie w obozie! — odparł Tumry.

— A kto wie? — rzekł *dados* — tybyś się może jeszcze na moje biędę pomieniał!

— A ty na moje?— spytał młodszy cygan.

— O! nie!— odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódzca— ja'm jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie. Chciała ta *byńk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził; niech poprobują, zobaczymy co będzie dalej. Męczą mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łają, ale ich nie słucham i śmieje się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jakto? nie przeklinasz swojej doli?— spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpieć! *Bukelisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rana i wieczora przy ogniu, a pełen: nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!

— Prawda — począł stary cygan — temu co rozkazywał całe życie, słuchać zrazu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty, coś Ażę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest jak *gweka* (kobieta jest jak wąż)— odparł Aprasz powoli—któż ją kiedy miał w rękę? Trzymasz, aniś się opatrzył jak ci się wysłiznie i ukąsi.

— Chybaś jój nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał zapóźno—szydząc odparł zmęczony dowódzca.—Dla mnie to była nie pierwsza miłość; tyś się na swojej nie poznał. Ja tę chorobę nieraz już przebolelałem; ty dopiero na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdrozczę ci, bo jeźliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobiéta! (*Byńk-egaszi*)—zamyślony odparł Tumry—któż wie co ona myśli, kto wie kogo kocha, kto powie co zrobi jutro!?

— Jak kobiéta—rzekł Aprasz zimno—a któraż z nich inna?— Czy *Ranni*, czy *gdzia* (cyganka czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki córki.....

— Nie, takięj jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spotka, nęci każdego, a z kamienia sama.

— Zacheciałeś: młodość w nięj szaleje! Jabym jój to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moja!!



W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodzić gotowa, by jeszcze użyć choć trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę naprawdę dla niej oszalał, Tumry! Dobrze ci tak!—rzekł Aprasz.

Cygan zamilkł.

— Z kolei—dolożył szydząc Aprasz— może kiedy będzie i twoją, gdy jój panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do cygana i zagrzać się przy czarnej jego piersi.

— Nie! nigdy!—gwałtownie przerwał młody cygan— bo gdyby potem uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków—powoli odpowiedział Aprasz, przeżuwając liść tytoniu— inaczeybyś patrzył na te rzeczy. Nie widziałeś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojej ucieczce, to nie wiesz jeszcze; jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich włókła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczynała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jój to wszystko! Bo w istocie ten szatan zwodzi tylko żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje; łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puze i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potem, potem na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jój na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jój gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada o sercu swoim, ustami zarcza że kocha:—pluń jój w twarz jak kłamcy, bo kłamie!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrział tylko za odchodzącym, i tak się rozstali milczący.

Znowu błędnym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony.

— Ha!—wolał sam do siebie— nie ma co myśleć dłużej: potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko.... Widziałem jój głowę na piersi tego zgnitego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do cyganów braci, ani żyć z gadziami, któ-

rzy jak psa odpychają. Ot! stryczek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę.....

Mysł ta, która już nieraz przeleciała mu przez głowę, teraz w niej silniej niż kiedy uwięzła. A życie stało się dlań tak ciężkiem i nieznośnem, że dalej dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziecię dlań było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła; na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Był to wełniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biędnej Motruny—i żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jej też lżej będzie, rzekł w duchu: bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle cygana niestało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie; na cóż żyć, żeby ludziom ciężyc i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci: w mrókach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń szukając okiem gałęzi, choć wkoło czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu?—zawołała z uśmiechem—chodzites widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie—gorzko odpowiedział cygan—żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcej nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„*Tłowawa jag...*“ (1).

— I słuchałeś pieśni?— spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakieś spoczywała na ramieniu *Raja* Adama....

— Trzebaż było dopatrzeć do końca — z gniewem odpowiedziała Aza—byłbys widział jakieśmy się rozstali!

(1) Początek cygańskiej piosenki od słów: „Palić ogień“.



— Lub jakieście się zesli? — spytał cygan z pogurda.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! — tupiąc nogą z gniwem przerwała cyganka.

— Nie, alem' się wytrzeźwił — krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

To mówiąc rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! — poczęła Aza przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego — co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się — rzekł cygan spokojnie. — Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dlaczego? dlatego że się dała uścisnąć temu schorzałem, staremu dziecku! — odparła kobieta.

— O! o! nie myślno znowu, żebym się wieszał dla ciebie — przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł — dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego niewarta!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i postrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namiętnością do cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! — rzekł — precz! Idź sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola jak niegdyś do obozu cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która gonila za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła; skronią uderzył się o pień dębu i upadł krwią zlany.....

Ponad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawieją dżdżystą; Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrej przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypita się znowu wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ścisniętej konwulsyjnie, i błakać się począł szukając drzewa, wy-

bierając gałęzie; gdy wtém przyszła mu na pamięć owa opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przekłętogo miejsca na czynność przeklętą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostataka i byłby może skończył na pierwszej krzywój sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gestych zarośli.

Staął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych starój budy strażniczój.

Jedna z belek na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbutwiałe leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostała dla niego; i nie wahając się więcej, rozwinął pas czerwony, końcami jego opasując ją zrecznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, usłyszał dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przelękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwalily, i słupy tylko trzymały jeszcze skelet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci cyganie kochanku—zawołał Janek kłaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym—choć raz przecie rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, że ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlicę.

— Nic! nic! nie przerywam—kończył parobek—nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzeć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderżnę, nawet kozika nie mam w majątku!

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem cyganku kochanie—mówił dalej powolnie Janek—że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrzadził, i tak pośpiesznego! Nol nol to i lepij: kończcie, kończ, nie bałamuć; ja



dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz Janku—krzyknął cygan—nie najgrawaj się ze mnie w ostatniej godzinie.

— A któżbyto śmiał z takiego wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w rękę, żartować sobie?? Godziłoby się to?— spytał Janek.—Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie!—wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał co masz robić, jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętej kobiécie, pewnie lepiej będzie bez takiego darmozjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie....

— Ale ba!—rozśmiał się Janek po chwili milczenia—tyś filut: płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to biada być może; dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć—i.....—

Tumremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było urągawisko.

— Ale ty—bo cyganku kochanie—kończył zimno Janek—tylko sobie żartujesz i probujesz, a darmo mię zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się spiał sięgając do węzła—i zawiśł z okropnym miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął, wstał po chwili, ukłonił się trupowi, i powolnie zwrócił się drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił,—rzekł w duchu do siebie—na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawałidroga! Sprawiedliwy człowiek: osądził się, i sam bez kłopotu wyprowadził duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nie zły byłby człowiek, gdyby się cyganem nie urodził, bo jak chatę budował, to było na co patrzeć; i gdyby go ta szatanica z czarnymi oczkami do reszty nie zbałamuciła, kto wié!!...

— Ale pod koniec ja sam miałem ochotę zarzucić mu stryczek na szyję, bo żonę zamęczał; ni wprzód, ni nazad z takim bestyą, a tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiewając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powlókł się do domu.

---

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecinę w zawieszonym od pulapu koszyku, który dla niej zawczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś spiewka lat młodych zabłąkała się na jej usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni.

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego i niepokój poczynał ją chwytać za serce, choć teraz od przybycia cyganów, codzień mniej, codzień rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swój powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora powrotu zwykłego do domu dawno była przeszła, na dworze wyl wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta coraz troskliwiej otulając dziecinę, podsycając ogień, nastawiała ucha, czy wpośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem; i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał z cyganami. Gdy dziecię usnęło, ona nie lękając się zdrzémnęła się także u ognia i kołyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowym drżeniem do zarania się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem: oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich do okienka, przez którego szyby mało co jej widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jój poczynał dochodzić do najwyższego stopnia.



— Miałaby już nigdy nie wrócić? — mówiła laniać ręce — miałaby go całkiem pochwyć i uprowadzić z sobą cyganie? Mógłby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić naraźsze? A! to niepodobna! On chyba zaborował, legł gdzie w polu: może mu się coś stało! Potrzebaby postać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszła jej zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziawszy narazie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w progu samym z starą się Jaga spotkała.

Nawet cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem:

— A! nie wiecie tam, nie wiecie wy co się z nim stało?

Cyganka ruszyła ramionami, i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj wieczór był u nas.... był... ale jak szalony.... Widzieli go potem latającego po polach.... Aza mi powiedziała, że ją złał, zbezcześcił za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie coś złego zrobi.

— Ach! — krzyknęła Motruna, w której sercu odezwęło się dawne przywiązanie — biegnijmy go szukać.

— Dalibyście pokój — wstrzymując ją za rękę odezwęła się Jaga — to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczora do południa wiele wody upłynęło! Lepiej się przygotujcie z awczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona nimi.

— O! ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!!

— No! a cóż robić? — zimno zaczęła baba. — Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł stariej cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły skelet, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać: może się błąka — zawołała Motruna; — i z dzieckiem na rękę, odepchnawszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą ponad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie goniła za nią; a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytno-

ści gospodyni splondrować. Motruna, którą ścieszka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma porząć z sobą; ale pomysławszy potem, że od cyganów coś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jej dopomódz; skierowała się ku ich namiotowi.

Biędne jej dziecko rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w drodze; ale cisnąc je tylko do piersi, już się dłoń nie zastanowiła Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzi liście Tumrego? — spytała zdyszana.

— Tumry — przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Apras. — A! to twój mąż być musi; był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! — jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy! — zimno, idąc dalej, odparł cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiała się w miejscu, nie wiedząc co porząć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Janka; gdy na wierzchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiła się błąda, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma, i instynktem wzajemnej nienawiści, poznały. Przybycie Motruny do obozu nadto było znaczące po wczorajszym spotkaniu cygana z dziewczyną, żeby ją uderzyć nie miało.

— Cóż się stało Tumremu? — zawołała Aza żywo podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego! — gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie!! — uśmiechając się gorzko odrzekła cyganka — chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! — szydersko, może raz pierwszy w życiu odezwała się kobieta — tyś Aza.

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto, a przedźję!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! — cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił! — popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! — cicho i posepnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie



przecież oczy zbolące wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, i ręce złamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego nie stworzonej, do reszty przestraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wie, ona wie! — zawołała — co się z nim stało; ona go musiała zabić!

Wtém Aza jakby odzyskując siłę i nadzieję, chwyciła się na nogi, obejrzała wkoło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jój tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśleć mogła ścigać za nią z dziecięcim i osłabieniem swoim.

Powlokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała cizba cyganów wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała na nią palcami, szepcząc:

— *Tumry Egaszil* (kobieta Tumrego) (1).

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalona myślą niebezpieczeństwa, a może śmierci Tumrego. Zdawało jój się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego cygana.

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała; wleciała do pokoju w którym pan Adam spoczywał, i przelekła go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka:

— Ratuj — zawołała — ratuj! Tumry cygan wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd niema go w chacie, niema go nigdzie: wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą!

— A cóż mię twój cygan obchodzi? — oziębłe, z zazdrością prawie odezwał się powoli pan Adam, puszczać kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *Raj* Adamie — krzyknęła Aza targając go za rękę zimną — dam życie, dam siebie, tylko go każ ratować!

Adam spojrział na nią nie ruszając się z miejsca.

(1) W języku cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mąż* i *żona*; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek.

— Oszałała — rzekł — cóż to! brat twój!?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony; ten bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę! — wyrwało się z ust cyganki — ratuj go! Ratuj!

— A jeżeli tak, nie mam się po co spieszyć — rzekł pan Adam — będziesz teraz moją!

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! — krzyknęła boleśnie cyganka drąc z gniewu rąbek i suknię — wysyłaj ludzi, wysyłaj ludzi!

Zapał z jakim wołała, głośny krzyk jej, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedz nie mając rozkazu pana, ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział nieruchomym posągiem, i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden cygan obchodził!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją — przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną; nareszcie chustką którą trzymała w ręku, uderzyła zmiecierniwnona po twarzy milczącego sybaryte, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwem, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynąło gromadzić się, zbiegać i powtarzać z cicha słowa cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozeszłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przecuciem niewytłumaczonym. Kilku ludzi poszło za nią.

Nawpół drogi do boru, spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach, szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, znano że żył z cyganem w drużbie; gumieny więc zatrzymał parobka, choć niewiele od niego spodziewał się dowiedzieć; bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.



— Słuchajno głupi Janek — spytał go — nie widziałeś ty czasem cygana, kowala.... Tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo? — udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— Al kowala, cygana, głupi Janku! z pod cmentarza.

— Cygana! Turego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) o! nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzież? gdzie? — podchwyciła Aza.

Janek nadto miał sprytu skrytego, żeby się wygadać za nadto i opowiadać rozmowę swoją, lub przyznać, że samobójstwa był świadkiem; odparł więc chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drzewka, bo czegoś rozwiązany pas niósł w rękę; to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie....

Aza krzyknęła zasłaniając sobie oczy.

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekaście! Na Popowęj niwie! Nie! nie! na Porosłaku! Nie! nie! w Lisich dołach; ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili się żywo w las drożyną ku pustej budzie włodącą; a Janek podjąwszy drzewka, posunął się dalej ku wsi, obejrzawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! — szepnął cicho do siebie — trochę zapóźno przyjdziecie! A! oż ja temu winien! Niechby był poczciwiej kołbięty nie zamęczał; a teraz dobrze mu tak!

Z bijącym sereem biegła Aza, a ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jęj tylko drogę, którą iść miała! Nierychło jednak dostali się do pustej budy, bo ścieżynki do niej wily się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z téj strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i piasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrawszy wiszą-

cy trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladeść.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę stała jeszcze nieśmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, cyganka skończyła na belkę i poczęła już targać węzeł utrzymujący szyję wisielca; a niemając noża by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę.....

Cyganka czołem padła na ziemię i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obesli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zawrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawując cygankę samą jedną nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i cichym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcie białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko; szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaszcłém już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dołę swoją.

Za nią włókł się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym kapeluszem w rękę. Dwie stare cyganki mrużąc coś pod nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także zdaleka za tym pogrzebem samobójcy. Nie było ani stypy, ani kuti, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wysypanej ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu i rzucili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać zaczął, a dwie cyganki stanęły na brzegu przypatrując się z odrętwiałą, głupowatą ciekawością narzucaniu ziemi, i powoli znikającej



trumnie. Motruna bez jęku siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu, czy macierzyńską czując boleść; patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska...

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i począł go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego rowu, i cała robota powoli się skończyła. Odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogiłę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień, dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się, a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki, z nieboszczyka na nią zwróciły swoje ciekawość, i stanawszy zdaleka, mruzczały spoglądając na biedną kobietę; ale się im przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągnęli się nazad: one także poszły za niemi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na niej porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedyniekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spojrział z pod brwi nieruchomój na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasepiło, a Motruna nie wstawiała.

— A co?—odezwał się długo wytrzymawszy Janek—chodźmy do chaty?

Motruna głową tylko potrząsała.

— Juźciż tu nocować nie będziesz—dodał.—Jeszcze tobie jak tobie, aleć i dziecku na wietrze i słońcu nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę, i spojrziała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewnie—kończył Janek—że dziecku to zaszkodzi; a zresztą co tu robić? Jużemy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niój. Kobięta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Plakać—rzekł Janek—można i w chacie, a już coś noc blisko; dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść—powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co?—zawołała Motruna.—O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek niezważając na lzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko nakłoniwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąz tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogilę; ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko—począł cicho—ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili włokąc z trudem i powoli, gdy Janek obejrawszy się zobaczył jak cień przesuwającą się cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogilę, i siadła na niej, a raczej rzuciła się na nią.

Niechcąc by ją widziała Motruna, przyspieszył kroku, i zagadując jęki które aż do nich dochodziły, copędzej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogilę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju z wyschlém okiem, przybita, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła dokoła wzgóрка, siadła na nim, wstawała znowu, ryczała jak zwierzę dziki; i wśród krzyku jęj dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruczności jakiejs pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa....

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szalu, jaki owładnął dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z nióm walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bołem swym żyła tylko. Niepodobną była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprzężonych rysach jęj twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej potężną dłonią męczarni.... Oczy zdawały się wybiegać zpod powiek, usta miała otwarte, zęby ściśnięte konwulsyjnie, czoło zwisłe nad zrenice, brwi ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione ponad głową....

Zdyszana piers miotala się jak fala, a chwilami brakło jęj jeszcze oddechu....



Nie wiem jak długo walczyłaby tak z cierpieniem, i odretwiąłość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jej meki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Stanął on naprzeciw niej, znówu silny, rozkazujący: taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! — krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył — do obozu!!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane,

— Do obozu *Egaszi!* do *kakabij* (kottła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a cygan chwyciwszy ją za ramię, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jej strony ani oporu, ani lzy, ani słowa, ani jęku; spuściła głowę, i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęzmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki,....

Tegoż wieczora obóz cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrepowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, którą Aprasz wyznaczył za stróża dziewczynie.

Dawny dowódzca objął znów żelazną ręką rządy gromady, a *Ramy* i *Puza* na czele, słuchali go jak niewolaicy do pańskiego przywykli głosu,....

My zajrzemy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jej do Tumrego, pan Adam naprzód się silnie rozgniewał, czując się upokorzonym tém nieszczęśliwém współzawodnictwem z cyganem; potem chciał gonić za cyganką, nareszcie bezsilny, gniewu się wyrzekł, i niewiedząc sposobu dogodzenia namierności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żadze odzywającą się jeszcze,

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu, który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że cygankę mocniej ukochał, więcej się do niej przywiązał, niżeli sobie wyobrażał zrazu.

Chciał za nią gonić, szukać jej, porwać ją siłą, niezważając ani na jej przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność

i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łzy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w piérwszój chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było, żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki; a jój pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanej z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego; bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biédna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dolę swoją oplakiwać.

Po śmierci cygana przybliżyli się do niój bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jój zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdosłatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niój uczynić, ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że cyganka mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunę zostawić na miejscu, w lepiance jój pod cmentarzem; a i tam nawet Maxym i Filip niewiele jój dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednowku, głośnie poczynaly wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko téż wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedają pozostałej odrobiny, opędza piérwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jój, ale tając się przed żonami, potrosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jój opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki w własnej chacie, tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż za jednego człowieka



i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo, że głupi Janek, który śmieliej i niepotrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do cygana: do nich się też więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególnie kobiecy zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był zniechęcił w końcu i prawie do samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci też jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowadził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży; w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczora zaraz nastąpił słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści łachmanów, zowiących się jego własnością, i nierzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską nazawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczną i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jej przędzę na motki, i różne drobne następując zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całymi godzinami kołysał; a w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałymi w garnkach resztkami jadła, którychby pieśczone psie nie chciało.

Nierychło opatrzone się w jego chacie, że głupiego Janka nie stało; ale kiedy kilka dni nie powrócił, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia postrzegli, że nie mieli się kim wyręczać; siostry nie miały kogo posyłać, lajać i nękać, a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali że darmo chleb zjadał, gdy go nie stało, stękać poczeli, że się nie obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podzić; ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata odebrać głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, lając go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawałek powrozu.

— A co ty tu robisz? próżniaku, darmożjadzie! A do cha-ty, do roboty—krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzył na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę,—odparł Janek spokojnie—myślę tu zo-stać i zostać!

— Albo to my pozwolim wbiec ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny?—odparł ruszając ramio-nami—he? Małoście mnie nawymawiali, że chleb jem darem-nie? A daliście mi kiedy szmat, odzieży; dali nową koszulę i choćby łapcie na zużone nogi? Kiedym ja wam niepotrzeb-ny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciśzku z panem Bogiem i kłaniajcie się odemnie staremu Łysce....

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wy-rzucił z sieni i drzwi podparł kółkiem; a napastnik nakrzy-czawszy i nadgrazawszy się z podwórza, poszedł z niczem do domu. Pozywano Janka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swoim się utrzymał; po-zwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano; nie miał więc żadnego obowiązku prac-o-wać tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki poczciwej strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzycell, poznawszy że im bez niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zażrze-bywać; probowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopierobyto był głupi Janek — mówił parobczak — że-by się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! nie-doczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagne, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi, i kłaniajcie się staremu Łysce....

Łysko, stary pies podwórzowy, byłto jedyny Janka w cha-cie przyjaciel.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nawet nie przyszło, żeby na nich dwoje gadać coś miano; ale złe we wsi języki nie da-owały i krzywemu Jankowi; ani bladej i schorzałej Motrunie: śpiewano o nich w karczmie, śmiano się u studni i na prze-lazkach, choć oni ani się tego domyślali.



Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego, w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło; a jednak gdy raz puszczo no plotkę, przyjęła się i swatano ich zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno się jój zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepięno go ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jój do nędznego życia; w niem były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jój usta coś hakształt smutnego, ławego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy niej, spała nad nią, i na chwilę jój nawet nie odstępowała. Czasem gdy upadła znużoną, Janek się podkradł i niezgrabnie zakłysał dziecinę; ale zaledwie zaplakała, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama piastowała ukochaną donię.

Takie tam było życie w tej mizernej lepiance, takie dnie, nocy, i jednostajnie płynące miesiące i lata. Wokoło ruch był na wsi: przemieniało się we dworze, ludzie się mijali, ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzecha słomiana porastała mchami, Motruna bladła i chyliła od pracy, Janek zółkł i garbiał codzien bardziej, dziecina chodzić poczyną; ale ani los odmieniony, ani dola lepsza nie zaświtała w lepiance cyganichy.

Włoska nie odstępowała jój wszakże, ale niebardzo też chętnie garnęła się do niej; nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczej lękając się jój ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nic nie ma straszniejszego nad nędzę: dotknąć jój ręką, spojrzeć się na nią lękają, żeby ku nim nie zajęczała prośbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!...

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie, bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogiej, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez

lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa; Janek zarabiał także, i lepiej od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawił kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kę-dziolką wdowy.

W tej wszakże nieustannój pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane; a że był przesądny i nie pojmował, z kąd taka zmiana przyjść mogła: przypisywał ją rzuconemu przez którąś bratową urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora, dla zdjęcia uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi ingrendyencyami wielce podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzej jeszcze i obległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna; wtoczył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie: aż gdy jednego wieczora uczuł się bardzo gorzej, pomyślawszy, że śmiercią swoją biédnej wdowie narobi kłopotu, wziął kosztur, i niepożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegła szczebiocząc, powłókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło; a gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! — rzekł otóż mnie i macie panowie braci-szkowie; chcieliście żebym do was powrócił, toć jestem na usługi! Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę*! (1).

Jakoż w godzinę potem, głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jój domyśliła raczej, bo zniknienie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się zżyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła odrazu i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili boleści przedśmiertnych pamiętał o niej jeszcze i bał się jój najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była

(1) Tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę.



przywykła, że zdawało jój się niepodobienstwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugito już raz tak wdową ją los robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznej chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała po miejscu, które pod drabiną w sieni, zimą i latem zajmował w rodzaju budki, skleconej z tyczek od fasoli i miętj słomy. W samej chacie pełno było śladów pracowitej ręki jego i przemyślnj głowy: wyuczył się bowiem z potrzeby bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał czém majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka....

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładnąc na niój wedle zwyczaju; bo tych bracia mu poskąpili.... Późno w noc, skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej chałupki, myśląc co pocznie z sobą i dzieciną, a myśl ta, ręce odebrała jój na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z marzeń przykrych, do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niój praca koniecznością, a ona najlepszym cierpieniem lekarstwem!

Trzeba było wziąć znowu kądziel i wrzeczono na chleb dla małej Marysi; ale nie było już kim się wyręczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwa!

---

W takiej niedoli i najostatniejszej nędzy, z dnia na dzień grożącej śmiercią głodną, rosła sierota, Marysia.

Matka widziała już w niój, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, małeńkie cudo a wielkie nadzieje; ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ujawszy fartuch Motruny małeńkiemi nóżkami, ścigając ją i podskakując jak ptaszę za matką: oglądali się z jakimś zajęciem na dziecko cygana.

Maryś, gdyż tak ją pospolicie nazywano, była w istocie śliczną dziewczynką, w której twarzyczce dwa złęczone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczki czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne

uśmiechu i słodczy; płeć dziwnie białą, włos złocisto-ciemny. W dzieciństwie już znać było dziwną zrećność ruchów, zwiastującą czém być miała, gdy rozkwitnie na dziewczętkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwyčajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybiegnięcia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zrećnie we wszelkiej pracy, tak nieraz zdziwiła ją zgadując myśl jój lub poddając radę, że Motruna miała ochotę klęknąć przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczora po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swojemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jój kolana, rozcałowując jój zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzenia wszystkiemu, i w głowie swój dziecięcej często więcej znalazła, niż matka w całym swém zbolalém sercu.

A tak się to umiało przymilić, uśmiechnąć, podobać, ułagodzić, że nieraz najobojetniejszy zatrzymał się gdy przemówiła; a stare nawet baby wracające z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś lat dwunastu, na bohaterkę ostatnią naszej chatki za wsią; a chcieli wiedzieć co się stało z sierotą, to poczekaście trochę do następnego opowiadania.

(Koniec tomu drugiego).



## ZAGRODA WIEJSKA.

POWIĄSTKA Z PIÉRWWSZYCH LAT XIX WIEKU.

(Ciąg dalszy).

### IV.

**W** las wjeżdża właśnie żółta kolasa.  
 Ale kasztanów czwórka nie hasa  
 Jako przed chwilą; bo Grzegorz stary  
 Wstrzymuje cugle, a pełen wiary  
 „Zdrowaś Marya” odmawia w myśli,  
 Nieznacznie krzyżyk w powietrzu krésie  
 Długiem biczyskiem. Wojciech strwożony,  
 Pod skrzydła Maryi Panny obrony  
 Rad się ucieka; a stolnik głową  
 Potrząsa i szepcze: „stało się słowo”,  
 Ilekroć niebo ognistym węzem  
 Jasno zaświeci: i jak puklerzem  
 Od ludzkich razów słońił się w bitwie,  
 Tak dziś ucieczki szuka w modlitwie  
 Gdy niebo grozi. Marcin znak krzyża  
 Kładzie na czoło, głowę uniaż;  
 A stolnik okiem śledzi Marcina,  
 I rad widocznie, że przypomina  
 Pobożny młodzian obyczaj stary.  
 Już się napoły godzi z Pijary,  
 Że filozofów mądrymi księgi,  
 Jeszcze ostatniej nie dali ciągi  
 Starój prostocie, i starój wierze.  
 I westchnie stolnik, bo mu żal szczerze  
 Biédnego chłopca.

Burza tymczasem  
Z coraz straszliwszym szumi hałasem:  
Widnokrąg ginie w szarym pomroku,  
Ostatni promień słońca w obłoku  
Krwawo odbija barwy mętnemi;  
Wicher szalony unosi z ziemi  
Tumany pyłu.

— „Stójże” — zawoła  
Stolnik na Grzesia; — „a toż dokoła  
Ani Bożego dopatrzeć światu.  
Jeszcze kasztany biedne ochwatu  
Dostać gotowe!”

— „Niechże Bóg broni!” —  
Odpowie Grzegorz — „bo takich koni  
Nie znaleźć pono.”

— „Oj te konkury!” —  
Pomruknie Wojciech. — „Jak w moście dziury,  
Tak my potrzebni byli w gościnie  
U kasztelanki,” — i ręką skinie.

— „Milcz Wasze — krzyknie stolnik, — bo słowa  
Waści, to plewa. Niech pańska głowa  
Nad rozkazami sama się biedzi, —  
A sługa niechaj jak trusia siedzi  
Na swoim miejscu.”

Wojciech ukosem  
Spojrzy na pana, pokręci nosem:  
Wié on, że milczeć słudze należy,  
Kiedy pan w gniewie; ależ odmierzy  
Z lichwą on pono pańskie gderanie,  
Kiedy pogoda znowu nastanie  
Po burzy w myśli dobrego pana.

A stolnik woła: — „Co u szatana  
Grzesiu! zmyliłeś podobno drogę?”

— „Ależ stryjaszku, zaręczyć mogę —  
Ozwie się Marcin zcicha, nieśmiało —  
Że dobrze jedziem. Pamiętam całą  
Drogę wybornie: tam na rozstaju  
Będzie krzyż stary; ztamtąd od gaju  
Grobla się ciągnie prosto przez błota;  
W lewo karczemka jakby sierota  
Tuli się sama, wpośród gęstwiny.  
Tam trzeba złożyć w lewo z drożyny,  
I wnet wyjedziem na szczere pole.”



— „Choćbyś miał Waszeć oczy sokole—  
Odrzecz stolnik—nie dojrzyś pono  
Krzyża ni karczmy: bo oczy toną  
W strasznej kurzawie.

— „Hal nie ma rady!  
Niech Grzesz odprzeże konia, i w zwiady  
Puści się naprzód—znowu zagadnie—  
A nam zaczekać pono wypadnie.

Podnieś kolasy pudło, Wojciechu!  
Bo dmie nie żartem wicher jak z miechu,  
I jeno patrzeć, jak dęszczy potokiem  
Lunie. Już niebo całe pomrokiem  
Ciemnym się skryło, a kropla wody  
Na twarz mi padła. Toż od przygody,  
By Pan Bóg raczył uchronić cało,  
„Kto się w opiekę” śpiewajmy śmia o.”

Grzesio tymczasem, posłuszny pana  
Woli, dosiada żwawo kasztana:  
Pędzi jak strzała, zawróci w prawo,  
I ginie skryty grubą kurzawą.

A mimo świstu srogięj wichury,  
Płynie dźwięk psalmu prosto do góry;  
I Pan zastępów pewno go słucha,  
Bo w serca wszystkich dziwna otucha  
Wstępuje, mimo że niebo pała  
Od jasných błysków, że ziemia cała  
Drży; bo pioruny biją w jęj łono,  
I ogniem z nieba konary płoną  
Starego dębu.

Wtém Grzesio wraca.  
Nienadaremna biednego praca:  
Znalazł krzyż stary, schylony łaty,  
W pobliżu małej na boku chaty  
Choć jęj nie dojrzał, ale przez szyby  
Blask go uderzył; toć bez ochyby  
Owa karczemka, którą Marcina  
Pamięć młodzieńcza wiernie wspomina.

— „No! w imię Boże!—stolnik zawoła—  
Ruszajmy dalej”—i znów do czoła  
Poniesie rękę, zbrojną w szkaplerze,  
I szepcze usta zcicha pacierze.

Grzegorz uderzy biczem kasztany,  
I choć świat Boży tumanem zwiany,

Rusza na oślep; a błyskawica  
Kiedyniekiedy drogę rozświeca.  
I przy jój blasku, na końcu gaju.  
Widać pochyły krzyż na rozstaju.

— „A teraz Grzesiu, zważaj gdzie droga  
Skreca na lewo, i w imię Boga  
Jedźmy, byle się wydobyć z lasu:  
Bo tutaj tyle szumu, hałasu,  
Jakby na sądzie straszliwym Pana.”

— „Ej!—rzecze Wojciech—toć to nieznaną  
Jakaś drożyna: istneż to czary  
Wyprawia z nami Boruta stary.  
Nigdzie w karczmie światło nie błyska,  
A dobrzeby też ogrzać kościśka.  
Przejęte chłodem. Toć od ulewy  
Nie tęga schrona pomiędzy drzewy,  
Bo one zwykły przyciągać gromy.  
Dobrzećby panu, garszteczkę słomy  
Porzucić w izbie, i poza progiem  
Nockę do świtu przeczekać z Bogiem!”

Gdy stary prawi, toć deszcz potokiem  
Lunie jak z wiadra. Daremnie okiem  
Grzegorz drożynę śledzi na lewo;  
Nigdzie jój nie ma: przy drzewie drzewo,  
A między drzewy gęstwa straszliwa,  
Kędy się knieja wilcza ukrywa.

— „Ha! trudna rada —znów stolnik rzecze,—  
Jedź Grzesiu prosto. Człek się przywlecze  
Do piérwszój lepszój wioszczyny przecie;  
Toć ich nie braknie na Bożym świecie.  
Tędy nie tędy, no mniejsza o to,  
Byleby dalej.”

— „Ależ tu błoto  
Ogniste panie—Grzesio? zagadnie—  
Ni znaku drogi; a jak wypadnie  
Ulgnać w kałuży, toć będzie bięda!  
Lepiejby ściągnąć na noc do żyda,  
Do owój karczmy, co tam na boku  
Jest gdzieś w zarosłach.”

— „Własnemu oku  
Wierzyć nie mogę—Marcin wyrzecze.—  
Toć szatan gmatwa drogi człewieczes  
Karczemka była tu jako żywo!”



A stolnik głową potrząśnie siwą:  
 — „Była nie była, nic tu nie nada:  
 Co człek poradzi, gdy darmo biada?  
 Tu jechać trzeba byleby dalej.  
 Straszna ulewa wali a wali  
 Potokiem z nieba, jakoby z cebra;  
 Mnie aż od zimna wytrzęsła febra.  
 Prosto jedź Grzesiu, bylebyś z drogi  
 W rów nie wywrócił: wszak nie zna trwogi,  
 Kto się w opiekę uciecze Pana.”

Grześ podsobnego zaciął kasztana,  
 I gdy się modlą, zwolna kolasa  
 Przecież na pole wyjeżdża z lasa.  
 Toczy się prosto, szeroką drogą,  
 Choć przed zamiecią nie dojrzec sroga  
 Chaty ni wioski; lecz wszystkim raźniej:  
 Człek nie doświadcza w polu bojazni,  
 Jak w ciemnym boru.

— „Chwałaż Ci Panie! —  
 Zawoła stolnik — toć przecie stanie  
 Człowiek na nocleg z pomocą Boga,  
 I matki Bożej, u chaty proga;  
 I wnet ogniska ogrzeje ciepło,  
 Krew w starych żyłach napoły skrzepłą.”

Ciągnież kolasa dalej a dalej,  
 Mimo wichury i strasznej fali.

A wtém światelko na lewo błyska.  
 Nie pożałował Grzesio biczyska,  
 I wnet zawraca w lewo drożyną;  
 A choć jój ślady przed okiem giną,  
 Kieruje śmiało kasztany w stronę,  
 Zkąd ono światło lśni upragnione.

Otóż i wioska. Mimo ulewy,  
 Jakby na dłoni widać ją, drzewy,  
 Zarosłą wkoło, jakoby wiankiem.  
 Na boku dworek drewniany z gankiem  
 Za kołowrotem; w oddali błyska  
 W oknie jaskrawy płomień ogniska,  
 Za dworkiem sterczą drzewiny sadu.

— „Toć — rzecze stolnik — nie ma przykładu,  
 Aby w szlacheckim domu niestało  
 Gościnniej cnoty. Zajeżdżaj śmiało

Grzesiu w podwórzec; w zamieci słotnej  
Trudnoż się błąkać.

Wtém kilkakrotny  
Dźwięk srebrny dzwonka, ucha doleci.

— „Bądź chwała Bogu! Kochane dzieci—  
Zawoła stolnik—jako Bóg Bogiem,  
Przed zacnym pono stojemy progiem,  
Kędy chowają obyczaj stary:  
Bo według dawniej naddziadów wiary,  
Toż loretański dzwonek w potrzebie  
Rozpędza chmury, a Pan go w niebie  
Niedarmo słucha.”

Grzesio tymczasem,  
Gdy stolnik mówi, palnie z hałasem  
Z długiego bicza, i wpośród huku  
Przed starym dworkiem stawa na bruku.

Choć okno lipa słoni liściasta,  
Widać jak płomień nieci niewiasta  
W izdebce małej; i do ogniska,  
Gdy blady płomyk słabiej polyska,  
Corazto nowy przyrzuci wianek.  
Woń macierzanki bucha na ganek.

Stolnik rad, zwolna zsiada z kolasy  
I myślą ściga ubiegłe czasy,  
Kiedy bogdanka jego dokoła  
Dworku dzwoniła, i wonne zioła  
Palila w czasie srogiój zamieci.  
To mu wspomnienie, jak gwiazda świeci  
W mroku żywota; bo w dniu tym pono  
Raz pierwszy ujrział swą ulubioną!

Zsiada i Marcin; a wtém z ubocza  
Mignie dziewczeczki postać urocza.  
W błękitną chustkę skryta jój głowa;  
Znać przed ulewą rada się chowa,  
I jeno widać, jak w drobnój dłoni  
Dzwonek święcony dzwoni a dzwoni.

Wtém się niewiasta ukaże w progu  
Schylona laty:—„No, chwała Bogu!—  
Zagadnie zcicha—żęcie bez szkody  
Uszli wśród burzy wszelkiej przygody,  
Szanowni goście! Toć proszę dali:  
Ogień w izdebce ciepły się pali.



Osuszyć odzież roztropność radzi.

A niechaj strawę dadzą czeladzi,  
Koniom gołego owsa i siana"—  
Rzecz do ucha starego Jana.

I w progi gości prowadzi rada,  
I do ogniska drewek przykładą.  
A na kominku ogień gdy bucha,  
Wstępuje w serca wszystkich otucha:  
Bo cichnie łoskot straszliwej fali,  
Grzmot się odzywa corazto dalej,  
I tylko z pluskiem biją o szyby  
Rzęsiste krople.

— „Toć bez ochyby

Łaska nas jeno ustrzegła Boża—  
Rzecz niewiasta—Niedarmo hoża  
Marynia, dzwonkiem z Loretu chmury  
Rozpędza: jakby białemi pióry  
Anioł je zganiał z Bożego świata.”—

I macierzanki przysypie kwiatu  
Zmarszczoną dłonią znów do ogniska;  
Bo znów na niebie jaśniej zabłyśka,  
Jakoby czarne pękło sklepienie.  
I znów w oddali słycać dzwonicie.

Potém dokoła cisza głęboka.  
Już mig błyskawic nie razi oka;  
Z poza obłoku nawet nieśmiała  
Wyrzała z nieba, gwiazdeczka mała.  
Już i plusk deszczu ustaje zwolna,  
A babuleńki dłoń nieudolna,  
Darmoby okno odemknąć rada;  
Gdy wtém pan Marcin żwawo przypada,  
Pomaga dzielnie, wstrząśnie żelazem:  
Toż i okienko za silnym razem  
Otwarte całe.

Babunia siwa

Pieszczonym głosem Maryni wzywa.  
Przybieży dziewczę z dzwoneczkiem w dłoni,  
I spojrzy w okno. Dziwnie się płoni,  
Widząc nieznaną postać młodziana:  
Boćto we dworku rzecz niesłychana!

Samotne zwykle domowe progi:  
Wprawdzie ich nigdy żebrak ubogi  
Nie zwykł pomijać, ani z klasztoru  
Kwestarz, gdy bryką z dworu do dworu

Jeździ za zbożem; lecz to zjawisko,  
Gość jaki taki pod strzechą niską.

— „Chodź tu co żywo, Maryniu miła!  
Kiedy nam gości Pan Bóg przysyła” —  
Rzecz babunia.

### Dzieweczka w progi

Wstępuje pełna nieznaną trwogi;  
Niebieską chustkę z główki odchyli,  
A jasny połysk błysnie w tej chwili  
Nad białym czołem, złotych warkoczy;  
I migną cudne, błękitne oczy  
Z pod długiej rzęsy. Urok dziewiczy  
Lśni na obliczu, i tajemniczy  
Ogień źrenicę dziwnie zapala;  
A małe usta, niby z korala  
Wycięte, uśmiech ozdabia cudny.  
I z czoła bije odblask uludny,  
Jak na dziewicy świętej obrazku.

Marcin oniemiał na tyle blasku,  
I dziwnym ogniem młodziana oko  
Zalśni; a serce bije głęboko,  
Jakby krew wszystka zbiegła do łona;  
A na obliczu rumieniec kona.

I cóż dziwnego? — wszak krew nie woda,  
A istne cudo dziewczeczka młoda!

Ależ to większe podobno dziwy:  
Jak gromem tknięty stolnik sędziwy!  
Zaledwie rzucił na dziewczę okiem,  
Wzrok starca mglistym zachodzi mrokiem  
Jakieś wspomnienie pierś skrzepla rani:  
— A toż to istny obrazek Frani! —  
Pomyśli stolnik — czy duch niebogi  
Z tamtego świata nawiedza progi?  
Wszakcóż ona! Wszchemocny Boże!  
Jój złote włosy, i lica hoże,  
Jój drobna kibić, i rączki małe,  
I jój spojrzenie ciche, nieśmiałe!

Wtém ogień błysnie, i znów na ścianie  
Stolnik swą piękną dostrzega Franie  
Na wizerunku. O! tamta pono  
Silniej zakrzeple porusza łono,  
Bo tam spostrzega nawet i szaty,  
Które dawnemi nosiłałaty;



A włos trefiony nad jasnym czołem,  
Wije się wdzięcznie nadobnym kołem.

A wtém mu prawda zaświeci w myśli,  
I rzeczywistość jasno się skryśli  
Przed zadziwioném stolnika okiem:  
Na babuleńkę popatrzy bokiem,  
I dawnych rysów dostrzega ślady!  
Widzi dokładnie ów pomrok blady,  
Co go długiego żywota bole,  
Ciężkimi rysy znaczą na czole;  
I widzi uśmiech, co zwiędłe usta  
Barwi nadobnie, choć go myśl pusta  
Już nie podsyca: bo w nim boleści  
Dostrzega piętno.—I czemuż piesci  
Ów senny uśmiech zorane lica?—  
Pomyśli stolnik, a tajemnica  
Jakby na dłoni świeci mu pono:  
Widzi w uśmiechu myśl nieskażoną,  
I widzi odblask prostoty świętej,  
Co go nie przejmą żywota mięty,  
Gdy w sercu czyste źródło dobruć,  
Ziemską tułaczkę nadobnie złoci!

I wszyscy milczą; jakby w komnacie  
Anioł wapomnienia, w bieluchnej szacie  
Przemknął, szeleszcząc jasnemi pióty:  
Powiał swobodę, i czarne ohmury  
Rozproszył nagle.

#### Babunia rada

Gościom, z stolnikiem przy ogniu siada:  
Przyrzuca parę drzazg do komina,  
I pogawędkę zwolna zaczyna.  
Naprzód nieśmiało, niby półgłosem

Marcin na dziewczęce patrzy ukosem  
Wreszcie zagada: aż płyną słowa  
Jak potok wody; i dziwnie głowa  
Płonie młodziana.

#### A stolnik stary

Wychyla miodek po kropli z czary;  
A kiedy w czarce napój wysycha,  
Znów go babunia dolewa z cicha.

Rumieniec krasi stolnika lica,  
I dziwnym ogniem płonie żrenica.  
Rozprawia żywo: to ręką skinie,  
To się pogładzi znów po czuprynie;

To się nasroży, to niby dąsa,  
 To niby raźniej pokręci wąsa;  
 Aż mu babunia z powagą poda  
 Zgrzybiałą rękę — i słowo: „zgoda”,  
 Z zwiędtych ust starców wypływa wzajem.

Stolnik przycisnie starym zwyczajem  
 Rękę podaną do ust, i w mroku,  
 Łza pełna w zgasłym zaświeci oku;  
 Popije miodku, i szepnie słowa:  
 Zaprawdę! zacnaż to białogłowa!

W przyległej izbie, szczękiem w talerze  
 Jan zapowiada blizką wieczerzę.  
 Wtém stolnik rękę babuni poda,  
 Za niemi para nadchodzi młoda:  
 Marcin z Marynią, i siądą społem,  
 Tuż obok siebie znowu za stołem.

Jan na starego skinie Wojciecha,  
 Wojciech się z boku niby uśmiecha;  
 Boć się to oni, dawnemi laty  
 Znali, gdy jeszcze chorążyc w swaty  
 Do swój bogdanki zajeżdżał chyżo.  
 Toż choć się góra z górą nie zbliżą,  
 Wszelako z ludźmi inaczej bywa;  
 A gdy się głowa spotka sędziwa  
 Z drugą czupryną, szronem sprószoną:  
 Nie żartem płonie zakrzepłe łono,  
 Skoro przypomną ubiegłe czasy,  
 Gdy pełni życia i pełni krasy,  
 Znali się niegdyś, a dziś zgrzybiali  
 Starcy nad grobem znów się spotkali!...

A po wieczerzy, znów się rozmowa  
 Ciągnie a ciągnie; wszakci osnowa  
 Do niej nielada! Babunia mota  
 Niby na pasmo, bole żywota,  
 I nie starganą wysnuwa zwolna,  
 O ile pamięć jój nieudolna  
 Dościga troski, co się przewiły  
 Z poranku życia, aż do mogiły.

Inaczej pono, Marcin Maryni  
 Szepcze na uszko, i inne czyni  
 Pytania młodzian. O! bo im świeci  
 Gwiazdeczka złota; toż i myśl leci  
 Niby do nieba po jój promieniu.  
 Widzą błysk jasny, i jeno cieniu



Dostrzedz nie mogą; lecz co im po tym?  
Niech oko blaskiem napoją złotym,  
Póki tak wdzięcznie w duszy jaśnieje!

Wtém kur znienacka schrzyły zapieje.  
— „Jakto? już północ?” — młodzian zapyta,  
I w jasnym oku dziewczynki czyta  
Miłą odpowiedź. Żal jój, że płynie  
Czas nazbyt chyżo.

A babka skinie  
Ręką na wnuczkę, zegna stolnika,  
Zegna Marcina, i w alkierzyka  
Wchodzi podwoje z Marynią społem.  
Przed Matką Bożą obiedwie czołem  
Kornie się chylą; modlitwy słowa  
Płyną im z serca, a tęskna głowa  
Dzieweczki, ogniem nieznanym płonie.  
A dziwny spokój w babuni łonie  
Panuje znowu: jako przed laty,  
Kiedy jój lśniły na licu kwiaty,  
Dopóki życia bole i słoty  
Nie zwiały z nieba jój doli złotój!

## V.

Toczy się drogą żółta kolasa,  
A czwórka łysych kasztanów hasa;  
Nad niemi długim biczykiem Grzela  
Rażno wywija. Niekiedy strzela  
Okiem w kolasę; rad się uśmiecha:  
Niby w starego serce, pociecha  
Dziwna się wkrada. To znowu bokiem  
Nieznacznie zmierzy Wojciecha okiem;  
A kiedy starzy patrzą pospołu  
Na siebie: Grzesio nie widzi dołu,  
Ani kamienia. Stolnik w kolasce  
Biada półgłosem, wsparty na lasce,  
I już Grzegorza posądza zcicha,  
Ze coś nad miarę palnął z kielicha.  
Ale nie łaje; dziwna pogoda  
Świeci mu w duszy, i niby młoda  
Myśl, jasne wspomnień okrąża koło.  
To na Marcina spojrzy wesoło,  
Radby go wyzwiał do pogawędy;  
Nie wie jak zacząć. Tędy, owędy,

Zachodzi zdala, ale daremno:  
 Bo myśl młodziana ściga tajemna  
 Gwiazdę, co po raz pierwszy tak jasno  
 Błysła mu w mroku, że przy niej gasną  
 Wszelkie pamiątki; której uroczy  
 Blask cudnie olśnił młodziana oczy,  
 Co przyszłość całą, zaklętém kołem,  
 Z piękną Marynią oplata społem.  
 Milczy więc Marcin, nie rad rozmowie,  
 By nie pierzchł urok, co w sennéj głowie  
 Myśl dziwnym blaskiem nagle zapala;  
 I w roztargnieniu chętnie zezwala  
 Na każde stryja rzeczzone słowo:  
 Potwierdzi usta, i skinię głową,  
 A myśl tymczasem swój wątek snuje  
 Dalej a dalej. Pono to czuje  
 Stolnik sędziwy; toć przez pustotę  
 Wdzięk kasztelanki sławi i cnotę.  
 Marcin potwierdza raz pierwszy w życiu!  
 Stolnik się szczerze śmieje w ukryciu;  
 Coś nawet bąknie wedle wesela,  
 A Marcin zdanie stryja podziela.  
 A stolnik szepnie pełen swobody:  
 „Szczęśliwy Marcin! zwyczajnie młody!”

A wtém zdaleka, dzwonek z kościoła  
 Lud wierny Bogu do modły woła.  
 Stolnik pokornie głowę unia,  
 Na czoło, piersi kładzie znak krzyża,  
 I szepcze zcicha: *Ave Maria*.  
 A gdy niebaczny Grześ nie omija  
 Ani wyboju, ani kamyka:  
 Nie rzecze słowa, jeno wykrzyka  
*Gratia plena* wzniesionym głosem,  
 I znowu zcicha mruczy pod nosem  
*Ora pro nobis*.

Biędne kasztany  
 Cały dzień Boży, kłębami piany  
 Okryte całe, zwolna się wleką;  
 Aż gdy uczują, że niedaleko  
 Własna zagroda: toż zbiorą nogi,  
 I chyżo biegną pośrodkiem drogi.  
 Tak i człek, gdy ma wytkniętą metę,  
 W blizkim znajduje celu podniętę.

I stolnik niemniej rad, że w oddali,  
 Zpoza kłosistój dostrzega fali



Biały swój dworek; a przy parkanie,  
 Widzi opodal gniazdo bocianie  
 Na starym dębie, i widzi wieżę  
 Małą kościółka. Toć się i szczerze  
 Pomodli w myśli, dziękując Bogu,  
 Że do nizkiego znów wraca progu  
 Z pogodą w duszy: jakby w żywota  
 Pasma wsnęła mu, się znów nie złota.

O! bo któż nie wie, jak miło człeku  
 (Gdy o trumienném jeno już wieku  
 Myśleć mu wolno), odwrócić kartę  
 Żywota księgi, i niezatarte  
 Wyczytać zgłoski, skreślone krwawo:  
 Że prawda była jeno podstawa  
 Długich dni jego!... Toż dzięki Frani,  
 Stolnik przeszłości już swój nie gani,  
 Jak to zwykł czynić przez długie lata.  
 Wszakże afektów jego zapłata  
 Była w jej sercu, biédném, starganem;  
 Wszak on był niegdyś wyłącznym panem  
 Myśli jej wszystkich. Choć sądy Boże  
 Kazały biednej cierpieć w pokorze;  
 Toć ona wpośród bólów bez końca,  
 Jak kwiat na smugu, do swego słońca  
 Co jej zabłysło niegdyś w poranku,  
 Stała stęsknioną myśl bez ustanku.

Toż stolnik w wspomnień pograżon tłumie,  
 Choć sobie sprawy zdać z nich nie umie,  
 Przecież rad w duszy, raz po raz głową  
 Skinie, i zcicha wyrzeczce słowo:  
 „Zacna niewiasta“.

Gdy stolnik marzy,  
 Studzy na kozle gawędzą starzy.

Wdzięcznie się chwieją pszeniczne kłosa,  
 Skapane w kroplach wieczornej rósy  
 Z obu stron drogi. Toż ucieszony  
 Stolnik, rad patrzy na bujne plony  
 Swój pracy: onto dłońmi własnymi  
 Przed Matką Boską siewną, w jesieni  
 Ziarno pszeniczne siał w one rolę,  
 I zdał swój zasiew na Bożą wolę.

On co dnia, czy to wichur, czy ślota,  
 Wsparty na kijku, grzążnie wśród błota  
 I kraży wkoło wieczorną porą,  
 Między owczarnią, stajnią, oborą,

A ręką zegna na wszystkie strony;  
 Toć mu udziela Pan Bóg obrony  
 W wszelkiej przygodzie, i od pół wieka,  
 Strzeże od gromu i złego czelaka.

I teraz stolnik pogodnym okiem  
 Patrzy, jak owce skryte obłokiem  
 Kurzawy, biegną.

Już się do krzyża

Żółta kolasa żwawo przybliża;  
 A poza krzyżem wleką się pługi  
 Po cztery woły, i szereg długi  
 Bron wraca z pola, unosząc z ziemi  
 Tumany pyłu. Skoki rażnemi  
 Sadzą kasztany; Grzesio wywija  
 Biczem. Wnet pługi i brony mija,  
 Aż w końcu na bok od siebie złoży  
 Ku wiosce. Naprzód mija dom Boży.  
 Stolnik się skłania, a za nim drudzy:  
 Bo co pan czyni, czynią i słudzy.  
 Wié stolnik o tém: to téż ni cienia,  
 Nie da czeladce wiernéj zgorzenia!

Potém się ciągną szeregiem chaty.  
 Znać, że kmieć każdy w wiosce bogaty,  
 Bo ma ogródek, czyste domostwo,  
 A co największa—i dziątek mnóstwo.

Przed każdą chatą, jako grzegółki  
 Bawią się w piasku drobne pacholki;  
 A wszak wiadomo, że kiedy darzy  
 Hojnie dziatkami Bóg gospodarzy:  
 To jakby złoto siał im u proga.

A kiedy rosną z pomocą Boga  
 Hoże dziateczki: to i na roli  
 Będzie podobno chléba do woli,  
 Gdy rąk nie braknie, by uprawiły,  
 Przy wspólnej pracy swój zagon miły.

„Kogo Bóg stworzy, toć nie umorzy“  
 Kmiotek powiada; i rad się korzy,  
 Ilekroć z serca jego pociechą,  
 Dziecię zakwili pod niską strzechą.

Stolnik rad patrzy na pacholęta:  
 Każde poznaje, każde pamięta  
 Nawet z imienia; a wiele pono  
 Na jego rękę wodą święconą



Krzyżem, ksiądz pleban znaczył z chrzcielnicy.

A chociaż mało widać różnicy  
 Między dziafkami, bo każde chłopie  
 Ma włos białawy, jakby konopie,  
 Ręce czerwone istnie jak raki,  
 I ogorzałe wszystkich buziaki,  
 I koszuliną jeno odziane,  
 A wszystkie równo krajką związane; —  
 Przecież je stolnik pozna i mrokiem,  
 Bo nie przed jego nie ujdzie okiem.  
 Wszystko pamięta, co kiedy było:  
 Którego roku zboże płaciło,  
 Którego lata był pomór srogi  
 Na bydło; kiedy na lud ubogi  
 Przyszedł głód straszny; kiedy na niebie  
 Bóg znak ukazał; w której potrzebie,  
 Z kim trud i znoje dzielił napoły;  
 Z kim jezuickie odprawiał szkoły;  
 Z kim był w palestrze niegdyś w Piotrkowie:—  
 Wszystko się w starca uklada głowie.  
 I choć ksiąg stolnik niewiele czyta,  
 Księga żywota stoi odkryta  
 Przed jego okiem: znane mu zgłoski,  
 Które w niej palec zakreślił boski.

Niechaj się jeno stolnik rozgada,  
 Toć on każdego ojea lub dziada,  
 Babkę, prababkę znał doskonale.  
 I nieraz starzec w dziwnym zapale,  
 Słyszac jak ludzie do oszczerstw skorzy,  
 Obwinia kogo: pięść w kułak złoży,  
 I o stół bijac—, bajka!—powiada—  
 Pamiętam dobrze zacnego dziada:  
 Dzielny był człowiek, a zacnych plemię  
 Nie marnie w świętą zstępuje ziemię!  
 Na bożym świecie nie ginie cnota  
 W pocziwych rodzie: jakem Prandota!

A na tak groźne stolnika słowa,  
 Dalsze potwarze każdy rad chowa,  
 I nikt szermierzyć nie śmie językiem:  
 Bo nie przelewki z starym stolnikiem  
 Toż kord gotowy lub karabela,  
 W obronie zacnej krwi przyjaciela.

Otóż i dworek otynkowany  
 Bieluchno wapnem; trochę już ściany  
 Zapadły w ziemię. I nie dziwota:  
 Blisko dwa wieki, Jacek Prandota

Pradziad stolnika, z wołoskiej sprawy  
 Wróciwszy do dom, ledwie znój krwawy  
 Otarł, wnet skromny dworek wystawił  
 Na swym zagonie. Bóg błogosławił  
 Panu Jackowi przez długie lata;  
 Bo choć w młodości niemało świata  
 Przebiegł, i użył biedy niemało:  
 Przed śmiercią przecież rodzinę całą  
 Widział w znaczeniu. Starsze dwa syny  
 Z królem Leszczyńskim, obcej krainy  
 Zwiedzali progi; młodszy w powiecie  
 Rej prowadzili: jeden w birecie  
 Na Jagiellońskiej zasiadł wszechnicy;  
 Drugi przeorem nawet w stolicy  
 Był Paulinów. Żaden broń Boże  
 Na króla Sasa nie służył dworze,  
 Bo i pan Jacek nie życzył Niemca.  
 Toż się usunął, gdy cudzoziemca  
 Na tron wezwano; a Bóg przy skonie  
 Skrzepił otuchę w gasnącém łonie,  
 Bo gdy legł Jacek, na łożu bolem  
 Złożon ostatnim: Stanisław królem  
 Wykrzyknion, wracał w domowe progi,  
 I Jacek skonał, wolen od trwogi.  
 Nie przewidując, że za lat parę,  
 Zacny Stanisław znów kości stare  
 Poniesie zdala, za góry, lasy,  
 I znów koronę odziera Sasy.

Toż i pan stolnik cześci pamięć Jacka,  
 I rad pogląda, jako junacka  
 Na konterfekcie starca postawa,  
 Nieraz mu ducha jakoś dodawa  
 W ciężkiej przygodzie: więc go w komnacie  
 Głównej umieścił. Pan Jacek w szacie  
 Karmazynowej, na karabelę  
 Rękę zakłada; włosów niewiele  
 Na podłolonęj widać czuprynie:  
 Toż za to wąsem nielada sływie  
 (A długi, biały, istnie jak mléko).  
 Brew jeno ciemna ponad powieką,  
 A najeżona, dając mu srogą  
 Postawę, dziwną przeraża trwogą.

Przy panu Jacku konterfekt żony,  
 Z marmurkiem wkoło, zacnej matrony,  
 Ciemny kontusik; kołpaczek mały  
 Zdobi jój głowę, a posiwiały



Włos, na pobladle wiję się skronie.  
 Znać z niezmaconym spokojem w łonie  
 Przebiegła długą drogę żywota:  
 To też swoboda jaśnieje złota  
 Na zwiędłym licu, a uśmiech błogi  
 Świadczy, że na grób patrzy bez trwogi.

I innych mężów znanych z zasługi  
 Szereg na ścianie ciągnie się długi.  
 Toż stary stolnik ledwie w komnacie  
 Wszedł progi: wita cne antenaty  
 Skinieniem głowy; a jeszcze wprzód,  
 Krzyż znaczy kroplą święconej wody,  
 Co z kropielnicą nad twardem łóżem  
 Pod wizerunkiem przybita Bożem.

W komnacie sprzęty starego wzoru,  
 A nigdzie zbytku, nigdzie wytworu;  
 Bo ich się stolnik jak ognia boi,  
 Wiedząc, że naród prostotą stoi.

Zegar z kurantem wisi na ścianie,  
 Aż słyhać zdala sekund cykanie.  
 Komin kapiasty; przy nim kaflany  
 Piec, w liczne wzory pomalowany.  
 Jest na nim Adam, wraz z matką Ewą;  
 I waż ohydny, i rajske drzewo;  
 Jest wieża Babel, i szereg świętych  
 Dziejów, z biblii prosto wyjętych.  
 A na drzwiach ręka stolnika stara,  
 Kacpra, i Malchra, i Baltazara  
 Miana skreśliła jeszcze w Trzy Króle.  
 Na biurku księga tuż przy szkatule  
 Spoczywa wiecznie: jedyna księga,  
 Co w niej rad stolnik wieści zasięga.  
 Staryto herbarz, on pomnik złoty.  
 Między innemi przodków Prandoty  
 To go też stolnik wielce uważa.  
 A obok miejsce dla kalendarza:  
 Tknąć go nie wolno; nawet Marcina  
 Gdy go poruszy, stryj napomina.  
 Bo w kalendarzu, na karcie próżnej,  
 Stolnik wpisuje, co mu kto dłużny.  
 A wkoło pełno ma wierzycieli,  
 Bo dobroć starca wszystkich ośmieli:  
 Każdy do jego szkatuły idzie  
 Jak w dym, strapiony w chwilowej biedzie.

Choć o odbiorze długów nie marzy  
 Poczciwy stolnik: toć kalendarzy  
 Nie rzuca w śmieci. Tam zapisuje  
 Jak w którym roku zboże plonuje,  
 Czy mróz był srogi na święty Maciej  
 Czyli deszcz padał w dzień siedmiu braci;  
 A na Marcina, czy się sprawdziły  
 Wróżby, co ołnich gąski prawily?  
 Czy w wigilią świętego Jana  
 Plusk skoszonego nie skapał siana:  
 Co gorsza, czy też, jak zwykle bywa  
 Z tego powodu, przez całe żniwa  
 Nie padał, aż do Urszuli świętej,  
 I czy nie przepadł plon porośnięty?  
 Czy w okolicy, w dzień Palikopy,  
 Grom nie uderzył w pożęte snopy;  
 Po męczennikach czyli też wreszcie  
 Było naprawdę mrozów czterdzieście?..

W środku komnaty, toż stół nielada  
 Stoi dębowy: tam stolnik siada  
 Z domownikami do zwykłej strawy:  
 Gdy gość się trafi, tam i do kawy  
 Wojciech nakrywa; a stolnik rano  
 Polewkę z piwa, ze serem grzaną  
 Tam rad zajada, Oj! lat niemało  
 Ow stół pamięta, a stoi cało!  
 Jak stolnik mówi, dawny jak dworek:  
 Nie jeden pękł tu wina gąsiorek;  
 A jak to było za króla Sasa,  
 Niejeden za nim rozpuszczał pasa.  
 Oj! nie jeden tu wysechł dzban miodu,  
 A nigdy przy nim nie doznał głodu,  
 Gość, ni domownik: bo stolnik stary,  
 Hojnie szafuje bożemi dary.  
 Każdego w równej czci on zachowa,  
 Byleby tylko szlachta herbowa:  
 Toż czy w kapocie, czy w karmazynie,  
 Wszystko za pan brat. Niedarmo słyńia  
 Gościnność starca w całym powiecie:  
 I niedorośle wie o niej dziecie.  
 Każdy go kocha i każdy cnoty  
 Wielce starego ceni Prandoty.

Obszedłszy kąty, stolnik rad w duszy,  
 Natulił białą czapkę na uszy;  
 I wziawszy, w rękę kosztur sękaty  
 Skuty w żelazo, wyszedł z komnaty,



I jako zwykle w wieczorną dobę  
 Poszedł obejrzyć swoją chudobę.  
 Choć mu nie wszystko może ku myśli,  
 Przez szpary patrzy; krzyżyk nakreśli  
 Jak co wieczora. A tak mu jasno  
 W duszy, tak miło pod strzechą własną,  
 Chociaż samotną: boć mu już w głębi  
 Gorzkie wspomnienie serca nie ziębi.

Rad więc zasiada w końcu przed gankiem.  
 Ukryty starych kasztanów wiankiem,  
 I na omszonym łąy kamieniu,  
 Wsparty na kijku, duma w milczeniu;  
 A przy nim duma i Brysio stary,  
 A u stóp legną łowne ogary.

Wojciech się krząta koło wieczerzy,  
 Raz po raz okiem stolnika zmierzy,  
 I skinie głową.

Marcin nieboże

Rady dać sobie jeno nie może.  
 Wybiegł w ogródek, krąży nad wodą,  
 I niby widzi Marynię młodą,  
 Jój cudne oko, jój świeże lica;  
 A kiedy mignie promień księżycy  
 Pomiędzy lipy: zda mu się pono,  
 Że widzi w bieli swą ulubioną.  
 Ślady jój w drżącym promieniu goni,  
 W uchu mu niby dzwoni a dzwoni  
 Dzwonek z Loretu srebrnym tony,  
 Czy téż Maryni głosik pieszczony.

## VI.

Nad Bożym światem wdzięcznie biaława  
 Mgła się unosi. Pożółkła trawa;  
 Wrześniowe szrony zémily już kwiaty.  
 Nawet rój ptastwa ubiegł skrzydlaty  
 W dalekie kraje, za blaskiem, ciepłem,  
 W trwodze, ażeby, gdy zima skrzepłem  
 Płaszczem odzieje półmartwą ziemię,  
 Nie zmilkło piewców na wieki plemię.  
 Poranna zorza przecież rumieni  
 Nadobnie wdzięczny obraz jesieni;  
 Bo cóż nie piękne na Bożym świecie!

Choć słoty zwieją majowe kwiecie,  
 Z bujnego liścia strzaskaną konary,  
 A cień murawę zalegnie szary:  
 Ma za to jesień wdzięczne owoce,  
 A złoty promień jeszcze migoce  
 Jasno nad ziemią.

Gdy błysnie zorza,  
 Stolnik rad wstaje z twardego łoża;  
 Wsparty na kiju, ku ogródkowi  
 Idzie pomału. Tam zwykle mówi  
 Starzec pacierze; tam w rannój ciszy  
 Mniema, że Bóg go lepiej dosłyszysz;  
 Tam się w pierś bije, tęskną zrenicę  
 Zwraca ku niebu, a stare lice  
 Dziwnym naonczas blaskiem jaśnieje,  
 I włos bieluchny wdzięcznie się chwieje  
 Wrzuszony wiatrem, nad bladą skronią,  
 A myśli obraz przymglony gonia  
 Zbiegłej przeszłości....

I zwolna okiem  
 Po widnokregu wodzi szerokiem,  
 I wkoło istne dostrzega dziwy:  
 Bo wiek nie zdoła zgasić sędziwy  
 Iskry, co jeszcze w wybranych łonie,  
 Ponad grobowcem promienna płonie.  
 O! bo Pan trzyma w ustawnej pieczy,  
 Znojem stargany żywot człowieczy!  
 I na osłodę tułaczrej doli,  
 W głąb' duszy składa każdemu gwoli  
 Drobną iskierkę Bożego tchnienia!  
 Jeden ją w cudne wyroni pienia  
 Jakoby ptasze, i nad jałową  
 Ziemią, natchnione rozsiewa słowo,  
 By jako rosa w skwarną posuchę,  
 W zbolale serca tchnęło otuchę;  
 Inny tę iskrę w głąb' duszy chowa,  
 Nie zagrzmi światu potęgą słowa,  
 Ale w jój blaski czyste, promienne,  
 Ozdobi ścieszki życia codzienne:  
 I gdy mu dziwna świeci pochodnia,  
 Nieznane cuda dostrzega co dnia  
 Na Bożym świecie. Gdy piękność leży  
 W łonie człowieka, żywot mu zbieży  
 Jakby przejrzystej krynicy fale,  
 Kiedy blask słońca lśni w jój kryształe.



Takim był stolnik. Bóg mu nie marno  
 Płomień tchnął w duszę, aby nim czarna  
 Rozjaśnił tkanę samotnej doli;  
 Toż choć go żywot nęka i boli,  
 Zaledwie rzuci okiem dokoła,  
 Wnet troska pierzcha z bladego czoła.

Skończył pacierze stolnik sędziwy,  
 Skończył je usta; lecz kiedy dziwy  
 Wkoło dostrzega potęgi Bożej:  
 Dusza się jego w modlitwie korzy,  
 A myśl pod jasne płynie sklepienie.

I długo, długo trwało milczenie;  
 Wtém zdala ziemia zadrzała, niby  
 Od kopyt końskich.— To bez ochyby  
 Stadninę pędzą na pole młoda—  
 Pomyśli stolnik, i ponad wodą  
 Idzie ku drodze, i rzuci okiem  
 Poza oplotki. A wtém obłokiem  
 Tumanu skryty, na klaczy siwej  
 Mknie Marcin drogą. Włos jasnej grzywy  
 Wiatr w malownicze zwoje układa.  
 Pędzi drożyną; wtém nagle wpada  
 Na tor gościńca, zatoczy bokiem,  
 Mknie jako wichur, i wnet przed okiem  
 Ginie ukryty w gęstwi brzeziny.  
 I tylko widać w oddali siwej  
 Tumany pyłu.

I myśl stolnika  
 Głęboko w zamiar Marcina wnika.  
 Co mu się stało? i w które strony  
 Pędem wichury, pomysł szalony  
 Zagnał młodziana? Zdawna już widzi  
 Stolnik, że Marcin z myślą się biedzi  
 Jakąś tajemną; już mu i lica  
 Dziwnie pobladły, oko przyświeca  
 Nieznanym blaskiem: znać w głębi łona  
 Troska osiadła niezwyjęzona.  
 A ponad czołem, niby ponura  
 Złowieszczym kłębem wije się chmura.

— Co to być może?—  
 Przemyśla stolnik.— Wyroki Boże  
 Nad biednym chłopcem zawisły srodze.  
 Co mu stało na życia drodze  
 Jakoby kamień? Czy kasztelanka?  
 Toż od owego przecież poranka

Anim marnego nie wyrzekł słowa,  
 Jak mówił, że wstręt tajemny chowa  
 Ku téj niebodze. Czyż Marcin nie wie,  
 Chociem mu wtenczas zagroził w guiewie,  
 Że jak własnego kocham go syna?  
 Czy marne słowa moje wspomina?  
 Czemuż mi tego Marcin nie powie?"

I dziwne myśli w stolnika głowie  
 Rojem się plotą: bo mu się zdaje,  
 Że Marcin w cudze popędził kraje,  
 Kędy wre wojna. I ta myśl srodze  
 Dręczy starego; coraz ku drodze  
 Rzuci oczyma, lecz darmo tonie  
 Oko w przestrzeni: tam na zagonie  
 Cma ludzi rojem owies dożyna,  
 Lecz ani śladu nigdzie Marcina.

Żółwim się krokiem przewlekł dzień długi.  
 Stolnik markotny: to téż i sługi  
 Czoło się grubą powlokło chmurą.  
 Krząta się Wojciech, myślą ponurą  
 Srodze trapiący, a do gawędy  
 Skory jak zawsze, tędy, owędy,  
 Niby goś prawie wkółko zaczyna,  
 Ale gawędy wątek przecina  
 Stroskany stolnik. Nie idą słowa,  
 Kiedy kto w duszy frasunek chowa.  
 Wszystko go trapi, wszystko go nudzi;  
 Nieskore nogi, przechadzka trudzi:  
 Toż nie ochoczy nawet do stawy,  
 A Wojciech wszystkie niemal potrawy  
 Zbiera nietknięte. I po obiedzie,  
 W pole, jak zwykle, stolnik nie jedzie  
 Jeno poziewa, z nudów się bierze  
 Do tabakiery; potem pacierze  
 Szepcze wieczorne:— i to nie nada.  
 Znów okulary na nos zakłada,  
 Otwiera herbarz, na herb Prandoty  
 Napada zrazu; ale tęsknoty  
 Żadna rozrywka rozwiać nie zdoła,  
 Z zacnego starca duszy i czoła.  
 Aż gdy rozplonął brzask na kominie,  
 Zdrzémnął się w krześle w szarej godzinie.

I drzémał chwilę. Wojciech tymczasem  
 Nie wiedząc o tém, drzwiami z hałasem



Skrzypnął. Stolnik otwiera oczy,  
I znów niepokój pierś starca tłoczy  
Jako przed chwilą; patrzy w ognisko  
Ponurém okiem, a Wojciech blisko  
Przystąpi, pana obejmie nogi,  
Bo trapi sługę niepokój srogi,  
Co od poranka dręczy stolnika,  
I tajnie myśli jego przenika.

— „Daremna trwoga, Wielmożny Panie!—  
Rzecz — zaprawdę nic się nie stanie  
Złego panięciu; toć jako żywo  
Jak wiatr pogonił za krasną dziewą.  
Zwyczajnie młody, nie ma dziwoty,  
Niedarmoć płynie w nim krew Prandoty!”

Tu stolnik ręką pokręcił wasa,  
I milcząc zwolna głową potrząsa.  
A Wojciech prawi:

— „Z oka i z lica  
Istnie podobien do chorążycy  
Kiedy był młody, a teraz pana  
Mego miłogol—I za kolana  
Ścisnął stolnika sługa poczciwy.  
(A stolnik westchnął)—Oj! toć nie dziwy!  
Czy to dziewczęciu braknie urody?  
I Pan Wielmożny kiedy był młody,  
Toć to bywało. Oj miły Boże!  
Zaledwie błysnie na niebie zorze,  
Oho! mój panicz dalej przez pole  
Pędzi na siwce; a ja pachole  
Na on czas małe, bije bułanę.  
Nieraz staj kilka w tyle zostanę,  
A panicz leci. Łowczanka czeka,  
A tu na przekor droga daleka,  
Kurz i wichura, a słońce pali:  
Przecież paniczyk nic się nie żali!”

— „Pleciesz koszalki, pozał się Boże!  
Wasze zażyjesz tabaczki może?”—  
Zapyta stolnik, i tabakierą  
Raczy Wojciecha: a radość szczerą  
Widać na licu. Miło, gdy w duszy  
Ręka życzliwa strunę poruszy  
Co dzwięczy jeszcze, choć ją czas pyły  
Przyrdzewił nieco.

— „Oj Boże miły!—  
 (Znów prawi Wojciech)— czy to dziwota,  
 Że i panicz wzięła ochota  
 Do swój bogdanki? Tak to na świecie  
 Zawsze bywało!”

— „Oj plecie, plecie  
 Stary na mękach!— stolnik zagada—  
 Brać moją siwkę! Czyć tak wypada?  
 Zniknąć bez wieści, to się nie godzi.  
 Dziś jako żywo szaleją młodzi,  
 Bardziej niż przedtém!”

A Wojciech na to:  
 — „Pomnę ja dotąd, było to w lato,  
 Na Matkę Bożą Zielną. Łowczanka  
 Coś zaniemogła; panicz kasztanka  
 Nie pożałował... i nie zapytał,  
 Pędzi przez płoty, rowy i żyta.  
 Biedny kasztanek padł jak nieżywy.  
 Oj! toż do dziś dnia pomnę straszliwy  
 Gniew nieboszczyka, jak się dowiedział.  
 A jam o chlebie i wodzie siedział  
 Trzy dni w komórce: bo konik młody  
 Dostał ochwatu od zimnej wody,  
 Com mu jój dolal!”

— „Toż mi zapłaci  
 Za figiel Marcin, i siwą schwaci.  
 Daj jój się w znaki afekt Marcina!”

— „A toć panosko nie przypomina—  
 Odpowię Wojciech—jako pan stary  
 Zrzędził i lajał trzy dni bez miary.  
 A panicz jeno, stuliwszy uszy,  
 Kiedyniekiedy ramieniem ruszy,  
 I bąknie zcicha: „Mój mocny Boże!  
 Że to młodego stary nie może  
 Nigdy zrozumieć!”

— „Prawdać to żywa”—  
 Odpowię stolnik i głową kiwa,  
 I znów Wojciecha tabaką raczy.  
 A sługa prawi:

— „Tak nie inaczej!  
 Nie takać sroga podobno wina  
 Tego biednego pana Marcina!  
 Kiedyć tak chciało zrzządzenie Boże,



Już jako żywo nic nie pomoże!  
Niechże dziewczeczce przysięże wiarę!

Oj! miłość będzie na lata stare  
Memu panosku, kołysać wnuki,  
I pacholećtom prawić nauki.  
Oj! toćto chyba anioł pociechy  
Zawiódł nas w burzę pod owe strzechy,  
A nie Boruta kierował stary  
Naszą kolasę, przez gęstwie, jary,  
Aż w podstoliny wstrzymał ją progę.  
Trzebaż więc wszystko poruczyć Bogu.  
A przy ognisku, w rodziny kole,  
Toć człek żywota przepomni bole,  
Co het spłynęły jak wody rzeki!”

A stolnikowi łza z pod powieki  
Cicho, nieznacznie, na lica spływa,  
I stary milczy, a głową kiwa.

— „Oj mój Wojtusi!— nakoniec powie—  
Jest jako żywo prawda w twém słowie;  
Jeno od trwogi włos mi powstaje,  
Czyli Marcinek het w obce kraje  
Gdzie nie popędził? Zwyczajnie głupi!  
Oj! u młodego pono nie kupi  
Za grosz rozumu; lada nowiny  
Chwyta się zaraz, by pajęczyny:  
Toż jako mucha, wnet się opląta.  
Oj! lepiej zawsze własnego kąta  
Trzymać się, niżli z wichrem w zawody  
Pędzić po świecie...”

— „Ej! panicz młody,  
Do swęj bogdanki jak Bóg na niebie  
Popędził chyżo.”

— „Bodajby z ciebie  
Był dobry prorok”—stolnik odpowie.  
I tabakierę rad Wojtusiowi  
Otwartą daje za miłe słowo,  
I znowu kręci nieznacznie głową,  
Jakby mu wierzyć chciał:—nie może.  
Wtém Brys zaszczekał.

— „Mój mocny Boże!—  
Zawoła stuga—niechno pan słucha:  
Panicz na siwce pędzi co ducha  
Za opłotkami. Zawsze to bywa,  
Ze z wielkiej chmury, mała ulewa.”

Stolnik rad w duszy, w ogień poziera,  
 Dorzuci drewek. Wtém drzwi otwiera,  
 Marcin nieśmiało: istne pachole,  
 Kiedy się chyłkiem wyrwie na pole,  
 To tak się czai u progu chaty,  
 Bojąc się słusznej figlów zapłaty.  
 Ale gdy Marcin zaledwie zoczy,  
 Że stryj nie gniewny: toż zaraz kroczy  
 Rażniej ku niemu, i za kolana  
 Obejmie kornie, stryja i pana!

— „Gdzieżto Wasz był?” — stolnik zagadnie  
 Nibyto groźno.

A młodzian padnie  
 Do nóg jak długi, i nic nie rzecze,  
 Jeno po licu łza rzewna ciecze:  
 Bo się jak ognia lęka obrazy  
 Zaczego starca. Milszeby razy  
 Były mu pono, niż gniewne słowa.  
 Toż głowę w stryja kolana chowa  
 Ufny, że w końcu winę przebaczy.

— „Już jako żywo po siwój klaczy—  
 Zagadnie stolnik:—pewno ochwatu  
 Się nie uchroni.”

— „Ej daj ją katu  
 I siwą klaczkę” — mruknie pod nosem  
 Pocciwy Wojciech; spojrzny ukosem  
 To na stolnika, to na Marcina.

A stary znowu:—„Jakaż przyczyna,  
 Że Waszeć chyłkiem, jakoby złodziej  
 Uciekasz z domu?”

— „Niech stryj dobrodziej  
 Przebaczyć raczy, bo jako żywo,  
 Nic się nie stało złego ze siwą:  
 Zdrowa kobyłka istnie jak ryba.”

— „Toż o złém Waszmość zamysłasz chyba,  
 Kiedy się kryjesz. Czemu nie było  
 Lepiej powiedzieć, gdy się przysniło  
 Wasci czart wie gdzie lecieć i po co,  
 I późno do dom powracać nocą!  
 I gdzieżto Wasci pędziło lichy?”



— „Drogi stryjaszku!” — odrzeczę cicho  
 Marcin nieboże; chce mówić dalej,  
 Ale mu trudno: rumieniec pali  
 Młodziana lica.

Aż Wojciech stary  
 Widząc, że młodzian trwożny bez miary;  
 Gdy biedakowi głosu niestało,  
 Chcąc go wybawić z kłopotu, śmiało  
 Zawoła: — „Czy to kryminał wielki,  
 Że mój paniczyk smalił cholewki  
 Do swęj bogdanki?”

Marcin by w łaźni  
 Cały skąpany; jakby się kaźni  
 Dopuscił jakiej, nie odpowiada,  
 I tylko ręce z pokorą składa.

A stolnik znowu: — „Czy to się godzi?  
 Za moich czasów inaczej młodzi  
 Czynili; dziś się wszystko zmieniło!  
 Czemuż się przyznać lepijć nie było?”

— „Daruj stryjaszku, już wszystko będzie  
 Zadość twęj woli; lecz mięj na względzie,  
 Że to młodemu wytrwać nie snadno,  
 Kiedy się myśli w głowę zakradną,  
 I niby wirem, wśród rojeń tłumu  
 Płaczą się, mącą, aż i rozumu  
 Pozbawią w końcu.”

— „Ej! toć niewiasta  
 Wszystkiemu zawsze winna i basta” —  
 Zagadnie Wojciech.

— „I jam mospanie,  
 Miłował niegdys pocziwą Franię —  
 Odpowię stolnik — toć ja tęż szczerze  
 W gorący afekt Waszeci wierzę.  
 Ależ tak szaleć, to rzecz dziecinna!  
 Co biędna klaczka Waszeci winna?  
 Czemu ją pędzić przez pola, lasy?  
 Było powiedzić, tożbym kolasy  
 Nie pożałował”....

A na te słowa  
 Dziwnie zapłonie Marcina głowa  
 Z wielkiej radości; i plackiem pada  
 Do nóg stryjowi.

— „No, trudna rada,  
 Gdy takim serce Waści goreje  
 Straszny afektem: niechże się dzieje  
 Wola wielkiego Pana na niebie!  
 Oj! ponoć was Bóg stworzył dla siebie,  
 Kiedy nas zawiódł przypadkiem w progi  
 Zacznej niewiasty.—Cóż u niebogi  
 Słyszać? Mów Wasze; czy aby zdrowa?

— „Zdrowa zupełnie“— i na te słowa  
 Pocięła starca zabłysło oko:  
 Popatrzył w ogień, westchnął głęboko,  
 Jakby mu w duszy anioł wspomnienia  
 Przeleciał biały.

I wtém odmienia

Zwolna ton mowy:— „No! powstań Wasze—  
 Rzecz łagodnie.— Wojtusi! kasze  
 Przynos i zrazy; a po wieszery  
 Znow pogawędzim o wszystkim szerzej.  
 Przynies téż z lochu butelkę wina:  
 Toć wypijemy zdrowie Marcina  
 I jego przyszłej, byleby tylko  
 Co się nie stało z siwą kobyłą.”

(Dokończenie nastąpi).





## POMNIKI

### NOWY I PRAWODAWSTWA POLSKO-LITEWSKIEGO

W WIEKU XIV I NASTĘPNYCH, WEDLE KODEXU PAPIEROWEGO W ARCHIWUM DOMOWEM PUŁKOWNIKA STANISŁAWA CHOMIŃSKIEGO, OBYWATELA GUBERNII WILEŃSKIEJ.

PRZEZ

*Adama Jocherę.*

W jakim języku od czasu panowania Jagiellonów w Polsce, redakcyje praw dla Litwy i krajów jój pogranicznych sporządzane były?— rzecz zda się być dotąd niedość wyjaśniona. Że nie był do tego użyty język łaciński, w którym zwykle tylko prawa uchwalone i sankcyowane do ksiąg metrycznych wprowadzano, o tém powątpiewać nie można. Pretendowana od wielu mowa słowiańska, która miała posługiwać do układu prawa ziemskiego, nadanego Litwie od Kazimierza Jagiellończyka i rozszerzonego znacznie od króla Zygmunta L. niemniej do innych tranzaktów i przywilejów, przedtém i potém obowiązujących prowincye litewskie, nie jest bynajmniej, wyjąwszy charakter użyty, mową słowiańską szczególnego szczepu, ale prostém trawestowaniem textu polskiego naklonionego do dyalektu pospolitego ruskiego, wielu prowincyom Litwy zwyczajnego, przepelnioném słowami czysto-polskimi, z zakończeniem tylko zmienioném. Trawestowaniem, w którym żaden dyalekt słowiański się nie rozpozna, o czém przez porównanie textów dvojga, jakoto np. w hr. T. Działyńskiego Zbiorze praw litewskich, Poznań

1841, od str. 209 i innych podobnych zbliżeń, przekonać się łącno. Powątpiewać nie można, że jak przywileje charakterami słowiańskimi, tak i przekłady prawa pisanego dla prowincyj rusko-litewskich dostarczano zdawna nietylko w Wilnie, Łucku, Nowogródku i innych miejscach rezydencji książąt litewskich, ale i w kancelaryach królewskich w Krakowie za rządów Jagiellonów, w których osoby umyślnie na to wysadzone i wprawę ku temu mające, snadno przekładów tych i powtórnęj redakcyi dokonywały. Jakoż z jednéj strony, od czasu w którym pisał Czacki i twierdził, że statut piérwszy był naprzód wydany po rusku, dał się odkryć nie jeden już kodex tego statutu polski; z drugiejj jeżeli pewna jest, że osobom prywatnym i urzędom w Litwie dawano instrumenta, przywileje i t. d. po słowiańsku: to wątpić należy, aby to czyniono statecznie, jako to mianowicie ludnościom ormiańskim, tatarskim, żydom za panowania Jagiellonów, za których mowa polska coraz bardziejj upowszechniała się w Litwie. Równie przypuścić nie można, jak chcą niektórzy, aby redakcyja praw w Polsce w języku krajowym zaledwo się poczęła od roku 1550: bo w takim przypuszczeniu przyjącbj trzeba było, że i obrady prawodawcze i ich protokoły, przynajmniej po łacinie były utrzymywane. Bez wątpienia, oryginalne projekta i minuty prawa naprędcie czynione, zaniebdywane były, odkąd prawo sankcyonowane raz do metryk wniesione zostało, albo małą z nich liczbę kopii dla osób szczególnych robiono. Prawnicy sami mało się o nie ubiegali: już że zawsze mieli akta publiczne otworem, już że palestra polska zawsze gotowa, biegła i lotna w cytowaniu prawa, zwłaszcza w Litwie, gdzie się ono od Kazimiérza zaledwo rozwijać poczęło, całkiem bez nich obchodzić się mogła.

Ku wsparciu tego, com wyżej powiedział o redakcyi praw litewskich, dziwnie posługuje świeżo odkryty kodex papiérowy w archiwum p. Chomińskiego, w majątności jego Olszewie, w powiecie niegdys oszmiańskim, dzisiaj święciańskim położonejj. Kodex ten zawierający w texcie polskim prawa i przywileje z czasów Jagiellonów, formatu jest arkuszowego, od sta bez mała arkuszy, cały jedną ręką pisany charakterem uncjalnym dziwnie pięknym i wyrazistym, ozdobny literami kapitalnemi większemi około trzech calów, mniejszemi od cala z górą kwadratowego w obwodzie, kształtów, barw i ozdób nader wytwornych. Papiér w całym rękopisie jednostajny, ze znakiem



biegnącego kiernoza; ale brzegi księgi zapewne kiedyś złocone, oberzniete, jak można miarkować z uszkodzonego napisu na karcie 2éj. Oprawa téż księgi niegdys, jak się domyślać godzi, kosztowna, ustąpiła z czasem pospolitój skórzanéj, zgola całości rękopisu nieodpowiedniéj. Wreszcie karty nie są liczbowane, wyjąwszy w jednym Statucie Zygmunto wskim, z przerwami niektórymi; ztąd karty czyste po każdym rozdziale zostawiane wykrawane były, tak jednak, że sam text zgola przez to nie ucierpiał. Gdzieniegdzie na tych kartach próżnych przydawano ręką późniejszą artykuły niektóre prawa: z kąd wnosić można, że kodex olszewski do jakiejś osoby prawodawczéj należał. Te są zewnętrzne cechy rękopisu tego, który za jeden z najpiękniejszych zabytków do paleografii krajowéj policzony być może.

Pierwsza karta ma napis *rubro* po dwu stronnicach, od wierszy 17stu:

Prava ziemskie pisane ij dane wielkiemu xięstwu litewskiemu, ruskiemu pruskiemu zomockiemu i inijch przez najasnejszego zigmunta z bozej milosci krola polskiego velkiego xiędza litewskiego. rvskiego. prvskiego. zomockiego. mazowieczkiego etc.

Oddzielnie w 3 wierszach, błękitem:

Naprzod poczina się iego krolewskiej miloscj virok.

Za tą kartą idzie z napisem *rubro* registr rozdziałów Statutu, ark. 7½. Po registrze, ark. 2½ z napisem *rubro* w wierszach 10:

Articuli dane wielkiemu xięstwu litewskiemu przez najasnejszego krola polskiego kazimirza xięstwa litewskiego.

Czacki, *O Litew. i Pol. Pr.* T. I. str. 57 nast. daje wiadomość o tym przywileju; hr. T. Działyński, *Zbiór Praw Litew.* Poznań 1841, str. 28, nast. w całości go pomieścił w textcie słowiańskim i łacińskim. W textcie olszewskim pod koniec te słowa:

A na swiadomie tego pieczęz nassa iest prziviazana ktemu listu dzialo się i dano przez wielmożnego michala olechnowicza zdzieviałtova. wielkiego xięstwa litewskiego Canczlerza. vilenskiego vewtorek wdzien swiętego zigmunta lata 1. 4. 5. 7. Pisano przez rące marcina sluski pisarza ktori to miał wporuczeniv.

Niesieckiemu nieznanym ten *Michał Olechnowicz* kanclerz, a tylko *Piotr Olechnowicz* kuchmistrz litewski za Alexandra

kscia litewskiego, który podpisał r. 1504 w Statucie Łaskiego, unią Korony z Litwą. Mylnie z rękopisów Działyńskiego i puławskiego wypisano to nazwisko: *Michajło Kezhkajłowicz z Diawintowa, i Michał Kieszgayłowicz de Dzawiltowo*; także, *Martin z Łuski, Martinus de Luska*, zamiast *Sluska* albo *Sluszka*.

Po przywileju Kazimierza ark. 1 z napisem *rubro*, w 13 wierszach:

Pochwała krola polskiego Zigmunta wielkiego xedza litewskiego ruskiego pruskiego zomodskiego Mazoveczkiego. I inich etc.

W końcu pochwały te słowa:

Tedi owssejki wszitki panowie polsczi i serbowie litewsci panowie mami zvacz wielkim zigmuntem za iego vczinki ktore dziesiąc kroć i więcej czynil wielkiego krola zigmonta niszli wielkiego kazimirza I tesz mi litwa niemalą czeszcz i slawą daiem krolu wladislaue i wielkiemu xiędzu vitoltu Dla wielkich uczinkow ktore czynili. A wszakże miedzi wsziskiem i inssęmi pokładami Navisseij xiąstwo litewskie spoganstwa nawroczeni ku wierze hrzescianskiej, a wssakze podlug pisma swiętego, viara bes uczinkow martwa iest A przetosz aczkolwiek dali nam viarą ale uczinkow hrzescianskich nasz bili nienavczili, praw nam niedali czim bismi mieli spravovac się iako vierni krzescijani przetosz wielki xiądz zigmunt zrównal się zvczinki spirvem slawnim dziadem swoijm wielkim krolem wladislawem i strijem wielkim xiędzem vitoltem. Jako oni slawni krolewie nasz navczili viari hrzescianskiej Tak tesz ten slawni krol navczil nasz spraviedlivosci czinicz. przetosz ia vojciech gastolt Graw smurovanich gierajnon Voievoda i Canczlerz wielkiego xiąstwa litewskiego starosti belski mozerski i dalej Gdim Spraviedlive vczinki wielkiego xiędza litewskiego krola zigmunta pana naszego dziedzicznego spraviedlivie vipisal. ktori ieszcze vissej i większe vczinki ktore i. m. za szcislivem swoijm panovanim czynil, ktorez vczinki i stare Grawove szerzej opisują lecz na ten czas temv pisaniv dosicz.

Z pochwały téj widać, jaką wdzięczność mieli Litwini królowi Zygmuntovi za nadane prawa, oraz, że prawa te były prosto dziełem tego króla, nie zaś dziełem sejmu wileńskiego roku 1520, albo téż Gasztolda kanclerza, który jest tylko autorem téj pochwały. Być bardzo może, iż prócz tego opisywał



Gasztold sprawy Zygmunta I, czego daje porozumienie wyraz i stare *Grawowe*, co zapewne znaczy, *historye Grawowe*, to jest pamiętniki Gasztolda, który nazwał się wyżej *Graw*. Cały wreszcie tok prologu tego nosi piętno oryginału i całą niemoc władania mową polską pióra Gasztolda; a przecie właśnie ten styl niedołączny przemowy téj, był jednym z powodów Czackiemu, I. c. T. 2, p. 267, n. 1770, do porównania kanclerza litewskiego, z kanclerzem francuzkim Hopitałem. Ta sama pochwała znajduje się w słowiańskim u Działyńskiego I. c. p. 92 nast.


Po przemowie Gasztolda, idzie w kodexie olszewskim wyżej wspomniony *virok* króla Zygmunta na całej stronnicy, bez daty, u Działyńskiego, z kodexu Swidzińskiego, polskiego, str. 143, nast. ale całkiem co do pojedynczych słów i ortografii od tamtego odmienny. Od str. nast. naszego kodexu idzie text statutu, zajmujący kart czyli listów 116. Dla porównania z textem Swidzińskiego polskiego, także pomieszczamy tu text podwójny napisu *Członka* czyli artykułu pierwszego:

Według kodexu olszewskiego.

Krol iego milosc slubuie nikogo niekarac na zaoczne powiedane bi się tesz ticzalo obrażenia maiestatu iego milosci a kto bi tesz niesprawiedliwie na kogo viodl sam ti ma karan bić.

Według kodexu Świdzińskiego.

Krol szlubvye nykogo nye karacz na zaoczne powyeszczy, czo by szyć dothykało mayestatu Jego K. Meczy. A ktho by thesz na kogo nyesprawyedlywywe wyothl, sam them bycz ma karan.

Pierwsza litera textu *rubro* N, a bardziej M, zda się znać liczbę tysięczną, przywieszona do nięj z obu stron liczby 5, i srodkowa część litery wyrażają liczbę 550, tak, iż razem wzięte czynią rok 1550, który jest datą na końcu statutu położoną, w której kodex ten był sporządzony. Środek litery jest krzyż w dół zwrócony w kształcie:  może herb familijny, ale nie zdaje się być Jagielloński, *Kolumna*.

Hr. Działyński wydając swój zbiór, dwa miał pod ręką texty Statutu pierwszego litewskiego: jeden Swidzińskiego, którego próbkę jużesmy widzieli, drugi Karmelitów ostrobramskich, oba mocno zdefektowane. Z tych text ostrobramski daleko bliższy i prawie jednostajny jest z całkowitym textem ol-

szewskim, jak to pokazuje miejsce ustępne, z rozdziału czwartego, członek ósmy, u Działyńskiego str. 209.

*Text Olszewski.*

Tesz ustauniem Isz ktori ocieć abo matka vmrze, a doczką swoią przy swoim żywocie vida za masz. A insse po sobie ostavi. czo będzie vipravi za pierwszą doczką dano tilkosz tesz mayą dacz i za drugimi doczkami a chociabi i niewidali doczkij przy swoim żywocie lecz bi tilko vipravą zapisali tedi maia tako vidane bić iaką ociecz abo matka zapisali. A jeśli bi vipravi niedali ani tesz umieraiaći zapisali tedi sądzie maia wszitko imienie osaczovacz i zacho stanie czwarta część bi tesz sinow bilo niemalo a iedna doczka tedi ma dac tilko vipravi czego czwarta część imienia stoi. A chocia bi tesz ieden sin a siostr nie malo tedi tesz na wszitki siostr czwarta część szaczunku ma przidz'a s tej do czwartei części kaźdei rowna vijpravą ma bicz dąna.

*Text Ostrobramski.*

Ustavujem tesz, asz ktori ocieć abo matka vmrze, a doczką swoią przy swoim żywocie za masz vida, a insse po sobie zostavi: czo będzie vijpravi za pierwszą doczką dano, tilkosz maia dacz i za drugimi dziewczkami. A chociabi i niewidali doczki przij swoim żywocie, lecz bi tilko vipravę zapisali tedi maiaj vidane bicz, jako ociecz abo matka zapisali. A ieslibi vipravi nie dali, ani tesz vmierajaci zapisali: tedi sądzi maiaj wszitko imienie w sumie osaczovacz, i za co stanie czwarta część, bi tesz sinow bilo nie malo, a jedna doczka, tedi ma dacz tilko vipravi, czego czwarta część imienia stoi, a chocia by tesz ieden syn a siostr nie malo, tedi tesz na wszitki siostr, czwarta część szaczunku ma przidz, a s tej to czwartei części, kaźdei rowna viprava ma bicz dąna.

Nie możemy też pominąć, że text słowiański statutu pierwszego, hr. Działyńskiego, najbliższy jest textu kodexu olszewskiego. Po statucie Zygmunta, idzie w kodexie, który opisujemy, napis na dwu stronicach w wierszach 22 rubro:

Brzesczkie articuli ktore są vchwalone na seimie brzesczkim Miesacza augusta lata bożego narodzenia 1544 xiążatom i panom i wszitkiemu ricerstwu sliachtąm i miesczanom dla lepszego swiadomia raczil kazacz na rokach sądowich w vilnie powtorzicz, opowiedziecz i vivolać tij articuli i postavienie ktore są od iego krolewskieij milosci vchwalone i ich m. panow rad na thim seimie przeszlijm valnijm brzesczkim.

Jestto poprawa i przyczynienie statutu przez wysadzone do tego osoby, pięciu rzymskiego i tyleż greckiego zakonu.



*Członków* czyli postulatów jest dziesięć, i na każdy z nich *odpowiedź* królewska: wszystkiego ark. 2 1/2.

Widzieliśmy już wyżej przywiléj Litwie dany polski, roku 1457. Daleko bardziej oddalony czasem jest drugi, wydany żydom przez księżęcia litewskiego Witolda, r. 1387, wprowadzony w oryginale, jako transumpt do przywileju króla Zygmunta I. r. 1507, pomieszczony na samym końcu kodexu olszewskiego. Czacki znalazł go w łacińskim z metryk litewskich, Działyński znowu w słowiańskim l. c. p. 140 nast. Zajmuje ark. 3 1/2, a napis jego w 10 wierszach taki:

Krola i wielkiego xiędza litewskiego zigmunta przivilei dan wszitkim židom w panstwie i. m. w wielkim xięstwie litewskim.

W prologu króla Zygmunta te słowa:

Pirvi privileij pot zapisem i pieczęcią naiesniejszego xięszęcia pana i xiędza alexandra to jest vitolta xiędza litewskiego i dziedzicza grodzinskiego drogiczkiego luczkiego volodimirskiego i inich ziem prava voleij i inssich rosmnożenia w sobie zamikające im jest dano proszącz abi przerzeczone prziuilege im poczwierdzić do swiatozić i umocnicz raczili bich mi ktorogo przivileija obijczaj thijme się slovi poczijna.

W imie boże stan się Amen ludskiego rodzaju uczinki zebi niepriszli glossem swiatkow abo swiadcstwem listow richleij przichodzą i od pamięci odchodzą dla tego mi alexander abo vitolt z laski bozei wielki xiędz litewski i dziedzicz Grodzinski, brzeński, drogiczki, luczki, volodzimirski i inich ziem. Znamionuiem iako niniejssim tako i na potim będącim do czijeij bi prziszedl znajmosci ten list Isz židom nassim tich miast nassich przivilei i statut ktori od nas dzierzali bi slovo od slova ktorich mi im dali i użiczili iako w Liembarku maią od židow iako tesz na inssich lisciech polozenie zalezī vmislilich mi vilozicz.

Po trzydziestym szóstym *członku*, te słowa:

Thesz wszitki ktoresmi przerzeczone i wiecznie poczwierdzone dzierzec mocnosci niniejssi przivileij I z imieniem od swiatkow dalich mi spieczęcią nassą poczwierdzoną. Stalo się jest i dano w luczku voctavą krzciciela świętego Jana lata bożego narodzenia 1. 3. 8. 8. (w rękopisie bledszym atramentem błędna poprawka uczyniona r. 1488). A przitim bili ci swiatkowie xiędz fiedor voievoda luczki, tego czassu będąc zigmunt ricerzem a luba boiarovie z litwi, i tesz Michailo z ossmiani

z litwi i inssem swiatkom przerzeczonim i dostojnim rzeczam i t. d.

A tak żadna wątpliwość nie pozostaje o oryginale tym przywileju Witolda, zabytku jedynego tak odległej daty w mowie polskiej, który kodex olszewski zachował. Wreszcie formy mowne tego aktu mało się różnią od form czasu Zygmunta I; z kąd miarkować można, że tok języka kancelaryi królów polskich i WW. książąt litewskich oddawna był przyjęty i ustalony dla pism od urzędu wychodzących.

Co jest nadto niezmiernie ważnego w kodexie olszewskim, to *kronika* litewska i żmudzka autora bezimiennego. Poprzedza ona w księdze téj przywilej Witolda wyżej przytoczony, i zajmuje arkuszy 18 z napisem rubro:

Wielkiego xięstwa litewskiego i żmodskiego kronika.

Daléj trzy karty, z których ostatniéj brakuje z napisem *rubro*:

Wielkiego xięstwa litewskiego kroniczka krotko pisana.

W obu tych pomnikach najdawniejszych, jakie są znane dla dziejów Litwy, wypadki nie są doprowadzone daléj jak do r. 1440, lub na rok, albo dwa lata daléj; zawsze jednak przed wstąpieniem na tron polski Kazimierza Jagiellona, który tu jest wymieniony jeszcze jako ksiązę litewski i *królewicz*. Wiele wypadków tu wspomnianych, z kądinąd znane nie są, a rządy w. ksiązęcia litewskiego Witolda, jego działania i potęga są tu przestronnie i w całym blasku wystawione. Prócz tego jest to prawdziwa osobliwość co do języka historycznego polskiego owych przeddrukowych czasów, w którym odbija się stara prostota życia i obyczajów, osnuta równie prostemi i szczeremi słowy, ale bogatemi w formy dziś już całkiem nieznanymi. Nie chcemy wreszcie wyprzedzać zdania uczonych o tym jedynym może i najdawniejszym zabytku dla dziejów litewskich, a miło nam donieść, że p. Chomiński, dzisiejszy marszałek Ptu święciańskiego, oceniając pomnik ten jak zasługuje, powziął myśl podać go do wiadomości powszechnej. Spodziewać się należy, że i pomniki prawa w kodexie olszewskim zawarte, niedługo nieznanymi publiczności będą, i że znajdą się, co z tak jasnego źródła będą się starać zapelnąć niedostatki i usterki, których prace podjęte w tym rodzaju poprzednie, ustrzedz się nie zdołały.

Pozostaje dodać słów kilka o dawniejszych posiadaczach tego kodexu. W roku 1551 był nim, jak widać z napisu na



karcie 2giej, jakiś duchowny: *Sum Rdi Dni Jozeffi..... Vilnensis Ppti Skarbimirien. Curati in Vitepsco*. Na karcie ostatniej zapisał się jako właściciel rękopisu: *Krzysztofh Dobkiewicz, Łowczy Województwa Wileńskiego*, który dar z niego uczynił wojewodzie *Doumontowi*, jak to opiewa ośmiowiersz na stronnicy następnj. Doumont ten czyli Doumant, jest to zapewne Michał Doumant, X. Siesickie herbu Kintourus, wojewoda miński r. 1690, a mściłowski r. 1696. Dodać jeszcze można, że majątność Olszew i Bakszty, od dwóchset już prawie lat w posiadaniu familii Chomińskich, była niegdyś własnością Gasztoldów, z których, jak widzieliśmy wyżej, Wojciech, swe imię położył przy statucie piérwszym Zygmunta, oraz że przodek domu Chomińskich Ludwik Jakób, w roku 1738 był pisarzem W. W. X. Lit.; marszałek zaś sejmu 1784go Xawery, był także wojewodą mściłowskim. Sąli te okoliczności w jakim związku z koleją, jaką przebył kodex olszewski?—zaledwie porozumiewać można.

## KRONIKA Z PARYŻA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Fotografie Du Campa.—Tchihatcheff: Azya Mniejsza.—Demidow: Voyage en Rus-  
sie etc. — Mirecourt: biografia pani Sand. — Autografy. — Madonny Rafaela. —  
Pralnia parowa. — Nowe publikacje.

Wielka była radość archeologów i artystów, skoro się dowiedzieli, że pan Maxym Du Camp powrócił ze swęj nad-Nilowęj wycieczki, z teką wyładowaną przeszło stoma fotografiami, przedstawiającemi znakomitsze miasta Egiptu i Nubii, począwszy od Kairu aż do Ipsambul.

Tak zwany *Atlas Du Campa* składa się ze 125ciu fotograficznych widoków i objaśnień do każdego z osobna. Zbiór ten zupełnie inaczej niż dotąd przedstawia nam Egipt: jestto Egipt malowany przez siebie samego. Zazwyczaj pomniki i krajobrazy ołówkiem lub pędzlem oddane, są tylko przez przybliżenie wierną kopią natury: masa szczegółów koniecznie w nich znika skutkiem niedostatecznych do ich oddania środków. Patrzymy na nie tak, jak się zapatrywał artysta; czy widział jak jest rzeczywiście?—to pytanie. Szło więc o to, żeby zmusić naturę, aby się sama malowała. Dzięki fotografii, dziś możemy zabrać z sobą przebyte kraje; możemy, że tak powiem, zbierać *fac simile* wszystkich godnych wspomnienia przedmiotów. Dzięki fotografii, pan Du Camp zdył w Egipcie, Palestynie i Syrii widoki niezrównanej piękności, wykończenia i prawdy, których człowiek nigdy by nie dosięgnął bez pomocy słońca.

Wielki to malarz słońce!—Jeżeli zręczna ręka pędzle jego wodzi, w mgnieniu oka oddaje hieroglificzne napisy, któreby człowiek zwykłemi środkami musiał przez kilka dni mozolnie



przerabiać. Słońce w mgnieniu oka odda każdą literę, a tak wiernie, że ani jednego zagięcia, ani jednej kropki nie pominie. Trudności, które często biednego artystę do rozpacz przywodzą, słońce maluje igrając. Naprzykład nic trudniejszego, jak przedstawić wiernie mur; słońce w jedną minutę obala go na papier, i przysiągłbys, że prawdziwy. Palcem możesz pokazać: tu wapno; tu cegła, tu granit.

Architektura egipska tém się różni od innych w starożytności, że łączy wszystkie ich warunki: wdzięk, powagę, lekkość i trwałość. Fasady świątyń i pałaców egipskich stroiły się w najżywsze, najrozmaitsze barwy; kolumny zapisane hieroglifami, lub w krzewów dziwne sploty tjęte, fantastycznie i idealnie przedstawiały się oku. U wierzchu, zamiast kapitełu, zakwitał zwykle sztuczny krzak Łotusu, lub zielono-włosa palma z owocem, albo papirus olbrzymiemi jasnąt łiszciami, co zdala widne były jak żagle zielone: bo Egipcjanie mając, jak wszystkie południowe narody, żywe poczucie kolorów, barwili nimi architektoniczne ozdoby.

Największe bogactwo takich ozdób, przedstawia wielka świątynia Izdy w Philöe. Każda kolumna tego gmachu inaczej zakończona, a że kolory bardzo się świeżo zachowały, można ze szczegółów stworzyć sobie łatwo cudowny efekt całości.

Jedyna wada fotograficznych widoków jest, że, mianowicie wschodnie gmachy, powłóczą czarniawym kolorytem, którego nie ma w naturze. Całe Teby z żółtego wapienika zbudowane, przedstawiają się jak złoto-włosa odaliska na szafirowém niebie. Wszystkie budynki w tém mieście wydają się jakby ze złota lub wosku ulepione; nie rzucają wcale cienia, albo jeżeli rzucają, to tak blade, że go ledwie dojrzyć można. „W nocy dopiero, powiada Du Camp, przybierają posępniejsze kształty: wtedy wędrowiec zabłąkany w labiryncie Karnaku, w owych salach dwiemaset kolumnami wspartych, mimowolnie duma o niłych wielkościach tego świata, a nic dumania jego nie przerywa, bo dokoła cisza najgłębsza..... Czasami tylko szakał wrzśnie, syknie żmija, lub puszczyk złowrogą piosnkę zanuci. Gdzie spojrzysz, gesty las kolumn się wznosi, ale suchy, jak odarte z zielonej korony drzewa, a ponad tym lasem dwa obeliski wyskakują, jak dwa palce trupie niebo wskazując. Nad Karnakiem błyszczą krocie gwiazd; gwiazdy też same, co widziały wielkość i przepych jego, a teraz mrugają jakby płakały, że się w grzy

rozsypał! Nieme kolosy plecami do murów przyparte patrzą, jakby opowiadać chciały kamiennymi usty przedwiekowe tajemnice tych gmachów. Do ścian królewskich pałaców, Arabcy poprzyczepiali sobie domki gliniane jak gniazda jaskółcze. Biedny fellach zamieszkał pod portykiem Tuthmosisa IIIgo w Karnaku. U stóp królewskich kolumn dymią garnuszki z nędzną strawą biédaka:... kury gdacząc rozgrzebują śmieciska. Inni nędzarze obrali sobie mieszkanie w przewierconych katakumbami górach, i śpią smacznie w granitowych królewskich grobach”.

Co gorsza, stary Egipt, owa kolébka wiedzy i skarbów ziemskich, dzisiaj do wielkiej tandety podobny, na której za pomierną cenę, w massie lub pojedynczo, przez licytacją i z wolnej ręki, nabyć można pozostałości po trzynastu dynastyach, okruchów Faraońskiego przepychu. Francuzi wprawdzie otworzyli Egipt uczonym, artystom, poetom; ale niestety! jednocześnie wpuścili doń archeologicznych rozbójników, bezbożnych niszczycieli ruin, którzy każdą kolumnę, posąg każdy na części ćwiertują, i w kawałkach roznoszą po muzeach świata, sprzedając na wagę złota; ba! co mówię, nietylko kamienie rozbijają, ale i ludzkie kości jak psy rozwlóczą. Znana jest powszechnie w Egipcie znaleziona mumia młodej dziewczyny, której nogi znajdują się w muzeum londyńskim, ręce w Berlinie, a głowa w Rzymie, czy w Turynie.

Arabscy rabusie i spekulanci żydzi, spadli na tę ziemię cudów jak szarańcza na kananejskie smugi. Z wykutych w skałach katakumb wydarli bezkarnie ciekawe zabytki, które tam od wieków spoczywały święte, nienaruszone. Do ostatniej żyły przewrócili chciwemi rękoma tę Kalifornią trupów, nie szanując ani godności, ani płci, ani wieku; a potem wywlekli na targ odkopane króle, wojownicy, niewiasty, i białobrodych kapłanów, krzycząc na całe gardło: „kto kupi mumią Sesostrysa? kto kupi sarkofag Cheopsa? Oto trumna Mycerynusa! oto Amenophis III! Kupujcie, towar niedrogi: 20 piastrów za króla, 10 za księcia! kto da więcej?!” A jeżeli nie ma nabywcy na całego trupa, to grzeczny kupiec, chcąc publiczności dogodzić, rozcina go na ćwierti i po kawałku sprzedaje.

Co nie rozkradli Europejczycy, pasza Egiptu wyniszczył: całe świątynie do wapiennych pieców powrzucać kazał. Rozkazał nawet rozburzyć piramidy, ale że to zatwardy orzech na tegoczesne zęby, zaniechał pracy, bo koszt przewyższał korzyść.



To też widząc taki koniec wszech rzeczy, ludzkość zwątpiła o przyszłości! Pokolenie nasze gorzko się śmieje, gdy mu kto o chwale, o nieśmiertelności prawi, i palcem wskazuje greckie ruiny, prochy z egipskiej potęgi.....

Obejrawszy piramidy Memfisu, tebańskie pałace, obeliski i kolosy, zdumiony wędrowiec sądzi, że już wszystkie cuda obejrzał; a tu naraz spostrzega w pustyni trzy w skale wykute olbrzymy, co tam od wieków stoją na straży - u wejścia do podziemnej świątyni Sesostrysa Wielkiego. Kolosy te 61 stóp są wysokie; człowiek średniego wzrostu na ramieniu olbrzyma stanąwszy, zaledwie do brody mu dosięgnie. Arabowie jak koty wdrapują się na nie, i wyglądają jak liliputy na śpiącym Guliwerze.

W zbiorze pana Du Campa jest także wiele obrazów z terazniejszego, żywego Egiptu. Malownicze stroje mieszkańców, ich fizyjonmie, draperye, postawa, są niewyczerpaną kopalnią dla malarzy. Często w najbiédniejszej nad-Nilowej osadzie natopykamy sceny, które same przez się mogą obraz stanowić. Jedna uderzyła mnie szczególniej. Na pierwszym planie Nil turkusowy płynie; nad brzegiem jego stare ruiny, i trzciną kryte nędzne lepianki, w głębi czerwona pustynia, naga, bezpłodna, paląca;... nad nią szafirowe niebo bez chmurki. Na złamanej kolumnie siedzi Turek paląc fajkę, ktoś po zwaliskach się wiesza, kobiety z dzbanami na głowach od studni wracają, a bocian z węzłem w dziobie rozpiąwszy białe skrzydła, leci ku gniazdu, które sobie na szczycie minaretu uwiął. Wielbłądy ogryzają niskie krzewiny, inne piją wodę z kałuży, inne drżmią na słońcu, wyciągnąwszy długie szyje. Kilku prawie nagich nędzarzy siedzi na schodach meczetu, oczekując jałmużny, ale o nią nie żebrzą.

W obrazach wschodnich pana Du Campa przedewszystkiem uderza oryginalność. Cała wegietacya pod tém ognistém niebem, a mianowicie drzewa, dziwnie harmonizują z architekturą. Pożółtkłe palmy, i czerwone daktyłowe grona, wybornie odbija dagierotyp. zwykle plamisto oddający żywą zieloność. Śmiało rzec można, iż fotograficzny zbiór Du Campa jest najdoskonalszy, jaki dotąd istnieje, a jego obrazy najwerniejszém i najpoetyczniejszém odbiciem téj pełnej cudów krajiny. Wiem, że to pochwała oklepana, bo najczęściej i bez potrzeby bywa przysądzana w naszym wymowném stuleciu; ale tą ra-

zą najśluszniej i jednozgodnie została przez znawców panu Du Camp przyznana.

Trzyńście widoków Jerozolimy i Baalbecku, kończą tę prześliczną panoramę.

Pan Tchihatcheff, Rossyanin, wydał w języku francuzkim opis *Azyi Mniejszej*, fizyczny, statystyczny i archeologiczny.

Starożytni, więcej artyści niż uczeni, syntetycznie zapatrywali się na naturę: podziwiali ją, nie zgłębiając; tegocześni, więcej uczeni niż artyści, zapatrują się nań analitycznie. Ztąd początek anatomii porównawczej, ztąd geologia porównawcza, która sprawdza szerokość, długość i położenie fizyczne cieśnin, półwyspów, gór, dolin, wysp i jezior. Humboldt pierwszy rozwinął i nadał niezaprzeczoną wagę tej nauce; uczeń jego Tchihatcheff nietylko chlubnie w ślady mistrza wstępuje, ale nawet grozi mu rywalizacją.

Każdy kraj dwie przedstawia strony badaczowi: dzieła Stwórcy, i dzieła ludzkie. Azya Mniejsza pod obydwo ma względami bardzo jeszcze mało jest znana. Najznakomitsze w tym przedmiocie dzieła na zachodzie, pp. Fellowes, Hamiltona, i Texiera, nawet Tchihatcheffa, choć nader szczegółowe, nie wyczerpały jednak przedmiotu, i wiele jeszcze następcom do roboty pozostawiają.

Nie ma efektu bez kontrastu. Światło swe odbłyски cieniowi zawdzięcza, a najsilniejsze wrażenie, czyni na nas taki krajobraz: gdzie naraz obejmujemy okiem rozhukane morze, i spokojne zielone pastwisko zasiane trzodami. Otóż w Azyi Mniejszej co krok na takie napotykamy sprzeczności. Nad śmiejącą Ewereku doliną i jej lazurówem jeziorem, sterczy olbrzymi Arges, niegdyś wulkan, dziś wiecznie śniegiem pokryta góra. Najpierwszy Anglik Hamilton wdarł się na jej wierzchołek, ale dopiero Tchihatcheff opisał szczegółowo.

Wszedłszy na szczyt Argesu, to jest 13,000 stóp nad poziom morski, po jednej stronie sterczą lodowe skały, po drugiej, jak przepaść, krater czarną otwiera paszczę. Pomiedzy wieloma ciekawymi fenomenami, które pan Tchihatcheff zauważał na tej górze, jeden mianowicie zasługuje na wzmiankę. Jestto nieustanne odrywanie się kamieni od skał, które jedne za drugimi suną się w przepaść z łoskotem, i tworzą tak zwane *kaskady*



*kamienne.* Za czasów Strabona, jest temu blisko ośmaście wieków, Arges wybuchł jeszcze płomieniem.

Teraz, choć nie buchają ogniem wulkany, cała Azya Mniejsza podkopana jest ognistemi prądami; ztąd pełno w niej gorących źródeł, z których wiele, a mianowicie Troada, cieknąc, kamienieją. I tak, jeśli im kanał w ziemi wykopią, niezadługo zupełnie przemienia się w mur; spuszcza je na młyńskie koło, wnet potok w fantastyczny most zastyga. W *Pambouk-Kalessi*, źródła pobudowały przepyszną piękności pałac, a co najdziwniejsza, objęły nim jak w kryształową kulę jakieś starożytne zwaliska, których architektura dziś tak zmieszana z dziwnym natury utworem, że jej trudno rozpoznać. Zdaleka ten zaczarowany pałac zupełnie do kaskady jest podobny. Najpiękniejsza z takich kaskad wypływa z doliny, na której są ruiny starożytnych Thermów.

„Zdala, mówi Tchihatcheff, kiedy słońce przyświeca, wydaje się ona jak kryształowa góra; blisko podejść potrzeba, żeby się przekonać, że to nie katarakta spadająca w przepaść spieniona i wrząca. Ale większe jeszcze zdziwienie czeka wędrowca, kiedy przebywając te kryształowe massy, widzi zbliżone ukształtowanie ich dziwne, niepojęte, opatrzy każdy szczegół wykończony jakby ręką mistrza, i pokryty cudnie rysowanemi gzygzaki. Najpowszechniejszą formą tych stalaktytów są wielkie kielichy, pozawieszane jedne nad drugimi; każdy z nich w inne mieni się kolory: złote, karminowe, szmaragdowe; to znów tęczowemi błyszczące farby, piętrzą się coraz wyżej i wyżej. Wszystkie te kielichy prawie zawsze napelnione są czystą wodą”.

Niedaleki już może czas, kiedy gorące źródła Troady, ujęte w marmurowe basseny, i otoczone pałacami, zwabiąc będą chorych i zdrowych nietylko ze wschodu, ale i zachodu: bo któreż modne źródło gorące może iść w porównanie z takim co do mocy i skuteczności? Jakaż okolica nie wyda się smutna i pospolita, przy tych tęczowych górach z kryształu, przy tém niebie bez chmurki, i przy tém Jońskiem morzu, co ma i kolor i zapach fiołkowy, i ztąd swą nazwę otrzymało.

Mnóstwo jest w Azyi Mniejszej rzeczek, ważniejszych historycznym podaniem niż wielkością. Najprzód Meles, w bajce kochanek nimfy Krytheis, Homerowej matki. Xant, Simois i Scamander, świadkowie greckich i trojańskich bojów; Granik,

ów Rubikón Alexandra Macedońskiego; Paktol, który wedle Seneki zalewał złotem okoliczne wioski; Cayster, po którym pływały Wirgiliuszowe łabędzie; wreszcie Cydnus, w którego wodach Alexander Wielki dostał febry, a Fryderyk Barbarossa śmierć znalazł.

Tak więc powoli odkopujemy świat starożytny. Wiek XVIty odkrył pomniki i pisał o nich arcydzieła; XIXty odkopuje miasta, zbiera napisy, bada miejscowość, kreśli topografią. Zaledwie trzy miesiące temu jak oznaczono dokładnie miejsce, gdzie stało niegdyś miasto Tomes, na wygnanie Owidiuszowi przeznaczone. Ledwie nam od dziesięciu lat wiadomo, gdzie była Niniwa i Babilon. Egipt dopiero znamy bliżej od Napoleońskich wojen. Ileż skarbów nieznanych ukrywa się jeszcze w łonie Azji Mniejszej!

Dzieło pana Tchihatcheff jest jój najdokładniejszym opisem tak pod względem geologicznym, jak hydrograficznym. Autor zapatruje się na kraj ten z wielką erudycją i z wysoka; szkoda tylko, że imiona własne często mylnie podaje, i niedość zważa na piękność stylu.

---

Książę Demidow wydał drugą edycją swego rzadkiej piękności dzieła: *Voyage en Russie Méridionale et en Crimée, par la Hongrie, la Valachie, et la Moldavie*, które po raz pierwszy wyszło w roku 1839. Od tego czasu autor powiększył je znacznie i udoskonalił; ilustracją zaś wielu ustępów porucił wiernemu towarzyszewi tój podróży, sławnemu rysownikowi francuzkiemu, panu Raffet. Na czele dzieła znajduje się przepyszne popiersie Cesarza Mikołaja, a na końcu dwie karty geograficzne. Podróż ta została przetłumaczoną na angielski i niemiecki język.

---

Eugeniusz Mirecourt wydaje *tegoczesne biografie*. Między innymi ogłosił biografią pani George Sand, dowcipnie i obrazowo napisaną, ale zupełnie fałszywie, jak się pokazuje z listu sławnej autorki, który właśnie po dziennikach ogłosić kazała. Taki dowód zadający kłamstwo w żywe oczy panu Mirecourt, ciekawy jest podwójnie: najprzód pokazuje, jaką wagę należy przywiązywać do *tegoczesnych biografij*; powtóre,



prostuje grube pomyłki, któreby niejednego w błąd wprowadzić mogły; tém bardziej, że są przedrukowane przez niektóre *Revus*. Pominąwszy powyższe względy, list ten z wielką godnością napisany, sam przez się ma literacką wartość. Autorka *Lelii* tak się wyraża:

Nohant, 12 lutego 1854.

„Pozwolisz pan, iż podziękowawszy mu uprzejmie za wiele pochwał, któremi mnie obsypać raczyłeś, sprostuję niektóre fakta, w biografii mojej przez pana fałszywie podane.

Wiém, i każdy wie zapewne, jaką cenę mamy przywiązywać do biografij tegoczesnych, opartych jedynie na przypuszczeniach, domniemaniach, i mniej więcej prawdopodobnych wnioskach, Moja też mianowicie, trudno żeby była prawdziwa, bo skreślił ją nieznanym mi autor, który ani odemnie, ani od żadnej znajomej mi osoby, tyczących życia mego objaśnień nie otrzymał.

*Tegoczesne biografie* mogą mieć wartość jako krytyka literacka, ale nie mają żadnej jako materiał historyczny.

Łatwo tego dowiodę, przebiegając moje. Ani jeden fakt nie jest w niej prawdziwy: —nawet imię moje, nawet mój wiek fałszywie są podane. Nie jest mi na imię *Marya*, nie urodziłam się w 1805, ale w 1804. Moja babka nigdy nie mieszkała w *Abbays-aux-Bois*. Mój ojciec nie był pułkownikiem. Matka moja daleko wyżej stawiała *ewangelią*, niż *kontrakt socyalny*. W piętnastu latach nie strzelałam z fuzyi, ani jeździłam konno: byłam poprostu w klasztorze.

Mąż mój nie był ani stary, ani łysy; miał 27 lat, i bardzo gęste włosy. Żaden *armator* z Bordeaux nie kochał się we mnie. *Dwudziesty rozdział sławnego romansu*, jest *romansem*, niczém więcej. Nie przeczę, że byłoby to wielkie dla biografów ułatwienie, gdyby można złożyć życie autora z jego powieściowych rozdziałów; ale też z drugiej strony musiałby być ten autor dziwnie naiwny, a nawet niezgrabny, żeby czyniąc w dziełach swoich alluzye do osobistego położenia, nie ustroił go, i nie powikłał tak, iżby niedyskretny dociekacz na żaden trop wpaść nie mógł.

Co się zaś tyczy księgarza Roret, czyn, który pan przytacza, bardzo z jego charakterem zgodny; ale tysiąca franków po wydaniu *Indiany* mi nie przyniósł, i pierwotnego kontra-

ktu nie podarł, dla téj prostéj przyczyny, że nigdy nie miała przyjemności traktowania z nim w jakimkolwiek bądź interesie.

Pan Kératry, ani pan Rabbé nie byli zawezwani przez pana de la Touche do osądzenia *Indiany*: najprzód dlatego, że pan de la Touche miał sąd własny; powtóre, że nie był w żadnych stosunkach z Kératrym. Wielkie powodzenie *Indiany* nie dało mi ani *apartamentów*, ani *receptyi*; przez pięć czy sześć lat mieszkalam w temże samém *poddaszu*, i tychże samych przyjmowałam przyjaciół.

Mniejsza o wymienione fakta, ale o zaprzeczenie następnego bardzo mi idzie. Pozwól pan, że przytoczę jego własne słowa: „Upojona sławą, zapomniała o wiernym towarzyszu niezszczęścia:—Sandeau z rozdartém sercem udał się do Włoch, pieszo i bez pieniędzy!”

1) Pan Juliusz Sandeau nigdy nie był we Włoszech pieszo i bez pieniędzy, chociaż dajesz pan do zrozumienia, że jeżeli nie miał pieniędzy, to moja wina: co znaczy, że poróżniony ze mną byłby jednakowoż takowe odemnie przyjął (obelżywe przypuszczenie, które pewną jestem, niezastanowiwszy się napisałeś). Zapewniam więc pana, i on zapewnić go może w potrzebie, że miał własne dochody.

2) Nie odjechał z rozdartém sercem, bo mam listy jego z Włoch, również dla mnie jak dla niego zaszczytne, które dowodzą rzeczy wprost przeciwnych. Listów tych atoli nie mam potrzeby ogłaszać: wiadomo mi bowiem, że Sandeau mówi o mnie zawsze z należnym szacunkiem i przyjaźnią.

Pana Mussetta bronić nie będę przeciw pańskim pociskom: mocny jest, i sam za siebie odpowiadać potrafi. Co się zaś mnie tyczy, upewniam pana, że nigdy nie zwierzałam się nikomu z naszych stosunków; fakta więc, które pan przytaczasz w tym względzie, musiał ktoś panu mylnie opowiedzieć. Mówisz pan, że wróciwszy z Włoch, nie widywałam już pana Mussetta; przeciwnie, widywałam go bardzo często i po przyjacielsku: mam bowiem tę wielką cnotę, że nigdy na nikogo długo gniewać się nie mogę, ani chować goryczy w sercu dla tych nawet, którzy mi najwięcej w życiu dokuczili. Ale idźmy dalej.

Nigdyś mnie pan nie spotkał z panem Lamennais, ani w Fontainebleau, ani gdziekolwiek bądź. Najuniżeniéj przepraszam, że znowu przeczyć muszę; ale widoczna jest, że ani jego, ani mnie nie znałeś pan nawet z widzenia wtedy, kiedyś sądził



że nas spotykasz. Na krok z domu nie wychodziłam nigdy z panem de Lamennais, był bowiem zawsze cierpiący....

Przepuszczam zresztą niezliczone fałsze, które z uśmiechem czytałam w moim ukryciu; ale co się tyczy muzyki, skromność nakazuje mi oświadczyć panu, że nie improwizuję tak dobrze jak Liszt, mój *przyjaciel*, a nie nauczyciel. Liszt nigdy mi lekcyj nie dawał; improwizować nie umiem wcale. Skromność także nakazuje mi objaśnić pana, że nie mam ani powabów, ani wykwintnej elegancyi, którą raczyłeś mi przysądzić; jak niemniej, że przy moim stole w bluzie obiadać można tak dobrze, jak we fraku. Przykro mi bardzo, że ciąglem zaprzeczaniem naraziłam sobie może względy pańskie; ale pocieszam się, że niewiele dbasz o to, bo wybrawszy mnie za heroinę dowcipnego swego romansu, który ci się podobało biografiją zatytułować, przedewszystkiem chodziło panu o pokazanie światu swego pisarskiego talentu i bujnej imaginacyi, której mu nikt nie zaprzeczy.

Przyjm pan i t. d.

*George Sand.*

Sprzedawano temi dniami w Paryżu przez licytacją, pod nadzorem p. Laverdet, 1,120 mniej więcej ważnych *autografów*. Zbiór ten zawierał wiele ciekawych egzemplarzy dla tych, którzy chciwie chwytają wszelkie niedrukowane szczegóły o znakomitych ludziach. Politycznych dokumentów nie było wiele; najwięcej listów sławnych uczonych, literatów, poetów i rodzin panujących. Te ostatnie mianowicie były bardzo poszukiwane. Między innemi był list Anny austriaczki; list poufny Anny królowej angielskiej: „*A mon frère le roy très Chrestien*”; Franciszka II króla francuzkiego; Ludwików XIII, XIV, XV, XVI, XVIII; Maryi Medicis; Napoleona I i jego rodziny. Listy te po większej części dotyczą jedynie spraw familijnych.

Nacisk kupujących był wielki: wydzierano sobie niektóre listy, podkupując się wzajemnie. I tak, dwa listy Voltaira sprzedano po 30 franków; list Fenelona 66 fr.; Goethego do pani Staël 24 fr.; Murata 22 fr.; bilecik pani Pompadour do malarza Latour 48; list Robespiera 30 fr.; Saint-Justa 20 fr.; Franklina 17; Klopstocka 20. Podpis Newtona 88 fr.; list Popego 20 fr.; Schillera 45; Washingtona 19. Rękopis *Dy-*

*lcyonarzu muzycznego* pisany ręką J. Jacques Rousseau, złożony ze 620 stronic, sprzedano za 120 fr. List własnoręczny Horacego Vernet, wraz z rysunkiem tegoż malarza, przedstawiającym śmierć księcia Poniatowskiego, 81 fr.

Najciekawsze ze wszystkich i najdrożej sprzedane były listy św. Wincentego à Paulo, i dwa jego własną ręką pisane kazania. Jeden mianowicie z tych listów jest bardzo ważny. Święty Wincenty opisuje w nim swoją niewolę. Z tegoż źródła wszyscy biografowie świętego czerpali szczegóły, dotyczące jego niewoli. Z listu tego, pisanego starą, ledwie zrozumianą francuzczyzną, przetłumaczyłem i umieszczam ułamek: pewny będąc, że wszystko co dotyczy czcigodnego dobrodzieja opuszczonych dzieci, nikomu obojętném nie będzie. Opowiedziawszy swoją podróż z Tuluzy do Marsylii, przybycie do tegoż miasta, św. Wincenty mówi, że wsiadł do łodzi w celu udania się do Narbonne. Statek napadli w drodze morscy rozbójnicy, i uprowadzili załogę jako niewolników na sprzedaż; między nimi znajdował się św. Wincenty, który przygody swoje tak dalej opowiada:

..... „Araby obdarli nas do naga, dali każdemu bochen chleba i wina w skorupie, a potem przeprowadzali po mieście Tunis, gdzie nas na sprzedaż przyprowadzili jako bydło podłe. Okrążywszy pięć czy sześć razy miasto z łańcuchem na szyi, odprowadzili nas na statek, ażeby kupcy widzieli kto z nas jé dobrze, a kto nie: chcąc tym sposobem dowieść, że nasze rany nie są śmiertelne (srodze nas bowiem mordercy pokaleczyli). Potem znowu zapędzili nas na targ, gdzie kupcy oglądali nas jako konie lub woły: kazali otwierać usta, żeby zęby obaczyć, macali po żebrach, i mierzyli patykiem głębokość ran; to znowu kazali biegać, nosić ciężary, a w końcu pasować się pomiędzy sobą dla osądzenia siły każdego, i tysiąc tém podobnych doświadczeń bydłowych. Kupił mnie wreszcie rybak na pomocnika, ale wkrótce pozbyć musiał, bo mi morze bardzo przeciwné było. Nowy mój pan, starzec, doktor, filozof, sporządzał przednie ekstrakta; człowiek to był ludzki i znośny w obejściu. Jak mi mówił, pracował od pięćdziesięciu lat nad wynalezieniem kamienia filozoficznego, a choć naprózno, bardzo jednak szczęśliwe porobił odkrycia co do przemiany kruszców. Widziałem często jak topił złoto z taką ilością srebra, kładł je w małe walcownie, posypywał jakimś proszkiem, trzymał na



ogniu przez 24 godzin, a w końcu otwierał i znajdował srebro przemienione w złoto, które sprzedawał aby rozdać ubogim; bo, jak mówiłem, ludzki był ten człowiek.”....

Daléj z równą prostotą opowiada, jakie męki znosić musiał pod różnemi panami, którym kolejno był sprzedawany, a w końcu uwolnienie swoje i powrót do Francyi.

Bardzo ciekawy jest także list Leonarda de Vinci, pisany 15 września 1518 do nieznanego artysty w Paryżu. List ten jest pisany po łacinie od prawej ku lewej ręce, jak piszą żydzi. Nie byłto zwykły sposób pisania wielkiego mistrza, jak wiadomo z jego pozostałych manuskryptów, które pisane są zwyczajnie; widocznie użył tego wyjątkowego sposobu, nie chcąc, aby niedyskretni uczniowie wiedzieli co się w tym liście znajduje. Oto kawałek tego listu w tłumaczeniu:

„Kochany przyjacielu! Jedziesz do kraju drogiego mi wspomnieniem, wslawionego sztuką. Pamiętaj zwiedzić go szczegółowo; pamiętaj zapytać przyjaciół moich, czy mnie jeszcze nie zapomnieli. Posyłam do nich wszystkich listy, więc pomoc ich mieć będziesz;... tak sądzę, że mieć będziesz. Zresztą, jako wysłaniec tak znakomitego monarchy, obejdiesz się bez innych rekomendacyj. Jedź więc bezpiecznie; wszyscy artyści przyjmą cię dobrze przez wzgląd na wielkiego męża, który cię posłał, a którego kochają, bo wspiera sztuki. Kazał ci zwiedzić najważniejsze w każdym mieście obrazy: jeżeliś ciekawy poznać moje młodzieńcze utwory, obacz mego *Judasza*, o którym już trochę mówiono na świecie. Idź do przeora w klasztorze *Minime*, niech ci pokaże obraz mało znany i niechwalony, ale bardzo, bardzo piękny! Przypatrz mu się i ocen: przyznasz, że nic równego w życiu nie widziałeś; a jak będą ganić, to nie wierz, tylko oczom własnym zaufaj. Ty nie pojmujesz jeszcze młodzieńcze, jaka zacięta, wściekła i obrzydła jest zawiść pomiędzy artystami! Otóż znów, najboleśniejszą strunę serca trąciłem... i o szarpiących mi duszę niesprawiedliwościach mówić pocynam”....

Zdaje się, że cena autografów obecnie spadnie, bo za pośrednictwem przyrzędu telegraficznego *Benza*, w którym prąd elektryczny, z pomocą odczynników chemicznych (a mianowicie jodku-potaszu) oddaje telegrafem najwierniejsze autografy, takowe z łatwością rozmnożyć się mogą. Podróżujący mianowicie wieleby skorzystali, gdyby sposób ten przesyłania

*podpisów* został przyswojony przez bankierów, a skombinowany z aparatem telegraficznym Berlińczyka *Simensa*, który całkowite listy wytłacza, mógłby na zawołanie wexlem im się przysłużyć.

Dwaj znakomici artyści: pp. Furne i Perrotin w Paryżu, powzięli szczęśliwą myśl zebrania w jedną kolekcję wszystkich *Madon* Rafaela. Zbiór ten wykonany przez pierwszych rytowników francuzkich, i niezmiernie tani, przyczyni się niezawodnie do rozpowszechnienia zamiłowania sztuk pięknych, owego źródła tylu niewinnych rozkoszy: boć niepodobna, aby wpatrując się codziennie w taki przezczystej piękności obrazek, zawieszony na nagiej ścianie biednej izdebki, najmniej wrażliwa dusza nie powzięła jakiegoś instynktowego wstrętu do wszystkiego co brzydkie i powszednie, a nie podniosła się choć trochę do ideału.

Do dzieł Rafaela można przystąpić bez erudycyi, ani poprzedniego przygotowania: bo to prosty i jasny gieniusz, choć łączy w sobie wdzięk i naukę, wiedzę i natchnienie. Dlatego artysta czy prostak, bogacz i nędzarz, kobieta i dziecko, zrozumieć go potrafią. Na Rafaelowskim obrazie nigdzie nie dopatrzysz namiętnych ani konwulsyjnych rzutów pędzla, co straszą dziecko, przed któremi niewinność ucieka; nigdzie śladu walki, ani przykrego naprężenia muszkułów:—on nawet się wdziękiem powleka.

Nic więc dziwnego, że za ideał obrał sobie Niepokalaną Matkę Zbawiciela. Madonna była dla Rafaela niewyczerpanym tematem, do którego ciągle i ciągle powracał, corazto nowe odkrywając w nim piękności. Każdy Rafaelowski wizerunek Maryi jest jakby strofką litanii do Matki Boskiej, jakby wykrzyknikiem adoracyi; to też spojrzawszy na jego Madonny pewnie zawołasz: „Rózo mistyczna! Gwiazdo poranna!”

Najdoskonalsze typy pogańskich piękności nie mogły dać malarzowi dość czystych i niepokalanych wzorów; we własném tylko sercu, w miłości i wierze, mógł zaczerpnąć tój boskiej jasności, i tój piękności, której wzoru próżnoby szukał na ziemi.

Każdy malarz katolicki malował Madonny, i każdy wmięszał coś z własnój natury do świętego obrazu: Albert Dürer nadał Maryi niemieckie rysy; Gentil Bellin, weneckie; Morales,



hiszpańskie. Jeden Rafael dał jój wyraz boski, a wszystko co potrzeba było od ziemi pożyczyc, aby ją widzialną ludzkiemu oku uczynić, tak podniósł i ukształcił, że pomiędzy wszystkimi on tylko jeden był i będzie prawdziwym Maryi wyobrazicielem.

Przypatrzwszy się pilnie Madonnom Rafaela po kolei, jak je stwarzał, widzimy wyraźne przeobrażanie się ideału. Najprzód podaje nam Maryą prostą, nieśmiałą, trwożliwą, naiwnie piękną, wśród zielonych ogrodów, klęczącą u nóg boskiego niemowlęcia i wpatrującą się weń, jakby oswoić się nie mogła z tym niepojętym cudem. Później mistrz porywa ją z pomiędzy kwiatów, i na tronie w obłokach maluje w wieńcu niebieskich cherubinów, trzymającą syna przed rozkłączonym światem. Już to nie jest dziewica z Betleem, ale królowa nieba, rodzicielka Boga! Twarz jój przybrała wyraz niewysłowionej szczęśliwości i spokojnego opromienienia. Małeńki Jezus rzekłbyś, że pojmuje już boskość swoją: na łonie matki siedzi jak monarcha na tronie. Święty Jan zbliża się doń z nieśmiałością i uszanowaniem.

Ze wszystkich starożytnych i nowoczesnych malarzy, Rafael najwięcej harmonii wlał w dzieła swoje. Michał Anioł był niezaprzeczenie silniejszy od niego; Leonardo de Vinci głębszy i mistyczniejszy; Corregio więcej tajemniczy i efektowy; Tycian żywszemi barwy malował:—ale żaden z nich nie posiadał tój promienności kolorytu, tego wypieszczenia linii, słowem tego uroku, któremu nikt się oprzeć nie zdoła. Niższy może od innych mistrzów w wykonaniu szczegółów, jest nieskończenie wyższy w całości. Czas, który wszystko niszczy, Rafaela nie zatrze; duch mistrza żyć będzie po wszystkie czasy w nieprzeliczonych jego dziełach, z których najmniej piękne jeszcze nosi niezatartą cechę genialnego artysty.

Panowie Furne i Perrotin zasługują na wdzięczność nie tylko lubowników sztuki; pracując bowiem nad rozpowszechnieniem dzieł Rafaela, pracują dla dobra ludzkości: bo rozwijając w człowieku poczucie piękności, która wedle praw boskich winna być formą prawdy i dobrego, jestto czynić go przystępnym wzniosłym i delikatnym uczuciom.

Już odbite sztychy bardzo starannie są wykończone; może nawet wypracowanie zaćmiło w nich cokolwiek myśl ogólną. Zapatrzyć się na nie ze surowego stanowiska sztuki, wykonanie prostsze przystawałoby może lepiej przedmiotowi. Śre-

dniowieczni sztycharze mniej zajmowali się szczegółami, a więcej na charakter dzieła zważali. Ale znów z drugiej strony, śmiała, niewykończone zarysy, raziłyby może większość; abonenci wybaczą niezawodnie wydawcom, że zapięknie sztychować każą. Tanie publikacje bardzo rzadko grzeszą zbytkiem wykończenia.

Z nowo wydanych, najpiękniejsza jest *Madonna Syxtyńska*, sztychowana przez pp. Blanchard i Gustawa Lévy. Jestto ostatni i najwznioślejszy utwór Rafaela. Oryginał znajduje się w klasztorze świętego Syxta w Placencyi. Marya w obłokach, osłonięta przezroczystą zasłoną, zdaje się, że za chwilę zniknie w niebiosach. Przecudne jój oblicze widać jasne i księżycowe; oczy już nie przyćmione rzesą, błyszczą pełnią uczucia i majestatu. Prześlicznemi rękoma ciśnie do piersi Chrystusa, którego oczy rozwarłe, włosy wichrem w niebo-wzięcia rozwiane, i rysy natchnione, zupełnie już charakter ziemski zatraciły. Znać, że duch niebieski napelnia to dziecinne ciało, w które Bóg wstąpić raczył. Przed czołem Zbawiciela, tajemniczym i promiennym, choć go aureola nie wieńczy, upadasz mimowolnie na kolana; przeczuwasz, że z téj dzieciny wyjdzie kiedyś Chrystus pogromca, który na ostatecznym sądzie spiorunuje zbrodniarzy.

Inna jest zupełnie tak zwana: *La Vierge au Voil*, pięknie wykonana znakomitym rylcem pana Metzmacher. Jestto obrazek z życia rodzinnego wyjęty, pełen macierzyńskiej miłości i niezrówanego czucia. Pośród ruin, które wedle podania mają przedstawiać winnicę Sacchatti niedaleko Rzymu, Jezus leży uspiiony. Marya kłęcząca przy nim, prawą ręką uchyla zasłonę co jój dziecię zakrywa, i patrzy nań w niemém zachwyceniu, a lewą ręką wspiera się na ramieniu modlącego się Jana. Z pod diademem, w tył głowy Maryi ucieka biała przezroczysta zasłona, i po włosach jój spływa; lekka szata tysiącem fałdów obwija cudne jój kształty. Małeńki Jezus z maluchnymi włoskami, które mu się nad czołem w gwiazdkę układają, jest arcydziełem. Patrząc nań, zdaje ci się, że widzisz, jak się wznosi i opada pierś uspionego dziecięcia. Ziemski ten obrazek tak pieściwie natchniony pedzel mistrza wykończył, tyle nań rozlał nieopisanego uroku, że go prawdziwie boskim uczynił.

Tak zwana: *la Madonne d'Albe* znów jest inna. Tutaj na piękną twarz Maryi, zawsze spokojną i uśmiechnioną, jakies przecucie nieszczęścia się wybiło. Na zasianym kwiatami zie-



lonym trawniku siedzi z rozwartą na kolanach księgą; ale nagle przerwała czytanie, palcem niedokończony ustęp znaczy, i spogląda na bawiącego się z Janem Chrystusa. Jan złożył krzyżyk z wiciny i podaje go przyszłemu Zbawicielowi świata; Chrystus patrzy nań spokojnie, ale w wyteżonym wzroku matki znać już przeczucie męki. Malarze hiszpańscy podchwycili i uwydatnili tę myśl Rafaela; na obrazie jego jest ona jeszcze w zarodku, nieujęta jak przeczucie, nieznaczną jak czarny punkcik na lazurze.

Przy każdym sztychu dołączone są szczegóły historyczne, lub legendy dotyczące przedstawionego obrazu, niezbędnie do jego dokładnego zrozumienia potrzebne. Objaśnienia te pisał pan Peisse, znakomity znawca sztuki włoskiej. Na czele dzieła jest portret Rafaela rytowany przez Paniera, oraz wiadomość o życiu i dziełach jego, także przez pana Peisse skreślona.

---

Hotel Sgo Mikołaja w Nowym-Jorku musi opierać dziennie 3,000 — 5,000 sztuk bielizny. Jeden mężczyzna i trzy kobiety wywiązują się z tego olbrzymiego zadania, za pomocą bardzo prostego przyrządu.

Walec drewniany  $2\frac{1}{4}$  łokcia średnicy, długi  $2\frac{3}{4}$ , na stosownym koźle poruszany jest za pomocą małej maszyny parowej. Wydrążona oś tego walca komunikuje rurami z wodą wrzącą, zimną, i parą. Wypełniwszy walec wodą do połowy, wielkim otworem wrzuca się naraz 500 sztuk bielizny z stosowną ilością mydła i alkalicznej farby; zamknąwszy kłapę otworu, walec obracany jest wolno w jednym kierunku, a potem w przeciwnym. Ten ruch przemienny jużto zanurza bieliznę w wodzie, to ją znów wydobywa, uderzając nią o ściany walca siłą odśrodkową. Podczas tej operacji wprowadza się para, która w ciągu piętnastu minut przeniknąwszy wskróś bielizny, wymyka się utworzoną w tym celu rurką. Następnie wprowadzają wodę gorącą, której dostarcza zgęszczacz (kondensator) maszyny; poczem woda zimna po kilku obrotach oplukuje brudy. Skoro woda ocieknie z bielizny, rozwieszają takową w suszarni, zkąd po 21,000 obrotach skuteczniejszych w 6ciu lub 7miu minutach, wychodzi prawie sucha, a rozwieszona na rurach, dosycha do reszty w pokoju ogrzonym rurami, w których znajduje się para.

Powyzsza wiadomość o amerykańskiej parowej pralni, przywodzi mi na pamięć arcydowcipny artykuł Edmunda Texiera o cudach amerykańskiego przemysłu, który mi niedawno wpadł w rękę.

„Ameryka, mówi Texier, wciąż buduje maszyny, i nie-stworzone wymyśla rzeczy. Przemysł do bajecznego dochodzi tam rozwoju: ale gdzieś dojdzie ludzkość na tój drodze? Jeszcze lat kilka, a człowiek okaże się zupełnie niepotrzebny. Młody jeden Amerykanin donosi, że niedawno wynaleziono w Stanach Zjednoczonych maszynę, która przedzie, tka i szyje; maszynę, która robi buty, czyści je i lakieruje; bijące elektryczne zegary, które budzą, godzinę wskazują, i zapalają lampkę lub świecę. Cygara wyrabia także maszyna; maszyna sэр kraje, czyści noże i widelce; pierze bieliznę i pomywa talerze. Wędka nawet rybacka nawdzięwa przynętę i wabi ryby. Pomijam nie-jeden ważniejszy może wynalazek. Z tego wszystkiego pokazuje się, że w tym szczęśliwym kraju, człowiek już nic do roboty nie ma, chyba jeść, pić i spacerować, a nawet Bogiem a prawdą, zupełnieby się bez niego obyło”.

Zaiste w dziwnój żyjemy epoce. Dotąd myśl zawsze czyn wyprzedzała; umysł ludzki wiedział naprzód gdzie świat dąży: teraz przyszłość jego na materializmie spoczywa. Nauka wszystko pochłoneła, i wszystkie pokonywa przeszkody. Jeżeli rozum (jak się na to zanosi) nad wszystkiém górę weźmie, za kilka wieków nie będzie bardzo zabawnie na ziemi; tém bardziej, że człowiek rzeczywiście okaże się niepotrzebny, skoro globem rządzić będzie parowy kocioł. Tym trybem posuwając się coraz dalej, corazto uproszczając wynalazki, łatwo przewidzieć mechanizm powszechny, który zastąpi wszystko, wszystko przewidzi, obmyśli, tak, że w końcu jedna maszyna będzie w ruch wprowadzała wszystkie, a wszelkie działanie ludzkie zredukowane zostanie do jednego naciśnięcia jedynej sprężyny.

---

Znaleziono świeżo w bibliotece hanowerskiej Iaciński rękopis Leibnitza, w którym sławny filozof zbija systemat Spinozy; jest on cały pisany ręką Leibnitza. Wiele tu o nim mówią i piszą.

---



Pan Daresté de la Charanne, autor dzieła o *administracji we Francji*, wydał świeżo: *Histoire des classes Agricoles en France depuis St. Louis jusqu'a Louis XVI*. Akademia przyznała mu medal za to dzieło.

---

Piotr Clément napisał: *Histoire du système protecteur, depuis Colbert jusqu'a la réforme de 1848*.

---

*Histoire de France pendant le XVI et le XVII siècle*, przez Leopolda Rankiego, przetłumaczył z niemieckiego na francuski język Jakób Pouhat. Dzieło bardzo znakomite.

---

*Podróż po Persyi* wydał Eugeniusz Flandin, z mappami.

---

Dnia 27 lutego zakończył życie w Paryżu, po długiej chorobie, pan Lamennais. Stosownie do wyraźnej woli zmarłego, odwiózł ciało jego do grobu karawan *ubogich*, na którym stała trumna z czterech desek zbita. Władze obawiając się zbytniego natłoku, samą tylko rodzinie zmarłego dozwoliły odprowadzić zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku.

## KRONIKA LITERACKA.

*O srodstwie jazyka slawjanskago s sanskrytskim* s<sup>1</sup>ostawil A. Hilferding. *Sanktpeterburg*. 1853. (O pokrewienstwie jazyka slowianskiego ze sanskryckim, napisal Hilferding. W Petersburgu. 1853). 8ka. Str. 288.

**W** południowej Azji, począwszy od rzeki Indus rozciąga się aż do rzeki Ganges, i od morza Indyjskiego aż do gór Himalajskich, obszerny półwysep zwany teraz Indyami Wschodnimi, przed-gangeskimi. Indye te mają powierzchni mil kw. przeszło 63,000, a ludności do 173,000,000. Dwie-trzecie części Rossyi europejskiej mogłoby się na tej przestrzeni pomieścić, a sześć przeszło takich krajów jakim jest Francya w Europie. I ludność też stosunkowo od francuzkiej 5 razy większa, bo wiadomo, że Francya liczy jej tylko 35,000,000. Któż nie wie jak ciepły klimat, jak bogate tej ziemi indyjskiej są plody. Krainę indyjską znali już starożytni Grecy i Rzymianie. Ojciec historyków greckich Herodot. (450 prz. Chr.) i Ktezyasz, wiekiem później na dworze królów perskich żyjący, pisali o Indjach. Nie tyle króla perskiego Dariusza, ile macedońskiego Alexandra W. wyprawa, stała się głośną w Europie, i znalazła też swoich pisarzów: Nearcha i Arriana. Według ich podania mieszkał w Indjach jeden, jednego języka i wiary naród, ale nie stanowił nigdy jednego państwa. Rządy w Indjach bardzo były rozdrobnione. Wprawdzie opowiadają starożytni, że na 6042 lat przed *Sandrakottem* (właściwie Czandraguptem) sprzymierzeńcem króla syryjskiego, Seleuka Nikatora (312 prz. Chr.); a więc na 6354 lat przed Chr. do kraju Prazyów (właściwie *Praczcja*, kraj wschodni, przy Prajaga ujściu rzek Jamuny i Sonus do Gangesu, gdzie było miasto *Palibothra*, właściwie *Pataliputra* (1) pod terażn. miastem *Patna*) przybywszy jakiś nowy zdobywca (Grecy sądzą że to był *Dachus*), Indye zawojował, obyczaje mieszkańców złagodził i nauczył ich wielu pożytecznych rzeczy. Ale kraina *Praczcja* nie stanowiła jeszcze całych

(1) Ob. Schlegels: *Ind. Bibl.* I. 245. II. 60. 394 i 395.



Indyj. Za Czandragupty rozciągał się wpływ Seleuka aż do Gangesu, ale ztąd nie można sobie jeszcze utworzyć wyobrażenia jednolitego państwa.

Pisarz grecki Megasthenes mówi w swojej księdze, zwanéj *Indica*, o indyjskich gimnosofistach, przez których rozumiemy raczej dzisiejszych fakirów niż braminów; i jakkolwiek podali nam Grecy o Indjach niedostateczną wiadomość, wysoką im przecież starożytność naznaczyli. Nadewszystko uwagi godne owe 6000 przeszło lat przed Chrystusem, i zdaje się rzeczywiście, że w Indjach naprzód doszło życie towarzyskie do pewnego doskonałości stopnia, czego między innymi są dowodem starożytne zabytki godnych podziwienia budowli. Uczeni Grecy odbywali podróże do Indyj i szukali tam światła.

Po tych podaniach przez Greków, co się następnie w Indjach przez kilkanaście wieków działo, wcale nie wiemy. Dopiero w wieku XIV. po Chryst., kiedy Azja zaczęła być niszczoną przez napływ hord mongolskich, dowiadujemy się, że i Indye padły ofiarą ich wściekłości.

Timurlank, inaczej Tamerlan albo poprostu Tymur. srożył się w Indjach właśnie w ostatnich latach wieku XIV (1398 i 99). Umarł 1405. Ale jeden z jego następców *Babor*, zawojowawszy naród Patanów, utworzył w Indjach państwo Wielkiego Mogola 1525, założywszy stolicę w Delhi. Było to już po odkryciu Ameryki, kiedy w Europie nowe nastąpiło życie. Nastąpiła pierwsza angielska żegluga do Indyj około przylądka *Dobrej Nadziei* 1591, i utworzyła się pierwsza ostindyjska kompania kupców, uprzywilejowana 1600, która już 1640 założyła twierdzę ś. Jerzego w *Madras*, z pozwoleniem króla Golkondy, w r. 1668 nabyła Bombaj (właściwie Mombaj), a r. 1687 zaprowadziła kantor w Kalkucie. Wkrótce potem kupiła to miasto z okre-  
giem, i założyła w niem twierdzę Wilham, r. 1699, odnowioną 1757.

Tymczasem za opłatą 2,000,000 funtów szterl. rząd angielski pozwolił utworzyć się drugiej kompanii kupców wschodnio-indyjskiej i nadał jój również przywileje, 1698. Lecz obie kompanie połączyły się już 1702 r. Przez to połączenie wzmocniona kompania, była w stanie osłabić, a następnie i usunąć współzawodnictwo w Indjach innych narodów europejskich, jakoto: Holendrów, Portugalczyków, Hiszpanów, Francuzów, a nawet Duńczyków.

Ale wkrótce ważniejszy jeszcze zaszedł wypadek. Po śmierci sławnego Aureng-Zeba W. Mogola indyjskiego, okrutny Tamas Kuli-chan, inaczej perski *Szach-Nadir*, położył koniec cesarstwu W. Mogola w Indjach 1739. Miasto stołeczne Dehli zostało szturmem wzięte, i mieszkańcy wyrznięci, (ob. 24 Büch. Allg. Geschichte v. J. Müller. Stuttg. 1840 p. 544); a lubo z porady Anglików zasiadł jeszcze na tronie Szach-allum, wszakże i ten wkrótce przez Kadyra księcia Rohillow był pokonany. Na gruzach państwa mongolskiego powstało 24 udzielnych subadarów, albo subahów (subah p. żupan), którzy dopiero co tylko byli właściwie satrapami różnych części upadłego państwa. Niektórzy z nich przybrali nazwiska radzahów i nabobów. Znakomitsze księstwa stanowili Maratowie (Maharasztras); Szejkowie, Patani, tudzież Dakszina (ang. Dekan) inaczej Nizam, Bengal, Ajodhja



(ang. *Oude Aude*) i Benares. Z upadku W. Mogoła nie zaniedbała korzystać połączona kompania angielska. Mieszając się w zatargi książąt indyjskich, wypowiedała jednemu po drugim wojnę, zapobiegając temu, aby się z sobą nie łączyli; a starając się zawsze o sprzymierzeńców, pokonywała z łatwością, i wkrótce prywatna kompania kupiecka stała się panującą.

Zaczęła od kraju Mahasura (ang. Mysore, czytaj Meisor) za panowania Hyder-Alego. Waleczny sultan Tippto-Saib syn jego, musiał naprzód 1792 połowy swych posiadłości kompanii ustąpić, a 1799 z jego heroiczną śmiercią księstwo ze stolicą *Seringapatam* przeszło prawie całkiem pod panowanie kompanii. Tegoż jeszcze roku zajęła kompania kraj *Tanjore*, połowę *Ajodhji* i *Allahabadu*. Karnatik zajęty 1800. Następnie prowadzili wojnę z radżahami (królmi) Beraru (Bunsla) i Sindia z miastem Udżajini (2) ang. Ougein (greck. Ozene); zajęli Agrę i Delhi 1803.

W następnym roku rozpoczęli z Holkarem księciem Maratów, najpotężniejszym w Indyach, zdobyli miasto Rampur i stolicę *Indore*, ale tą razą zawarli tylko korzystny pokój 1805. Powtórna wydal mu wojnę 1817, i potęga Maratów zupełnie została skruszona. Takim sposobem posiadli Bengal (z miastem Kalkuta), Madras, Bombaj, i nareszcie *Penczab* czyli Lahore. Starsze księstwa szukały same w przeciągu tego czasu opieki angielskiej lub się poddały na łaskę. Znajdziesz je wyliczone w liczbie 16, w dziele Berghausa: *Bibl. der Länder. u. Völkerkunde. Stuttgart. 1849. II. 139 i 140.*

Kiedy już Anglicy stali się panami Indyan, weszli z nimi w bliższe stosunki, i mieli sposobność zbliżka ich poznać; starali się szczególniej pozyskać zaufanie braminów, ich kasty (varna) duchownej, i tym sposobem dowiedzieli się, że Indyanie mają starożytne księgi, tak święte, jak i świeckie, wszelkiego rodzaju, pisane językiem starożytnym, zwanym *sanskryta*. A kiedy poznali bogactwo, ważność i piękność literatury sanskryckiej (3), utworzył dla niej uczone towarzystwo w Kalkucie 1784 r. uczony Sir W. Jones. Następnie powstały towarzystwa podobne w Bombaj, Madras i Benares. Towarzystwa te podały uczonej Europie obfity zasób do nowych badań nad dziejami rodu ludzkiego i naturą języków, wydając prócz wielu dzieł sanskryckich pismo peryodyczne, pod tyt. *Asiatic Researches. Journal of the Asiatic Society of Bengal.* Pokazało się bowiem, że wszystkie języki europejskie, a więc i narody, są wyptływem indyjskim. Greckiego, łacińskiego, teutońskiego, słowiańskiego i litewskiego języka źródło znajduje się w sanskryckim. Rzucili się więc uczeni w Anglii, Francji i Niemczech do literatury sanskryckiej, a nawet u nas w Polsce Walenty Skorochod Majewski, podał pierwszy wiadomość o języku sanskryckim w dziele: „O Słowianach i ich pobratymcach, część I.

(2) Schlegels: *Ind. Bibl. II. 402.*

(3) W sanskryckim języku są dwa poemata: *Mahabharata* *Wjasy*, i *Ramajana* *Walmiki*, piękniejsze od Iliady i Odyssei Homera i dramata Kalidasa, doskonalsze od tragedji Sofoklesa. *Ob. Majewski I. 135.*



Warsz. 1816. Następnie wydał Majewski: „Zbiór rozpraw, historyą wędrowek ludów wyjaśniających, 2 części, Warsz. 1827 i 28. Wydał także Grammatykę sanskrytą podług piérwszój części Boppa, Warsz. 1828. 4to. W tymże czasie recenzent niniejszego dzieła podał do Dziennika Warszaw. 1825, rozprawę o języku sanskryckim, lecz przez niedbalstwo redakcyi tegoż Dziennika, z przyczyny, że kopia rękopisu zaginęła, a autor był wtenczas zagranicą, druk jój nie został dokończony. Do r. 1830 zajmowało się językiem sanskryckim i jego literaturą 170 Indyan, 6 Persów, 63 Anglików, 78 Niemców, 40 Francuzów, 8 Duńczyków, 4 Holendrów, 3 Rossyan, 2 Polaków, 1 Grek, i 1 Czech, razem 382. W Niemczech także uczony Szlegel (Aug. Wilh.) zaczął wydawać pismo peryodyczne, poświęcone literaturze sanskryckiej, p. t.: *Indische Bibliothek*. Bonn, 1820. Ustanowiono katedry języka sanskryckiego po znakomitszych uniwersytetach europejskich. Miała być i w Warszawie: do niej był już przygotowany p. Kazimirski. Drukowano dzieła sanskryckie napród w Indyach w Serampore i Kalkucie. Piérwsze dzieło w Europie drukowane, jest grammatyka sanskrycka Wilkinsa, wyszła w Londynie 1808. 4to. Następnie rozszérzył się druk sanskrycki po miastach stałego ładu, we Francyi, Niemczech, Rossyi, Polsce i t. d.

W r. 1847 wyszedł spis wszystkich dzieł sanskryckich do tego r. drukowanych, p. t. *Bibliothecae Sanskritae Specimen, auctore* Gildemeister. Bonnae ad Rh. 8vo, str. 192. Jest tutaj i długi tytuł Grammatyki sanskrytskiej naszego Majewskiego (pod liczbą 11 str. 4). W ogóle osobnych dzieł sanskryckich do r. 1847, liczba 390. Numerów zaś z osobnemi dziełami i wyjątkami, razem 603. Lecz już z początkiem r. 1848 zaczęła wychodzić *Bibliotheca Indica*, poszytami po 6 arkuszy co miesiąc, obejmująca dzieła sanskryckie w oryginale i przekładzie angielskim, przez Dr. Roer w Kalkucie. Są to dopiero początki drukowanój literatury sanskryckiej; bo rękopisów dotąd jeszcze niedrukowanych, tak w Indyach jak i po znakomitszych bibliotekach europejskich, ogromne znajduje się mnóstwo.

W Paryżu wychodzi *Journal asiatique*, dotąd tomów 15; w Petersburgu wychodzą *Mélanges asiatiques*. Dr. Albrecht Weber zaczął wydawać w Berlinie 1850 r. *Indische Studien*, pismo czasowe, poświęcone starożytności indyjskiej. W r. b. wyszedł w Berlinie ostatni zeszyt Grammatyki prof. Boppa, p. t. *Vergleichende Grammatik des Sanskrit, Zend, Griechischen, Lateinischen, Litthauischen, Altslawischen, Gothischen u. Deutschen Sprache*. Dzieło to ogromne bo do 2,000 str. in 4to obejmujące, i jak ważne, dowodzi tego przekład jego na język angielski przez p. Lieut Eastwick, p. t. *Comparative Grammar of the Sanskrit, Zend, Greek, Latin, Lithuanian, Gothic, German and Slavonic Languages*.

Wszakże sam tytuł pokazuje, że z pomiędzy dyalektów słowiańskich, użył prof. Bopp do porównania z sanskrytem tylko cerkiewnego języka, mając do tego, jak mi wiadomo, Grammatykę Józefa Dobrowskiego, wydaną w Wiedniu 1822. Naszego Majewskiego porównanie języka polskiego z sanskrytem bardzo jest niedostateczne. Ja sam w mo-

jój rozprawie materyi co do pierwiastków (*radices*) nie wyczerpałem, lecz tylko poprzestałem urywkowo na niektórych przykładach, zajmując się więcej formacją wyrazów, tudzież porównaniem odmian słownych i wystawiając tabelarycznie obraz przemiany samogłosek, deklinacyi i konjugacyi. Pan Reif w swoim etymologicznym słowniku rusko-francuzkim, z 1835, wskazał źródło niektórych wyrazów ruskich z języka sanskryckiego. Toż samo uczynił co do czeskiego uczoney Jungman, że tu pomnę pomniejsze prace w Rossyi przedsięwzięte (4). Były to usiłowania dla słowiańszczyzny urywkowe, pojedyncze i niedostateczne. Zbywało nam jeszcze na dziele, któreby obejmowało całą słowiańszczyznę, i któreby cały zasób sanskrycki wyczerpało. Do tego potrzeba było użyć dykcjonarzy różnych dyalektów słowiańskich, mianowicie Lindego, Jungmanna czeskiego i wielu innych, tudzież sanskryckich, jakim jest słownik Wilsona, Kalkuta 1819, *Radices Sanscritae* Wilkinsa. Lond. 1815. Rosena. Berl. 1827. Westergarda (Bonn 1841), *Glossarium Sanskrit*. Boppa (Berl. 1840 i 44.) i t. p. Tęj mozolnej pracy dokonał świeżo p. A. Hilferding, napisawszy w ruskim języku dzieło, którego tytuł na początku wymieniliśmy. W dziele tém zajmuje się autor wyłącznie podobieństwem pierwiastków słowiańskich do sanskryckich.

Wszystkie wyrazy słowiańskie pisze dla jednostajności ruskiemi literami, a sanskryckie łacińskiemi. Lecz żeby wyrazy różnych dyalektów słowiańskich wyrazić literami ruskiemi, p. Hilf. musiał wprowadzić do alfabetu ruskiego niektóre głoski cerkiewne, a nadto przydać do niektórych głosek ruskich, rozmaite znaki, i utworzył nowy, udoskonalony, nie już ruski, ale panslawistyczny alfabet. Tego było konieczna potrzeba. Wypadło rozróżnić polskie i czeskie *h* od ruskiego *g*; polskie i czeskie *rz* od ruskiego *rje*; potrzeba było wyrazić polskie *ą*, *ę*, *ją*, *ję*, i polskie *ó*, polskie *dź*, *dz* i *dź*. Polskie *ć*, *ś*, *ź*, wyraża przez ruskie *c*, *s*, *z*, ze znakiem miękkim (jerik).

Przeciwko użyciu głosek łacińskich, do pisania wyrazów sanskryckich, nicbym nie miał do powiedzenia, aleby potrzeba zgodzić się na jeden niezmienny system: przyjąć np. ortografią Wilkinsa jako najdawniejszą (1808). Tymczasem Bopp, Frank, Schlegel, Weber i kilku innych różnią się między sobą tak dalece, że bez głosek sanskryckich, których żaden z nich z wielką szkodą dla nauki obok swoich łacińskich nie położył, nie można ich nawet z dokładnością między sobą porównać. Zgoła, że w pismach i wyrazach sanskryckich, drukowanych głoskami łacińskiemi panuje wielkie chaos. I dlatego słusznie zdaje się powiedział Schlegel, że: „jeśli chcemy gruntownie poznać obcy język, nie możemy jego liter i sposobu pisania zaniedbywać. Własne litery, które albo pierwiastkowo dla jakiego języka wynalezione zostały, albo się do niego od wielu wieków zastosowały, z nim się niejako, że tak rzekę, zrosły. Są one jakoby kaftanem Dejaniry, którego nie można zdjąć z ciała bez obrażenia skóry” (Ind. Bibl. II. 39). Co do

(4) Np. Adelunga o schodstwie sanskryt. jaz. s Rus. per. s fr. Paw. Frejgang. Petersb. 1811.



imion własnych, które ze sanskrytu do przekładów na nasze języki koniecznie wchodzić muszą, to niechajby każdy podług ortografii swego języka, jak można, wyrażał.

Wracając się do p. Hilf. przyznać muszę, iż sposób jego wyrażania głosek sanskryckich przez łacińskie jest trafniejszy od jego poprzedników. Znajduję tu czeskie *c* i *s* z haczykiem w znaczeniu polskiego *cz*, *sz*, zamiast Wilkinsa *ch*, *sh*. Lecz zamiast *g* z haczykiem (u Wilkinsa *j*) lepiej byłoby podobno użyć *ž*, które właśnie w układzie głosek sanskrycko-łacińskim Hilferdinga pozostało bez służby. Tym sposobem byłby się czeski system dopełnił, chociaż właściwie w języku sanskryckim głoska ta brzmi jak polskie *dź*, której przecież użyć nie radzę jako podwójnej. Zdaje się, że *t* z kropką jest polskie *c*, a *d* z kropką Polakom tylko właściwe *dz*; lecz Anglicy niemając w swoim języku brzmień takowych, nie mogą nam o nich w żaden sposób dokładnego dać wyobrażenia. Potrzeboby nam uczyć się wymawiania sanskryckiego od Indyan *viva voce praeceptoris*. Ja wprawdzie nie miałem szczęścia słyszeć mówiącego Indyanina, ale Ormianin, rodem z Erzerum, znający język sanskrycki uczył mię wymawiać, a Ormianie mają spółgłosek więcej, niż z pomiędzy Słowian Polacy; więcej nawet niż sanskryt, bo mają spółgłoski z małą i wielką aspiracją, czego w sanskrycie nie masz, tak, iż w języku armeńskim (Hajeren) jest organ mowy najzupełniejszy, chociaż w sanskrycie więcej jest głosek z powodu ortograficznych różnic.

Lecz przystąpmy już do dzieła. W § 1 porównywa p. Hilf. pierwiastki sanskryckie, które w słowiańszczyźnie nie uległy żadnej przemianie głosek; kładąc zawsze wyrazy słowiańskie na czele, a po nich sanskryckie źródło ze znaczeniem, np.

*Badati* słow. predskazywać, pol. *badać*, izsledować skr. *bad* gaworić (t. j. mówić).

Buk, bąk, słow. pol. *bąkać*, wydawać głos; skr. *bukk* rus. *łajać*, goworić (t. j. mówić).

Witać p. przywjetstwować, rus. skr. *vith* rus. prosić, umolać.

Gadać p. goworić rus. cf. rus. *gadać* (pol. *zgadywać*). Źr. skr. *gad* rus. *goworit*, p. mówić.

Gałąz p., wjetw r. skr. źr. *gala*, r. *trość*, pol. *trzcina*.

Kawał p. i cz. *kusok* r. źr. skr., *kavala* znac. toż samo.

Kalina, skr. *Khalini*. *Anthericum tuberosum*. (pol. *Kalina*, zowie się po łac. *Viburnum*. Zaś *Anthericum* po pol. *pajęcznica*, ob. Hilf. str. 21 i 66.

Takich wyrazów słowiańskich mających źródło w Sanskrycie objaśnił Hilferding 660.

Następnie w § 2 przywodzi wyrazy słowiańskie, które w pierwiastku mają samogłoskę *e*, a w źr. skr. *a*, np. *besjada*, pol. *biesiada*, skr. *bhāsita* rus. *razgovor*, pol. *rozmowa*.

Perepel, pol. *przepiórka*, źr. skr. *parapata* zn. *gołąb*.

Takich wyrazów objaśnia 130.

§ 3 skr. *i* przeszło w *e* np. *teterew* rus., *cietrzew* p., skr. *titira* znaczy rus. *kuropatka*, pol. *kuropatwa*. Takich wyrazów 21.

§ 4 skr. *a* przeszło w *o*. Bóg, skr. bhaga (Bóg w ks. Veda) a bhagavat zn. r. pocztennyi, p. czcigodny. Topić skr. *tap*. Takich objaśnia 200.

§ 5 skr. *u* przeszło w słow. *o*, np. kokot ill. kogut pol. pie-tuch r. skr. *kukkuta*. Takich słów wylicza Hilf. 38.

Pod każdym § robi autor ogólne uwagi, przed lub po przykładach, stosownie do potrzeby, zastanawiając się nad naturą głosek sanskryckich i słowiańskich. W § 20 zamieścił autor polskie słowo *dyrdać*, skr. *dru*, rus. biezać, pol. biędz na str. 95. Lecz mówią po pol. i *dérdać*, zam. *dyrdać*, ztąd zapewne i ill. *darda* niem. Wurfspiess. Na téjże samej stronnicy czytamy wskurać, z skr. *kri* i *kur* robić, a więc nie powinno się pisać *wskórać*, ale *wskurać*; zkąd łac. *curare*. Z tego źr. skr. pochodzi i wyraz: *sankryta* t. j. z-robiony.

Autor osobne §§ poświęca różnym grammatycznym figurom np. wstawce (epenthesis) § 76 str. 283 np. zwara słow, mleko skr. *sāra* (1) śmietana r. śliwki: i wyrzutni (propusk), a to z początku (apheresis) np. ucho, skr. *ghōsha*, r. zwuk, p. dźwięk, zend. *gaosza*, ucho: i we środku (syncope); np. Babak ill. zn. po r. szpanskaja mucha; łac. *Meloe vesicatorius*; fr. *mouche cantharide*; buba błg. jedwabnik, skr. *bhambha*, r. i p. mucha, § 39 str. 155. Jest mowa i o przekładni (metathesis) p. 284.

Od różnicy w samogłoskach przechodzi do wyrazów z przemianą spółgłoski (§ 40 p. 161) zaczynając od przemiany *s* w głoskę *h*, np. krzyk słow. *krik*, skr. *kruś*. Lecz mamy w polskiem i słowo *kruczeć*.

W końcu porównywa składy spółgłosek (§ 70 p. 259) jakoto: *sr*, *sl*, *so*, *sk*, *st*. i t. d., w których *s* często się w sanskr. opuszcza np. *stuk*, *stukać*, skr. *tug* (tudź).

Może sobie ztąd czytelnik wystawić ogromną pracę autora i wielkość podobieństwa języka, pomnąc na to, że §§ takich (prawideł) jest 76, a w każdym kilkadziesiąt lub kilkaset wyrazów, porównanych w różnych dyalektach słowiańskich ze sanskrytem (2).

Nim jednak przystąpię do końca, muszę zrobić jeszcze kilka uwag ogólnych i szczególnych nad niektórymi wyrazami, wchodzącymi w system Hilferdinga.

Wyrazy porównywane albo mają toż samo znaczenie, np. czasza czaszka; skr. *czaszaka*; rus. *nud*, *prinuzdać*, skr. *nud*, *nos*, *nasá*; ogień; r. *ogn*; skr. *agni*; albo tylko mniej więcej przybliżone: *więcej*; np. *łapać*,

(1) Z tém sanskr. *sara* uderza podobieństwem polskie *siara*, którym nasz lud nazywa znane powszechnie mleko żółte, od krów wkrótce po ocieieniu się wydawane. P. R.

(2) Mimo wielkiego podobieństwa języka słowiańskiego do sanskryckiego nie trzeba jednak sądzić, żeby takowe było dyalektycznym. Konst. Oekonomides (Wiedeń 1826), porównał język ruski z greckim, w dziele 800 stronic mającém, a przecież wiemy nie się te języki z drugiej strony od siebie różnią.

Przykład sanskrycki Vidja dadati vinajam, vinajad jati patratam, patratvad dhanam apnoti, dhanasu dharmas tatah suokham, po polsku: Wiedza (nauka) daje pokorę (winę?); z pokory idzie godność (opatrzność?); z godności bogactwo (dar?) pochodzi; z bogactwa cnota (obowiązki, religia, dobre uczynki) rodząca szczęście.



r. łowić; skr. lapajami, biorę, chwytam; mniej, np. polskie *niwa*, skr. być szerokim; orzeł skr. *ara* bystry, pot. skr. *patha*, woda.

Zdaje mi się, że w zbiorze Hilferdinga najwięcej jest tych ostatnich. Wyrazy tegoż samego znaczenia są najpewniejsze i dla nas najpożądane; a chociaż liczba ich dotąd zdaje się być mniejsza, wszakże można mieć pewną nadzieję, że się ich z czasem więcej znajdzie.

I tak np. Cz. *weceti* (prawiti rzeci cf skr. *vacz*, mowa *vaktum* mówić, *loqui* Cz. *vece* skr. *uvacza*, *dixit* (ob. Jungmanna). P. Hilferding ma to słowo *vacz* (p. 247), ale je porównywa niewłaściwie z kraińskim wyrazem *pucza* r. skazka (Volksmärchen), kiedy źródłem słowa kraińskiego *pucza* jest *polk* serb. *puk* i dlatego *puczani* *einer aus dem Volke*, a *puczaniństwo*, *Bevölkerung*.

Do niektórych słów przydawszy język zendski (staroperski), znajdziemy podobieństwo widoczniejsze, np. § 44 p. 186. *Vez*-*ti* wieźć, skr. *vah*; zend. *vaz*; r. *wézët*; zend. *vazaiti*.

Na str. 29, do wyrazu *putra* można dodać cz. *putna*. Toż samo na str. 109. Na str. 77 krb. Wyraz ten polski, karby, karbować. znaczyć na karbach; karbowy ten co znaczy. Na str. 102 (§ 24), jest na dole uwaga, że wyraz *weża*, który dawniej znaczył szater (namiot) albo dom, teraz u archangielsów znaczy tylko mieszkanie Lopara. Tu można przydać, że polskie wieża, odpowiada niem. *Thurm*; a dolno-łuź *wjażá*; do dziś dnia oznacza dom *das Haus*, ob. *Hilf.* 176.

Na str. 144 mówi autor o pochodzeniu wyrazu *małżen*. Nie sądzę żeby to był wyraz złożony. *Starostw. małżen* odpowiada polskiemu *małżonek*, a to czeskiemu *manžel*; właściwie po pol. *mężul*, a *małżonek*, zamiast *mężulek*, zdrobniałe od *mąż*.

Na str. 233 polski świder zowie się po czesku *nebozez*; kr. *nabozec* od *nabosti* *nabodem* *ansptessen*, *anstechen* źr. *bod*. Jest to właściwie poprawka do czeskiego słownika Jungmanna.

Na str. 264 autor porównawszy wyraz *sestra*, siostra, ze skr. *svasri*, nie wiem dlaczego utrzymuje, że wyraz *sestra* jest pierwotny, kiedy skr. *sva*-*swoja*, przeszło na słow, *se*, *sio*; a skr. *stri* żeńska kobieta, na *stra*; chyba *svasri* nie jest złożony.

Przydać tu nareszcie muszę piękny wywód przez autora (p. 280) nazwiska srebra. *Srebro* po lit. *sidabras*, z skr. *sita* i *abdra*, t. j. białe złoto. Nazwiska wsi polskich: *ład*, *ładek*, *lendo*, pochodzą od słow. *landa*, kęs chleba, i serb. *landati*, rozdzielać. W skr. *raudhajami* znaczą rąbie, dziele na części. Wiadomo, że wieś polska *Łąd* (*landa* *lenda*), jest częścią wielkich dóbr udzieloną klasztorowi na żywność (kęs chleba).

Sądziłszy dotąd, że *powróż*, *powrósło*, mówi się zamiast *prowiązło*, od *wiązać*, gdy tymczasem uczymy się teraz z *Hilf.* (76), że wyrazów tych źr. skr. *wrisz* (*wiązać*).

W spisie wyrazów umieszczonych na końcu tej recenzji znajdzie czytelnik kilka nieobjętych dziełem *Hilf.* i uwagi nad objętymi.

A teraz sądzę, iż nie znudzę czytelnika przywodząc w przedkładzie polskim końcowe autora uwagi.

„Po tak długich badaniach, usnutych z mnóstwa drobnych porównań, konieczną jest rzeczą przedstawić wnioski z nich wypływające. Tylko wnioski, jeśli mają jaką naukową wartość, mogą nadać cenę całej massie szczególnych wypadków, z których zostały wyprobowane, i usprawiedliwić suchosć i nużącą drobiazgowosć, które prawie zawsze nieodstępnie towarzyszą nauce obcych języków. Rozpatrzyliśmy się szczegółowo i pilnie w stosunkach głosek słowiańskich do sanskryckich, i staraliśmy się ile możności oznaczyć je na zasadzie wszystkich znanych nam pierwiastków i wyrazów, które się tylko znajdują w związku z sanskrytem. W liczbę przedstawianych tu podobieństw wcisnęło się zapewne wiele fałszywych i wątpliwych, które da Bóg doczekać znajdą poprawiaczy; lecz mimo tego, tak wielkie jest mnóstwo i ogólnych spostrzeżeń i szczegółów okazujących blizkie pokrewieństwo tych języków, i różne stosunki ich głosek, że wzięte razem, zupełnie przekonywają: a przeto wnioski, które z nich wypływają, mogą, zdaje się, być uznane za sprawiedliwe.

1) Język słowiański we wszystkich swoich dyalektach zachował pierwiastki i wyrazy znajdujące się w sanskrycie. Pod tym względem podobieństwo porównanych przez nas języków nadzwyczajne. Choć inne europejskie języki jak najściślej przez najnowszych uczonych zostały z sanskrytem porównane, jednakowoż w żadnym z nich nie znaleziono tyle wyrazów z sanskryckiego, ile się nam udało wynaleźć ich w słowiańskim, przy pierwszej próbie zgłębiania w sposób porównawczy jego leksykalnej budowy. I można śmiało powiedzieć, że dłuższe i pilniejsze badania, przy pomocy nowych materiałów, których bezwątpienia dostarczą księgi *Wedy*, tudzież niektóre słowiańskie dyalekty teraz dla nas nieprzystępne, okażą jeszcze więcej podobieństwa niż ja go tutaj przedstawiam. Załedwie pozostanie jedna lub dwie dziesiąte słowiańskich wyrazów, niemających źródła w sanskrycie. Ale i z tych przynajmniej połowa niezawodnie pokaże się należącą do takich pierwiastków, które chociaż się nie zachowały w sanskrycie, ile nam jest znany, jednakże wchodziły w łańcuch indo-europejskiego języka. A wtenczas każdy spostrzeże z dokładnością, że cały język słowiański składa się tylko z indo-europejskich pierwiastków, i samo przez się upadnie mniemanie, teraz jeszcze dosyć upowszechnione, osobliwie na zachodzie, jakoby do niego weszło wiele obcych elementów.

2) Wszystkie słowiańskie dyalekty zachowały w równej mierze starożytne wyrazy, sięgające epoki pierwotnej jedności indo-europejskiego plemienia. Ze w moich badaniach znajduje się najwięcej wyrazów ruskich, serbskich, polskich i czeskich, pochodzi to nie ztąd, żeby te dyalekty zachowały najwięcej pierwotnych wyrazów, lecz ztąd, że lepsze od innych mają słowniki. Prowincjalizmy słowiańskie bardzo są także obfite w wyrazy, których źródło znajdziesz w sanskrycie (1). Pod tym względem język słowiański wszędzie, nawet

(1) Takich wyrazów mnóstwo autor w dziele swoim przywiódł z gubernij rosyjskich i polskich.



w najdalszych stronach, w gubernii archangielskiej, w Syberyi, u Kaszubów i t. d. równie jest starożytnym.

3) Język słowiański w ogólności nie różni się od sanskrytu żadną stałą organiczną zmianą głosek. Niektóre jego osobliwości jako to polskie i czeskie rze powstały już w późniejszym historycznym czasie (?) i należą tylko do małej liczby jego dyalektów; w całości, zaś, powtarzam, słowiański język niema żadnej obcej sanskrytowi osobliwości. Ten przymiot podziela z nim język litewski, gdy tymczasem wszystkie europejskie języki uległy różnym głosowym prawidłom, które wyłącznie właściwemi są każdemu z nich w szczególności. Takim sposobem, pod względem leksykograficznym, język słowiański i litewski są w najbliższym pokrewieństwie z sanskrytem, i razem z nim stanowią w indo-europejskim pleminiu, niejako osobną familią, do której nie należy język perski (zapewne autor rozumie nowy, bo stary *Zend* jest dyalektem sanskrytu, podobniejszym do słowiańskiego, niż sanskryt i zachodnio europejskie).

4) To tak blizkie powinowactwo sanskrytu z językiem litewskim i słowiańskim, jeszcze jaśniej okazuje się ztąd, że w nich jednakowo rozwinięte głoski (brzmienia) obce innym gałęziom indo-europejskiego pleminia.

Takiemi są mianowicie: samogłoski nosowe: *ą, ę*, (sansk. anuswara z poprzedzającą samogłoską), *ś* zastępujące pierwotne *k*, *cz. ż.* i półsamogłoska (semivocalis) *r* (np. w czeskim *prst, skrz*), której chociaż niema w języku litewskim, równie jak w perskim i zachodnich europejskich, lecz za to w słowiańskim i sanskryckim widocznie okazuje zgodę ich głosowego organu. Wszystkie te głoski są bez wątpienia późniejszego utworu, kiedy u innych europejskich narodów znajdują się tylko początkowe. To dowodzi, że zachodni Europejczycy wyszli z dawnej swojej ojczyzny wtenczas, kiedy jeszcze tych głosek nie było“.

Podług tych słów autora, Słowianie mieliby później przybyć do Europy niż Grecy, Rzymianie, Celtowie i Teutonowie. Lecz tak może nie jest; bo rzeczone dopiero narody mają nosowe głoski, zamieniają *k* na *cz, g* na *dź, i t. d.* i wymawiają *r* z najkrótszą samogłoską *è*. Gruntowna znajomość języków wschodnich tego dowodzi; i nie można się w tej mierze ludzi, ani ortografią, ani wymawianiem języków zachodnich, jak tego mamy przykład w języku starosłowiańskim i bułgarskim, lecz zgłębiać potrzeba ich naturę. Prawda, że te trzy przymioty (*ą, r. ś*) wydatniejsze w słowiańszczyźnie i w sanskrycie niż na zachodzie, ale na zachodzie wyraźnie poszły w zaniebdanie, kiedy się w sanskrycie i u nas utrzymały; a być może, że już u ludów wschodnich były wtenczas w zaniebdaniu, kiedy kolonie greckie, italskie, i celtyckie przybyły do Europy. Zresztą są to zbyt drobne szczegóły, żeby z nich można wnioskować o czasie przybycia ludów z Azji do Europy.

„Języki zaś słowiański i litewski, mówi dalej autor, dłużej się rozwijały razem z tym językiem, który jako ciało oddzielne, otrzymał nazwisko sanskrytu, i chociaż się z wielu cech okazuje, że kiedy Słow-

wianie oderwali się od ogółu familii, formacya rzeczonych głosek nie była zupełnie ukończona, i potem jeszcze ciągnęła się u indyjskich odrośli oddzielnie, jednakowoż tak głęboko przejęła ich budowę, że mogła całemu organizmowi głosowemu nadać szczególniejsze podobieństwo do sanskryckiego.

Nakoniec po 5), zmiękczenie spółgłosek stanowi także jedną z tych własności, które łączą najbliższém pokrewieństwem język słowiański z litewskim i sanskryckim i oddzielają od nich spółplemienne gałęzie. Chociaż zmiękczenie okazało się w zupełności w tych językach dopiero po ich odrębności i w nierównej sile, jednakowoż rozwinęło się w nich tak foremnie i zgodnie, że niepodobna w nim nie uznać zupełnego potwierdzenia naszej myśli o pierwotnej jedności głosowych prawideł w języku indyjskim, litewskim i słowiańskim“.

Na tych uwagach kończy się dzieło p. A. Hilferdinga. Winniśmy w końcu podziękować autorowi, tudzież pp. Srezniewskiemu, Mikuckiemu i Chomiakowowi za udzieloną mu pomoc, że nas obdarzyli tak pięknym materiałem do leksykografii słowiańskiej. Wartoby dzieło to przełożyć na język polski. Wszakże radziłbym przyszłemu tłumaczowi, którym najwłaściwiej mógłby być p. Mikucki, aby umieścić prawidła (których jest 76) na czele dzieła z uwagami, jakie się przy nich znajdują, a z przykładów aby ułożył jeden słownik alfabetyczny, przydając do każdego wyrazu numer prawidła (czyli §) do którego należy. Tym jedynie sposobem w każdym razie potrafimy z łatwością wynaleźć wyrazy słowiańskie z ich źródłem sanskryckim, znajdującem się w dziele p. Hilferdinga. I gdyby był autor w ten sposób dzieło swoje ułożył, różne jego zdania względem pochodzenia wyrazów byłyby się do siebie przybliżyły. Na str. np. 168 wyraz *piękny* porównywa z skr. *pincz*, ukraszać, a na str. 214 z wyrazem skr. *panczama*. Wyraz *Kalina* na str. 21. z skr. *Khalini*; a na str. 66 z wyrazem skr. *Karuna*. Wyraz *bląg* na str. 240 z skr. *valgu*; a na str. 191 z skr. *barh*. Wyraz *kopyto* na str. 165 z skr. *šapha*, a na str. 276 z skr. *puta*. i t. d.

Aprendować p. Hilf. p. 153. Zdaje się pochodzić z fr. apprehender. obawiać się, lękać się; podobnież kobierzec, od fr. couvert, i chyba dalsze pochodzenie od skr. *kump* pokrywać. Hilf. 156.

Aryman źle myślący skr. *ari* zły, wróg. *man* myśleć.

Babauca Kr. struga w Styryi, babouc heisst ein Prahler cf. skr. *bahu* wiele ob. bogaty.

Baczyć cf. skr. *bhadź*, służyć.

Bęben, bębnić p. taraban r. cf. skr. *ban*, r. głucho zwuczać p. głuchy głos wydawać, cf. Hilf. buniec 108, w słowie bęben potwórzony jest pierwiastek skr. *ban*, *ban*.

Błąkać, cf. skr. *mruncz* iść (248) autor uważa, że skr. *m* przeszło w wielu wyrazach słowiańskich na *b* a *r* na *l* (§ 11. i 67) i dla tego to podobno skr. *sürjah* zamieniło się u Słowian na słunie, słońce skr. *sara* słow. sól. Przemiany *r* na *l* mamy przykład



- i w słow. dyalektach r. werblud p. wielbłąd. Także w powstało z m: zład czerw, skr. kermi. 253.
- Bóg. u Hilf. 47. skr. *bhaga* wschód słońca, 2) słońce 3) część modlitwy Zend. *baga*, *bagha* część modłów, st. pers. bóg. W ks. Taittiriya Bráhmna III 1. 1. w. 1—15. w codziennych modlitwach wzywają się różne bóstwa, a w. 10 stoi: „Błogosławiony Bhaga (słońce) ty jesteś najlepsze bóstwo, dodawaj nam wiecznie nową siłę, udzielaj liczne potomstwa bydła i koni. *Bhaga* jest obfitym, dawcą: przyczyni się Bhaga, abyśmy z bóstwami błogosławieństwo uzyskali” i ta zapewne część modlitwy, a potem każda tój podobna zowie się *bhaga*. Zend. *bágha* znaczy także, los fortuna: pierwiastek złoż. z *bha* światło, i *gu*, ogień.
- Bogaty skr. *bahu*, wiele, *bahus* wielki, Bob wielka (rzeka). Skr. *bahuraj* wiele bogactw mający, *bahugau* wiele krów mający. cf. Hilf. 47.
- Bojaźń, skr. *bhaja*. n. źr. *bhi*.
- Brać skr. *bhri* zend here, lat. ferre nieść Hilf. 76.
- Brat, cz. bratr. skr. *bhratri* zend. brátar. Hilf. 15.
- Brew, brwi, skr. *bbrú* i *bhruva*, zend *brvat*. Hilf. 125.
- Brzask cf. skr. *bhredź*, *bhradź*, świecić cf. Hilf. brzeg 115.
- Budzić skr. *budh* widzieć, znać, ale w zend. z przyjm. *tra* expergerfacere przebudzać cf. p. butny i budny. cf. Hilf. 15.
- Być skr. *bhu* słow. bu. Bywam skr. *bbavámi*.
- Cały skr. *kévala* Hilf. 283.
- Capać skr. *czap*, isć H. 216.
- Ceber, serb. *czabar* cf. skr. *vara*. r. sosud p. naczynie Hilf. § 73 p. 277.
- Cham p. wzgardliwa nazwa cf. skr. *han* zbój.
- Chan, lub Han cf. skr. *han* zbój, zbójca zabójca u Tatarów: żołnierz.
- Charczewnia r. fr. *taverne*, *aubergergrotte*. p. garkuchnia, zend *kar* jeść (źród) *haretí* jedzenie, żarcie: *harethá*, *hártba*, *harena* r. *charcz*, żywność. it. zend *kháthra* i *hátbra*. cf. Hilf. 221 słowo źrjeti.
- Chata, błg. kuszta, p. kuczka cf. skr. *kuti*. sl. kut. p. kąt.
- Chłop cf. skr. *khalapn* Niem. *platzreinigend*, *kehrer*, złoż. z *khala* plac, i *pu* czyścić. cf. Hilf. chłop 229. chałupa, skr. *kalápa* r. kuczka, mieszkanie chłopca, *chata*, *kuczka* cf. Hilf. tamże podług Franka *khalapu* *scoparius ex khala* *quisquilliae* i *pu* *pur-gare*.
- Chodzić, cf. skr. *khódz*, *chromać* Hilf. 185.
- Chomąto, cf. skr. *manth*. r. dwigać cf. Hilf. § 73. p. 277.
- Chorować, cf. skr. *hvr* r. *gorewać*, *poluczać* *wred*, skr. *hvarajami* (p. choruję?) R. *opeczaliwaju*, *wreżu*, cf. Hilf. sura 188.
- Chować, cf. zend. *bavańha* *progenies* źr. *hu*. cf. Hilf. 54 i 195.
- Chrapać skr. *hrap* *wydawać* *głos*. cf. Hilf. 192 i 195.
- Chronić skr. *śróń* (zend. *bron?*) *zbiierać* Hilf. 184.
- Chwalić, *zachwalać*, *wychwalać*, cf. skr. *hvalajámi* r. *dwigaju* p. *podwyższam*, *wznoszę*, *podnoszę* *co*, *wychwalam*, cf. Hilf. 189. 2) skr. *hval* r. *kolebać* *śa*, cf. Hilf. 192.

- Chwat p. znajdując w zend. imię własne Vivanhvāt. Brockh. Vendidad. p. 409. it. *hvāthva*, naczelnik zgromadzenia, naczelnik ludów.
- Ciągnąć, cz. tahnauti, tahnū, skr. *tan* fr. *etendre* Hilf. 149.
- Ciarach p. ubogi szlachcic podróżny cf. skr. *czarakah* (źr. *czar isć*) idący wędrujący uczeń, Weber. Ind. Stud. I 83.
- Ciemny skr. *tamas*, ciemność.
- Cień, cf. skr. *czhájá*, czajić się, być w cieniu? *cień* cf. cum *ciemny*.
- Cieć, cz. teci, à teku, tecze (ciecze) r. *tecz*, cf. skr. *tańcz*, *ire fluere* cf. Hilf. p. 46 i 149. skr. *czju* cieć, *czjuwaté* ciecze.
- Ciepać, p. rzucać, ciskać cf. skr. *kszepa* fr. *le jet*, *le coup*. źr. *kszip* rzucać kszap r. brosać, p. rzucać Hilf. 200 it. *cepnuti* 203.
- Ciosać, ciesać, cz. *tesati* cf. skr. *taksz* zend. *tasz*, fr. *doler*, *couper*, *façonner*, *faire*. Hilf. 200.
- Córka cz. dcera (dcerka) st. słów. dszenci gen. dszczeri r. docz. skr. *duhitri* znaczy tę która doi, (ssie) niem. *Melkerin*.
- Cupać, cupnać skr. *kszup*. Hilf. 201.
- Czado słów. dziecię skr. *dzantu*, niem. *erzeugter geschöpf* cf. Hilf. 226.
- Czapla ptak cf. skr. *czapala* od *czap*, *isć*.
- Czcić, praes. *czczę*. r. *czcić*. praes. *cztu*. Kr. *sztovati*, niem. *achten schätzen*, cf. skr. *stu* laudare, celebrare niem. *preisen*.
- Czczy cf. skr. *tuczczha* pusty Hilf. 206.
- Czeladź cf. skr. *kula familia* cf. Hilf. § 55 i *czelo* str. 217.
- Człowiek. Nato się z p. Hilf. uczeni słowianie niezgodzą żeby człowiek było to samo co słowak. A nawet pochodzenie to zostało już dawno wyśmiane i przypisane nieświadomym języka słowiańskiego Niemcom lub łatwowiernym Słowianom. Człowiek czelowiek pochodzi od *czelo*. Czło wszystkich istot żyjących; naczelnik świata. ob. Hilf. 172.
- Czuć. skr. *czit* znać, pojmować Hilf. 219.
- Czudesa słów. cuda cf. skr. *czétas*, duch.
- Czyhać, p. *czychać*, skr. *czaksz* r. *smotrjeć* Hilf. 204.
- Czysty skr. *kásztha* r. *odlicznyj* Hilf 216 łać. *castus*.
- Czytać, cf. skr. *czit* myśleć, znać, pojmować *czisti* znajomość nauka cf. Hilf. 60 i 219 łać. *citare*.
- Dać skr. źr. *dà*, praes. *dadámi* *dadási*, *dadáti*, p. *dám* (zam. *dadm*) *dász*, *dà*.
- Dacya (Zalesie, Ziemia Siedmiogrodzka). cf. skr. *deša*, zend. *dahju*, *dainhu*, *dañhu*, *provincia*; z tegoż zapewne i *Danija*. W. serb. *dajja ezul*, wypędzony z prowincyi, a najja *provincyja* cf. Hilf. *dczela* 176.
- Darda Kr. i Chorw. włócznia cf. skr. *drdha* p. *twardy* cf. Hilf. *dyrdać* i *twrd* p. 95 i 284.
- Dawny skr. *dava*, daleki.
- Dereń (świdwa) lat. *Cornus* cf. skr. *dharana* ang. the *silk cotton tree*, (może p. *bawelnica*, *gossipium*) cf. Hilf. 93. bo ang. *silk* jedwab, a *cotton* bawełna; ale bawełna zowie się też po skr. *vanga* Hilf. 105.
- Desnyj r. prawy lat. *dexter*. cf. skr. *dakszina* zend. *daszina*.



- Despota grec *despotes* cf. zend. *daiñhu paiti* fr. *chef de provinces, provinciae dominus*: albo złoż. z *dāsa* niewolnik i *patis* pan, ob. gospodarz.
- Doić, cf. skr. *dhenu* zend. *daēna*. p. *dojona dojna, milch gebend* t. j. krowa Hilf 118. skr. *duch* ssać, pić.
- Drugi p. cf. skr. *druha* syn. *druhi* córka Hilf. 186 i 192. drug.
- Drwa, cf. skr. i zend *dru*: drewniany, zend *drvaēna* cf. Hilf. drzewo 125.
- Drzéc. skr. *drī* niem. *zerreissen*.
- Drzewo ob. drwa.
- Drzwi r. *dweri* skr. *dvara* Hilf. 59.
- Duby (duby pleść) cf. skr. *dambh, dabh*, zend. *dab*, *decipere*, oszukiwać.
- Duszman Serb. i Kr. *duszmania* serb. *nieprzyjaciel*, cf. zend. *dusmajñju* fr. *mechant*, p. zły.
- Duży, dążyć, skr. *daksz*. r. *dwigać śa, rasti*, być silnym, Hilf. 204. Skr. *tündz* być zdrowym, krzepkim, uderzać Hilf. 232. ob. Tęgi.
- Dzień skr. *divan* (pośrednie zmiany *dian* *dien*).
- Dziewierz st. pol. *brat meża*, skr. *devri* lat. *levir*. Hilf. 116
- Dziób, dziobać p. r. zob. *zobać* cf. skr. *džabh* *otwierać gębę*. Hilf. 177 ob. *ząb*.
- Dzwonić skr. *svan* niem. *tönen*.
- Gad, gadzina, cf. skr. *gadza* *ston* *lepiej* skr. *hath*, być złym.
- Gaditi Kr. *haditi*, i *hatiti* cz. cf. skr. *hata* *laesus, occisus* cf. Hilf. 18.
- Gaj skr. *gaha* Hilf. 196.
- Gałka, à *gata*, r. *zar*. cf. skr. *gōla* r. *kom* p. *kłębek* Hilf. 125. Skr. *džala* r. *tołpa*, p. *tłum, gromada, stado*, cf. Hilf. 108.
- Ganić, r. *uprekać*, cf. skr. *han*, *bić, zabijać niszczyć, hańbić*, u Hilf. *ghrna* *uprek*. p. 100.
- Gapa p. cf. skr. *gopā* *kukhirt*. *pastucha* u Hilf. *gabh* (*džabh*?) *otwierać usta* 257.
- Garbaty p. cf. skr. *kharba* u Hilf. *małorostyj czelowjek* (p. *karzeł*) *niezawsze lecz bardzo często karzeł bywa garbaty*.
- Garnąć cf. skr. *grah*, *brać*.
- Gęba cf. skr. *gup* *mówić*, ob. Hilf. 145.
- Gęś, p. Guś r. Hus cz. *hansa* skr. 192.
- Głos cf. skr. *hlas*: r. *izdawać zwuk*, p. *wydawać głos, głośnić*? Hilf. 191.
- Gołąb, cf. sk. *lamp*. *padać* *herabsfallen* it. *kadamba* niem. *Entrich* (rad. *kad. suffi xamba*) cf. Hilf. § 73.
- Gómółka à *gómółta* cf. skr. *māuli* *ziemia* § 73. p. 275.
- Ganić, *gnać* cf. skr. *han*, r. *dwigać śa, itti*, p. *ić* Hilf. 191.
- Góra skr. *giri* zend *gairi* i *hara* cf. Hilf. 105.
- Gorący, skr. *khara* Hilf. 216.
- Gość, cf. skr. *ghas* *jeść*, it. skr. *hasta* p. *ręka*, it. (co lepsze), skr. *gacz*, zend. *gaś* fr. *aller, venir, ire venire*; a więc *gość*, który idzie (drogą) i przychodzi do kogoś (podróżny). *Gość* (podróżny) może być dobry *hospes* (gospod, *gospa*, *domowy*) i zły *hostis* (słow. *gozd, las*, a więc *leśny dziki* cf. Hilf. 48.

- Gospodarz, st. słow. gospod. cf. skr. *džáspati* rodowładzca, it. *dasa-patis* sługowładzca cf. Hilf. 220.
- Gowiadina r. à gowiado cf. skr. *gavadaèna*, krowa dojna; krowa p. cf. skr. *krawja* p. mięso cf. Hilf. krw. 87 i 125.
- Grabić, (zabierać) cf. skr. *grabh.* zend. *gerew* st. per *garb* łac. *capere.* u Hilf. 196. skr. *grbh*; garnać skr. *grah.*
- Gramolić się st. kramola cf. skr. *kram.* niem. *schreiten.*
- Gród, st. grad, cf. skr. *garta* 1) dom,, 2) wóz r. telega 3) zagroda zmarłych, cmentarz, miejsce snu wiecznego, i 4) słup. cf. p. gródzić np. płot ze słupami. cf. Hilf. gróte 88 i grad 100.
- Grot p. darta Kr. włócznia, cf. skr. *gárdha* strzała, cf. Hilf. 222 i 234.
- Gromada, skr. *gramatá* vicorum numerus.
- Groźny cf. skr. *hrsz* straszyć, a więc straszny, *grozić* jest straszyć. Hilf. 192 2) r. groza skr. *gardž* Hilf. 177.
- Grypsnąć p. cf. skr. *gríbh* capere.
- Grzech cf. skr. *grah*, wziąć co komu, brać cf. pol. garnać.
- Grzywa, cf. skr. *griva*, kark. *graiwéjaka* grzywiennik, grzywna, łańcuch na szyję, cf. Szafarz. star. p. 562.
- Gwiazda cf. skr. *śwéta* biały ob. u Hilf. zwiезда p. 116.
- Hapać; skr. *bápa*jami r. chwatają, p. chwytam Hilf. 190 i 195.
- Hańba, (gańba?) cf. skr. *hambhajami* ryczę, krzyczę, cf. Hilf. 191.
- Harować, (ciężko z usilnością pracować) cf. skr. *harj.* r. żelać, p. pragnać, życzyć sobie czego cf. Hilf. 186 ob. pług.
- Hydzić, szydzić, ochyda, cf. skr. *khid* niem. *betrüben*, *beleidigen* p. obrażać.
- Ja, st. az. jaz. gr. i łac. ego, skr. *aham*, zend. *azem.* co dowodzi że język słowiański więcej na zendzski zakrawa.
- Jagła p. *panicum miliaceum* DL. jagła GL. jabła (czyt. jaua) cf. skr. *java* (przeczytaj Hilf. uwagę na końcu § 35 str. 143. ob. też p. 147 kół, i str. 223 jagła. Podług autorów indyjskich *java* zwała się *barbarice kangu* co zakrawa na grec. *kenechros*: takim sposobem byłiby Grecy względem Indyan *barbari!* Barbar. zowie się u Indyan *Mleczczha.*
- Jagnię cf. skr. *jadžna* ofiara. cf. Hilf. agnee 13. źr. skr. *jadž* ofiarować.
- Jary, jarzyna cf. skr. *ir* zend. *járe.* rok, *jáirja* roczny.
- Jasny cf. skr. *ahan*, zend. *asan*, *aśn*, *aśna* i *aśnja* za dzień, *éther*, niebo 2) dzienny. cf. Hilf. 39. Skr. *jasas* p. blask Hilf. 185.
- Jeden cf. skr. *ádi-piérwszy.*
- Jém, (od jeść) zam. *jédm* skr. *admi.* źr. *ad.* jedzą skr. *adanti.*
- Jen; jenże dawny zaim. polski względny zam. który cf. zend. *ja.*
- Jesień cf. zend. *jaśańh.* (źr. jaz) ofiara: a więc *jesień* czas ofiary. cf. Hilf. 108 *Usna* prędzój znaczą wiosna Hilf. 125.
- Jeśli (jeżeli) złoż. z *jestli* cf. słow. *aże*, *oże* *aszcze*, skr. *jadi* zend. *jezi.*
- Jestestwennyj r. cf. zend. *astvat* (od *astu* jest), fr. *doué d'existence.*
- Jezer. Kr. tysiąc (1000) cf. skr. *sahasra* zend. *hazańra*, *hazańhra*: forma pośrednia musiała być *azara*. orm. *hazar.*
- Jezioro cf. zend. *zarajañh* *zarajó* *wphlwi* *zaré.* st. per. *darjah.* cf. Hilf. 186.



Jęczmień cf. skr. *adman* niem. speise, jedzenie.

Język cf. skr. *ab; anh* (zend. *az, jaz?*) mówić cf. Hilf. 187.

Indye. skr. *Sindhu* zend. *Heñdu, Hañdu*. Słowianie nazywają się po niem. Wenden Winden niby Indyanie, ale nie wiem podług jakiego dyalektu. Prędzój może ztąd, że byli czcicielami dobrego i złego, Białego i Czarnego Boga. (Zend. Ahuramazda prs. Auramazdâ *Ormuzd. i Anhromainju, Ahramajiu* (Arihman.) Tego wyznania nauczył ich Zoroaster, właściwie Zarathustra (t. j. *zathustra* fr. *astre d'or*, gwiazda złota. Księgi jego napisane w języku Zend-avesta t. j. miejskim, zowią się właściwie *Vendidad*, i ztąd może nazwisko Wendów, t. j. wynawców zasad ksiąg *Wendidad*.

Ważne jest miejsce w ks. *Jasna*, t. j. modlitw ofiarnych, I. rozdz. 9, że pierwszy, który oddał cześć bogu Homa skr. *Soma* (miesiąc) nazywał się *Vivanhvāt*. Był to król, po którym panował syn jego Jima. Potém wymienia jakiegoś Athoja, syna jego Thrêtona (czy nie grecki Triton?) Walecznego bohatera. Dalej jednego z familii Samów, (czy nie słow. Samos?) Ten miał dwóch synów, Urwakszaja i Keresaspa. Ten ostatni zabił smoka stworzonego przez *Arymana* i pożerającego konie i ludzi. (Czy nie ztąd bajka o Krakusie i smoku wawelskim?).

Następnie panował *Puruszaspa*, który był ojcem Zoroastra: a więc i Zoroaster (Zarathustra) nietylko był kapłanem, głową kościoła, ale i królem i prawodawcą, i tak téż było u Słowian. Kapłan najwyższy a razem król, zwał się *ksiądz*, a syn jego *ksiązę*. (Ob. *ksiądz*). Zdaje się że to zaprowadzenie obrządku relig. przez (Zoroastra miało miejsce na wiele lat przed Cyresem. Ob. Weber, Ind. Stud. 1850. I. p. 291 i 324.

Inny (inszy) r, inoj cf. skr. *anja* alius.

Iskać, iszczęć, skr. *icczchamî* Hilf. p. 206.

Junak, cf. skr. *juvan*, *jun*.

Kaczor cf. skr. *khaczara* ptak ob. Hilf. 219.

Kaszlać skr. *kaś*.

Kazać skr. *kas* niem. *herrschen*, panować.

Kiereszować, cf. zend. *keres*, skr. *kliš*, cf. Hilf. 21. fr. *tourmenter*, *vxer* męczyć dręczyć, skr. *kriśa*, zend. *keresā* chudy, a *keresāni*, crudelis, okrutny, it. skr. *kriśz*, zend. *keresz* p. orać. A więc kiereszować, zn. męczyć, dręczyć, okrutnie się z kim obejść, wybić kogo, wytrzepać komu skórę; wyróżnić kogo; poorać mu ciało twarz, 2) rozbić wojsko r. rozorać, od skr. *kriśz* r. powrzeżdzać, podług Hilf. p. 97.

Kniaź, kniahyña. r. cf. skr. *kanina* zend. *kainin* p. młodzieniec i młoda dziewczica skr. *kanjá*, *kanî*, zend. *kainē puella* p. *panna*, *pani* Hebr. *konej pan*, a *knaz*, strzelec.

Kochać, cf. skr. *kankba* r. nasłazdzenie Hilf. 157 i skr. *kuś*. niem. *umarmen*.

- Kołdra. p. bardzo dowcipnie jedyn z naszych uczonych Prof. Ludw. Koncewicz powiada, że kołdra ztąd nazwana, iż położona koło odra t. j. koło łóżka; jestto materyalny płatek, którym się łóżko pokrywa. Wywód z skr. *śal* pokrywać, jest zbyt daleki. Hilf. 165. Ale zato *Kocmołuch* z skr. *kaśmála* zaświegocony, zamorusany, zabrudzony, zbłocony bardzo trafne porównanie Hilf. 166.
- Komora, grec. Kamara zend. kamere, fr. voûte, sklepienie sklep. cf. fr. chambre.
- Kopyto skr. puta. Hilf. 165, i § 73. p. 276.
- Kosa (włosy) warkocz. skr. *kêsa*.
- Koszary. niem. Casernen cf. słow. koszara blg. koszerá niem. Schafstall, cf. skr. kutira izba, i kutaru namiot. Kataru odpowiada téż pol. kotara cf. Hilf. 237.
- Koszula p. i srb. Rubacha r., indusium łac. Hemd. niem. Hilf. porównywa naszą koszulę, z skr. kusaja i kôśa, *wmiestiliszcze* vide kosz p. 108. Ale podobno wyraz \**koszula* wzięty raczej z łac. *casula* lub *casilla* co znaczy już pewny rodzaj okrycia ludzkiego. 1) *cassilam antiqui*, pro *casside* ponebant inquit Festus 2) *casula parva casa* 3) *casula est vestis cucullata, dicta per diminutionem a casa, quod totum hominem tegat*, pisze Forcellini cf. Hilf. 213.
- Kot, koci; p. cf. skr. *kosztu* szakal zwierzę.
- Kotoryj r. cf. skr. *katara* p. który, lat. *qui* o ile jez. polski podobny do skr. pod względem spółg. nosow. o tyle ruski przybliżony do niego co do zaimków, ob. jen, jenże słow. *ize*.
- Kram cf. skr. *kri* przedawać.
- Krasa kr. kamienisty grunt. Kras. Kr. Karstgebirge, Kraszowec Kr. niem. *Karstner*. Kerszko m. niem. Gurkfeld. cf. skr. *karsza* p. krzemień. cf. Hilf. p. 91. ob. krzesać skr. *kriśz* zend. keresz. p. orać *karsta* orany.
- Krećić. cf. skr. *krit* wiązać.
- Kres, krys, kresa, kryska, kreska cf. skr. *kriśz* zend. *keresz* fr. *tirer des lignes*, kreślić, kryślić, cf. Hilf. p. 85.
- Krestjanin r. fr. paysan n. Bauer p. chłop, kerszeńca kr. N. Dirne, p. dziewczka. cf. skr. *kriśz* zend. *keresz* orać u Hilf. pachać p. 170, a więc krestjanin=rolnik. od rola, orać; a kerszeńca dziewczka ze wsi córka rolnika, blg. ratakinje ob. rataj. Herodot wspomina w Tracyi naród *Krestonaton* V. 3. 5. rolników?
- Krew cf. skr. *kravja* mięso.
- Krowa ob. gowiadina.
- Krzątać się cf. skr. *kri* zend. *kere* robić czynić *keranuite* krzątać się.
- Krzepki cf. skr. *krip* fähig seyn.
- Krzesać cf. zend. *karsza* (źr. *keresz*) krzemień cf. Hilf. 42 i 191. ob. krasa.
- Krzyk, ksyk, syk, skr. kszig, sidź krzyczćć Hilf. 209 i siga 223.
- Książd p. cf. zend. *khszajans*: książę zend. kszzi, kszaja skr. kszzi panować. *kszatra* król. grec. krejon.
- Kucać, skr. *kusz* być zgietym. Hilf. 219.



- Kuchary wieś w Polsce. cf. skr. kuhara r. gorło 2) ugięlenie 3) ucho. cf. Hilf. 187 i 230.
- Kuczka à kuczka p. kúsztà blg. dom. skr. *kuta* (kuca?) dom. cf. Hilf. kąt p. 147. i kut 153.
- Kula p. szar r. cf. skr. gula Hilf. 108.
- Kusić skr. *kuś* niem. umarmen.
- Kusza p. (ob. Linde) cf. skr. *kusz* ciągnąć.
- Kwiat, sł. cwjet cf. skr. sfuc, kwitnąć.
- Kwitnąć p. cwjesti r. cf. skr. švit bieleć r. blestjeć (blask) Hilf. 169.
- Lalka p. cf. skr. *lal* r. igrat p. bawić się.
- Łakki r. lęgkij skr. laghu.
- Lizać skr, łb. niem. lecken Hilf. 187.
- Lubić, skr. lubh. lat. lubere Hilferd. 122 i 141.
- Łąka skr. loka: lokas świat.
- Łapać skr. labh, niem. erlangen 258.
- Łupić, łupać cf. skr. *lup* abschneiden.
- Mara cf. skr. *nara* człowiek nârî niewiasta ob. Hilf. §. 36.
- Markotno mi cf. skr. *mrksz* r. serditša Hilf. 204. ob. mierzić.
- Mazur; przysłowie głupi mazur! zkad poszło? W skr. manthara (Mansara) znaczy głupi cf. Hilf. 142.
- Mąka skr. *muncz* tłuc, Hilf. 214. męka; *idem ibidem*.
- Mącić skr. *manth*.
- Mąż cf. skr. *manuszja* człowiek (zr. *manu* mens, rozum) zend. mašhya, mašhyaka (czyt maszja, maszjaka) lepij *maskya* człowiek (męski?) cf. Hilf. 147.
- Mérdać: p. pies mérda ogonem. cf. skr. *mrid* r. uweselać, dwigać. cf. Hilf. 78.
- Mgła cf. skr. megħa, obłok.
- Między r. meźdu, zend. maidhu, maidhya, np. *zemahe maidhem* między ziemią w ziemi (we środku) cf. Hilf. 42.
- Miesiąc skr. más Hilf. 130.
- Miękki r. miagkij (czyt. miachkyj) skr. *muncz* trzeć, tłuc. H. 214.
- Mierzić, p. cf. skr. *mrisz* niem. dulden. cierpieć r. merzawec od-tegoż.
- Mięso. skr. mǎnsa Hilf. 147.
- Miód, skr. *madhu*, miód, wino Hilf. 42.
- Mitrzężyć (allusio do Mitry?) W Płockiem mówią *mirtężyć: mir* łac. *otium* p. pokój it. czas. a tężyc (wytęzać) przeciągać przedłużać: mir używa się i dzisiaj. np ten człowiek niema u mnie miru. cf. Hilf. p. 105.
- Młody skr. *mridu* lat mollis niem. *mild* cf. Hilf. 86.
- Młyn cf. skr. *malana* das Reiben tarcie cf. p. mały, miatki. cf. Hilf. ml. 83.
- Moczyć, cf. skr. *masdz*, *macz*. niem. untertauchen zanurzać.
- Mogę, mnogi, cf. skr. *manh* rość, *mahat* wielki *maghan* bogactwo, *madzman*, siła Hilf. 193.
- Mogila zam. ill. gomila? r. tołpa: skr. *mela* r. sboriszczę p. cementarz. Tu jest przystawka na początku (protheris) podług Hilf. § 73. p. 275. ob. gomółka.

- Mówić p. loqui. cf. skr. *ma* wydawać głos. Hilf. 109.
- Mrzée skr. *mri* zend. *mere* morzyć act. zend. *merecz*: umiérám (mrę) skr. *mrijê*.
- Mucha, muszka skr. *maksika* (à *maksa*) Hilf. 204.
- Mur p. Kamennaja stjena, zid r. cf. skr. *mur* r. obwozić stjenoju p. otaczać murem Hilf. 144.
- Mysz skr. *mûsz*, *mûsza*, *mûszika* (p. *myszka*) à *musz kraśc*. Hilf. 123.
- Mzda Sł. cf. zend. *mizda* nagroda Hilf. 237.
- Nać p. cf. skr. *nadzi* r. stebel rastjenia, p. *źdźbło roślin* Hilf. 234.
- Nagi p. (goły) skr. *nagna* cf. skr. *naga* 1) *słoń* 2) wąż że oba są gołe. Rzecz osobliwa, że w skr. mimo wielu *słonia* nazwisk niemasz żadnego, któreby słowiańskiemu *słoń* odpowiadało: ale w samym języku słowiańskim ma jakąś styczność z wyrazem słońce. Wiadomo, że najpierwszém i najdobroczyńniczszém bóstwem u Indyan było słońce, największa gwiazda, a największém i najpożyteczniejszém zwierzęciem jest słońca więc, czy od słońca słońce? tak jak w sanskr. od *sasa* zając *sasin* miesiąc (księżyc); jakoż posąg *Czandry* boga księżyca, trzyma zawsze zająca cf. Hilf. 26. Reif i Jungmann porównywają wyraz *słoń* z chińskim *siang* (zapewne tak podług pisowni ang. lub fr. a po chińsku może brzmi coś podobnego do słońca).
- Nejąpný cz. à jąpný niem. *hurtig* (ob. Jungm. *gapny*) cf. skr. àp. niem. *erlaugen*.
- Nemanja (familia serb.) cf. zend. *nemanha* lat. *adoratus* skr. *namas* lat. *cultus* p. *cześć*.
- Niemen (rzeka) cf. skr. *nimna* głęboki Hilf. 117.
- Niewiasta cf. skr. *ni-vis* *heirathen*, żenić się, a więc niewiasta jest pan-  
na, która idzie lub poszła dopiero co za mąż cf. Hilf. 117.
- Noc skr. *nakta* Hilf. 209 używa się tylko jako przysł. *naktam* nocą w nocy.
- Noga skr. *anga* członek Hilf. 284.
- Nutri, nōtri, unutra ill. p. wewnątrz, wewnątrz skr. *antar* lat. *inter*, *intus*.
- Oba (obadwa) cf. skr. *ubha* zend. *aova* (*aovê*) *uba*.
- Obuchać się (najeść się do syta) skr. *bhudz*, jeść.
- Ochýda (ob. hydzić) cf. skr. *ahida* r. wróg p. wróg, nieprzyjaciel Hilf. 193. 231.
- Okrutny, cf. skr. *kruhdha*, fr. *violent*, *emporté*, *cruel*, źr. skr. *kruhdh*, gniewać się.
- Oracz, cf. skr. *arya* (arja), człowiek trzeciej kasty (*varna*) rolnik cf. Hilf. 81.
- Oś, skr. *aksza* koło Hilf. 199.
- Oś (kość u ryby) p. cf. skr. *asthi*, kość Hilf. 52.
- Osina p. *populus tremula* cf. skr. *asana* *pentaptera tomentosa*. Hilf. 146 i 137 jaseń.
- Ow, owa, owo, p. cf. zend. *ava* lat. *is*, *ea*, *id*.
- Owca skr. *avis* Hilf. 51.
- Owoc skr. *vaksch*, rość Hilf. 209.



- Padać, skr. pat, fr. tomber cf. Hilf. 27 i 233.
- Pamięć cf. zend. upa-mána, fr. ce qui est dans l'intelligence, dans l'esprit, dans la pensée comp. ex pa i mięć cf. *mniemam* skr. *man* znać, myśleć, rozumieć.
- Pan, pani, p; cf. zend. apana (źr. *apa* pol. *po* na wierzchu) qui est sur, audessus, p. zwierchni, zwierchnik cf. Hilf. 27 i 282. pani p. cf. skr. patni od patis p. pan dominus skr. *pa* p. panować.
- Parch p. (jako wzgardliwa nazwa) cf. skr. para, parach, p. nieprzyjaciel.
- Pas, skr. pas, ligare, wiązać.
- Paść (np. paść bydło, pasę) cf. zend. pasu p. bydło lat. pecus cf. Hilf. 28 i 59.
- Paziti kr. niem. achten. acht geben, aufmerken p. uważać, patrzeć cf. skr. *paś*. r. gljadjeć p. patrzéć oglądać, Hilf. 202. i 28.
- Pazucha, pacha, p. cf. skr. *paksza* bok. Hilf. 199. 204.
- Pałnik p. putnik sl. à put, droga, cf. skr. *path*. ire proficisci zend. *pa-thin* acc. sing. pałtanam pl. patho droga cf. Hilf. 148. cf p. pędzić.
- Pełny skr. *purna* pełny miesiąc skr. *purna* masa.
- Piana skr. *phēna* Schaum Hilf. 118.
- Pić, skr. pitum à pa cf. Hilf. 28.
- Pierwszy (daw. piérwy) zend. paourva cf. Hilf. 61. skr. *purva* przedni, z przodu będący ob. jeden.
- Pies, cf. zend. spa, skr. sva per metath, psa Hilf. 59. it. bhasza Hilf. 258. cf. skr. *pisuna*, zły (psina?)
- Pięta cf. skr. pād. noga a pad, iść pędzić.
- Pisać. Die altpersischen keilinschriften verwenden für den Begriff der Schrift die Wurzel *pisz* und im polnischen heisst *pismo* die Schrift. Weber indis. Stud. I 324. cf. Hilf. p. 28.
- Plemię, plon cf. skr. phal, Frucht bringen.
- Plug of. skr. vrika lat. lupus p. wilk r. wołk unde *vluk?* = plug ze ziemię porze, jak wilk bydło. it. skr. plava, okręt ze wodę porze cf. p. pławić spławny i pływać. cf. Hilf. wrk. p. 76. skr. *hala* plug zam. *hara* źr. p. słowa orać, i harować.
- Pływać skr. plu. p. okręt. skr. plava.
- Poczet (źr. czeta r. tołpā. skr. czhatā Hilf. 207.
- Pole skr. mala Hilf. 254 podług § 68 *m* zamienia się na *p* i na odwrot skr. *mala* zn. właściwie plamę, p. pole skr. *pada*. cz. puoda (czyt. póda) niem. Boden.
- Półk cf. skr. *par*. V. piparti lat. implet it. skr. *pux* miasto podług Hilf. i może lepiej pochodzi od *varga* r. tołpa 246.
- Posyłać ob. słać.
- Powiadać, i wadzić się skr. vad, mówić.
- Praca, skr. vradź grec. prasso 246.
- Prawić (mówić) skr. *bru* niem. sagen; dawni Polacy pisali pry zam. prawi (mówi).
- Prawy, cf. skr. *prábhū*, pau *prabhava* godność, władza.
- Prażyć, cf. skr. bhṛasdź niem. braten, pieć.
- Prosić r. sprasziwać cf. skr. priczh. zend. peres zend. fraśa, frasz, fra-sa r. wopros, pytanie p. prosić, proszę skr. praczh cf. Hilf. 206.

- Proso p. panicum skr. rasà Hilf. 131. cfr. prijangu panicum italicum p. ber. cf. Hilf. 52.
- Prszit cz. deszcz pada skr. vrisz, regnen.
- Przéc, podeprzéc, podpierać cf. skr. bhri.
- Prześcieradło, rozpościerać, rozpostrzéc, źr. pol. *strze* skr. *stri* zend. *stere* fr. *etendre*, rozpostrzéc, pokryć, odziać: także w złoż. np. *atvistara* pokrycie, rozpostarcie, cf. Hilf. 79.
- Przyjacieli; cf. skr. pri, amare p. kochać cf. Hilf. prijati 29, skr. prija przyjaciel, cf. p. sprzyjać komu.
- Pszenica *triticum* (a tero, trę) i pszeno r. mąka, cf. skr. *pisz* niem. *zerreiben*, *zermalmen*, trzéc, rozcierać praes. *pinaszmi* unde *pszana* p. żarna cf. Hilf. pszeno-44.
- Ptak skr. patanga.
- Puca kr. dziewczyna cf. skr. *pums*, mężczyzna cf. Hilf. 280.
- Puda (czyt. póda) cz. ob. pole.
- Rąbać cf. skr. arb Hilf. 88.
- Radło p. cf. skr. aritra. Schiff. u. Ruder. (p. rudel) cf. lat. *aratrum* (pług) ob. pług.
- Rak skr. karka, rak, znak niebieski Hilf. 213.
- Rakew cz. trumna, truna p. Sarg. niem. cf. skr. *ricz* pokrywać, cf. Hilf. raka 86. a p. truna zapewne to samo co *tarna* od skr. *trá* r. berecz p. chować Hilf. 89. a więc nie z niem. trube (ob. Linde).
- Rataj cf. zend. *rathaëstar*, in *curru stans*, a więc *rataj* jest woźnica.
- Rej p. np. rej wodzić, taniec prowadzić skr. *ri* taniec. r. plaska Hilf. 118.
- Rjeszci r. cf. zend. *raza* (źr. *raz erez*) celui qui rend juste, qui applique la justice cf. Hilf. p. 119.
- Ręka p. Ruka r. cf. skr. *kara*. Ręka zowie się też po skr. *hasta* od czego stoń, skr. *karin* i *hastin* cf. Hilf. 148 skr. *rangh* dwigać *śa*, i 153 skr. *racz*.
- Robak p. chrobak, cz. żuk r. cf. skr. *śarabha* szarańcza 183. cf. it. p. chrabąszcz.
- Ród. rodzić p. cf. skr. *ruh* zend. *rudh* zn. rosnać pomnażać it. skr. *ridh* zend. *eredh*. rość skr. *rudzka* lat. *ortus*.
- Rość, rosnać, skr. *ruh* (zend. *rus*?) Hilf. 196. skr. *rdh* 237.
- Rozum, źr. um skr. *om*, *um* ob. Hilf. *um* 34.
- Ruch, ruszać, cf. skr. *ruh* rość, 2) skr. *rakh rikh ranh* p. biédz uciekać cf. Hilf. 187. skr. *ranh* ruszać, spieszyć 194. skr. *ri isc*. p. ruszać cf. skr. *ruś*, *beleidigen*, obrażać. uwaga. p. ruszaj zn. idź. 2) dotykaj; *nē rusz* nie dotykaj.
- Rumiany, cf. skr. *aruna*, czerwony.
- Rwać, p. cf. zend. *arvat*, *rapidus*. źr. *ere* (arv?) cf. Hilf. 127.
- Rydać r. płakać cf. skr. *rud*. id.
- Ryż: it. *reż* = żyto p. cf. skr. *vrihi* (zend. *vrisi*?) lat. *oryza*, it. *secale*: chléb rżany żytni. cf. skr. *rāgī* zboże w Indyach: *Cynosurus cocrocanus* cf. Hilf. 223.



- Rządca, cf. skr. *radžan* król. cf. p. radzca.
- Rzeka cf. skr. *ri* iść, płynąć cf. Hilf. 92. skr. *rai* iść Hilf. 118.
- Rzeź, rzezać, rznąć p. cf. skr. *rišz* lat laedere interficere, zabijać. Hilf. 119.
- Rzyć, p. zadńica r. cf. skr. *riđaka* Hilf. 234.
- Sala i szafasz cf. skr. *śala* p. dom. khala p. chata cf. Hilf. 36.
- Samiec cf. skr. *samiacz* razem chodzący (rozumie się ze samicą).
- Samos, bohater słow. cf. zend. Sama, Sám, imię starożytnego bohatera ind.
- Ścierwo cf. skr. *śarv* zabijać Hilf. § 70 p. 264.
- Serce p. srdce cz. serdce r. (serdisi sja, p. sierzdić się) cf. skr. hridaja (źr. hrd) zend. zeredhaja. Hilf. 188 skr. asrdź, krew. skr. hrd. serce.
- Siać skr. *sziva*: sēvanam zasiewanie.
- Siadzić skr. *sad*. Hilf. 31.
- Sięgać p. sashat cz. cf. skr. sah tragen dulden.
- Sikać, cf. skr. *sicz* spargere, irrigare. *sikti* irrigatio, spersio cf. Hilf. 149.
- Sirisz srb. rośl *Angelica domestica* p. dzięgiel cf. p. sierzytka lat. serrissa cf. skr. sārasa, lotos (celtis?) p. kamonica Hilf. 107.
- Siwy cf. skr. *śjawa* fr. brun cf. Hilf. 106.
- Stać. posyłać, cf. skr. śil, niém. tragen.
- Stuchać, cf. skr. *śru* audire auscultare Hilf. 69.
- Stup. r. stołb skr. stambha Hilf. § 76 p. 283.
- Smiać się skr. smi.
- Smutek cf. skr. *muh*, mącić, mieszać, Hilf. 194.
- Śnieg cf. skr. snih? zend. śuiz, śniź, ningere śnieżyć cf. Hilf. 119.
- Socha (do orania sk. sákha, p. sęk. cf. Hilf. 54.
- Sok skr. *su* extraire un suc par la pression u Hilf. 215. skr. śuczj id. p. sączyć: z tegoż źr. sęk.
- 2) Sok cz. neprzjtel saumil (rywal) cf. skr. sakhi przyjaciel.
- Sowerszić r. skr. *orih* zend. *verez*, agere, facere.
- Spać cf. skr. svap: sen. svapna: z tém spokrewnione sapanie Hilf. 283.
- Sromota, sromać się obs. à srom wstyd p. cf. skr. hri (zam. sri?) wstyd.
- Sreca kr. szczęście cf. skr. sredź. niem. los lassen śri. szczęście.
- Ssać skr. czùsz Hilf. 216. cf. p. cyc.
- Stać cf. skr. sthá zend. štá: p. stan zend. stána locus, situs, miejsce.
- Stały cf. skr. sthal mocno stać cf. p. ustalić.
- Stan (u człowieka, część ciała ludzkiego) cf. skr. *stana* piersi.
- Stary cf. skr. *dźri* zend. *zar*. senescere. 2) stary zend. *sastar*. fr. celui, qui gouverne. gouverneur, maître, (zastary?) Skr. *sthavira* stary, Hilf. 283. *sthira* firmus.
- Sto skr. i zend. *sata*.
- Suchy cf. skr. *susz* siccāre *suszka* suchy.
- Suka p. psia samica cf. skr. *su* rodzić cf. Hilf. sika 111. iszúcaka 215.
- Sul, sulica, włócznia skr. sula.
- Suszyć (ob. suchy) skr. *śusz*.

- Suwałki m. pol. cf. skr. su valg pięknie dobrze idący.
- Swar, swarzyć się skr. *svar* p. łajać r. bronić. Hilf. 129.
- Świat. Bóg Ind. *Indra* zowie się też *śwétawa* zam. *svetavah* (świato-wóz).
- Świecić skr. *sucz* lucere, świecić *svisz* blask cf. p. świeca.
- Święty cf. zend. *spenta*, (skr. *svi* oczyszczać) albus, purus sanctus.  
Skr. *sveta* biały cf. Hilf. 119. 148. zend. *aszavan*, sanctus,
- Świtać cf. skr. *svit*. r. błęsjet' p. (blask) ibieleć Hilf. 169.
- Śwój skr. *sva*, twój, *tava*.
- Syn skr. *suta*, córka *sutá*. 2) Syn skr. *sunu* od *su* rodzić Hilf. 123.
- Szarańcza cf. skr. *szaccaranum* pszczoła 2) *szarandza* ptak.
- Szarawary (spodnie obszerne) p. zend. *saravara*.
- Szczekać cf. skr. *stjai* wydawać głos 208.
- Szczyć p. cf. zend. *szúta* i *súta*, fr. *chassé*, lat. *agitatus*, *quassatus*, *szczuty*.
- Szczypać skr. *czhup* Hilf. 207.
- Szczyt skr. *czhad* pokrywać Hilf. 206.
- Szeptać cf. skr. i zend. *džap*. *submissa voce loqui*, z cicha mówić.
- Szpetny p. szpatny cz. cf. skr. *sphit*. gardzić. niem. *spotten* Hilf. 108.  
skr. *sphunt* r. osmieiwać p. 111.
- Szyp p. szyp. cz. (strzela) cf. skr. *kszip* rzucić zend. *sif*. *szif*. *szip*. skr. *kszeptun* *ejicere*, *mittere* fr. *lancer*. *zład* p. szypki (prędkie, chyży) u Hilf. p. 200. cf. it. 37. *szibié* i *szibkij* zamiast. *szipkij*.
- Szyszak skr. *śirszaka* Hilf. 283
- Taić cf. zend. *tāju* złodziej cf. Hilf. *tat*, i *taicé* 32.
- Targ i targać cf. skr. *trh*. bić, uderzać. it. *uszkadzać*. Polacy w czasie targu, ugody o sprzedaż i kupno, biją, t. j. uderzają sobie nawzajem ręce, co się zowie dobić targu. cf. Hilf. 189.
- Tasak à ciosać? cf. skr. *taksz* rąbać. Hilf. 200. ob. rąbać.
- Tata (ocioc) cf. zend. *tatha* (źr. *tath*) fr. *qui fait naître* cf. Hilf. 33.
- Tęgi skr. *tak* lat. *fortis* cf. Hilf. *duży*. 232.
- Towar p. skr. *bhara* ciężar Hilf. § 75. cf. Hilf. 235 skr. *dvr*. nabywać.
- Trapić się cf. skr. *trap* wstydzic się.
- Truna ob. Rakew.
- Trup. (ciało nieżywe człowieka umarłego) cf. skr. *trup* r. ubić ob. Hilf. 33 i 410 *trapiti*.
- Trwać lat. *durare* cf. skr. *dhruva* zend. *drva* trwały, źr. *dhrú* trwać *fest stehen* cf. Hilf. 235.
- Trząść się cf. skr. *trus* lat. *timere* bać się, Hilf. 154.
- Trzcina p. *trost'* r. cf. skr. *trih* rość ct. Hilf. 189.
- Trzeźwy cf. skr. *trisz*. niem. *dursten* mieć pragnienie.
- Tupać skr. *tup*. id. Hilf. 232.
- Tulić p. (np. przytulić do łona) pochodzi od p. *tuł*, łubić, kochać. *sajdak*, r. *tuł*, (schowanie na strzały, fr. *carquois*, cf. skr. *tuna* pers. *dżule*. (podług Rejfa) a podług Hilf. od skr. *tra* ochraniać. (Hilf. 97) skr. *twal* być ispużannym Hilf. 127.
- Tur. p. rodz. zwierz. ssąc. cf. skr. *sthura*, mocny wielki cf. u Hilf. Tur r. str. 70. *Zład Turami* t. j. słupami zowią się różne góry w Styryi. (Tauern, u. Turrach).



- Tuszyć cf. skr. *tusz* niem. erfreuen.
- Twardy ob. darda.
- Tworzyć, stworzyć skr. *tvar* zend. *thveres* fr. faire, arranger.
- Ucho zend. gaosza Hilf. 282.
- Umierać ob. umrzeć.
- Urna cf. skr. *urnu* pokrywać.
- Usta cf. skr. *osztta*, wargę.
- Užas r. cf. skr. *odžas* robur, splendor. zend. *aozanh.* fr. violent. r. užasnyj. cf. Hilf. 20.
- Wadzić, zawadzać kr. bādḥ, vādḥ, ferire, laedere Hilf. 16.
- Wandal, Wandalowie? cf. skr. Vandāla, łódka może więc Wandalami nazywano rozbójników morskich, którzy na łódkach stały łąd napadali: cf. Hilf. 143.
- War. warzyć p. cf. skr. *vari* zend. *vairi*, vāiri woda.
- Warga p. cf. skr. *varh* valh, mówić, Hilf. 194.
- Warowny, obwarować, wara! p. cf. zend. *vare*, *vara*. locus circumseptus, arx, palatium.
- Watra kr. ogień cf. skr. *atar* ogień święty cf. Hilf. 17.
- Wąż, skr. *ahi* zend. *azi* Hilf. 154.
- Wczora cf. skr. *cziram*, diu, longo tempore.
- Wieś r. wszystkim, dawn. wszystkim cf. skr. *viśva*.
- Wiatr skr. *vāta*.
- Wiązać cf. skr. *juḍḍ*.
- Wiedzieć p. scire skr. *vidi* *vedi*, *vid.* zend. *vat* cf. Hilf. 17 widzieć, videre p. 116 *wjedjeti*, znać.
- Wiek cf. skr. *vjē* pokrywać Hilf. 118.
- Wierzch p. vrh kr. wrch. cz. cf. skr. *vrīh* (*vrh*) wznosić się ob. Hilf. wiecha 100 wrsa 186 i 194.
- Wierząc, cf. skr. *varch* uderzać Hilf. 194.
- Wieś p. derewnia r. cf. skr. *vas* habitare mieszkać it. *vis* habitatio, domus, fr. hameau, village: ztąd lit. wesz, patis, pan zend. *viṣpaiti* loci dominus. wsi pan (żupan?) cf. Hilf. 59.
- Wiewiórka p. bielka r. cf. skr. *vivara* r. duplo p. dziupel: skr. *vevara* żyjący w dziupli (wydrążeniu drzewnym) Hilf. 116
- Wilk p. wołk r. wuk serb. cf. skr. *vrika* zend. *vehrka* Hilf. 76.
- Wiosna, sł. wesna skr. *vasanta* zend. *vañhva* vañhara ob. jesień skr. *Usana* nazw. planety Venus.
- Wolawa, p. 1) roślina owocowa lat. *bubroma* 2) miasto w Szlązku cf. skr. *valla*. lat. *dolichos*, zwilupa.
- Wóz skr. *vaha*, zend. *vaśa* (źr. *vaz*) cf. Hilf. *wezti* p. 186.
- Wróg cf. skr. *vrđžina* zły. *vrđžana* grzech Hilf. 219 cf. skr. *uranga* wąż, (na piersiach idący).
- Wrzecz, zawierac cf. skr. *vri* niem. *verschlissen* zamykać, zawierać, zawrzeć.
- Wrzód, cf. sl. *wred*. skr. *vardh* (*varh*) r. powreżdzać p. psuć. Hilf. 197.
- Wściekły p. bieszennyj r. cf. skr. *tanka* (*canka*?) gniew ob. Hilf. *tek* 159 wążliwie.
- Wypadek, cf. skr. *vi-pad*, nieszczęście.

- Ząb, zęby, r. zuby cf. skr. *džambh* rozdziawiać, roztwierać usta ob. gęba cf. Hilf. gumbić 108 gęba 145 i ząb 177.
- Zawierać ob. wrzéc.
- Zboże cf. skr. bhogja, żyto (secale).
- Zed cz. mur. zend. *zantū*, miasto zamek ztąd Zend-avesta.
- Zielony skr. *harin* (niem. grün) formy pośrednie *salin zelen* cf. Hilf. § 11 i p. 44.
- Ziemia cf. zend *zem* abl. *zemâ* loc *zemî* (p. w ziemi) it. skr. *kszama* zend. *szama* i *sama* p. ziemia cf. Hilf. 177.
- Zima skr. hima zend. zima cf. Hilf. p. 187.
- Złoto zend. *sara* skr. harita zend. zarita złocisty, żółty.
- Znać skr. *džnâ*, zend. zna cf. Hilf. 177.
- Zorza cf. skr. hairi zend. zairi złoto i t. skr. surja słońce cf. Hilf. 96 i 177.
- Zwać, zwie, skr. hwe zend. zbê cf. Hilf. 187.
- Zwycięzca (źr. słow. witez) cf. skr. vi-dzi zwyciężać (źr. dzi).
- Zżymać się (źr. žym) cf. skr. *džihma* krzywy Hilf. 194.
- Żarna, i ziarno cf. skr. *džri* aufreiben, trzéc cf. Hilf. 20 ob. pszenica.
- Żać skr. *czan* odrzynać Hilf. 225.
- Żądać skr. gâdh r. żelać Hilf. 222.
- Żebrać skr. džap prosić Hilf. 257?
- Żerdź ob. Hilf. 222 skr. *gârdha* strzała kr. *darda* włócznia.
- Żona słow. žena cf. skr. gna Hilf. 42 i 221. zend. *ghena*, *gena* skr. *džan* rodzic.
- Żreć cf. zend. qar, qere (har-zar) p. żarcie zend qareti ob. r. charcz u Reifa który wyraz ten porównywa z arab. *khardj* skr. *hvirî*, żreć, jeść.
- Żupan (rządca) zend. *zantū paiti* urbis dominus (miasta pan).
- Życ skr. *dživ* zend. gj Hilf. 20. tad dživanam to życie.

Pisałem w końcu sierpnia 1853 r. w Warszawie.

*And. Kucharski.*

### *Improwizacye i poezye Deotymy. Warszawa. 1854 r.*

Stronicy i wielbiciele dawnych *poetyk* zgorszeni zapewne będą widokiem tego zbioru poezyj, które ani swym charakterem ogólnym, ani według swych nazwisk nie dadzą się podciągnąć pod żaden gatunek i rodzaj w nich oznaczauy. Stronicy szkoły *historycznej* w poezyi, to jest: oglądający jej piękność jedynie w opieraniu się na dziejach miejscowych, podaniach i pieśniach ludu, będą zgorszeni równie, nie znajdując wcale w tym zbiorze tego pierwiastku. Jedni i drudzy nie odejmą jednak przymiotu poezyi od tych poezyj. Uznawanie, iż prawa sztuki wyczerpnięte już ostatecznie zostały przez kilku pisarzy dawnych, jak równie przypisywanie zdolności twórczej imaginacyom' wyłącznie klass



wlejskich, pokrzywdzaniem są tylko ludzkiej jedności. Istotą poezyl w ogóle jest *lot fantazyi*, to jest pewna *twórczość*, lub jaśniej, — pewna *nowość* w tej sferze, w szacie *pięknego*. Poezye, które mamy przed sobą, są właśnie odznaczone tą cechą; każdy w nich pomysł, obraz, opis, wiersz prawie każdy, mają i *nowość* z gruntu, i *fantastyczność* i najczęściej piękność wyrazu. I owszem, lubo utwory te sąto dopiero pierwsze kroki ich autorki, niezawisłość jednak w natchnieniu ich jest tak jawna, odrębność ich tak wybitna, a cząstki w nich żywotne tak liczne, iż o ogłoszeniu tém, jako o ogłoszeniu wartości poetycznej rzetelnej, mówić nam wypada.

Poezye obecnego zbloru nie podchodzą, jak rzekliśmy, pod żaden gatunek i rodzaj dawnych sztuk rymotwórczych; nie są one bowiem ani wyłącznie *liryczne*, ani wyłącznie *opisowe*, ani wyłącznie *dydaktyczne*, nie są też to np. ani *ody*, ani *hymny*, ani *elegie*, ani tém więcej *sielanki*, *satyry*, *powieści*, nawet *ballady*; niektóre z nich noszą wprawdzie nazwisko *ballad*, ale nie mają nawet tej równości rytmu i zwrotek, które są warunkiem i odznaczeniem tego gatunku (*ballare*). Poezye te nie mają też podobnie wybitnego pierwiastku historyczności; spotykane w nich niekiedy pośród nauceń, opisów, wzmianki czynów z dziejów krajowych, źródło mieć zdają się nletyle w miłości tych dziejów, ile tych czybów: z równem uczuciem, życiem, przytaczane są z dziejów wszelkich. Poezye mające napis *z podań ludu*, odbijają tu raczej pierwiastek psychologiczny tych podań, nie obrazowy.

Właściwie więc jakież są ramy i grunt, z których wychodzi autorka tych poezyj? Jaka poetyka jój?

Gruntem i ramami autorki poezyl o których mówimy, nie jest bynajmniej naśladowanie jakiegoś wzoru, stosowanie się do tych lub innych przepisów materyalnych, lecz tylko — bieg za własnem natchnieniem. Może w historii natchnień nie mieliśmy jeszcze z takim zasobem szczegółów i razem tak giętkiego natchnienia. Autorka tych poezyj otrzymała przywilój pochwytywania, wcielania w siebie na stanowisku społecznem, tego wszystkiego, co jest najwięcej subtelnem z gałęzi *pamięci*, *reflexyi*, uczucia *pięknego*, jednoczenia tego w sferze *fantazyi*, i opowiadania tego w tej barwie. Jedynym jój oporem w tej drodze, w tym locie duchowym jest uznawanie: iż *lot* ten poddanym jest jednak jakimś wyższemu źródłu, duchowi; a ztąd opieranie się w tym kierunku, na tym kierunku duchowym, który jeden śród tylu duchowych, tak w źródle swém jak historyi, poręki prawdy przedstawił; lub jaśniej, jedyna droga śród natchnień autorki tych poezyj jest tylko: wiara w duch własny, a jedynym kierownikiem w tej drodze: *Wiara Chrześcianańska*.

Kodexem poetycznym autorki jest więc wiara chrześcijańska, a rozdziałami tego kodexu, dodajmy: dogmata jój, jój przepisy, proroctwa, a zwłaszcza (ile w zastosowaniu) trzy owe cnoty, które są podstawą życia i drogi w chrześcijaństwie, i które zowią się główne: *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość*.

Te zasady jakże się wyraziły w treści poezyl?

W poezyl nam sąsiedniej niemieckiej była niedawno, a w części jest jeszcze, cała szkoła poetów, którzy równie w religii tylko chrze-

ściański i jej nauce uznając prawdę, na jej gruncie, przepisach, proctwach, poemata swe oplerali. Poeci ci, odcień szkoły tak nazywanej w ojczyźnie ich „lewój Heglicznej” (szkoły, która, dodajmy w nawiasie, przeciąga się tam z tém nazwiskiem dotąd, a reprezentantem jej dzisiaj głównym teolog-filozof *Noak*), nauczając i powołując do drogi miłości, oczekując przybliżenia się wieku nowego, wieku powszechnego *świata, pokoju*, byllto i są rzeczywiście z tej strony poeci chrześciance; lecz oglądając razem całość nauki w tej tylko drodze, w tém co braterstwem się zowie, co dla pojęcia jasne, wyszli tylko z *części* a nie *całości*, z *przekonania* nie wiary, i ściśle mówiąc, w poezjach ich nie tkwi wiara. Iny jest żywioł chrześciance w poezjach o których mówimy: w żywiole tym przedewszystkiém właśnie tkwi *wiara*, a ztąd przyjęcie jej następstw, i całość drogi. W treści np. utworów autorki nietylko od czasu do czasu wspomnianym jest Chrystus, ale i—Pasterz Chrystusowy, z czcłą katolicką *życie zakonne, Sakramenta, obrzędy*, czci Matki Zbawcy poświęcane całe poezye, *mysł* poddawana *duchowi, wola ludzka nadludzkiej* i t. p. Ile w rzeczy o sztuce, wspomniemy tu tylko np. jak pierwiastek ten kazał określać autorce początek swój sztuki (poezyi), tojest: widzielić go nie w jakowych wzorach, zapalch, nawet w sile swój własnej, ale owszem w samém owém poddanu się.

„Gdzież, o poezyo, twe ognisko świeci?”

(Zapytuje autorka w jednej z fantazyj swolch)

„Z jakich się sere rozpromienia?

*Ubodzy w duchu*—oto są poeci.

*Z prostoty* płyną natchnienia.”

Jak *wiara*, tak również, i owszem dobitniej na koloryt wewnętrzny poezyj tych wpłynęła *miłość*. Nie mówimy tu już o tym odcieńlu w treści utworów, iż te ani w słowach, ani w istocie nie mieszczą i cienia jakiejś zawiści lub nienawiści, jakiejś np. napaści na takie lub inne klasy, jednostki, iż w osobistych zwrotach, wszelką wokoło zdolność, kierunek, raczejby owszem wesprzeć, wznieść w oczach wszystkich pragnęły, iż w ten sposób autorka, może nawet nie wiedząc, wykonywa ten przepis czyli nwałę pisma: iż miłość „wszystko znosi, wszystkiego się spodziewa;” lecz miłość ta w natchnieniach autorki nietylko się zwraca do tego co jest na świecie ludzkie, lecz téz co Boże. Począwszy od kamieni i kwiatów, do ludzi i do dzieł ludzkich, ogląda we wszystkiém piękność, cud jawny Boży; we wszystkiém znaczenie, zwłazek, ślad jednej ręki rządzącej, świat miłującej. Uczucie to podziwienla dla świata, szczegółów jego, odbite jest w każdej poezyi autorki, a jako na nosoblenie go możemy mianowicie wskazać na treść jednej z fantazyi, zawartych w zbiorze. Fantazyja ta ma napis: „*Sabaudczyk*.” Młody Sabandczyk, mieszkaniec odludnej chatki w górach śnieżystych, wypuszczony na wędrowkę przez ojca, gdy ujrzał szczegóły świata tak różne od jego solegów i chatki, cuda natury, sztuk pięknych, nie zniósł stopnia tego wrażenia, uszczęśliwienia, i w upojeniu—skonał. Lub zno-



wu na to wrażenie jednego z bohaterów innej fantazyi, przy posłyszaniu w górach śpiewu ptaszka:

„W tym *głosie* ptaszyny małej,  
Słyszysz wszystkich stworzeń chóry;  
Słyszysz ruch *całej* natury,  
I pochód *dziejów* wspałały.”

Uczucie to każe nawet autorce oglądać pięknem to, co najwięcej ohydnam zdaje się dla nas. Uczy nas tego np. ballada *Kosarz*. Młody kosarz odpoczywając po pracy, patrząc na piękne łąki i piękne słońce tém się tylko zasmucał, iż kiedyś trzeba mu będzie umrzeć. Podслуchał go piękne dziewczę i wybległszy zwabiło ku sobie. W rozkoszy tej jeszcze żywszej, kraju jeszcze piękniejszym, młody kosarz tém więcej zatroszył się myślą o śmierci; ale dziewczyna mu rzekła: „jam nią jest, jużes mę przeszedł, a kraj na który spoglądasz, rozkosz której doznajesz, to nieśmiertelność”.—Jako wreszcie na skutek tegoż pierwiastku *miłości*, to jest rzetelnej miłości (nie *egoizmu* w wierze, który tak często bywa udziałem jej), a jako na skutek, który także wpłynął przeważnie na treść utworów autorki, musimy tu wskazać na podzielenie przez nią tego uznania: iż uprawa sztuk, nauk, czynność moralna, nie są zewnątrz obowiązków człowieka. Pojęcie to wyrażone w jednej z fantazyi (p. n. *Tajemnice owoców*), powtórzymy tu własnymi słowami autorki, lecz jako należące raczej do sfery rozważli, (i dodajmy przetrawionej rozważli) powtórzymy tu prozą.

W poezyi tej, która ma formę *sceny fantastycznej*, główny bohater jej, wielbiciel i zwolennik poezyi, mówi:

— „Serce, ziemia. sam szatan, chęłały mę od sztuki odciągnąć, i tylko *duch wewnętrzny* umiał się oprzeć.

„*Serce* mówiło mi: po co się męczyć? niedosyćce ci wierzyć jak inni i żyć w pokoju?

„*Mój duch*: ten, który przegląda przyszłość, może obojętnie patrzeć w obecność.

„*Ziemia*: świat już się przeżył i idzie w odcłań, nowych dróg nie obmyślisz dla niego.

„*Mój duch*: czyż świat ma skonać z samą tylko nadzieją, gdy odkupiony już.

„*Szatan*: chcesz opowiadać prawdę, nowy świat tworzyć; mylisz się, wnet cię obejmie duma, żeś równy Bogu.

„*Mój duch*: kto kształcił świat, nie jestże raczej pomocnikiem Bożym?” (stron. 250).

W takich i tym podobnych drogach odbił się w poezyach autorki pierwiastek miłości; a jest to miłość, dodajmy, rzetelna chrześcijańska, to jest ta, która kocha „i bliźnich, i Boga nad wszystko.”

Jak miłość, tak też w sposób równie nowy i żywy, i owszem żywszy jeszcze i nowszy charakter wewnętrzny poezyi tych, odznaczyła: *Nadzieja*.—Kiedyśmy przed dwoma lub trzema laty zapisywali uwagę w tém piśmie, że jedną z cech pism naszej epoki jest ten szczegół, iż

odznacza je nie tylko zwrot do *przeszłości* lub *obecności*, jak było dotąd, ale też do *przyszłości*, *zamyslanie się o niej*; nie sądziliśmy, iż nważy tej będziemy tu mogli tak prędko wskazać nowe, tak dobitne stwierdzenie. Przyszłość, wiek lepszy ziemi, ów wiek, który był treścią wszystkich prawie prorocत्व wieku starego, a według zapowiedzenia; zaręczenia słów Zbawcy: „przybliżony już“; wiek, w którym według wyrażenia owych prorocत्व: będzie mieszkał „wilk z jagnięciem, a pard z kozłkiem“ (Izaj. XI. 6), w którym wszelkie owszem stworzenie, szczegóły natury, z ręki śmierci i bólów na chwałę dzieci bożych być mają wyswobodzone, („gdyż wiemy, iż wszystko stworzenie wdycha i .... boleje aż dotąd. Bo i samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewolnictwa skażenia na wolność chwały synów Bożych“). Św. Paweł w liście do Rzym. VII. 21), wiek ten, do którego przejście, którego szczegóły tak jeszcze dziś dla nas ciemne, ale nadejście którego dla serc wiary, miłości, serc rzetelnie chrześcijańskich, tak pewne:—wiek ten jest właśnie i źródłem i celem i główną ożywiającą treścią każdej poezji zbioru o którym mówimy. Każdy szczegół natury, ludzki, ludzkich utworów, obierany za treść poezji, rozważany jest w danej poezji i przedstawiany w zwrocie swym do celu swego ostatecznego—wieku owego.

Pojęcie to wyrażone jest w ogóle w swém uosobieniu w jednej z poezji zbioru, która ma napis: „*Walka dwóch potęg*“. Dwie siły, *prawdy i fałszu, szczęścia i cierpienia, dobra i zła*, njęły, uważa tu autorka, życie człowieka, jakby kolebka: dziecko, i wahając niem, unosząc się to w górę, to na dół; wskazawszy na cioty i nędzę już w tych, już w owych kierunkach, los ten ludzki pociesza tu w końcu nadzieją ową, i wiersz ten kończy takiem, które tylko wśród poezji chrześcijańskiej wyrazić się mogło, wezwaniem:

„ . . . . .  
 Dnia lubi! jesteście blizki?  
 Dnia, co przerwiesz kołysanie,  
 Gdy duch ludzki sły wstanie,  
 Okowy złudzenia skruszy..

Gdy już *ciało* nie osłona,  
 Lecz się stanie kształtem *duży*.  
 Gdy *czas*, co miarą zasługi  
 O wiecznym losie stanowi,  
 Spłynie nakształt srebrnej strugi,  
 Ku wszech wieków potokowi.  
 Kiedy przejście *śmierci* samo  
 Stanie się *wszeczżycia* bramą.

Gdy przy Cherubów odgłosach  
 Jak wyblask tęczy z promienia,  
 Jaśniejąc w siedmiu niebiosach,  
*Szczęście* wykwiśnie z *cierpienia*.

Gdy serce ludzkie zranione  
 Zrzuciwszy na padół ziemi



Wszystkie kolce nienawłości,  
 Uleci skrzydły chyżem,  
 Unosząc tylko koronę  
 Z różanych braterstwa liści.  
 Kledy żywioły i ludzie  
 Wyszedszy z ziemskiego boju,  
 Tarcze składając po trndzie  
 Utoną w wiecznym pokoju.

Gdy w nagrodę za ofiary,  
 Za wieków oczekiwanie,  
 Urzczywistnienie wiary  
 Pewnikiem myśli się stanie;  
 I gdy na czasów rozkresle  
 Po wątpliwj wieków zorzy,  
 Prawda ród ludzki uniesie  
 W centralne słońce, w świat Boży.

Takie są: grunt, ramy i cele, taka *Sztuka Rymotworcza* autorki, i w taki sposób ta nowa sztuka wywarła wpływ swój na ogólną treść jej poezyl.

Co do szczegółów, te są następane:

Zbiór ogóły podzielonym jest na dwie części: *Improwizacye* i *Poezye*. Oddział ten jeduak, uprzedzamy, nienależy brać literalnie, część pierwsza bowiem równie jest odznaczona rzetelną poezją jak i druga, i w ogóle téjże cechy wewnętrznej i téjże zewnętrznej (dla czytelnika) jest całość (1).

Książkę otwiera wiersz *Wiosna*. Zaczęcie to przypomniało nam właśnie zaczęcie zbiorku poezyl, który przed laty trzydziestą, sprawił

(1) Napis książki „Improwizacye” dobrze oznacza szczególne usposobienie autorki, łatwość i potok jej natchnień. Sam zbiór obecny obejmuje już liczbę utworów, do jakiej nieraz całość życia poetów dojść nie jest zdolną, a zbiór ten częstką jest tylko tego, cośmy styszeli sami w improwizacyach autorki w tym nader krótkim przeciągu, a co, dziwimy się i żałujemy, że do wydania nie weszło. Napis ten jednak może być źle uprzedzającym dla książki. Wyraz „Improwizacya” oznaczeniem jest nie treści utworu, lecz *historji* jego tworzenia się; położony więc jako napis, zdaje się być lub ostrzeżeniem o braku treści, lub usprawiedliwieniem się z niewykończeń, pośpiechu. Zład też dla wielu *improwizacya* jest to samo co *mierność*, a *historja* téj sztuki nie zaprzecza tym dopuszczeniom. Sztuka *improwizacyi*, to jest deklamowania natychmiast (*ex improviso*) na tema zadane, jest znaną od czasów dawnych, i za wieków nowych w Europie kwitła mianowicie przed laty już trzystu na dworach włoskich. Źródłem stawy improwizatorów, wzruszeń stuchaczy, bywał tu głównie sam talent *deklamowania*, najstynniejszego z improwizatorów w całej Italji, kawalera *Perfelli* (improwizatora z wieku XVII) końcem stawy było ukazanie się w druku jego utworów, (1748 r.). Za dni już naszych *Sgrici* improwizował w Turynie całą tragedją „*Hektor*.” *Ciconi* w Rzymie, całą *epopeję*. Z improwizatorek słynęła nad inne przy końcu wieku zeszłego *Corilla Olympica*, wieńczona w Rzymie; wszystkie te jednak poezye należą tylko do *historji* improwizacyi, nie *historji* poezyi. Zbiór obecny jest jednak przeciwnj natury.

epokę naszą w tej gałęzi, gdzie zaczęło to, także zwrotem jest myśl ku wiośnie, i ma napis *Pierwiosnek*. Wiersz autorki Wiosny nie będzie miał zapewne nigdy tej siły, tych estetycznych wykończeń, jak wiersz autora *Pierwiosnka*; ale treść tego wiersza odkreśla już całą różnicę wewnętrzną treści dalszej. Różnicą tą jest: przejście w treści poezyi za *chwilę*, za *osobistość*. Autor *Pierwiosnka*, w swym zkadynąd tak pięknym wierszyku, troszczy się tylko, iż wiersz jego nie jestto jeszcze ani lilia ani róża, ale tylko *Pierwiosnek*, i pociesza się, że jednak przyjaciele, kochanka, może powitają go mile, a to dlatego właśnie, że jest *pierwiosnkiem*. Zwrot myśli ku wiośnie, z gruntu luty wydał szereg uwag, obrazów w natchnieniu autorki. Czas, świat, dzieje, natura, ich błęgi, ich początek, ich cele, wszystko zbiegło się razem w tym zwrocie myśli. Autorka wieczną wiosnę pierwotną nosiła tu w Duch-dziecko, i opowiada jak *to*, po upadku człowieka i z nim natury, z bram rajskich zdołało się przekraść na świat, i odwiedzając każdą stronę ziemi raz na rok, pociesza ją wspomnieniem i wskazywaniem na wieczną wiosnę.

Wiersz następny jest zwrotem do owych trzech uczuć, które są podstawą treści dalszej, i ma napis: *Wiara, Nadzieja i Miłość*. Autorka wskazuje w nim na żywotność tych cnót we wszelkich kierunkach pracy, szczegółów dziejów, a w przebiegu dziejowym, za typ *Wiary* podaje wojny Krzyżowe; *Nadziei*: misyjne chrześcijańskie na Wschodzie; *Miłości*: zakon sióstr miłosierdzia.

Treścią następnych poezyj są po kolei brane za przedmiot fantazyi te lub inne szczegóły świata z różnych sfer jego; a wśród fantazyi tych, najwięcej charakterystycznymi są: poświęcone tworom natury, oraz tworom ducha ludzkiego (sztukom pięknym).

Szczegółom natury nieorganicznej poświęcone tu są: *Noc zimowa*, *Cztery pory roku*, *Kamienie*.

Królestwu roślin: *Kwiaty i Wieńce*.

Królestwu zwierząt: *Ptaki*.

Ze sztuk, górną formą: *Szyccerstwo*, *Budownictwo*, *Taniec*, *Malarstwo*, *Dwie siły w malarstwie*, *Malarki*, *Franciszka Rimini*, *Pracownia Suchodolskiego*. Tonom. *Życie Artysty* *Muzyka*, *Dwie cechy w muzyce*, *Poługa pieśni*, *Poezyi*; *Tajemnice owoców*.

Inne poezye mają za przedmiot fantazyi szczegóły ludzkich dziejów, ustaw lub wynalazków, jak *Krucyaty*, *Niedziela*, *Druk*; inne idealizowaniem są samych szczególnych uczuć jako uczuć, lub myśli jako myśli, jak: *Widzenie Majowe*, *Natchnienie* i t. p. Kilka wreszcie, psychologiczne prawdy lub postrzeżenia wykładają w kształcie dramatu (*czynu* ludzkiego), jako: *Sabaudczyk*, *Kosarz*, *Ptak Niebieski* i t. d.

Co do szczególnych własności, poezye te wszystkie, jak uważaliśmy już, nie są ani wyłącznie *liryczne*, ani wyłącznie *opisowe*, ani wyłącznie *dydaktyczne*, lecz dodajemy: wszystkie te trzy pierwiastki razem w jednym stopniu łączą.

Każda z poezyj tych mogłaby się nazwać: *Liryką opisowo-dydaktyczną*, lub *Dydaktyką opisowo-liryczną*; najwłaściwszym zaś ogólnym nazwiskiem każdej jest: *fantazyja*.



Pierwiałek w tych poezjach (fantazyach) *liryczny* to sprawa, to jest to wykazuje: iż bieg ich jest to stopień ciągłego jakiegoś nulestenta autorki, iż sfera ich idealna wyłącznie, iż w samej pomyslanej całości części jej przedstawiają się zwykle w pewnym bezszyku, w jakimś zamęcie, z rysem tylko od czasu do czasu wieszczona, rzeczby można jak nieraz w poetycznych miejscach ksiąg hebrajskich.

Pierwiałek *opisowości* głównie wpływa na poetyczność szaty. Każdej wzmlauce o jakim rysie, pomysle, towarzyszy tu opisowość. Opisowość ta zawsze jest nowa, trafna i poetyczna. Wzгляд ten ostatni tworzy mianowicie cecha porównań, śmiałość i świeżość ich. Autorka jest mistrzynią istotną w czynieniu przyrównań, i umie je upatrywać w stronach szczególnej idealności:

„Jak dwie struny jęcząc w lirze,  
Jednym dźwiękiem w próżnię wioną”

(mówi np. w zaczęciu poezji *Walka Dwóch Potęg*) tak działające dwóch duchów różnej natury, ukrywa się w istocie i blegu rzeczy”.

Tych porównań, napozór tak łatwych, a rzeczywiście tylko śmiałych i trafnych, jak np. gdy mówi w poezji „*Druk*”.

„*Rosa nauki przez siatkę czelonek*  
Spada, i wielkim korytem płyła”.

Iub mówiąc o starożytnym *Arionie*:

„*Dźwięk zlał z poezją, jak światło z żarem*  
Połącza z sobą wóz Feba”

*Potęga pieśni;*

takich rysów, mówimy, pełna jest każda fantazyja autorki. Ale jako w uwadze o głównym przymiotcie rodzaju poetyczności jej, wskażemy tu jeszcze, iż nieraz całkowite okresy w poezji, złożone tu są z samych przyrównań bez nurzenia swą allegoryą.

Tak naprzykład w poezji „*Noc zimowa*” w opisie tej nocy:

„ . . . . .  
Duch światła znikł pokonany.  
Jak wdowa po jego zgonie,  
Noc weszła w czarnej osłonie  
Gwiazdeczkami okraplaną.  
Z obłocznych krużganków w górze,  
Wychyla posępne lica,  
Zrzuca szron jak białe róże;  
Ziemia niby zakonnica,  
Kryje się w śnieżnym kapturze”.

Lub np. w tym opisie *kośby*, w balladzie *Kosarz*:

„W bałwanach zleleń, co szumią na łące,  
Przez tuman balsamu i rosy,  
Jak wiosła stu łodzi pod wodą iskrzące,  
Wpół leżąc suwają się kosy.

Splaszona w gęstwinię młoką tęcze motyli. ..

Niekiedy kobiety i męże

Stanąwszy w półkole, jak gdyby w dzwon bill,

Tak ostrzą swe sielskie oręże' i t. p.

Co do pierwiastku wreszcie *dydaktycznego*, ten, jak to już nwa-  
żaliśmy, jest głównie charakteryzującym rodzaj utworów autorki, tak, iż  
możnaby wątpić, czyli to w tych utworach gałąź poezji nowy spekulacy-  
jny w swojej historii zyskała odleń, czyli też że gałąź spostrzeżeń  
przy zejściu w zastosowanie, w tę nową popularniejszą oblekła się formę.  
Mówiąc tu tylko o faktach, wskazujemy: iż oba te istną. Zadałem każdej  
poety, w tym zbiorze fantazyi nie jest tu wcale dramat, wypadek, hi-  
storia serca ludzkiego i t. p. (te jeśli się gdzie znajdują, tedy ubocznie,  
dodatkowo, nie jako treść główną), lecz tylko jakieś postrzeżenie psy-  
chologiczne, nauka, słowem dydaktyka. Grunt jej, jak powiedzieliśmy już,  
jest w owych trzech cnotach chrześcijańskich. *Wiara* z równą ufnością  
dozwala przyjmować autorce każdy szczegół stworzony za przedmiot  
*nauki*, treść *studiów*, *Miłość* każe jej go oglądać w jego znaczeniu  
wewnętrznym, związku do innych spółtworów, to jest: upatrywać sto-  
sunki i opowiadać dzieje jego od początku, *Nadzieja* każe nań wskazy-  
wać w odniesieniu do celów ostatnich. Zwroty te składają ogół każdej  
prawie fantazyi, a odstępów częściowych, są to znowu uwagi częściowe,  
stosujące obrany przedmiot do obyczajów, dziejów i t. p. — Co do ro-  
dzaju tych myśli dodajmy: iż to, co zwykle odtrąca myśl ludzką od słu-  
chania mozaik, albo spostrzeżeń, t. j.: iż te są powtarzaniem tylko, lubo  
prawd, ale prawd stokroć już powtórzonych, a co zwiemy *trywialność*,  
właśnie jest jak najdalszym od dydaktyki obecnych poezyj. Każda myśl,  
postrzeżenie, przestroga, zawsze tu nowe, jakkolwiek zkadłąd grunt  
ich i cel zawsze jeden, to jest na różnych stopniach i w różnych zwro-  
tach: prawdy chrześcijańskie.

Wskazujemy tu dla przykładu na kilka z tych cech, w tych tak ro-  
zmałych w treści fantazyach, których przedmioty przywiedliśmy. — W fan-  
tazyach o nieograniczonych przedmiotach, w obrazie *Sniegów* okrywają-  
cych pola i lasy, autorka wskazuje np. na obraz śmierci, zmartwychwsta-  
nie dalej wróżącej. Patrząc na same formy plastyczne w widokach zimy,  
zowie zimę „rzeźbiarką Bożą”, i wskazując jakby na odpowiedzialność  
kolei w utworach ducha Bożego i ducha ludzkiego, (w porach roku  
i epokach sztuki) zwraca uwagę: iż jak *zimie* odpowiada *rzeźba*, tak  
dalej żywej *wiosnie* poezya, słońcu i burzom *lata*, *malarstwo*; tęsknej  
*jesieni* muzyka. W fantazyi *Kamienie*, wątpi czyli rzeczywistą istotą ich  
nie są dusze ludzkie, odbywające pokutę za staność w życiu; prze-  
biegłszy z kolei główne, mówi w końcu o najslawniejszym z nazwiska  
*filozoficznym*, szuka go i znajduje w treści i ramach *Kościota po-  
wszechnego*.

W *Kwiatach*, autorka szuka tej myśli, powodu skrytego, który  
w kształtach ich każe nam widzieć *piękność*. W *wienkach*, tę między  
innymi silnie chrześcijańską myśl spotykamy: „*Z wienca* na ludzkim czo-  
le, poznasz jaka jest myśl w tym czole: inne otacza *cyprys*, inne *myrt*,



Inne *wawrzyn*; wleńcem jednak nad wieńce dla czoła ludzkiego jest — wleńiec „z *cierni*.” W *Ptakach* zazdrości ptakom, iż mają nie tylko duchowe, jak człowiek, ale i materialne skrzydła. Określiwszy najrozmaitsze, wiersz ten kończy nadzieją: iż lekki lekkością sumienia wzbije się kiedyś człowiek w słońce jak *Hippogryf*, a świat się przepali i zwar twychwstanie z popiołów, jak *Fenix*.

Fantazyje, które są poświęcone *sztukom pięknym*, (a które w całościach swych głównie odznaczają rodzaj poezyi autorki) są małą *estetyką*. Sztukę uwielbia autorka jako odbicie jednej z jawnych cech obrazu Bożego w duchu człowieka: *twórczości*. Wartość sztuki ocenia głównie z jej *celu*, a to wyznanie (w głośniejszej tej estetycznej kwestyi) oznaczone jasno widzimy w oddzielnej fantazyi, będącej jakby prologiem do innych poświęconych sztukom p. n.: *Burza*. *Snycerz*, *architekt*, *poeta*, *malarz* i *muzyk*, napadnięci w wędrowce wspólnej przez burzę i gromy, schronili się do świątyni starzej, i uczynili ślub postawić nową, jeśli ujdą śmierci. I dopełnili go. Dzieła ich w tej świątyni nowej stały się wkrótce podziwem, rozkoszą ludu okolicznego, bo tak, uważa autorka, zawsze jest los dzieł sztuki, „których celem: *podniesienie człowieka i chwala Boża*.”

Dzieł sztuki nie przenosi wprawdzie (autorka) nad dzieła *Boże*, dzieł ducha ludzkiego, nad sam duch ludzki, i owszem, jak mówi w fantazyi o najtrwalszej z ludzkich sztuk, *Budownictwie*:

„Co miało początek znika,  
Co pyłem w pył się obraca.  
Tylko słowa z godłem *wiary*,  
Tylko *mysli* prawd flary,  
Tylko *serce* co cierpiało,  
Są świątynią wiecznotrwałą.”

Wszakże objawia nadzieję, iż kiedyś, kiedy udoskonali się duch, udoskonali się także i jego *twórczość*, a ztąd i dzieła jej, sztuka, do jakiej teraz jesteśmy w stopniowym tylko i pracowitym przechodzie.

„Lecz gdy po wiekach zasługi,“ (mówi, kończąc fantazyją, *Dwie siły w malarstwie*)

„Uduchowiony, przezroczy,  
Rozwidni się świat widomy;  
Natenczas wierzących oczy  
Ujrzą w tym świecie *świat drugi*.”

Wtenczas chrześcijańskie dusze,  
W kryształ zmieniają zmysłów chmurę.  
*Moc cudu wstąpi w geniusze,*  
*A cud w sztukę i naturę.*“

W fantazyjach poświęconych szczególnym sztukom, przebiega autorka główne utwory tej sztuki o której mówi, zwykle chronologicznie, i wskazuje na *stopniowe uduchowanie się każdej*. Wskażemy tu tylko jako na odznaczone myślą szczególną fantazyje: *Taniec*, i scenę *Tajemnice owoców*.

W fantazyi *Taniec*, autorka opowiada: jak różny pias ciał na ziemi i ciał na niebie, pójdzie kiedyś w jeden bieg, w jeden taniec, i nawet owa we wszystkich wiekach i krajach porywająca z sobą dzieci i starce, taucerka — Śmierć, ustatnie, i działać przestanie.

*Tajemnice owoców*, scena fantastyczna, jest podobno najobszerniejszą poezją w zbiorze. Po kwiatkach i wieńcach, autorka przyszła z kolei do rozmyślań nad znaczeniem tajemnym owoców. Owoce to skutki, czyn, i może skłonienie w tę stronę myśli było powodem, iż w fantazyi tej, do *liryki opisowości i dydaktyki*, dodany został i *dramat*, przyczem (może także mimo woli autorki) wyobrażenie to zjednoczonym zostało z wyobrażeniem pośród sztuk pięknych — poezyi. Scena *Tajemnice owoców* uważana jako dramat tę ma szczególność, iż osoby ją składające mają główny charakter jeden, (charakterem tym jest: uwielbienie dla sztuki) a różnicą są tylko niejako odcienia płci, wieku, stopnia uprawy poprzedniej, i t. p. *Wiarostawa* przyjaciółka poezyi wchodzi tu w znajomość z *Grzmistawem* wlembicielem poezyi, przedstawia go jej przyjaciel *Grzmistawa* i rozmowań *Sławoboj*, a świadkiem rozmowy i rozmowań ich jest *Bogobojna* (nazwisko uważać można odpowiadające przybranemu nazwisku samej autorki), dziewczyna wiejska, która przyniosła koszyk jagód leśnych na sprzedaż, i która pierwsza zgadła, że owa *Dziewica tajemna*, którą czcił *Grzmistaw*, której wierność poprzysiągł, i która zstępowała do niego z obłoków codzieli w czasie *dzwonów anielskich*, byłato — *Poesya*. Przedmiotem rozmowy w scenie jest głównie znaczenie owoców; — za drzewo rajske, powód upadku, uznane tu *winne grono*; — za drzewo wiedzy, jabłko (owoc Newtona). Trwał spór o *drzewo życia*, lecz było wieczór, a zstępująca w tej chwili z obłoków dziewczyna *Grzmistawa* (poezya) wzięła jagodę leśną z koszyka wieśniaczki: ta wzrosła, zapłonęła, rozbiłyła i zagasiła wszystkie, i owoc ten został uznany za drzewo życia:

„W ten owoc się zmieniła jagoda z ukrycia.  
Czego tknie się poezya, to nabiera życia!”

mówi fantazyja, a uwaga ta trafnie właśnie przypada do poprzednich fantazyj.

Scenę kończy chór *duchów anielskich*, śpiewających chwałę poezyi i twórców jej.

Co się tyczy wreszcie strony zewnętrznej poezyi, to jest samego wiersza jako wiersza, ten, ile odbicie potoku, wylewu natchnień, jest formy opowiadającej, potocznej: rozmaity w rozmiarach, w końcówkach strojny, lubo bez szczególnej sztuki wyrazu, jest wszędzie jasny, lotczy, i nieraz ozdób niepróżny.

Takie są główne rysy treści i formy poezyi, o których mówimy; ale ten skład szczególny tych małych nowych poematów, mało zrozumiałym zapewne być może od tych, którzy nie znają dotąd żadnej fantazyi autorki. Dla bliższego więc objaśnienia i razem sprawdzenia tych uwag jakie tu wyraziłlśmy, wypada nam przedstawić chociaż jedną fantazyją w całości jej. Wybiéramy *Malarstwo*. Jestto wprawdzie fantazyja przydłuższa, lecz też jestto razem fantazyja, która te wszystkie cechy



główne obecnych poezyj o jakich rzekliśmy (liryzmu, opłowskości, dydaktyki i wreszcie wiersza potoczystego, pięknego i łolcznego) łączą właśnie i objawia w dobitnym stopniu, i której sama przydłuższość (następstwo odcielenia rysów i myśli) jest właśnie jedną z charakterystyk tych poezyj. W tej fantazyi *Malarstwo*, autorka określa naprzód dzieła malarskie natury, dalej historią ludzkich. Zwroty moralne odznaczymy tu kursywą.

## M a l a r s t w o .

— „W tej pracowni zwanęj światem,  
Gdzie wielki obraz stworzenia  
Na tle prostem, a bogatém.  
W postępie się rozpromienia;  
Stopą mknące w czasie toniach,  
Widzę w różnowiecznej szacie  
Przed obrazem, z pędzlem w dłoniach  
Dwie kolosalne postacie.

Za każdym ich farb wytryskiem  
Świat nowém świta zjawiskiem!  
Za każdym kształtów błysnięciem,  
Wiek nowy w dzieje się wplata;  
Za każdym pędzla zakłęciem,  
Bóstwo się zbliża do świata!...

Mój duch na nie patrzy zdala:  
Pierwsza bystrogo spojrzenia,  
Zewnętrznie udoskonala  
Ogromny obraz stworzenia:  
To ta bujna życia siła  
Co się zmienia, i nie zmienia,  
I kolebka i mogiła,  
Ta stęskniona raju córka,  
Ta matka stworzeń tysiąca,  
Tak czuła, choć tak milcząca!  
Malarka zjawisk:— Natura.

Gdzież są obrazy, spytacie,  
Kreślone ręką przyrody?  
Wszak ona w dnie srebrnej wody  
Maluje wasze postacie.  
Jakiż pędzel doskonały  
W tak pełnym prawdy kolorze,  
Każdy przedmiot odbić może,  
Jak wizerunki uroczę  
Rzucone w wodne kryształę?  
*Chyba w pokoju sumienia,  
Ujrzyś tak wierne przezrocze  
Dwojące duszy odcienia.*

A ta złuda niezbadana,  
Ta przelotna pustych córka,  
Nazwana *fata morgana*,  
Dla której wędrowna chmurka  
Lub drzewko, jedno nic, starczy,  
Aby powietrze drgające  
Owiewać w zjawisk tysięcy!

W niej hufiec o złotęj tarczy  
Wstrząsa promienie jak dzidy!  
W niej z mgły się tworzą jaśminy,  
Strzelają gajów korony,  
Jak ogród Semiramidy  
W objęciach wiatru zwieszony!...  
Z niej wstają góry, doliny,  
Z niej wypływa zamek mglisty  
Wysadzany w ametysty.  
I cóż?—to *fata morgana*,  
Co tworzy mylnie obrazy  
Które goni karawana.  
Pewnie ma tajemne płótno,  
Gdzie kreśli dłonią okrutną  
Ironiczny kształt oazy?

Lecz gdy widnieją błękity,  
Gród, gaje, nikną jak echo...  
Podróżny staje jak wryty,  
I płacze nad swą uciechą!  
*Kto dobrowolnie się ludzi,  
Życie przejdzie jak pustynię;  
Nawet nadzieja go strużi,  
Bo i nadzieja w mgłę zginie!...*

Niezawsze przyroda stwarza  
Zdobny w farby wizerunek.  
Jak niekiedy dłoń malarza  
Zakreśla ciemny rysunek;  
Tak czynna sztuka natury,  
Tworzy ten obraz ponury,  
Który z sobą prowadzimy,  
Gdy nasz kształt światłość zastania,  
Stosownie do dziennej pory,  
Dwoi nas cień różnowzory,  
Jak karty, lub jak olbrzymy,  
Mówią nam dawne podania,  
Że ten, kto ducha przysięga,  
Rozstawszy się z niebios Panem  
Zawarł przymierze z szatanem,  
Nie nosi za sobą cienia;  
To znaczy: że *któ się brata  
Na wieczność z czarną potęgą;  
Wychodzi z czasu, ze świata,  
I sam się w cień już przemienia.*

Mknąc przez łono fali białej,  
Przez cień szary, przez mgły kraje,

Obraz lekki, krótkotrwały,  
Tak szybko niknie, jak wstaje!  
Lecz niekiedy i przyroda,  
Trwalszy obraz oku poda.

Gdy promień co z słońca bieży,  
Śród lubej wiatru igraszki,  
Złotemi skrofnami uderzy  
O łuskę srebrzystej blaszki;  
I przez węzły tajemnicze  
Złączy z nią ludzkie oblicze,  
Jak pod ostrym strzałą końcem  
W chwilę kształty rysów staną,  
Promień znów się zleje z słońcem  
Oblicze w blaszce zostanie:  
Takim obrazem nadano,  
Dagerotypów nazwanie.

*Tak z myśli naszych ogniska  
Wybiega promień pamięci,  
W duszy lat piętno wyciska,  
I przeszłość wspomnieniem święci.*

Lecz gdy jeszcze gonię okiem  
Za fantastycznym widokiem,  
Gdzie śród wszystkich zjawisk koła  
Dłoń przyrody, lekkopióre  
Rzucając na wiatr pędzelki,  
Zdobi ziemię w świeże puchy;  
Już drugi malarz mnie woła.  
Jemu dany zawód wielki!  
On powinien znać naturę,  
On powinien znać i duchy;  
Bo sam stając między niemi,  
Dobija się berta ziemi!  
Świat mu przynosi swe skarby:  
On z przemiennych wrażeń fali  
Czerpie cudne uczuć farby;  
On naturę doskonali,  
Idąc w ślad za Bożem słowem.  
Tworząc go władzca wszech rzeczy,  
Na jego czołe wiekowem  
Wyrzył: „Oto ród człowieczy!”

Od chwil, gdy na chatki ścianie,  
Prostym węglem dłoń kobiety,  
Cień ludzki obrysowała;  
Już blade sztuki zaranie  
W zapomnianych wiekach pała...

Jak malarskie alfabety;  
Wstają pierwsze sztuki wzory:  
Farba mglista... kształt wątpliwy,  
Ni cienia, ni perspektywy,  
Rzekłbyś, że widzisz potwory!  
A jednak i w tej godzinie,  
Gdy z śród synów Europy,  
Wędrowiec poniesie stopy  
W te owdowiałe pustynie,  
Czasów Ninusa płaczące,  
Gdzie śród kamiennych przysionków,  
Milczą widziadeł tysiące,

W marzeniu przed niemi staje;  
A gdy zwróci się w te kraje  
Gdzie przy srebrnym chórze dzwoneków,  
Hoang-ho niesie swe piany,  
Przed obrazem z porcelany,  
Zdobnym w niezrównane barwy.  
Gdzie postacie mkną jak larwy:  
Wstrzymuje się... zadumany!

Czemuż więc aż do tej chwili,  
Członkowie ludzkiego rodu,  
Co najwyżej, sztuk polotem  
Do ideału się wzbili,  
Widzą tak żywe powaby  
W probie jeszcze wąteń, słabiej?  
Pieszczą się z nią jak z klejnotem?  
Bo dziś sztuka promienista  
Patrzy z tak tkliwem zajęciem  
Na te pierwotne utwory,  
Z jakim młodzieniec artysta  
Patrzy na niekształtne wzory,  
Co kreślił będąc dziecięciem!

Lecz w tym dalekim poglądzie,  
Wspomnienie przemawia rzewnie;  
A z innym uczuciem pewnie,  
Już bez pobłażania w sądzie,  
Patrzyliby dziś malarze  
W dzieła, którym niósł zapłaty  
Twój naród, o Peryklesie!  
Światby hołd im składał w darze,  
Gdyby... te dzieła istniały!

Zniszczenie!.. strasznie widziadło!  
Niedość że dłoń twa zgon niesie,  
Że z tłumem geniusze grzebie:  
Jeszcze zgazzone przez ciebie  
Na przeszłości widnokresie  
Słońce arcydzieł zapadło!

Próżno świat tych cudów szuka!  
Płaczą wieki, płacze sztuka!  
Dzieła wasze pozniakały  
Zeuxysie! Apellesie!  
Coście w chwilę natchnień, chwały,  
Uchwycili pędzla rzutem,  
Dwa przeszłości ideały:

Na tle srebrną mgłą osnutem,  
Zda mi się że widzę postać  
Mknącą stopy tak lekkimi,  
Jak ten eter, co przy ziemi  
Nigdy nie może pozostać!  
Jej włosy, jak złote siatki  
Oplatają skrofn w koronę;  
Jej oczy, jak dwa bławatki  
Z pól Elizejskich schwycone:  
Z rysów, jak z perły ogniska  
Powódź uroków wytryska!..  
Tu w twym pędzlu, Zeuxysie,  
Brzmi cała klasyczna era,



Uosobiona w zarysie  
Heleny, gwiazdy Homera!..  
Lecz jeszcze tonie myśl moja  
W urokach tego zjawiska,  
Gdy już inne w mgłę mi błyska.....

Stucham:—dzwoni złota zbroja....  
Jakż to cudny młodzieniec  
Mknąc między chmury grzmiącemi  
Uplata w niezwiędły wieniec  
Hołdy wszystkich ludów ziemi?

— Tyś go znał, o Apellesie!  
On był twoim przyjacielem!  
Twój pędzel w chmury go niesie,  
Wzrok jego zdobisz weselem,  
A w dłoń mu dajesz pioruny!..  
To ten co wśród dziejów łuny,  
Jak Jowisz, w przeszłości wzłata!..  
Alexander, władca światła!...

Lecz próżno duch mój się mami,  
O straconych dzietach marzy!..

*Geniuszem tych dwóch malarzy,  
Pogaństwo na świat spojrzalo,  
Jakby dwoma zrenicami:  
Ziemską pięknością i chwala!...*

Grecya pamięta ich imie.  
Odwrotnie: w pogańskim Rzymie  
Los zostawia tworów kilka,  
A imię tworców zamilka!..

Kiedy u stóp Wezuwiusza  
Przebiegasz z trwogą gród Izawy  
Spiący w sarkofagu z lawy:  
Drży załóżnie twoja dusza...  
Nagle... w samotnej komnacie,  
Stajesz w radości tak bogiej,  
Jakbyś ujrzał żywe bogi!  
Jakieś przezrocze postacie  
Okrywają czarne mury...  
Ta płynie w szmaragdów fali,  
Ta się owija w lazury,  
Ta się jak pochodnia pali!  
Jak płas obłoczków w zawiei,  
Mkną te kobiety-motyle!..  
Ach czemuż przez wieków tyle  
Milczą tancerki Pompei?  
Z pod iskrzących się ich powiek  
Tajemnica błyska z trwogą...  
Lecz ich usta rzec nie mogą  
Kto je tworzył: duch? czy człowiek?

Lecz w tymże Rzymie, w pobliżu,  
Co głośił sztuki pogańskie,  
Bóg składa klucze niebiańskie,  
Ideał wschodzi na krzyżu!  
Piorun w błysk łaski się zmienia,  
Świat cały patrzy w Gólgotę!

I malarz uczył tęsknotę...  
Ku niebu zwraca wejrzenia!

I wnet z życia arcywzoru  
W różnych wiekach dłoń malarza,  
Choć jedną chwilę oddziela,  
Ten łańcuch mistrzów utworu,  
Cafe dziecie Zbawiciela  
W niemy dramat przeobraża.

Tu baranek w ślad pasterza  
Biegnie do żłobka-kołyski,  
Zład światłość w srebrne wytryski  
W różę mistyczną uderza...  
Jak słońce w jutrzni zawiązkach,  
Tak dziecię łśni w cudów zorzy!  
Corregio wziął z dłoni Bożej  
Świecznik o siedmiu gałązkach!

Tu—milczy świątynia cała;  
W zadumioném mędrców gronie  
Niewinność, natchnienie pała!  
W nieszytęj mlecznej ostonie  
Dziecię przemawia w pokorze;  
Zal w uśmiechu... iza u powiek...  
„Decaisne” pojął dziecię boże,  
Cierpiące jak duch i człowiek!..

Tu ucztą błyszczą przepychem,  
Oto sławne w Kanie gody!  
Wszyscy milczą—a pan młody  
Zdziwiony stoi z kielichem,  
Z złotych kołwi strugi płyną,  
Zda się, że ich plusk szeleści...  
— Weroneza duch młodzieńczy  
Schwytił tę chwile jedyną,  
W której syn łez i boleści  
Uśmiechem swe usta wieczy!..

Pod tą górą w tłumie ludu,  
Wije się postać szarpana  
Wewnętrzna mocą szatana,  
Co znika na widok cudu!  
Mojżesz i Eliasz z otchłani,  
Na chwil parę wywołani  
Pierwsi widzą postać bożą:  
Błyszczą szaty jak śnieg białe,  
Jak słońce pała oblicze!  
Cierpienie zmienia się w chwałę!  
A uczniowie drząc.. się korzą...  
I zaszyły mgły tajemnicze.  
W wieków kilka, duch malarza  
W natchnieniu widzi te blaski,  
W Rafaelu, rószczyką łaski,  
Cud pod pędzlem się powtarza!

Rozwarły się zimne groby,  
W przybytku spada zasłona,  
Dzień zbladł... wśród nocnej żaloby

Ofiara przymierza kona...  
Widzisz schyloną ku ziemi  
Złoto-włosą Magdalene?  
Ach! Rubens tę straszną scenę,  
Odmalował łzami swemi!...

Któż żałość uczniów wypowie,  
Co z szczytu góry wysokiej  
Widzą jako aniołowie  
Rozsuwają już obłoki...  
Bez skrzydeł własną potęgą  
Wzłata w przezrocze to ciało  
Co po trzech dniach zmartwychwstało.  
Rozwarła się łaski brama  
Pewnie w chmurach lekką wstęgą.  
W niebo już wchodzi nieśmiało  
Wybrani z synów Adama!...  
Kiedy oko utonęło  
W Rafaela Mengsa dzieło,  
Myśl tonie w ostatniemi słowem  
Tém, które wyrocznia z trwogą,  
Rzekła: „odchodzą bogowie!”  
Poszli—i wrócić nie mogą.  
Lecz tu, gdy rzesza się smuci,  
Dwa anioły w srebrnej szacie  
Mówią: „W równym majestacie  
W jakim odszedł. w takim wróci“.

Wróci: już nie zwiastun łaski,  
Lecz gromiący sędzia człowieka!  
Spójrzcie, natura drząc czeka...  
Cmą się gwiazd i słońca blaski...  
Z głębi mogli wschodzą trumny...  
Jak zgruchotane kolumny  
Podnoszą się martwe stonki,  
Kryją się w ciała obstonki,  
Drgają galwanicznym ruchem...  
Nakoniec—ożyły duchem!  
Budzą się wszystkie sumienia:  
Ci ufają—tamci płaczą...  
Ciąg dziejów w chwilę się zmienia,  
I śmierć ucieka z rozpaczą!  
Spływa z góry postać biała,  
Ziemia z niebem się rozchwiała  
Naksztalt błędnego ognika...  
I nawet ich miejsce znika!  
Jak piorunem rozdzielony  
Tłum rozbiega się w dwie strony...  
Aż na szalach łaski, może  
Samo piekło w dłonie Boże,  
Kiedys!.. kiedys się przeważy!

Patrząc w to duchowém okiem,  
Michał Anioł jest prorokiem,  
Ezechielem śród malarzy!...

Tak obfite są w piękność, w myśl i fantazją poezye autorki.  
A ich njemność? Wszelki utwór człowieka musi mieć swoje  
ujemność, inaczej nie byłby ludzkim.

Zarzuty, które poezyom o których mówimy, słyszymy czynione, są  
nawet liczne, lubo dodajmy także, w nader większej części niesłuszne.

Co do strony wewnętrznej, poezyom tym zarzucane są: oderwana  
idealność, dydaktyka, brak w treści dramatu czyli serc i czynów czło-  
wieka, i wreszcie niezajmowanie się współspołecznością własną.

Wszakże inna jest twierdź, iż dana poezya jest taką nie inną,  
a inna: iż ta poezya nie jest poezyą,—iż poezya autorki mieści więcej  
*lirykę, opisowość* niż dramat, iż jest raczej fantazyowaniem *myśli* niż  
uczyn i czynów ludzkich; jest to tylko *rodzajem* poezyi, nie *brakiem*  
poezyi. Zarzut zajmowania się raczej wiekiem idealnej piękności, wiekiem  
jakowims odległym jak społeczeństwem daną, tém mniej jest zarzutem.  
Nie są skutki bez przyczyn, a w ideale, obszarze, gdzie mieszczą się  
kraje wszystkie, jest też i każdy.

Zarzuty co do strony zewnętrznej są: tok prozy w opowiadaniu  
i rozwlekłość.

Tok, czyli budowa okresów w poezyach autorki, jest rzeczywiście  
zwykle prostą i jasną (t. j. tą grammatyczną, gdzie np: idzie naprzód  
przedmiot, potem słowo, potem rząd słowa i t: p): i tym sposobem jest  
raczej towarzysko i jasno myśl albo inny przedmiot opowiadającą, niż  
sztukę tworzącą. Ale brak ten poezyi (nowości) w słowie, zastępuje  
zwykle poezya myśl, obrazu, lub inna wewnętrzna, i gdyby nie zdarza-  
jące się od czasu do czasu wiersze przejścia (jak np: dwa ostatnie pier-



wszęd, i dwa pierwsze drugiej stronnicy) lub trochę za częste *tak więc, a że, dopiero*, i t. p. bardziej przypadające do okresów loicznych uż poetycznych, — wiersze autorki nie ściągałyby zarzutu prozalczności. Nie ma jej nigdzie np: ta cała fantazyja, którą dopiero przytoczyliśmy, jakkolwiek przydłuższa.

Odcienianie i rozszerzanie niekiedy zbytule jednej myśli, lub jednych rysów, rzeczywiście jest jedną z cech poezyi autorki. Te odcienia, już myśli, już rysów, niekiedy są istotnie odcienianiami, a wtedy są tylko *rodzajem nie ujemnością, lecz niekiedy powtórzeniem* są tylko w kreśleniach albo twierdzeniach, a wtedy są njemnością istotnie pod względem poezyi, gdyż dają już nam nie nowość, ale tożsamość (1), a nadto zdają się dopuszczać krótkość lub słabość objęcia w swym czytelniku, ten więc z swój strony niedowierzaniu temu odmawia przymiotu piękności. Lecz jak owa potoczność, tak i odcienianie zbytule myśli i rysów, jak uważaliśmy już nieraz w tém piśmie, jest to cecha i własność poetek wszystkich krajów i czasów.

To też tylko, co do nas, mielibyśmy do zarzucenia przeciw stronie zewnętrznej poezyi autorki; co zaś do strony wewnętrznej, czyli myśli, kilka tylko miejsc pojedynczych. Miejsca te, w ogłoszeniu mniejszej wartości, pominięlibyśmy, lecz tu wskazujemy je. Cechą główną poezyi autorki jest, jak widzieliśmy, własne *dydaktyka*, czyli opowiadanie *prawd* w kształcie poezyi, a w drodze tej małe ziarnko zboczenia, góry fałszów, jak wiemy, wyradza.

(1) Kiedy naprzykład w poezyi *Noc Zimowa*, autorka w opisie szczegółów tej nocy, mówi: „Wszędzie szkło, wszędzie dyamenty”, okres ten z powodu domyślnego słówka „*jest*” jest już skończony; dodany więc wiersz następnym:

„Zewsząd uderzają oczy.”

jest już prozą.

W poezyi „*Kwiaty*”, wyrażając jedną z swych pięknych myśli i swém piękném słowem, autorka mówi:

„Wielki cel i tajemnica  
Pewnie w kwiatach się zawarły,  
Gdy ich kształt tak nas zachwyca,  
Choć jest jak hieroglif *zmarły*.”

Cóżbyśmy dopiero czuli,  
Znalazszy klucz do pojęcia  
Tych głosek, *co w swe objęcia*  
*Milcząca przyroda tuli*.

*Kto tajne znaczenie zbudzi*  
*W kwiatach, wiosny arcydziele:*  
*Ten dopiero pojmie cele,*  
*I wpływy kwiatów na ludzi”.*

Wyrazy odmienném pismem w dwóch pierwszych wrotkach wyrażone są zbytule; strofa trzecia jest powtórzeniem tego, co powiedziane już. Podobnie w wierszu np. *Wiara, Nadzieja i Miłość*, strofy: 1 5 i 6, lubo różnemi słowami, jedno mówią i t. p. Na cechy te wskazaliśmy tu bliżej, gdyż nie jest od nich wolna żadna prawie fantazyja.

W poezyi „*Snycerstwo*,” autorka czyniąc uwagę, iż-niekiedy sama natura bywa rzeźbiarką, wspomina *żonę Lota*, i dodaje, że posąg ten jest przestrożą: iż kto zamiast iść drogą ogląda się nazad, kamienieje jak posąg. Jest to zapewne myśl piękna i myśl chrześcijańska, („kto przyłożył rękę do pługa i ogląda się nazad, nie jest zdolny do Królestwa Niebieskiego“: *Evangel.*), ale przyjmując text biblij, należało zachować i wyrażenie biblij, i uznawać ów posąg za dzieło Twórcy natury, a nie natury.

W wierszu: „*Wiara, Nadzieja i Miłość*,” autorka mówi: iż gdy nadejdzie wiek prawdy, wesprze się na podstawie tych trzech cnót. Cnoty te, a przynajmniej dwie pierwsze są wszakże z natury swojej towarzyszkami tylko *drogi* do celu, nie celu; gdy nadejdzie ów wiek, wtedy, jak uważa prorokujący go apostoł, i „proroctwa zwietrzeją“.

W fantazyi „*Tajemnice owoców*” autorka uznawszy jabłoń za drzewo *wiedzy*, drzewo z owocem zakazanym poczytuje za winne grono. Kładziemy tu na bok owoc materialny, lecz drzewo rajskie z owocem zakazanym, pismo święte wyraźnie nazywa „*drzewem wiedzy*”, nie może więc być nazywane „jakiemś innem“, jak twierdzi fantazyja. Dodajmy także, że duchy anielskie w chrześcijaństwie uważamy za doskonalsze niż ludzkie, i oddające cześć tylko Bogu; mniéj właściwem więc jest zakończenie téjże fantazyi, gdzie anioł Gabriel z chórem aniołów bije zakłosem przed ludźmi i ich dziełkami.

W *Malarstwie*, mówiąc autorka, jak to właśnie widzieliśmy, o przedmiocie obrazu *sądu ostatecznego* Michała Anioła, dodaje myśl: iż może kiedyś i samo plekło w skutek łaski, przeważy się w dłonie Boże. „Aryman pokonany z całym orszakiem Diwów odda w końcu hołd Ormuzdowi”, tak mówi Zendawesta, ale w nauce chrześcijańskiej, plekło które ma się przeważyć w dłonie Boże, zowie się *czyściec*.

Uwagi te, powtarzamy, zapisujemy jedynie przez wzgląd na wartość zbioru o którym mówimy, na jego znaczenie właśnie w poezyi wewnętrznej, w którą jest tak zamożny, i dla której nawet, rzecz można, rozszerzył zakres.

Jeden z współczesnych niemieckich krytyków, Ludwik *Eckardt*, czyniąc w roku zeszłym w piśmie poświęconem pamięci Szyllera porównanie tego poety z Getem, zwróciwszy uwagę na wielkość lecz różność zalet utworów ich, dodał: że rzetelnie wielkim poetą ten będzie dopióro, który zalety ich łączy, „i będzie tak *subiektywnym* jak Szzyller, i zarazem tak *objektywnym*, jak Gete.” (*Schiller's Geistesgang* str. 14). Czyli młodej autorce poezyi o których mówimy, sądzonem jest stać się kiedyś tak *objektywną* w utworach swych jak dotąd jest *subiektywną*, nie wiemy; ale krytyk niemiecki mówiąc o subiektywności swego poety, jako o szczycie, nie domyślał się, iż ta rozleglejszą w sobie jeszcze być może. Subiektywność w poezjach autorki tak się ma do subiektywności w fantazyjach Szyllera i w ogóle dotychczasowych, jak się miał (mówiąc wyrażeniami z dzieł filozofii niemieckiej) subiekt Szellinga do subiektu Fichtego, to jest, jako uznawany nie tylko w nas, ale i zewnątrz nas, w samej naturze. Nie do serca i uczuć, lub raczej, nie tylko do serca i uczuć ludzkich, odnosi autorka przedmioty, którym swe fantazyje poświęca, ale do istoty ich w sobie, własnych ich celów. Treścią w nich



nie chwila i człowiek, lub raczej nle tylko chwila i człowiek, jak to było i jest we wszystkich dotąd fantazyach, ale przedewszystkiem i wszędzie: przyszłość i Bóg.

Wydanie książki (osemka większa) ozdobne, i jakiego nie widziały tu dotąd nasze poezye. Zdoblą też ją dwie ryciny charakterystyczne: pierwsza (pana Kossaka) przedstawia emblematy głównych fantazyi w zbiorze; druga (pana Fajansa) apoteozę sztuk pięknych.

T.

ROZMIAŁOŚĆ



Wspomnienie historyczne o Wilkowskich

W tym miejscu historycznym, składającym się z trzech części, opisano życie i działalność Wilkowskich, którzy wzięli udział w wojnie polsko-rosyjskiej 1812 roku. Wskazano na ich odwagę i poświęcenie, a także na ich wkład w kulturę i naukę. Wskazano na ich przynależność do rodziny, która od wielu pokoleń służyła państwu polskiemu. Wskazano na ich wieloletnią służbę wojskową i państwową, a także na ich wieloletnią działalność w dziedzinie nauk i sztuki. Wskazano na ich wieloletnią działalność w dziedzinie nauk i sztuki. Wskazano na ich wieloletnią działalność w dziedzinie nauk i sztuki.

W tym miejscu historycznym, składającym się z trzech części, opisano życie i działalność Wilkowskich, którzy wzięli udział w wojnie polsko-rosyjskiej 1812 roku. Wskazano na ich odwagę i poświęcenie, a także na ich wkład w kulturę i naukę. Wskazano na ich przynależność do rodziny, która od wielu pokoleń służyła państwu polskiemu. Wskazano na ich wieloletnią służbę wojskową i państwową, a także na ich wieloletnią działalność w dziedzinie nauk i sztuki. Wskazano na ich wieloletnią działalność w dziedzinie nauk i sztuki.

## ROZMAITOŚCI.

### *Wspomnienie historyczne o Wilkowyszkach.*

Nie ma zaiste prowincyi składającej obecnie część Królestwa Polskiego, któraby uboższe wspomnienie historyczne posiadała, jak dzisiejsza gubernia augustowska, z wyjątkiem niektórych miejsc odnoszących się do nieco odleglejszej starożytności. Nie ma tu owych pomników, które lekceważąc przeszłość, istnienie swe odwieczne przekazały dzisiejszemu pokoleniu; świątynie jedynie w niektórych miasteczkach przetrwawszy dwa lub trzy wieki, budzą niejako zainteresowanie badacza przeszłości. Nie ma w tej prowincyi miejsca wślawionego ważnym wypadkiem, wpływającym na losy narodu lub świata, aż do początków XIX stulecia, wyjąwszy Lejpuny i Olltę, gdzie Polacy z Szwedami mniej ważne bitwy stacali. Są jeszcze ślady mnogich okopów szwedzkich Karola XII, lecz te nie przedstawiają wielkich faktów; wzniesione one zostały dla zabezpieczenia wojsk szwedzkich w prowincyi zupełnie otwartej, niemającej miejsc warownych: dlatego też zdumiewać się potrzeba nad trwałością i olbrzymimi rozmiarami tych okopów. Najdokładniej o tém świadczy okop szwedzki pod Urdominą, w powiecie kalwaryjskim; przetrwał on półtora wieku i dziś istnieje; urządzony jest na wzniosłej górze, a wierzchołek jej uwieńczony wysokim wałem, znaczną załogę pomieścić może. Strone wejście do okopów po znacznej wyniosłości, rozdziło bezwzględnie znakomite trudności dla wojsk zdobywających, a ów szanlec panujący nad całą okolicą, słusznie za miejsce nader obronne uważać się dawał.

Początki atoli XIX wieku przyniosły dla części Litwy, dziś w obrębie Królestwa Polskiego leżącej, wielkie wspomnienia historyczne. Tu nad Niemnem, w folwarku Kidule, powiecie maryampolskim, niedaleko Wielony, owę sławną dzielnicę Klejstuta książęcia żmudzkiego, Fryderyk Wilhelm III król pruski, zwyciężony przez Francuzów, nad krańcem swoich ówczesowych posiadłości, aż do zawarcia w dniu 9 lipca 1807 r. traktatu tylicyckiego, przebywał. Tu wreszcie w miasteczku Wilkowyszkach, powiecie kalwaryjskim, spełnił się najważniej-



szy fakt w dziejach świata. Tu zwycięzca Włoch, Egiptu, Niemiec i Hiszpanii, wypowiedział wojnę Rossyi, która nareszcie zdradziwszy szczęście bohatera wieku, odmieniła postać Europy. Wiadome są skutki wypowiedzianej przez Napoleona cesarza Francuzów wojny Rossyi w 1812 r.; miasteczko zatem Wilkowyszki, gdzie stanowczy krok wojenny został uczyniony, stało się ważnem w historii. Nie od rzeczy więc będzie poznać się z przeszłością tego miasteczka, które nieposiadając pomników odległej starożytności, w zdarzeniach społecznych ważną odegrało rolę.

Miasto Wilkowyszki położone jest w dzisiejszym powiecie kalwaryjskim, dawniej powiecie preńskim, Wielkiem księstwie litewskim, nad małą rzeczką Wilkowiją, do której w témże mieście wpada również mała rzeczka Szejmena. Oddalone jest od rzeki Niemna od lewego jej brzegu na mil 8, a od morza Bałtyckiego na wschód o mil 14; nazwisko swoje bierze od dwóch rzeczek, które ze względu na ich nazwy czysto-litewskie i łączną myśl, nadały nazwisko osadzie Wilkowyszki. Okolica ta za panowania udzielnych ksiąząt litewskich była nader lesistą, błotną i niedostępną, a ciągnąc się szerokiem na kilka mil pasmem aż do dziedziny dawnych Jadzwingów, była przedmurzem od posiadłości Krzyżaków, którzy w pewnych tylko epokach roku odważali się na wtargnięcie do Litwy. Rzeczka Wilkowija bezwątpienia otrzymała nazwę od polowania na wilki, których w owych niedostępnych lasach niezliczone mnóstwo znajdowało się. Wyrazy litewskie: „Wilka weaja” znaczą w tłumaczeniu: „wilka gonią”; nazwa zaś drugiej rzeczki Szejmena, a właściwie Szajmina, znaczy w języku polskim czeladź lub towarzystwo. Otóż, jak nazwanie tych dwóch rzeczek zrodziło się z powodu wypraw myśliwskich na wilki; tak osada nad rzeczką Wilkowiją przy ujściu Szejmeny, niewątpliwie przez czeladź łowiecką założona, przybrała nazwisko litewskie Wilkawijs, a następnie przezwane Wilkowyszki.

Początek założenia tego miasta okrywa ciemna zasłona przeszłości; zdaje się jednak, że osada ta wznosić się zaczęła po unii Litwy z Polską i upadku powagi Krzyżaków, którzy częste czyniąc wyprawy do posiadłości litewskich jużto rzeką spławną Niemnem, już też przez pasmo lesiste (1), pograniczne okolice Litwy ogniem i mieczem pustoszyli. Za panowania Jana Kazimierza króla polskiego, osada rzeczona przywilej lokacyjny miasta otrzymała. August II w dniu 19 września 1697 roku Janowi Leszczyńskiemu, a w dniu 25 lutego 1710 roku, Dądzibogowi Ejuarowiczowi, podczaszemu ziemi wielińskięj dał przywileje na wójtostwa magdeburkskie wilkowyskie. Król zaś Stanisław August dyplomatę renowacyjnym z dnia 9 grudnia 1791 roku, w 28 panowania swego, konferowanym w Warszawie, do godności miast wolnych podniósł, od władzy i jurysdykcji zamkowej starościńskiej uwolnił, magistrat i jurysdykcją sądową przywrócił, ziemie w terytorium miasta położone na dziedzictwo mieszkańcom przyznał, odwołanie się od wyroków urzędu miejskiego wilkowyskiego do sądów apelacyjnych w mieście Kownie, dla miast powiatu preńskiego postanowionych, wska-

(1) Później znane pod nazwiskiem Zapuszczańskie.

zał, a urząd i sąd miejski odpowiedzialności przed władzą królewską i sądy zadworne assessorskie Wielkiego Księstwa Litewskiego, w sprawach konstytucyjną przewidzianych, poddał; wreszcie herb dawniejszy, lilią ponsową w polu błękitnym miastu nadał.

Ostatnim wójtem był Wincenty Giejsztor dziedzic dóbr Dydwizę, posiadający natenczas dworek w mieście, uwolniony od wszelkich posług i ciężarów starościńskich. Starostwo zaś wiłkowyskie miał wówczas Alexander książę Ogiński.

Na zasadzie dyplomatu wyż rzezonego Najjaśniejszego króla Stanisława Augusta (1), weszli do składu urzędu miejskiego burmistrz Ignacy Lekieśz; radni: Fryderyk Trempnof i Marciu Neüberg, oraz pisarz Michał Chodakowski obożny powiatu wołkowyskiego; sprawowali oni urzędy te do ostatniego rozbioru Polski. W roku 1794, zajmował to miasto generał Chlewiński, który z oddziałem wojsk pruskich w miesiącu czerwcu miał ntarczkę pod miastem i cofnął się, a Prusacy owładnęli miasto i jego okolice. Po rozbiórce kraju, miasto Wiłkowyszki przeszło pod panowanie Prus. Magistrat zmieniony; burmistrzem został Welskopf, kasyerem (Sztats-Kammer) Fryderyk Trempnof; radnemi: Johan Illan i Marciu Neüberg. Urządzony przytém był sąd okręgowy (Kreis-Gericht), który po kilku latach przeniesiono do miasta powiatowego Kalwaryi, gdzie była rezydencya landrata.

Po przejściu prowincyi téj pod panowanie Prus, otworzone zostały bliższe stosunki z miastami portowymi pruskimi; miasto Wiłkowyszki leżąc przy głównym trakcie królewieckim, ożywiło się handlem i stało się ważnym punktem spekulacyjnym. Mieszkańcy z bogacając się przemysłem, wzniesli kilkadziesiąt domów murowanych, a tym sposobem dali postać miasteczka powabnego. Położenie miasta pod względem dochodów pomnożyło się jeszcze przez jurysdykcją sądową, rozciągającą się na cały nowo utworzony okręg; wzniosłoby się ono świetnie i byłoby jednym z najpiękniejszych miast w dzisiejszej gubernii augustowskiej, gdyby rząd pruski w miejsce osadzenia władz powiatowych i sądownictwa w Kalwaryi, takowe urządzając w Wiłkowyszkach, tu stolicę powiatu założył.

W roku 1807 w skutek traktatu tyłżyckiego, miasto Wiłkowyszki weszło w obręb Wielkiego Księstwa warszawskiego, i dotąd pozostało w jednakowym położeniu, w jakim rząd pruski ono pozostawił; utraciło wszakże na zamożności przez zerwanie stosunków handlowych z miastami nadmorskimi: odgraniczenie bowiem od Prus, oraz nałożenie ceł przywozowych i wywozowych, pociągnęło za sobą nieodzowny skutek nadwężenia swobodnego handlu.

Zbliżał się rok 1812. W połowie miesiąca czerwca tego roku, kiedy się najmniej tego spodziewano, marszałek Nej na czele okropnego korpusu wszedł do Kalwaryi, książę Józef Poniatowski posunął się ku Gro-

(1) Przywilej ten Michał Chodakowski obożny ptu wołkowyskiego, pisarz magistratu miasta Wiłkowyszek, w d. 31 grudnia 1791 r. podał Jerzemu Grodzickiemu regentowi twa trockiego i pisarzowi magistratu miasta Kowna do akt magistratu głównego wydziałowego kowieńskiego.



dnowi, zaś dnia 19 czerwca jednocześnie cesarz Napoleon z potężną armią zjawił się pod Wilkowyszkami. Mieszkańcy tego miasta zupełnie nieświadomi, nagle wśród południa z najwyższem zdumieniem ujrzeli pola swe od strony zachodniej, od lasku Ossy, zalane ogromną masą wojska. Owczasowy burmistrz Tomasz Jeziorowski i Babecki naddzierżawca ekonomii Wilkowyszki, otrzymali zawiadomienie o przybyciu Napoleona. Mieszkańce naddzierżawcy na końcu miasta od strony wschodniej położone, jako najdogodniejsze, przeznaczone zostało na główną kwaterę cesarza; marszałkowie, generałowie, sztab główny, i oficerowie różnych stopni, zajęli wszystkie mieszkalne zabudowania folwarczne i domy miejskie. W jednej chwili siłą czarodziejską, że tak rzec można, z ogromnych stodoł folwarku zrodziły się plekarnie z ogromnemi plecami i komłami, a dalsze zabudowania przybrały zupełnie inne kształty w miarę tego, do jakiego użytku były przeznaczone. Dom przez cesarza Napoleona zajmowany, dziś już zupełnie nie istnieje; byłto budowa drewniana nad brzegiem rzeki Wilkowił ogromnych rozmiarów, wygodne mieszkanie dawniejszych starostów wilkowyskich, zastosowane do dogodności ich liczego dworu. Od strony zachodniej był obszerny przedpokój prowadzący do wielkiej sali z tej przechodziło się do rozmaitych pokoi; w drugim pokoju za salą, była sypialnia cesarza Napoleona, gdzie obok skromych mebli, stał stolik sukrem zielonem obity, dziś w posiadaniu p. Galery właściciela dóbr Rutkiszki będący. Na owym stoliku podpisywał cesarz rozmaite dekreta, i na nim bezwzględnie po powrocie generała Lauristona z Wilna, gdzie się naówczas Najjaśniejszy Cesarz Wszech Rosyi Alexander Iszy znajdował i poselstwa nie przyjął, podpisał w dniu 22 czerwca 1812 r. proklamacyą, ogłaszającą rozpoczęcie wojny z Rosyją.

Trudno opisać ów cały urok, jaki wzbudzał orszak towarzyszący cesarzowi Napoleonowi. Wielka liczba owych sławnych generałów, postrojonych z całym przepychem, wprawiała w zdumienie; gwardye cesarskie piękną i zarazem straszną swą postawą budziły niemniejszą ciekawość dla widza. Ogrom wojsk, którym Napoleon przewodniczył, nasuwał myśl, że starcie się wielkiej armii złożonej z 400,000 piechoty, 80,000 jazdy, i 12,000 dział, podzielonej na 15 korpusów dowodzonych przez królów i książąt, z potężnym północnym słowiańskim narodem będzie straszne. Dzieje nie przedstawiały wspanialszego obrazu, jak wówczas, kiedy ogromne masy wojsk różnych narodów europejskich przebywały pod Alexotą rzekę Niemen. Szósty pułk ułanów pod dowództwem pułkownika Pagowskiego, i 8my pułk ułanów polskich pod wodzą księcia Radziwiłła naprzód wplaw Niemen przebyli i miasto Kowno zajęli, dalsze zaś pułki przez dui trzy Niemen przebywały.

Napoleon przebywał w tém mieście dni 4. Obozowisko ogromnej armii zajmującej całe miasto i okoliczne pola, dało się najdotkliwiej uczuć mieszkańcom; nie było dachu, któryby z gontów lub słomy nie był obdarty na ogólna biwakowe. Wszelkie artykuły żywności były przez żołnierzy bezpłatnie na ich użytek zabrane; śpiżarnia tylko burmistrza Jeziorowskiego, u którego w śpiłchrzu kwaterował książę Ogiński należąca do świty cesarskiej, uniknęła powszechnego zniszczenia. Zabory

żołnierskie nie ograniczały się na produktach żywności, bydle, ptastwie; ale rozciągały się do przedmiotów kosztowniejszych, a inne rzeczy przez swawolę żołnierską rozmyślnie niszczone bywały. Powaga wodzów obecnych, niezawsze wstrzymywała żołnierzy od nadużyć. Pani Babeckiej, żoułe naddzierżawcy, która się usunęła na górę domu, przez cesarza zajmowanego, obok innych przedmiotów, z pod głowy żołnierz zabrał bez ceremonii poduszkę, a gdy się zaliła przed cesarzem na szkody jakie poniosła, ten jej odpowiedział: „moja pani, czas jest wojenny, niech więc cię nie dziwią nadużycia żołnierskie; co do mnie, mam daleką podróż przed sobą—a wskazując na szkatułkę dodał z uśmiechem: —nie jestem dosyć bogatym aby wynagrodzić pani straty”. Wszelako po wystąpieniu wojsk z miasta, adjutant cesarski wręczył pani Babeckiej paklecek, który dostatecznie wynagrodził jej likwidacyą.

Ztémwszystkiém, te okolice, które nawiedzone były przechodem wojsk francuzkich, doznały największego spustoszenia. Niedostatek karności w szeregach, lekceważenie osób i własności, znieważanie świątyń, które obracano na rozmaite składy, a co większa na stajule: zraziły zupełnie mieszkańców litewskich. Nietrudno więc wyłumaczyć, że w odwrocie Francuzów z Rosyji, niektórzy włościanie litewscy bez względu na niepraktykowane podówczas mrozy, napastowali bezsilnych wojskowych francuzkich, odbierali im kosztowności z łupów wojennych nabyte, i częstokroć całą srogość na nich wywierali. Wynikało przecież to z ciemnego wyobrażenia prawa odwetu.

Porucznik Wojciechowski opowiadając o rozlicznych niebezpieczeństwach cofających się wojsk francuzkich z Rosyji, przytaczał następujące zdarzenie: że gdy złożony chorobą, z generałem Dąbrowskim zabrać się nie mógł, i w Alexocie pod Kownem pozostać musiał; po kilku dniach wypoczynku, podoficer Kajrys, rodem Litwli, wynajął sanie z końmi. Acz bardzo osłabiony porucznik z podoficerem, ruszyli ponad Niemnem w kierunku Królewca; po ujechaniu kilku mil, gdy stanęli wę wsi na popas, i weszli do kurnej chaty, zastali tam kilku oficerów i żołnierzy francuzkich, prawie bezbronych i nawpół żyjących. Zaledwie nowo przybyli zdołali się przysunąć do ciepłego pleca, w jednej chwili otoczony został cały dom przez włościan, w sikiery i widły uzbrojonych, i kilku weszło do środka izby. Na ten widok struchleli nieszczęśli wojownicy; ztémwszystkiém porwali się do tego, co kto miał dla obrony. Podoficer jednak Kajrys, widząc bezowocowy opór, dał znak uspokojenia się i sam wystąpiwszy przed włościan, zapytał ich w języku litewskim, czego żądają? Ci bez ogródki oświadczyli, ażeby Francuzi pieniądze i kosztowności, jakie posiadają, dobrowolnie oddali, inaczéj to wszystko z życiem im odbiorą. Objasnieni o wymaganie włościan, objawiających najwyższe przeciw Francuzom oburzenie i zemstę, pieniądze i zegarki natychmiast oddali. Włościanie niepoprzestając na tém, dopełnili najściślejszą rewizyą, i jakkolwiek podoficer Kajrys z porucznikiem Wojciechowskim, znającym nieco język litewski zapewniali, że są katolicy i zrodzeni na Litwie, ciż włościanie z niedowierzaniem odpowiadali: „Znamy was śluci, rabusie! Jakaście szli do Moskwy rabując i niszcząc nasz dobytek, toście tylko ciągle bugrowali, a teraz kiedy bieda przycisnęła, to i na litewskiej



mowie znacie się: to dla was fraszka.“ Wszelako przekonywające do-  
 wodzenia Kajrysa zmiękczyły serca chłopów, którzy poprzestając na  
 otrzymanej kontrybucyi, zaczęli się rozchodzić. Jeden atoli z nich otwo-  
 rzywszy ogromny składany nóż, zbliżył się do porucznika Wojciechow-  
 skiego, który nieprzenikając zamiaru włóściainna, rozumiał, że nad-  
 chodzi kres jego życia; lecz chłop z najzimniejszą krwią bierze za guziki,  
 blaszką srebrną pokryte, i mówiąc: „masz piękne srebrne guziki: one  
 mi się lepij przydadzą, niżeli tobie,“ i co do jednego od munduru  
 i płaszcza poodrzynał. Ochłoniwszy porucznik nieco z przerażenia,  
 prosił o pozostawienie chociaż kilku guzików; chłop jednak był nie-  
 wzruszony. Postarawszy się podoficer Kajrys igły i nici, porucznika  
 swego w płaszczy zaszył, i następnie słabego zawiózł do Ilgowa, gdzie  
 znalazłszy przytułek u szambelanowej Hryncewiczowej, powrót do  
 zdrowia i życia jej zawdzięcza.

Miasto Wilkowszki w roku 1852 miało ludności: chrześcian 1216,  
 żydów 4377, razem 5593. Domów drewnianych 311, murowanych 48;  
 dwa kościoły, jeden katolicki, drugi ewangelicki; ostatni w roku 1840  
 kosztem filii ewangelickiej wzniesiony. Rzemieślników jest w ogóle:  
 bedoarzy 18; blacharzy 3; introligatorów 2; kapeluszników 4; kołodziei 5;  
 kotlarzy 5; kominiarzów 2; kuśnierzy 5; krawców 42; kowali 10; powro-  
 żników 11; mosiężników 3; młynarzy 4; mularzy 9; piekarzy 31; rzeźni-  
 ków 8; rymarzy 3; ślusarzy 6; szklarzy 8; stolarzów 16; szewców 58;  
 tokarzy 10; zegarmistrzów 2; zdunów 8; farblarzy 6; fabrykantów oleju  
 6; tkaczy 42; garncarzy 8; traczy 3; watników 2; złotników 3; cieśli 2;  
 razem 345. Gruntu posiada miasto włók 40; dochód etatem rozłożony  
 z miasta wynosi rocznie rs. 2,800. Dwie są tu szkółki elementarne: jedna  
 katolicka, druga ewangelicka, mające oddzielnych nauczycieli; mie-  
 szczą się one w jednym domu murowanym, za rządu pruskiego na  
 ten cel zbudowanym. Rynek tu jest obszerny w pośrodku miasta,  
 w kształcie czworoboku, brukowany, i dosyć porządnie zabudowany. Na  
 nim są kramy czyli sklepy, mieszczące w sobie łokciowe towary, ga-  
 lanteryjne i korzenne artykuły.

Najdawniejszą budowlą w tém mieście jest kościół parafialny  
 katolicki, z drzewa modrzewiowego, w kształcie krzyża zbudowany, pod  
 wezwaniem Nawiedzenie Najświętszej Maryi Panny. Wzniesiony został  
 w roku 1620 przez Jerzego Stefana Paca, starostę preńskiego i berzyń-  
 skiego, oraz małżonkę jego Annę. Starosta ten uposażył kościół  
 pewnym funduszem, przez Zygmunta III króla polskiego, dnia 20 kwietnia  
 1623 roku aprobowanym i potwierdzonym. Wnętrze kościoła nie mieści  
 w sobie nic godnego uwagi; ołtarze i obrazy odznaczają się skromno-  
 ścią. Front zdobią dwie wieże z ogromnemi żelaznemi krzyżami, które  
 w r. 1817, w czasie niesłychanej burzy, przez silny prąd wiatru zupełnie  
 pochylone zostały; schylenie tych dwóch krzyżów na wieżach tak jest  
 jednostajne, że miejscowi pleban na pamiątkę owej straszliwej burzy,  
 która tyle klęsk mieszkańcom tych okolic przyczyniła, sprostowania  
 ich zaniechał. Położenie kościoła oparkanobnego przyzwolcie, mia-  
 nowicie od ulicy stanowiącej zarazem trakt bity królewiecki, jest do-  
 syć malownicze. Od strony wschodniej, na kilkanaście łokci od kościoła,

jest wawóz z odlewu rzeki Wilkowił powstały; między odlewem a ową rzeką utworzyła się wyspa, na której założono dla dogodności miasta szkółkę z rozmaitych drzew. Obecnie zrobiony jest anszlag na wzniesienie kościoła katolickiego murowanego o dwóch wieżach, i spodziewać się należy, iż niedługo świątynia chyląca się ku upadkowi, która przetrwała dwa stulecia, zastąpioną będzie nową, murowaną.

L. Wojciechowski.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

### 1853.

123 Katechizm parafjalny obszerniejszym wykładem rzeczy objaśniony dla wygody pasterzy w winnicy Pańskiej pracujących, jakoteż rodziców i nauczycieli. Napisany przez X. Antoniego Putlatyckiego Z. M. 8ka. Warszawa. 1853, Druk XX. Missyonarzy u Ś. Krzyża. Str. XXX, i 428 (od str. 417 rejestr).

124. *Theoria mundi seu investigatio naturae rerum quam ex novis observationibus explicitis de situ solis et motu terrae vel de naturali systemate solis currentis depromsit luminique publico tradit A. L. (ks. Antoni Eukaszek) Svo. Varsaviae, 1853, Typis Josephi Unger.* Napisów kart 2, przedmowy str. IV i 139. (Z 2 tabl. litografowanemi i tabellą druk).

### 1854.

35. List żelazny. Tragedya na podaniu historyczném osnuta w pięciu aktach, przez Antoniego Małeckiego. 8ka. Poznań, 1854. J. K. Żupański. Druk W. Deckera i Spółki. Kart 2 i str. 116. Rsr. 1 k. 60.

36. Powieści dla dzieci różnych stanów, przez Cezaryą Suchocką. 16ka. Warszawa. 1854. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 3. i str. 169.

37. Skarbniczka naszej archeologii obejmująca średnolwiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszej przeszłości i t. p. przez Ambrożego Grabowskiego Krakowianina. Z 39. wizerunkami baszt i bram krakowskich. Wydanie J. N. Bobrowicza. 8ka wielka. Lipsk, 1854. Nakładem Księgarni zagranicznej (druk Brettkopfa i Hertla). Napis. przypis. i przedmowy str. VIII i 205. Rsr. 5. k. 40.

38. Wspomnienia z lat dziecińczych zebrane dla mojej córki przez Matkę Drogosławę. 2 tomy. 8ka. Petersburg. 1854. Nakładem B. M. Wolffa, druk Jaworskiego w Warszawie. Tom I, str. 317. II, 215, i w każdym kart napis. 2.



*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Autor rozprawy uczonej: „Przyczynek do objaśnienia historii Statutu Wiślickiego”, którąśmy umieścili w tomie I Biblioteki r. z., opracował w obszerniejszej rozprawie rzecz: „O dawnych prawach Ormian, z poglądem na ustawy Ormian w Polsce osiadłych”. Przedmiot nadzwyczaj ważny i ciekawy.

— Zaledwie Biblioteka Warszawska ogłosiła testament Kajetana Węgierskiego, Lucyan Stemieński skreślił z nowych zupełnie materiałów żywot tego pisarza, wielce zajmujący. Obecnie otrzymujemy pewną wiadomość, że w rękę rodziny zmarłego poety są jego listy pisane do Waszyngtona, i odpisy tego znakomitego męża. Mamy nadzieję, że obszerniejszą w tym względzie wiadomość podamy naszym czytelnikom.

— Alexander Fredro przechowuje wiele nieznanych utworów w swęj tece. Czy je ogłosi drukiem rychło? Ci, którzy bliżcy są autora, powątpiewają, pomimo, że sam autor widzi, z jakim współczuciem jego prace powszechność przyjmuje.

— Nakładem Wolffa w Petersburgu wyszły: „Gawędy Wincentego Pola”. Wydanie ozdobne. Tom 1szy zawiera znane już: „Przygody Benedykta Winnickiego”; drugi: „Zgodę Senatorską”, trzeci, jeszcze niewydany, obejmuje: „Sejmik w Sądowej-Wisni.”

— W Krakowie za upoważnieniem rządu zawiązało się stowarzyszenie przyjaciół sztuk pięknych, i ogłosiło następną odezwę:

*Dyrekcya stowarzyszenia przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie.*

Do współobywateli!

„W skutek Najwyższego zezwolenia rządu Jego Ces. Król. Mości, zawiązane zostało w Krakowie stowarzyszenie sztuk pięknych, mające na celu podniesienie sztuki w ogólności, a zarazem obudzenie dla niej współczucia, na które tak wzniosła gałąź pracy i ducha ludzkiego zasługuje.

„Dyrekcya pierwsza utworzona według zatwierdzonego przez wysokie ministeryum statutu, podjęła się z pewną obawą trudnego, acz chlubnego dla niej powołania; zważywszy: iż aby tak wzniosłemu przedsięwzięciu odpowiedzieć, należałoby nam samym posiadać wyższe w dziedzinie sztuki zdolności. Jednakowoż obok wyznania małych sił naszych, nie możemy sobie zaprzeczyć szczerych chęci i poświęcenia, a nawet i pewnej otuchy, z jakimi do dzieła przystępujemy. Nadzieje nasze opieramy na wrodzonych zdolnościach krajowych artystów, których mniej widoczny dotąd postęp i rozwinięcie, brakowi kierunku, pomocy i zachęty, po większej części przypisać należy.

„Powtóre, liczymy również na chętny udział współobywateli, którzy nam środków potrzebnych ku ustaleniu bytu stowarzyszenia i ku rozwinięciu sztuki następczą.

„Dlatego odzywając się po raz pierwszy do obywateli kraju naszego, czujemy obowiązek wytłumaczyć się im naprzód, jak sztukę pojmujemy, i jaki onéj chcemy nadać kierunek; a następnie wskazać, jakie są warunki nieodzowne do urzeczywistnienia zamiarów naszych.

„Sztukę pojmujemy jako najpiękniejszy plód potęgi ducha ludzkiego, i jako doskonały wyraz prawdy i piękności, znanéj nam w naturze lub przeczuwanéj za granicami przyrody. W niéj znajdują się utwory ducha, które kwiatem życia umysłowego zwać można. Wszakże obok téj części estetycznéj, sztuka ma wyższe posłannictwo: bo jeżeli jest dobrze skierowaną, wpływa na umoralnienie społeczeństw, uszlachetniając i wykształcając uczucia. Dlatego, o ile przestrzegać będziemy najściślejszój doskonałości i wdzięku kształtów, o tyle równie bacznie zwrócimy oko na źródło i czystość natchnień: gdyż przekonani jesteśmy, iż sztuka piękna, odnosząc się do bezwzględnej prawdy, zniżyłaby się, gdyby wdziękiem swoim myśli zdrożne oblekała.

„Mamy w Krakowie szkołę sztuk pięknych: stanie się ona dziełką pomocą ku rozwinięciu naszego dzieła. Wspierać chętnie będziemy rzeczywiste talenty, jakie się w niéj objawia; ale mimo tego, dyrekcyja wierna przyjętej bezstronności, pragnie dopomóc i innym zdolnościom czytu w Krakowie, lub gdziekolwiekbądź w kraju się pojawiającym. W końcu odpowiadając powszechnie objawianemu życzeniu publiczności i rzeczywistej potrzebie, dyrekcyja pragnie urządzić zbiór znakomitszych dzieł sztuki, na którycbymy smak ogólny mógł się wykształcać, zamiłowanie sztuki wzrastać, i krytyka zdrowa a sprawiedliwa wyrabiać się dała.

„I jakoż, na pierwszą wiadomość o mającém przyjść do skutku stowarzyszeniu sztuk pięknych w Krakowie, objawiły się szlachetne chęci obdarzenia nas znakomitemi w tym względzie ofarami, których atoli przyjęcie nie od nas samych, ale od współudziału, jaki nam w środkach materialnych obywatele kraju nastręczą, głównie i wyłącznie zależeć będzie.

„Nie wątpimy, iż odzywając się do uczuć waszych w sprawie korzyści kraju na celu mającój, odpowiecie nam wyrazem téj szczodrej gotowości, która zasoby Stowarzyszenia pomnażając, naszą pracę ułatwi; a współbnie nam i piękne zamiary uwieńczy.

„Wszakże w kraju naszym było niegdys zamiłowanie sztuki, a wiele dzieł znakomitych przekazali nam naddziady nasze; później to zamiłowanie i sama sztuka upadła. Teraz od téj waszój dobrej chęci i usiłowań zależy, abymy jej na nowo życzliwą pomoc udzielili.

„Wzywamy was więc współobywatele do licznego przystąpienia, a hojnego rozebrania akcji!

„Tak mała ofara, jaką jest pięć zł. reń. wynagrodzi się wam pociechą podźwignięcia u nas sztuki i wspomozienia w kraju talentów, które dla braku zachęty, funduszków i opieki, z trudnością się ukształcały.

„Oprócz zaś téj moralnej korzyści, starać się będziemy przez ścisłość w ocenianiu, roztropność i bezstronność w rozdzielaniu nagród, odpowiedzieć przyjętym na siebie obowiązkom, jak również odpłacać



się wam w wylosowanych na wystawie obrazach, lub w rozdanych rycinach (1) w sposób ile się da najwięcej zadowolający.

„Mianowani przez nas agenci, upoważnieni są do wręczenia wam akcyj i statutów, oraz do odbierania pieniędzy; o dalszych zaś czynnościach dyrekcyj, przez pisma publiczne zawiadamiać was nie omeszkamy.”

Prezes dyrekcyj, *Władysław książę Sanguszeko.*

Sekretarz: *Walery Wielogłowski.*

— W Poznaniu nakładem Żupańskiego wyszedł przedruk kruką bibliograficznego: jestto poemat Jędrzeja Zhylltowskiego: „Żywot szlachcica na wsi;“ wydany podług edycji krakowskiej z r. 1597.

— Otrzymałszy piękny przekład wierszem poematu Walter Skotta „Pan dwóchset wysp” i ten w następnych zeszytach Biblioteki ogłosimy.

— Zapowiedziane „Archiwum Domowe” K. Wł. Wojcieckiego, oprócz rękopismów z tajnego archiwum króla Stanisława Augusta, do tychże czasów należących, obejmie oprócz innych ważnych rozpraw i materiałów, wierny przedruk dwóch dzieł Marcina Bielskiego: „Sprawy rycerskiej”, podług wydania z 1569 r. i „Sejmu niewieściego“ mającego ścisły związek z poprzedniem.

— Ilustrowana gazeta Lipska podała opis podróży do Karpat, z kilką dobrymi drzeworytami.

*Wiener-Loyd* w nrach 239 i 240 z r. z. podał w fejtynie biografją Klementyny Sobieskiej, a w piśmie Schlimmera: *Bilder aus der Heimath*, Wien. 1853, znajdują się listy Jana IIIgo, pisane do swęj żony Marysienki.

— W *Mémoires de la Société Imperiale d'archéologie de St. Petersbourg*. XVIII (Vol. IV, nr. 3) znajdują się dwie rozprawy Danu-berga i Koehna: *Die polnisch-schlesischen Bracteaten*.

— Z Polaków w Wiedniu kształcących się w malarstwie, najwięcej dotąd odznaczył się Löffler, i należy już do tamtejszych lepszych malarzy. Z innych, Szygalewski z Krakowa, były uczeń Statlera, a teraz Führicha, zajmuje się kompozycjami religijno-historycznemi. Z rzeźbkarzy, Cyngler Krakowiainin, kształcił się na zdolnego w swęj sztuce.

— Z pism obcych, a nas dotyczących, wyszłych w r. z. wyliczamy niektóre:

*Zur Biographie Nicolaus Copernicus von Dr. L. Prove.*

I. *Ueber die thorner familien Kopernigk und Watzelrodè.*

II. *Ueber die Zeit der Geburt und des Todes von Nicolaus Copernicus, Festschrift des Königl. Gimnasiums zu Thorn zur Feier der Enthüllung des Copernicus Denkmals. Thorn. 1853. str. 58 w 4.*

(1) Członek towarzystwa ma prawo: a) do udziału w losowaniu nabytych przez towarzystwo dzieł sztuki; b) otrzymuje bezpłatnie rycinę, litografię lub odlew, staraniem towarzystwa wydane; c) ma bezpłatny wstęp na wystawę; d) prawo wglądania w rachunki i zarząd towarzystwa, w sprawozdaniu dyrekcyj przedstawione, i z tego powodu czynienia wniosków na piśmie do dyrekcyj. Posiadacz więcęj akcyj nad jednę, względnie każdęj z osobną praw swoich pod a) i b) wymienionych, używa.

— Fr. Chotomski wykonał ryciny do Maryl Malczewskiego, któryto poemat ogłosi wkrótce J. K. Żupański w Poznaniu. Nowe to wydanie ma rywalizować z najcelniejszymi podobnymi wydaniami Paryża i Lipska. Rysunki ubiorów ówczesnych i okolic, jako też oryginalnych kompozycji, uznali znawcy za dobre, prawdziwe i piękne.

— Zapowiedziane w r. z. dzieło w 4ch tomach p. n.: „Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego“ już postąpiło do druku. W każdym tomie mieści się szczegółowe opisanie każdej gubernii, mianowicie historia jej rozwinęła się, położenie jej geograficzne i topograficzne; granice, obszerność, ludność, klimat, grunt, gospodarstwo leśne, handel leśny, rzeki spławne, zakłady przemysłowe leśne, fabryki i rękodzieła. Nadto w odcinkach zamieszczone są opisy historyczne ważniejszych miast, wsi i uroczysk.

Aby to dzieło uczynić przystępnym dla ogółu, ustanowioną została przedpłata na wszystkie 4 tomy z mappami, tylko rub. sr. trzy, do pobierania której upoważnione są wszystkie znaczniejsze księgarnie w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Petersburgu i Mohilewie.

*Wyjątek z listu p. L. I. z Kijowa.*

....., Z literatów na kontraktą przybyli tu: M. Grabowski, Swidziński, Jezierski, Szczeniowski, Gryf, *alias* Nowosielski, a rzeczywiście Marcinkowski, i Z. Fisch. Dziennik Warsz., jak się zdaje, nieży tu zrobił interes; ale za to J. Unger sprzedał wszystkie swoje nakłady, jakie tu przywiózł. W ogóle ruch literacki był ożywiony; zebrania wieczorne były u Grab. Grozy i t. d. Zjazd obywateli był tak liczny, jakiego od lat kilku nie bywało: aż miło było patrzeć na te postaci prawdziwie sarmackie. T. Glücksberg nabył od Gryfa dwa rękopisy, i te wyda w ciągu r. b.: 1) Lud Ukraiński, 2 tomy, i 2) Pamiętniki kuratora magazynów; od Grozy zaś nabył kilka drobnych powieści. M. Jezierski napisał powieść pod nap.: „Konkurenci“, która będzie drukowana w Dzienniku Warszawskim. Największy obdyt miały tu podczas kontraktów następujące dzieła: Stepy, przez Nowosielskiego, 2 tomy; Improwizacye Deotymy; Ukraina, przez Czarnowskiego, 2 tomy; i Typy i Charaktery przez Kraszewskiego. Gdyby nie Improwizacye Deotymy, która tak jak i u was ma tu wielką liczbę wielbicieli, ale też i nieprzyjaciół (ci ostatni mianowicie twierdzili, że to są tłumaczenia z francuzkiego!!!) i Ukrainy p. Czarnowskiego, budzącej ciekawość z powodów miejscowych; niktby warszawskich dzieł ani do ręki nie wziął. Warszawa pod względem literackim ma tu złą famę; czy się też do tego nie przyczyniły także te niehe tłumaczenia, któremi i nas tu kiedyś bezkarnie zalewała, a na zgromienie których nikt się u was nie znalazł?!”

† Dnia 8 grudnia r. z. umarł w Krakowie w podeszłym wieku Józef Brodowski, b. prof. emeryt, znany z wielu dzieł artystycznych.



1854

Wszystkie dane wzięte z obserwacji w roku 1854. Wskazania barometru w milimetrach słupkowy, termometru w stopniach Celsjusza.

Przebieg atmosferyczny	TERMOMETR				BAROMETR				Opis pogody
	10	4	0	10	10	4	0	10	
100	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	100
95	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	95
90	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	90
85	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	85
80	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	80
75	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	75
70	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	70
65	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	65
60	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	60
55	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	55
50	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	50
45	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	45
40	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	40
35	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	35
30	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	30
25	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	25
20	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	20
15	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	15
10	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	10
5	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	5
0	12.5	11.1	10.0	10.0	747.0	747.0	747.0	747.0	0

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatorium Astronomiczném

### WARSZAWSKIEM.

### Luty, 1854.

Luty 1854.

## Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obs

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Data	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	743.86	744.49	737.96	737.02	+ 1°4	+ 1°4	+ 0°4	+ 3°2	92.5
2	744.48	745.54	745.23	746.51	+ 1.0	+ 0.6	+ 1.0	+ 0.5	87.2
3	746.88	747.80	742.99	744.79	+ 0.2	+ 0.6	+ 0.3	+ 1.0	91.3
4	750.82	753.60	756.73	757.80	+ 0.4	+ 0.4	+ 1.6	+ 1.9	85.5
5	756.31	755.02	749.98	745.19	- 3.9	- 1.1	+ 1.8	+ 1.6	88.3
6	742.97	743.34	740.65	736.81	+ 0.0	+ 0.8	+ 0.8	+ 2.9	95.5
7	738.45	734.74	734.86	736.40	+ 2.8	+ 2.6	+ 4.7	+ 1.9	85.7
8	737.10	737.82	737.72	738.72	+ 0.6	+ 1.4	+ 0.4	+ 0.1	88.5
9	735.41	734.33	733.37	736.70	- 0.6	- 0.0	- 0.5	- 3.1	97.3
10	738.97	740.11	742.40	745.97	- 7.1	- 3.9	- 5.1	- 11.1	-
11	747.16	748.80	749.72	750.01	- 13.8	- 12.3	- 12.0	- 9.5	-
12	746.30	746.98	747.85	750.53	- 6.1	- 6.2	- 8.0	- 11.2	-
13	754.29	756.66	759.16	761.73	- 16.3	- 14.5	- 12.6	- 14.9	-
14	762.34	764.07	761.76	757.59	- 13.0	- 10.9	- 8.8	- 10.9	-
15	746.73	742.00	733.78	733.10	- 10.9	- 7.6	- 5.7	- 4.7	-
16	732.80	733.36	735.52	738.61	- 3.5	- 1.5	- 0.4	- 3.3	100.0
17	742.74	744.64	742.51	738.66	- 7.3	- 7.3	- 3.5	- 2.3	-
18	733.14	731.81	731.80	735.74	- 0.7	+ 1.4	+ 1.9	+ 0.6	94.2
19	736.02	737.04	739.62	742.63	- 3.3	- 1.6	+ 1.0	- 2.9	91.5
20	745.52	747.86	749.71	752.31	- 3.1	- 2.1	+ 1.2	- 3.1	92.3
21	753.79	754.90	754.87	756.79	- 6.1	- 5.7	- 2.1	- 2.5	98.5
22	757.98	759.38	759.17	759.14	- 3.9	- 0.0	+ 1.1	- 3.3	89.2
23	756.54	755.67	752.53	750.90	- 3.3	+ 0.4	+ 0.4	- 1.3	90.3
24	749.32	750.89	753.18	755.06	- 0.2	+ 1.0	+ 0.4	- 1.5	85.7
25	750.40	745.90	741.89	738.40	- 3.9	- 1.0	+ 1.1	- 0.0	95.0
26	738.28	738.28	737.67	742.89	- 3.1	- 1.5	- 0.2	- 0.9	98.3
27	749.95	752.88	755.38	757.16	- 2.5	- 1.3	- 0.7	- 3.8	91.2
28	758.04	758.04	756.89	756.77	- 6.3	- 4.6	- 0.7	- 1.2	-
Sre.	746.339	746.673	745.961	746.569	- 4°01	- 2°59	- 1°51	- 2°96	91.9

## watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, 7,  
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pr. pochm.	pochmurny	poch. śnieg	poch. deszcz	PnZ.	Z.	Pd.	Z.		3.2
pr. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.2	
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	4.8	
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Pn.	PnZ.	PnZ.	Z.	2.0	
pogodny	lek. zamat.	pogodny	pochmurny	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PnZ.	Z.	PdZ.	Z.	4.6	
pochmurny	deszcz	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	5.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.2	
pogodny	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.	2.8	
lek. pochm.	pochmurny	pogodny	lek. poch. ś.	PnW.	PnW.	Z.	Z.	3.2	
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	Z.	Z.	Pa.	PnW.	2.9	
lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.	1.8	
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pogodny	Pn.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.0	
pochmurny	pr. pogodny	poch. śn. gr.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	4.8	
lek. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	PdZ.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.		
pochmurny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PnW.	PdW.		
lek. pochm.	pogodny	pogodny	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	Pn.		
pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
lek. pochm.	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	Z.	Z.		
pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	1.4	
pochmurny	śnieg	poch. śnieg	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.	4.5	
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	6.6	
pochmurny	poch. grad	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PdZ.	Z.		
Sre.								16.6	44.0



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.345	27	6.870
Najwyżej dochodził — d. 14 o g. 10 r.	764.07	28	2.709
Najniżej — d. 15 o g. 10 w.	733.10	27	0.980
Średnia zmiana dzienna barometru	6.835		3.030
Największa zmiana dzienna barometru d. 14—15 o g. 4 w.	27.98		12.403
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	3.658		1.620
Średnia temperatura lutego wynosi: —	750.043	27	8.490
i ta jest wyższa o	20.77	C.	— 20.22 R.
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	0.22	„	0.17 „
Największe ciepło było d. 7 o g. 4 w.	—	2.99	„ — 2.39 „
Największe zimno d. 13 o g. 6 r.	+	4.7	„ + 3.76 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	—	16.3	„ — 13.04 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 12—13 o g. 6 r.	—	2.714	„ 2.171 „
		10.2	„ 8.16 „

## Termometrograf wskazał:

Maximum: + 30.5 R. d. 7 po połud.

Minimum: —13.1 „ d. 13 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 91,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,20 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0,01 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 16,6 milim. czyli 7,36 lin. par.; z śniegu 44,0 milim. czyli 19,50 lin. par.; razem z deszczu i śniegu, 60,6 milim. czyli 26,86 lin. par.; ilość ta wody jest większa o 13,74 lin. par.; od tej, jaka średnio u nas w lutym spada.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 7, pochmurnych 20.

— deszczu 6 (d. 1, 3, 4, 6, 7, 8).

— śniegu 19 (d. 1, 2, 3, 6, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 24, 25, 26, 27).

— gradu 3 (d. 8, 16, 27).

Wiatrów mocnych było 29: (19 Z., 4 PnZ., 5 PdZ., 1 Pn.).

Wiatr panujący zachodni.

Luty r. b. był niepogodny, słotny, wilgotny, wietrzny, w deszcz i śnieg obfity. Pierwsze dziewięć dni były łagodne i ciepłe, na stepne dziewięć znacznie mroźne, ostatnie dziesięć z rana i wieczór chłodne, w ogóle miesiąc ten jest o 0,2 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Dwanaście dni od d. 6 do 18 były bardzo słotne, prawie w każdym z tych dni deszcz lub śnieg padał.

Wiatry mocne osobliwie zachodnie, były częste. Zmiany barometru przy silnych wiatrach były częste i znaczne; nadzwyczaj wielka zmiana dzienna barometru 12,4 linii par. wynosząca, przypadła d. 14 na 15. Deszcze i śniegi były obfite, gdyż woda z nich zebrana wynosi 26,86 lin. par. o 13,74 lin. par. więcej niż zwykle.

D. 2, 5, 17, 19, 20 pokazywały się plamy na słońcu.

# NOTATKI

GENERAŁA J. L. Z LAT 1775 — 1778.

Ze starego rękopisu. zebrane

PRZEZ

*Józefa Ję. Wraszewskiego.*

Między starymi szpargałami, które nam niedawno do rąk się dostały, trafił się zamazany, nawpół rozerwany raptularz, poszarpany, powalany, podarty tak, że niektórych stronnic zostały zaledwie wykąszone resztki: ani początku, ani końca. Coś to nakształt dziennika, nakształt brulionu korespondencyi, razem rejestra, rachunki, spisy ludzi i przypomnienia ekonomiczne. Chociaż w najgorszym stanie i ledwie jakimś ułamkiem większej całości będący, rękopism ten, po odczytaniu niełatwem kilku stronnic, dosyć zajmującym się okazał. Przepisaliśmy go, wyrzuciwszy co żadnego nie miało interesu, i złożyliśmy z tych urywków niniejsze notaty. Widać z nich, że to są po większej części od dzienniej korespondencyi dla pamięci zostawione noty, lub z odebranych listów wyciągi.

Była w nich intencya utrzymania dziennika, chociaż rzadko znajdują się daty; i zamieszanie w tém wielkie, bo niezawsze porządnie po sobie następują.

Moglibyśmy z początkowych głosek, pod kopią niektórych listów umieszczonych (J. L.) domyślić się łatwo autora dziennika tego; ale wolimy dla wielu przyczyn dośledzania zaniechać.



Autor góspodarz, jurysta, facyendarz, plenipotent moźnych, chwilowo generał brygady, zapalony myśliwiec i sejmikowicz niepospolitych talentów, maluje się nam na tych kilkudziesiąt stronnicach bardzo żywo i dobitnie.

Jestto jeden z charakterystycznych typów XVIII wieku, obfitującego w postaci, których świat więcej już nie ujrzy. Zdało się nam, że nieobojętném będzie dla studyujących te czasy, wydanie chociaż ułameków notat tak oryginalnego w swoim rodzaju człowieka.

Nie ma tu zapewne wielkich historycznych wypadków, ani nowych materyałów do dziejów poważnych epoki, tak dla nas zajmującej; ale jak listy Kazimiérza Nestora Sapiehy świeżo przez nas wydobyte z pyłu i zbutwienia, raptularze te zawierają niejeden ciekawy szczegół, dający lepiej poznać wiek, obyczaje i charaktery nam właściwe. Nie potrzebujemy tu dowodzić, jak ważne są takie światelka do znajomości czasu, z którego nas dochodzą; rzadkość ich czyni je droższymi jeszcze.

Notatki całe zamykają się, o ile z dat rozproszonych tu i owdzie zmiarkować można, między 1775 a 1778 rokiem. Dotyczą szczególnie stanu Wielkiej polski; objaśniają porządek wojskowy, a raczej smutny nieład ówczesny, i dają poznać wiele postaci ciekawych, wół-historycznych ze strony mało znajomej.

Nie sądzim, żeby nam kto mógł mieć za złe zachowanie imion osób, które w dzienniku wypisane się znalazły, i wszystkie prawie zkadınąd w tymże charakterze są nam znane; wymazanie ich odjęłoby wszelki interes notatom.

Hubin, d. 7 września 1851 r.

J. I. Kraszewski.

..... (1) Z listu do księcia pisanego dowiaduje się o brzeskich sejmikach i pruzańskiej konfederacji. Sejmiki pod zagażeniem JMPana stolnika, a *in praesentia* JMPana strażnika i kilkudziesiąt ichmościów szlachty, nie znalazły kandydata do poselskiej funkcji; a zatém JMPan stolnik prezentowawszy urzędu swojego przywilój i zanim miejsce swoje zasiadłszy, województwu dziękował i sejmik pożegnał.

(1) Tych kilka stronnie początkowych, zdają się poprzedzać rok 1775.

Dnia 25 teraźniejszego, konfederacja pruząńska popasała w Rzeczy Murowanej i dyskretnie się obeszła: w karczmie nawet za wszystko płaciła. Jednego tylko przy podwodach szereszowskich będącego nadwornego żołnierza z sobą zabrała i do Kamieńca dla wzięcia regimentu ruszyła się; o którym, że już jest wzięty, wiadomość mamy pewną. Taż konfederacja pod marszałkowstwem JMPana Bęklewskiego generała-adjutanta, poszła do Wysokiego dla zabrania tamtejszych nadwornych ludzi. Za nią komenda z Brześcia zaraz ordynowana, i kuryerowie do wszystkich miejsc, gdzie tylko Rossya znajduje się wysłani na atakowanie.

Z Litwy jak pierwój wiele pisano i straszono, tak z teraźniejszej poczty wcale przeciwnie donoszą; osobliwie z Warszawy upewnijają, że upitska rozeszła się, a żmudzkiej ani było. Do Poniewieża JMPan Roniker wybiegł tylko starając się o poselstwo z upitskiego. Z Wilna także odbieram wiadomości listowne, iż konfederacye litewskie na zdradę się były poczęły, a zatem wkrótce spodziewają się uciszenia.

Sejm walny że się ma solennie zacząć i kończyć, z Warszawy upewnijają; donoszą mi, że deklaracye powtórne króla pruskiego *in rem* monarchy będą publikowane.

Konfederacya pruząńska, jak późniejszą otrzymuję wiadomość od komendy rossyjskiej, z pod Wysokiego nazad wróciła do Szereszowa, a zamtąd gdzie ma dalej, nie wiadomo . . . . . (kilkanaście kart brakuje).

Księżny wojewodzcicowej sejmiki, któremi absolutnie kierować chciała, wcale się tam nie udają; chociażby zbliżka lepij ich dopilnować mogła, ale ludzi nie ma. Z tego co mi o tém strażnik donosi, jasno widzę, że pokpią sprawę, a inaczej być nie mogło, kiedy nie wiedzieć kogo używają do niej.

Latały posłańce do Kodnia niemal co godzinę, z coraz gorszymi doniesieniami; trzy takie raporta przysłał mi strażnik, które tu wypisuję:

„Zdrowiem naszym pieczętujemy te sejmiki, pisze pan Julian, a jutro może któren z nas i życiem zapieczętuje. Ulegaliśmy, milczeli, byliśmy grzeczni; mitrężono nas, zwlekano, chciano nas podejść: wszystkośmy wytrzymali aż do dnia dzisiejszego, gdzie się cała planta odkryła roboty wszystkich szelmów. Nietylko że nam elekcyą ukraść chciano, ale jeszcze księcia szykanowano; chciano, żeby on nie był starostą, żeby starostwo było



elekcyjne. Dzikie rzeczy wygadywano, wielkie były bałamuctwa. Ja w sobie już kropli krwi nie czuję; pan Józef nie może pisać, bo zgryziony bardzo i słaby nie żartem. O włos tylko co dzisiaj historyi nie zrobił. W tym momencie kupimy się, bierzemy wino i wódkę i jedziemy jeszcze po szlachcie. Co się jutro stanie? — Bóg to wie;... bardzo się boję, żeby się nasze sejmiki nie skończyły tragicznie.“

2) „Widzę niespokojność księżny, i choć nadzwyczaj zajęty, donoszę pokrótce, co się tu dzieje. Różne insynuacje urodziły się dziś w nocy o sukcesy przez przyjazd pana Kłokockiego. Był w tej mierze miany głos na sejmiku, ale się na kpie skończył; dopiero seryarz układają podawanych wszystkich na dniu wczorajszym punktów, które jutro roztrząsać będą. Gadamy, mitygujemy, oświecamy; wiele już osób nawróconych, wiele rzeczy ułożonych: dobrą nareszcie mamy determinacją i siłę potemu, resztę kończyć większością. Niech się więc księżna nie turbuje (ale!), musi się wszystko ułożyć; już się burza ucisza i do składu rzeczy przyjdą, ale trzeba na to rozumu (a ci bez rozumu?) i czasu! Co się mnie tyczy, jak zawsze mało miałem determinacyi, tak teraz jeszcze mniej po odebranych z poczty od pana Juliana liście do mego ojca, zostania posłem na sejm, który wielkie zamieszania w kraju obiecuje. Przyznam się WXMości, że mi się szczerze nie chce; i podkomorzy się droży, żądając uchwały od województwa. Ja nie jestem tak podły tego żądać, a resztę własnego stracić także sobie nie życzę.“

3) „Nie mogę nie wymówić tego WXMości, że mam najwyższy żal do niej za sposób terażniejszy wdawania się jój do sejmików naszych (opatrzył się); posłańce WXMości ustawnie biegający, których wszyscy widzą, obracają na siebie oczy wszystkich sejmujących. To ich jeszcze więcej oburza, równie jak i mnie, że WXMość dajesz zlecenia swoje ludziom, którzy są poczciwi, ale nie umieją tylko co do litery je wypełniać; a tu co godzina, to nowina.“

„Na ten dodatek „z osób, a nie z familii” nikt pozwolić nie chce; jam się obrócił i ułożył się, że toż samo inszemi tylko słowami napisano, i już było od przeciwnych przyjęto, ale sam pan Józef ze mną się kłóci, mówiąc, że jutro przez szable i przez kreski dobić się będzie swojego dodatku. Piękna to będzie historia! Ja oświadczam WXMości, że jutro rano ztąd wyjeżdżam; nie chcę się w nic mieszać więcej; już dosyć straciłem

zdrowia, i nie wystarcza mnie na to, żebym WXMości interesa moim obrusem utrzymywał. Tydzień karmić przyjaciół WXMości, to jest okrutna i nieludzka rzecz... a ze strony księżny niedelikatność tego żądać.... Posyłam mój dodatek, ułożony przezemnie, którego się tu wszystkim podobał, i u przeciwników miał aprobacyą, tylko pan Józef na niego nie łaskaw“.

Takto oni tam prowadzą te rzeczy, że księżna adwokatów siła trzyma, a oni coby jej mieli służyć, między sobą się jedzą. Poprostu nie umieją się wziąć, to jasna: i pan Józef winien, i pan Julian winien. Chwała Bogu, że to się o moją skórę nie obciera; niech sobie robią co chcą. Nietrudno być prorokiem, że sejmik pójdzie źle z takimi auxyliaryuszami. Lepszy byłby jeden a dobry, niżeli kupa tego, a nicpotém.

Jakoż i porobiły się historye, o których znowu wiadomość otrzymuję i takową konnotuję. Deputacki sejmik spokojnie skończono, na którym obrani JM. pan Rafał Nietyca, z JM. panem Wretem. Elekcyjne zaś przeciwnyby zapewne skutek miały i bez rozlania krwi nie obeszłyby się, gdyby za zgodą konkurentów wszystkich limita sejmiku w przytomności ich wszystkich, kasztelana prezydującego, urzędników i obywatelów. Wdzięcznie tedy projekt ten był przyjęty, przez stolnika, i owszem podziękowanie nawet w obszernej mowie oświadczył panu kasztelanowi, za obmyślony sposób oszczędzenia krwi braterskiej. Nastąpiło pożegnanie sejmiku, po którym wszyscy poszli do kancelaryi dla zapisania limity. Cóż się dzieje? JM. pani stolnikowa jak się dowiedziała o tej umowie męża, wpadła w gwałtowny żal, narzekając na niego, że na to pozwolił. Mocne miała perswazye, ażeby się zaspokoila, od różnych osób, między którymi był i pułkownik rossyjski Dukier; ale wszyscy wzięli tę odpowiedź: że są ludźmi bez żadnej ambicyi, kiedy jej takie rady dawać mogą; a usłyszawszy to, odstąpili. Stolnikowa sama wpadłszy do kancelaryi i tam męża zastawszy, do nóg mu upadła, prosząc, ażeby źle skończonej roboty odstąpił, a znowu się do obrad sejmikowych brał. I tak płaczem, krzykiem żony pokonany (bo w spodnicy chodzi), wzięwszy JM. pana Grabowskiego sędziego do zagajenia sejmiku, obrał się podkomorzym, a pana oberst-lejtnanta Buchowieckiego, już nawet podpisanego do limity, chorążym uczynił. Co to za robota, jaka rzetelność w ludziach do tak wysokich urzędów idących! Sami byli, sami robili. Okazując wielką wdzięczność za ten przemysłony sposób,



pan Buchowiecki sam się do limity pisał, a teraz do nieprawne-  
go przystąpili sejmikowania... Babel i babilońskie zamieszanie.  
..... (Kilka kart brakuje znowu).

Coby to było proszę unizenie, żeby sobie człek nie sło-  
dził tego mizernego życia jak może: toczy przepaść jak Bóg  
Bogiem ze zgryzoty, z ustawnych aprehensyi, z napaści losu  
i kochanych braci. Ale zjé licha niedola, żeby się jój poddał  
kto ma rozumu krztę: choć goło a wesolo, choć bięda a hoc.  
A jak w domu ciasno. to ze psy do kniei; a gdy tam za kołnierz  
ciecze, są gościnni sąsiedzi: od komina do komina, i przejdzie  
zła godzina.

Jakoś się pomimo wszystkiego trzymam ostro i nie daję  
okulbaczyć frasunkom, choć tu inny i głowęby stracił i serce,  
przy tylu ustawicznych przygryzkach, które na każdy dzień za  
powszedni chléb służą.

Djable mi zresztą nudno na moim posterunku w tój mie-  
ście odra-panej, i gdyby nie niedźwiedzie a dziki po lasach, daj  
im Boże zdrowie, a nie moi klarneckiści, i nie exercerunek bry-  
gady, która mi się dostała gdyby po najstraszniejszej wojnie;  
żeby nie sprawy księżny JMci i nie listy pana strażnika polnego  
koronnego, albo księcia generała, co mi brzeskie czasy przypo-  
minają; gdyby nie rudzinskie sprawy, a nie sejmiki:—przyszłoby  
człeku z nudy zdychać. Tylko to szczęście, że nie ma czasu, bo  
tego przez wierzch głowy. A i to niemała jest rozrywka, że  
sobie w słotną godzinę zapiszę na papierku, co się robi, zro-  
biło, dowiedziało, *pro memoria*. Choć mi pióro nie smakuje,  
bom się nigdy na atramentowego nie kierował, ale i to nie zgor-  
sza, jak lepszego nie ma.

Dziwnie też gęsto po świecie nieprzyjaciele mi się trafiają,  
choć nic nie robię, żeby ich pozyskać; chcieli bardzo mnie  
w czym złapać i wystawić przed panem hetmanem, ale się im  
nie udawało, i tuszę że nie uda. Od sekretarza przy delegacie  
dowiedziałem się, że miał polecenie nagle wpaść mi do sztabu,  
i lustracją tę odbyć na nieprzygotowanego. Nadjechał nawet  
przedemną; ja po nim dopiero we dwie godziny pospieszyć mog-  
łem, i zastałem jak mi już czwarty szwadron lustrował. Re-  
widował, i to tak seryo, że każdego z osobna żołnierza wypyty-  
wał po szczegółach, aby we mnie grzech jaki znaleźć. Nic to  
nie pomoże. Siódmego mi dał ordynans, ósmego już przybiegł  
do Kościana. Co więcćj, komplet konnotuje, konie spisuje:

niesłychane rzeczy, *zgoła extra stricte*. Ale się niepomatu zadziwił, że wojsko zastał choć dziś do marszu. Exercytował potem jeszcze, i słyszałem jak mówił do grafa Sułkowskiego przytomnego: „Co to za niegodziwe udanie na niego! Niech kto pokaze w Polsce lepszy gdzie po komendach wprowadzony porządek? Ja muszę prawdę mówić, bo mój charakter nakazuje; byłbym złym człowiekiem, żebym niezastawszy nic, udawał i komponował jakieś do niego pretensye.“

A to wszystko z tego, że mnie widzą w łaskach u pana hetmana i księżny wojewodzicowej, że dobrze ze strażnikiem. Chcieliby mnie wykluczyć ztąd jeszcze ze wstydem, ale nie-doczekanie wasze!

Lustracja już się kończy, po niej zaraz petitum moje pośle. Aby też nie zapomniał i o generale Kurdwanowskim, bo i ten zda się, a prosił mnie o psy. Posłało mu się co było niezgorzse: nie miał i nie będzie miał lepszych; spotkałem je w Kłodawie, ale rozmyśliwszy się, kazałem i te strzymać. Poślę mu z Rogoźna sforę moich ulubieńców, co mam najpilniejszego i najlepszego, bo tamte mogłyby pod humor zawstydzić mnie.

Miałem wiadomość od regenta Jezierskiego z Kocka; pisał do księżny w swoim interesie, co go tam ma z panem Łaskim podsędkiem łukowskim, i wyrobił sobie dekret jaki chciał. Ale i podsędek nie w ciemną bity: pojechał zaraz do księcia marszałka, przez niego starając się o *sancitum*, znoszące ten dekret. Jezierski stuka do księżny, żeby u marszałka zapobiegła, aby tego *sancitum* nie otrzymał.

13 januar. 1775 roku. Prawdziwie że owaryowacby tu można, taki śliczny w tém wojsku zastałem porządek. Raz wraz z czémś muszę do kommissyi wojskowej referować się, i prosić to tego, to drugiego, za jednym żeby był, za innym żeby go sobie wzięto. Namiestnik téj chorągwi, pan Dąbrowski, nie pomieścił w likwidacyi JM. pana Zabokrzyckiego towarzysza znaku JKMości; dla czego? Bóg święty raczy wiedzieć. Pchać go teraz muszę z listem do Warszawy, bo na tę nie zasłużył preskrypcyą: wszystkie powinności odbywał, przy chorągwi był ustawicznym; całe jego nieszczęście, że go pominiono bez racyi. Nie wiem za co cudza omyłka miałaby być jego nieszczęściem.

Jeszcze w dodatku do tych moich kłopotów, staraj się tu o dukaty dla księżny pani i pilnuj jej interesów, a tańczuj koło nich: w czém mi ksiądz Czechowski niewielką pomocą, bo je-



mu co innego w głowie. Trzeba nielada polowania odbywać na summy, szlachtę wodzić i głaskać, żeby co dała nie chciała odbierać, zastawników szukać z latarką, dzierzawców obrachowywać i z niemi się objadać, a psy dla pana hetmana i dla Kurdwanowskiego hodować. Jakby mi psiarnia znosiła, to i samemu z nosem się nie pokazywać. Taka dola moja, że tylko ta muzyka a trochę polowania, co je schwycę ukradkiem prawie, toby się przyszło zjeść za cudze grzechy.

Pan Bniński Łukasz, terażniejszy starosta sokolnicki, także mi na głowę włożył, żebym przez księżnę u hetmana jego interes popierał. Zapłacił za to starostwo dobrze, bo mu jedenasty tysiąc czerwonych złotych wyciągnęli, nadzieją, z której nic nie będzie; a teraz co tam zastał, włosy na głowie powstają. Pan hetman z Warszawy ruszył się na kontrakty lwowskie, a Lewandowski dobrze pogospodarzył w Sokolnikach. Warował sobie usiewy ozime i jarzynne, a pierwsze zastał trzy po trzy zrobione, na drugie zaś ledwie połowę mu ziarna zostawiono, i to plugawego. Siano i słomę porozprzedawano, cegłę po panu Zarębie pozostała nawet Lewandowski spieniężył. Zaciągiem całym od objęcia possessyi przez niego, nie dyspozytor Bnińskiego, ale Lewandowski rozporządzał jak sam chciał; zgoła, że się przy nim tylko czezy tytuł starostwa został, a napisano *quid prodest gloria, sic gloria tantum?* Zważywszy, że starostwo przepłacił, chciał już się cofnąć i uczynić reces od niego, ale mu, jak powiada hetman, ofiarował się dziedzictwo wyrobić, byleby jedenasty tysiąc dołożył, co też *non tam libenter quam reverenter* uczynić musiał. Teraz Rzplita inaczej starostwami dysponuje; niechby choć przez protekcją hetmana otrzymał prawo emfiteutyczne, a i tém będzie się kontentował. Sądzę, że to się da wydokuczać, a że mu serdecznie pomagać będę, nie wątpi.

6 maja (1775). Ruszyłem się dla uciechy, aż tu przyszło porzucić wszystko, i pełnić ciężką powinność, do której żem się zaprzął, nie ma co mówić. Ledwim z Poznania wyjechał, drugiego dnia kiedym był o mil 10 od niego, od Sierakowa 15, buch jedna sztafeta za drugą od pana strażnika; narobił mi uciechy porządnej. Zaraz tedy za pierwszą woźnego do Sierakowa pcham, a jak druga przyszła, sam do Poznania ruszam, bo bym był inaczej interesu jak się należało i pośpiesznie jak chciano, nie mógł skończyć. Posłałem vice-regenta exekwować kondemnatę, a pozwu położenia relacyi zeznać nie dopuściłem;

dość, zem się zwinął gracko i jakim umiał takem zrobił. Wolno łajać, ale dalipan lepiej nie umiem i nie mogę. Dzika bo też i pretensya, żebym dowodził brygadą razem i interesami księżny, a obojgu i dwóch innych radyby nie dało, nietylko ja jeden; w dodatku bez pieniędzy, bo w kassie sucho, i raz wraz swojemi tylko zakładać muszę. A ja też nie Krezus.

Zrobili tranzakcją z księciem Adamem: wiaszują bardzo, ale zdaje mi się, że to przyszło nie w porę, gdy o grosz trudno nad wyraz. Wszyscy prawie goli, u nikogo nic dostać, a jak ma być inaczej, kiedy sprzedać nie można i kupca nie masz choć tanio. Każą mi teraz szukać dukatów—wiatra w polu. Wypadnie więc wszystko porzucić, bodaj psy i polowanie, a za szlachtą latać, kłaniać się, poić ją i prosić. Kredyt też księżny JMci, z żalem to widzę, codzien kruchszy. Nie wiem, czy się co przez Radolińskiego zrobić nie da. Winien książę generał ziem podolskich Radolińskiemu Mikołajowi 168,000 złotych; uczyni to blisko 10,000 dukatów. On się już od lat kilku o nie codziennie przykrzy; ja to postaram się zrobić, żeby na skrypt księżny JMci przystał. Na radliński klucz znajdę też może jakiego tłustego pralata, żeby trzosa rozwiązał. Sierakowszczyzną także wypadłoby wcześniej zajechać, i puścić na lat trzy z przypożyczeniem, toby się z tego wszystkiego razem coś wysmoktało. Na procent żeby nam kto miał dać, ciężko; chyba tam kapnie jakim tysiąckiem, co nie wart mojego mozołu, póki go odkopać.

Jeszczeżto interes księżny z księciem Adamem jakoś się połata; ale i ja goły, potrzebuję sam dla siebie, a co mi winni o to prosić potrzeba jakby o jałmużnę. Kupilemci i ja starostwo jak Bniński; potrzeba je zapłacić, kontrakt sprzedażny jest, a cassy nie mam: nie dadzą jój bez pieniędzy pewnie, bo dziaduś Chińczyk. Niechże strażnik koronny głowę łamie *i redde quod debes* mościa księżno: nie ma rady. Bylebym jój nie pogniewał tylko, bo i to źleby było. Zapewne mi każą znowu na rachunek księżny sobie dostać tutaj; a z Wielkiéj polski na wszystko dostarczyć bardzo trudno, boć i tu złoto się nie kopie. Nawet o te 3,000 dukatów, com je u szlachciury wygrzebał, już mi się mój hreczkosiéj uprzykrza, i tak za mną gdyby cień chodzi, że gdyby nie respekt ludzki i święta cierpliwość, tobym go nieraz zamalował, tak mi dojada. I poję go, i karmię, i wożę go



z sobą po polowaniach, myśląc, że może jakie pocziwe dziczy-sko utrapionego prześladowcę zadrapie:—i nic mu; tylko codzień jeszcze zdaje się nudniejszy, i żeby mnie w kościele trafił, to o swoje 3000 dukatów przypomnieć się musi. Jużem do nich dziesięć razy pisał, żeby mu zapłacili, bo mi siadł kością w gardle; ale księżna kontenta jak się zbędzie grzecznym listem, i po wszystkiém, a tu ehcą brzęczącej monety, nie brzęczących słówek. Nic im po tém: najniższą sługą ich się nie pozbędziesz.

12 Maj 1775. Trzeba widzę całkiem o komendzie zapomnieć, choć na nikogo spuścić się nie mam, żeby mnie mógł zastąpić, bo panowie sztabowi żaden raportu napisać nie potrafi i służby nie znają; a tu interesa księżny pchają gdyby oparzonego z miejsca na miejsce: ani zagrzac legowiska. Musiałem jeździć do Czerniejowa dla interesów księżny wojewodzicowej, bo święty Jan za pasem. Piotra Radolińskiego wyprawiłem do Mikołaja, co ma summę tę u księcia generała, żeby go wymacał, a jeśli nie zechce, poszukam kogo innego; jest tu takich więcej, co u generała podolskiego mają. Raczyński przysyłał, żeby się ze mną widzieć w Poznaniu; musiałem się do niego fatygować. Zaczepił mnie o Radlin, czy go w zastaw nie puszczą. Odpowiedziałem: czemu nie, byle za znaczną summę, naprzykład jakie 20.000 dukatów. Coś mu to nie posmakowało, nosem kręcił i odparł, że nikt tyle nie da. Widzę, że onby sobie tego życzył dla któregoś swojego kuzynka, i szuka także wierzycieli księcia Adama, żeby ich na siebie przejmować i tym sposobem interes ułatwić. Pewnie téj tranzakcyi nie opuści, bo to dla niego bardzo dobre; ale żeby mu znów na myśl nie przyszło przyłączyć tu interesu, który ma z hetmanem, bo to figlarz: nawarzyłby nam piwa, od którego wypicia trudno się wywinąć. Muszę gdzieindziej patrzeć i na niego się bardzo nie spuszczać, bo się lękam. Golizna wielka, a facyend mnóstwo: biegają o pieniądze jak kwestarze, a szlachta za worek trzyma gdyby głucha. Najwięcej mi psuje mój kochany starosta sokolnicki, bo przeszło 700,000 zaciąga na opłacenie swoich interesów i gdzie co zwąchają, to garną mi z przed nosa: już nawet niemało wody na swoje koło zwrócili. Głowa pęka jak człowiek pomyśli, zkąd tu będzie grosza dostać: trzeba się nawet spieszyć z Sierakowszczyzną, bo ze wszystkiém wyłapią co gdzie jest. Generał Radoński przybył tu z wiadomością, że książę generał podolski ma zjechać na Świętątki do Grodziska,

co teraz odebrali po wojewodzie sieradzkim, nas successorów oddaliwszy: ależ to nie koniec interesu, i odegramy się poczekawszy.

Komenda Kraszewskiego dokazuje coś bardzo po swojemu i miarkę przebięra, tak ją wolno trzyma pan generał i cugli popuszcza; miasta nie masz, żeby jakiego excessu nie zrobiono. Boli mnie, że ziemianów widzę narzekających, bo i manifesta nawet o wiolecyą od wojsk po grodach pozanosili; będzie pan hetman nosa krzywił jak go to dojdzie, a dojść musi, bo usłużni doniosą. Po całych województwach skupiają się pod pretextem cyganów szukania, a to wszystko na nic się nie zda, bo i cyganki nie złapią, a wrzasku tylko narobią.

Z nowych kordonów wielkie płacze i lamenta; dano surowy rozkaz przez samego króla pruskiego podpisany, który mi dziś przyniesiono z za kordonu i oczyma go własnemi czytałem, aby po 26 maja w Inowrocławiu wszyscy się stawili do uczynienia homagium i przysięgi na wierność, pod surową i extraordinaryjną karą, bez żadnej dilacyi. Muszą nieboraki stanąć choć się poskrobią; oglądali się bowiem jeszcze, czy co z za kordonu nie przyjdzie: gadano o manifeście N. Pana.

19 Maj. Był u mnie pan Kwilecki chorąży poznański, zacny obywatel a dobry myśliwy (psy ma jakich mało; mój Duman i Harakus ledwie się z niemi zrównują), towarzyszył wysmienity w kawalerskiej kompanii. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi; wie i on, że przez księżnę wojewodzicową u pana hetmana i ja coś mogę, więc w prośby, żebym mu dopomógł przez nich u Tyzenhauza. Jak tu odmówić poczciwemu człowiekowi i myśliwemu do tego? Już go raz ze wszystkiém utopionego hetmana na moje instancją w sprawie z panem Borchem wyciągnął ze dna, trzeba go i teraz salwować z téj kommissyi przez Tyzenhauza. Hetman to robi, że zasiądzie i osądzi jak się patrzy po Tyzenhauzowsku. Notandum, żebym o to do strażnika koronnego napisał, a zrobią dla mnie. Kwilecki powiada, że ma dziki u siebie; tylko się na nie zebrać i ruszyć, pewne.

Z tych uniwersałów, które wyszły, żeby obywatele nad Notecią mieszkający, na zalecenie zbierania się do przysięgi wcale nie zważali, bojemy się tu wszyscy, by jaka nowa do reszty kraju pretensya nie urosła. Z królem JMością pruskim niebardzo żartować, kiedy seryo się bierze. Musimy bardzo czuwać, żeby tu nie wszedł, ile że w całym Poznańskim dziesięciu ludzi



na obronę Rzeczypospolita nie ma. Własne domy musimy pilnować swoją czeladką, bo się tu wiele urwisów włóczy. Daj Boże, żeby się to tak przeciągnęło i dalej, a do téj pory choć strach, ale cicho.

20 Maj. (1775). Dosyć ze spoczynku mieć nie mogę: wstawaj panie generale nie na trąbę, ale na pozew przeciwko księżny Jój Mości. Sądzi się tu kommissya Mielżyńskiego z kredytorami jego, i odzyskuje co on miał u kogo. Plenipotent mi wczoraj powiada, że księżnę naszą o 1,000 dukatów pozywają *ex abrupto* od wojewody smoleńskiego należnych staroście kcyńskiemu, ojcu Mielżyńskiego. A tu od księżny nikt się nie pisze; już mieli pozywać, szczęściem natrafiłem w porę na to przybywszy do Poznania, i posłałiśmy natychmiast pò Zawadzkiego. Dość, że zawsze się coś musi wykluc na biędę moję, i bij głową sam, póki oni tam dowiedzą się i pokierują.

Święty Jan, jakbym go już miał, a tyle jeszcze do roboty! Bniński, rozumny ptasio, o gotowe pieniądze się dopomina, a ze wsi ustępować ani myśli: zapisu ani wexlu powąchać nawet nie chce. Takieto teraz czasy! nie to, co było. Zresztą i Raczynski téż grosze łapie jak może: przeszło 250,000 na kontraktta świętojańskie mu potrzeba. Nadzwyczajny traf może mnie chyba poratuje, że i swój miły grosz wycofam, i księżnie potrafię dogodzić.

Pan Bóg mi zesał tego Zarembe w gościnę, choć w myśli mi zrazu nie postało, żeby się na co mógł przydać, chyba do kieliszka. Siedliłmy luszytkować, choć mi głowa trzaskała z wielkiego frasunku o pieniądze: gadamy piąte przez dziesiąte o tém i o owém. Zgadało się i o Zakrzewskim, aż mój Zaremba wysliznie się: „toż mój szwagier.” Byłbym jako żywo nie wiedział że ma siostrę i szwagra, ale że to szlachcicowi pilno się z kolligacyą pochwalić, wypaplał mi i o jego dwóch krocjach. Nie dałem wcale poznać po sobie, jaka to dla mnie, pod te ciężkie czasy gratka, zasłyszć o pieniądzech.— „Zapewne już lokatę obmyślił” — powiadam dolewając. — „Szuka arędy albo zastawy, bo na świstek dać nie chce”—mówi Zaremba, a ja w domu.

Ja to sobie ponotowawszy i wyciągnąwszy z niój co można, zdaleka mu z moim Radlinem podjeżdżam. Ale i Zaremba kuty, dobrze już wiedział, co za niego Sieraszewski płacił. To wielka bięda, że dóbr mnóstwo i jest w czém wybierać; ale

Zakrzewskiego już będę się starał chwycić, *in vim* gotówki, choćby mu trochę się odstąpiło.

Z Radolińskim już teraz co innego: śpiewa nam inaczej. Jest w tém czyjaś robota, tylko nie wiem czyja. Zrazu miał się kontentować wexlem naszym i oddać nam summę u księcia Adama, a dziś i słuchać o tém nie chce. Powiada, że mu gotówką zapłacą, że generał Radoński najformalniej mu przyrzekł, że summę całkowitą odbierze. Przyjechał do Poznania, gadać nie chce, i na pieniądze swoje czeka, a mnie znowu fimfa. Książę generał upewnił księżnę inaczej, a tu przed samym świętym Janem kota ogonem przewrócili. Będę go jeszcze męczył kilka dni, może co wykuję na nim; ale mi Radoński wszystko popsuł, wyrwawszy się z pieniędzmi.

Dla tych facyend całkiem przyjdzie o brygadzie zapomnieć, że już nawet ani wiem, co się tam z nią dzieje. W interesie zleconym kasztelanowi poznańskiemu list posłałem. Widziałem się téż wczoraj z plenipotentem Mielżyńskiego pisarza koronnego, i powiadał mi, jak summę Czapskiego rozporządzili. Czapskiemu procent roczny zapłacili, summę zaś dali Mycielskiemu staroście osińskiemu, na dobra Dłuńskie i Krzekołowickie, podobno czy nie 500,000. Powiedział mi plenipotent, że zbędzie jeszcze 300,000; prosiłem go, żeby ją dla interesów księżny chciał zatrzymać. Miał jechać do kasztelana poznańskiego i rozmówić się z nim, bo Mielżyńskiego samego niemasz teraz w Prusach, z powodu śmierci Czapskiego, ojca żony.

Z tym téż Radlinem to mnie Pan Bóg pokarał! Był szambelan Chłapowski w Poznaniu; chciałem u niego na te dobra 250,000 wziąć, a wiem że miał 190; ale mi podziękował, dodając, że książę wojewoda smoleński za 250,000 Radlin chciał sprzedawać. Widzę że nadto żądając, nic nie zrobimy; dóbr jest mnóstwo, a pieniądze się gdzieś po kieszeniach zaszyły, ani ich widać. Cała jeszcze nadzieja na rotmistrzu Zakrzewskim, którego przez Zarembę chcę wciągnąć, bo z Zarembą musiałem się pokumać dla tych szwagrowskich 200,000, że mnie onegdaj spoił szkaradnie. Ale czego to człowiek nie zrobi, mając interes na karku! Jużbym się z lichem i pobił dla tych nieszczęsných pieniędzy.

Księżna jako księżna: myśli, że jój tu Raczyński i kasztelan poznański pomogą; a mnie się coś zdaje, że kiedy nie ja, to chyba nikt, bo te dwa prałaty i swoich interesów dosyć mają,



nie żeby o cudzych myśleli. Muszę jechać do Kalisza za temi przekłętymi dukatami, które się gdzieś w ziemię pochowały, ale wprzód wymęcę Radolińskiego, zali co nie zrobię z nim. Wielką ciekawość i niespokój sprawia uniwersał, żeby świeżo zakordonowani nie przysięgali. Podobno im niewiele pomoże: przycisną, i każdy stawić się będzie musiał.

A bodaj tego strażnika, że mi jeszcze każe apteczkę kondeńską przewidować, gdy tyle mam na głowie: jakby Zawadzkiego na to nie mieli! Jeszcze im i pieprzu sprowadzaj!

23 Maj. Co bliżej, to straszniej wygląda ten święty Jan; nie wiem czy się którego świętego tak ludzie obawiają, jak tego. Musiałem do Trzebnicy gnać znowu, aż mi już kości bołą, a jak pomyślę o brygadzie co się tam z nią dzieje, ciarki po mnie przechodzą. Ale to nieprzelewki: trzeba Jój Mości służyć, jakby się samemu panu hetmanowi służyło. Radolińskiego jakoś przecie ukolysałem: już się niby skłania, ale z tą kondycją, żeby Krzyżanowscy, którzy w tój summie całkowitej mają swoich 90,000 i o nie sprocesowali, zgodzili się także na to. Powinien był to pan kasztelan poznański wyrobić, bo tych Krzyżanowskich w garści ma; prosiłem go o to wczoraj: przez zęby przecedził, że im o tój powie. Mowa mowie nie równa. Więcej w tym roku podobno dla nas nie robi, jeśli i to raczy; trzeba swoich pleców nadstawić, a na niego się już nie szpuszczać.

Na Radlin muszę trzymać rotmistrza Zakrzewskiego, albo Wągrowskiego; jest i kilku innych, prawda, ale to golizna, a nam nietyle człowieka, co groszy potrzeba. Gwałtu groszy! Dwa Kęszyccy mają gotówki przeszło 300,000, ale głowy przewrotne; zdaje im się, że cały świat u nich w kieszeni: nie przywykli widać do pieniędzy. Dóbr do nabycia dosyć, przez to tacy hardzi. Wczoraj pisarz koronny Małachowski podał do kancelaryi dobra Marownickie za 20,000 dukatów, i zaraz tam slysze Kęszyccy już biegali. Na Sierakowszczyznę mam dzierzawcę jednego na całą, ale muszę przed nim lgać i powiadać, że te dobra nie przez tradycją się odbierają, ale przez prawo nam do nich służące, *alias* kontrakt zastawny; inaczejby nie chcieli.

Generał Radoński jakby na przekór mi chodzi wszędzie, i roznosi to, że książę generał wszystkim wypłacać będzie, i mnie przez to psuje interes. Ma u pana generała stolnikowa Rydzyńska: może też jeszcze u niej da się wyrobić, że na księżnę przystanie. Muszę biedz za Radońskim do Wschowy i przydusić

go, żeby daremnie nie paplał o tych wypłatach; niech się prosi do przyszłego roku, a w takim razie łatwiej mi będzie namówić, żeby na księżnę przystali. Chyba już Pan Bóg nie taskaw, żeby tego nie wydusił na nim: pocóż mi ma dobrowolnie szkodzić? Dość już księżę generał zalał nam za skórę i poplątał nasze interesa, odbierając Grodzisk i Opalenicę po wojewodzie sieradzkim, choć nas to na przyszłość nie zatrzyma wcale. Byle wojewodzina, mająca dożywocie, dzisiaj umarła, my w swój własności będziemy niebawem. My to wiemy, że on pan, a my nie tacy; ale ile nas stanie, krzywdy przynajmniej zrobić sobie nie damy, choć trybunałami nie trzęsiem. Ja już od wszystkich suksessorów mam wadyalną plenipotencyą: muszę tedy tę biędę oganiać. Jeżeli chodzi o zapis na tych dobrach, postarają się suksessorowie oddać go choćby dziś; ale tak jak to widzę zakrojono, udać się nie może. Myślę, że to wszystko wyniknąć musiało za walną radą Szczanieckiego podkoniuszego koronnego, bo mu opalińskie lasy pod bokiem i bardzo do smaku; zobaczymy jak się skończy.

Chwalić Boga choć za spokój, którego używamy, najmniej się go spodziewając; hetman powoli przysła regimenta.

W Kościanie trzy chorągwie regimentu dragonii księcia wojewody gnieźnieńskiego rozkwaterowano. Trzebaby bliżej nowój granicy się posunąć, żeby tych werbarzy odepchnąć, a tu komenda o mil cztery od kordonu: placu dosyć mają do swawoli. We Wschowie, w Lesznie, i wszędzie, na zabój sobie do Prusaka werbują *impune*; a nam i tak ludzi brak. Dla téj brygady, kordonu i interesów, już do wód jechać ani myśleć, choćby tam jak piękne oczki wabiły, a wiele się tam ich musiało pościągać. Nie nam to do téj szczęśliwój wody dostąpić.

Był u mnie pan Mycielski starosta osiński, z żalem do księżny, i ma słusność; albo nie obiecywać, albo dotrzymać trzeba. Księżna mu przyrzekła order wyrobić, na co i ja świadkiem, a dotąd nie ma nic. Muszę strażnikowi przypomnieć. Z Lublina od pana Antoniego Jezierskiego znowu skrypt mam, w interesie niejakiego pana Bądyńskiego podstolego mielnickiego, któremu podsędek łukowski piwa nawarzył. Odesłali go w sprawie żony do ziemstwa łukowskiego, którego skład taki, że przegrać musi, bo sędzia, wuj rodzony strony przeciwnój, podsędek i kooperator całej sprawy, wuj cioteczny, a jemu najnie-nawistniejszy, cohy go w łyżce wody utopił; pisarz ni kropli



sensu, słaby na umyśle i takż wujaszek *aparentialiler* zasiadający, z którym tamci co chcą czynią. Interes *non minoris super tantine*; trzeba się starać, żeby *sancitum* do ziemstwa łukowskiego skasowane było, bo to czysta opresya.

JWPan Grątkowski, mający summę 4,000 na Sławuszewie, uczynił wpis w rejestrze sandomirskim przeciwko podczaszemu litewskiemu i innym dóbr Sławuszewa dziedzicom. Rejestr województwa sandomirskiego już się sądzi: dokumentów Jezierski nie ma, osobliwie dekretu trybunalskiego i aktu kondescensyi: trzeba żeby ich co najrychlej poszukali w archiwach, inaczé Jezierski nie da temu rady.

5 Junii. Albo co z tego będzie, albo i nie, a spróbować nie zawadzi: hetman i księżna życzą sobie obywateli przyjaznych nam mnóstwo, ale nie taję, że i przeciwników dosyć się znajdzie. Obiecują, zaklinają się; posyłam, jeżdżę, a resztę i na los zdać potrzeba. Powrót kasztelana poznańskiego i innych wiele mnie nauczył o mojej osobie; jeden staruszek powiadał, że się wiele kłócił o mnie, bo wszyscy pretendują spychać mnie z tego poselstwa; dawano różne plany jak to zrobić, bo wiedzą, że siła się znajdzie za mną. Między inszemi była i ta propozycja, żeby mnie wyjeżdżającego z domu zatrzymać i na sejmiki nie puścić. Mówił mi jednak, że się tego nie podejmowano, ale są jakoby inni panowie, którzy się starają przeciwko mnie szczerze i gotowi bardzo forsować. A kiedy tak, to i we mnie téż krew nie woda: muszę na swoim postawić, i zobaczymy, czyje będzie na wierzchu. Pytają mnie posłańcy, gdzie się będę na posła forytował; ale zjedzą licha, żebym się im z tego wcześniej wypowiedział. Odpowiadam: tam, gdzie przyjadę.

Forsy téż straszne; dukatami sypią jak z rękawa, byle swoich utrzymać a cudzych nie dopuścić: każdy partyą ma. Pytałem się generała Goltza i obligowałem go, żeby mi szczerze powiedział, czy będą we Wschowie forsowane sejmiki; mówił, iż pewnie będą. Chciałem mu nastreczyć z naszej partyi Boleszę albo Przyjemskiego, ale się wyexkuzował, że dał już formalne słowo Raczyńskiemu kasztelanowi poznańskiemu, iż utrzyma kogo oni będą forytowali. Już ja tedy wiem przez moich konfidentów na kogo ci panowie kroją; ani chybi na miecznika Krzyżanowskiego, dzierżawcę, kasztelana poznańskiego. Co dziwniejsza, generał Radoński starał się dla siebie, żeby go ze Wschowy obrali, i jak wiem pewnie, mówił o tém z kasztelanem,

obligując, aby mu był choć tu przyjacielem; ale respons otrzymał, że Waćpan postem być nie możesz, bo go nie dopuszczymy. Sam Radoński o tém mi powiadał; ale on mnie dba o funkcją. Wszystkich przenamawiają; nie wiem tylko, co im tam dalej obiecywać mogą. Staroście nakielskiemu przyrzekli, że Łubieńskiego i Rogalińskiego, jednego z Gniezna, drugiego z Kcyni utrzymają. Przeciwno mnie bij zabij, ale pocichu. Wiem tylko że rozpowiadają, jakoby Najjaśniejszy Pan był rozgniewany, że we mnie poznał najniewdzięczniejsze stworzenie, iż usiłuje nawet z komendy mnie wyrzucić, a Kraszewskiego napowrót utrzymać; że JMP. Sztackel... za piérwszy i główny interes w Wielkójpolsce postanowił, aby mnie tu żadną miarą do poselstwa nie dopuszczać. Takie tedy wieści noszą się generalnie: mam to od wielu bardzo obywateli, którzy są dobrze ze mną i dalibóg nie chybią. Przeciwno takim nieprzyjaciołom ciężka sprawa bardzo; ale od czegoż głowa na karku? Czy dla wilka w las nie iść? Zwąchali już i to widzę, boć nietrudno było, że chcę w Kościanie być postem: więc Mycielskich przenamawiają, żeby starostę konińskiego zrobić w Kościanie, żeby mu dwaj bracia jego dopomagali, żeby wszyscy trzej przyjaciół sobie zawczasu robili, a mnie nie dopuszczali. To tóż widzę i z okna, jak się za tém suwają, a udają, jakobym nic nie rozumiał. Będę w domu siedział jak zajac pod miedzą, a ani się spodziewa, jakiego im jednak figla wyrządę. Zostałem jak palec, i żeby nie mój kochany Bniński starosta sokolnicki, który mi się dosyć przyjacielem okazuje, toby już za mną nikt nie chodził; my jeno dwaj pocichu dreptamy.

Przyjemski, Zarembowie, Nieświatowski, Radoński, powoli sobie suwają nie spiesząc; radziby może coś, ale najlepiej do gotowego sięść, bez starunku żadnego. Tu tylko zmówieni expensy nie żałują, bo to widzialna. Kasztelan poznański ma być w Kaliszu, i powiada, że tak z Sieraczewskim stanął, że będzie postem Zwierzchlejski i Skórzewski. Była onegdajszego dnia elekcyja subdelegata sędziego ziemskiego poznańskiego: wiedziałem co się święci. Zakrzewski niebardzo się napierał; nadmuchi go i utrzymali, żeby potém familia Zakrzewskich podpie-rała za to Kąszyckiego starostę mosińskiego, całkiem nowego człowieka.

Już mnie dochodzą słuchy, bo się z tém wcale nie tają, że jak przyjdzie do wotów, gotowi się na sejmikach egzamino-



wać, czy wszyscy wotujący possesyonaci, czy istotnie z tych województw, a naostatek nawet jeśli też potrzebne lata mają!! To tylko nie polityka z ich strony, że się z niczem nie tają: słyszy kto, i nie chce, nie myśli podsłuchiwać, wszystko zawczasu rozpaplą. Raczyński ex-pisarz, ostrożniejszy nieco; ale co pan kasztelan poznański, to aż nadto popularny do gawędy.

Poznaję ja to, co to jest zazdrość bezrozumna, a zazdroszą mi tego, co dla mnie niespokojem życia i jawnym tylko bez korzyści kłopotem. Niech się z ichmościów który podejmie tój pracy około brygady, co im tak sołą w oku. Byle pocziwie wykonywał jak żołnierzowi należy, a bez uciemienia obywateli i bez darcia skarbu koronnego, ja ustąpię z miłą ochotą i pójdę siać, żąć i polować swobodny. Nigdy interesowany nie byłem: dość mi być pocziwym człowiekiem. To tylko bięda, że w tym nieszczęśliwym kraju z pocziwą sławą utrzymać się trudno. Zaraz wrzucą na człowieka zły charakter i uczynią niewdzięcznikiem. Niewinnie tedy udany, cierpię żal niemący, najwięcej z tego, że to w tych województwach mnie prześladują. Podłość niepojęta!

Onegdajszego dnia przystroili w order starostę gnieźnieńskiego, Miaskowskiego. Jezeliż to nie wyraźna zabawka? Byle tylko pokazali, ot co my możemy! Ale się pocichu sami z niego śmieją. Tak mnie powoli obmierza staranność o to poselstwo, że gdyby nie jakiś punkt honoru, wyrzekłbym się go, a z niémi i nadziei być kiedykolwiek czéms w Polsce. Ale muszę im przecie pokazać aby raz, com za jeden, że mnie niegodnie szkalują. Piszę tój poczty do pana Ogródzkiego w wyrazach żalu, jakiego z powodu tego doświadczam; ciekawy jestem jego responsu.

Bóg mi znowu zdarzył korrespondentów jakichś nieproszonych, że do mnie pisują *sub ignoto nomine*, cudzej może ręki i pieczętki zażywając, dość, że nie wiem kto. Przysłano mi 30 egzemplarzy listów obywatelskich do wszystkich Rzplitéj stanów. W liście do mnie bardzo chwali osobę moję korrespondent, a djabeł go wie, czy nie sam gdzieindziej oczernił.

Dowiedziałem się dziś jeszcze o jednéj sztuczce: namówiono dwóch ichmościów, żeby mnie o summy pozwali do Wschowy. Zjedzą licha, przepuszczę dekret *solutionis* i zapłacę, choćby duszę i ciało zastawić przyszło. Strażnik koronny musi wyrobić u księżny, że mi w tém wygodzi; zresztą choćby się i sfantować i zastawić i u żyda wziąć.

General Witte raportuje z Kamieńca Podolskiego JW. hetmanowi pod dniem 20 maja, iż tam wszystko spokojnie; od granic tureckich i kordonu austriackiego dotąd cicho. Miał tylko list od paszy chocimskiego przez doktora, który przyjechał do Kamieńca dla spowiedzi i zaopatrzenia się w medykamenta, w którym nic ciekawego. Doktor uczynił relacją, że na fundamencie traktatu z Rossyą i Turkami, zawartego przy Pharos Insule, będąca jeszcze flota rossyjska okręt naładowawszy białym marmurem, do Sambułu na cerkiew tam budować się mającą spuścić chciała, lecz gdy pospólstwo stambulskie wzruszyło się o to, tymczasem okręt ten zatrzymany.

JMPan Jeleński starosta mozyrski uskarżał się na unter-officera Przysieckiego, z dwoma żołnierzami wykomenderowanego w Ukrainę ku Polesiowi, że tam ważne excessa miał poczynić.

Ten Przysiecki, z regimentu pieszego buławy wielkiej koronnej, wyprawiony był z instrukcją na piśmie od komendanta regimentu, i zdawał się człowiek trzeźwy i stateczny. Jednakże bojąc się, żeby nadokazowawszy nie uciekł, wysłano za nim z polecenia majora Lindsay oficera na miejsce dla indagacji i przyprowadzenia go z rekrutami do Kamieńca.

20 junii. W samą porę święty Jan mi przypadł! Radbym się bardzo zbyć kłopotu i zdać interesa na strażnika, żeby swoich pilnować, a ten nie przyjeżdża. Posłałem dać mu znać do Kozmina, żeby do mnie do Poznania przybywał i na Wrocławskiej ulicy u Piotrowicza mnie szukał; ale go dotąd nie widać, a ja tu już nie podolał sam. Konkurentów do pieniędzy moc się zjechała: grosza ze świecą szukać. Kęszycki mi się wymknął; kupił Ptaszków. Radlin trzeba nie cały w jedną rękę, ale folwarkami zastawiać i przepożyczać od zastawników, jeśli się tylko ochotnicy znajdują. Wojewoda poznański gdzie co było, wszystkich do siebie podwracał i okrutnie mi szkodzi: suną się do niego jak na lep i robią z nim tranzakcyę.

Z Zakrzewskim na niczém; a to bięda niesłychana, jakby się co na mnie tego roku uwzięło! . . . . (kilka kart braknie).

. . . . . Bodaj przepadła ta sprawa Glazerowska i kommissya na której zasiadać muszę. Pojechałbym choć na czas wysapać się do Alt-Wasser z panem strażnikiem, a tu za poły trzymają, siedź! Raczyńskiego się boją, więc po mnie; molestują żebym przyjechał, i muszę być. Pojadę w środę na noc



do Marszewa, byleby tam dopiero zjechał na samą inkwizycją, żeby na świadki przysiadł; tymczasem zapoluje sobie i rozerwe się, bom już tego wart. Na biędę mi i moje faworytalną muzykę odbierają; muszę ich pozwolić na ślub córki starosty nakielskiego, choć radbym się z téj powolności wykręcił, bo mi ich pomęczą, a wyższy widocznie już chory na piersi, więc mogą go djabli wziąć. Broń Boże na niego czego, już sobie takiego klarncisty nie dobiore.

Chciałoby się duszy do nieba, a grzechy nie puszczają; i do Alt-Wasser strażnik mnie ciągnie i do Warszawy wołają, a tu ani się ruszyć, tyle pilnych rzeczy na mojej głowie. Markotno mi, że takie głupie plotki na naszą księżną rozsiewają; o małym z wojewodą brzeskim nie przemówił się gorąco. Kilka razy już musiał porządnie się o to skłócić, i dałem im do zrozumienia, że na te potwarze nie pozwolę. Teraz już przecie ostróźniejszy z językiem. Powieść jest taka, jakoby Rzewuski, czy kto tam inny, nie wiem, miał Najjaśniejszego Pana do tego przywieść, żeby naszemu poczciwemu Kurdwanowskiemu komendę pułku ułanów królewskich odebrał, i miało to już jakoby nastąpić. *Tandem* opowiadają, że księżna o tém się dowiedziawszy, miała usilnie za nim interesować się do króla; pojechała do zamku raz i nie była nawet wpuszczona; pojechała drugi, i trzy razy niby jeździć miała do drzwi zamkniętych, aż z téj zgryzoty wpadła w chorobę. Co to za niepoczciwe języki! Już mnie taka chwyciła passya, że wiele grubizny powiedział, zwłaszcza gdy ten i ów choć pocichu, poczęli się odzywać z przewiskiem, które sobie na księżną skomponowali, zowiąc ją matką ojczyzny. Niech mi jeszcze kto bąknie, to albo go porąbię, albo wypłazuję, albo mi odszczekiwać będzie musiał.

. . . . . Chwała Bogu, kommissya moja zalimitowana do 4 marca; tymczasem odetchnę i kości téż odpoczną, bom ich w tych kilku tygodniach nie szczędził. Cały przeszły polowałem na zabój, i tylko zem się w ostatku sam nie upolował, bo w rów ze szkapą moją zwałifem się okrutnie i przeziąblem w wodzie, w którą wpadłem; alem dwóch jeleni ubił i do mniejszój zwierzyny napukałem się do syta. Wieczorami moi klarnciści przygrywali, że się trochę i o biędzie zapominało, bo kompania była ochocza, ludzie do serca, a przynajmniej do kieliszka. Dziś powracam z wesela córki starosty nakielskiego; odbyło się *soleniter*, choć doprawdy i śmiechu było dosyć krom uciechy, bo

i tu dwie partye występowały, jak to na świecie wszędzie. Jedna partya chciała, żeby się to odbywało po staroświecku i po staropolsku, zatém z mowami, z oddawaniem w łożnicy, z marcepanami i upominkami, z dziękowaniem i wszystkim obrzędem; druga z francuzka, chciała jakoś kuso a modnie wystąpić, bez tych zastarzanych ceregielów...

A że starzy byli za starym obyczajem, a starych menażować potrzeba, bo na szkatułkach siedzą; młodszy jak w ukropie kręcili się żeby ich nie obrazić, a swoje zrobić, bo im te oracye śmierdzą. Co chwila więc lukta, prośby, i już ułożone oferty chowają radzi nie radzi do kieszeni; ledwie jeden zamilkł, choć się skwasił, drugi występuje z wymową, i nuż tamować drugiego. Zakrzewski mało się nie zjadł, i chciał za oracyą, którą zkądś wypisawszy adornował po swojemu, aż do korda się wziąć. Słowem, żem się dobrze w duchu uśmieł z wojny domowej o te ceremoniały, bo doprawdy było z czego za boki się trzymać, gdyby humor i nie respekt. To pewna, że niedobry to znak, kiedy ludzie na wyprzedki staremi poważnemi zwyczajami rzucają. Ma swoje zaletę i nowość z przyjemności, ale dla niej zapierać się swojego odwiecznego, jakoś to lekkomyślnie i nic dobrego nie wróży. Gdy się już ceremonie odbyły (bo i o koronę panny-młodej, którą na wianeczek skromny zamienili, był żywy spór) dopięroż do tańca. Tu znowu naszych podgolonych czupryu z perukami i świniemi ogonkami téj francuzczyzny pogodzić ani sposób: graj im stare, tym nowe menuety, ażem ja wzięwszy pod moję komendę klarncistów, kompromissem pogodził, mieli wszyscy zadość.

Pijatyka na uboczu była wielka, ale wino lura dla rzeczypospolitėj; wybranym tylko lepszego dolewali.

9bris. Przyjechawszy do Kościana, wyprawiam do Wrocławia JW Pana Felixa Zawadzkiego po sukna i baje, które powinny być dotychczas gotowe. Sam harować muszę za interesami księżny Jój Mości; żeby jój gorliwość moję okazać, posłę teraz nowy projekt propinacyi, inkludując w to i czopowe generalne. Reskrypt mi przecie na usilne domagania się przysłano chwała Bogu, za co strażnikowi należy się odemnie podziękowanie, bo go wyrobił; pod te czasy miałem go tutaj w Koźminie, i siła się nagadaliśmy. Książę generał Sułkowski do 12 septembris także tu bawił, i na sessyą kommissyi wojskowej na 15 septembra powrócił, gdzie dowiedziawszy się od pana Wo-



dzińskiego o powrocie księcia z za granicy, zaraz go listem powitał. W Lubomblu było dosyć w oktobrzu, słyszę, gości, i strażnik siedział i wojewoda kijowski po dwakroć zjeżdżał. B... wszedł w delegacyą, żeby się Najjaśniejszemu Panu za łaski jego wysłużyć; wybrano Szembeka, aby się starał o uwolnienie dóbr Branickich i przywrócenie starostwa kasztelanowej Br. Proponował syn pani kasztelanowej, żeby na rezydencyą do Lwowa do klasztoru się przeniosła; ale tego nie życzy, i w Osieku ma zamieszkać, jak słyszę. Pana Sobeckiego, że z niego expensy wiele a korzyści mało, kasztelanowa synowi odesłała, o co trochę był markotny.

Jest tu wieść na pograniczu, że król pruski miał umrzeć, ale ja temu nie wierzę: tacy ludzie nie umierają: nikt nie doczeka, żeby to prawda być miała. O prezentach od Najjaśniejszej cesarzowej chodzą też posłuchy, ale potwierdzenia potrzebujące. Dziwne ztąd formują malekwencye, wojny się rychło spodziewając; nawet na oporzędzenie zielono regimentów dragonii mówią, że to oznaczać ma połączenie się nasze z cesarzową, przeciwko którejś potencji.

Słyszę, że pan Józef był w Rogalinie: *sapienti sat*, a nie wierzyłem jakoś; za coż się nie miał spytać o zdrowie powróconej od wód koleżanki? Szykowniej to niżeli przez bilety, które często, lecz gdzie ich nie posyłają. Wcześniej zapewne przyszłoroczną uprojektują sobie kuracyą, bo te wody podobno mają to do siebie, że powtarzania potrzebują i wesołości. A zatem kompanią się trzymają, żeby się wzajem rozweselali.

Raczyński jedzie do Warszawy, niby na kommissyą Korytowskiego, ale widzieli się z sobą; musi to być co innego, potrzeba mieć pilne oko.

NB. Gutemberg na ziemstwie poznańskim kilka dekretów *solutionis* przepuścił różnym; trzeba się też mieć na ostrożności, aby *incognito*, tradycyi sobie kto nie wyrobił i figla nie spletał. Wszystko to podobne.

Z interesów księżny naszej z komornikiem Chmielewskim, nic widzę nie będzie. Już te 3,000 dukatów tak jak w kieszeni miałem, ale cóż? Pisarz koronny przysłał po niego, siódmi od sta obiecał i odmówił nam szlachcica. Pieniądze jeszcze są, ale już nie dla nas: kat go bierz!

12 Januar. 1776. Dobilem się jakoś do Kalisza po diabelskiej drodze, com ją i konno i wozowo odbywał, a w części

i pieszo po apostolsku. Śliczne tu zastałem rozrządzenie komendy! Musiałem z osobna każdego towarzysza i pocztowego spisywać, gdyż dawniej nie było żadnej listy ani protokołu, a ludzi jest dosyć, tylko porządku brak. Co gorzej, że to wszystko gołe i bosc jak święci tureccy: nawet katanek nie mają. Konie *genera-liter* wszystkie kaleki i okrutne harhary, takie, że ledwie z Kalisza wyjdą, na drodze to gdzieś pozdycha! Kasować niepodobienstwo, bo ich muszę utrzymać, żebym miał przecie czém komenderować; jakby przyszło brak robić, zostałbym się sam jeden na bułanym. Teraz przyjmuję na nowo wachmistrzów i unteroficerów; ale ci jeszcze pieszo mi będą robić służbę, bo koni nie ma i pieniędzy na nich *ditto*. Pieniądze, które mi dał pan Goltz, wszystkie poszły na zapłacenie lenungu; nawet na zadatek na sukno nie pozostało. Poślę też hetmanowi registra co która chorągiew wzięła, niech się sam przekona. O sobie nie mam potrzeby pisać: zrobią to inni, gotowi zawsze przyjaciele, którzy do ucha przyniosą co było, i o czém się nie śniło. Musiałem się niemało napocić z wypłatą; przy niej niemal unteroficerską służbę samem pełnił. Każdegom człowieka zapytał co który wziął i co się komu należy, a swojej mizernej pensyi z kasy nie ruszyłem nawet i szeląga. Bo też w kassie widzi mi się pająki przędą, i z własnej kieszeni ciągle forszusować muszę. Jeśli mi kommissya wojskowa nie odda pieniędzy i nie dostarczy co potrzeba, żadnym sposobem komendy w porządku utrzymać nie potrafię. Komplet towarzystwa będzie, bo z dawnego dużo się meldują do chorągwi. Chwalić Boga przynajmniej, że od tego czasu jakem komendę objął, skarg już żadnych nie słyhać jak przedtém bywały, przez ciąg czynionych różnych marszów i rozkwaterowywania, i owszem taka skromność jak być powinna. Dufam sobie, że utrzymam Ichmościów jak się należy w rygorze: krzywdy zrobić nie dam i najmniejszemu. Ale dla mnie nowy i wielki ciężar, bo na nikogo po staremu spuścić się nie mogę, a sam w każdej najmniejszej okoliczności zaradzać muszę. Tę jednak pracę tём sobie słodzę, że mi to i sumienie nakazuje, i taka wyraźna wola pana hetmana.

Gorzej mi jeszcze z dobraniem posłów do naszej partyi, bo ich, jakich potrzeba, nie łatwo napytać. Jeden Zakrzewski sędzia brzeski-kujawski, mocno w tych województwach stojący, a z nim podczaszy Rybiński, zarzekli mi się pocziwością, że bylebym był z niemi, posłami zostaną, i dobiorą dwóch ze swo-



jój ręki gotowych na rozkazanie hetmana. Trzeba ich tylko ugłaskać obietnicami łaski i na pewno się z nimi umówić. bo nie są od tego oba i słowo ich mam. Sami się boją, ale ze mną pójdą. Z Łęczyckiego dobierze się czterech towarzyszków, których tam wyforytujemy; między niemi i Dunina. Jego weźmę na pomocnika w tamtych stronach, bo ma i głowę i gębę, i w Łęczyckiem on pleczysty. W Wielkiej Polsce trudniej, bo przeciwko nam już roboty wielkie zawczasu, i grosza nie żałują; ale byłem tylko rozłożył komendę i przeprowadził ją, to i tam zdaje się rady damy, a nie powstydzę się mojej roboty.

To wielka bięda że goło: i wojsku i polityce mojej zdałyby się dukaty, których nie słyhać i nie widać. Komendę koniecznie potrzeba okryć, choćby dla wstydu, żeby plecami nie wstydzili, a co niemniej trudna, to, że i futerarze teraz bardzo nietatwe, bo nikt nie chce sprzedać, a rossyjscy wszędzie kupują przed nami. Nie wiem, czy pomoże co list hetmański do starostów i kapituł, proszący, żeby za pieniądze futerarzów mieć można, ceną przynajmniej nie taką jak za granicą płacą, bo niepodobnaby jój naszym workiem wystarczyć. Ja dotąd kupuję owies korzec warszawski po złotych 4; ale już chcą po 6, a tu futerarze nie wystarczają. Utrzymuję jak mogę, żeby wszystko co biorą płacili regularnie, ale konie licho jadają, a lubo niewiele warte, ale głodne jak najlepsze. Żebyć mi choć pieniądze assygnowali, żebym ich nie szukał. Teraz tylko z samych dilat coś kapnie i kwestować muszę, a te egzekucyje przyjaciół mi nie zrobią.

Drą mnie panowie bracia za to na futerarzach, a ja im chcę pokazać, że się na mnie poskarżyć nie będą mogli; a ktoby chciał, ze skargą dobrze się nagotować musi, bo komendzie mojej nikt nie dowiedzie, żeby co wykroczyła. Excessu żadnego nie masz: żołnierze jak panienki.

Patrole ustawicznie chodzą i powinny koniecznie, bo werbarze pruscy co chwila wpadają, a obywatele dają coraz znać o nich; muszę ich osłaniać ile możności, żeby nam najlepszych ludzi z przed nosa nie brali. Wczorajszego dnia ledwo odratowałem człowieka, co go byli od żony i dzieci upoiwszy odbili i już wiedli z werbunkiem. Patrol idący napędził ich, rozpięchli się, a tego nieboraka rzucili, który gdy się wytrzeźwił, to mi do nóg padał dziękując. Ot tobie z *masłem kurku*. Jeszcze mu się para talarów została na pocięgę po wielkim stra-

chu, ale od granicy zmykać musi na czas, boby go może znów już jak swego napadli.

Za JMPanem Wojną, namiestnikiem chorągwi rotmistrzostwa JMP. podczaszego litewskiego *iterum* pisać muszę, bo mu sprawiedliwości odmawiają; dlatego, że nie wiem tam jak Dąbrowski i tego w podanej likwidacyi opuścił, a należy mu się przeszło dwa tysiące, których ja nie mam z czego postąpić. Mogliby go odesłać do summy, którą Kraszewski kommissyi oddał. I o chorągwo ustąpione Wojnie pisać trzeba, a to pisanie to także wielka robota, gdy cudzej ręki nie ma, którąby się wyręczyć.

.....Dowiaduję się z listu Wilczyńskiego, że hetman i strażnik powrócili.

Br. pono do Petersburga wyjeżdża. Daj Boże, by mu się tak udało jak przeszłego roku w Moskwie, że go tam przyjmowali wszędzie jak najlepij. Nawet Cesarzowa Jójmość darowała mu tabakierę kosztowną ze swoim portretem brylantami obsadzonym, jaki słyszę za jój panowania żaden obcy nie otrzymał; albo i to nie miała rzecz, że mu broni na 30,000 ludzi darowała. Za jegoto wówczas instancją kazano ustąpić Glebowi, Szerkowi i Szczerbatowi, a że Stackelberg tego chciał tylko, to się Romansów został, bo podobno i król sam sobie tego życzył. Byli tam naówczas w Moskwie jednego czasu z księciem generałem. i bardzo się poprzyjaźnili, a jak powracał, to całe województwa prawie wyjeżdżały przeciwko niemu. Wiém to z dobrego źródła, że się wówczas umysły bardzo na zgodę nakłaniać poczynaly, a Br... wiele ubolewał, że potem podrażniła i popsula wszystko sprawa księcia Marcina Lubomirskiego. Słyszę traktują z panem krakowskim o Białocerkiewszczyznę dla Br... Żeby się zgodził lub arendą lub dożywociem, aby dalej tych dóbr nie rujnowano.

Br... ofiarował się, jak mi pisze strażnik, 50,000 dać wyżej, niżeli dają oficyaliści, i użył do tego wojewody kaliskiego, któremu przez księżnę nawet porządne rebochem przyrzekł.

Spodziewam się, że pan hetman z téj brygady mieć będzie satysfakcyą, bo będzie wcale piękna i postawna. Téj pracy koło niej tylko mi dlatego żal, że nie masz tu świadka, jak szczerze i do potu pracuję. Jeszcze od czasu jak mi się tu wyjechać dostało, trzech dni nie było, żebym zabawił na miejscu. Towa-



rzystwo się garnie do mnie, ludzie piękni, zacni, lepszy. Byli i tacy, którychem odpędził, bo o jednej szkapie, ubogi, to mi nic po tém. Azustować się będą o ile możności, jak tylko hetman każe. Widać mi się, że w tych dniach wypadnie wykomenderować towarzysza, wachmistrza i dwóch pocztowych ubranych wedle nowój inwencji mojej, jak się téż podobają. Zobaczą, że to u mnie całé inaczéj jak bywało, a choćby w maju przyszło się pokazać, będzie jakkolwiek i bez wstydu. Na sejm jeśli mi każą jaki szwadron przystawić do Warszawy, w niczém nikt nie potrafi naganić. Ale co praca, to Bóg tylko jeden wie jak srodze ciężka: cała pociecha, że to dla pana hetmana. Sam do uznojenia codzién muszę się nachodzić i nagadać, opatrując rekrutów, których dobieram wysokich, pięknych, młodych i lekkich, a płyną mi niemal codzién nowi, i starych muszę absztutować choćby nie chcieli.

W tych dniach byłem u pana kasztelana (poznńskiego) i wiele z nim mówiłem o interesie sejmikowym. Zdaje mi się, że hetmanowi dobrze życzy; pokazywał mi, że przed wyjazdem posła do Moskwy pisał do niego, dopominając się przyjaźni zawsze mianéj dla siebie; ale mu kasztelan odpisał, okazując wielki repentymént. Z Raczynskim dotąd nigdzie spotkać się nie umiem, jakbym ja przed nim, albo on uciekał przedemną. Jutro słyszę jedzie do Poznania; muszę i ja tam być, to go ułapię.

Do Zakrzewskiego sędziego brzeskiego trzeba mi pisać znowu, bo mi się tu *militaria*, cywilne sprawy i polityka tak zmieszały, że się poczynam obawiać, abym tych Zakrzewskich nie stracił, i żeby nam figla na kujawskich sejmikach nie zrobili. Nie w porę bo téż Byszewski wystąpił do Zakrzewskiego rotmistrza z ordynansem, żeby u chorągwi siedział, w której wszystkiego osiemnastu ma ludzi, groząc jeśli się absentował, to go odsądzą. Zwąchał Zakrzewski resentyment jakiś, i już słyszę głosi, że to za to, iż nam na święty Jan pieniędzy nie dał. Ale Zakrzewscy potrzebni po województwach: trzeba kota ogonem obrócić i dać mu urlop. Jak sam podziękuje, to nam pobuntuje familią całą, i sejmiki przepadną: będą wszystko na przekór forsować.

Jak pracuje, to aż mi zdrowia szkoda, a w dodatku worek trzeszczy; gdyby nie polowanie i nie klarneści, a czasem weselszy wieczorek ze swemi, przyszłoby od mozołu jednego zginąć. Dziś mi się poszczęściło: wygrałem u starosty sokolnickie-

go 200 czrw. złotych, nowiutkich Holendrów jak z pod stempla; niech to sobie będzie na złą godzinę, i położyłem na dno.

.....Dajże Boże szczęście, żeby przymierze nasze dopięło czego zamierza. Trzech Gurowskich, marszałek, dwaj bracia z jednej strony; my, kasztelan poznański i Raczyński *ex altera parte* d. 16 februarii zawarliśmy je formalnie i to komotuję, szerzój się nie rozwodząc, bo papiéry choć pod poduszką trzymane, gadają.

Pieniądze w Poznaniu na komorze są, a tu mi na złość assygnacyi nie dają; trzeba znów o to pisać i uprzykrzać się, bo u nas byle milczć, chętnie zapominają. W przeszłym raporcie kompletu nie podawałem, bo się dużo jeszcze nie meldowało i nie byli przytomni; ale teraz meldują się i przybywają. Przybędzie ich więcej, oznaczę na marginesie kto jest *pro praesenti*, albo dopisać potrzeba explikacją.

Przez tych sześć niedziel ostatnich dużo się przywlokło; dla mnie to tylko niedobrze, bo płacy wiele brakuje, a ja wiem, że na początku marca płacy nie dostanę, kiedy tu i na nią, i na forszusy, i na lenungi, i na futeraże, potrzebaby mieć koniecznie zapas w kassie. Skompletowany nie wydołam na to, co się należy, a lękam się kwitków, bo do nich nie przywykłem: zła to moda. Tymczasem ludzie nowozawerbowani bardzo piękni, nadzy, i gdy ich nie umunduruję, gotowi deztererować. Pisałem o konie, pisałem o pieniądze i o inne punkta ważne: żadnego dotąd ordynansu — wszystko tak leży; dlatego żaden unteroficer nie ma konia, i wiele pocztów pieszo całkiem. Jakże tu co zrobić, kiedy nie ma czém; a wreszcie boję się nadto ze swojej kieszeni sypać, bo może być bięda z odebraniem, póki się domodłę, żeby mi oddali.

Gotowi mi dopiekać o likwidacją z tej raty, a ja rachunków zamknąć nie mogę; muszę pisać do strażnika, żeby mnie o obrachunek niebardzo po swojemu naglili. Wypadnie też instancyonować za JMPanem Michałem Wyszynskim, który był kapitanem w regimencie księcia JMci Franciszka Sulkowskiego, a teraz kompanią sprzedał i w wojsku chce być awansowany, żeby go majorem zrobili; bo na to podobno patent od króla JMci potrzebny, a za osiem dni najdalej wychodzi z regimentu.

A tu kaduk mi nadał tę sejmikową sprawę z Radziwińskim! Śmieję się ja z tego, ale kłopotu jest i było dosyć. Wie-



działem, że tam przeciwko mnie brzydkie rzeczy się forsztellują; musiałem się z sędzią zobaczyć. Samemu panu generałowi iść tak nie wypadło, więcem z sobą dwóch towarzyszków zabrał i stanęli w kancelaryi przystojnie jak przystało na święte brygadyerską. Patrzcież, co z tego potrafili, poszedłszy do głowy po rozum, ukleć: zem stu zbrojnych wojskowych na sędziego sprowadził i chciał dopełnić wioleńcą. A tu na jego mości i dwóch było aż nadto, bo tak drzał i bladł, że pióra w rękę utrzymać nie mógł, a wszystko się za kołnierz oglądał. czy go już kto nie łapie. Zrobiłem swoje, com potrzebował, a teraz dopiéro larum na mnie, bij zabij na komendanta, i już sprawę indukują! Obywatelów moc się zjechała za mną. *in proximis* inkwizycją nakazano jak to było. Zacny pan Umiński stawał od sędziego i rozpościerał się z mową swoją *iudecenter*, ażem mu musiał gębę zatknąć, i nielada argumentem i elokwencyją powstrzymał; tylko się wilczém oczkiem spojrział na mnie, aleć nie zjadł.

Zbyszy się tego wrzoda do jakiegoś czasu, bo to powinoby pójść koniec końcem *per nonsunt*, pojechałem na wieś gospodarzyć dla księżny naszój i trochę polować. Ale pora nie koniecznie potemu: roztopy okrutne i psów i ludzi szkoda. Szczęście, że na wsi sąsiadów nie brak; i muzykę zabrałem z sobą, a resztę czasu to tak ekonomuje, co się nazywa, i dysponuje pańszczyznę jakbym był gumienym, nie komendantem.

Choć mi tu pod ten czas nudno, ale się powstrzymać muszę, póki coś pewniejszego nie dowiem, czy będą dukaty dla szlachcica, który mi już o nie do żywego dokuczył. Tylko co go i tu nie widać; ale może chyba nie wie gdzie mnie szukać, boby już był za mną. A to taki kawaler, że jak się uczepli, to i jeść i spać nie da i do ostatku desperacyi doprowadzi. Chciałem już grożącemu niebezpieczeństwu żytem zapobiedz, ale za pół korca i trzy złote nie dają, a sumka nie szpetna: dobrzeby trzeba wytrząść zasieki. Żebyż choć Bniński lub strażnik napisali, co ja z nim mam robić, tobym go może powodził jeszcze czas jaki, jeśli dukatów znowu nie ma.

Kwatermistrza jutro posyłam do regimentu: trzeba i psy Kurdwanowskiemu przez niego expedyować. Przeszła moja komenda ewangelią opowiada po całej Wielkiéj Polsce z kijem, bo ich Goltz wszystkich wyprawil. A mnie mówią, zem ich w służbę wprowadził: *Non me Satanas amplius tentaberis.*

Zamieszanie największe, slysze: trudno wypowiedzić; ludzi abszytuja, część wojska sama ucieka, ci co zostali z musu tylko!

Do Goltza jeszcze dojechać mi trzeba, a potem żeby znów na trybunał nie wypadło za sprawą księżny, bo to taka historia w mojem życiu, zem wszystkim do wszystkiego potrzebny. Ino drugi więcej śpiąc skorzysta, jak ja w tych ciężkich obrotach; tyle, co się napiję a najem. Jutro jak świt widzę do Kościana wypadnie.

Z Kościana, jak po ogień przyjechawszy do kwatery, ruszyłem do Poznania, bo dekret oblatować było trzeba, a do Wielunia Woropańskiego posłałem, który użyje fortelów, jakie mu tylko przyjdą do głowy, żeby go w księgach miejskich osadzić. Wojewodę zastałem mocno chorego: pobladł, wymizerniał, pokaszliwa gęsto i brzydko; coś bodaj niewiele mu się należy, ani myśleć gadać z nim o interesie. Dowiedziałem się, że Potocki przysłał do nich, aby jemu te dobra odpuszczono; ale jaką na to rezolucyą dali, wyszperać dotąd nie było sposobu. Widziałem się potem z wojewodziną, która zawsze jak róża, a raczej jak piwonia wygląda; rezolucyą mi dała z pańskim animuszem, że skończą i nie odmienią swojego przyrzeczenia. I na tém koniec:— interes w zawieszeniu.

Piszę i piszę o pieniądze, a oni mi odpisują, że idą. Jakoś na raku assygnacyą wysłała kommissya, że do Poznania dojść nie może. Od 1 marca ciągle mój worek w obrotach; inaczéj być nie mogło, nie chcąc żeby brano na kwitki, dawnym obyczajem.

Chcę najlepiej utrzymać komendę, i to pokazać, żeby mówili, iż pod rządem hetmana, komendy te, które nigdy nie były exercytowane, w krótkim czasie przyszły do powinnéj żołnierzo-wi sytuacji. Pokażę strażnikowi koronnemu, który mi się obiecuje, parę szwadronów przezemnie zawerbowanych: jak laleczki, tylko żeby im grzbiety pookrywać co najprędzej, toby nie zawadziło.

O likwidacyą naglą, a pieniądze nie widzę. Niepodobna jej wysłać: rachunki nie zamknięte, szwadrony krakowskie jeszcze nie stanęły, dopiero są w marszu; muszą i one mnie zakwitować. Byle namiestnicy lub oficerowie pierwsi w chorągwi przybyli, niech mnie tylko ci pokwitują, a ich resztą. Chciałbym to zbyć z głowy, bo o rachunek piszczą, jak gdybym to ja co z tego dla siebie korzystał; fortuny na tém nie zrobię.



Sejmiki będą rozmowne i ciekawe, ale ufam sobie, pójdzie wszystko dobrze. byle inni tak pracowali jak ja. Jest kupa pretendentów do funkcyi poselskiej, bo sześćdziesięciu i czterech; wcześniej trzeba rzeczy poukładać, żeby już potem grać na pewno. Mam oko na każdego, i swoich, co mi o wszystkim donoszą.

Wczoraj mi dał znać P., że niejaki Ulejski wysłany od naszych przeciwników, jeździ sobie po szlachcie cichusienko i do spisku ją namawia. Może to być jeszcze i plotka, ale posłałem zaraz dwóch towarzyszków na zwiady do tych, co ich miał jakoby namawiać. Byłe się pokazało że tak jest, zasadzę się i łapnę jegomości. Tylko że słyszę z nosem jeździ ponad samym kordonem, to może łatwo szmygnąć.

Na piérwszy kwietnia jadę do Wschowy na elekcyą pisarza: forsa i tu będzie wielka. Raczyński kasztelan poznański i ja zgodziliśmy się na jedno. Gurowski ma inną partyą, a trzecia dyssydentów; ciekawa rzecz co się to z tego wykluje. Obywateli, jak miarkuję będzie około tysiąca, i na facyendy pora być może, jeśli nie zrobić, to namydlić.

Dzisiejszego dnia dostałem ogiera; niewielki, bo półjednastój ćwierci: złotój maści, jasno-cisawy, piękniejszego w rotundzie ciężko widzieć, i pod wierzchem gdyby dziecko, choć z ogniem, słono tylko kosztuje. Jakbym wiedział, że byle o nim słuch doszedł, to się go Kurdwanowski naprze, a niemając innego, ciężkoby mi zbyć w tym czasie.

Wczorajszego dnia 19 martii, imieniny pana kasztelana poznańskiego. Zjazd był wielki do Poznania, miasto się trzęsło. Zjechali: Raczyński, Gurowski, a co województwo, to prawie całe, dla spenetrowania czegoś o sejmikach i wyborze pisarza we Wschowie. U mnie moc ludzi na pieczeni miałem i dolewałem porządnie; szczęściem, wina w mieście nie zabraknie, a póki go stać, ja na to jak na lato. Widzę, że Gurowscy myślą utrzymać na pisarstwie pana Malczewskiego: już mi o tém moi szepnęli; ja z Raczyńskim i kasztelanem poznańskim Zwierzchlejskiego, a dyssydenci Dziembowskiego. Gra wielka, forsy niesłychane i dosyć że już słyszę zawczasu we Wschowie miejsca niemasz, aż po wsiach sobie i po chatach stancye zamawiają. Pisaliśmy za Zwierzchlejskim do Najjaśniejszego Pana, ale zbyli nas obojetną rezolucyą. Kasztelan poznański prezyduje na mojej kommissyi, i dali mi odpowiedź, żebyśmy się

łączyli i godzili. Z tego nic nie będzie: zgoda łataną niewiele warta, co się podarło, niech się sobie drze do końca; ani też połączenia żadnego z Ichmościami życzę.

Towarzystwo na 1 marca prawie wszystkie stanęło do chorągwi; jest w kilku chorągwiach po 23 i 25, a są wszyscy przytomni. Konie dają nowe; muszę prosić kommissyą o rezulucyą co mam z nimi czynić, bo ja sam ich kassować nie mogę. Od pierwszego marca do 20 opłaciłem komendę do szeląga; nie wiem co to będzie daléj, bo o własnej kieszeni nie wystarczę, a na kwity brać nie chcę i nie mogę. Bastiani, istny Bastiani, kassyer królewski, tych pieniędzy, które Kraszewski złożył, nie odsyła i nie odsyła.

Z poczty słyhać, że Sułkowscy od Ponińskiego pałac kupili. Rozrzucili tu między szlachtą tabelłę długów *sub ignoto nomine* księcia Antoniego, zebraną *ad amussim*, która wynosi własnych jego długów 2,868,140 zł., a rzeczypospolitéj 2,000,000.

Przyjechał tu z Radlina Zawadzki i przywiózł mi inwentarze Radlina i Obry, ale tak dziwnie napisane, że musiał chyba podfixować; odrzaliłby nimi wszystkie przyszłe Świętojańskie transakcye. Jeszcze i to na mnie spadnie, że będę musiał sam inwentarze nawet przerabiać, bo Kęszycki chce wyjść, i trzeba się go pozbyć. Szczęśliwéj drogi! Lepszego znajdziemy, ale kłopot nateraz niepotrzebny mi wcale.

Znowu mi piszą, że pieniądze idą, i zaraz dodają, że niepewne. Niechże ich wszyscy djabli porwą! Wolę wcześniéj się zrejterować z téj kassy, niżeli wpaść w zamieszanie niewinnie. Porzucę wszystko; i furazu i lenungu nie ma, a o likwidacyą kolą, jak gdyby to co najpilniejszego było, gdy jeszcze szwadrony z krakowskiego nie nadeszły. Cóż ja im pošlę bez głowy, i bez ogona?

Gurowski mi wsadził znowu interes nowy, gwałtem zebym pisał do pana hetmana. Książę Biron kurlandzki chce z bratem swoim takową facyendę zrobić. Corocznie zawsze płaci mu 3,000 dukatów brat; po śmierci matki ma mu jeszcze dać 16,000. On jemu chce tego wszystkiego odstąpić, a w zamian od niego radby wziąć księztwo wartemburskie w Szlązku, że to mu blisko i przyległe. Powiada, że brat jego nic z tego nie ma, tylko się musi królowi pruskiemu optacać. JW. hetman mógłby to przez księcia Potemkina w Petersburgu



gu wyrobić i o instancją proszą, byle Stackelberg nie o tém nie wiedział. Gurowski powiada, że jeśli to mu hetman wyrobi, to się z nim pokwituje. Widać, że i on coś weźmie za tę sztukę.

Raczyński już teraz inszy: obiecuje forsztellować jak tylko będzie mógł. Gadał ze mną wiele i umyślnie był u mnie w Poznaniu, ale pomimo to ostrożnie być jednak muszę.

Ci ludzie, kłnę się, do ostatka mnie doprowadzą: gdyby zgubić chcieli, nieinaczejby robili. Dzisiaj 5 Aprila, a od pierwszego marca do dzisiejszej daty, mojemi pieniędzmi i ludzi i konie 24 chorągwi żywię i sustenduję. Jak tak dalej potrwa, to choćbym nie chciał, będę musiał pozwolić na wolne fute-razowanie i żywienie się pochwytaném; wynikną z tego excessa nieustanne i skargi bez końca. A co ja temu będę winien! Krakowska komenda przecie 28 marca stanęła w Wielkiej-polsce; gemejnów tylko 40 z całej brygady brakuje. Summy assygnowanej nie widać: gubią mię dobrowolnie. W trakcie życia mego w tak wściekłym kłopotcie nie byłem: włosy sobie rwę.

W nadzieję tych utrapionych pieniędzy, posprowadzałem prawie wszystko do magazynów: lederwerki, sukna, baje na mundury potrzebne, bo mi ludzie broń składali i rekruty, których przeszło stu mam; jużby byli poszli, żeby nie nadzieja oporządzenia, co ich wstrzymała.

Musiałem ich umundurować, żeby mi nie dezterterowali. Na samo sukno dałem z mojej własnej kieszeni 16,000 złotych. W dodatku jeszcze z oficerami starszszkami kłopot, bo to mi wszystko spiknęło się dogryzać. Zapraszano ich do komendy już dwoma ordynansami, raz po raz: ani myślą się stawić. Cóż robią? — udają się cichaczem, manowcami po urlopy do hetmana polnego koronnego. Wszystko to dzieje się bez mojej wiadomości. A cóż po komendancie? Jak ja prawdziwy raport napisać mogę, kiedy nie wiem o Bożym świecie, kto urlopowany a kto nie? A mnie przez to sroga krzywda: subordynacyi utrzymać nie potrafię, bom nie ja ordynatorem tych dobrodziejstw, które mi jakby na figiel poza plecyma dystrybują. To jeszcze byłoby nic: jest lepsze. Przysyła mi z łaski swój hetman polny forsztellacyą na dwóch oficerów, na pana Cińskiego i Dunina, jednego porucznikiem, drugiego chorążym kreując. A już mam formalną przecie obietnicę, że

inaczej jak za moją rekomendacją nikt forsztellowany nie będzie; nawet fortraitu odemnie nie było. Żałuję pracy mojej, bom tu ołysiał prawie od starunku, a za to jeszcze kpią ze mnie. Widział pisarz koronny moją pracę w Kościanie, aż się wydziwić nie mógł jak piękni ludzie i jak exercytowani, a w dodatku ani ich słyhać, czy są: żadnej burdy, żadnego hałasu, cicho i skromnie. Ja sam z niemi karabinem robię dla zachęty, i z towarzystwem się uczę razem: a to tobie zapłata!

Ale jak prędko tak, muszę się wcześniej meldować; niechże mnie już uwolnią od téj komendy, bo widzę z tego, że to wszystko darmo: praca nadaremna, a śmiechu z siebie robić nie myślę. Elekcyja pisarza wschowskiego była taka ludna i hałaśna, jak dawniej żaden sejmik nie był ludniejszy, ani wrzawliwszy. Pokazaliśmy się tu wszyscy, kto i jakich ma przyjaciół, i jakoś mi poszło, że zawstydzony nie zostałem. Nie spodziewali się kochankowie tyle ich przy mnie znaleźć; wstyd i zazdrość poprzeciągały im nosy, a ja miną nadrabiając, chodziłem jak gdybym swoich tryumfów nie widział. Obywateli na pieczeniu ciągle i z sobą nieodstępnie miałem *presse* sto, a towarzystwa possessyonatów z górą drugie tyle: partya co się zowie! Z towarzystwa nikogo nie było w mundurze.

Dość to pięknie poszło, cicho, porządnie, tak, że bez guzów i felczerów się obeszło; a jeśli kto oberwał sińca, to chyba pod ławę upadłszy. Zwierzchlejski się utrzymał; dysydenci poszli z kwitkiem. Ciekawy jestem, co o tém w górze powiedzą? Raczyński bardzo mało miał koło siebie, a zobaczywszy że kuso, krótko bawił, umknął cichaczem; powiedział mi tylko, nie bez chętki ukąszenia mnie, że wokowany jest do Warszawy pryncypalnie od księżny JMci dla ułożenia przyszłych sejmików. Choć zdaleka radbym się to ja przypatrzył, jak to tam ci mądry ludzie przyszłe sejmiki układać będą: możebym się i ja co przy nich nauczył! Życzę tylko, żeby się za oczyma klejąc nie omylili, bo konkurentów dość i prawie niepraktykowani, a niejeden się lisim ogonem nakrywa, i z niego mieć nie będą co się im zdaje. Zobaczmy, zobaczymy!

Mnie już w ucho robią propozycyją, żeby tam być postem, gdzie najwięcej parzy; alem ja także nie tak głupi, żeby wybrać najgorsze. Bywałem już w podobnej mieszaniu, niechaj téż tych trudów, subiekcy i expensy zażyją i panięta owe, co delikatessy tylko lubią, a najbardziej do gotowego stać.



Bóg widzę cuda robi, bo i Mosiński powiada, że po toż samo jedzie do Warszawy, aby dyrygować przyszłym sejmi-kiem. Sypią się panowie dyrektorowie jak z rogu obfitości, będzie komu komenderować, byle było kim. Ja sobie będę się tymczasem bawił, a zdaje mi się że prędzej trafię tym sposobem do końca, niżeli z projektami zawczesnemi. Trzeba teraz każdą żyłkę nietylko człowieka poznać; a mam to za pewne, że nie wyrozumiesz ludzi lepiej jak za stołem przy kieliszku, przy grze i hulance. Bo to się wówczas nie tak bardzo pilnuje i plunie słówkiem często gesto, i afekt na wierzch wylezie nieproszony, i antypatya wysypie jak krostka; można sobie zawczasu wszystko ponotować. To też wiem, że się na takim poznawaniu ludzi nigdy nie omylił, a więcej na przysięgach i zakłęciach. Nie żałuję butelki wina, kiedy za nią kupuję poznanie człowieka, a nierzadko i serce jego. Mało kto tak kuty, żeby się nawet podchmieliwszy pilnował, chociaż trafiają się i tacy, to pewna, i tych się jak ognia boje.

Znałem nieboszczyka Ry.... z kaliskiego, wielkiego sejmikowicza i jurystę, co się bywało poić daje, za kołnierz nie wylewa, z nóg się niemal wali, czupryna mu bucha, już odszedł od przytomności powiedziałbyś; ale zagadnijże go z procesu lub *de politicis*, nigdy się nie wygada. Ale téżto był rzadki człowiek, można powiedzieć jedyny, jakiego w życiu znałem, a ogółem szlachta za stołem wypowiada ci się ze śmiertelnego grzechu od pieluch.

W téj minucie komendant kozacki przysłał do mnie z dziwną pretensją, rekwirując o Wojciecha Trzebiatowskiego, wachmistrza lejbszwadronu chorągwi królewskiej, wielkiego mojego faworyta, bo niema i do exercerunku, i do konia, i do strzelby, i do posyłki sprawniejszego na świecie nad niego. Ten miał, jakoby będąc u Prusaków unteroficerem, o czém ja wiem że był, z panem Wolskim, który jest towarzyszem u By-szewskiego, przejeżdżającego gdzieś oficera kozackiego zamordować. Świętej pamięci nieboszczyk Cedrowski był o to pozywany do grodu, gdzie został oczyszczony i wolny, a on i Wolski mają być dekretowani na śmierć. Ale chyba by mnie na świecie nie było, żeby do tego dopuścił; posłę dziś sztafetę bodaj do strażnika kor., musi wyrobić u Romaniusa, aby tego dalej nie promowowali, albo mu dali *salvum conductum*. Wolałbym wieś stracić jak tego człowieka: piękny, skromny,

pocziwy, a żwawy jak błyskawica. Serce mi się ściska; jeszcze mu nic nie mówił, a aresztować go muszę.

Chwałaż tobie Panie! Choć 11 Apryla przyszły pieniądze, co na 1 marca być miały. Śmielszy teraz będę gdy odbiorą zapłatę, i o służbę u nich się dopomniéć, jaka się od żołnierza należy. Lękałem się im wprzód plecy bardzo suszyć, choć jak mogłem ze swojej kieszeni żywiłem i odziewałem pocztowych; oficerowie tylko i towarzystwo nie brali i pościli. Bardzo już chudo bywało koło nas. Teraz tylko pragnę, żeby kogo zesłali do obejrzenia; przyznają, że w krótkim czasie więcej reform zrobić niepodobna było. Spodziewam się, że i inne regimenta teraz się poprawią. Temuto ja pocziwemu strażnikowi to winien jestem: niechże mu za to wody niemieckie służą, piękne przyjaciółki się uśmiechają i woły się tuczą dobrze. Wezmę się nie żartem do żołnierza i uformuję go tak, żeby ci Turynczycy i Paryżanie przestali mówić, że to u nas wszystko po polsku. Niechaj książę generał artylerji przyjeżdża, a choć w Turynie, Paryżu i Strasburgu siła widział, będzie miał i tu na co popatrzeć. Tylko mi się zdaje, że mój książę więcej tam strzelał do buziaków, niż pilnował polygonu. Nie zaśpię, nie dojem, a dwa szwadrony, to jest trzystu ludzi do ostatków kwietnia wyażustuję jak z igły.

Jeszcze muszę sztukać i kłopotać się, żeby i te 40,000, na które już mam dwa rozkazy królewskie, wyciągnąć z rąk ich. Miały być 1 stycznia, a dotąd ich nie widzę. Co do nich assignowano, to choć przeciw ordynansowi ze swoich zaawansowałem. Piszę dziś do marszałka nadwornego Rzewuskiego, który listem mi swoim dawniej wyliczenie tej summy obiecywał, aby u Najjaśniejszego Pana jeszcze mi w tém był łaskaw dopomódz. Byle chciał, nic mu trudnego.

Generał Goltz dziś się ze mną widział; jakem tylko o nim zasłyszał, zbiegłem zaraz i widzę, jak pierwszą razą, regimenta uspokaja; i mnie toż ma dać, resztę w Kaliszu, a najwięcej w Krakowie. To biéda, że tam nie mam nikogo komenderowanego do odebrania. Coś krzywo na mnie patrzą i niebardzo mnie kochają. Ludzkato zazdrość, bo najpiękniejsi rekruci, najlepsze sukna u mnie. Wachmistrze i unteroficerowie mają francuzkie, a u ichmościów po 3 złote wszyscy równe. To ich swędzi, że jak hetman zobaczy, pozna dyferencyą i trochę może być nie kontent; ale ja pokażę co mogę, i co być powinno.



Rekwirować muszę i o to, że mi przysłali na zapłacenie 24 chorągwi, a mam ich 25. Kwileckiego być nie miało, a przyszło, to jest 6 kompanij i 10 pocatów. Nie zapłacę ich już dopóki nie dadzą mi ordynansu i assygnacyi, albo niech ich sobie biorą. Kwileckiego chorągiewbym zostawił, bo Madaliński się nią zatrudnia, a z królewskich dwóch co gołe, jedną gorsząbym odprawił, druga już piękna, kompletna i grubo mnie kosztuje.

W tój co z Krakowa przyszła jest jeden towarzysz i kilku pocztowych takich, co na słomie zamiast kulbak przywlekli się; niechaj sobie wracają z kąd przyszli do tamtój partyi, bo mnie dosyć jednej królewskiej, żeby zaczęła pierwszeństwo w brygadzie. Będę prosił o moję chorągiew; żeby próżno tylko nie sprowadzić, więc ją może zamienię albo za chorągiew podkomorzego dobrzyńskiego, albo z wojewodą czernichowskim, albo z wojewodą braclawskim, albo z Kraszewskim. Wszystkie równe bo gołe i bez dobrych koni, to sobie na czoło wypucuje; żeby mi tylko na zamianę list przypowiedni wyrobić, o co *instanto* pisać będą do strażnika.

A tu i o świętym Janie myśląc, waryacya doprawdy porywa: z wojewodą brzeskim kończyć, Kęszyckiego trzeba wyforować, a na jego miejsce kogo innego dostać, człeka słusznego. Poniekąd napatrzony, ale jeszcze mi twardo się upiera na swoich kondycyach. Goltz od siebie, ja od siebie raporta wyprawiamy; zobaczymy jak się zetkną: czy jedno śpiewać będą.

*Kopia listu do mnie pisanego dla pana strażnika*  
d. 26 Apr. 1776.

„Po zalimitowanej kommissyi *abii in Montana* w Zwan-czyku, i co negocjowałem wyrażam: zastałem tam dosyć wielką przewencyą uczynioną przez tamtą osobę, która wlepiła mocno wszystkim, że jeżeli pan D... będzie na funkcji poselskiej, tedy na województwo wielka przypadnie nieszczęśliwość. Łamałem tedy tą prowencyą i toż samo perswadowałem, że jeżeliby to *quo casu* nie nastąpiło, tedy możnaby się znowu spodziewać podobnej okoliczności od swojego wojska. Remonstrowałem dalsze pożytki dla nas, które staranie pana D. . przynieść mogą, remonstrowałem i powinowactwo; oświadczyłem, że listy od całej familii będą, na co mi odpowiedział, że to u nas tak familiją, jako téż hetmana, za jedną rzecz poczytują. Remonstrowałem i to, że te rzeczy są ułatwione, a potem dawniej-

szych czasów, gdy dwie familie *luctabant* z sobą, zawsześmy dogadzali obudwom stronom i jedne *subjectum* od jednej, a drugie od drugiej obieraliśmy. *Flexus* tedy *rationibus*, na tém stańło, żeby był list od JW. Ogrodzkiego do niego pisany, co już *censebitur* za dwór; rozumiem tedy że i pan D.... mieć będzie i JW. obożny polny dobrze żeby napisał do JW. chorążego podolskiego terazniejszego.

*Inter caetera* pokazywał mi i list od Ptaszka, który pisze z Warszawy, że o łowiectwo podolskie wiele było konkurentów, a najbardziej Mytko, ale instancją JW. kasztelana kamienieckiego, *favore* jego *praevaluerunt*, a co większa jest assekurowany od majestatu, że pióro ziemskie latyczowski i, byleby zawakowało, nikomu innemu będzie konferowane, tylko jemu.

Ja przyznam się, że sam sobie ułożył był tę plantę; ponieważ JW Pan Niezabitowski chce osiąść we Lwowie, musiałby rezygnować podsędkowstwo latyczewskie. Umówiłem się z W. Bielowskim pisarzem ziemskim latyczowskim, że on zezwolił postąpienia na podsędkowstwo, żeby polne zostawił synowi memu. Otóż mi widzę taby się popsula planta. Kawaler młody, dopiero z jajka wylazł i skrzydełek dobrze nie zasuszył: jakie to dziwne rzeczy teraz są na świecie! Ja z gemejna dostugiwałem się tego nieszczęsnego urzędu, byłem susceptantem w obudwóch grodach; rejentem w obudwóch, komornikiem ziemskim, pisarzem grodzkim, a nakoniec tym nieszczęsnym podsędkiem, a tu potrzeba żeby wszystkie urzędy do kolebki się cisnęły.

O ustąpieniu kordonu mówić nie poprzestają.

(Dokończenie nastąpi).



## ZAGRODA WIEJSKA.

POWIĄSTKA Z PIÉRSZYCH LAT XIX WIEKU.

(Dokończenie).

### VII.

Szumi wichura, śnieg i zamiecie;  
 Ani gwiazdeczki na Bożym świecie  
 Dopatrzeć. Chłodno, straszno i ciemno;  
 Każdy rad nie rad, w duszy tajemną  
 Uczuwa trwogę.

Jedno gdzie błyska  
 W izbie ciepłego płomień ogniska;  
 Gdzie cicho, zgodnie, zdala od świata  
 Miłość rodzinna ogniwem splata  
 Serca; gdzie pokój napęlnia duszę:—  
 Tam człek nie może upaść w otusze,  
 Tam mimo wichru, zamieci, słoty,  
 Powoli wątek wysnuwa złoty.

Święty płomyku! co podniecany  
 Ręką bez skazy, domowe ściany  
 Rozjaśniasz wdzięcznie! Świadku milczący  
 Wspólnej miłości, modły gorącej.  
 Pobożnych czynów, pocziwój wiary;  
 Milczący świadku powieści starój,  
 Co krążąc zwolna, cicho a stale  
 Wieków spowiada radość i żale.  
 Co na dnie mieści, cenniejszy złota  
 Skarb, bo odwieczną prawdę żywota:  
 Ogniu domowy! Tys owym Zniczem,  
 Co niegdyś blaskiem lśnił tajemniczym

Na chwałę bóstwa: ty dziś pod strzechy  
 Ubogie, siejesz promień pociechy!  
 W mętnych dni pasmie, świeć wiecznie gwoli  
 Ludziom serc prostych, i dobrej woli!

W dworku stolnika, obok komina,  
 Siedzi pospołu cała rodzina.  
 Wojciech się krząta koło wieczerzy,  
 Bryś niecierpliwy opodal leży.  
 Płomień z komina jaskrawo błyska  
 Na białe ściany; koło ogniska  
 Najpierwsze miejsce, matrona siwa  
 Zajmuje: włos jej bieluchny spływa  
 Na blade czoło, a w ciemnym oku  
 Już nie dopatrzeć owego mroku,  
 Co je émił tęskny niedawnym czasem.  
 A stolnik (słuckim okolon pasem.  
 W szarym kontuszu), z babunią gwarzy;  
 Radość niezwykła na starca twarzy,  
 A na pogodnym czole otucha  
 Dziwnie jaśnieje!...

#### Babunia słucha

Dawnych powiastek, które jej prawi  
 Pocziwy stolnik. Dziwnie ją bawi  
 Wszystko, co w ciągu lat przyjaciela  
 Zaszło dobrego: rada podziela  
 Każde wrażenie. Trapią ją znoje,  
 Jakie przecierpiał, gdy Barskie boje  
 Wspomina dawne; dziwnie ją boli  
 Pamięć starego ciężkiej niedoli!

I stolnik niemniej nakłania ucha  
 Do jej powieści. Ciekawie słucha  
 Jak mu spowiada tajniki duszy;  
 Czasem kontusza wyłot poruszy,  
 I łza niekiedy z oka wypłynie,  
 Krąży po licu, i w wąsie ginie.  
 A jednak każde z nich rade gwarzy,  
 I rade słucha:—zwyczajnie starzy!

Marynia znowu szczebiocze zcicha  
 Coś do Marcina. On się uśmiecha,  
 I patrzy w krasne małżonki lica;  
 A takim blaskiem świeci żrenica  
 Obojga młodych, tak radzi z siebie,  
 Jak gdyby Boga widzieli w niebie!



Znać wszystkim dobrze. Płomień ogniska  
 Syczy, migocze, znów jaśniej błyska,  
 I na pogodnie blask rzuca czoła:  
 Jakoby skrzydło Stróża Anioła  
 Siejąc dokoła nadobne kwiaty,  
 Płoszyło troskę z cichej komnaty.

Wieczór już późny; wtém słyhać niby  
 Turkot w oddali:— „Gość bez ochyby”—  
 Ozwie się stolnik.

Brys łapą skrobie

We drzwi komnaty.

— „Kto o tój dobie

Przyjeżdżać może”— Marcin zagada.  
 Marynia w duszy nie nazbyt rada!

— „Bóg w dom wraz z gościem, dobra nowina—  
 Zawała stolnik.— Wojtusiul wina  
 Przynos z piwnicy. Czuwaj, by strawy  
 Nie brakło na stół, gdy gość łaskawy  
 Nie gardzi memi niskimi progi.”

A gdy to mówi, zawraca z drogi  
 Wózek w podwórze. Stolnik z bratankiem  
 Na powitanie stają przed gankiem.  
 Gość zsiada z wózka.

— „Wszelki duch Pana

Chwali! A toż to rzecz niesłychana!  
 Zkądże Wasć tutaj?”— stolnik zawoła,  
 A w podziwieniu rękę do czoła  
 Poniesie, jakby chciał spędzić czary;  
 Boć w żywy sposób nie daje wiary  
 Temu, co widzi.

— „Panie stolniku—

Rzecz przybyły— dziwy bez liku  
 Dzieją się teraz na Bożym świecie!”

— „Pójdź Wasze dalej, ogrzej się przecie  
 Koło ogniska. Gadaj mospanie  
 Wszystko koleją.”

Przybyły, panie

Wita pokłonem; Marcina ściska,  
 Bo z nim zażyłość łączy go blizka.

Siedzielić oni na jednej ławie  
 W pijarskich szkołach, lat cztery prawie;  
 Potém przez drugie znów cztery lata,  
 Młody Stanisław szukał wśród świata  
 Szczęścia i sławy; opuścił skrycie  
 Dom rodzicielski, i pędził życie  
 W ustawnych harcach. Był pod Marengo,  
 Zkąd ozdobiony krzyżem i wstęgą,  
 Po długich wojnach, razem z wszystkiemi  
 Stał szczęśliwy w ojczyściej ziemi.

Młodzian z Warszawy wybiegł co żywo,  
 By prędzej matkę powitać siwą;  
 A gdy mu właśnie wypadła droga,  
 Umyślił chwilę stanąć u proga  
 Zacnego starca, by mu pod stizeczę  
 Radosną także przynieść pocieczę.

Stanisław z dziwnym prawi zapalem  
 O wielkich dziełach, co światem całym  
 Wstrząsły obecnie z końca do końca;  
 O bohaterze, co blaskiem słońca  
 Lśni nad nowego wieku kołyską;  
 Co wraz z kul gradem, światła ognisko  
 Sieje na krańce znanego świata;  
 Co jak wichura groźna przelata  
 Z zachodu na wschód, rzucając gromy.  
 A dzielną myślą chłonąc ogromy  
 Przestrzeni, ludów, pod własne stopy  
 Ściele podnoże z pół Europy,  
 By wsparty na niem przez czas daleki,  
 Siłą gieniuszu zdumiewał wieki!

Stolnik młodziana ciekawie słucha.  
 Dziwny mu ogień tli w głębi ducha  
 I na rumiane wybija lice;  
 I mimowoli zwraca źrenice  
 Nad łożę, kędy w jaszczur oprawna,  
 W pochwie szablica spoczywa dawna.  
 A kiedy zdala okiem nań strzeli,  
 Zda się, że słyszy szczęk karabeli:  
 Rwie się na nogi z młodzieńczą siłą,  
 Jakby lat dziesięć z górą ubyło,  
 Podrzuci wylot, zakręci węża,  
 Na podstolinę spojrzy z ukosa;  
 Aż gdy spostrzeże zwiędłe oblicze,  
 Jak sen marzenie pierzcha zwodnicze!...  
 I czuje z bolem: toż on nie dziarski  
 Młodzian, co niegdyś w potrzebie Barskiéj



Harcował dzielnie w boju zażartym;  
 Lecz starzec słaby, co nad otwartym  
 Stoi grobowcem..... I głową wzruszy,  
 I dziwna walka powstaje w duszy  
 Z siłą zgrzybiałą, młodzieńczej woli;  
 A gdy łza płynie z oka powoli.  
 Starzec wylotem wnet ją ociera.

W oku Marcina otucha szczerza  
 Równie jasnieje, a w duszy głębi  
 Zrodzona troska dziwnie ją gnębi;  
 I gdy na ścianę spojrzy znienacka  
 Zda się, że widzi oblicze Jacka  
 Sroższe niż zwykle. Zakipi w łonie  
 Krew młoda, ledwie nie pęka skronie  
 Od bicia pulsu; lecz gdy Marynie  
 Obejmie okiem łza cicha spłynie  
 Po zbladłym licu.

#### A i niebogi

Serce też pełne nieznanój trwogi.  
 Tęskno babunia pogląda siwa  
 W jasne ognisko, a głową kiwa,  
 I myśli w duszy: o! biedne dziecie,  
 Nie ma to stałej doli na świecie!...  
 Każdyć kosztuje, młody czy stary,  
 Kropli gorczy z żywota czary!...

Dają wieczerzę. Puharem wina  
 Stolnik rozliczne wiwały wszczyna.  
 Zachodzi bryka: młodzian co żywo  
 Pędzi powitać matkę sędziwą.

Rodzina społem znów u ogniska  
 Zasiada; słabo płomień połyska!  
 Gdy żadna ręka go nie podsycy  
 Gaśnie powoli. Wkoło na lica  
 Zwolna się pomrok rozściela błądy,  
 Kryjąc i smutku, i szczęścia ślady.

### VIII.

W cichej komnacie ni śladu zmiany.  
 Ogień na białe połyska ściany  
 Jako przed laty. Koło komina  
 Siedzi pospołu cicha rodzina;

A obok Maryi, dziecieczki małe  
 Jako jaskółki krążą nieśmiałe.  
 Starszy chłopczyzna na kiju dziadka  
 Rażno wywija; młodszego matka  
 Tuli do piersi; małeńka Frania  
 Bawi się z lalką.

Czemuż przysłania  
 Pomrok oblicze niewiasty młodej?  
 Czemu blask gaśnie dziwnej urody?  
 Czemuż, gdy patrzy w dzieciątek grono,  
 Boleść brzemieniem ciśnie jej łono?  
 Dlaczego płomień ogniska bladey,  
 Łzy i tęsknoty odkrywa ślady  
 Na zwiędłym licu?

I babuleńki  
 Oko, z tęsknotą ściga małeńki  
 Dzieciątek wianek. Gaśnie w niej życie!  
 Znać, że niedola ugniata skrycie  
 Duszę niebogi. Chyli się głowa  
 Pod trosk ciężarem, a drżące słowa  
 Z zagasłej piersi zwolna się wleką,  
 Jakby je trumny tłumiło wieko.

Czemuż i stolnik siedzi ponuro  
 I patrzy w ziemię, a szarą chmurą  
 Zachodzi czoło, jakoby sępy  
 Szarpały duszę? Dlaczego tępy  
 Słuch, lada poszmer w głęboką ciszę  
 Chwyta? Czemu, gdy wicher kołyszsz  
 Z szumem lipowe stare konary,  
 Powoli głowę podnosi stary  
 I zgasłym okiem pogląda w górę?  
 I znów oblicze skłania ponure  
 Ku ziemi, jakby głos w głębi ducha  
 Tkwiał, że tam jeno pewna otucha!...

I tęskno duma smutna rodzina,  
 A myśl jej krąży koło Marcina,  
 Co siadłszy na koń czerstwy a młody,  
 Pobiegl za sławą w śniegi i lody!  
 Jak nocne ptastwo krążą już wieści,  
 Przejmując duszę grozą boleści;  
 Już utęsknione żony i matki,  
 W pałacu, równo jak w progu chatki,  
 Krwawo zawodzą; a jęk sieroty,  
 Gasi blask senny otuchy złotój!...



Głucho dokoła; tylko konary  
 Drzew szumią zdala. Wtém Brysio stary  
 Głośno zawyje. Wojciech nieboże  
 Niemocą zdjęty zalega łoże,  
 A w jego miejscu Janek pachole  
 Krząta się w izbie.

Na starca czole  
 Dziwna myśl błyska!

—„Jankul co rychło  
 Wybież na drogę”.

Ale ucichło  
 Wszystko dokoła; tylko wichury  
 Świszcze z łoskotem odgłos ponury,  
 Tylko się puszczyk nocny odzywa.  
 A podstolina zadrży sędziwa,  
 Poruszy głową: bo jęk złowrogi  
 Nocnego ptastwa, uczuciem trwogi  
 Piers jej w lód ścina.

Młode pachole  
 Wybiegło żywo; oczy sokole  
 Zwraca na drogę, i w mroku szarym  
 Widzi, jak wózek nadciąga jarem  
 W parę szkapinek.

—„Ktoś skręca z drogi”—  
 Zdyszany rzeczce, wróciwszy w progi.

Wszyscy pomilkli, tylko dokoła  
 Myśl nagła blade obiega czoła.  
 Każdy wejrzenie rzuca nieśmiałe  
 Na drzwi komnaty, a nawet małe  
 Zmilkły dziecińcy.

Wtém stawa w progu  
 Nieznana postać. Kozuch w barłogu  
 Spylony cały, pokrywa barki;  
 Pod spodem widać niby czamarki  
 Wydartą poję, a brudna szmata,  
 Obiedwie nogi wkoło oplata;  
 Sniade od znoju i chłodu lica,  
 Jeno blask oczu w głębi przyświeca.  
 Zda się, że z trwogą i niepokojem  
 Patrzy wokoło. Styrane znojem  
 Lica wąs słoni, płowy, sumiasty,

A zpod litewskiej czapki spiczastej,  
Płachta okrąża twarz napół z głową.

I milczy długo: zda się, że słowo  
W ustach zamarło! Drżą obie wargi  
Niby od bólu, a przecież skargi  
Ani dosłyszć.

Zaledwie dzieci  
Dostrzegą postać, każde z nich leci  
Do matki, tuląc się do jej łona.

Młoda niewiasta niemniej strwożona,  
Drży jak liść waty: chwieje się blada,  
Splątanych myśli wątek układa,  
A czoło mglistym zachodzi cieniem,  
Piers przycisnięta niby kamieniem,  
I tchu pochwyć biedna nie może.

Wtém krzyk powstaje:—„Boże! o Boże! —  
Wołają spolem dziatki splakane,  
Patrząc jak obcy wsparty o ścianę,  
W stolnika łzawe zatopił oko,  
Pochylił głowę, westchnął głęboko;  
I jakby siłą potężnej woli  
Skrzepion, ku niemu zbliża się gwoli,  
Drżąc na kolana pada z pokorą.

A kiedy dostrzegł zwiędłą i chorą  
Stolnika postać, i włos gołębi  
Nad żółtkłą skronią: ból piersi głębi  
Rozsadza, lice rumieńcem pała,  
Jakby krew w żyłach ogniem zawrzała.  
Smutek go rzewny dziwnie przenika,  
Gdy widzi piętno, co na stolnika  
Licu, śmierć zgłoski już złowieszczemi  
Wyryła, jakby na pastwę ziemi  
Znacząc je rychło.

A stolnik oku  
Nie śmie własnemu ufać w pomroku.  
Przykłada drżącą rękę do czoła,  
Popatrzy z pod niej:—„Boże!—zawoła—  
Bądź chwała tobie“.

Młoda niewiasta  
Patrzy—nie wierzy; a dziwny wzrasta  
Zapał w jej licu, gdy rzuci okiem.



A Bryś w milczeniu stoi głębokiem  
W progu komnaty.

Tu starzec dłonie  
W niebo wznosił obie, łza w oku płonie,  
I drżącym głosem zawoła:—„Panie!  
Niech się już ze mną wola Twa stanie!  
Zgas iskrę życia, gdyś mi pod strzechę,  
U dni mych kresu, zesłał pociechę;  
Gdyś od sieroctwa uchronił dziatki,  
I skrzepił serce zbolalój matki!“—  
I łzą na nowo oko mu błyska,  
Gdy podróznego silnie przyciska  
Do skrzepłej piersi.

I Marya bieży  
W objęcia męża; za ledwie wierzy  
Własnemu szczęściu! Wiotka i blada,  
Piers do bijącej piersi przykłada,  
I usta do ust przyciska drżące.  
Uśmiech je krasi, a lzy gorące  
Po zbłądłym licu płyną strumieniem,  
I piers ich cichém mówi westchnieniem.  
A pod stolina ukryta w cieniu,  
Na drogą wnuczkę patrzy w milczeniu.

Po chwili Marya ze łzawém „okiem  
Jakby ockniona, jednym poskokiem  
Do drobnych dziełek przybieży grona,  
Gdy te do babki tulą się łona  
Jako pisklęta; i znów w milczeniu  
Dziecię na męża składa ramieniu.  
A Marcin nie zna dzieciny hożej!  
Czemuż krzyżyka nad nią nie złoży,  
Jak ojciec każdy zwykł czynić przecie,  
Gdy po raz pierwszy obaczy dziecie?

Dziwnoż to Maryi! I znów drżącemi  
Dłońmi Franulkę podnosi z ziemi,  
Podaje ojcu.

Czemuż blednieje  
Marcin? Dlaczego cofa się, chwieje,  
I nie wyciąga do dziecka dłoni?  
Dlaczego tylką łzę rzewną roni?

—„Co tobie drogi?“—Marya zapyta,  
Lecz darmo w oku małżonka czyta.

Nic nie wié; przecie już w głébi myśli  
 Nowéj się obraz niedoli kreśli:  
 Drży, lubo prawdy nazbyt daleka.  
 Wtém zblednie nagle.

—„Toż on kaleka!“—

Zawoła głucho, i dziwnie blada  
 Wskazuje rękaw, co próżny spada  
 Zwisły z ramienia, na połę szaty.

Wspólny krzyk powstał w głébi komnaty  
 I płacz rzewliwy.

Marya z Marcina

Ręk bierze dziecię; koło komina  
 Sadza go w krzesle, czapkę mu zdziera  
 Z głowy z pośpiechem, i znój ociera  
 Ze skroni: tkliwie pociesza, bada,  
 Do czoła drżące usta przykładą.

Zda się, że mocą wnet niezwalczoną,  
 Życie w Marcina powraca łono;  
 Na bladém licu znów krasa płonie,

Wtém stolnik powstał, i kosztur w dłonie  
 Ujmując, wsparty zbliża się wolno  
 Ku bratankowi, i nieudolną  
 Ręką roztwiera szatę i chusty,  
 Co kryją ramię. Zwiędłemi usty  
 Całuje miejsce, gdzie jeszcze rana  
 Niezagojona. Ciśnie młodziana  
 Do wyschlęj piersi silnie a drżąco:  
 Krew kipi w żyłach znowu gorąco,  
 W oku zapału znać dawne ślady...  
 Potém na krzesło upada blady!  
 O! bo zgrzybiałe ciało nie słucha  
 Młodzieńczej woli, silnego ducha!

Dziwnyż gwar, wrzawa! Z sieni tymczasem  
 Czeladka wbiega w progi z hałasem;  
 Z łóża chorego nawet Wojciecha  
 Wygnała nagle dziwna pociecha!  
 Wsparty na kiju, z związaną głową  
 Wlecze się biedak, zaledwie słowo  
 Wymówić zdolny:—raczej do mary  
 Podobien. Przecież rad sługa stary  
 Wita panicza, cieszy się, płacze,  
 Biada na jego dole tułacze.



Aż gdy dostrzeże kaleckie ramie,  
Ciężko zawodzi i ręce łamie.

Wtém Marcin rzecze: — „Niechajże gwoli  
Stanie się zadość Przedwiecznej woli!  
Boliż zaprawdę, gdy w pełni wieku,  
Rychłą niemocą Pan grozi człeku;  
Kiedy ni w sercu ani w zrenicy  
Nie zgasi życia, przecież prawicy  
Zbawi za młodu! Ależ otucha  
Tli jeszcze w piersil.. Tam, gdzie głęboko  
Nurt Berezyny krwawą posoką  
Zrumienion płynie w łożu ze śniegu:—  
Tam ręka moja leży na brzegu.  
Pokój jój wieczny, bo do ostatka  
Wierną mi była!“

#### Smutna czeladka

Znów się łzawemi jęki odzywa;  
I stolnik milczy i głowę kiwa.  
A podstolina dziecięcki pieści.  
Marya łzą płacze rzewnej boleści,  
Do piersi męża tuląc się blada,  
I pocałunek gorący składa  
Na pozostałej jedynej ręce!

— „Boli mnie jedno, że nie poświęcę  
Już mojej ręki dla was, kochani—  
Wyrzecze Marcin.— To mi piers rani  
Ciężko i krwawo. Panie! na wieki  
Święć się Twa wola! Skrzydłem opieki  
Zasłoń jak tarczą rodzinę całą.  
Kiedyc ramienia mego niestało!“

I spojrział w górę: łza błysła w oku.  
Tuli się dziatwa do ojca boku.  
Z dziatwą nadobna tuli się matka;  
Gwarzy pospołu prosta czeladka,  
A podstolina modli się zcicha.  
Stolnik potrząsa głową i wzdycha.  
Czując, że niegdys niezłomne ramie,  
Zgrzybiała starość zwolna mu łamie.

A na kominie, jaskrawo błyska  
Rozżarzonego płomień ogniska,  
I krew Marcina napoty skrzeplą  
Chłodem i znojem, domowe ciepło

Znówu ożywia Spojrzy znienacka  
 Na wizerunek starego Jacka,  
 A księżyc oknem tchnie tajemnicze  
 Światło, na piękne starca oblicze.  
 Zda się, że ogniem żrenica strzela,  
 A srebrnym blaskiem lśni karabela;  
 Zda się uśmiechać stary Prandota,  
 Że jeszcze miłość, wiara i cnota  
 Tli w jego gnieździe.

Jasnoż wśród strzechy!  
 Jak gdyby anioł z wieścią pociechy  
 Przemknął, i rozwiął białemi pióry  
 Złowieszcze bladój tęsknoty chmury....

### E p i l o g.

Było to w kwietniu. Śniegi i lody  
 Spłynąwszy z ziemi, odkryły młodój  
 Trawki zielone i miękkie puchy.  
 Zdała, wśród ciszy wieczora głuchój,  
 Na Anioł-Pański, z rosą po błoniu  
 Płynęły dźwięki. Wolno na koniu,  
 Po świeżym dészczem zwilżonój drodze  
 Sunąłem lekko, puściwszy wodze  
 Memu karemu.

A byłem młody!  
 Jednak przyćmiła błękit pogody  
 Młodzieńczej, chmura. Chłód wiał ze świata  
 Na pierś spragnioną, a myśl bogata  
 Niedawno w kwiaty, dziś senna, zwiędła,  
 Ponury wątek przyszłości przędła.

Kochałem dziewczę—wzajem kochany;  
 Przecież jej dworku skromnego ściany  
 Rzucałem właśnie na długie lata:  
 Bo nędzne względy marnego świata,  
 Wstrzymując połot młodzieńczej chęci,  
 Zmusiły wygnąć Zosię z pamięci,  
 Wygnąć nazawsze ...



Toż mnie cień błądy  
 Ścigał dziewczęcia. Widziałem ślady  
 Łez w jasnym oku, i czułem jeszcze  
 Spojrzenie biędnej, trwożne, złowieszcze,  
 Co jak zraniona gołąbka biała,  
 Przy pożegnaniu na mnie rzuciła.

Dumałem senny w dziwnej goryczy:  
 Mącił mi duszę głos tajemniczy,  
 Szepcząc wyrzutu groźnymi słowy;  
 Piersi niby kamień tłoczył grobowy;  
 Głowa płonęła.

A tu przed okiem,  
 Wiosenny obraz z całym urokiem,  
 Corazto wdzięki rozwijał nowe....  
 W górze płały chmurki różowe,  
 Las szumiął zdala, śpiewacy leśni  
 Stali do nieba wieczorne pieśni,  
 I na fujarce flegiło dziecko.  
 Oj! cudnie było na bożym świecie,  
 Cudnie szczęśliwym!

Z kościołka wieży  
 Coraz to głośniej płynie dźwięk świeży.  
 Tymczasem zwolna stąpa mój kary:  
 Aż wyjrzy z za drzew kościołek stary,  
 I dwór opodal.

Wtém spojrzę z boku:  
 Niby własnemu nie wierzę oku ...  
 Znaną mi dobrze postać Prandoty  
 Za cmentarnemi dostrzegam wroty.  
 W ponurym jodeł i świerków cieniu,  
 Zomszonym laty siedział kamieniu.  
 Blask go otaczał wieczornój zorzy,  
 A u stóp grobu, przy męce Bożej,  
 Widzę klęczące nadobne dziatki.  
 Pośrodkiem postać jaśnieje matki,  
 Jakoby róża w pełnym rozkwicie  
 Wśród drobnych pączków.

Otarłem skrycie  
 Rzewną łzę w oku, bo mi się zdało,  
 Ze widzę Zosi mej postać białą  
 W rodzinny kółku. O! ileż razy  
 Takie myśli moja snuła obrazy!

Wiążę karego zdala u płota,  
 Idę na cmentarz. Spójrzy Prandota,  
 I jakby ze snu nagle zbudzony  
 Wita mnie, ściska, jak brat rodzony.  
 O! bośmy niegdys w jednakim bolu  
 Zbratani byli, na jedném polu  
 Krew lejąc społem!

Pod cichą strzechą,  
 Marcin się rychłą skrzepił pociechą  
 W rodzinném kole. Ja młodszy laty,  
 Gonilem jeszcze uludne kwiaty,  
 I przepomniałem wśród myśli wielu:  
 O wiernym druhu i przyjacielu.

— „Witajże Janku, witaj mi drogi!—  
 Rzecz Prandota.—Toć w moje progi  
 Zawadzisz przecie?”

Ja rad przystałem,  
 Bo zdawna sercem kochałem całym  
 Pana Marcina.

Powstała z ziemi  
 Nadobna Marya z dziatki hożemi.  
 Marcin z rodziną poznał mnie całą,  
 I w mgnieniu oka toż mi się zdało,  
 Że się przez długie już znamy czasy.  
 A kiedy gwarzym, za blizkie lasy  
 Zapadł brzask świetny wieczornej zorzy,  
 I wnet ponuro po ziemi Bożej  
 Cień się roztoczył, jakby żałoby  
 Grubą oponą.

Marcin dwa groby  
 Wskazał mi ręką, ukryte cieniem  
 Zielonych jodeł: krzyż je ramieniem  
 Oślaniał oba.

— „Patrz!—rzecz—Janie!  
 Tyleż po człeku jeno zostanie  
 Na Bożej ziemi! Silnież tu były  
 Serca, nim w głębi chłodnej mogiły  
 Znalazły spokój: bo za żywota,  
 Rychło im gwiazda zagasła złota.  
 A przecież pasmo długiej niedoli  
 Nie zamaciło pobożnej woli



Świętego źródła. w cichém ich łonie;  
 Z modlitwą w niebo unosząc dłonie,  
 Służyli Bogu szczerze a wiernie,  
 Choć ostre w pasmo żywota ciernie  
 Wplotła im Jego dłoń niezbadana!...  
 I zwolna, stale dążąc do Pana,  
 Z uśmiechem w ustach. z czoła pogodą,  
 Do grobu duszę donieśli młoda!

To się nazywa spełnić żywota  
 Ciężkie zadanie! Stary Prandota  
 Takim być umiał: taką została  
 Zaczna niewiasta co proch jój ciała  
 Tu się pod miękką kryje murawą.

Dni im ubiegły tęskno a łzawo...  
 Toż Pan pociechę dał im ostatnią,  
 Bo ona dłonią zamknęła bratnią,  
 Śmiercią zakrzepłe starca powieki,  
 I wnet spoczęła przy nim na wieki  
 Wierna do grobu. A Pan na niebie  
 Przyjął ich dusze społem do siebie.  
 Pokój im wieczny!

#### W Marcina oku

Rzewna łza w szarym błysła pomroku.  
 Skinął. i ciche cmentarza wrota  
 Przeszliśmy zwolna. Kary'u płota  
 Rżał niecierpliwie, i grzebał nogą.  
 Dosiadł go starszy chłopczyk, i drogą  
 Pomknął jak strzala; a my przed gankiem  
 Spoczęli, skryci zielonym wiankiem  
 Starych kasztanów. A wtém uderza  
 Dzwonek: w komnacie czeka wieczerza.  
 Idziemy społem: płomień ogniska  
 Na białe ściany komnaty błyska.  
 Jacka oblicze, by ogniem strzela,  
 I jasno stara łśni karabela.  
 Cicho i ciepło w domowym progu;  
 Wszystko tam składnie: znać, że po Bogu  
 Jasno się wije pasmo żywota.  
 Bo gdzie miłości splata nić złota  
 Nawzajem serca, myśli i duchy:  
 O! tam promienna gwiazda otuchy  
 Świeci choć za mgłą!

#### Tydzień pod strzechą

Gościłem z dziwną serca pociechą.  
 Ale bo jakże odjechać było,  
 Gdy się tak wdzięcznie społem gwarzyło!...

I czułem z wolna, jak pierś mą skrzepłą,  
 Rodzimój doli owiało ciepło;  
 I względy świata jako mgły męty,  
 Pierzchły na połysk miłości świętej,  
 Co jakby słońca ozywczém tchnieniem,  
 Świat upromienia zamierzchły cieniem.

A kędy błysnie odbłask on złoty  
 Na życia smugu; wnet dawne cnoty  
 Wschodzą, bogate zwiastując plony;  
 I wzrasta bujnie kwiat nieskażony,  
 Cóż w barwy jasne, wonne a żywe,  
 Zwiędłą żywota potrząsa niwę.

O! kto cię nie czci święty płomieniu,  
 Kto zabłąkany w ponurym cieniu,  
 Ugania wiecznie, nie szcędząc trudu,  
 Ognik wylęgły z ziemskiego brudu,  
 Co nad plugawym nocą bagniskiem,  
 Świeci przelotnie gwiazdy połyskiem:  
 Biadaż mu, biada. bo w steku błota  
 Zanurzy jasne pasmo żywota!

Toż Bóg dał człeku świętą ostoję,  
 Gdzie, gdy go zmogą żywota znoje,  
 Kiedy go niemoc otoczy blada,  
 Rad ciężkie brzemie chwilowo składa.

Bóg na osłodę tułaczój doli,  
 Człeku ognisko rozetlił gwoli  
 W domowym progu. i w niem na ziemię,  
 Promień tchnął z nieba na ludzkie plemię.

I któż nie zgadnie, że blask ów święty  
 Przejął mą duszę, i otrząśnięty  
 Z światowych mętów, dziękując Bogu,  
 Do miłej Zosi wróciłem progu?!...

Oj! chyżo koń mój popędził kary  
 Przez drogi, miedze, pola, i jary;  
 Wnet mi i domek zabłysnął biały,  
 I lipy świeżą wonią powiały,  
 I wdzięczna postać w okienku migła....

—O Panie!—rzekłem—twa' niedościgła  
 Wola mnie wwiiodła w progi Prandoty,  
 W święte ognisko rodzinnej cnoty.  
 Spraw, niech czcęg wiernie czyni i słowy,  
 W pasmie dni moich płomień domowy....

\*\*\*



# KŁOPOTY STAREGO KOMENDANTA.

## ODWET ZA SIOSTRZENICĘ.

### Opowiadanie.

#### I.

Znany wam jest z przeszłego opowiadania stary komendant a mój ojciec; znana mniej więcej matka i waleczna komenda (1): pozostaje mi tylko, dla lepszego wyświecenia następującej sceny, opisać miasteczko w którym mieszkaliśmy, przyjaciół i znajomych naszego domu, i wreszcie zwyczajny obraz życia domowego rodziców. Chociaż te opisy wydać się mogą rozwlekłemi, nudnemi nawet; jednak zdaje mi się, że pojęcie charakteru zawisło najczęściej od poznania najdrobniejszych zatrudnień domowych osób działających, ich nałogów, mieszkań i sprzętów: bo każdy prawie człowiek zostawia niejako w tych martwych przedmiotach część swęj myśli i wyobrażeń. Każda epoka życia ludzkiego, jak równie każdy wiek życia narodów, mają odrębną i wcale odmienną, a sobie właściwą barwę. Typ osoby, którą zamierzyłem opisać, już nie należy do dzisiejszych czasów: już on znika z horyzontu naszego, i za lat kilka ledwo ślad jego zostanie w książkach i opisach. Moim zamiarem jest przedstawić charakter ex-wojskowego, co to dziekiem obtarł się o nieskażoną francuzkim wpływem cywi-

(1) Zobacz Bibliotekę Warszawską, styczeń, 1854 r. Rozmaitości.

lizacją staropolską; młodzieńcem, podzielał pełne burz i czynności życie towarzyszków wypraw Napoleona; starcem, połączył oba te wpływy spędzonego żywota. i bezprzeszanną walkę obu przywyknień z nieubłaganą starością i objawiającą się nudotą, pochodzącą z braku czynniejszego życia. Nie będzie to powiastka, dykteryjka, lub gawędka; ot tak sobie, prosty opis rzeczywistych zdarzeń z życia starego komendanta.

Miasteczko W..... leży na wzgórzu, oddzieleném od Wisły rozległym i równym błoniem, które w czasie wylewów zamieniało się w nieprzejrzaną okiem morze. Najkorzystniej przedstawiało się od strony Wisły. Począwszy bowiem od stóp wzgórza, coraz wyżej, ciągnęły się wązkie aż do szczytu sady, pooddzielane żywym płotem, ubarwione w lecie zielonością i wyniosłymi gruppami drzew, przerznięte gdziegdzie wijącą się jasną drożyną. Na szczycie pierwszej góry rozłożone było samo miasteczko w dość długiej przestrzeni, tak, że na oko większym i bardziej imponującym się zdawało, niż było rzeczywiście. W istocie składało się ze stu kilkudziesięciu domów parterowych, prócz kilku nawet niepobielonych, gdyż z powodu trudnego nabycia wapna i kamieni, domy były drewniane, narzucone zewnątrz gliną z ponasadanymi kawałkami palonej cegły, co nadawało miastu postać jakby ospowataj.

Dwie niebrukowane ulice, wyciągnięte wzdłuż góry i dość symetrycznie zabudowane, składały całą osadę. Z jednej strony więc domy dotykały wyżej wspomnianych ogrodów, a z drugiej podnóżka wzgórzy jeszcze wyżej posuniętych. Te skrajane w różnych rozmiarach prostokątne łany, z których jedne szare, drugie zielone, inne jeszcze bardziej zielone z wałęsającym się gdziegdzie drzewkiem, cudnie odbijały na szarym tle miasteczka, i stanowiły, że tak powiem, przylepiony obraz, umajony zielonością i doskonale w swych szczegółach widziany.

W pośrodku domów, jak stary ojciec w swém familijném gronie, rozsiadł się drewniany kościółek. Swą wysmukłą i zgarbioną wieżyczką zdawał się czuwać nad drobniutką czeladką domków i błogosławić jój.

Dzwonnica mała drewniana, jak zmartwiona córeczka tuliła się do kościółka, szukając opieki i wsparcia: bo również swym szczytem chyliła się ku niemu. Pamiętam, ile razy dzwo-



niono we wszystkie dzwony, trzęsła się w swojej osadzie, i to tak mocno, że obawiano się przechodzić tamtędy, gdyż zdawało się, że lada chwila runie. Ale, jak miejscowy dziadek opowiadał, trzęsła się ona podobnie od lat 50, a mocno jednakże stała, i według niego jej obalenie się połączone było z jakąś przepowiednią wcale niemiłą dla parafian. Dlatego też ile możliwości podtrzymywali staruszkę, podpierając dylami wyżej i niżej; a stary dziadek mawiał: „że dzwonnica co rok nową laseczkę dostaje”.

Odwieczne lipy odgradzały szczuplutki cmentarzyk trawą zarosły, a niektóre z tytułu tak dawniej z kościołem zażyłości, ośmieliły się ciekawe gałązki przez wytłuczone szyby wewnątrz zapuszczać.

Na prawo, niedaleko od kościoła, zbudowany magazyn solny stanowił jakby cytadellę miasta, a zarazem jego ozdobę. Dość obszerny, oprowadzony niewysokim murem kwadrat, z dwiema na przekątni czerwonymi bramami, mieścił w sobie z jednej strony właściwy magazyn soli. po lewej ręce duży dom pisarza magazynu, z gankiem, czterema filarami podpartym, a naprost trzy symetrycznie rozłożone domki, z których środkowy był przez nas zamieszkały, dwa zaś boczne przeznaczono dla oficyalistów i pomniejszych urzędników magazynu solnego.

Cóżto znów za prześliczny widok odkrywał się z okien naszego mieszkania, wychodzących na Wisłę!... Najbliżej, obszerna zielona równina, przerznięta węzowatą smugą Wisły, ubrana w żywej świeżości wiklinę, kończyła się daleko w Galicyi, a raczej łączyła małemi krzaczkami z pasem niepołomskich lasów. Spójrz na prawo i lewo: wszędzie gdzie okiem dosięgniesz ciągną się wiecznie zielone lasy, w wężykowatym jak Wisła kierunku. Nad niemi jeszcze splecione z niebem Tatry dumnie podnoszą czoła ubielone śniegami, zbrudowane w różnych kierunkach szaremi smugami, obsiane bliżej podnóżka okiem dojrzanemi wioskami, z błyszczącemi kopułami świątyń.

Tu na prawo Wieliczka; tu domki rozrzucone po wzgórzach, tam klasztor zakonnic w Tyńcu, a jeszcze dalej Niepołomice i komora celna. Na lewo, lecz nieco dalej rysuje się Bochnia; obok niej widzisz na odosobnionej górze wspaniałe mury kościoła w Uścieśetnie, a wszędzie zieloność. kupkami usadzone wioski, folwarki, kościoły: wszędzie doskonała harmonia i wdzięk niewystłowny.

Widziałem mnóstwo pięknych krajobrazów, widziałem wspaniałe cuda Ojcowa i Pieskowej Skały, widziałem zdumiewających rozmiarów góry Szwajcaryi saskiej; lecz wyznam, widoki te nie mogły iść w porównanie z tym, jaki z okna pokoju mego się odkrywał.

Może to jest uprzedzeniem, może nawet nieprawdopodobnym, może wreszcie te cuda zasłabom opisać, żebym się mógł usprawiedliwić z takiego porównania; jednakże wspomnienie tych gór, tych lasów, tych wieżyczek i tych sinych wierzchołków Tatrów, napawa moją duszę jakimś nieokreślonym uczuciem piękna i harmonii przyrody. Patrzałem na nie oczami i duszą dziecka, młodzieńca, i człowieka; z ich widoku nauczyłem się poznawać nieskończoną wielkość Stwórcy, nauczyłem się kochać Go całym sercem; na przyszłą zaś drogę żywota, zasililem duszę pokarmem nieostygłej i niewyrugowanej żadną przeciwnością wiary!

Domek środkowy, jak powiedziałem, był przez nas zajmowany. Wchodząc ze dworu, wprost zaraz była owa śpiżarka, a raczej areszt; obok niej schody prowadzące na strych, a po lewej stronie duża izba służąca za odwach. Prawa strona zaś składała się z dwóch pokoi od frontu położonych, jednego znowu od tyłu, i kuchni z oknami na pola wychodzącymi.

W pierwszym zaraz pokoju, noszącym nazwisko jadalnego, była także i kwatera dziecinna. Na środku duży stół dębowy z podwójnym blatem, zawsze biało wymyty, kilka krzesel prawdziwych inwalidów, powleczonych pokrowcami na białe tasiemeczki po rogach zawiązywanemi; sofa zszarzałym safianem wybita, szafa czarna na suknie i dwa dzieciadne łóżeczka z czerwono malowanemi sztachetkami, wraz z stolikiem atramentem zbryzganym:—stanowiły zupełne umeblowanie. Szafka czy apteczka wmurowana w ścianę i pod osobistym nadzorem matki zostająca, służyła także za miarę wzrostu dzieci; na niej, co rok wyżej położony krzyżyk oznaczał z lewej strony wzrost mój, a z prawej strony młodszej siostry.

Drzwiczki téj szafki były dla matki znowu prawdziwym rejestrem. Na nich krédą pisała wszystkie wydatki, notowała ważniejsze wypełnić się mające roboty: daty osadzenia kaczek, gęsi i t. p. Wprost drzwi wchodowych zawieszony był zegar, z dwoma dzwonekami po bokach, w które co godzina drewnia-



ne figurki, potężnymi młotkami uderzały. Zegar ten co rano ojciec sam nakręcał i poprawiał; wszelako szedł on sobie samowładnie, i bił często zamiast dziesięciu, ze trzysta razy, za każdym uderzeniem sycząc przeraźliwie.

Nad łózkami dzieci zawieszono były wizerunki świętych ich patronów, a nad mojem prócz tego, na dwóch gwoździkach położona różga z drewnianą szabelką; pod niemi zaś tabliczka czarna, taka, jaką po szpitalach nad łózkami zawieszają, z napisem wielkimi literami ręką ojca kreślonymi: „Porządek jest duszą wszystkiego”.

Z tego pokoju wchodziło się do drugiego obszerniejszego nieco, o dwóch dużych oknach, nazywanego bawialnym. I w rzeczy samej miał on więcej okazalszą postać niż inne.

Wprost drzwi stała jesionowa kanapka wąziutka, bez wyściełanych bocznych poręczy, przez co wyglądała ona jak jaka suchotnica. Przed nią stał stół okrągły na jednej nodze, z bukietem kwiatów na środku latem naturalnych, a zimą sztucznych. Z jednej i drugiej strony kanapy stało w dwóch rzędach po kilka krzeseł również jesionowych, i podobnie jak kanapa zielonym merynosem pokrytych. Co téżto było zawsze sprzeczek, z powodu ustawienia tych stołków! Matka chciała stawiać je z jednej i drugiej strony stołu, w rzędach na pokój ku drzwiom posuniętych; ojciec znowu w podwójnych szeregach obok kanapy.

— Co tam Imość będziesz innych naśladować— mawiał często— niech sobie będą w szeregi jak wojsko, to jakoś lepiej wygląda, i bezpieczniej przez pokój przechodzić: człek się nie potknie...

— A jakżeż goście siedzieć będą? jak dzieci w szkole, jedni za drugimi?

— Niech sobie siedzą jak chcą, kiedy ja Imości powiadam, że tak lepiej.—I przestawiał po swojemu krzesła w szeregi, na bokach umieszczał fotele, dodając, że to oficerowie skrzydłowi.

Każdego dnia wychodząc rano ze swojego pokoju, oglądał najprzód stołki, i jeżeli w innym stały porządku, natychmiast do dawnych regulował je szeregow.

Z początku walka ta odbywała się codziennie, coś przez 3 lata; nareszcie znudzona matka ustąpiła, i krzesła już odtąd spokojnie sobie stały.

Między oknami umieszczono znowu także jesionową komodę, na której rozstawiono filizanki z złocionymi brzegami, dzbanuszki różnokolorowe, flakoniki, miseczki szklane, stożki ozdobne. I ja tam cukrowe figurki stawiałem, tylko nie na długo, a ojciec koniecznie nalegał, aby i jego fajka piankowa z wyrobionym na wierzchu jeleniem, miejsce tam także znalazła; lecz matka stanowczo się sprzeciwiała, a fajka chcąc nie chcąc wróciła do biurka porucznika. Nad komodą zawieszono było duże w starych szylkretowych ramach zwierciadło, z potężną kokardą u góry, a nad nią jeszcze na długim przez oba okna ciągnącym się drążku, zarzucone w różnej wielkości festonach białe firanki, stanowiły główną oznakę bawiałnego pokoju.

W oknach, na schodkach umyślnie sporządzonych, pełno było najrozmaitszych kwiatów, w większych i mniejszych wazonach, a nawet wiszących; matka bowiem szczególnie lubiła kwiaty, i te z największą starannością hodowała. Z tytułu tych kwiatów, wolno było czasami ojcu palić fajkę w salonie, żeby mszyce wyniszczyć. I gdybyście widzieli porucznika, z jakim tryumfem puszczał pomiędzy listki ogromne kłęby dymu, jak im się przypatrywał, jak je rozprawdzał po wszystkich załomkach zlekka poddmuchując: tobyście uznali go wtedy najszczęśliwszym.

Nad kanapą wisiały portrety ojca i matki z poczerńiałemi twarzami, wszelako odznaczające się podobieństwem; dalej Matka Boska Bolesna, kilka sztychów przedstawiających Napoleonowskie batalie, wizerunki w Bogu spoczywającego Cesarzewicza Konstantego i Napoleona, a w samym kącie odedrzwii mój ołtarzyk, wyklejony przez ojca złocionym papierem, z powyrznanemi obrazkami świętych. Z tego pokoju, po narzuconej od wchodowych drzwi płócienną ścieżce, wchodziło się do pokoju ojca, a razem sypialnego rodziców. Pokój ten dwojaką i wcale odmienną miał postać. Z lewej strony mieściło się łóżko matki; przy oknie ocienioném białą roletą, zastawioném wazonami kwiatów, stał mały stoliczek, na nim toaletka, a obok niskie trzciną wyplatane krzesło. Tu to był najulubieńszy jej kącik, tu zawsze siadywała z robótką, tu się modliła co rano i co wieczór, tu czytywała książki i uczyła siostrę.

Wszystko, poczynawszy od obrazków zawieszonych nad łóżkiem i w framugach okien, aż do najdrobniejszych sprzączków



ustawionych na toalecie, oddychało jakimś gustownym ładem, miało coś takiego przyciągającego, schludnego, uroczego, iż świadczyło, że tylko kobieca ręka mogła to urządzić, zaszczipiając wszędzie piętno delikatności i uroku, właściwe kobiecój wyobraźni i tkliwości jój serca.

Cóż za odmienną, a nawet sprzeczną powierzchowność przedstawiała druga połowa pokoju dla ojca przeznaczona! Najprzód łóżko żelazne, flanelową kołdrą pokryte, niskie z safianową poduszką, opierało się o prawą ścianę. Obok niego kuferek starym kobiercem nakryty, a z drugieój strony, lecz między oknami, biurko, a raczej duży stół ceratą wybity, z umieszczoną na nim szafką o trzech oszklonych pułkach. Biurko to, niejako zaklęte muzeum różnaitości, zawierało w sobie mieszanię najrozlicniejszych przedmiotów, i było wszystkiem dla ojca. I tak, na piérwszej pulce stały rzędem kapciuchy z tytuniem własnój fabrykacyi; począwszy od pęcherzowego, aż do aksamitnego ozdobnego świecącemi paciorkami, wszystkie napelnione. Pomiedzy jednym a drugim zawieszone były fajki drewniane, porcelanowe, piankowe, małe, większe, krajowe i zagraniczne, a przed niemi leżało ze dwadzieścia par okularów, ale tak, że każda para na właściwój fajce opartą była.

Druga pułka mieściła książki do nabożeństwa, Żywoły Świętych Pańskich, zbiór najdawniejszych kalendarzy, książki popularne lekarskie, przez ojca przepisywane, roczniki wojskowe, a w środku najozdobnieój oprawne życie Napoleona.

Najniższa pułka była zbrojownią. Tu leżały trzy dawne pałasze, para pistoletów, szlify dawnych ułanów całkiem poczerniałe, pudełko kul, rożki z prochem, strzelniczym, kilka szkieł palących, luneta i inne przybory myśliwskie: szrubsztaki, przetyczki, zamki od broni i t. p. Jako osobliwość, chował ojciec starannie obwinięty kawałek siarczyku żelaza, zczerniały i okrągły naksztalt kuli karabinowój. Podług niego miała to być kula z czasów Kościuszkowskich, na polach pod Szczekocinami znaleziona. Trafiło się, że któryś z sąsiadów, więcej znający metale, oglądając takową oświadczył porucznikowi grubą jego pomyłkę. Stary w téj chwili zamknął szafkę z gniewem, i powiedział żywo:

— Asan się nie znasz, i żałuje, żem ci to pokazał. Teraz to ci powiem tylko, żem ją sam od włościanina tamtych okolic kupił za 2 złote polskie; ten zaś włościanin znalazł ją

w polu gdzie była batalia, i kwita! Hum! kamień to ma być! Wy chcielibyście ze wszystkiego kamienie porobić! Kamień znowu!....

— Jeżeli mi nie wierzysz — odparł sąsiad — to poprobuju nożem, czy się da ukroić?

— Ej! daj Waćpan pokój z krajanem! Co mi tam po probach: chłop powiedział że kula, to kula, i ja od tego nie odstępę; a zresztą czy to ołów nie może stwardnieć przez tyle lat? Weźno Waćpan kawałek gliny tylko, nie ołowiu, rozumiesz, gliny, i potrzymaj ją 40 lat: zobaczysz co się z nią zrobi. He?

Tak go obeszło to powątpiewanie, że nikomu potem mniemaną kuli nie pokazywał.

Na stole samym ustawił kałamarnicę z łańcuszkiem u korka, jak to uczniowie używają, porozkładał symetrycznie ołówki, pióra, papiery dotyczące komendy, i szereg krzesiwek najrozmaitszych kształtów i wielkości, porządkiem od najmniejszego do największego, każde krzesiwko na czworograniastym kawałku hubki ustawione, z odpowiednim krzemieniem. Ojciec bowiem był największym nieprzyjacielem zapalek: „Co to mosanie jakiego patyczki znaczą? — mawiał — wymysły płuderskie i nic więcej; aby pieniądze wydrwiwać, mosaniel. To mi ogień: ciach, ciach i już się pali! Ojcowie nasi od wieków nie znali patyczków i ogień mieli i poczciwie żyli.”

Kiedy zdarzył się dzień słotny i ojciec z domu wyjść nie mógł, nie mając innej roboty, otwierał biurko, wyjmował przedmiot po przedmiocie, oglądał, obcierał, czyścił, rozkładając po wszystkich miejscach, gdzie tylko dało się położyć: po łóżkach, oknach, na podłodze, kuferku, i znowu tym samym porządkiem ustawiał w szafce.

Mały czworobok uformowany pod oknem jednym bokiem łóżka i drugim biurka, nazywał swoim kącikiem. Tu dopiero był chaos narzędzi, jak w jakim sklepie żydowskim: piłki, stolarskie piły, heble, pilniki, dłuta różnych wielkości, młotki, siatki na ryby, obręcze, i inne tym podobne przedmioty w części leżały na podłodze, a w części umieszczone były w kątowej szafce o kilku pułkach. Nigdy obca noga tu nie powstała, bo porucznik strzegł skarbów sam, i żonie najsurowiej zabronił dotykać się świętości dla niego tylko przystępnych.

Nad łóżkiem wisiały dwie suzye na krzyż na jelenim rogu z ogromnemi gałęziami, obrazek św. Andrzeja potrona ojca; pod nim w skórzaną torebkę stary zegarek repetier, a obok



w pudełku oszkloném i wybitém niebieskim aksamitem, krzyż legii honorowej, największą wartość w oczach jego mający. Niżej jeszcze wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, którą z Wilna sobie przywiózł i nowenny regularnie do Niej odmawiał.

Ledwo dzień zajaśniał, już komendant był na nogach: odmawiał pacierze, godzinki, litanie, a potem wychodził na mszę. Zimą czy latem, w pogodę lub słotę, zawsze musiał być na mszy; o ile zapamiętam, nie trafiło się nigdy, aby ją opuścił.

— Kto z Bogiem, Bóg z nim—mawiał.— Jak my o Nim zapomnimy, i On o nas zapomni.

Po mszy zwykle wstępował do proboszcza na śniadanko i pogawędkę. Dziekan i proboszcz ówczesny, były kadet kaliski, a następnie skutkiem zbiegu wypadków, kapłan, było starszek około 70 lat mający. Czerstwy jeszcze i krzepki, z posiwiałym i rzadkim włosiem, prosto się trzymał i do chorych pół mili piechotą z wiatykiem chodził.

Ojca kochał bardzo, i nie było dnia w roku, aby się nie widzieli z sobą. Miał widać z dzieciństwa wpojoną żyłkę wojowniczego ducha. Bywało jak starzy rozgadają się na plebanii o dawnych czasach, jak sobie zaczęą przypominać stare dzieje: pleban zawsze skierował rozmowę na korpus kadetów w Kaliszu podówczas będący i czas jego tam pobytu. Raz, pamiętam, po mszy wstąpiliśmy z ojcem do dziekana. Po małej przekąsce, ojciec zapaliwszy przygotowaną dlań fajkę, rozsiadł się w fotelu i dalejże w gawędkę. Zaczęli od pogody, zeszli następnie do zdrowia, znów powoli, powoli do dawnych czasów, a wkońcu zjawił się korpus kadecki.

— Panie Andrzeju!—ozwał się stary proboszcz—wiész, Bóg widzi, że jak sobie wspomnę owe lata, gdy człowiek drewnianym pałasikiem siach, mach, na prawo i lewo wywijał, i tego starego instruktora Niemca, co to zamiast pięć głównych cięci, komenderował: *pięć cięci ręci*: to aż stara krew się we mnie zagrzewa. Wtedyto było życie! he?

Ojciec zdawał się nie słyszeć tego, bo otoczony gęstym dymem, siedział milczący.

— No i cóż ty na to Jędrusiu? Wiész co mi na myśl przyszło?

— Cóż takiego?—zapytał ojciec.

— Żebyś też spróbował mię wyegzaminować, czy też pamiętam owe pięć cięci.—I przy tych słowach starowina pobiegł do kąta, wziął sporą laskę i stanął prezentując ją przed ojcem.

— Ale nie tak, nie tak Dobrodzieju: rękę niżej! Ot tak— i podniósł się porucznik z krzesła, porwał jakiś cybuch i stanął przed księdzem.

— Ramiona opuścić, piersi naprzód, a brzuch schować! Ale bo to Dobrodziej zagruby: na dobosza prawie, a nie na szeregowca!—i dalejże księdza popychać, prostować; starowina zaś silił się naginać członki i przymuszać, by przypomniały sobie dawniejszą giętkość,

— Teraz nieźle. Pięć głównych cięci pałaszami: naprzód, zastaw się!

I staruszek podniósł laskę, lecz ręka słuchać nie chciała, bo trzęsła się potężnie, kreśląc w powietrzu różne gzygzaki; gdy tymczasem oko czarne zabłysło dawnym ogniem, twarz się zarumieniła, zem nie poznał staruszka. Otóż jak silném i prawie wskrzeszającym jest wspomnienie młodości!...

Ojciec z dziekanem tak się musztrą zajęli, piérwszy tak się gniewał, a drugi forsował wywijając kijem, że nie zważali wcale, jak gospodyni, również staruszka bezzębna, dość często zaglądała do drzwi: to śmiała się serdecznie, to marszczyła już i tak zmarszczone czoło, mruczając do siebie: „Wystygnie, moi państwo, *jagem* rzekła wystygnie“.

Musztra szła ciągle. Skończono cięcia, zaczął się marsz. Gdy stary podniósł nogę do góry dla zrobienia kroku, trudno mu ją było w tym stanie utrzymać; porucznik zaś jak na złość przeciągał coraz tak długo, iż dziekan przemieniał co chwila lewą na prawą, i znowu prawą na lewą nogę, stojąc w miejscu. Niecierpliwiło to komendanta, bo zapomniał zupełnie kogo musztruje, i to tak dalece, że zobaczywszy u księdza buty ogromne, wcale nieoczyszczone, fuknął z gniewem:

— Eh! do stu fur beczek! Chcesz Jegomość musztry, a butów sobie nie oczyściłeś. Tfu! mosanie, flejstuch z Waszecia: do smarowozów ruszaj, a nie do frontu!

Dziekan wcale na to nie zważał, tylko podkasawszy swój długi zaplamiony surdut, maszerował to w prawo, to w lewo, a ojciec stojąc pod oknem, świstał jakiegoś marsza, wybijając takt to nogą, to uderzając dłoń w dłoń. Tymczasem zniecierpliwiona Kundusia (jak ją proboszcz nazywał) wysunawszy głowę



z kuchni, donośnym i piskliwym głosem zawołała: „*Jagem* rzekła. Jegomość, piwo wystygnie *na nic*.”

Ksiądz usłyszał wezwanie, lecz widać nie śmiał przerwać musztry, bo trzymając ciągle kij na ramieniu, odezwał się do ojca:

— A co Jędrusiu, możeby już i przestać, bo słyszałeś, ta Kundzia gada coś, że piwo wystygnie.—Ale ojciec wcale nie słuchał, tylko komenderował dalej: — Na lewo w tył, marsz! Tak, tak: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy— i takt już nie ręką, lecz całą postawą wybijał.

Tu Kundzia pozbyła się ostatniej dozy cierpliwości, wpada więc do pokoju z przekręconym na głowie czepkiem, i wyglądającymi z pod niego ciekawie siwemi kosmykami włosów, potrząsa z gniewu niesioną w rękę salaterkę z piwem, i oblewa dziekanowi suknię.

— Patrzcie państwo, kto widział szaleć na starość; a polewka jak stygnie, tak stygnie!

— No, no, daj pokój staruszko — odrzekł uśmiechając się dziekan, stawiając improwizowany pałasz w kącie i obcierając chustką najprzód pot z czoła, a potem zwalaną suknię.

— Staruszko, staruszko — powtarzała już w kuchni Kundusia — widzicie go, jużem staruszka. — I znowu pokazała we drzwiach głowę z zaczerwienioną twarzą, iskrzącymi oczyma. — Chociem niby staruszka, ale głupstw nie robię, Dobrodzieju! — zawołała.

— Ot Jędrusiu! zacznij z babą, to się od niej nie odczepisz. Trzy dni będę jadł przydymione potrawy za tę staruszkę, ale to swoja rzecz. Powiedz mi też mój drogi, pamiętam też, hę? bo to już tyle lat minęło, i coś ręka słuchać nie chce.

— Tak, tak, ujdzie — odrzekł porucznik siadając do polewki. — Zgadłeś dziekanie, przydymiona; ażeby ona milion sur beczek...

— Nie klnijno Jędrusiu i daruj Kundusi. Ale, ale, za bałamucilem się, a tu jeszcze muszę zajrzeć do Kudelskiego. Wiész, biedaczek wybiera się pono na owsisko; dziś dodnia dysponowałem go i źle z nim było. Mój Boże! dzieci szesćcioro, drobiazg bez matki. Paniel miěj go w swěj opiece!

Pominąwszy te dziecinne wysoki proboszcza, jako nieodłączne starości wady, byłto w całym znaczeniu tego wyrazu zacny i ucziwy człowiek. Wszyscy parafianie kochali go jak

ojca i opiekuna. Do niego udawali się o pomoc, radę i opiekę; on zaś nikomu nie odmówił, i czém mógł: datkiem pieniężnym, zbożem, pociechą religijną, radą, każdego obdarzał.

Pod jego okiem i zarządem całe miasteczko wzrosło. Wszystkich chrzcił, żenił i chował, wszystkich znał po imieniu: znał ich stosunki familijne, pokrewieństwa, stan majątkowy i moralną wartość. Od lat przeszło 40stu zarządzał tą parafią, i tak przywykł do tych szarych ścian kościołka, tak miłą mu była poczciwa trzódka wiernych, że kilkakrotnych ofiarowań miejsca kanonika w kapitule nie przyjął.

— Ja już tu legnę — mawiał. — Lżój mi będzie umierać, gdy pomyślę, że pokryją mię ręce wnuków tych, których chrzcilem.

Pomimo dość znacznych przychodów z parafii, i korzyści z gruntów do plebanii należących, zawsze był bez grosza; albowiem często się trafiło, że po skończonój uroczystości pogrzebowej jakiego biédaka, gdy przyszli do niego z zapłatą, dokładał im po kilka złotych z swój kieszeni: — „Weźcie tę trochę (mówił), ja sam jeden i niedługo mię na świecie: wyście potrzebniejsi. Nie dziękujcie wcale, bo Przedwieczny sownie mi odpłaci”.

Mieszkanie téż jego nie pokazywało wcale dostatków. Skromne, niemalowane nawet sprzęty, bez tych drobiazgowych wygódek, potrzebnych starcowi, zajmowały jeden pokoić w którym mieszkał; w innych zaś pomieścił kilkoro dzieci, sierot po zmarłych parafianach. Te wychowywał swym kosztem, a gdy podrosły dawał do rzemiosła, lub do szkół w miarę zdolności wychowaućców. Jak sam opowiadał, już dwadzieścia siedm dzieci tym sposobem na ludzi wykierował, a jeden nawet był znakomitym doktorem w Paryżu.

Jako serdeczny przyjaciel ojca i w ogóle całego naszego domu, mnie z siostrą w wolnych chwilach uczył religii. W tym celu trzy razy na tydzień chodziliśmy do niego — „nie z książką, broń Boże! bo ja chcę was nauczyć czytać religią z serc waszych (mawiał): ztamtąd nic ją nie wyruguje, nic nie wymaże. Słowa ulatują, pismo niszczeje, a ziarno Boże zaszczerpione na dobrze uprawnym gruncie, nie zgnije nigdy i plonne wyda owoce”.

Jeszcze teraz zda się, że widzę poważną twarz staruszka ocienioną siwemi promieniami włosów, spadających na ramiona; czuje, jak przyciska mię do łona zółkłą od starości ręką,



i slysze ten drzacy głos, jakim przemawiał do dziecięcej duszy: „Kochajcie się dziecieczki, kochajcie się jak nas Bóg umiłował. Wszyscy ludzie na świecie są jak wy, bracia i siostry wasze; oni was wspomogą w potrzebie, oni was przytulą do łona, gdy Bóg nieszczęście na was ześle. Kochajcie przede wszystkim Ojca, który jest w niebiesiech; zlejcie się w jedno uczucie miłości, a powiadam wam, staniecie na opoce tak twardej, że burze świata tego nie dosięgną was. Prawda i cnota niech będą przewodnikiem waszym; dla nich poświęćcie światowe korzyści: one za nie wystarczą, bo dadzą spokojność sumienia, i błogie zadowolenie wewnętrzne, żeście wołają Pana spełnili“.

Wspomnienie tego cnotliwego kapłana będzie w mém życiu jedną z najmilszych pamiątek; dał mi bowiem więcej jak życie, więcej jak majątek, wlawszy niewygasłą nigdy isierkę dobra w moję duszę:—religią i czucie.

Ztémwszystkiem był nadzwyczajnie wesołym w towarzystwie, doskonałym ogrodnikiem i lekarzem; posiadał niewyczerpany zapas pociesznych dykteryek, opowiadał je z całą naturalnością i żywością, bez tych rozwlekań starcom właściwych.

— Jakże ci téż Jędrusiu tytuń smakuje?—zagadnął ojca, skończywszy śniadanie.

— Ot wcale niezły; dalipan lepszy od mojej litery g. i właśnie łamię sobie nad tém głowę, zkąd go Jegomość mógł dostać? Znamci ja wprawdzie wszystkie gatunki tytuńców, a tego coś rozpoznać nie mogę. Nibyto knaster, niby olawski, niby bessarabski, ale nie! Mój dobrodzieju! powiedzno, zkąd ty go wzięłeś?

— O! z dalekich bardzo krajów, bo aż z pod stodoły—z mego ogródka.

— Co znowu Jegomość tytuń siałeś? Chyba żartujesz sobie.

— Daje ci moje słowo, że nie. Miałem trochę nasienia, na wiosnę tedy posiałem dwie kwatery dla porucznika: pięknie się udały. Zebrałem przed dwoma tygodniami, przyrzadziłem jak się patrzy i kwita.

— To musi być jakiś szczególny gatunek; przez Boga, gadjajże dziekanie!

— Drejkienig krajowy, kochanie, i nic więcej.

— Fe, proboszczu! Jakto można drwić ze mnie—zawołał z żywością ojciec i zerwał się z krzesła.—Waszmość dziekanie robisz mię głupcem, czy co? Czyż ja to nie znam drejkienigu, nie paliłem go przez 20 lat w pułku? Wśród tysiąca dymów poznałbym go jak rodzonego brata.

— Starość nie radość, mój Andrzej! Widać się nos nadwerekzył, bo zaręczam ci, że to najczystszy drejkienig. A złapałem też Dobrodzieja na jego rzemiośle; weź się Mocium Dobrodzieju do tabaczki kochanie, do tabaczki!—i śmiać się począł starowina.

— Oho! zmyślasz Dobrodzieju, ale to nie ze mną; tabaczkę schowaj dla Kundzi i dla siebie: jam stary lis, co go niełatwo siatką przykryć.

Widząc proboszcz, że ojciec na seryo się zapérzył, a nie chcąc go dalej jątrzyć, dodał:

— Wierz mi, to czysty drejkienig, a żeś go nie poznał, nie twoja w tém wina. Ten co sprzedają po sklepach, musi być fabrykowany z saletrą, uprawiany może inaczej, i cała w tém zagadka.

— A w to mi graj!—zawołał udobruchany porucznik—tak, to co innego: bo wiesz kanoniku, że zarzucać mi nieznajomość tytuniów, jest to samo, jak powiedzieć: że wtedy wiosna, gdy liście z drzew opadają!

Muszę tu objaśnić owe mniemanie porucznika, co do znawstwa tytuniów.

Jeszcze w pułku będąc, jak mawiał, najulubieńszém jego zajęciem była lulka. Później to przyzwyczajenie zamieniło się w namiętność. Nigdy prawie fajki z ust nie wyjmował, czy jeżdżąc, czy robiąc co, zawsze z fajką. Niechno tylko wyczytał w jakim nowym lub starym kalendarzu sposób przyrządzenia lub ulepszenia którego gatunku tytoniu; niechno mu kto podał takowy, już nie wchodząc w to, czy podany środek może-bny lub nie, czy kosztowny lub tani, całkiem się nim zaprzętnął. Kładąc się spać, rano wstając, myślał ciągle i mówił o wykonaniu swego zamiaru.

Zawsze był przekonany, że sztucznymi przyprawami można będzie z najordynarniejszych liści tytoniowych waksztal przyrządzić. Nic tu nie pomagały przełożenia żony, nie zastraszały koszta i trudy: wszystko zwyciężał. Matkę łagodził jak mógl, garnki kupował i inne potrzebne przyprawy, i brał się



do dzieła. Często różnych forteli używał dla oszukania matki, która stanowczo sprzeciwiała się wszelkim doświadczeniom.

I tak: zwykle rano w kuchni nie rozpalano ognia, bo kawę na maszynie przyrządzano. Gdy wybiła 9, a ognia w kuchni nie było, ojciec się uwijał po pokojach z swojemi garnkami, zaglądał do kuchni po kilkakroć, stawiał przyrządy w swoim pokoju, i z miną niby najobojętniejszą podchodził do matki pytając:

— Cóżto Zosiu, tak spóźnacie się z obiadem? Już 11 wybiła, a wiiesz, mnie tak niedobrze: jabym się rosółu napił!

Matka doskonale знаła tę udaną słabość—i wiedziała że tu idzie o ogień; to też uśmiechnąwszy się odpowiadała:

— To przejdzie mój kochany! Widzisz, Małgosia jeszcze nie przyrządziła mięsa; ale jeżeli chcesz, każę ci rumianku zgotować.

— Co mi tam Imość z rumiankiem wyjeżdżasz! Czy ja to baba?—i odchodził skwaszony, pocierając niecierpliwie wąsa.

Po chwili zajrzał znowu do kuchni, udał się do służącej, i tu groźbą zwykle zniewalał ją rozniecić ogień. Wtedy uzbroiwszy się w drewnianą łyżkę, gotował rozmaite liście: z wiśni, gruszek, winogron, to z wodą, to z mlekiem i octem; dolewał rozmaitych olejków, znosząc cierpliwie gderania służącej, łajania matki. Nic już nie widział, prócz swoich garnków; nic nie słyszał, prócz purkotania gotujących się przypraw: tylko cedził, precedzał, wyżywał dopóty, dopóki przepisane cechy się nie okazały. Nie mogąc prędko całej ilości tytoniu wysuszyć, z niecierpliwości oddzielał zwykle małą cząsteczkę, i tę rozpostarłszy na papierze, starał się co prędzej przygotować do palenia. Ledwie że wilgotne liście parować zaczynały, już biegł po fajkę, oczyszczał ją z przeszłych resztek, przedmuchiwał po kilkakroć, i nakładał świeżo przyrządzonym tytoniem.

Przyszedłszy do swego pokoju, rozpoczynał próbę. Zwykle puszczał gęste kłęby dymu, cofał się o kilka kroków, i znów napowrót przybliżał, wachając siny obłok zwolna się rozchodzący. Brał do ust i wyjmował zaczerniały cybuszek, smakował z zamyśloną twarzą i błędniemi oczyma, a w końcu wesoło się uśmiechał. Nie trafiło się bowiem nigdy, aby tytuń tak przyrządzony złym uważał; i choć zapach stracił przymioty zapachu, choć sam krztusił się od dymu: tytuń wszelako wybornym był w jego mniemaniu.

Odbywszy tym sposobem próbę sam z sobą, udawał się do matki; a zbliżywszy się do siedzącej na krześle i zajętej swoją robotą, puszczał znienacka gęsty kłęb dymu prawie w same oczy:

— Widzisz kochanie, że ten przewyborny! A co nie pachnie, he?... a sprzeciwiałaś się....

Matka ledwie odetchnąć mogła po takiej niespodziance, powiewała zwykle chustką dla odpędzenia dymu, i prosiła na wszystko ojca, aby ją raz nazawsze od podobnych prób uwolnił. Czasami zgniewała się naprawdę, lecz porucznik wcale na to nie zważał, tylko wychodził z pokoju z uśmiechem litości na ustach, jakby chciał mówić: „albo ty znasz co dobre!”

Cały dom nasz, niewyłączając Małgosi i żołnierzy podkomendnych, musiał doświadczać dobroci zapachu nowego przyrządu, i dawać swoje zdanie. Jakiebądź były te oceniania, ojciec mało przywiązywał do nich wagi; tylko suszył tytuń, pakował w nowy kapciuch, przylepiał na nim karteczkę i naznaczał następującą z kolei literą. O ile zapamiętam, litera ta nieraz do *P* dochodziła.

Okolo 10tej godziny zrana, po odbytem już nabożeństwie, zaczynała się moja lekcya. Pomimo całej swęj dobroci, ojciec małą posiadał dozę cierpliwości, i dlatego lekcya ta, pomimo nadzwyczajnej chęci do nauk, była dla mnie najprzykrzejszą. Szanowny rodzic, nie zważając wcale na prawa pedagogiki, chciał bym sam przez się wszystko wiedział, a przynajmniej trafnie przeczuwał; ztąd jak grad sypały się na głowę klapsy, a trzeba było zamilknąć i śmiało rzecz dalej prowadzić, bo płacz, lub najmniejsze skrzywienie się pociągało jeszcze gorsze skutki.

Co do posiadanych wiadomości, ojciec był bardzo zarozumiały. Wszelkie nowości w dziedzinie nauk stanowczo odrzucał, nie wchodząc w ich słuszność, pożytek lub lepszość. U niego łacina była pierwszą, inne języki niepotrzebne.— „Z łaciną, mosanie, świat przejdiesz od końca do końca, bo wszędzie znajdziesz księży lub doktorów, a z francuzkim językiem tylko Francją!“ Nie wiedział poczciwy, ani przewidywał, że teraz podobno z polskim językiem nawet trudno przejść Warszawę.

Pisownia stara była u niego najlepszą; joty nazywał piżmowemi ogonkami, a gdym mu raz powiedział, że nauczyciel miejscowej szkółki każe pisać swym uczniom jotę zamiast *y*: obruszył się na mnie, i z gniewem zawołał:— „*y* malcze grunt! Tak pisał twój pradziad, dziad i ja tak piszę, a nie takie



trutnie jak ten bakałarz czytali ich pisma i czytać będą! Ho! ho! co mi za mędek! Chłopcze! zdaleka mi od niego i jego uczni, bo wypalę za każdą jotę, rozumiesz! Czy śp. Kopczyński pisał co o jocie, he?

— Nie wiem, proszę ojca.

— No to ja ci powiadam, że nie pisał, i kwita!

Dla lepszego okazania tój zarozumiałości, muszę tu nadmienić jeden nieco późniejszy wypadek. Kiedym już podrósł i czas było oddać mię do szkół publicznych, matka pewnego wieczora wystąpiła do niego z tą propozycją.

— Co Asani mówisz? — zawołał powstawszy szybko z siedzenia.

— Oto żeby pomyśleć o oddaniu Jasia do szkół.

— Do jakich szkół, pytam, i po co? Czy Asani nie wiesz że Pijarów nie ma?

— Ja też nie myślałam wcale o Pijarach, lecz o szkołach wojewódzkich.

— Co się też tym kobietom roi w głowach! No, no, widzę, Asani masz mię za głupca chyba: a to pięknego komplementu doczekałem się od ciebie. Cóżto Asani myślisz, że ja go sam edukować nie potrafię i wykierować na poczciwego człowieka, he? Chcesz zapewne, żeby mu w tój modnej szkole głowę przewrócili, i żeby potém śmiał się ze starego, że niby głupszy od niego, albo go się wstydzil? O! co z tego to nic nie będzie, moja Imość.

— Ależ mój kochany, cóż ty z nim zrobisz? Majątku nie masz dla niego, żeby próżnując mógł żyć; trzeba mu więc dać odpowiednie wykształcenie, aby sobie w świecie dał radę. Co zaś do wstydzienia się rodziców, jego miłość synowska....

— Daj pokój kochanie z perorą; już ja to widzę, że cię zbałamucila ta trzepalska burmistrzowa, bo to nie Imości pomysły. Niech ona sobie cieszy się niebieskim mundurkiem swego kanaczka i jego cenzurami, ale on wszelako głupiutenki jak mój kapelus! Jak Jaś będzie umiał tyle co ja, będzie miał dobre serce i zdrowe ręce; dla niego dość: chleba mu nie brakuje, świat dla niego otworem. Cóżto sobie myślisz, że ja już więcej nauczyć go nie mogę? O! poczekaj duszko! niech tylko dostanę zkad Donata, to zobaczysz, jaki z niego będzie łacinnik. Na Węgrach, mosanie, pastuchy za bydłem łacine znajdują

na palcach; dlaczegożby mój syn, syn szlachecki, miał być od nich niższym?

Po tych słowach, nie słuchając dalszych przełożeń matki, zrobił lewo wtył, zaświstał jakiego marsza, i wyszedł do swojej sypialni.

Pomimo takich gniewów, pomimo usilnych starań o Donata, którego już nigdzie dostać nie było można; matka powoli wymogła jednak na ojcu, że mię wysłano do szkół publicznych. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Gdy nastąpiła zima, i gdy wycieczki na pola ustać musiały, ojciec przywykły do ciągłego ruchu i pracy, wynajdywał sobie najrozmaitsze zatrudnienia. Dla matki, ta pora roku bywała najprzykrzejszą. Z nudów wlaźł w każdy kącik, do wszystkiego się wtrącił, i gdérał bezustanku.

Przedmiotem najczęstszego zajęcia był stary zegar'wiszący w pierwszym pokoju. Zupełnie zdezelowany, często wypowiadał posłuszeństwo i wisiał bez ruchu. Ojciec mający pretensją do zegarmistrzostwa, jak tylko dostrzegł ten jego spoczynek, porzucał natychmiast zaczęłą robotę choćby najpilniejszą była, przystawiał stółek i zdejmował ostrożnie to klekoczące arcydzieło. Wziąwszy go już w ręce, pootwieriał osłaniające drzwiczki, przeglądał, popychał ręką, mruczał sobie pod nosem i z zegarem prowadził rozmowę:— „Co ci się tryb złamał? a może i waga zalekka? Nie bój się kochanie, to się poradzi!” Lecz gdy pomimo tych rozmów, popychań, nakręcań, wieszania woreczków z piaskiem, kluczków, gwoździ i t. p. ciężarów, zegar nie szedł, a ojciec nie mógł dojść przyczyny zepsucia: marszczył się, krzywił komicznie, i z tryumfem niósł go do bawialnego pokoju.— „Rozbierzemy się duszko, to się i choroba znajdzie.”

Właśnie tego rozebrania bała się najwięcej matka. Wystawcie sobie bowiem porucznika, siedzącego na małym stołeczku z zegarem w jednej ręce, a pilnikiem w drugiej, tak coś naksztalt Kopernika na Krakowskiem-Przedmieściu, przeglądającego wnętrzości swojego instrumentu, z podwójnemi na nosie okularami, obojętnego i głuchego na wszystko, a będziecie mieli jakoweś pojęcie téj majsterki.

Ponieważ nie znał mechanizmu zegaru, a bojąc się, by rozebrawszy takowy mógł go napowrót złożyć: dobywał kredy



z bocznej kieszonki kamizelki. kreślił na wywoskowanej posadzce kółka, naznaczał porządkową liczbą, i w miarę rozkładania, umieszczał w każdym z kolei następujące kółko. Obstał się przytém różnemi narzędziami, piłował, przyrzynał, smarował oliwą, nieodrywając się na chwilę od téj roboty. Gdy przypadkiem przechodziła matka przez pokój, i suknią wyrzuciła jaką cząstkę z określonego miejsca; powstawał z furją na modę długich sukien: — „Już téż te baby nie wiedzą co z sobą robić! Dalipan idzie jak fura z sianem. Ostrożnie Imość, bo i mnie przewrócisz! Hola! ostrożnie!

Jeżeli przy téj czynności wypadło zapytać go o co, to potrzeba było ze trzy razy powtórzyć zapytanie, nim podniósł oczy do góry, albo i najczęściej nic nie odpowiedział, lub zbyt się lakoniczném *tak*, lub *nie*.

Nigdy zaś odrazu nie kończył reparacyi; i gdy potrzeba było powstać, a znowu tak rozrzuconych części na podłodze do następnego dnia zostawić nie mógł: składał napowrót zegar, wieszał go na właściwém miejscu, a nazajutrz przystępował do dzieła w zwykłym porządku.

Z tego już po części mogą czytelnicy mieć wyobrażenie o charakterze porucznika; dodam jeszcze, że w towarzystwie bywał wesoly, przyzwoity, dykteryjki i opowiadania sypał jak z rękawa. Sprzeczek nie lubił, szczególniej z kobietami, i zwykle im ustępował, pomrukując: „Djabelby ich chyba przegadał”!

Zycie nasze, jak rok długi było jednostajne, prócz dwóch dni, tojest: imienin ojca i matki. Wtedy zapraszał uroczyscie sąsiadów i przyjaciół, występował z sutą kolacją, a czasem sprowadzał muzykę, aby i tańce się przyłączyły do ogólnej zabawy.

Otóż w ostatnią niedzielę przed św. Andrzejem, jeszcze przed nabożeństwem, siedziałem przy stoliku i za dyktowaniem ojca najozdobniejszemi literami pisywałem listy zapraszające na przyszłą sobotę; adresowałem, pieczętowałem, a czekający obok posłaniec, z zaleceniem wszelkiej ostrożności takowe odbierał, dla doręczenia zaproszonymi.

Po ukończeniu téj pracy, długich naradach z matką, o przysposobić się mających potrawach: zimnych, gorących, winie, galaretach, świecach, i t. p. udaliśmy się do kościoła, a po mszy, jak zwykle, do dziekana. Tam zastaliśmy kilku znajomych i przyjaciół, tojest: byłego majora Wolickiego starego kawalera, hulakę i dowcipnisia; burmistrza miasteczka tłuste-

go mężczyznę, wiecznie śmiejącego się krzykacza i plagę mieszczan; pisarza magazynu solnego, szczupłego, bladego, z zasępioną twarzą, jakby Piotrowina z grobu, człowieka bez woli, energii, chodzącego w spódnicy żony, z przydomkiem *cieple piwko*. Byli tam i dzierżawcy sąsiedniej wioski Szklar, urzędnicy z komory celnej, i kilku innych mężczyzn mało mi znanych.

Z tych wszystkich muszę opisać pana Wolickiego, jako blizki związek mającego z dalszym ciągiem niniejszego opowiadania.

Major przez grzeczność, a podobno tylko dymisjonowany kapitan, były legionista, już od powrotu z Moskwy wojsk francuzkich retyretowy, był mężczyzną dobrej tuszy, czerwony jak rydz, z szaremi oczkami błyszczącymi jeszcze, z potężnym za ucho zachodzącym wąsem, wiecznie kręcący się i żwawy, pomimo lat 60 wieku: elegant prowincjonalny, zartowiały, wesóły i w ogóle lubiany.

Dzierżawił on mały folwarczek o pół mili tylko od miasteczka odległy. W nim nigdy nie siedział, chyba chorując na pedogrę. Stary wachmistrz z całym żołnierskim rygiorem zarządzał gospodarstwem, bo jego pan bywał gościem w domu.

Przyjaciół liczył na tuziny i to na mil 6 wokoło; wszędzie bawił po dni kilka, polował, pił, grał, damom nadskakiwał, oświadczał się nawet, lecz to wszystko zarciem tylko. Dowcipny, mając dobre ukształcenie, figlarz jakich mało, nie dziw, że wszędzie był lubiany, oczekiwany z upragnieniem i jak najdłużej zatrzymywany. Umiął się zastosować do każdego stanu, wieku, płci, wyobrażeń i namiętności. Z babkami grał w marysza, odrabiał przegrane symple i duble zdrowaśkami, pannom rzucał komplementa jak z kalendarza, kłócił się z nimi bezustanku, i prześladował niemiłosiernie urojonemi kochankami. Dzieciom znów przywoził cukierki, wymyślał zabawki, muśztrował chłopaków, a z tatkami pił do upadłego.

Jużto żadna zabawa w okolicy bez niego się nie obezšla. Tak dalece był znanym z swęj towarzyskości, że go nawet nie proszono nigdzie, spędziewając się jego niezawodnego przybycia.

Gdyśmy wchodzili do księdza, opowiadał przytemnym jakies zajmujace zdarzenie, z niezliczonemi gośćtami rak i całego ciała. Burmistrz śmiał się jak najęty, a inni mu pomagali.



Ujrawszy ojca, zawołał:— „Otóż i on sam! A panie Andrzeju! czy się to godziło takiego figla wypłatać méj siostrzenicy? Widzisz, choruje teraz biedaczka: przeziębila się do szczeru. Pamiętaj, odpłacę ci, jak Boga Kocham odpłacę!

— No, no, płac majorze, to swoja rzecz—odrzekł ojciec, podając mu rękę i witając się z innemi;—bo téż i nie ostrożne, mosanie; a żeby téż kto inny spotkał nie ja, hę? okradliby z kretešem. Trzeba młodych uczyć!

— Jakże to było majorze — odezwał się proboszcz—powiedźno Wasze, bom ja nic nie uważał.

— Wystawcie sobie, że komendant sławny piecuch domowy, zdecydował się przed kilką dniami wyjechać na jarmark do miasteczka K., i co dziwniejsza jeszcze, wyjechał do dnia. Nieszczęście mieć chciało, że siostrzenica moja Kozerska z córkami i mężem wracały właśnie z imienin od sędziego z Górki. — Zwyczajnie jak po balu, wszystko to było znużone; droga jak na złość piaszczysta, więc sobie wszyscy, zacząwszy od furmana aż do samego jegomości Kozerskiego, drzymali wyśmienicie, konie zaś noga za nogą wlokły starą landarę. Ujechali zapewne już z milę od miasta, aż tu nadnieśli djabli komendanta, i patrzcie panowie że mu się figłów zachciało. Cichuteńko zawraca konie, popędza przed sobą, i ci zamiast do domu, wracają napowrót do miasta. Aż tu dopiero wjechawszy w ulicę, puk puk po bruku trochę im przerwał drzymkę. Przebudza się furman, patrzy—miasto; co u djabła! czy czary czy co, i splunął; dalej budzą się i państwo.

— Tomek! a gdzie my jedziemy?

— El proszę pana, mnie się kaj zdaje, że my pobleźdźili.

Tymczasem kapitan jak stary wyjadacz wyskakuje z swojej dryndulki, i jakby o niczem nie wiedział, przystępuje do powozu z powitaniem i zapytuje:— „A gdzie to tak rano? czy na jarmark do K....

Dopieroż domysły rozmaite zaczęły się snuć po głowie podróżnym; rozpoznali miasteczko i nie mogli pojąć, co się z niemi dzieje. Aż kapitan w śmiech i opowiada, że on im takiego figla wypłatał.

Zmitrężywszy sobie że dwie godziny drogi, przeziębili, musieli wracać napowrót, a kapitan odprowadził ich z wiorstę, śmiejąc się z takiej śpiącej podróży.

— Ale Jędrusiu, czemuż ich nie obudził — przerwał dziekan—jakitoba z Waszecia złośliwy człowiek!

— Mój Dobrodzieju! żebym ja był z tém sercem co Dobrodziej, toby mię anieli już żywcem do nieba wzięli, a ja mam ochotę i do czyśca zajrzeć, mosanie! Młodych trzeba doświadczeniem uczyć; drugi raz zaręczam nie usną podobnie.

— Oho komendancie! z procentem oddam—zawołał Wolicki—tylko żebyś się nie ciskał, bo to będzie wet za wet: pamiętaj!

— Dobrze, mosanie, pozwalam; jeśli Waszeć tylko złapiesz, naprzód przebaczam. Nie takto łatwo starego lisa wziąć w sidła; a tymczasem jeśli łaska panowie, i kto mi dobrze zyczy, proszę na gospodarski obiadek!

Kilku zaczęło się wymawiać, zabierając się do wyjazdu; kilku znowu, pomiędzy któremi był Wolicki, dziekan i miejscowy poczhalter, razem z nami przybyli na obiad.

Przez cały ciąg obiadu i potem już uważałem, że Wolicki coś z matką szeptał. Matka się uśmiechała, a major detalicznie rozповідаł ze wszystkimi dziwaczными ruchami. Ojciec był w najlepszym humorze: żartował z majora, że mu Zosię bałamuci, zmyślał różne przygody myśliwskie, z księdzem się kłócił o korpus kadecki w Kaliszu, i gdy gości już około 4 popołudniu wyprowadzał, każdego najsolenniej na sobotę z familią prosił.

— Ja ci chyba starego wachmistrza jako familią przywiozę, komendancie!—wsiadając na bryczkę zawołał Wolicki.—Tylko téż młynka nie zwiń, bo ja z pewnością z całą gromadą młodych, starych obojój pici zjadę: może i skrzypiciela wynajdę. Prawda, prawda mam dalibóg jednego sprytnego chłopaka: gra jak Paganini, choć mu trzech strun brakuje. No, bywaj zdrów!

## II.

Kilka następnych dni zeszyły szybko na ciągłych przygotowaniach do sobotniej uczty, bo to w ubogim szlacheckim domku nie tak łatwo zadość uczynić wymaganym formom gościnności na wielką skalę, bez żadnych przygotowań. Goście prowincjonalni są więcej wymagającemi od miejskich. Tu lada czém ich zbędziesz, herbatką, tańcami. Na wsi to wcale inna rzecz: będą tacy, zwłaszcza kobiety, co obliczą wszystkie kie-



liszki wina, sucharki nawet; pomimo wystawności Lukullusa, znajdą coś do zarzucenia, lecz zawsze ze słówkiem litości dla gospodarstwa:— „Biédni, nakrzęcali się porządnie, ale przyznam się, mogliby téż większych i smaczniejszych pączków nasmażyć; uważałaś pani, te były jak kule armatnie, twarde, suche“ i t. p. To téż pod dozorem osobistym ojca, czyszczono staroświeckie sreberka, przyrządzano kinkiety, woskowano posadzkę; matka zajmowała się kuchnią, frankami i innemi więcéj kobiecój staranności wymagającemi przygotowaniami.

Pamiętam jak dziś, była może 10 godzina wieczorem, już do snu zabierać się miano, ale ojciec jeszcze pacierze zwykłe odmawiał. gdy ktoś zapukał do drzwi od sieni. Ojciec wybiegł, i po chwili wprowadził za sobą pocztowego posłańca.

— Otóż i list! A dajno go tu, kiedy tak pilny. Jasiu! pójdźno przeczytaj!

Pobiegłem co żywo do sypialnego pokoju, przeczytałem naprzód adres, opisałem pieczętkę, a gdy tak z adresu jak i z pieczętki ojciec dojść nie mógł od kogoby pochodził; otworzyłem takowy i głośno przeczytałem:

„Kochany mój kolego!

„Znając cię od tak dawna, i wiedząc, że twoja komenda zapewne nie w najlepszym porządku....

— A có jemu milion bomb do tego! — wrzasnął porucznik — czytaj dalej!

....„pospieszam cię uwiadomić, że generał B. adjutant głównego sztabu....

— Co takiego? nie dosłyszałem. Kto, kto, generał?...

— Tak, adjutant głównego sztabu.

.....„w sobotę niezawodnie w twojem miasteczku będzie, objeżdżając gubernią: przygotujże się należycie, bo on wielki rygorzysta.

— A to doskonale! a niechże cię milion furbeczek kartaczów.... Czytajno dalej!

„Przy téj sposobności załączam życzenia najszczerzego przyjaciela, z powodu przypadających w dniu 29 listopada twoich imienin, i zostaje prawdziwie szczerzo życzący, *Bukowski*.”

Nie słuchał już ostatniej części listu, tylko zerwał się gwałtownie i krzyknął:

— Lustracja tedy! A to się wydarzyło, i to w sobotę, a dziś czwartek! Hej! hej! Małgosia! Małgosia!

— Cóż ty od niej chcesz tak późno?

— Milcz Imość! Nie słyszałaś, lustracya w sobotę!

— No to wiem dobrze, ale późna godzina; gdzie ją chcesz posłać?

— Czego się Imość wtrącasz? Kładź się w swoje bety, a mnie daj pokój, rozumiesz! Że téżto Asani musisz swój nos wszędzie wściubić.

Napół ubrana służąca wychyliła głowę z kuchni, a ojciec do niej:

— Biegnij co żywo po Duszaka, niech natychmiast przychodzi; powiedz, że lustracya generała...

Matka zamilkła, służąca pobiegła, a porucznik wziął list odemnie, wyjął z biurka okulary, i zaczął czytać. Snadź niedobrze mu szła lektura, bo wyjął drugie okulary, wsadził na nos poniżej pierwszych, i cały list od deski do deski przeczytał.

— A to skaranie Boskie! Proszę, kto widział z lustracyą przyjeżdżać w listopadzie? No no, to chyba koniec świata! Dwa lata jestem tutaj komendantem, a jeszcze mi się nic podobnego nie trafiło. Czyby tam kto doniósł o mojej niedbałości, czy co?... He! Bóg to wie.... Staram się przecież żyć dobrze ze wszystkimi, ale djabeł się tam ustrzeże złego języka! Bądź co bądź, trzeba wystąpić należycie.

— Jasiu! mundur.....

— Mój mężu, nie bądź téż dziwaczny! Kto widział o północy stroić się w mundur...

— Imość! bo mi już braknie cierpliwości. Milcz! bo ci wyrnę *verba veritatis*, jakichś jeszcze odemnie nie słyszała. Takie rozkazy w mundurze się dają, a Imość kiedy nie znasz wojskowego strychnu, to mi się nie odzywaj. Mundur!

Przyniosłem mundur; stary się zapiął, uczesał, fajkę nawet niedopaliwszy, a Duszaka jak nie widać, tak nie widać.

— Mazgaj jakiś, mosanie! To mi służba, dwie godziny czekać! Djabeł się już zwlokła komenda; trzeba ich wziąć w strychnę; co to za żołnierze! Jakto dawniej o północy zawołali do pułkownika, w dwie minuty już człek był gotów. Tfu! do milion djabłów.....

Zniecierpliwiony porucznik to zaglądał do okna, to wychodził przededrzwi oczekując Duszaka; kłął aż się mury trzęsły, a w końcu wziął czapkę i sam poszedł na ich spotkanie.

W chwilę powrócił zagniewany, wiodąc rozspanego starowinę, i dał ze dwadzieścia rozkazów, jeden za drugim bez



wychnienia. Stary Duszak kiwał tylko głową za każdym i dodawał: „Stanie się wedle rozkazu, panie kapitanie.”

— No pamiętaj, dodnia wszyscy żeby tu byli!

— Dobrze, panie kapitanie—odrzekł stary i wyszedł do sieni.

— Duszak! Duszak!—zawołał ojciec, i stary się wrócił— a pamiętaj żeby się pogolili.

— Dobrze panie kapitanie— i znów wyszedł.

— Ale, ale, słuchajno Duszak!

— Jestem na rozkazy.

— Żeby się postrzygli porządnie, krótko, rozumiesz! Efektu wszystkie poznać: rozumiesz, wszystkie!

— Rozumiem, panie kapitanie.

Ledwo że kilka kroków uszedł, ojciec znów sobie coś przypomniał, pobiegł do okna, otworzył lufcik i zawołał:

Duszak! wróćno się!

Stary znowu się wrócił pod okno.

— Pilnuj też Kownackiego, aby się nie upił. Przez miłość Boską weź go w swoje opiekę, bo któżby was pogolił.

— Dobrze panie kapitanie! Ale podobno Gomułka do młyna poszedł ze żoną wczoraj.

— Masz tobie, to doskonałe: jak szare gęsi rozłazą się w okolicę. Żeby on sto fur beczek zjadł z tym młynem! Posłać po niego natychmiast, już ja zapłacę posłańca; a dalibóg to istne skaranie Boskie! — rzekł ojciec zamykając lufcik — że téżto nigdy wszyscy razem być nie mogą. Poczekajcie, wezmę ja was na ostro! To mi się podoba: do młyna błazen poszedł: dam ja ci młyn!

Wrócił do swego pokoju, chodził jeszcze czas niejaki wzdłuż i wszerz, rozmawiał z sobą rozkładając rękami; naraz zatrzymał się na środku, uderzył ręką w czoło i zawołał:

— Otóż dałem sobie chleba! Zosiu! spisz ty?

Lecz matka ani się poruszyła. Ojciec powtórzył:— Zosiu! słyszysz?— I tą razą było milczenie. Przybliżył się więc do łóżka i poruszył śpiącą, szepcząc: Zosiu!—Zosiu!

Nie wiem czy spała istotnie matka, czy udawała tylko; dość, że przebudziła się jakby z twardego snu, i z gniewem odrzekła:

Dajżeż mi pokój święty!

— Ale moja droga, wielkie nieszczęście nas spotkało!

— Jakie nieszczęście? — zapytała z zadziwieniem i przestraszeniem.

— I nie domyślasz się, że w sobotę moje imieniny.

— No i cóż z tego? W tém żadnego nie widzę nieszczęścia.

— A w sobotę lustracya, nie słyszałaś!

— Mój kochany, uwolnij mię od téj lustracyi: idź spać i nie przeszkadzaj mi, jestem znużona.

— Z Imości istna przekora. Jak nie trzeba, to gada do znużenia, a jak ją o radę proszę, ani słowa wymęczyć nie mogę. Cóż tu robić z gośćmi, których zaprosilem: gadajże u Boga?

— Matka milczała. — Zosiu! przez litość poradź, bo już nie wiem co się we mnie dzieje! — i przybliżył się do łóżka, nachylił nad śpiącą, błagając: — Zosiu! a nie bądźże tak okrutną!

— A widzisz, panie poruczniku — odrzekła z uśmiechem matka — że i ja na coś się przydam. Fukałeś przed chwilą, radź sobie sam teraz: poco ja się mam mieszać w twoje sprawy.

— Przebacz kochanie, jam już taki gorączka: powiedz, co ja z gośćmi zrobię, a jeszcze ten szaląputa Wolicki obiecał fury gości pozwozić.

— Nie wiesz co się to z gośćmi robi, mój panie poruczniku? Przyjmiesz ich jak zwykle, i skończyło się.

— Ale jakże ich przyjąć? Cobyto generał na to powiedział, tu lustracya, a tu u komendanta bal. Nie, to być nie może, znam służbę, natarłby uszu porządnie. Nie ma rady, trzeba popisać listy...

— Może odpraszać! — zawołała matka — tobyś się spisał mężulku. Raz w rok przyjmujesz, i jeszcze odpraszasz; dopierożby się śmiáli! Zresztą już czasu nie ma, zapewne porobiono wszędzie wydatki na ubiory i inne przygotowania, posłaniec nie zdołałby o kilka mil zawieźć listu przed sobotą.

O mój Boże! mój Boże! za cóż mię téż tak ciężko karzesz! — wyrzekł z goryczą. — A ta lustracya, wiesz, połowębym oddał tego co mam, żeby albo lustracyą, albo imieniny usunąć z drogi.

Matka śmiała się serdecznie z kłopotów komendanta, stary zaś lamentował i możeby zapłakał na seryo, ale wstydził się widocznie.

— Nie molestuj mój mężu! — powiedziała matka zdjeta litością — wszystko się dobrze zrobi: ja ci zaręczam. Idź spać, a jutro obszerniej o tém pomówimy.

Ojciec uściskał żonę, i napół już uspokojony solennem zaręczeniem matki, spać się położył, nie paląc fajki w łóżku jak



to zwykle robił; i długo, długo w noc słyzałem jeszcze ciężkie westchnienia wychodzące z sypialnego pokoju, które byłem pewny że od ojca pochodziły.

### III.

Jeszcze dobrze było ciemno, gdy mnie zbudził niezwykle ruch w domu. Ojciec krzątał się po wszystkich pokojach ze światłem, wydawał rozkazy, ubrany w swój mundur. I ja też jak to zwykle dzieci ciekawe robią, choć niewyspany, zerwałem się z łóżka, ubrałem się co żywo i dalejże na odwach.

Kilku żołnierzy, pomiędzy którymi był i Kownacki wcale trzeźwy, uwijało się żwawo: to znosili ze strychu zardzewiałe karabiny, to rozpakowywali przyniesione zawiniątka, to szeptali między sobą o nastąpić mającej lustracyi.

Ojciec niecierpliwy, że wszyscy się jeszcze nie zgromadzili, gderał po swojemu, i każdego nowo wchodzącego jakąś wymówką wcale nieprzyjemną obdarzał.

— A co to Gawlik takie *tołoby* niesiesz, do milion furbeczek! Patrzcie, on gotów i pierzynę do tornistra wpakować. Pokaż coś ty przyniósł.

— Każe pane powiedzieli, żeby wszystko znieść na lustracyą, ja też wszystko zabrał.

— A niechże cię Bóg ma w swęj opiece! Dość było trzy koszule, a tu ich z tuzin. Gdzież ty to włożysz? Jakie to pasy? flejtuch, a stary mosanie: poczekaj, tylko po lustracyi, odsiedzisz z tydzień na warcie!

Cóżto znowu u diabła! Kto ci tak głowę skarbował? Nie skaranież to boskie! Człowieku! czyś ty zwaryował czy co?—zawołał z gniewem porucznik, oglądając ze świecą włosy Gawlika. I istotnie było się czemu dziwić; głowa jego bowiem przedstawiała piętrzące się coraz wyżej, znacznie podzielane schody.

— Kto cię tak zeszpecił!— krzyknął powtórnie, odskakując na kilka kroków— gadaj kto?

— Katarzyna, panie kapitanie.

— Jaka Katarzyna, błaznie.

— Ta gospodyni moja z pod przełazka. I powiedziała, że tak dobrze będzie.

— A żebyś ty milion fur beczek zjadł! No patrzcież moi kochani, on wygląda jak niestworzenie Boskie. Kownacki, przez

litość! Kownasiu! popraw jak możesz. A to dopiero mazgaj, Katarzynie dał się ostrzydzi! 15 ci przylepię po lustracy! 15 mazgaju! Ja cię dopiero nauczę „że tak dobrze będzie”. Czémże ona cię tak pokrajała?

— Panie kapitanie!—odrzekł przelekty żołnierz—Duszak o północy nakazał, aby na rano być ostrzyżonym; ja się biedził kto mię ostrzyże, aż tu Katarzyna zlitowała się nademną, i nożyczkami od owiec postrzygła. Jak Pana Boga kocham, panie kapitanie, ona powiedziała, że tak dobrze będzie, i....

— Milcz trutniu stary, bo żebym się Boga nie bał, i żeby mi nie było żal twych starych kości, tobym ci ze 40 przylepił, azby w niebie było słycać!

— A gdzie Gomulka? Duszak, posłałeś po niego?

— A jakże, panie kapitanie, tylko tam bięda z nim, bo mu się syn podobno utopił.

— Co znowu? syn się utopił! Masz tobie teraz, on tu pewno nie przyjdzie, a i tak was mało. Ale biędak! i kiedyż to było, Duszak?

— Ot wczoraj wrócił ze mlyna parobek mój gospodyni i gadał, że w nocy szukali go ze świecami po wodzie, bo go nigdzie znaleźć nie mogli, i to panie kapitanie najmłodszy pono.

— Tfu mosanie, okropny wypadek... Jak się już zacznie rwać, to ani wstrzymasz; naraz lustracya, imieniny, topielec, i Bóg wie co jeszcze będzie: mnie tu chyba rozum przyjdzie stracić! Jaki tężto głupiec ten stary Gomulka, dzieci brać do mlyna: do czego to podobne?

— Jużto taki zwyczaj tych Litwinów, panie kapitanie—odezwał się Kownacki.—Gomulka jak idzie do mlyna, to z żoną, z dziećmi, pierzyną i z botwinką; tam 3 dni miałą zboże, sęką, i połowę mąki zmeltěj zjedzą: to tęż on prawie kwaterę ma we mlynie.

— Muszę to wykorzenić, oho! muszę, bo on do djabła wytopi wszystkie dzieci, jak Herod w Betleem. Mój Duszak, żeby on mi tylko na tę lustracyą przyszedł.

— A jakże, panie kapitanie, przyjdzie niezawodnie; ja tak kazał powiedzieć.

— No, teraz już wszyscy podobno jesteście: do dzieła tedy chłopcy, zacząć od karabinów, rozebrać, czyścić jak szkło, tylko żwawo.



Ruszyli się więc wszyscy, i z brzękiem, łoskotem porozbierali karabiny, porozkładali po tapczanach, roztarli krédę, cegłę, i nuż pucować z przeraźliwym skrzypem, jak w jakiejś ludwisarni.

Ojciec przebiegał od jednego do drugiego, poprawiał, pokazywał, a nawet niektórym radził, aby porobili kółka na podłodze krédą i tam umieszczali części składające karabin, dla uchronienia się od pomyłek. Co wszakże zastosować się nie dało, z powodu szczupłego miejsca izby odwachowej.

Wśród téj roboty zupełnie się rozwidniło. Ojciec wyszedł jak zwykle do kościoła, a tymczasem wrócił Gomulka z młyna, zbielony mąką, z ogromném zawiniątkiem na plecach. Uwiadomiony od kolegów o mającej nastąpić lustracyi, wziął się również do pracy. Niedługo potém wrócił komendant; już i u dziekana nie był, tylko zmierzał co prędzej na odwach. Pierwsze jego słowa przy wejściu były:

— Jest Gomulka?

— Jestem panie kapitanie!—odezwał się z kąta wysoki żołnierz i postąpił ku ojcu.

— No, i cóż z synem?

— Znalazł się, panie kapitanie, jeszcze wczoraj.

— A widzisz jakiś, ty nierozsądny! Jakto można z dziećmi chodzić do młyna, i jeszcze ich nie pilnować; masz teraz stratę i zmartwienie, bo to i duży chłopak, i ładny.

— Tak panie kapitanie, ładny, jużto wszyscy mówią, ale przecież żadnej mi straty nie zrobił. To takie małe głupie....

— Jakto? nie żal ci go? —zapytał z zadziwieniem porucznik—i ty masz tak kamienne serce! Patrzcież, utopiło mu się dziecko, a on powiada, że to nie jest dla niego stratą. Bydło, ale nie człowiek taki!

— Broń Panie Boże! chłopak zdrow jak ryba, ani się myślał utopić.

— Co znowu nie utopił się? Duszak! jak ty możesz takie baśni roznosić? Widzisz, on powiedział, żeście go wczoraj po nocy w wodzie szukali.

— Tak panie kapitanie, to prawda, ale chłopak był w pierzynie, a nie w wodzie. Bo to my biedni mamy jedną pierzynę dużą i razem sypiamy; chłopak wcześniej poszedł spać sam, zrobił otwór w poszwie i zakopał się w pierzu. Żona, jak to pan kapitan zna baby, Boże zmiłuj się, nuż lamentować, że się

utopił i utopił. Szukają tedy, i ja szukam, bo mi go żal było; już i północek, a chłopaka nie ma. Aż tu naraz, snadź mu się jeść zachciało, dalejże płakać. Słuchamy gdzie?—w pierzynie; więc szukać i znajdujemy rozspanego, ale dzięki Bogu zdrowego.

— Cha! cha! to doskonale, w pierzynie zginął!—zawołał wesoło kapitan—to wyborne! Niechże cię nie znam z takim topielcem, mój stary! Weźże się więc do roboty, tylko śmiało! Waszeć jako najwyższy, staniesz na skrzydle, to trzeba żeby się djabeł przejrzał w twym karabinie!

— Rozumiem, panie kapitanie, i przejrzy się, z pewnością przejrzy!

Zrazu dobrze szła robota: starzy się uwijali, skrobali, czyszczili; ale tak około 11 z rana ręce ustały, widocznie się znużyli, pot obfitemi kroplami wystąpił na czoła, i co chwila siadali do odpoczynku. Ojciec kręcił się na wszystkie strony, kłął, zachęcał, i już chciał ludzi najmować do czyszczenia, ale komenda obruszyła się na tę propozycją, i na nowo wzięła się do dzieła.

Z całej téj krętaniny najwięcej zadowolniona była matka, bo ojciec nie miał czasu wtrącać się do jéj zatrudnień, i ja, bom lekcyi nie miał, taka zaś rekreacya bardzo rzadko się zdarzała.

Przed wieczorem ukończono w zupełności czyszczenie, pozostawało tylko ztroczyć płaszcze; to jest zawinąć w mały walek dla umieszczenia go na wierzchu tornistra; ojciec bowiem chciał, aby w zupełnym uniformie wystąpiła komenda. To było już nad siły starych, znużonych całodzienną pracą. Wytężano wszystkie siły, aby choć jeden płaszcz zwinąć, lecz to się nie udało. Czém kto mógł, rękami, kolanami, ścisnął i popychał dla mocniejszego i ściślejzego zwinienia: wszystko było napróżno. Zwinieły walek z grubego sukna miał wprawdzie okrągły kształt, lecz był tak wielki i gruby, jak dobry klocek drzewa, więc niepodobna go było na tornistrze umieścić. Ojciec sam cudów dokazywał, lecz to nic nie pomogło i musiano na drugi dzień tę czynność odłożyć.

— Przynajmniej dziś przymierzcie mundurów: zrobimy próbę musztry!—zawołał zrozpaczony porucznik.—Wypakować tornistry.

Wzięto się do tornistrów: lecz i tu nowa trudność. Każdy oszczędzając przez kilka lat, miał znaczny zapas bielizny,



garderoby i innych przedmiotów: każdy więc chciał wszystko pakować. Oczywiście, że połowę zaledwie włożył, i już był pełny; musiał więc ojciec każdemu oddzielać pewną ilość przedmiotów, pakować, układać, i sam prawie wszystkie tornistry własnymi rękoma zapełnił. Ale nie ustawał w pracy, bo już to taka jego była natura: gorączka wielki, przytém uparty, gotów był dwa dni nie jeść, nie pić, aby tylko ukończył rozpoczętą czynność. To téż i owego dnia ani jednej fajki nie wypalił, obiadu nie jadł, tylko wciąż krzątał się między żołnierzami.

Gdy przyszło do umundurowania, nowe trudności zwalczać trzeba było. Mundury były wprawdzie nowe, lecz szyte na ogólną miarę: ztąd jeden był zaobszerny, drugi zaszczupły, inny zakrótki, inny zadługi. Co się téż naprzymierzano, naprzemiesniano różnej części ubiorów wojskowych, a to wszystko na próbę. Podobno niewiele zostało zbytecznych rzeczy, bo znaczna część bielizny, chustek, poszła na wypełnienie zaobszernych miejsc mundurów, dla nadania im właściwego kształtu. Bacząc więc porucznik na tę pracę, którą jutro trzeba było powtórzyć, kiedy spotkał matkę w dzieciennym pokoju, zapytał:

— Słyszysz Zosiul poradź moja kochana: czyby nie było lepiej, żeby oni pozostali już tak ubrani do jutra, he?

— Co się téż roi w twój głowie!—odrzekła matka—chcesz żeby ci połowa zachorowała do jutra? Jakże można ludzi starych, tak zmordowanych całodzienną pracą, pozbawiać snu, dla tak blahój przyczyny?

— Ależ moja kochana, jak téż generał rano przyjedzie, to nie zdążą się ubrać, a tu płaszcze nie potroczone...

— Rób sobie jak lepiej uważasz, i daj mi święty pokój! Co mi tam obchodzi twoja komenda.

— To bardzo źle, moja Imość, że cię nie obchodzi, źle, bo powinna obchodzić! Imość, moja żona, powinna podzielać kłopoty mężowskie. Dalibóg tyś mi się zupełnie zmieniła od niejakiego czasu; chodzisz taka obojętna na wszystkie moje nieszczęścia, i widocznie drwisz sobie! To źle moja żono, to niedobrze po dwudziestu latach pożycia!

— Mój mężul nie dziwacz téż, bo ja ci znowu powiem, żeś tak stetryczał, znudział, jak starzec jaki. Proszę cię, gniewasz się jak co radzę, a potém robisz niezasłużone wymówki. Zresztą jam kobieta, nie komendant, pocóż się mam mieszać w twoje zatrudnienia? Chcesz, bym jak ty straciła głowę zupeł-

nie? Mam pamiętać przecie o domu całym, i o jutrze: idźmyż więc każde swoją drogą, to będzie najlepiej.

— No Imość, gadasz jak nieprzymierzając ksiądz dziekan z ambony. Przepraszam cię tedy i pójdę wyprawić starych do domu.

Całą noc prawie porucznik nie spał, sposobiąc się do jutrzejszej lustracyi; dodnia jeszcze wstał i z przybyłymi żołnierzami pozwijał płaszcze, każdego niemal ubrał, dopilnował aby się postrzygli, pogolili, a szczególnież Gawlik. Niezmordowaną pracą i wytrwałością tyle dokazał, że przecie niezgorzej wyglądała komenda; i gdy już wszystko było w pogotowiu, gdy uprzątnięto izbę odwachową, kapitan ubrał się w swój paradny mundur z krzyżem legii na piersiach, i wygorsowany, wszedł na odwach dla zrobienia próby.

Żołnierze zprezentowali broń, ale jak? Boże zmiłuj się! Dziesięciu starszków, zbieranina z rozmaitych pułków: z artyleryi, konnicy, piechoty i innych oddziałów armii, nie znali piechotnej musztry; to téż gdy porucznik zakomenderował: „na ramię broń!” ani dwóch jednocześnie nie zrobiło potrzebnego obrotu, podnosząc równocześnie karabiny; i gdyby komenda szła ciągle, byłby między nimi nieustający ruch, gdyż jak pierwszy zaczął, to ostatni dopiero w kilka minut ukończył obrót.

Potém wystąpił przed front starszy sierżant, i złożył w imieniu wszystkich życzenia imienin. Ojciec podziękował, każdemu poczestne udzielił, i odszedł do siebie, poleciwszy jednemu z nich wyjść na dach pobliskich stajen, aby dał znać, gdyby się jaki powóz na drodze pokazał.

— Tylko masanie uważaj karety! Generał inaczéj nie jeździ, rozumieśz!...

Zadowolony komendant tak szybkim ukończeniem dzieła, w różowym był humorze; nas i matkę ścisnął serdecznie, dziękując za składane mu życzenia, i tylko się niecierpliwiał, że nikogo ze znajomych i przyjaciół nie było z powinszowaniem.

— Czy zapomnieli, mosanie, czy co? A może téż i dowiedzieli się o lustracyi, i pocziwcy nie chcą mi przeszkadzać. Tak, pewnie tak będzie. Niech im tam Bóg za to wynagrodzi—mówił do siebie porucznik. — Ale żebyto jeszcze i na wieczór nie zjechał!... Podobno nic z tego nie będzie: tu Wołickiego tylko patrzeć!

Korzystając z zajęcia porucznika i tak dobrego humoru, matka poprzestawiała stolki w bawialnym pokoju, na co on te-



raz nie zważał, tylko palił fajkę za fajką, zaglądał na odwach, komenderował i czekał niecierpliwie generała.

Już 3cia wybiła na domowym zegarze, a generał nie przyjechał. Żołnierze głodni, obciążeni wojennym rynsztunkiem, ledwie trzymać się mogli na nogach.

— Złe mosanie złe! gotowi się przewracać na lustracyi, a tu puścić ich nie mogę! Zosiu! Zosiu! — zawołał ojciec — daj im téż co zjeść naprędce. A to skaranie Boże z tym generałem!

Podano im przekąskę, nabrali sił cokolwiek, a ojciec wyprowadził ich potem na dziedziniec, i wskazał miejsce przy wjazdowej bramie, gdzie się mieli prezentować.

Zaczęło się zciemniać, nawet już trzeci żołnierz z kolei zmieniał się na ezatach, a generała ani żadnego z gości nie było. Porucznik niecierpliwił się widocznie, wszystko mu stało na przeszkodzie: nawet i zapach z potraw wychodzący z kuchni był zamocny, bo z gniewem przybiegł do matki:

— Co tam Imość *pitrusisz* tak głośno, że w całej sieni i na podwórzu czuć osobliwsze zapachy? Wyrzucić mi to wszystko do djabła! Pięknieby było, żeby generał na odwachu poczuł zapach pieczeni.

— To może go apetyt weźmie, a upewniam cię, nie powstydzę się zajęcy! — odparła z uśmiechem matka.

— Moja Zosiu, schowaj te żarciki na później, a przez liłość przestań otwierać drzwi od kuchni, i dzieci pochowaj, bo one gotowe poleżeć tam przed generała! — i pobiegł na odwach.

— Duszak zapal lampy!

— Jeszcze widno, panie kapitanie!

Co się ty wdajesz w ekzuzy? Pal do milion fur beczek, kiedy każę; czy to z twojej kieszeni idzie na światło?

Ledwie zapalono światło, tak na odwachu jak i w mieszkaniu naszym, aż tu jakby za daném hasłem wchodzi najprzód dziekan.

— A przecie, przecie! — zawołał rozweselony ojciec — tak się niegodzi: zapomniałeś dziekanie o mnie, i wszyscy znajomi! Tak się niegodzi!

— Daruj, panie Andrzeju! Bóg widzi, że nie miałem czasu; zresztą wiesz, że moje dla ciebie życzenia są zawsze jednakowe, ja zaś przekonany jestem o twojej dla mnie łasce i wyrozumiałości — i przy tych słowach nuż się całować na wszystkie strony ze łzami prawdziwej i szczerzej życzliwości.

Za księdzem wtoczył się zaraz otyły poczhalter, za nim burmistrz z żoną i dziećmi, dalej pisarz magazynu i inni znajomi z miasteczka. Ojciec przybyłych ścisnął, dziękował, lecz jakoś lustracją wciąż miał na pamięci, bo wszystko to robił z roz-targnieniem i nieuwagą; nawet chciał burmistrzową w twarz pocałować, a gdy ta odsunęła się z przestachem:— „At dalipan! co się też w stariej głowie mieści—zawołał porucznik, uderzyw-szy się w czoło.—Przepraszam kochaną panią, przepraszam naj-mocniej”. Co chwila wychodził na odwach, i pytał czatującego: „A co nie widać! Uważaj teraz na trąbkę pocztową, mosanie, uważaj!” Znów powrócił do gości, przyjmował ich jak mógł, a matkę błagał aby się niemi zajęła.

Snadź stary dziekan uważał to zakłopotanie porucznika, bo zbliżywszy się do niego, zapytał:

— Coto panie Andrzeju masz na sercu, bo widzę bardzo roztargniony jesteś?

— Tak, tak Dobrodzieju, nie na sercu, lecz w sercu mam mola! Nieszczęście mnie spotkało: ot lustracya dzisiaj ni ztąd ni zowąd, generał przyjeżdża, a tu....

— Panie kapitanie! jedzie!—wrzasnął żołnierz wpadając do pokoju.

— Do broni!—zawołał porucznik, pochwyił kaszkiet i wy-biegł jak szalony.— Żwawo do broni, wiara!

Wybiegli tedy, i ja za nimi. Pozostałe towarzystwo onie-miało z podziwienia na taki okrzyk komendanta, burmistrzowa nawet mdląc zaczęła, ale ją uspokojono, że tu nie będzie strze-lania, tylko lustracya generała.

— O! bo to moi państwo, gdy francuzkie *nacye* w 12 ro-ku przechodziły, ja małą byłam dziewczką w domu rodziców w miasteczku Końskich; pamiętam jak dziś....

— Dobry wieczór pani Dobrodziejce!—zawołał wchodzący sekretarz z magistratu, stary kawaler i podobno przyjaciel pani prezydentowej — dobry wieczór! — I dalejże składać całusy na czerwono-sążnistej rączce.

— Nie przeszkadzaj panie Stanisławie! Dobry wieczór! Widzisz, ja tu księdzu kanonikowi opowiadam o tém strzale w pokoju za Francuzów.

Lecz dziekan wysunął się już za komendantem, korzystają-c z przybycia sekretarza, zaś pani prezydentowa słowo w słowo wyrecytowała już po tysiąc razy powtarzaną anegdotkę swe-mu przyjacielowi.



Tymczasem komenda stanęła szeregiem, porucznik z dobytym pałaszem na skrzydle prostował linię, a w chwilę zaturkotało bliżej i bryczka wjechała w bramę. Nowoprzybyły spozstrzegłszy oddział prezentujący broń, kazał stanąć, zsiadł z bryczki śmiejąc się do rozpuku, i zbliżył się do komendanta.

— Co to panie Andrzeju? po dawnemu chcesz mię przyjmować! Przez Boga! ja już dymysonowany pułkownik, nie róbże sobie tych zachodów!

— Bukowski! Bukowski! niechże cię uściskam—zawołał porucznik i wystąpił z linii. — To prawdziwa dla mnie niespodzianka! Niechże ci Bóg nie pamięta, coś mi ty swoim listem narobił!

— Jakim listem u Boga? kochany panie Andrzeju: ja żadnego nie pisałem....

— Oho! wymawiasz się, ale to się nie uda. Pójdź, pójdź do mieszkania, to zaraz ci pokażę czarno na białem!

I pociągnął ex-pułkownika do mieszkania, a żołnierzom kazał wrócić na odwach.

Gdy przyszli do pokoju, dopieroż się witać zaczęli jak dawni przyjaciele, aż echo po całym domu roznosiło takie dowody prawdziwój przyjaźni.

— Mój kochany! pokażno list odemnie, i wytłumacz improwizowaną musztrę, bo nic z tego pojąć nie mogę.

Pobiegł ojciec do biurka, szukał dość długo, poprzewracał wszystkie przedmioty tam znajdujące się, i nareszcie z tryumfem zaniósł list pułkownikowi. — Masz, czytaj! — rzekł podając mu takowy.

Pułkownik spojrział na list, potem na podpis, wzruszył ramionami i wyrzekł obojętnie:

— To nie mój podpis i nie moje pismo!

— Jakto pułkownika, toś nie ty pisał? Któżby u diabła śmiał cię podpisywać.... Fel nie żartuj....

— Daje ci słowo honoru, nic o tém nie wiem: ani o generale, ani o twojój nieporządnój komendzie, o której list opiewa.

— A to oszust! a to fałszerz, mosanie! — wyrzekł gwałtownie porucznik. — Nie daruję, jak mi Bóg miły nie daruję! Co to drwić sobie ze mnie i szastać podpisem tyle szanownego człowieka! Dojdę, jak Boga kocham dojdę sprawcy, i ukarzę przykładnie.

— Zaczekaj poruczniku; kto wie, czy i nie przyjedzie generał. Może ktoś życzliwy a nieznajomy ostrzegł cię, choć niewłaściwie, pokrywając się mojem nazwiskiem.

— Może, może — powtórzył ojciec, i zamyślił się. Aż tu naraz jak urznie kapela pod oknem, aż się wszyscy wzdrygnęli na tak niespodziany odgłos. Ojciec wybiega do sieni, i spotyka się oko w oko z gronem postrojonych kobiet i mężczyzn, dających do bawialnego pokoju.

— Witam, witam łaskawych gości! No proszę, to i pani Kozerska z córkami, i państwo Słomscy! A czy ja też zasłużyłem sobie na taką łaskę.

— Tak, tak panie kapitanie — odezwała się rozbierając pani Kozerska — to ja tak odpłacam za wyrządzoną mi psotę w przeszłym tygodniu: widzisz, jakie my wspaniałomyślne!

— Tysiączne dzięki, tysiączne, moja mościa dobrodziejko! Dopieroż dla mnie zaszczyt — powtarzał ojciec witając przybyłe panie, zdejmując z nich futra, i prosząc do salonu. Tak był zadowolony, tak szczęśliwy, że nie zważał wcale, jak trzeci już żołnierz wołał: — „Panie kapitanie, karetą jedzie poczta: generał! generał!

To słowo generał wyrwało go z zapomnienia, pochwyił znowu kaszkiet i wybiegł do oddziału.

— Gdzie, gdzie karetą? Słyszysz Duszak, daleko?

— O! już pewno w ulicy będzie, bo szybko jechała, a z latarniami, aż luna bije: to pewno generał.

— Żywo wiara, do frontu! — krzyknął kapitan. — Żydzie precz z muzyką! precz!

Lecz orkiestra i jój dyrektor rudo-włosy Mordka, ani słyszeli tego rozkazu, tylko rznęli od ucha jakiegoś marsza. Stary szarpał każdego po kolei za suknie, potrząsał nielitościwie dyrektora, który w tej operacji nawet marsza grał *tremblante*; lecz wszystko to nie pomogło, więc klął na czém świat stoi i byłby nawet porozpędzał ich przemocą, gdyby nie nowy okrzyk: „Już jedzie! już nadjeżdża, panie kapitanie!”

Rozstrojony porucznik, z niepodpiętym kaszkietem, w jednej rękawicze, z wydobytym pałaszem pobiegł prawie nieprzytomny do bramy, i stanął na skrzydle, szepcząc: „Panie! miej mię w swęj świętej opiece! Niech się dzieje wola Twoja”.

Wielu ciekawych z gości wysunęło się na dziedziniec; a z sąsiednich domów sługi, mieszczanie, zwabieni odgłosem



muzyki, zainteresowani takim hucznym zjazdem z pocztowymi trąbkami, biegli co żywo do bramy. W chwilę nadjechała karetka w bramę, a ojciec krzyknął:— „Prezentuj broń!“— i to tak głośno, że karetka się zatrzymała. Żołnierze szczęknęli bronią, a przybyły otulony futrzanym płaszczem, wyskoczył żwawo z karety i zbliżył się ku oddziałowi.

— Jak się macie dzieci!

— Zdrowia życzymy Jaśnie Wielmożnemu generałowi!  
— mruknęła wiara.

— Kto tu dowódcza? — zapytał generał stojącego na lewym skrzydle Gomulki.

Lecz ten wymówił jakieś słowo niedosłyszane z nadzwyczajną trudnością. Generał powtórzył zapytanie jeszcze głośniej, lecz odebrawszy również stłumioną odpowiedź, przysunął się do żołnierza, podniósł mu brodę do góry, z uśmiechem mówiąc:

— Co u diabła! tak się upiąłeś pod szyją, iż głosu wydać nie możesz!— i przy tych słowach własnymi rękoma rozpiął mu haftki kołnierza. Podczas téj operacji odwinął wysoko podniesiony kołnierz, a przy świetle latarni wyraźnie poznałem Wolickiego. Widać i inni to spostrzegli, bo zaraz stary pleban przybiegł do ojca i szepnął mu w ucho:

— Jak mi Bóg miły—Jędrusiu, to Wolicki a nie generał!

— Na bok dziekanie, nie przeszkadzaj!—Jednak uwaga ta zrobiła jakieś na nim wrażenie, bo widać było z całej twarzy pewne wahanie się i potrząsanie głową; potem zapewne odrzucił stanowczo wątpliwość, bo stał prezentując pałasz.

— Na ramię broń!—komenderował Wolicki. Oddział poruszył karabinami.

— Na lewo w tył! marsz! marsz!

I tą razą zrobiono obrót dość gładko. A kiedy żołnierze maszerując oddalali się, Wolicki zawołał:

— Panie komendanciel!

Ojciec pospieszył prezentując broń ciągle.

— Słucham rozkazów, panie generale!

— Ponieważ nie ma tu porządnej austeryi, bądź więc łaskaw przenocować nas u siebie! — A po chwili dodał: — Wy mówek nie przyjmuję, ja przywykły do niewygód. Komenda w dobrym stanie, zadowolony jestem: dalej prowadź do siebie!

Po tych wyrazach, gdy już wszyscy z głosu rozpoznali ex-majora Wolickiego, śmiać się zaczęto w najlepsze. Ojciec sam napół był przekonany, lecz nigdy przypuścić nie mógł, aby podobnie chciano go oszukiwać; prowadził więc mniemanego generała bardzo niespokojny.

Tymczasem orkiestra, która w czasie odbywającej się parady, przez ciekawość zapewne zbliżyła się do miejsca komendy i umilkła, naraz ożyła znowu hucznym krakowiakiem.

— Co to jest?—zapyta Wolicki.

— Tak, to jest panie generale..... jest to... jest niespodzianka dla.....

— Dziękuję ci, dziękuję panie poruczniku! Właśnie też najlepiej krakowiaka lubię: stokroć dziękuję. Ale, ale, zawołać sierżanta.

— Duszak, Duszak!—powtórzył ojciec, a do siebie szepnął: żeby oni milion fur beczek kartaczów zjedli z krakowiakiem. Wnet nadbiegł zadyszany starowina, wciąż prezentując broń. Generał wyjął pugilares, odliczył dwanaście złotych, i oddając przybytemu, rzekł:—Masz, rozdaj komendzie, niech wypije za moje zdrowie i zdrowie waszego kapitana, dzisiejszego solenizanta.

Tego porucznik już nie słyszał, bo jak dwudziestoletni młodzieniec wpadł do salonu, i przybiegł prosto do żony:

— Ach Zosiu! Zosiu! — zawołał uradowany— sprawdziła się twoja przepowiednia: generał tu stanie. Przez Boga! staraj się też Imość należycie wystąpić, aby przecież wiedział, że i my jak ludzie żyjemy.

Matka się śmiała serdecznie, i z nią już całe towarzystwo, uwiadomione o mniemanym generale; ojciec tylko sam w nic nie wierzył. Uszczęśliwiony zaszczytem jaki go spotkał i dobrym obrotem sprawy, wybiegł szybko do sieni wprowadzić gościa.

Wystawcie sobie jego zadziwienie, gniew i osłupienie, gdy w wchodzącym poznał otyłego majora Wolickiego, wyświeżonego, w czarnym fraku, z ogromnymi żabotami i uśmiechem tryumfu na ustach.

Komendant stanął jak wryty; przez kilka chwil mierzył majora ognistym wzrokiem od stóp do głów, nareszcie rzucił się gwałtownie ku niemu, krzyknąwszy:

— A co to do milion furbeczek, drwiny ze mnie, he?— i przybliżył się twarzą do samych prawie oczu majora, wyciągnąwszy ręce za siebie.



— Ależ kochany poruczniku.....

Co tam ależ, ależ!... Wiiesz, to zniewaga władzy, mosanie, to drwiny z całej armii! Co sobie ty myślisz, zem ja taki błazen, z którego każdemu wolno żartować, he? Oho! jak mi Bóg miły zdam raport do naczelnego wodza, zdam: to straszne rzeczy. A wiiesz czém to pachnie?....

— Mój mężu! panie kapitanie! daj pokój—wołali ze wszystkich stron goście i otoczyli obydwóch.

— Co daj pokój! To hańba! To, to to... do milion furbeczek, to... obraza nie do darowania!

Daruj! przebacz kapitanie!—zawołał Wolicki przysuwając się do ojca, chcąc go ucałować. Lecz porucznik odepchnął go ręką gwałtownie, rzucał się na wszystkie strony z rozognioną twarzą, w napół rozpiętym mundurze.

— Nie daruję! nie daruję! W sztuki się dam porąbać, a nie daruję takiej obrazy!....

— Ależ panie Andrzeju—odezwał się trochę zaambarasowany Wolicki—*to odwet za siostrzenicę*, wszak cię uprzedziłem.

— Co mi to za odwet? To sobie asan rób odwet na mojej osobie, a nie na urzędzie! Piękny mi odwet: i list podrobiony, i pieczętka pocztowa. Ho ho! to zdaleko się posunąłeś!

— No, nie dąsajże się już poruczniku, błagam cię! Nie spodziewałem się, abyś był tyle obrażony; miałem to za żart niewinny. Zresztą, jak mię tu widzisz, i jak mi Boga trzeba przy śmierci, choć kocham cię jak brata i więcej nawet, kiedy chcesz, dam satysfakcyą, gdzie i kiedy rozkażesz.

— Panie Andrzeju! zreflektujno się—zawołał proboszcz, potrząsając go za ramię—wielki-bo z ciebie gorączka! Jakże można tak z gościem postępować? Nie znasz maxymy: „gość w dom, Bóg w dom”. Wstydz się stary tych dąsów! Człowiek poczciwy, w zaufaniu twojej przyjaźni, zrobił figiel prawie niewinny, a ty się rzucasz jak małe dziecko i grozisz!

— No, no—wtrącił Bukowski -- Jędrusi! pogódź się z majorem. Widzisz i ja już o podpis listu nic nie mówię, choć mógłbym się obrazić. Patrzaj, takie ładne damy cię proszą: daj pokój!

I wistocie całe grono wystrojonych piękności, zatrwożone takim nieprzewidzianym obrotem sprawy, podsunęło się do kapitana z prośbami; a zdala słyhać było piskliwy głosik burmistrzowej: „Przez miłość Boską! żeby się nie bili, bo ja zemdleje, naprawdę zemdleje!”

Ojciec téż widocznie ochłonął z pierwszego gniewu; z czoła powoli znikaly marszczki, oczy tracily ognisty zapal gniewu, a w miejsce wybuchów złości, zaczął robić wymówki:

— A godziło się robić mi tyle kłopotów, majorze! I ty miałeś serce, i twoi współnicy nie uprzedzić mię!.. Eh! nie spodziewałem się tyle złościwości u was!

— Widzisz kochany poruczniku, to odwet za siostrzeniec, jak poznaje teraz wcale niewłaściwy; lecz co się stało, nie odstawiając, więc uściskajmy się po koleżeńsku i niech ci choć naostatku powinszuję, jako pierwszy i najszczerzy przyjaciel!

Dopieroż jak się zaczęli ścisnąć, całować na wszystkie strony; dopieroż jak ryknie kapela polskiego i to w całym znaczeniu tego wyrazu, (bo rudobrody dyrektor nie ciągnął smyczkiem, lecz prawdziwie krajał struny), to aż starzy w objęciach splakali się jak bobry, i całe towarzystwo ożywione na nowo podobnym obrotem sporu, zbiegło się do pojednanych, witając, ścisnąc, dziękując z gwarem nie do opisania.

— Przynajmniej panowie, którzy tu jesteście, dajcie mi słowo honoru, że ta awantura przy was zostanie nazawsze—odezwał się ojciec—bo o nic mi nie chodzi, jak tylko o ten wstyd przed ludźmi i komendą, zem się dał tak pociesznie ulowić.

— Dajemy! dajemy!—zawołali chórem otaczając starego. Wnieiono téż wino, nalano w kieliszki, i wiwat na zgodę z towarzyszeniem kapeli, odbił się w tysięcznych echach od ścian pokoi i podwórca.

Oh! bawiono się téż ochoczo aż do 9tej zrana. Starzy i młodzi pili, tańczyli na zabój, wcale się nie oszczędzając; porucznik nawet wywijał walca z burmistrzową, której nigdy nie lubił. A ileto kolei obszedł kwartowy kieliszek, a ileto razy powtarzały się zdrowia solenizanta, gospodarstwa, dam, i owo staropolskie „kochajmy się”, to trudnoby policzyć. Dość, że nigdy nie pamiętam huczniejszych imienin i weselszej zabawy w naszym domu, chyba na mojem weselu, o którym kiedyś się dowiecie.

Na drugi dzień, gdy wszystko ucichło, a dom wyglądał jak miejsce popasu dawnych Litwinów, porucznik wstał późno, i nie mógł zapomnieć wczorajszej musztry. Chodząc zamyślony po pokoju, zbliżył się do krzątającej się matki, i stanął zafrasowany przed nią.



— Patrz Zosiu, że to człowiek całe życie musi się uczyć! Wiész, dopiero dzisiaj wpadłem na myśl, jak ja to byłem nierozsądny i wierzyłem byle bazgraninie niby Bukowskiego; a przecież o lustracyi zawiadomiłby dowódzca, byłby urzędowy rozkaz.... Tfu! malowany komendant i djabło malowany!

— Zapomnijże już o tém mój mężu, i niech ci się snem wyda cały ten wypadek....

— Eh Imość! mam cię w podejrzeniu, żeś o tém wiedziała doskonale, i bronisz swych współników. Nie myśl, żebym tak mało miał być domyślnym! Widzisz kochanie, człek dużo puszcza mimo siebie dla świętej spokojności; wiem, żeś i ze stołkami po swojemu zmajstrowała.....

— I to być może — odrzekła matka — lecz i to prawda, żeś komendę rozruszał, sam miałeś przez kilka dni zajęcie, i jam swobodniej przygotowania robiła. Tyś przywykły do czynniejszego życia, widziałam, że się potężnie nudzisz; cóż więc dziwnego, pomyślałam: pognięwa się trochę to prawda, lecz się pogodzi, rozerwie kilka dni, i troszeczkę nauczy, jak to mało trzeba wierzyć w swoje przenikliwość.

— Ktoby was tam przegadał! Marnujecie talent retoryczny na kazania dla mężów, a szkoda, bo to groch na ścianę.... Lecz dajmy temu pokój!

Biesiadnicy święcie dotrzykali słowa: improwizowana musztra dla obcych tajemnicą została, tylko kiedyniekiedy gdy przyjechał Wolicki, zapytywał z uśmiechem porucznika:

— A co Jędrusiu! nie przyjedzie tam jaki generał?

— Żartuj zdrów, majorze! Przecież to nieskończony interes z nami: przyjdzie koza do woza, kochanie, przyjdzie!....

— I zawoła meee.... — kończył zwykle Wolicki.

Czy było co z tój kozy lub nie, dowiemy się w dalszym ciągu kłopotów komendanta, których miał jeszcze podostatkiem, bo komuż na nich zbywa? Życie ludzkie jest bezbrzeżnym ogrójcem kłopotów, jest łańcuchem splecionym z łez i utrapień, łączącym kolebkę słabiutkiego niemowlęcia, z również szczupłą a ostatnią kolebką starca — wiecznie ponurą trumną.

W Warszawie, dnia 8 grudnia 1853 r.



## ZYCIE DOMOWE

## JADWIGI I JAGIEŁŁY.

Z REGESTRÓW SKARBOWYCH Z LAT 1388 — 1417,

PRZEDSTAWIONE PRZEZ

*Alexandra Przędzieckiego.*

(Ciąg Halszy).

Regestra wydatków krakowskich (*Registrum distribut.  
Cracovien.*).

## KSIĘGA PIĘRWSZA (\*).

Rok 1393.

Niech początek pobłogosławi N. Marya Panna! (*Assit principio Sancta Maria!*)

W poniedziałek w oktawie Wniebowzięcia N. Panny (18go sierpnia), dostojny mąż pan Krystyn kanonik sandomierski, po proboszczu S. Floryańskim, z rozkazu króla JM. przyjął prokuratora generalną ziemi krakowskiej. Tegoż dnia obiad dla królowej JM.; tudzież na konie królowej pani, sprowadzone dlatego, że miała konno jechać za królem, lecz nie pojechała: za 4 miarki owsa, 3 skojce 1 grosz.

We czwartek (21 sierpnia). Dla pana Swidrygielły czyli Bolesława, za ćwierć (1) piwa 20 skojców. Panu Maciejowi

(\*) Książka nr. 4 wążka, z rodzaju tych które zowią *dudkami*.

(1) *Quartale*, pewno *beczka*, zawierająca 2 *achtele*.



kanclerzowi  $\frac{7}{2}$  (1) ćwierć piwa własnego warzenia. Panu Nawojowi za ćwierć piwa, 20 skojców.

We czwartek po św. Idzim (3 września), królowa JM. po obiedzie do Bochni ruszyła. Panu Maciejowi biskupowi przemyskiemu ćwierć piwa własnego warzenia i chleba domowego kopa jedna.

Pani Nawojowej, (*Domine Navogisse*), ćwierć piwa swojego. Pisarzom katedralnym 9 skojców. Albertowi stróżowi dzikich zwierzy (2) zasług 6 skojców. Łukaszowi pustelnikowi (*heremithe*) z rozkazu królowej JM. 6 skojców.

We wtorek w dzień śś. Szymona i Judy (28 października), król JM. przybył na obiad do Krakowa z Proszowic; we środę, na cały dzień królowi JM. z książętami Skirgiełłem, Wasylem (3) i innymi wielą, za ryby świeże 4 grzywny i 3 wiarunki i t. d.

Za mydło do wyprania sukien królewskich Opanaszowi, łaziebnikowi króla JM. 1 skojec. Za sośninę do zapalania drew w sypialni, 12 denarów. Nawojowi z Lankawy (*de Lankava*) ćwierć piwa swojego. Za rybę żywą kupioną i przeznaczoną do przesłania Wisłą do sadzawek do Niepołomic, 5 grzywien i 18 skojców. Sługom królowej JM. tojest: Stanisławowi krawcowi w ośmiu, Mikołajowi rzeczonemu Claws złotnikowi, pracującemu w zamku samoczwart. Jaśkowi haftarzowi samoczwart; pisarzom katedralnym trzem z dwiema innymi osobami; Szadowi, Januszowi samowtór. Michnowi, Pietraszowi, komornikowi księżnej; Mikołajowi, Forsztkowi, Mikołajkowi, komornikowi królowej pani; Michałowi ze Skarbu, Adamowi Kontraktowi; trzem sługom rzeczonych komorników; Stachowi z żoną; razem dla osób 34, oprócz sług wiceprokuratora utrzymania. P. Dymitrowi, marszałkowi dwie kopy chleba.

W piąty dzień po św. Marcinie (16 listopada) na cały dzień królowej JM. z książętami, gośćmi, ziemianami i mieszcz-

(1) W Niesieckim nie znajdujemy kanclerza Macieja w tym roku; moŜe to być kanclerz królowej, i ten sam, co biskup przemyski tegoż twenta, niŜej wzmiankowany.

(2) Były to bawoły, jak się okazuje z dalszych regestrów.

(3) KsiąŜę Wasyl, ten sam o którym wyŜej w regestrach naszych była wzmianka. Syn zmarłego juŜ księcia Konstantego.

nami (*terrigenis et civitatensibus*) zaproszonemi, gdy księżniczka mała, córeczka księcia, ochrzczoną została (1).

Za garnuszki (*pro olliculis*) do picia, 1 grosz. Księciu S. (*Skirgielle?*) 6 kop pszenicy poborowej. Panu Hincze 1 kopę pszenicy poborowej. Z rozkazu królowej JM. ćwierć piwa panu Nawojowi, jój podskarbiemu.

Za krótką suknię (*tunicella*), i ezapkę (*capucium*), poganiaczowi wołów (*bubulco*), pasącemu trzodę w Łobzowie, 7 skojców.

We wtorek (2 grudnia) po obiedzie królowa na noc do Luberczycy pojechała.

Wieczera dla służby królowej, zostawionej w zamku po jój wyjeździe, jako: Forstkowi, samowtór; Machowskiemu samowtór, Świętosławowi pisarzowi i t. d.

We czwartek, w dzień św. Barbary (4 grudnia) na wydatki małej księżniczki, na ręce pana Nawoja, 1 grzywnę (2). Stanisławowi krawcowi królowej JM. 18 skojców. Świętosławowi pisarzowi katedralnemu 10 grzywien.

W dzień św. Tomasza (27 grudnia) Rafałowi przybywającemu z Radomia, dla zakupienia żywności (*necessaria*) dla króla JM. 6 skojców. Pisarzom katedralnym, 12 skojców.

#### Rok 1394.

We czwartek, w dzień Obrzezania Pańskiego (1 stycznia), Stanisławowi krawcowi królowej JM. 18 skojców. Pisarzom katedralnym 14 skojców. Opalaczowi (*calefactori*) izby królowej JM. na siekiereę dla rąbania drzew, 3 skojec; za pniak do rąbania drzew temuż opalaczowi, 1 grosz; za czechczery (*sotulares*) dla tegoż opalacza, 1 skojec.

Na rozkaz królowej JM. łązebnikowi na rynku P. Maryi (*balneatori in platea Sancte Marie*) przez Derśława komor-

(1) Nie znajdujemy w genealogiach pewnego śladu narodzenia się tej księżniczki, zapewne mazowieckiej, może Cymbarki, którą w r. 1412 także w Krakowie zaślubił arcyksiążę Ernest Rakuski, a która została matką rodu cesarzów habsburskich.

(2) Zapewne ta sama, której chrzest odbył się na dworze królowej, d. 16 listopada tegoż roku.



nika królowej JM. 12 skojców, za łaźnię dla dworskich. Za 8 kuropatw 5 skojców. Pietraszkwowi komornikowi królowej JM. z jej rozkazu posłanemu, 4 skojce. Pół korca (*polucorcze*), grochu, 1 grosz. Za musztardę (*synape*) i cebulę, 1 skojec; za rzodkiew wielką, 2 denary.

W sobotę (31 stycznia). Za 4 libry papieru do przepisania 5ciu ksiąg Salomona, na rozkaz królowej JM. mistrzowi Bartłomiejowi rektorowi szkoły Najśw. Panny sandomierskiej, 8 skojców (1).

W poniedziałek w dzień Oczyszczenia N. Panny (2 lutego): na wieczerę dla królowej JM. (gdy obiad miała u pana Jana (*apud D. Johannem*) (2), za 30 kurcząt po 1 groszu i 3 denary para; za 4 gęsi 6 groszy; za 3 zające 6 skojców i t. d.

We wtorek, na wydatki królowej JM. do rąk Jana pisarza skarbu królowej, 24 grzywny. Żonie Hanula 1 achtel piwa domowego.

Małdrzykowi komornikowi królowej JM. jadącemu do Moraw z listami, na wydatki. z rozkazu królowej, 2 grzywny groszy, za 2 grzywny drobnych (*11 marcas grossorum, pro 11 marcis minorum*) a oprócz tego w drobnych pieniążkach (*in parvis pecuniis*)  $\frac{1}{2}$  grzywny.

Za funt pieprzu i łót szafranu 8 skojców; za siarkę i sadło (*arvina*) na smarowanie dla psów królewskich, 1 grosz; za obuwie (*pro calceis*) dla Stanisława klucznika (*clavigero*) 2 skojce; za podszycie dla Stanisława sługi wice-prokuratora, 1 skojec.

W niedzielę (15 lutego) po obiedzie, królowa JM. wyjechała do Niepołomic. Za chleb biały na wieczerę dla młodej księżniczki z innemi pannami, które zostały po odjeździe królowej, 1 grosz. Za wóz sośniny dla zapalania drzew w kominie sypialni króla JM. w Krakowie, 3 skojce.

We czwartek (19 lutego) gdy królowa JM. niespodziewanie przybyła z Niepołomic, na wieczerę: za 12 kurcząt, 6 skojców i t. d.

(1) Pro IIII libris papiri ad rescribendum quinque libros Salomonis, ad mandatum D. Regine Magistro Bartholomeo Rectori scole Sancte Marie Sandomiriensis, VIII scot.

(2) Z dygnitarzów ówczesnych panowie z Tęczyna i z Tarowa imię Jana nosili, ale może ten sam Jan było niżej wymieniony pisarz skarbu królowej.

W poniedziałek w wigilią św. Macieja apostoła (23 lutego), na wydatki Hanulowój (*Hanulonisse*) 3 grosze. Za stóg siana u Siemka, mieszczanina we Florencyi (*in Florencia*) (1) na stacyą króla JM., 4 grzywny. Za stos drzew od Andrzeja wójta zamku krakowskiego (*apud advocatum Castri Cracoviensis*) 5 grzywien. Za korczyk kaszy (*pro 1 choro gruelli*) 3 skojce; za 2 niecki (*neczki*) 3 kwartniki; za 7 łokci płótna na koszulę dla opalacza pokojów, 3 skojce 12 denarów.

We czwartek (26 lutego) gdy król i królowa do Krakowa na wieczerzę przybyli: za knoty do świec łojowych, 2 skojce; za ocet do galarety (*ad galretam*) na dzień jutrzejszy na półmisk dla króla JM. 3 kwartniki; ryba do téj galarety własna (2).

W sobotę (28 lutego) dla króla JM. i sług jego na obiad: za ryby świeże 7 grzywien; za 300 śledzi, 18 skojców; za 400 jaj do pirogów (*ad pirogos*)  $\frac{1}{2}$  grzywny i t. d.

W niedzielę zapustną (1 marca) król JM. z królową JM. swoją obiadowali wraz z dworem u pana starosty krakowskiego (3). Na wieczerzę dla króla JM. z gośćmi, jakoto: dwoma księżętami mazowieckimi, Ziemowitem i Januszem, i innemi księżętami, raciborskim i oświęcimskim: za wieprza 20 skojców. Za 40 serów do placków i pirogów (*ad placentas et pirogos*) 5 skojców i t. d.

W poniedziałek (2 marca) królowej JM. z gośćmi, tojest z księżną mazowiecką (4), i z innemi wielą zacnemi paniami i pannami, których liczba niewiadoma była: za 120 kurcząt, 2 grzywny i 19 skojców i t. d. Za rybę świeżą na półmisk dla królowej, która z mięsem nie jadła, 14 skojców (5); za 30 śledzi moczonych, 3 grosze i t. d.

(1) *Florencya* nazwane było przez Kazimierza W. przedmieście *Kleparz*; zapewne od kościoła św. Floryana.

(2) Jagiełło zwykle płątki o chlebie i wodzie suszył; pokazuje się, że czasami i galaretę z ryb jadał.

(3) Starostą krakowskim, a razem wojewodą był Spytek z Melsztyna.

(4) Była księżna Alexandra siostra rodzona Jagiełły, która zapewne poślóg odbyła w Krakowie, i z nowonarodzoną córeczką, czyli małą księżniczką jak ją rejestra nasze nazywają, dotąd w gościnie bawiła.

(5) Królowa zaczynała zapewne post od niedzieli *Septuagesima*, tojest dwoma tygodniami pierwej, wedle dawniejszego zwyczaju w Polsce.



Za stos drzew zrąbanych, od Jana syna Spicimierza mieszczanina krakowskiego, 3 grzywny; za drugi stos drzew w szcypach od Rydzka mieszczanina z Kazimierza, 2 grzywny.

Dla masztalerzy tak Rusinów jak Litwinów i chrześcian (*marsalconis tam Ruthenis quam Lythuanis et Christianis*) na śledzie i t. d., 1 grzywnę. Dla królowej pani za obwarzanki (*pro circulis obarzankej*) 1 grosz.

We czwartek (5 marca) król JM. obiadował u biskupa (1). Królowa JM. przepędziła ten dzień z małżonką księcia Ziemowita mazowieckiego, i niezliczoną liczbą pań.

W niedzielę *Invocavit* (pierwszą postu, 8 marca) król JM. obiadował z gośćmi swoimi, książętami: Januszem i Ziemowitem mazowieckimi, oraz z książętami raciborskim i oświęcimskim.

Za kamień wyziny 12 skojców; za siano do łaźni króla JM. 1 grosz. Albertowi Obrocznemu (*obrocznej*) 1 skojec; za bicz i pas zwany powodek, 1 kwartnik; za inne pasy zwane nakończa, 1 grosz.

W dzień św. Grzegorza (12 marca) dla króla JM. obiad z Prokopem margrabią morawskim, z książętami mazowieckimi, Januszem ks. raciborskim, i ks. oświęcimskim: za kisiel (*pro glicerio dicto kyszel*) 2 skojce i t. d. (2).

Na noc król JM. udał się z Krakowa do ś. Floryana, do domu p. Mikołaja proboszcza; na wieczerzę dla niego tamże, za 200 śledzi, 12 skojców; za 2 kopy węgorki 16 skojców. Królowa JM. z dworem pozostała, po odjeździe króla JM. do Florencyi (3).

W piątek, (13 marca) król JM. przenocowawszy w domu ks. proboszcza ś. Floryańskiego, dzień cały tam zabawił; obiad dla dworzan sprawiono, dla których ćwierć piwa 19 skojców, a chleba pszennego 4 kopy dano; sokolnikom na mięso, 3 grosze.

W niedzielę *Reminiscere* (2gą postu, 15 marca), za kosz (*sporta*) dla psiarków (*psarconibus*) dla zbierania kawałków chleba ze stołów, 6 denarów. Mikołajowi zwanemu Koza, ku-

(1) Biskupem krakowskim był od r. 1392 Piotr Włsz.

(2) Kisiel, galareta z mąki, potrawa litewska.

(3) Florencyą nazywał Kazimierz Wielki przedmieście Kleparz, stanowiąc z niego osobne miasto, z prawem magdeburńskim, i otaczając murem (ob. Ambr. Grabowskiego, Kraków i jego okolice, wydanie 3cie str. 41).

charzowi króla JM. dyety (*pro suo diario*), na rozkaz króla JM.; któremu należy się na każde suchedni, czyli kwartał, po grzywnie, a niewypłacono mu dwóch ostatnich kwartałów, na św. Michał, i na adwent; tak więc na terażniejszy kwartał zapłacono 3 grzywny.

Za 120 miarek przedniej mąki pszennej od Wacława zwanego Stokłosa, dla pieczenia chleba dla dworu królowej pani, gdy już mąka pszenna poborowa wyszła; a pieniądze, po 4 skojce za miarkę, mam zapłacić na Zielone Świątki, w ilości 20 grzywien.

We wtorek (14 kwietnia) przybór dla królowej JM. na przyszłe święta: za 2 niecki do trzymania serów, 1 skojec; za 2 kopy serów, 13 skojców; za dwie tartki, 1 skojec; za przyniesienie tego z rynku, 1 grosz; za 2 kopy serów do ciast (*ad tortas*) 13 skojców; za wór mąki białej do ciast, 1 grzywnę i 7 skojców; za 30 miarek mąki pszennej wziętych na kredyt, po 4 skojce za miarkę, od Wacława, do zapłacenia na Zielone Świątki, 5 grzywien. Rzeźnikowi, który zakłól 12 wieprzów, i przygotował słoninę zwaną *loszajna* (1) dla samego króla JM. 13 groszy.

W Wielki Piątek dla królowej pani i jej dworu, na placki zwane płaskury (2), bułki (*semellas*) i obwarzanki, na stół królowej JM., 9 groszy i 1 kwartnik.

W najświętszą sobotę, w wigilię Wielkanocy: za chleb biały i obwarzanki dla królowej JM. i jej dworu, oraz przyniesienie tego z rynku, 9 skojców i 1 kwartnik (3); za 1 łót krokosu (4) do placków, 3 grosze; za szklanki (*pro vitris*) na dzień jutrzejszy, 5 groszy; za 1,200 jaj, 18 skojców.

W niedzielę Wielkanocną (19 kwietnia): za chleb biały, 3 grosze, a chleb ten wczoraj był kupiony; tudzież 1 acheml miodu (*medonis*) dawniej warzonego.

We czwartek, (7 maja), księżę Andrzejko, który siedział w Chęcinach w więzieniu, przybył do Krakowa z wielą panami (*cum multis Baronibus*) i innymi wielą, na wieczerzę; któremu dano 3 kopy chleba i ćwierć piwa domowego warzenia.

(1) Łosna, sadło z łosla.

(2) Płaskury, proskury, opłatki, (Knapski).

(3) Zdaje się zatem, że królowa suszyła ostatnie dni Wielkiego Tygodnia.

(4) Krokos, szafran polowy.



Pisarzom katedralnym królowej JM. z rozkazu téjże królowej, tygodniowo 15 skojców. Bernardowi, pisarzowi w szkole u Panny Maryi, z rozkazu króla JM. dałem 6 skojców.

W niedzielę (10 maja) królowa JM. na noc do Słomnik pojechała.

Za olej, mak i włóczęgę (*wloczanga*) (1), 3 kwartniki; słudze Malpeszowi, który opalał izby króla i królowej w zamku (*famulo Malpesz qui calefacebat stubas regales et reginales in Castro*) na obuwie, 2 skojce.

Za flaki (*pro trippis dictis vulgariter flakij*), 1 grosz.

W sobotę przed Św. Trójcą, (13 czerwca) księciu smoleńskiemu (2), 1 kopę chleba, a za ćwierć piwa, 19 skojców; gdyż chociaż sam książę z rana do Wieliczki pojechał, niektórzy z orszaku jego pozostali, a i sam na noc z Wieliczki powrócił.

Przybył do Krakowa Boguchwał, komornik panien, z innymi towarzyszami i z wozami królowej pani; którym na wydatki na dzień cały dałem 2 skojce, oprócz chleba, słoniny, grochu, jagiel i piwa. Za młode kurczęta 2 skojce; za jaja, śmietanę i pietruszkę 1 skojec; za 2 statki zwane stawnicze (3), 3 grosze; za poziomki (*pro fragis*) 3 grosze.

Król JM. z Mogiły do Krakowa na noc przybył; nazajutrz za 4 ćwierci piwa miejskiego (*cerevisie civilis*) dla niego, 3 grzywny; ponieważ przybyli z nim książęta, t. j. cieszyński (4), słupski, oświęcimski, książę Skirgiełło i Siemko mazowiecki.

Za grzyby, (*pro boletis grzybij*) i *weszene* (wisnie) 3 grosze; za ćwikłę, cebulę i pietruszkę 3 grosze; za 2 kopy *strekfúsij*, 11 skojców (5); za groszek młody, 1 skojec; za musztardę, 1 grosz. Dwa wieprze od p. Kmity, (*a D. Kmity*).

W niedzielę (14 czerwca) dla króla JM. obiad, z książętami Skirgiełłem, Siemkiem mazowieckim, cieszyńskim, słupskim, oświęcimskim; za marchew i rzodkiew 3 kwartniki i t. d.

(1) Włóczanga, zapewne włóczęga (u Kluka) *licopodium*, roślina zwana także widłak i św. Jana pas; proszek z olej używany bywa w aptece.

(2) Ks. smoleński Jerzy albo Hleb, syn Światosława, a brat Anny żony ks. Witolda.

(3) Nie ma tego wyrazu w Knapskim; stawniki są to obręcze bednarskie.

(4) Ks. cieszyński, może Bolko czyli Bolesław, brat Przemysława ks. oświęcimskiego.

(5) Strekfúsij, może jaki rodzaj korzonków.

We środę w dzień św. Jana (24 czerwca): za sztukę arrasu (arras) (1) na suknię (*ad tunicas*) dla wice-prokuratora i Jakóba pisarza, 3 grzywny.

We czwartek (25 czerwca) król JM. pojechał do Niepołomic na wieczerzę.

We środę w wigilią Nawiedzenia N. Panny (1 lipca), królowa JM. przybyła z Niepołomic do Krakowa na obiad.

W niedzielę (5 lipca) królowa JM. obiad jadła u p. Mikołaja Kurowskiego (*apud D. Nicolaum Kurowskij*) (2).

We wtorek po niedzieli *Deus in loco* (11tej po Zielonych Świątkach (25 sierpnia) królowa JM. pojechała na obiad do Proszowic. Pani Krystyna Beczka z pannami służebnymi królowej JM przybyła.

We środę dla pani Beczkiej z innymi sługami: za ryby świeże 5 groszy i t: d:...

W piątek (28 sierpnia) królowa JM. z Proszowic na obiad przybyła; za powrozy zwane *striki* i bicz, 1 grosz.

W poniedziałek w wigilią św. Michała (28 września) królowa JM. z powodu pojedynku (*propter duellum*) (3) obiadowała u Winka (4), a pan prokurator wydatki jej opędził.

We czwartek (1 października) siedmnastu służących posłano do Zoldowa (5) z powodu wyprawy, na rozkaz króla JM. listowny.

W sobotę (3 października) Janowi klerykowi królowej JM. z polecenia pana Krystyna mistrza dworu, na potrzeby kuchni królowej, 12 grzywien; za ryby zwane *lijpene* (6) 1 skojec i 1 kwartnik; za ćwierć mięsa wołowego kuchcie na wesele z polecenia króla JM. 6 skojców (*pro uno quartali carniū bovinar: coquo dicto cucta ad nuptias*).

(1) Arras, aras, haras, rasa, gatunek lekkiej materii wełnanej, od miasta Arras we Francji tak nazwanej (Linde pod słowem Rasa).

(2) Mikołaj Kurowski dziekan krakowski, został w tym roku jeszcze biskopem poznańskim, a w r. 1402 arcybiskupem gnieźnieńskim.

(3) Nie możemy wytłumaczyć o jakim tu pojedynku czy bitwie mowa, z powodu którego królowa musiała obiad jeść u Winka żupnika.

(4) Winko był żupnikiem soll.

(5) Zapewne Działdów, miasto pruskie, które jeszcze w r. 1377 wiele uleczało w zatargu Krzyżaków z Litwinami.

(6) Lipene, Lipteń, (*salmo thrymalthus*, Linneusz) przednia ryba, z pstrągami równająca się (Linde).



We środę w dzień śś. Szymona i Judy (28 października), za 2 ćwierci piwa, 1 grzywnę i 8 skojców, dla królowej JM. kiedy miała gości z Czech (1).

We środę po Wszystkich Świętych (4 listopada), królowa JM. z Krakowa wyjechała na obiad do klasztoru tynieckiego, zostawując wiele sług, którym kazała dawać chleb i piwo.

We czwartek królowa JM. powróciła z Tyńca na wieczerzę do Krakowa.

We czwartek (12 listopada) królowa JM. po obiedzie wyjechała z Krakowa, zostawując wiele sług, którym kazała dostarczać chleb, piwo i inne potrzeby.

W piątek (17 listopada) królowa JM. przyjechała z Bochni do Krakowa.

W sobotę, w wigilię św. Andrzeja (28 listopada), za przywiezienie drzew, dlatego, że kmiecie (*kmethones*) dla złej drogi przywieźć nie mogli, 6 skojców.

W piątek przed wigilią św. Mikołaja (4 grudnia) woźnicom, którzy smarowali kolebkę (*cunabula*), gdy królowa JM. chciała wyjeżdżać i nie wyjechała, 1 kamień łoju własnego. Łoju 1 kamień własny do lamp królowej pani. Maciejowi kowalowi, który robi przy stępach do tłuczenia ziarna (*pistrinas*), zasług 18 skojców. Stróżowi dzikich zwierzy za dwa kwartały, 1 grzywnę. Paduchowi kowalowi, który zrobił żelastwa potrzebne do mynow, 1 2 grzywny i 8 skojców.

We czwartek w wigilię Bożego Narodzenia (24 grudnia) na obiad królowej pani, gdy zaprosiła niektórych prałatów, kanoników, wikaryuszów i panów świeckich (*Barones*) (2); za chleb biały na dzień dzisiejszy i nazajutrz, 18 skojców; za 4 ćwierci piwa, 3 grzywny. Janowi szafarzowi królowej JM. 16 grzywien. Bednarzowi Jakóbowi za naprawę statków, 6 skojców.

W niedzielę w dzień św. Jana (27 grudnia): za chleb biały dla królowej JM. na cały dzień, gdy gości miała, 6 skojców.

W sobotę (2 stycznia 1395 r.) królowa JM. z Krakowa wyjechała do Proszowic.

Summa ogólna wydatków w tej księdze czyni 1,848 grzywien, 8 skojców i 1 denar.

(1) Byłto posłowie od króla czeskiego Wacława: Walkno i Proczyna.

(2) Znajdujemy tu dowód obchodzenia willi ucztą za czasów królowej Jadwigi.

*Regestr rozchodów wice-prokuratora Nowego-Miasta,  
Niepołomic, Proszowic, Słomnik i Żarnowca (1).*

*Nowe-Miasto i Wiślica.*

**Rok 1393.**

Roku Pańskiego 1393 we środę po niedzieli *Dum clarem* (10tój po Zielonych Świątkach) 6 sierpnia, gdy Najjaśniejszy książę Władysław był w Nowém-Mieście, dostojny mąż pan Krystyn, kanonik sandomierski, z rozkazu króla JM. przyjął zamek Nowego-Miasta oraz Wiślicę z powiatem swoim.

W poniedziałek, nazajutrz po św. Bartłomieju (25 sierpnia) król JM. pojechał do Otwinowa na obiad, zostawując komorników swoich na zamku; tegoż dnia król JM. z Otwinowa na wieczereę powrócił. W niedzielę (31 sierpnia) król JM. po obiedzie do Krakowa pojechał. Wice-prokurator pozostał w zamku tydzień cały z Małofejem, Rusinem, pisarzem króla JM., który chorował.

Za suknię (*tunica*) Mikołajowi, dozorczy psów królewskich, 9 skojców. Za lekarstwa dla koni królewskich. t. j. dla biskupa i dla wałacha, 18 skojców. Iwanowi Węgrzynowi<sup>1</sup>, dozorczy rzeczonych koni, na wydatki przez tydzień, 6 skojców.

We wtorek po niedzieli *Omnia que fecisti* (20tój po Zielonych Świątkach, 14 października), książę Skirgiełto, brat króla JM. przybył. W piątek król JM. przybył z Sandomierza. W poniedziałek w wigilią św. Szymona i Judy (27 października) król JM. do Krakowa pojechał.

Rusinowi Nelepce z dwoma towarzyszami, jadącemi z sokołami królewskimi z Niepołomic na Ruś, na rozkaz listowy króla JM., na trzy pary skórni 9 skojców. Stanisławowi rybakowi zapłacono za rybę do kuchni króla i królowej JM. Omelian Rusin z synem swoim Chodyną, z listem królewskim przybyli z Krakowa na wieczereę. Stanisławowi dozorczy koni króla JM., jadącemu z końmi do króla do Chęcin, na nogawice (*pro caligis*) 6 groszy.

W pierwszy czwartek adwentu (4 grudnia), królowa pani ze Skalbmierza przybyła; wieczera dla niej w Wiślicy.

(1) Księga nr. 7.



W piątek królowa JM. po obiedzie pojechała do Stawian; za wóz dla niej 7 groszy.

W sobotę ks. proboszcz z Buska królowi JM. potrzeby wszelkie dostarczał; a w niedzielę *Populus Sion* (2gą adwentu) proboszcz z Krzyżanowic.

W niedzielę 7 grudnia, pan Skirgiello z Krakowa do Wiślicy przybył. Andrzejowi Rusinowi, z zawodnikami (*cum zawodniki* (1)), i innymi wałachami króla JM., razem na 6 koni, na cały tydzień 3 miarki owsa, dawniej kupionego.

### Rok 1394.

W sobotę po niedzieli *Adorate* (7 lutego), królowa pani na wieczerzę przybyła.

W niedzielę (8 lutego) na obiad dla królowej JM. za wołu 19 skojców i t. d.

W sobotę w dzień św. Walentego (14 lutego), król JM. późno przybył do Wiślicy z Szydłowa.

W niedzielę po obiedzie do Niepołomic pojechał.

We wtorek po niedzieli *Invocavit* (1szej postu, 8 marca) księżna pani Siemkowa mazowiecka (2) z Krakowa do Wiślicy na obiad przybyła. Za stóg siana (gdym własnego nie stało) dla dzikich zwierzy zwanych bawoły (*bawolij*), oraz dla krów i wołów robozczych, w Konieczności i Sendzislawicach, 4 grzywny, 16 skojców.

W niedzielę *Misericordia* (2gą po Wielkanocy, 3 maja) Witalisowi jadącemu do króla JM. do Wielkiejpoli (*Polo-niam*) w poselstwie królewskim (*in legatione regali*) na wydatki 2 grzywny.

W sobotę po niedzieli *Jubilate* (3ciej po Wielkanocy, 16 maja), książę Andrzej, brat króla JM. na obiad przyjechał. Za 3 flasze (*lagene*) wina czerwonego z Krakowa, 15 skojców.

Mikołajowi słudze księcia pana jadącemu w poselstwie do króla JM. do Wielkopolski, 18 skojców na drogę.

We wtorek po niedzieli *Cantate* (4tej po Wielkanocy, 19 maja), mąkę pszenną wydano dla JKMości, w czasie zjazdu

(1) *Zawodnik*, koń w zawód biegający, biegun (*Linde*). Możeby już do tej oddalonej epoki dźlejších naszych wyścigów konne odnieść można.

(2) Księżna Alexandra, żona Ziemowita, a siostra Jagielly.

z niektórymi książętami, a także z ziemianami królewskimi (1). Semenowi Rusinowi księcia Andrzeja na obuwie 3 grosze; a innemu Rusinowi tegoż księcia, zwanemu Kozieł (*kozal*), na podszycie 1 skojec.

We wtorek, w wigilią wigilii Wniebowstąpienia, (26 maja) w Opatowcu zakupiono na zapasy dla króla JM. w czasie zjazdu z księciem Witoldem, Skirgiellą i wielą innych książąt.

We środę po niedzieli *Exaudi nos* (5tej po Zielonych Świątkach, 15 lipca), książę Andrzejko pojechał do św. Krzyża. Kucharzowi księcia na obuwie na drogę 3 grosze, a na wydatki księcia w drodze 1 grzywnę i 6 skojców.

W piątek książę pan od św. Krzyża powrócił.

W sobotę (18 lipca) król JM. z królową panią przybyli do Wiślicy na noc. Dla księcia Andrzeja i ks. Witolda dano 3 woły dawniej kupione, a dla księcia smoleńskiego wieczerzę.

We wtorek po niedzieli *Ecce Deus* (9tej po Zielonych Świątkach, 11 sierpnia) król na wieczerzę przybył do Nowego-Miasta z Sandomierza.

We środę królowa JM. do Podolan na obiad kazała się zawieźć, i tegoż dnia z księciem Skirgiellą powróciła do zamku na wieczerzę o godzinie niesporów. Za orzechy, gruszki i śliwki (*pro prunellis*) 3 grosze. Za minogi (*pro lampredis*) 3 grosze. Za ogórki 1 grosz.

W piątek (21 sierpnia) królowa pani wyjechała na noc do Wiślicy.

W sobotę (22 sierpnia) dla króla JM. obiad w zamku, a dla królowej pani w Wiślicy.

Za kupienie łańcucha, (*kathene vulgariter lanczuch*) do siana dla koni królowej JM., 3 grosze.

W niedzielę *Deus in loco* (11tą po Zielonych Świątkach, 23 sierpnia) księciu Skirgielle w gotowych pieniądzach 2 grzywny. Za achtel piwa dla księcia Jerzego (2), który przybył w poselstwie od ks. Witolda, 9 skojców.

We czwartek (27 sierpnia) król JM. do Szydłowa, a królowa pani do Krakowa zrana wyjechali.

(1) Zjazd ten miał miejsce po uwolnieniu ks. Andrzeja, brata rodzzonego Jagiełły, z wzięcia chęcińskiego, na wstawienie się tychże książąt.

(2) Książę Jerzy, zapewne smoleński, syn Świętosława, a szwagier ks. Witolda, który siostrę jego Annę miał za żonę.



W niedzielę *Respice* (13 po Zielonych Świątkach, 6 września) król zrana wyjechał do Szydłowa. Rusinom w Zagościu na mięso 2 skojce. Należowi dozorecy koni, zostawionemu w Wiślicy u Jakusza kowala z dwoma końmi królewskimi słabemi, na wydatki 7 groszy.

W piątek (27 listopada) król JM. z Żabna na obiad do Nowego-Miasta przybył.

W sobotę, w wigilią św. Andrzeja (28 listopada): za rybę świeżą na obiad dla króla JM., gdy poseł księcia czeskiego, Jan, zwany Walkun, z drugim jakimś Mikołajem, w poselstwie do króla JM. przybyli (1) 3 grzywny. Za podejmowanie Walkuna wraz z drugim w gospodzie, z rozkazu króla JM. 4 grzywny. Łaziebnikowi króla JM. zwanemu *Oponas*, na konia 2 grzywny. Gromkowi fleścić króla JM. na konia, 2 grzywny. Dozorecy konia królewskiego, Bartoszem zwanego, na obuwie 2 skojce. Dla gęsi zwanych dzikie (*dzike*) 4 koszyki owsa dawniej kupionego. Za mydło i puszczenie krwi koniowi, Bartoszewi 1 grosz.

W niedzielę po Bożém Narodzeniu (27 grudnia) rajcom wiślickim z polecenia króla JM. 6 grzywien.

We środę (30 grudnia) na rozkaz pana Spytka wojewody krakowskiego, posłańcowi jadącemu do króla, do Radomia, z listami od ks. arcybiskupa (2) i biskupa (3), Spytka wojewody, Sędziwoja (4), i od całej gminy Nowego-Miasta, zapłaty 10 skojców.

### Rok 1395.

W piątek (1 stycznia), królowa pani w Proszowicach; na sobotę ryby świeże za 3 grzywny; za ryby dla pana wojewody (5) 12 skojców.

W sobotę, do Bochni dla robotników przy wydobywaniu soli (*pro exempcione salis laborantibus*) 6 skojców.

(1) W połowie października byli w Krakowie, jak powyżej rejestra świadczą, posłowie od króla czeskiego, Walkno (może ten sam) i Proczyna.

(2) Arcybiskup zapewne gnieźnieński, Jan, zwany Kropidło, ks. opolski, który niemogąc się na swęj stolicy przeciw woli króla utrzymać, w tym roku z nięj ustąpił.

(3) Biskup zapewne krakowski, Piotr Wisz.

(4) Sędziwój zapewne z Szablona, wojewoda kaliski.

(5) Zapewne krakowskiego wojewody *Spytka*.

Summa ogólna rozchodów w tój księdze od początku aż dotąd, czyni 534 grzywny, i 6 skojców.

*Księga rozchodów wice-prokuratorji Niepołomickiej.*

**Rok 1393.**

We wtorek nazajutrz po Narodzeniu N. Panny (9 września), pan Krystyn kanonik sandomierski objął rządy zamku niepołomickiego.....

W poniedziałek (13 października), dwaj słudzy kapelanów Najjaśniejszej królowej Pani z listem jej i czterema końmi na paszę przybyli.

W niedzielę (19 października), Mikołaj zwany Storczyn, ze Czciorem, łucznicy króla JM. przybyli do Niepołomic z 8 stogami i 12 końmi, dla strzelania (*ad sagittandum*) dzikiego zwierza na łowach w lesie niepołomickim. Tegoż dnia Thinnus samotrzeć z 3 końmi i 16 psami, a pierwój 15 psów, czyli razem 31 psów myśliwych królewskich przybyło do Niepołomic.

We środę (5 listopada) król JM. z królową panią przybyli z Dobszyc do Niepołomic na wieczerzę; księżnej (1) 13 świec; panu kanclerzowi (2) 10 świec. Panu Mikołajowi Kurowskiemu (3) ćwierć mięsa wołowego i 4 kurczęta dawniej kupione. Panu Monaldowi (4) barana za 3 skojce i 4 kurczęta. Drogoszowi, ćwierć piwa krakowskiego.

Książę Skirgiełło przybył do Niepołomic na wieczerzę, którego wraz z ludźmi jego i innym młodym książęciem (5) podejmowano przez cały dzień.

We czwartek po niedzieli *Dicit Dominus* (23 po Zielonych Świątkach, 6 listopada), król JM. po mszy ranniej pojechał do Wawrzyńczyc na obiad; królowa pani po mszach rannych z księciem Skirgiełłą obiad jadła.

(1) Siostra królewska, Alexandra, księżniczka mazowiecka.

(2) Zapewne kanclerz Maciej, o którym wyżej registra nasze wspominały.

(3) Mikołaj Korowski, kantor gnieźnieński i dziekan krakowski, domowy u królowej Jadwigi, w tym roku jeszcze został biskupem poznańskim.

(4) Monald mistrz mennicy w Krakowie.

(5) Może Fedko czyli Teodor Lubartowicz ks. włodzimierski, który dostał w tym czasie księstwo siewierskie od Jagiełły.



6 psów królewskich pokaleczonych na łowach przez ma-ciory (*per scrophas*) w Niepołomicach pozostały.

#### Rok 1394.

W poniedziałek po niedzieli *Circum de derunt* (*Septu-agesima* przed w. postem, 15 lutego), król JM. i królowa JM. przybyli do Niepołomic na wieczerzę.

We czwartek, wszystkie potrzeby dla króla JM. i jego królowej dostarczono z żup, oprócz świec, łożu i siana dla ko-ni; za siano od Piotra w Woli Kielcowej, (*pro feno in libertate Kelczonis apud Petrum*) 2. grzywny, dla koni króla JM. i kró-lowej Pani.

#### *Księga rozchodów wice-prokuratorji Proszowickiej.*

#### Rok 1393.

W poniedziałek w wigilią śś. Szymona i Judy (27 paź-dziernika), król JM. przybył do Proszowic na obiad; za sta-tek piwa dla p. marszałka 7 skojców, i dla p. kanclerza 7 skojców.

We wtorek (28 października) rano, król JM. do Lubo-rzycy na obiad pojechał.

We środę, ze Słomnik do Krakowa 13 miarek owsa dla koni królewskich powieźli Kmet z Woli i Schle... włodarze (*vill....* zapewne *villici*).

W piątek (5 grudnia) domownicy (*clientes*) księżny, sio-stry króla JM. przybyli do Proszowic na nocleg.

W sobotę (6 grudnia) księżna (*Dux vulgariter Xan-szna*) (1) siostra króla JM. na wieczerzę do Proszowic przy-była, a w niedzielę (7 grudnia) po obiedzie pojechała do Wi-ślicy. Tegoż dnia książę Skirgiełło brat króla JM. na wiecze-rzę przybył do Proszowic; a w poniedziałek zrana do Wiślicy pojechał.

#### Rok 1394.

W niedzielę *Adorate* (24 stycznia), królowa JM. na wie-czerzę przybyła do Proszowic...

(1) A więc przy końcu XIV wieku pisano Xanszna przez X.

...Gruszki i jabłka pieczone (*pira et poma assata*).

W poniedziałek (25 stycznia) Jan Węgier kapelan królowej JM. z listem króla JM. na wieczerzę przyjechał.

We wtorek po niedzieli *Letare* (4tój w. postu, 31 marca) w Krakowie za 8 funtów (*pro VIII libris vulgariter funthi*) nasienia cebuli dla zasiania po ogrodach, 20 skojców; za nasiona kapusty białej 3 grosze.

W niedzielę *Jubilate* (3 po Wielkanocy, 10 maja) królowa JM. z Krakowa przybyła do Słomnik na wieczerzę; a w poniedziałek rano (11 maja) pojechała do Miechowa.

W niedzielę Świętej Trójcy (14 czerwca), książe pan, smoleński (*Dominus Dux Smolanskij* (1), niejadłszy obiadu przybył na obiad do Proszowic. We wtorek (16 czerwca) król JM. z Krakowa, a królowa pani z Wiślicy przybyli do Proszowic na wieczerzę.

W niedzielę *Respice in me* (3ią po Zielonych Świątkach, 28 czerwca) pan Mikołaj pisarz króla JM. z *żelazną głową* i zydami jadącemi konno ze Lwowa do Krakowa na rozkaz króla JM. przybyli do Proszowic na wieczerzę.

We czwartek po ścięciu św. Jana (4 września) królowa JM. z Nowego-Miasta przybyła na wieczerzę do Proszowic z kapelanami swemi i z księciem Skirgiełłą.

We wtorek po niedzieli *Deus in loco* (11tój po Zielonych Świątkach, 25 sierpnia) królowa pani z Krakowa do Proszowic na wieczerzę przybyła; a we środę pojechała na wozie do Nowego-Miasta.

We wtorek (22 grudnia) w Krakowie za sukno dla służących we dworze Andrzeja i Szymona, w zasługach, łokci 14, 21 skojców, a za 11 łokci sukna dla Piotra poganiacza wołów, i Dolista pastucha świń, 15 skojców.

We czwartek w wigilią Bożego Narodzenia (24 grudnia), kobiécie służącej we dworze proszowickim, zwanój Sówka, zasług 12 skojców.

Służącemu w Słomnikach, poganiaczowi wołów, Mikołajowi, za gotową suknię i czapkę, 9 skojców.

W sobotę w dzień św. Szczepana (26 grudnia), kobiécie służącej we dworze królewskim w Słomnikach, zwanój Jadwiga, zasług 6 skojców.

(1) Książęta smoleńscy byli: Jerzy i Hleb, synowie Światosława, a bracia Anny żony księcia Witolda.



## Rok 1395.

W sobotę następną (2 stycznia) królowa JM. przybyła do Proszowic na obiad; za węgle do nowego domu 4 skojce. Tegoż dnia obiad wysłany został do Podolan na dzień jutrzejszy dla królowej pani.

Summa ogólna rozchodów wice - prokuratorowi proszowickiej, dotychczas czyni LXXVIII grzywien, XII skojców i XV denarów.

*Rozchotły żarnowieckie*, pod rządami przezacnego pana Krystyna, prokuratora krakowskiego, po ustąpieniu wielebnego proboszcza S. Floryańskiego. R. P. 1393 (w poniedziałek po niedzieli *Deus in loco*, 4tej po Zielon. Świąt. 24 sierpnia), król JM. listem swoim kazał przyjąć do dworu cztery konie Oświeconego księcia pana Bolesława księcia litewskiego, brata swojego najukochańszego, i dawać im, oraz sługom przy nich będącym, strawę i paszę.

We wtorek w dzień śś. Szymona i Judy (28 października), Jan z 7 końmi królewskimi przybył z Nowego - Miasta do Żarnowca.

Za 3 sztuki sukna szarego dla ubrania sług królewskich do pilnowania opon królewskich (*auleam regalem*), wysłanych do Żarnowca, 9 grzywien; za 10 kozuchów dla tychże sług, 10 kóp.

Za pytel (*pro cribro dicto pitel*) do pytlowania mąki, 2 skojce i 1 grosz.

W niedzielę (16 listopada) król JM. z Miechowa do Żarnowca z dworzanami swoimi na wieczerzę przybył.

We wtorek (18 listopada), za 8 łokci sukna szarego, na rozkaz króla JM. Henrykowi paszącemu konie Oświeconego księcia słupskiego (1), 12 skojców i 1 kwartnik.

Po obiedzie Najjaśniejszy król JM. pojechał na noc do Włodzisławia (2).

(1) Książę słupski z książąt pomorskich, zapewne ten sam o którym już kilka razy nasze rejestra wspominały.

(2) Jestto dzisiejszy Wodzisław, dawniej Włodzisławem zwany; pomiędzy Książem Wielkim a Jędrzejowem.

## Rok 1394.

W niedzielę *Reminiscere* (2gą w. postu, 15 Marca), król JM. z Miechowa na wieczerzę przybył; we wtorek po obiedzie do Lelowa wyjechał.

Służącój w folwarku (*in alodio*) Studzieniczne, zasług 7 skojców. Kobięcie służącój w folwarku Szczekliniki, zasług 3 skojsce.

We wtorek po niedzieli *Misericordio Domini* (2gięj po Wielkanocy, 3 maja), za wołu do orania pól królewskich w Studzieniczném, 1 grzywnę i 6 skojeów.

W sobotę po niedzieli *Jubilato* (3cięj po Wielkanocy, 16 maja) zabito wieprza swojego, dlatego, że słoniny nie wystarczało dla szesnastu osób z kuszami wysłanych z księżciem Skirgiellą do Działdowa (*ad Dzoldow*), z powodu wyprawy wojennęj (1).

Po niedzieli *Si iniquitates* (22 po Zielonych Świątkach), przezacny pan Krystyn, prokurator krakowski, na rozkaz króla JM. przekazał Stefanowi z Tczuczy (*de Thesucza*) 10 grzywien do odebrania od Jana wójta (*scultetum*) z Zandonicz, z lasu Głogów zwanego.

W poniedziałek, p. Krystyn prokurator, z rozkazu N. króla JM., Mikołajowi, łaźiebnikowi darował 2 grzywny czynszu z łaźni żarnowieckięj.

*Uście i Wojnicz.*

## Rok 1394.

We czwartek, w Bochni: za nasienie wyki, (*pra vicia dicta wyka*) do Benedyktowic, 7 skojców.

W piątek po niedzieli *Jubilato* (3cięj po Wielkanocy, 15 maja), książę Andrzej jadąc konno z Bochni do Nowego-Miasta wstąpił do Uścia.

W poniedziałek po niedzieli *Factus est* (w oktawie Bożego Ciała, 22 czerwca) księżna pani oświęconego księcia Witolda (2), jadąc z Bochni do Sandomierza, na nocleg do Uścia przybyła.

(1) Wyprawa Witolda przeciw Krzyżakom, do których przyłączył się książę Swidrygiello.

(2) Księżna Anna, córka Świętosława księcia smoleńskiego.



W piątek po św. Marcynie (18 listopada) królowa pani przybyła do Wojnicza.

Summa ogólna rozchodów w Uściu i w Wojniczu od początku dotąd, czyni XIII grzywien i V skojców.

### *Księga robót wice-prokuratorowi Nowego-Miasta i Wdlicy.*

#### **Rok 1393.**

W niedzielę w dzień św. Mateusza apostoła (21 września), za namazywanie (*pro linicione*) ścian izby królewskiej gliną białą (*argilla*), 8 skojców.

W poniedziałek po oktawie św. Franciszka (po 11m października), Piotrowi zwanemu Rygwa, który zaczął budować tamę (*obstaculum*) na Wiśle w Ubnicy, za wycięcie palów do téjże grobli, 9 skojców.

We wtorek w dzień św. Szymona i Judy (28 października), za sztukę sukna w zasługach Rygwie pracującemu około tamy, 1 grzywnę i 15 skojców.

Wojśławowi cieśli z Dietrzychowicz, za budowę przewozu zwanego prom (*plaustrum dicti prom*) w Ubnicy, 5 grzywien.

Rygwie zapłaty za robotę z trzema innymi towarzyszami około tamy na Wiśle królewskiej (*in Visla regali*) pod Ubnicą, 3 grzywny.

Wojtkowi cieśli za zrobienie stołu z dwóch desek, w domu królewskim, 1 skojec.

We wtorek w dzień św. Marcina (11 listopada), Janowi Glinarzoniczowi za robotę studni przy kuchni na zamku, zapłaty 1 grzywnę i 8 skojców; za powrozy do wyciągania gliny i innéj nieczystości ze studni, 2 skojce i 1 kwartnik.

W sobotę w dzień św. Łucyi (13 grudnia), Rygwie za robotę około tamy 1 grzywnę.

### *Księga robót w Uściu i Wojniczu.*

#### **Rok 1393.**

W poniedziałek po niedzieli *Judica* (5tój w. postu), za naprawienie pieca w izbie dworu królewskiego w Uściu, 1 skojec. Ciesłom za robotę przy budowaniu domu królewskiego w Uściu, 12 skojców; za zamek (*sera*) do tegoż domu, 3 kwar-

tniki. We wtorek, klepaczom (*glebatoribus*) (1) za namazywanie rzezonego domu białą gliną, 4 skojce.

*Roboty w Żarnowcu. R. P. 1393.*

Mikołajowi i Andrzejowi klepaczom, klepiącym piekarnię we dworze, zapłaty 3 skojce.

Za narzędzie żelazne, zwane kłamra (*clamra*) wmurowane w dom dla podtrzymania kraty. 1 grosz i 4 denary.

Za 20 kóp dachówek, holenderki (*scilindrorum*), do przykrycia otworu, który wiatr wyłamał w domu murowanym, 13 skojców.

Za wyczyszczenie rowu około dworu królewskiego, i wyrzucenie z niego nieczystości, 2 grzywny.

*Księga robót w Proszowicach. R. P. 1393.*

Za naprawę nadbrzeża rzeki uszkodzonego w niektórych miejscach przez gwałtowność wody, robotnikom pracującym nad tém ze strony królewskiej, 14 skojców na dwa achtele piwa.

We czwartek po dniu ś. Stanisława (po 8 maja), w Krakowie, za wóz o czterech kołach z osiami, podoskami (*axibus podoskij*), postronkami (*redibus postronkij*), powrozami konopianemi, smołą i siekierą na wozie, 16 skojców.

Za 1 kopę łąt, zwanych uścianki (*asserum dictorum usczanki*), do naprawy stajni (*equirium*), 2 skojce.

Za 2 kamienie do młyna w Słomnikach, 1 grzywnę.

W wigilią śś. Piotra i Pawła (28 czerwca), p. Henrykowi plebanowi z Igołomia, za dęby własne i kościelne, 4 grzywny.

W sobotę, w wigilią ś. Klemensa (22 listopada), rzeźbiarzem za kamienie z rzeźbami (kafle?) do pieca w Krakowie, 3 grzywny (2).

(1) Ani słowo łacińskie *glebator*, ani polskie klepacz, nie znajduje się po słownikach. W liście ruskim starosty chełmskiego, do Władysława Jagiełły pisanym, a którego koplję z oryginału, znajdującego się w archiwum Komisyy Skarbu postadam, wspominani są klepacze do naprawy domu królewskiego w Medyce użył. W słowniku Knapskiego czytamy kleplę, ubijam ziemię: z kąd i słowo klepacz, (po łacinie *glebator* od *gleba*).

(2) *Pro sculptis lapidibus sculptoribus pro fornace, in Cracovia, III marc.*



Albertowi kowalowi w Proszowicach, za 8 kóp gwoździ zwanych bratnałe, 4 skojce.

W sobotę, w wigilią ś. Mikołaja (5 grudnia), mularzowi Januszowi 6 skojców. oprócz 3ch grzywnien zapłaconych za kasse. Temuż mularzowi za postawienie rzezonego pieca zapłaty 1 grzywnę.

*Księga robót w wice-prokuratoryi Niepołomickiej i u Jadownikach. R. P. 1393.*

We wtorek w oktawie ś. Jana (po 24 czerwca), kupiono do nowego domu w Jadownikach, stawianego z własnych dębów (*roboribus*), belek i innego drzewa....

Za 3 zamki zwane kłódki, (*pro III seris dictis klodkij*), 3 skojce. Za 3 narzędzia zwane banthy (*pro III instrumentis dictis banthij*), na których drzwi są zawieszane, 9 skojców. Witosławowi klepaczowi, za nową izbę, zapłaty 6 skojców. Kmieciami zwanemu Hostoja, (*kmethoni dicto Hostojja*), za wyklepanie komina w nowej komnacie (*in nova comnatha*) 6 skojców.

We wtorek, w wigilią 11,000 panien (20 października), za 2 beczki na kapustę kwaśną (*ad imponendum acidos caules*), w Jadownikach, 6 skojców; za 1 beczkę i 2 konewki do łaźni królewskiej, 3 skojce.

Krupie, cieśli, za postawienie pałacu i stajni w Posynie, zapłaty 10 skojców (1).

(1) Ktpe carpentario a construccione *pallacii et equiree in Posijna. x. scol.*

(Dokończenie nastąpi).

## KRONIKA Z PARYŻA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historja Grecyi przez p. Druy. — Przedmowa Humboldta do dzieł p. Arago. —

Biografie Mirecour'a. — Teatr. — Aluminium. — Nowe zastosowanie chloroformu. — Wiadomości bieżące.

Wielu Francuzów pisało starożytną historją Grecyi, ale żaden nie napisał jęj dokładnie. Dzisiaj francuzcy dziejopisowie mniej o tém myślą niż kiedykolwiek, bo dzisiaj uczona Francya całą uwagę swoją zwróciła na Indye i Assyryę: szpera w ruinach perskich, w Egipcie rozwiązuje zagadkę, którą jęj Sfinx z granitowych ust upuścił. Grecya wyszła z mody; nikt się o nią nie troszczy. Od czasu wielkich wstrząśnień i reform na polu nauki, które, (jak mówi Vico), uczyniły z historyi zupełnie *nową naukę*, nie wyszło we Francyi ani jedno kompletne dzieło o Grecyi. Same ułamki bardzo miernęj wartości pokazywały się od czasu do czasu na widowni literackiej, jakoto: *Les Colonies grecques*, Rochetta; *Notes et additions* pana Guigniaut, w dalszym ciągu jego tłumaczenia Creuzera; *Les Grecs de Sicile* pana Brunet de Presles; *Les Mémoires* pp. Letronne, Emeric David i Giraud. Ale jak powiadam, wszystkie te dzieła są to tylko ułamki greckich dziejów: żadne nie stanowi całości, żadne nie roztacza przed oczyma czytelnika ogromnego obrazu cywilizacji greckiej, żadne nie rzuca dość światła na tę najpiękniejszą kartę dziejów świata. Niemcy, którzy tak głęboko myśleć umieją jak marzyć przestaną, nieskończenie ważniejsze napisali o Grecyi dzieła, z właściwą swemu narodowi cierpliwością, wytrwaniem, oraz głęboką erudycją. Müller, Boeckh, Wachsmoth i Hermann, spisali niejednen ważny ustęp za-



mierzchłych dziejów plemion Helleńskich. Anglicy najwięcej ze wszystkich narodów zajmują się obecnie Grecją, co, mówiąc nawiasem, trochę niepokoi miłośników starożytności; obawiają się bowiem, żeby nie zrobili tak z Grecją, jak szlachetny par, lord Elgin, który cały Parthenon zabrał w poję swego długiego surduta..... Tymczasem Mitford, Thirlwall i Grote, niezapuszczając się w spleśniałe zabobony greckie, piszą jej *nowoczesną* historią śmiałym rylcem, który nie zdrzy przed żadną starożytną tradycją.

Autor świeżo wydanego dzieła o Grecyi, Francuz p. Duruy, należy, jak sam powiada, do nowój szkoły; szkoły zarazem śmiałej i ostrożnej, która rozdziera zasłony i wchodzi do przybytków, ale za prawdziwe przyjmuje tylko to, co na własne oczy widziała, czego się dotknęła.

P. Duruy pogardza *legendą*, i zowie ją kapryśną sukienką fantastycznych powieści, nieraz i ładną może, ale którą poważny historyk winien bacznie omijać, bo jak błędny ogień może go na bezdroża fałszu zaprowadzić. Dalej gniewa się, że poetyczne opisy greckich wypadków nie uległy dotąd pozytywniej, trzeźwej krytyce; czyli mówiąc innemi słowy: żałuje, iż nikt się nie znalazł, coby zadał fałsz Hesiodowi lub Homerowi; iż nikt nie wykazał, że greccy bogowie ludźmi byli, a myty greckie tylko symbolami. Smutną zaiste przysługę oddałby taki historyk naszemu pokoleniu, które i tak już zbytkiem poezyi nie grzeszy, wydzierając świętokradzką dłonią tę najjaśniejszą kartę z dziejów ludzkości. Cóżby wtedy świeciło ludziom? na czémżeby oparli wzrok zmęczony codzienną małością, gdyby zimny dech krytyki rozwiął czarowne legendy, owe precudne kwiaty greckiego geniuszu?

Pan Duruy nie jest tak okrutny. Chociaż gardzi *bajką*, i boi się jej zarazem jak błędnego ognika, powstrzymuje się jednak, i ideałów greckich nie rozbija. Pochodzenie Greków, i zamierzcze podania zostawia, jak mówi, poetom; a idąc za przykładem Thucydysesa, ojca historyi, poczyną od późniejszych, lepiej znajomych czasów. Piérwszy peryod dzieła pana Duruy obejmuje ciemny jeszcze ustęp dziejowy. Autor poczyną od epoki, w której plemiona Helleńskie wylewają się na zewnątrz; wewnątrz zaś wyradza się powolna, ale nieustanna dążność ku zastąpieniu królów, owych dawnych pół-bogów i bohaterów, przez arystokracją; następnie arystokracji przez tyranów, wspie-

rających się na uciśnionym ludzie; w końcu ostateczna przemiana przynosi swobodne ustawy, przeciw którym Xerxes łamie swą złotą lancę.

W pierwszym założeniu pan Duruy zwraca uwagę na dziwny fakt historyczny, to jest, że podczas długiego porodu swych ustaw politycznych, życie intelektualne Grecyi pozostaje w le-targu. W osadach zaś przeciwnie: geniusz się rozwija, oświata i dobry byt wzrasta szybko; sztuki i nauki tam się zrodziły, pod-czas kiedy matka Grecya szamotała się w największym zamieszaniu. Cywilizacja więc nie szła jak zwyczajnie od środka ku brzegom, ale z kończyn kraju ku środkowi zmierzała.

Daléj mówi pan Duruy, że wojny Medyjskie stanowczo wpłynęły na przyszłość Grecyi, koncentrując w jeden punkt życie jéj rozproszone po nadto wielkiéj przestrzeni. Z tego skupienia zrodziła się przyszła potęga Grecyi, i z téj iskry, co długo tłała w łonie Aten, buchnęła wreszcie żywotna i potężna cywilizacja, mająca zawładnąć światem.

Chcąc zawrzeć w jednym tomie tysiąc-letni peryod dziejowy, peryod, który w swoim czasie był, śmiało rzec można, historją powszechną świata; pan Duruy zaledwie wymienić może wypadki, bo gruntownie się nad nimi zastanawiać nie ma miejsca. Nietylko więc wzmiankując o bajecznej historii Grecyi, w której tylko domniemywać się można, ale i opisując epokę znaną, niedosyc się zastanawia, niedosyc rozbiera fakta; raczej opowiada jak po sobie następowały, wymieniając je chronologicznym porządkiem. Mimo to, wszędzie znać naukę i sumiennosc: fakta wskazuje jasno, a źródła, z których czerpał, wymienia dokładnie i przytacza rzetelnie.

Największą i niemalą zasługą tego dzieła jest zupełna bezstronność, nieustanne poszukiwanie prawdy, bez względu na czyją ona korzyść wypadnie.

Dzięki Bogu, ósmnasto-wieczny sposób pisania historii przeminał zdaje się niepowrotnie. Dzisiaj złożony szkielet dziejowy historyk stawia na właściwe stanowisko, i póty życiem własnym ogrzewa wyschłe jego kości, dopóki mu ciała, krwi i ruchu, to jest życia, nie przywróci. Jak powiedziałem, pan Duruy do nowéj szkoły należy, i dlatego téż pojęcia niemniej-szą grają role w dziele jego jak wypadki, a szkice obyczajowe skreślił niemniej starannie jak manewra wojenne. Zdaniem jego, lekcye Sokratesa pod drzewami akademii więcéj się przyczy-



niły do sławy greckiej, niż wyprawa sycylijska. Zdrowy sąd i pogląd filozoficzny pana Duruy, wynagradza po części jego zbytnią *pozytywność*. Pan Duruy nie jest artysta, idzie jednak trop w trop za geniuszem greckim: śledzi rozwój jego, bada i opisuje fazy przez jakie przechodził, dochodzi rozumem z wielką pracą tego, co inni natchnieniem odgadli,—i właśnie dlatego większą ma zasługę.

Mówiąc o religii, pokazuje najprzód walkę plemion koczujących z życiem rodzinnem i ustawami duchownymi. Stary dogmat wiary Pelazgów, nawpół podcięty nagłem rozrodzeniem plemion Helleńskich, skrywa się w najciemniejsze zakątki świątyń; starowiercy przekazują sobie skrycie tajemnice święte, których już sami prawie nie rozumieją. Tymczasem młode pokolenie potężne siłą, dumne pięknnością swą i wiedzą, bogów posągi na swój obraz wykuwa, niebo zaludnia ziemskimi bohaterami, nieoczyszczając ich z żadnej ludzkiej namiętności. Całą ziemię oczyszta dzieli i rozdarowuje boginiom, córom poezyi. Minerwa dostaje Ateny; Cerera, Eleusis; Junona, Argos; a Apollo Delfy. Coraz bardziej zacierają się tradycje stariej wiary, a natomiast poezya corazto się bogaci cudownymi legendami, i niewyczerpanej fantazyi obrazami.

Nad literaturą grecką pan Duruy zatrzymuje się także chwilę. W kilku jej poświęconych rozdziałach, szkicuje historią literatury greckiej, która ostatecznie jest historią intelligencji ludzkiej, goniącej za zdobyczą piękności.

Następstwa igrzysk, śpiewów, konkursów i wszelkiego rodzaju uroczystości ulubionych w Grecyi, p. Duruy wywodzi bardzo trafnie. Niezmordowany mozolną pracą, ani nużącym szperaniem po kronikach, autor poświęca jeden ustęp w swém dziele sztuce dramatycznej. Wspomina owe ogromne przedstawienia sceniczne, podczas których cała Grecya świętowała, nazywając *Boskiem wypoczynkiem* te dni szczęśliwe. Ateńczykowie zapraszali wszystkich *synów wspólnej matki* na tę wielką uroczystość *geniuszu*. Rzadkie były takie reprezentacje, bo Grecy obchodzili 80 świąt do roku, a widowiska sceniczne dla wielkiego przepychu, kosztowały ich więcej niż wojny i oblężenia. Z naszych teatrów nie można mieć wyobrażenia o greckich teatrach, ani z naszych spektatorów sądzić o greckich widzach. Teatr ateński nie byłato schadzka uprzywilejowanych próźniaków, znudzonych, bo przesyconych wszystkiem, trudnych

w wyborze sztuki, bo uśpione w nich uczucie, więc potrzebują sztucznego łechtania przez coraz to nowe, a mocno przyprawne potrawy; którzy tam schodzą się raczej przez przywyknienie lub modę, nie przez zamiłowanie, złotem placąc prawo duszenia się w ciasnej łoży i nudzenia dwie lub trzy godziny w *dobrej kompanii*. W Atenach wcale inaczej było. W Atenach cały naród szedł do teatru, bo cały ten wielki naród kochał i rozumiał co piękne. Tam, w obec wzruszonego tłumu, pełnego zapachu i poezji, na scenie pod gołym niebem, oświetconej przeducudną pogodą wschodniego nieba, przybranej w żywe dekoracye z cyprysów i róż wiecznie kwitnących; starożytny dramat odgrywany przez nadziemskich aktorów, toczył się powoli w majestatycznej prostocie. Muzyka, ta najważniejsza strona harmonijnego życia starożytnych, kierowała wedle swych uczonych zwrotów chórami, łącząc harmonią tonów ze słów harmonią. Flet dodawał wyrazu dyalogom, lub łagodził wybuchy gwałtownych namiętności. Mimika i śpiewy choralne, tak wysoko doprowadzone u starożytnych, a tak zaniedbane teraz, rozdzielały aktorów na dwie wielkie grupy, zarazem wyuczone i proste, w układzie swoim do owych piękności podobne, które uniesmiertelnione dłutem mistrzów, przechowały nam marmury.

W krótkiej części artystycznej, p. Duruy podaje niektóre szczegóły pominięte w zwyczajnych opisach, zazwyczaj ograniczających się na ogólnych uwagach o sztuce, nie rozbierając jej wcale. Wspomina o Phidyasie, Praxytelesie i Eschilu. Trudno wymagać od profesora historii, estetycznych teoryj, jakimi ozdobili swe dzieła pp. David i Müller; w swoim zakresie pan Duruy nagromadził wiele ciekawych szczegółów o rozwoju sztuki w Grecyi i tego wrodzonego poczucia piękności, które kształtuje niezgrabne egipskie posągi, zrzuca pęta co nogi niewolników kępują, ręce przyrosłe do ciała odrywa, a w marmur kararyjski wionąwszy świętą iskrę życia, woła, swych bohaterów w bogów zmieniawszy: „Pokażcie nam jak stąpać powabnie a dumnie!”

Ostatecznie książka pana Duruy mieści w sobie nadto materyałów niedosyc obrobionych; materyałów, których opracowanie obszerniejsze wymagałoby najmniej pięciu tomów. Ztąd tłok i chaos często nużący, bo powietrza brak wszędzie czuć się daje. Jako arsenal faktów, kopalnia idei, książka tém



ważniejsza, im więcej ich podaje, ale przez to traci niezmiernie pod względem sztuki; ci zaś, co piszą dzieje Greków, na pierwszym względzie sztukę mieć powinni, bo Grecy wszędzie i zawsze zajmowali się nią przedewszystkiem.

Wyszedł pierwszy tom dzieł kompletnych p. Arago, które składać będą 12 tomów w 8ce, po 600 stronnic każdy. Dwa tomy zajmuje *Astronomie populaire*, (najważniejsza z prac sławnego astronoma); cztery tomy, *Notices scientifiques*; trzy, *Notices biographiques*; dwa, *Mémoires scientifiques*; jeden, *Rapports et Malanges*, i ten właśnie już jest w obiegu i zawiera: *Histoire de ma jeunesse*; *Notices biographiques sur Fresnel, Volta, Young, Fourier, Watt, et Carnot*; oraz przedmowę, którą Humboldt do dzieł jego napisał. Jak wiadomo, Arago był ścisłą przyjaźnią związany z Humboldtem, o czém świadczy piękna jego przedmowa do dzieł przyjaciela. Żałuję, że dla braku miejsca tylko początek i koniec jęj przytoczyć mogę, cała albowiem jest bardzo ważna i z wielkiem czuciem napisana. Humboldt zaczyna w te słowa:

„Zasmiąło może, i nieobrachowawszy sił własnych, wywiązuję się z włożonego na mnie bolesnego obowiązku. Zawzwany przez drogą mi rodzinę do napisania kilku słów na czele dzieł znakomitego męża, którego przyjaźń przez blisko pół wieku stanowiła szczęście mego życia, byłbym może stosowniej uczynił nieprzyjmując tego zaszczytu; ale nie o literackie względy tu idzie, ani o skromność pisarską: chodzi o złożenie na ledwie zawartym drogim grobie czei mojej i dozgonnej wdzięczności.

Ścisłe stosunki, jakie mnie wiązały przez tyle lat z panem Arago, kolegą moim w Instytucie francuzkim; zaufanie, jakiem mnie zaszczycał, wtajemniczając mnie do wszystkich swoich pomysłów naukowych i prac bieżących: dały mi sposobność obserwowania, nie powiem rozwoju zdolności tego potężnego umysłu, ale zastosowania ich stopniowego do ważnych wynalazków, które świat mu zawdzięcza. Nie piszę tu ani panegiryku, ani biografii zmarłego; obowiązkiem moim podać tylko do wiadomości powszechnej znajomość, jaką posiadam wszystkich materyałów zgromadzonych w dziełach Franciszka Arago; opowiedzieć, jak ogromną przestrzeń obejmowała nauka jedne-

go człowieka w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej, jak w obec tak wielkiej różnorodności przedmiotów, zmierzał on ciągle do jednego celu, to jest: uogólniania spostrzeżeń, wiązania fenomenów, których stosunek z sobą długo pozostawał nieznanym, wreszcie wykazać, jak ciągle wzbijał się myślą w strefy najmniejszej przystępne filozofii historyi naturalnej.

Działanie sił objawianych w świetle, ciepłe, elektro-magnetyzmie, jak niemniej kombinacje i rozkłady chemiczne, należą do tajemnic rozświetlonych wielkimi wynalazkami XIXgo wieku. Na polu tych ogromnych zdobyczy, Arago zajął miejsce pomiędzy najpierwszemi fizykami naszej epoki. Chciwy wynalazków, a zarazem oględny w konkluzjach, któreby mogły wybiegły poza zakres rezultatów częściowych: wskazywał przede wszystkim nowe drogi, któremi dojść można było najbliższemu celowi, to jest rozpoznać tożsamość przyczyn w fenomenach tak różnych z pozoru.

Jeżeli od metody przyjętej przez pana Arago, wzniesiemy się do ocenienia zdolności jakie rozwijał: zdziwieni będziemy ogromem przestrzeni jaką obejmowały. Rozszerzał on dla uczonej granice nauki, a obok tego miał dar cudowny rozpowszechniania nabytych wiadomości. Tak więc żaden wpływ nie wysliznął mu się; powaga imienia jego wyrównywała popularności jego”.

„Oto jest obraz prac pana Arago, bardzo niekompletny, choć tyle bogactw obejmuje! Postawiły go one w rzędzie najznakomitszych ludzi XIX wieku, a jego imię będzie szanowane wszędzie, gdzie istnieje miłość nauki i cześć dla jej apostołów. Ale nie tylko potężna intelligencya zjednała panu Arago powszechne uznanie: niemało przyczyniła się do tego sumienna gorliwość w pełnieniu obowiązków człowieka, gorliwość, która nie osłabła nawet w obec śmierci! Niemało także przyczyniły się do popularności jakiej używał: wdzięk wymowy, łagodność obejścia, i nieposzlakowana prawość. Zdolny do wszelkich poświęceń, hamując zawsze dobrocią serca wybuchy ognistej duszy, Arago używał nieprzerwanie na łonie zacnej rodziny słodczy szczęścia domowego. Krewni i przyjaciele kochali go serdecznie; to też podczas długiej i ciężkiej choroby doznawał najczulszej pieczy i starań, na jakie tylko zawsze czujna miłość rodzinna zdobyć się może. Umarł, mając przy swoim



boku synów, siostrę, panią Mathieu, godną ze wszech miar miłości takiego brata, i siostrzenicę, panią Laugier, która do ostatniej chwili czuwała nad nim jak anioł opiekuńczy, a w strasznej chwili rozstania dowiodła, że jest równie wielka w nieszczęściu, jak nieprześcigniona w poświęceniu.

Oddalony od łoża cierpień przyjaciela mego, zdaleka tylko odbierałem o nim wieści, z nieustanną boleścią mając oczy w tamtą stronę zwrócone; z boleścią, której nawet pewnością że go niedługo utracę, nie zdołała zmienić w rezygnacyą. Jako ostatni hołd, składał zmarłemu te słów kilka, którem już dawniej o nim powiedział: „Nietylko twórcza potęga geniuszu cechuje tego wielkiego męża, ani nawet to rzadkie jasnowidzenie, rozwikłujące wszystkie nowe najtrudniejsze zagadki, jakby rzeczy dawno wiedzą ludzką zbadane; ale najwięcej uderza w charakterze jego to przyciągające połączenie hartownej wzniosłości ognistej duszy, ze słodyczą i najwyższą delikatnością uczuć. Dumny jestem, że poświęceniem dla niego bez granic, uwielbieniem z jakim zawsze mówiłem o nim w mych dziełach, wkupiłem się niejako do jego przyjaźni, i należałem, że tak powiem, do niego przez lat 40! Dumny jestem, że imię moje potomność wspomni czasem obok wielkiego imienia Franciszka Arago”.

*Alexander von Humboldt.*

Potsdam, listopad 1853.

Żwawa polemika literacka odezwała się z powodu biografii Lamennaigo, którą Mirecourt, chwytający w lot każdą sposobność zarobku, wydał w kilka dni po jego śmierci, w dalszym ciągu: „*Biographie des Contemporains*”.

„Łatwo wam mówić, odpowiada Mirecourt, broniąc się zrećźnie, ale powiedzcie proszę, czy podobna wspomnieć o jakiegokolwiek znakomitości, żyjącej lub umarłej, żeby zaraz przyjaciele zmarłego lub żywego, nie krzyknęli na profanacyą, na świętokradztwo, kłamstwo, ha! zgorszenie!”

Nędzna to zastawka, i chyba ciemnych omami. Prawda, spółcześni wrzeszczą, choć ich wcale ze skóry nie odzieraszą. W XIX wieku wszyscy jesteśmy miękcy, łaskotliwi, drażliwi nad wszelki wyraz; szczypcie więc do krwi i żartujcie sobie z ludzi co wrzeszczą, bądźcie nieublagani, ale sprawiedliwi,

publiczność wybaczy wam wszystko, nawet okrucieństwo, byleście prawdę mówili. Prawdę? dzika pretensya! Zapominam, że pan Mirecourt nie pisze dla nauki ani potomności, nie sięga po historyczny rylec, ale poprostu wykonywa pomysł księgarski, szuka powodzenia w publikacji, która winna zwrócić na siebie uwagę i ciekawość powszechną, i dlatego piérwszém jego zadaniem nie mówić prawdę, ale podobać się publiczności, trafić w jój smak, śledzić bacznie prąd jakim płynie moda, nie drożyć się, i nie skąpić koncessyi pojęciom i wrażeniom dnia obecnego.

Gdyby pan Mirecourt wydawał *biografie tegoczesne* kilka laty piérwój, aniby mu przyszło do głowy mówić o Lamennaim tak jak dzisiaj mówi. Dziś stał się *modnie* pobożny, *modnie* wierzący; płynie w kierunku fali, i dlategogo nasuwa się koniecznie wątpliwość o prawdzie słów wydawcy.

Donosiłem już poprzednio o reklamacyach pani Sand, dotyczących jój biografii. Przesłała ona na liście protestującym przeciw fałszom podanym przez Mirecoura w historyi jój życia; ale p. Emil de Girardin gruntowniejszego użył środka: z powodu swojej biografii, zapozwał Mirecoura przed sąd poprawczy oskarżając go o potwarz. Rezultat procesu jeszcze niewiadomy; w każdym razie sądzą, że autor biografij nowoczesnych będzie na przyszłość oględniejszy, i jak to mówią: nauka nie pójdzie w las.

Pani de Girardin, autorka komedyi *Lady Tartuffe*, przedstawianej nieomal po wszystkich teatrach europejskich z równém powodzeniem, napisała nową komedyą w jednym akcie: *La joie fait peur*, którą odegrano niedawno w Théâtre-Français, i przyjęto z niemniejszym oklaskiem.

Dotychczas pani Girardin z właściwą skromnością kobiety-artystki, skrywała starannie przed światem najdelikatniejsze uczucia duszy, tylko dowcip swój rzucając szczerze publiczności; w obec tłumu śmiała się tylko — płakać nie miała odwagi. Namiętność zdradzała ją wprawdzie niekiedy, ale zawsze w tragicznej draperyi, zawsze przeistoczona, niknąca, że tak powiem, w poezyi lub historyi. Tą razą znakomita autorka już nie w struny lutni, ale w struny serca ludzkiego uderzyła, i wydobyła zeń najczystsze tony. Sprzykrzywszy sobie oschłą



rolę krytyka, cisnęła biczyk, którym dotąd smagała bez litości śmieszność i kłamstwo, zrzuciła togę doktorską, a zdziwieni słuchacze dowiedzieli się wreszcie, jak wielkie skarby uczucia kryła pod zimną maską śmiechu.

Trudno jest wypowiedzieć Iżę, niepodobna krytycznie rozzebrać westchnienia; spróbuję jednak, choć pewny jestem, że nie uchwycę ani potrafię oddać wdzięku téj prostéj komedyjki, którój przedmiot cały zawarty w kilku słowach. Matka oplakuje śmierć syna, a syn powraca. Na tym temacie autorka osnuła precudne waryacje; tony rozpaczy, oczekiwania i radości, wstrząsały naprzemian sercem słuchaczy, wiodąc ich przez lzy i niepokoje ku radosnemu rozwiązaniu.

Sztuka rozpoczyna się bolesną sceną niemego żalu. Jasnny promień słońca pada przez otwarte okno, za którym widać drzewa i kwiaty, i igra w wiejskiej komnacie stanowiąc dziwny kontrast z żałobą mieszkańców. Natura bowiem nie podziela cierpień z człowiekiem: ona jak Feniks się odradza. Czy białą, czy zieloną odziana szatą, nie zna śmierci:—śmierć w niéj *odrodzenie* znaczy. W komnacie trzy żałobne niewiasty siedzą zasmucone. Najstarsza wypuściła z rąk jednostajną pracę, którą daremnie pragnie uspić dręczące myśli.... i wlepiła oczy w przedmiot niewidomy... U nóg jéj siedzi córka, siostra zmarłego, i łzawemi oczyma patrzy matce w oczy, chcąc jéj żal ukoić. Przy małym stoliku opodal, młoda dziewczyna, w kiry ubrana jak wdowa, rysuje: to narzeczona zmarłego Adryana. Smutniejsza może niż matka i siostra, kreśli portret kochanka patrząc nań oczyma duszy. W głębi, na kanapie, młodzieniec czyta z roztargnieniem książkę. Na imię mu Oktawiusz, był przyjacielem Adryana, ale teraz choć boleje nad jego skonem, mimowolny jakiś promień nadziei czy szczęścia wykrada mu się z jasnego oka, którém śledzi każde poruszenie rysującej Matyldy. Ufa znać, że z czasem zastąpi jéj wspomnienie, i że ona z czasem zapomni. Jakbyto wybrane serca mogły kiedy zapomnieć!

Stary sługa Noël, przyjaciel i stróż domowego ogniska, który na swych rękach wypiastrzał panicza i panienkę, wchodzi złamany, przejęty jakby ojcowskim smutkiem, i namawia panią, żeby dla rozrywki zeszła do ogrodu, zobaczyć rozpoczęte roboty. Nieszczęśliwa matka więcéj martwa niż syn, którego

placze, wchodzi do ogrodu wsparta na ramieniu córki, a Oktawiusz i Matylda zostają sami w salonie.

Wtedy młodzieniec korzystając ze sposobności, wyznaje swoją miłość Matyldzie, która zrazu słucha i nie rozumie: tak serce jej daleko od niego; ale w końcu, kiedy szalencie jasniej myśli swoje tłumaczy, Matylda z najwyższym oburzeniem odrzuca niecne ofiary szczęścia na ledwie zamkniętym grobie. Szlachetna dziewczyna spojrzeniem wzgardy przygnięta niewiernego przyjaciela, i bez namysłu, z zapalem zamyka sobie przyszłość. Zawstydzony Oktawiusz wychodzi, przekonawszy się kosztem własnego szczęścia, że takie anioły jak Matylda, kochają raz tylko — i na zawsze.

W całym domu sam tylko Noël ma jakieś przeczucie czy nadzieję, której ani lzy matki, ani siostry, ani kochanki, zatopić nie zdołały; w żaden sposób nie może on uwierzyć, że Adryan nie żyje. Mundur młodego marynarza i papiery jego, znalezione na trupie po bitwie z dzikimi, nie zachwiały bynajmniej upartej wiary starca. Ślepa jego miłość dla wychowawca nie rozumie, i nigdy nie pojmie, żeby ten piękny młodzieniec, pełen życia i odwagi, dał się zabijać jak mazgaj. „Nie, to być nigdy nie może — powtarza stary trzęsąc głową — nie uwierzę, chyba na własne oczy zobaczę!” Jakoż nie myli go przeczucie. Kiedy tak duma, i oczywistym dowodom fałsz zadaje, drzwi się otwierają pocichu, i dobrze znany głos, radosny i świeży, odzywa się w tych sakramentalnych słowach: „Umieram z głodu! każe mi usmażyć co przedź bifsteku!”

Trąby ostatecznego sądu nie tak silnie zabrzmiały w uszach świętego Hieronima, jak te proste słowa w sercu poczciwego starca. Zgłupiał, odurzony, chwieje się i pada w rozwarte ramiona swego pana, rażony apopleksją szczęścia! Ale wnet, rozgrzany ciepłem serca jego, czuje, że to nie duch, i powraca do zmysłów. Drżącemi rękoma obejmuje piękną głowę młodzieńca i do swych piersi przyciska. Oderwane słowa, pytania, łkania, wyrwywają się naprzemian z ust jego; wreszcie uspokaja się powoli. Adryan opowiada mu, że był ranny tylko; że dzięki który na pobojowisku w jego mundur się ubrał, został zabity, i ztąd owa fatalna pomyłka. Powiada, że pisał dwa razy donosząc matce o swoim powrocie, ale znać listy z pustyni niezawsze dochodzą przeznaczenia. Opowiedziawszy rzecz pokrótce słudze-przyjacielowi, chce biedz do matki, ale go



Noël zatrzymuje czyniąc uwagę, że taka niespodzianka mogłaby matkę o śmierć przyprawić. Jakżeby ona znieść mogła taką radość, kiedy on, mężczyzna, silny i energiczny, ledwie że nie umarł z nadmiaru szczęścia? Trzeba ją najprzód przygotować powoli, stopniowo, dać jej najprzód cień cienia, a potem cień nadziei.

Podczas téj rozmowy matka nadchodzi, a syn zaledwie miał czas ukryć się za otwierające się drzwi. Z téj kryjówki, oddech tamując, widzi, jak matka bierze tuż koło niego czarną księgę, i ze schyloną głową idzie prosić Boga, żeby ją przedźj z nim połączył: — idzie modlić się za niego.

Wzruszony syn ledwie się powstrzymać może... Nadludzka siła pcha go w objęcia matki, ale stary sługa patrzy nań surowo, i powstrzymuje oczyma, „tym talizmanem duszy.” Ledwie wyszła matka, przychodzi siostra. Trochę weselsza, bo miała proroczy sen, że brat żyje. „To nie sen, to rzeczywistość!” woła brat, i rzuca jęj się na szyję bez namysłu, bo młode serca wytrzymują najgwałtowniejszą radość, a stare tylko w cierpieniu są silne. Siostra téż nie mdleje przy zmartwychwstaniu brata, ale wita go radośnie jakby z dalekiej wracał podróży.

Ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, coprędzej układają plan. Siostra prowadzi brata do jego pokoju, który z religijną czcią zamknięty, przemienił się w kaplicę; tam ma pozostać w ukryciu aż matkę z myślą szczęścia oswoją. Wybiegają oboje.

Ukończywszy modlitwy powraca matka, i patrzy wokół siebie zdziwiona: bo jakoś wszystko zmieniło się kóło niej... cały dom jakby inném powietrzem oddycha... Noël krząta się jakby mu pół wieku ubyło, jakiś niespokojny, szczęśliwy... Córka ledwie radość powstrzymać może, i opowiada matce bajeczne historie o powracających z dalekich wypraw marynarzach. Sędziwa matrona pojąć nie może co to wszystko znaczy; a że bolesne uczucie najprzystępniejsze jęj rozdarłemu sercu, pyta więc siebie, czy i córka i stary sługa już go zapomnieli, czy sama już tylko będzie płakać syna?... Zwolna blade przecucie szczęścia budzi się w jęj łonie, małe gwiazdeczka nadziei zajaśniała na czarném niebie; coś podejrzywa... domyśla się... bada: najmniejszy szeregół przed jęj macierzyńskim wzrokiem nie ujdzie.

Wtém wchodzi Matylda, która już także powitała kochanka. Daremnie chce udawać żalność: ożywione jój rysy, wypogodzone czoło, taką pięknoscia się oblokly, oczy w których się przejrzał kochanek, tak słonecznym błyszczą blaskiem, że matka w nich obraz syna ujrzawszy, chwyta dziewczynę drżącymi rękoma, i woła nagłym domysłem uderzona: „Tyś go widziała!“ I choćby jój teraz kto przysięgł, że syn nie żyje, jużby nie uwierzyła.

Sceny, która następuje po tēm matczynem objawieniu, opisać niepodobna. Miłość macierzyńska, to jedno boskie uczucie w ludzkim sercu, oddana tam tak precudnie, tak prawdziwie, że jój dotknąć piórem niepodobna. I po cóż wreszcie? Czyż ci, którzy takiego obrazu w sercu stworzyć sobie nie potrafią, co go poczuć niezdolni, zrozumieją go z opowiadania, i nauczą się kochać, choćby im nawet łzami miłość matki opisać?

Sztuka kończy się małżeństwem Adryana z Matyldą, a Oktawiusza z siostrą przyjaciela.

Prócz głębokiego czucia, sztuka ta celuje pięknoscia stylu: znać niepośledni talent dramatyczny. Nie ma w niej ani jednego niepotrzebnego słowa; wszystko obrachowane naprzód, a jednak naturalnie i prosto się wiąże: nigdzie przymusu, nigdzie zawikłania. Dowcip i trafne spostrzeżenia, przychodzą zawsze w porę, łagodząc zrećźnie przykry widok szat żalobnych, które wkrótce zastąpią białe i różowe sukienki, bo „najgwałtowniejsza radość nikogo jeszcze nie zabiła.“

Temi słowy kończy się sztuka. Całe jój tło stanowi jedna myśl przeprowadzona przez wszystkie tony: boleść matki, siostry, narzeczonej, starego sługi, przyjaciela, płynąca z jednego źródła, różni się i w sprzeczność układa, co stanowi rozmaitość w jedności, i jest wysokim szczeblem sztuki dramatycznej.

Wszystkie te drobne i subtelne odcienia, uwydatnia znakomita gra aktorów; na innej scenie sztuka ta straciłaby niezawodnie o połowę, gdyż nikt zapewne w wyższym stopniu od Francuzów nie posiada tój żywej mimiki, tego nieustannego ruchu ócz i ciała, które najprostsze słowo podnoszą i nadają życie każdej myśli. Mianowicie tēz w *Téâtre Français* dobór aktorów jest znamienity; znać, że to wszystko są ludzie, którzy



kształcili swe dramatyczne zdolności; którzy pracowali na seryo w wielkiej szkole Moliera i Shakespeara. Mianowicie też stary sługa (Régnier) jest niezrównany! Jakażto piękna i szanowna ta jego siwa głowa! Znany to typ, który dzisiaj istnieje już jedynie w pięknych powieściach naszych znakomych pisarzy.

Opera Wielka, po wielu poprzednich przygotowaniach, przedstawiła nareszcie długo oczekiwaną i zapowiadaną *Westalkę*. Młode pokolenie nasze, mało, a może wcale nie znało tej sztuki w całości. Słyszeliśmy ją tylko wykonywaną częściowo po koncertach lub muzykalnych wieczorach, i ztąd zrodziło się owe tradycyjne uwielbienie dla Spontiniego, chociaż nikt prawie nie wiedział dokładnie, na czém polegała ogromna sława tego mistrza. Nic dziwnego: we Francji *Westalka* była przedstawiana kilka razy tylko w roku 1807, i to jeszcze na wyraźny rozkaz cesarzowej Józefiny. Spontini bowiem, jak każdy co poza swój czas wybiega, miał wielu nieprzyjaciół. Koledzy oskarżali go o ekstrawagancją, dziwactwa, muzykalne wybryki, i grać nawet utworów jego nie raczyli. To prześcignienie własnej epoki zbliżyło go do nas, a wyjąwszy postępu instrumentacji, Spontini nicby się od nas nowego nie nauczył.

Opera więc prawdziwą oddała przysługę sztuce, przedstawiając to arcydzieło, które najwięksi znawcy stawiają obok wzorów klasycznych. Ciekawość i napływ publiczności był ogromny.

Ze wszystkich sztuk, muzyka starzeje się najpierw; nie polegając jak rzeźba i malarstwo na naturalnych wzorach; nie wyrażając jak poezja określonych myśli: jest nadzwyczaj podległa kapryśnemu berłu mody. Dlatego też mierne utwory błędną i wiedzłą w krótkim czasie. Ale są piękności wieczyste, które szanuje czas, uświęcają wieki; takie nie *przestarzeją się*, ale z laty zmieniają w *antyki*. Tak się stało z *Westalką*.

*Westalka* jest raczej tragedia liryczna, niż opera w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Cała jej akcja jest prosta i poważna, bez żadnych niespodzianek; ale każdy akt mieści w sobie dwie lub trzy sceny prawdziwie tragiczne i wzniosłe.

Pierwsza scena oświecona niepewnym brzaskiem jutrzeńki, odbywa się przed portykiem świątyni Westy. Prokonsul Lici-

nus, z powiernikiem Cimą, śpiewają, a raczej deklamują w *recitativo* śmiały duet. Początek wspaniały i prawdziwie rzymski. Potém przybywa z orszakami kapłanek wielka Westalka Julia; blada, jak zasłona co jój twarz ocienia, bo już poczuła w sercu straszne burze występnej miłości, staje na stopniach świątyni i śpiewa cudny hymn do wschodzącego słońca, a potém przy marszu wojennym ogromnej treści, wieńczy skronie zwycięzcy drżąca od wzruszenia dłonią. Tu następuje starożytna uczta z tańcami i przepychem, i na tém koniec pierwszego aktu. Drugi jeszcze piękniejszy.

Pośród kolumn starożytnej świątyni, święty ogień Westy powierzony pieczy dziewic, goreje na brązowym ołtarzu. Julia poprawia złotym pręcikiem ogień już prawie zagasty, bo myśl jój od ołtarzów bóstwa oderwana występnie, raz wraz za świątynię wybiega. Wtém Licinius zakrada się do przybytku wzbronionego profanom, i wtedy poczyna się pomiędzy Rzymianinem a Westalką owa namiętna, niezrównanej piękności scena, którą przyjęto z uniesieniem.

Gdyby Spontini był tylko tę jedną scenę napisał, już byłby przeszedł do nieśmiertelności! Julia i Licinius zachwyceni, zapominają o świecie... Sobą tylko zajęci, wyznają sobie wzajemnie gorejące uczucia; a wtém coraz to ciemniej w świątyni, ogień Westy przygasa... zapada... wreszcie zatacza ostatnie koło światła i gaśnie! Straszna ciemność obwija jakby pogrzebnym całunem kochanków. Zbiegają się Westalki; najwyższy kapłan przeklina Julię, i ogromnym chórem zakończy akt drugi. Namiętności zmieszane z świętą bojaźnią niebios, tworzą w nim obrazy wielkie, po mistrzowsku oddane.

Trzeci akt niemniej jest dramatyczny. Ciemne cyprysy rysują się posępnie na chmurném niebie. Kilka grobowców i posągów białych widać jak przez mgłę w ciemnościach. Na przodzie sceny widać grób z rozwartą paszczą, w który Julia ma być żywcem wtrącona. Z pogrzebną pompą przybywa zwolna orszak żałobny; Julia owinięta w czarne krepy już schodzi kilka stopni do fatalnego lochu, kiedy Licinius przybywa z wojskiem. Kapłani rozbiegają się przeparci. Straszna burza porze niebiosą błyskawicami; nagle czerwona piorunowa wstęga wypada z chmury, grom bije i zapala na ołtarzu zagasłe ognisko. Bogini Westa uznaje niewinność swój kapłanki, więc i ludzie jój przebaczą; wtedy Westalka rozgrzeszona



pada w ramiona kochanka, wśród grzmotu oklasków zgromadzonych słuchaczy.

Prześliczna aktorka gra *Westalkę*. Rola Julii zdaje się stworzona dla panny *Zofii Cruvelli*, której prawdziwie grecka, starożytna piękność, i ciało jakby z białego marmuru wytoczone, dziwne czyni złudzenie pod traperyą westalskiej szaty. Do tak posągowych kształtów łączy głos prześliczny, i dramatyczną akcją. Wszyscy krytycy zgodzili się, że ona jedna może tylko przedstawiać dzisiaj trudną rolę *Westalki*.

Na włoskim teatrze przedstawiano w ostatnich czasach dość często „*Don Giovanni*.” Hoffman tak wyborną napisał analizę Don Juana, że po niej wszelkie rozbiory téj sztuki wydadzą się błędne i nieudolne. Hoffman był znakomitym muzykiem, a chociaż świat zna go tylko z fantastycznych powieści, można śmiało powiedzieć, że autor *Undyny* sam jeden mógł się wtajemniczyć w filozoficzny geniusz Mozarta, i po tém co on wyrzekł o téj operze, nie ma już nic do powiedzenia. Dlatego nie myślę się zastanawiać nad Don Juanem, ani nowych czynić uwag, uważam bowiem ten przedmiot za wyczerpany; nadmienię tylko o wykonaniu tego arcydzieła na scenie włoskiej, bo Włochy śpiewają zupełnie inaczej muzykę mistrzów, niż inne narody. Trudno opisać w czém to leży, ale to pewna, że choć dźwięki są też same, to jednak kto słyszał Don Juana na niemieckich teatrach, ledwie go pozna na włoskim. Główny powód téj różnicy jest zapewne ten, że Niemiec przystępuje do arcydzieł mistrzów z religijném poszanowaniem, z obawą jakąś; cały jest przejęty wielkością swego zadania, na każdą nutę nacisk kładzie, i śpiewa, że tak powiem, *lapidarnym* stylem. Włoch przeciwnie: oswojony z pięknnością, śpiewa jakby nie wyuczoną nutę, ale improwizacją; głos płynie mu z piersi z nieopisaną łatwością, nie boi się, nie dziwi, ani zastanawia, bo on inaczej śpiewać nie umie. W śpiewie Włocha nigdzie nie dopatrzysz pracy, i to jest prawdziwa wyższość muzyczna Włochów nad innemi; bo muzyka, a mianowicie też śpiew, powinien być natehniwym. Włoch nie pracuje śpiewając; nigdzie nie dopatrzysz wysilenia, które zazwyczaj zupełnie psuje urok pieśni: muzyka upaja go jak wino. Włoch śpiewając szczęśliwszy od słuchaczy: roztopia się w harmonii i ani wie

że na teatralnych deskach stoi. Leporello jest Leporellem, Zerlina Zerliną, a marmurowy komandor posągiem; choćby się rzeczywiste piekło przed nim rozwarło, nie przerwałby grobowej pieśni, ani wypuścił z kamienną dłoni ręki swego zabójcy.

Mimo takiej łatwości przejścia się rolą, trudno jest nawet na włoskiej scenie o prawdziwego Don Juana. Don Juan, tak jak mizantrop Moliera, jest typ prawie niepodobny do rzeczywistnienia, i dla tej właśnie przyczyny obie te role nęca wielkich artystów. Każdy z nich oddał jedną stronę ideału, ale żaden nie przedstawił go całkowicie. Najpodobniej przedstawiał Don Juana *Garcia*, bo też i w życiu był do niego podobny. Don Juan jestto porywający ideał birbanta, któremu wszystko uchodzi, wszystko się wie dzie, wszystko wolno, bo jest młody, piękny, bogaty, szlachetny, odważny, ujmujący, dowcipny: słowem, łączy wszystkie zalety. Jakże tu podjąć się takiej roli? Jak przedstawić Don Juana? Najzarozumialszy pyszałek o to się nie pokusi! Mario, choć młody i piękny, nie podjął się tej roli; Tamburini wziął ją na siebie, i występuje bez żadnej pretensyi, bo choć śpiewa pięknie, już jest niemłody, i wie, że figurę Don Juana w przybliżeniu tylko przedstawia. Publiczność umie ocenić tę prostotę znakomitego artysty, i poklasków mu nie szczędzi. Mianowicie też finał pierwszego aktu, i owa nieporównanej bezczelności arya „*Fin ch'han dal vino*”, którą śpiewa wybornie, bywają z uniesieniem przyjmowane.

Powyższe uwagi o roli Don Juana dadzą się zastosować do Donny Anny. Pomiędzy tysiącem kobiet, ona jedna najdłużej panowała w sercu szaleńca. Gdyby Don Juan, ten symbol nienasyconej żądzy, mógł kogo kochać, pewnie byłby pokochał córkę komandora. Żeby więc być nieomal ideałem Don Juana, trzeba być najpiękniejszą z pięknych, najpowabniejszą i najpożądanszą, a do tego śpiewać jak anioł, co razem wzięte czyni także rolę Donny Anny prawie nieprzystępną. Nawet Giulia Grisi nie wypełniała tych ram 'ogromnych.' Młoda śpiewaczka Frezzolini wywiązała się nadspodziewanie dobrze z trudnego zadania. Postać jej szlachetna i tajemnicza, twarz tragicznych konturów, i harmonijny choć trochę zmęczony głos, mile czyniły złudzenie.

Dalle-Aste grał Leporella, i dobrze był przyjęty, choć jeszcze pamięć Lablacha w umysłach publiczności nie zatarta. Niedługo odśpiewał pierwszą arya znużonego lokaja „*Notte*



e giorno faticar“, ale niedosyć wymownie wypowiedział nieprzeliczony katalog podbojów Don Juana. Brak mu jeszcze téj gadatliwości włoskiej, co oszałamia i porywa jak huragan. Mario odziedziczył rolę Don Ottavia po Rubinim, choć w niéj wcale głosu rozwinąć nie może.

Alboni jest nieporównana w chłopskim ubiorze Zerliny. Wesole ustępy muzyki Mozarta mają sobie właściwy, oryginalny wdzięk; wesołość w nich nie śmieje się, ale raczej uśmiecha; żarty nawet nacechowane są czuciem, nieomal melancholią. Wesołość Mozarta, to promień słońca błyszczący przez kroplę rosy... może przez łzę. Zerlina, jedna szczęśliwa istota w całym tym posepnym dramacie, w którym łoskot stóp marmurowych przeraża słuchacza, a ognie piekielne buchają obok bankietu; Zerlina mówi, jakże już blizka smutku, jakże łatwo we łzach utonąłaby za łada przykrém słowem! Dwa razy odśpiewać musiała obie przesłiczne arye: „*Batti, batti, o bel Muzetto*“ i „*Vedrai Carino*“, jak niemniej sławny duet: „*La ci darem la Mano*“ który Chopin precudną fantazyą uwiecznił. Basista Susini z przerażającą *kamiennością* przedstawia komandora. Z człowieka w posąg się przeobraża, marmurowe tony wypuszcza z marmurowych piersi, i rzeczywiście nie gra swéj roli, ale ją *wykuwa* z głazu.

Rubini umarł 3 marca w Romano, w prowincyi Bergame. Jeden z zaalpejskich dzienników donosząc o tym smutnym wypadku, dodaje: „Wszystkie słowiki umilkły na znak żałoby w dzień pogrzebu pierwszego w świecie śpiewaka“.

Ekonomiści niepokoją się spadaniem wartości złota w skutek obfitych a niespodziewanych kopalni już odkrytych, lub odkryć się mogących.

Srebro, ten drugi panujący kruszec, już, już mający się wywyższyć kosztem złota, i zostać jedynym wyrazem wartości rzeczy, jest także zagrożone upadkiem, może szybszym i ważniejszym jeszcze! Tę klęskę nie obfitość mu zada, ale, jak twierdzą niektórzy, nowo przybyły metal, zwany *Aluminium*.

Przyjąwszy nieco pośpieszne przypuszczenia pana Gaudin, członka biura geograficznego, za prawdziwe, należy się spodzie-

wać, że wyjście z ceny szlachetnych metali i ich przemiana zupełna wkrótce nastąpią. Jakkolwiek jest jeszcze odległą tą operacyą, *Aluminium* naznaczają na domniemanego następcę przeżytych metali.

W roku 1827 pan Wöhler pierwszy otrzymał *Aluminium* w postaci proszku szarego, przesypanego błyszczącemi ziarnkami. Po nim inni uczeni, zmieniając stosownie metodę p. Wöhler, i regulując rozkład chlorku *Aluminium*, potrafili skupić cząstki metaliczne, i połączyć je w małe bryteczki. Ot i wszystko, czego dotąd dokazano, a nowy kruszec ostatecznie służył tylko do doświadczeń w laboratorium chemiczném.

Dziś, dzięki panu Sainte Claire Deville, repetytorowi w szkole normalnej w Paryżu, nowy dla *Aluminium* otwiera się okres. Uczony ten przełożył ku rozpoznaniu akademii blaszki i pręciki *Aluminium*, które, mimo że były wystawione na dość długie działanie wody, kwasu siarkowego i kwasu saletrzanego, nie straciły nic ze swego blasku pierwotnego.

*Aluminium* nie ulega zniszczeniu, i jest tak świetnej białości, że platyna przy nim szarą się wydaje. Ma jeszcze i tę wyższość niesłychaną dotąd w metalurgii, że ze zbitością i wytrzymałością łączy ciągliwość i ciężar gatunkowy (2, 56, prawie tyle co szkło), cztery razy mniejszy od srebra; tak więc do zrobienia jakiegokolwiek przedmiotu, cztery razy mniej go potrzeba. Większa część kwasów i wszystkie najenergiczniejsze odczynniki nie działają na niego; opiera się wpływowi solanu-ammoniaku, i siarko-wodnianu, które tak łatwo czernią srebro. Rozpuszcza się w kwasie solnym. Ma jeszcze i ten przymiot, że temperatura przy której się topi nie jest wysoką, co go łać i kuć pozwala.

Ale zastosowanie tych wszystkich korzyści zależy od wynalazku, któryby dał sposób wydobywania *Aluminium* bez wielkich kosztów.

Anglik Harry wynalazł nowy sposób zastosowania chloroformu. Metoda zależy na tém, żeby przed operacyą części zboleła ciała wystawić na działanie chloroformu, celem odretwienia takowych. Doktor Dubois robił doświadczenia w szpita-



lach paryzkich, które udały się z wielkim skutkiem. Jeden chory ani się spodział, kiedy operacya już była ukończona; inni czuli ból, ale bardzo słabo.

Wszyscy oczekują wielkich rezultatów z tego odkrycia, które bynajmniej nie szkodzi zdrowiu, ani nie naraża życia chorego; wiadomo bowiem, że zbyteczna doza chloroformu, użyta wewnątrznie do uspiania chorego, nieraz go o śmierć przypawiła.

---

Mysłliciele i historycy francuzcy przygotowują światu nowe dzieła. Guizot zajęty gromadzeniem materyałów do *historyi angielskiej*; Thiers przygotowuje dwa ostatnie tomy *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*; Vaulabelle wykończa historię restauracyi; Augustyn Thierry śledzi początek Franków; Ritter i wielu innych roztrząsają ważniejsze wypadki naszej epoki; Villemain pisze dalej *pamiętki*; Victor Cousin wskrzesza bohaterów i heroiny z czasów sławniej *Frondy*; Izidor Geoffroy Saint-Hilaire wydał bardzo ważne dzieło „*Histoire générale des êtres organiques*”.

Pomijam tysiące, miliony podrzędnych pisarzy, którzy co miesiąc zalewają Paryż nowemi publikacyami. Alexander Dumas wydaje codziennie swego *Mousquetaira*, w którym nieustannie o sobie i swych przyjaciółach mówi, często dowcipnie, częściej płasko. Dziennik ten jestto rodzaj *monopolu*, który modne znakomitości literackie, jakoto: Dumas (syn), Méry, Paweł Bocage, Paweł Meurice, Canaux, Bell, Deschamps, Arsen Houssaye, i t. d. i t. d., zawiązawszy się w potężną ligę pod chorągwią Dumasa, ojca, nałożyli na Francją a mianowicie téż na Paryż; każdy bowiem modny Paryżanin wolałby obiadu nie jeść, a dowiedzieć się co mówią ulubieni żartownisie, kogo wyśmieli, komu kadzą? Nie czytać *Mousquetaira* nie jest w dobrym tonie. W tymże dzienniku wychodzą w tłumaczeniu z rosyjskiego: *Dusze Zmarłe* znakomitego humorysty Gogola; a chociaż w téj francuzkiej sukience często dziwnie wyglądają, to jednak dowcip ich i oryginalność niezupełnie się zatarty. Prócz dziennika, nie przestaje Dumas zarzucać świat nowemi publikacyami. Między innemi wydał dość ciekawy zbiór: *Les Crimes célèbres*, zawierający: *La mar-*







W piaszczystej wydmie, niby w puharze,  
Czystej im wody strugę ukaże.

Radość i okrzyk!... Biegną weseli,  
Już hełm puharem, już napój świeży  
Gromadzie całej najstarszy dzieli  
Po równych częściach, jako należy;  
I hymn dziękczynny grzmi pod niebiosy  
W różne języki, w rodzime głosy.

Już pogodniejsze u wszystkich czoła,  
I znowu serca rosną w nadziei;  
Syci już wszyscy, z całego koła  
Jeden już tylko czeka kolei,  
Zdejmuje szyszak; wtém do gromady  
Idzie Saracen jak upiór błady.

Zbliża się drżący, wyciąga ręce,  
Śmiertelnym wzrokiem wodzi dokoła,  
Chce coś powiedzieć; po długiej męce  
Ledwie chrapliwie „Wody!” zawoła.  
A rzesza na to: „Psie poganinie!  
Kto wrogiem naszym, z rąk naszych ginie.”

Tu błysnie sztylet, tu miecz podzwoni  
Ku piersi wroga; ale w tej chwili  
Spojrzą po sobie:— on nie ma broni.  
I wraz też wszyscy broń opuścili,  
Bo kto bez miecza i bez pancerza,  
W tego rycerska dłoń nie uderza.

A ów ostatni został w pokoju,  
I, gdy orężna minęła trwoga;  
Zebrawszy hełmem resztkę napoju,  
Nie tknął go usty, lecz szedł do wroga  
I rzecze: „Jakoś spragniony wiele,  
Tak ja tę wodę z tobą rozdzielię.”

I hełm mu podał, i nowe życie  
Wstępuje w nędzne pielgrzyma ciało;  
Dzierzył hełm w rękę i pił obficie,  
A wody z hełmu nie ubywało.  
To gdy zdziwieniem wszystkich uderza,  
On w takie słowa rzekł do rycerza:

„Jakoś ty wodę podzielił z wrogiem.  
Tak ja w godzinę twój zgonu



Śmieie zaświadczę przed twoim Bogiem,  
 Żeś wiernym stróżem jego zakonu.  
 Bądź mi szczęśliwym! A was rycerze,  
 Od wszego złego niech Bóg ustrzeże."

I zniknął. Wszyscy stoją zdumieni,  
 Cień wstydu opadł na rzeszę całą,  
 I cisza w pustej legła przestrzeni,  
 Tylko po niebie, coś przeleciało.  
 To anioł westchnął słowy cichemi:  
 — Wdzięcznys mi, synu słowiańskiej ziemi!

*Wazimiierz Waszewski.*

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Piśmiennictwo polskie, przez W. A. Maciejowskiego. Tom 3ci.*

Jak scharakteryzować tę książkę p. Maciejowskiego? jak ująć w pełen obraz te cienia i tony, które tu widzimy razem skupione? jak przedstawić całość tego piśmiennictwa, które wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej obejmuje? — Czyste niepodobieństwo, tyle tutaj treści i faktów. Sama książka jest całością, jest więc dla siebie razem i recenzją. Łatwo było nakreślić treść i główne zaciągnąć rysy obrazu, który autor utworzył w tomie pierwszym; łatwo w drugim: żeby zaś dać poznać co się zawiera w trzecim, chyba tom ten cały trzeba by przepisać. Pan Maciejowski niby na szyki i na regimenty podzielił dzieje literatury polskiej. W pierwszym szeregu sami wodzowie, w drugim korpus wojska, a w trzecim i ostatnia rozerwa, i ciężka artylerya, i bagaże: jednym słowem, tam literatura, tutaj już piśmiennictwo; tam idzie o wybór, o rzecz, o treść: tutaj wszystko ściśnięte, zbite w kolumny bez ładu i porządku, niby pospolite ruszenie, Albertusy i klechy, poeta przy historyku, geograf przy naturaliście, lekarz przy mierniku; a jednak i ten nieład ma swój 'ordynek, swoje przepisane ruchy, i nic się tam nie dzieje dowolnie. Tam w pierwszych szeregach ludzie zdolni, którzy wiedzą dlaczego pracują, a pracują z natchnienia, i działają przeważnie na rozwój literatury; a tutaj pismaki, rzemieślnicy, męty epoki, pomiędzy którymi niejedną błysnie brylantem czystej wody, bo tu jest wszystko razem i złe i dobre: jednym słowem rozmaitości, słownik pisarzy polskich do 1650 roku. Mówim i powtarzamy, *roz-maitości*, bo teologia obok historii swobodnie tutaj panuje, a raz-po-raz napotykają się pojedyncze i urwane gazety albo z placu boju, albo z obrad sejmowych, bo zanim zwyczaj nastąpił peryodycznego wydawania gazet, wychodziły one licznie ćwiartkowe, arkuszone, w bardzo wielu miejscach i w różnych czasach. Są dalej nawet w tym spisie dzieł broszury o jednej ćwiartce, jak np. ów dyalog z biblioteki kurnickiej, znany Wiszniewskiemu, a obejmujący rozmowę Marancyi z wróżką, w którym jest o kandydaturze na tron Badury; są nawet uniwersały, które zwykle piszą się bez tytułu, z napisem tylko:



„My rady koronne” i t. p. Są pieśni (str. 23, 25). W ogóle jest to Biblioteka starożytna pisarzy polskich Wojcickiego, ale spisana w rejestra, nie przedrukowana, chociaż do druku wieleby się z niej znalazło. Jakże żal tedy, że pomimo najszczerzej chęci autora, wkradły się do Piśmiennictwa niedokładności, nie pochodzące przecież z jego woli, bo często przychodziło brać mu tytuły nie z pierwszej tytułowej strony, gdy egzemplarze defektowe trafiały się pod ręką.

Ostatni tom Piśmiennictwa p. Maciejowskiego jestto jeszcze *Obraz Jochera*, tylko inaczej spisany; tam podług materyałów, a tutaj podług autorów. Zawsze jednak i tu po stronie autora naszego wyższość; bo kiedy Jocher rozdrabnia się zbyt w małe przedziały i podziały, tak, że gubi nawet rachunek, i chcąc być najwięcej systematycznym, jest najwięcej niesystematycznym; kiedy ztąd często się powtarza i nie jest dokładny; myli się w datach i w oznaczeniu miejsca druku dzieł dawnych, a wreszcie wypisuje wszystko, zarówno i co widział i czego nie widział, ze źródeł znanych i mniej znanych: kiedy Jocher notuje książki, o których nie ma żadnej pewności że istniały, a o których same jego źródła wątpliwie mówią:—nasz autor pisze li tylko o tém, co widział i co czytał. Ztąd, kiedy Jochera podaniom niezawsze zawierzyć można, a trzeba je brać z wielką ostrożnością; na Maciejowskiego spuści się każdy historyk i literat jak na Zawiszę. U Jochera, przy nadzwyczajnej pracy jest jakieś niedbalstwo czy niezręczność, (np. co znaczą tytuły dzieł polskich, wypisywane z Janockiego, który te tytuły tłumaczył po łacinie?); u p. Maciejowskiego jest największa sumiennosc. To też Jocher wlecze się długo ze swoim przedsięwzięciem, za którego pomyślnością wszyscy serdecznie wdychamy, a Maciejowski skończył swoje dzieło. Wprawdzie i rok 1650, tutaj wzięty za kres, znacznie ramy obrazu zmniejszył; ale wnioskując po systematyczności Jochera, sądzimy, że i jego *Obraz*, gdyby zakresłony był tylko po rok 1650, ciągnąłby się także bardzo długo (1).

Nie żałował p. Maciejowski trudów, żeby złożyć w całość swoje Piśmiennictwo. Nie ma pewnie biblioteki na ziemi języka polskiego, którejby nie poznał; nie ma pewnie bibliomana, z którymby nie zawarł dobrych stosunków. Książnice publiczne stoją każdemu otworem, ale Maciejowskiemu znosili daninę prac swoich tacy ludzie, jak

(1) Po wyjściu całego *Obrazu Jochera*, wydawcy dałby zaraz powinni za świeżej pamięci, jeżeli nie dopełnienia, to *poprawki* do dzieła. stronnica za stronnica, bo inaczej wartość *Obrazu* byłaby wiele podejrzaną. Tu i owdzie wskazano już na te niedostatki. Krom tłumaczenia tytułów dzieł polskich na łacińskie, są tam gęste omyłki w latach i wydaniach; jedna książka w dwóch i trzech miejscach zacytowana pod rozmaitemi oddziałami, mnoży tylko niepotrzebnie numer bieżący. Czasem z jednego dzieła dwa zrobione, raz np. *Informacya* przemienia się w *Infirmarię* i nawzajem; więc bibliograf będzie sobie napróżno głowę łamał, kiedy tu proste przeoczenie, myłka, nieostrożność. Bez *poprawek*, o których mówim, będzie tak potrzeba ostrożnie używać Jochera, jak się dziś używa Niesieckiego w wydaniu Bobrowicza. W *Piśmiennictwie* znajdzie się też wiele poprawek do Jochera, z którym p. Maciejowski często nawet dosyć żwawo uciera się za lekceważenie podjętej dobrowolnie pracy.

Łukaszewicz, jak Kazimierz Wojcicki, Ambr. Grabowski, Adryan Krzyżanowski, Wojciech Kłodziński, Popliński i t. d. Katalogi swoje i dzieła mu dawali: księgarz w Poznaniu Lissner, i w Warszawie niedawno zmarły Rzońca i t. d. Położył tutaj pewne zasługi względem literatury i Dziennik Warszawski, chociaż młody, bo wszystkie „rzadkości” jego bibliograficzne z Poznania i pan Maciejowski przepisał życiem do Pismiennictwa; znać, że je osądził za godne tego zaszczytu (1). I to właśnie, co zrobiło książkę p. Maciejowskiego doręczną i sumienną książką; bo co w niej zawarte, to fakt jak mur, kiedy podaniom innych historyków literatury niezawsze wierzyć można. Nie wiemy, czemu więcej się dziwić w Pismiennictwie: czy ogromowi pracy, czy ogromowi treści? Jedno i drugie znakomite.

Wracając zatem do 3go tomu Pismiennictwa p. Maciejowskiego, powiadamy, że tutaj jest faktów mnóstwo zabijające. Nam się zdaje, że widzimy obszerne pole literatury polskiej zastane niezliczoną mnogością coraz piękniejszych, albo mniej pięknych kwiatków. To kwiaty literatury. Są wspaniałe róże, są skromne fiołki, są pokrzywy i chwasty; są wspanialsze i mniej świetne, roznoszące woń miłą, i odstrasające zapachem. Co tu zbierać, bo wszystkich kwiatów znać niepodobna? Zielnik zebrał sam autor. Nam tylko wskazać na to, co więcej uderzające i wydatniejsze w tym zielniku. Jak my do kwiatów, tak sam autor tom 3ci swojego dzieła przyrównywa do starożytniej szlachty. Pisarze wpływowi, to panowie przewodzący na sejmikach; bazgracze, to klienci magnatów, oficjaliści, przyjaciele, drużyna, która sejmikuje, wojując gardłem. Jak nie ocenimy piękności kwiatka bez antytezy, jak panów pojąć trudno bez szlachty; tak obok wielkich pisarzy, poplecznicy ich nadają cień kolorytowi obrazu, więc i oni znaczą coś i znaczą rzeczywiście. Najślabszy pisarz ma pod tym względem znaczenie. P. Maciejowski z broszur napisał swoje *Polskę*, dzieło, najwięcej, że tak się wyrazim, poetyczne i artystyczne ze wszystkich dzieł jego historycznych; nie więc dziwnego, że cenił wszystkie kwiatki. Oszczędzając jednak miejsca, nie powtarzał się już dwa razy. W *Pismiennictwie*, w spisie dzieł i autorów nowe występują broszury, jak np. w *Polsce pod względem obyczajów* i nowi autorowie, których z tamtemi łączyć razem potrzeba w jeden wspaniały snop literatury. Chyba, że przychodzi autorowi dopełniać wiadomości tam zebranych, albo poprawić myłkę: wtedy wraca do tego, o czém poprzednio już raz rozprawił. Pod tym względem nie znamy oszczędniejszego pisarza, jakim jest autor Pismiennictwa; p. Maciejowski żadnego słowa nie puści nadarmo i nie kompiluje samego siebie. Nie kompiluje też innych, i raz wraz do dzieł poprzedników swoich odsyła, w których są dokładniejsze książek opisy.

P. Maciejowski wyliczając swoich pismaków i dzieła ich, trzyma się zawsze jednego systematu. Autorowie w tym tomie 3cim nie idą u niego podług alfabetu, albo podług materyi; bo pierwsze byłoby

(1) Za te rzadkości winien Dziennik wdzięczność uczonemu Józefowi Łukaszewiczowi.



za rubaszne, stanowiłoby zepsuty materiał, a przy drugim częstoby się powtarzać potrzeba, i do jednej osoby po kilka razy wracać. Autor idzie porządkiem chronologicznym, jak w szeregu pisarzy wzorowych. Kto wprzód powstał i działał, ten wprzód zamieszczony; kto później, później. Trudno tutaj ściśle kolej pomiędzy autorami oznaczyć, bo ramy zachodzą jedne za drugie; zresztą łatwiej uporządkować tak pisarzy wzorowych, trudniej pismaków: ale przecież i na to znalazł się sposób. Zresztą między motłochem mała rzecz, kto pójdzie krokiem wprzód, zamiast krokiem później: nie wywoła to ani wielkiego zgorszenia, ani też nie zepsuje porządku. Każdego autora p. Maciejow. wylicza dzieła i wydania, opisuje bibliograficznie, wskazuje na ich treść, przytacza wyjątki; a jeżeli zrobił to już kto dokładnie przed nim, nie powtarzając cudzej pracy, przytacza źródło, w którym okszerniejsza wiadomość.

Rodzi się teraz drugie pytanie: jak rozumieć ten rok 1650 za zasadę, za kres ostateczny wzięty? Któż będzie w tym oddziale Piśmiennictwa wspomniany: czy ten tylko, kto skończył życie przed r. 1650? Ależ w takim razie wielu przeżyło rok ten, a przeważnie jednak przed nim działało; przenosić ich tedy w inny okres i czas, pomiędzy innych ludzi, czy sprawiedliwie? Jaką tu znowu normę naznaczyć? Pan Maciejowski tłumaczy się z tego w dłuższej przedmowie do dodatków stanowiących tom 4ty. W tomie 3eim nie znajdzie czytelnik np. Szymona Zimorowicza, Wojciecha Kojałowicza, Eliasza Arciszewskiego, a naodwrot znajdzie kilku innych pisarzy napomkniętych, jak: Starowolskiego, Twardowskiego, których działalność głównie poza rok 1650 się przeciąga. Miał tu więc autor swój własny systemat i sposób porządkowania rzeczy; a też same zasady, które mu przewodniczyły przy uporządkowaniu autorów, kierowały i tym podziałem na zwroty, że tych do jednego, a tamtych do drugiego okresu odnieść należy.

Kiedysmy te lody, to jest tom 3ci przebrnęli, spojrzeliśmy poza siebie. Dziwną ma fizyognomią ta stara literatura. Cóż ją po większej części stanowi?—same wierszydła, piśmidła i panegiryki; same kazania dowcipne i allegorye, z których korzystać mogą tylko herbarze i genealogie. Nic w niej z nauk ścisłych, nic z historii, a ciągle przymuszeni jesteśmy przewracając książki, patrzeć na wesela i pogrzeby, na radości i smutki panów, potem biedniejszej szlachty, a nawet i mieszczan. Czasem jaki urywek nauczający, czasem poezya dydaktyczna, ale o dramacie ani słychu. Nieraz na myśl nam przychodziło, że nie szkodaby wielka była téj literatury, gdyby znalazła swego Omara; i żal nam się wtedy robiło tych broszur i piśmidel, bo w stosie gruzów i dzieciństw znajdzie się czasem dla historii jaka taka perełka. Bo nie ma tam w téj literaturze dzieł wielkich, ale same broszury i ramoty. A jednak dawną literaturę polską liczą na 100,000 tytułów. Co z tego ogromu wybrać? Co jest w niej co przeżyło wiek swój i ma dzisiaj jeszcze chociażby względną wartość? Czy te książki, w których znajdujem humor i dowcip polski, w których np. powiedzą: że kobiety nie są utworzone z kości Adamowej, lecz z języka? Czy te, w których pieją niezgrabne peany na cień człowieka, pod żadnym

względem nie zasługującego na swoje pośmiertną sławę, która aż do naszych czasów przetrwała? Czy te filologiczne wywody księdza Gołdonowskiego à la Debołęcki, (obadwa byli sobie współcześni i w jednym nawet r. 1635 dzieła swoje drukowali), w których dowiedziono jak na dłoni, że wyraz *panna* pochodzi od bogini Dyanny? (str. 785). Czy ma jaką wartość ten Karol Dacbnowski, który wścieka się na Zoila i wymawia mu, że go nauczył *artem urinandi*? (str. 617) Czy owe grube żarty z różnowierców Mireckiego? (str. 579). Droższe już będzie nad to wszystko świadectwo Cziachowskiego, iż lekarzowi polskiemu niełatwo jest rozwinąć swoją sztukę w całej obszerności (str. 701). Zoil większą część tych biednych autorów przestrasza, jak zmora nocna: to też przez zemstę nazywają go Gryzistawem. Melchior Pudłowski krytyka zowie po polsku *ozówcą* (str. 296); to znowu wyraz dla słownika.

A jednak choćby brnąć po śniegu, trzeba powiedzieć co się mieści w tej ciekawej z najciekawszych książek p. Maciejewskiego.

Pisarzów, o których mowa w tym tomie, p. Maciejewski podzielił na 4ry szeregi: w pierwszym są druki autorów bezimiennych, ale za to miejsca wydania i roku znane; w drugim, bezimienni, niewiadomo z jakiego czasu i z jakich stron; w 3cim i 4tym mieszczą się już imienni pisarze, tylko także rozdzieleni na dwie połowy: na tych, którzy rok wydania i miejsce swoich dzieł powiedzieli, i na tych, którzy zaniedbali tej ostrożności, a nam potomkom wielką przez to wyrządzili krzywdę, bo domyślać się teraz i szukać ich trzeba. Z bezimiennymi jeszcze większa niewygoda.

Pierwszy szereg rozpoczyna się rokiem 1565 i *Ustawami prawa polskiego* najpotrzebniejszymi, które, jak się domyśla p. Maciejewski, układał Jan Ponętowski. Ma to być szacowne i na swój wiek wielkiej wartości dzieło. Mnożyły się podówczas podobne praw układy, bo w r. 1579 wyszedł już czwarty z porządku krótki zbiór praw, tém ważniejszy, że przy nim znajduje się rozprawa o obronie koronnej hetmana Tarnowskiego (str. 28). Z innej broszury dowiadujemy się faktu do życiorysu poety Mikołaja Sępa, który miał tłumaczyć teologiczne dzieło Ludwika z Granaty (str. 32). Inna prawi nam o początkach chłopskiego narodu, a podanie w niej zachowane o Adamie i Ewie, formą swoją i treścią podobne do gadek ukraińskich, jakie zbierali niedawno Nowosielski i Rulikowski. Nie jest może tak hardzo uzasadniony domysł autora, że broszura, o której tu mowa, pod tytułem: *Lament chłopski na pany*, pochodzi mniej więcej z czasów początkowych Zygmunta III (około r. 1588). W tej epoce, to pewna; ale ten rok za zasadę wzięty mniej trafnie, jeżeli tylko wzmianka o hetmanie ma być do tego wniosku jedynym powodem. Hetmanowie stali nie za Zygmunta III; wzniesli się jako urzędnicy. Początki ich władzy odnieść należy do Zygmunta Starego; a zresztą tutaj o sam wyraz *hetman* chodzi, wyraz staropolski, używany dobrze przed r. 1588. Wiersze, które p. Maciejewski z *Lamentu chłopskiego* przytacza, wcale są gładkie jak na owe czasy. Z *Processu konfederaciy Skargi*, którego nowe wydanie w pierwszym tomie nie zanotowane tutaj, p. Macie-



jowski przytacza, dowiadujemy się, że w r. 1595 było około 600 kościołów dawniej katolickich, w rękach protestanckich, w jednym tylko biskupstwie krakowskim, a liczba ich na Litwie i Rusi do 3,000 dochodziła (str. 48). Dalej jest dziełko *O dziesięcinach* z r. 1604, którego nie znał Czacki; mała szkoda, boć to „liche piśmidło” (str. 64). Broszurka o zamachu Piekarskiego na króla u ś. Jana, pod tytułem: *Prawdziwe a krótkie opisanie*, zainteresowała nas z tego mianowicie, że podobną zupełnie opisuje Ludwik Tripllin w niedawno wydanych „Tajemnicach społeczeństwa”. Tytuł Tripllina rozciąglejszy nieco (tom 2 str. 8) od tego, jaki podaje w Piśmiennictwie p. Maciejowski, ale widocznie ten sam; w treści nie ma także różnicy. W Maciejowskim jest np., że powodem napadu Piekarskiego było proste naśladownictwo obczyzny, ile że nasz szlachcic postępszał o morderstwie Henryka III we Francji; toż samo jest w broszurze, którą Tripllin calutenką przedrukował: pojąć więc nie możemy, dlaczego tytuł p. Maciejowskiego jest treściwszy jak wypada. Inna broszura pochodząca z tegoż samego 1620 f.: *Polak w Szląsku*, ma cel polityczny; chce zniechęcić dyssydentów Polaków przenoszących się na Szląsk przed Zygmuntem III, żehy zaniechali téj wędrówki, bo nie wyjdą na swoje. Zresztą w tym przedziale autorów bezimiennych spotykamy mnóstwo luźnych gazet: niektóre przytacza p. Maciejowski z jedyne go znanego egzemplarza, jak np. gazeta wyprawy Władysława IV do Moskwy z r. 1617. Są one w Warszawie w posiadaniu uczonego wydawcy wielu pamiątek historycznych (str. 91 -92). Drukowane były niezawodnie w drukarni obozowej i mają drzeworyty. Jedna gazeta najciekawsza ma datę z Podolobuza (tojest z pod Dorohobuza), jak sprawiedliwie domyśla się p. Maciejowski.

Drugi szereg idzie alfabetem tytułów (od str. 164), bo jakże inaczej uporządkować autorów, o których nic nie wiemy co zacz są, gdzie drukowali i kiedy? Zaczyna ten szereg dowcipna broszura, która zawiera same koncepta gminne, jak to poznać z tytułu: *Animusz animasz, gadania Nieboraczkowskiego z Chudej Woli, który się pisze z kałamarza, Eques pedestris, Comes de Kijow, in Gołoty et Glodo-vo Heres*.

Spieszmy się do pisarzy znanych. Tutaj na czele w 3cim szeregu stoją *Jan i Benedykt Herbstowie* pod r. 1573 (str. 186). Po nich idzie *Orzechowski*, który jakkolwiek pisał po łacinie, wszedł w liczbę autorów polskich, bo gęsto wychodziły jego tłumaczenia, a sam i bardzo niekiedy pisywał po polsku, tylko że jak silny i wymowny był w łacinie, tak niedołężny wtenczas, kiedy mu przychodziło się tłumaczyć ojczystym językiem. *Marcin Kwiatkowski* z Różyc, piérwszy w Polsce zostawił opis ziemi inflanckiej (str. 205). O *Grzebskim* obszerny i ciekawy artykuł. *Kromer* wszedł tutaj dla téjże przyczyny, co i *Orzechowski*. Autor przytacza jedno z dzieł tego historyka, tojest łaciński rękopism, nieznan y zresztą uczonemu światu; jestto „Formularium Cancellariae Regni Poloniae”. *Kromer* w niém spisał pracując za młodu w kancelaryi królewskiej porządek, według którego zbierała, wypracowywała i odbierała też kancelarya pisma urzędowe do niéj

przychodzące; ważny to pomnik ta broszurka Zygmuntońskich czasów, i godzien ze wszech miar ogłoszenia drukiem. Rękopism znajduje się w bibliotece Załuskich w Petersburgu (str. 213). O *Walentym Kuczborskim*, którego Wykład na lament Jeremiasza proroka, niedawno wydano w Poznaniu jako arcydzieło językowe, p. Maciejowski zbyt surowo się wyraża i twierdzi, że wykład ten nic ważnego literaturze nie przyniósł, bo nawet grammatyka mało na nim zyskała, z powodu pomyłek drukarskich. Kuczborskiego jest owo sławne wyrażenie, które słyszeliśmy powtarzane po kilka razy, że Luter dach zrucił z katolickiego kościoła, Zwingliusz ściany rozwalił, a Grzegorz z Żarnowca fundament łamie. Zawsze przecież uważany li tylko pod względem języka, Kuczborski ma wielką zasługę, lubo nie przewyższa mocą stylu i potocznością mowy ani Skargi, ani Górnickiego, jak to chciał w nas wmówić wydawca jego Wykładu (str. 216—18). Następujący za tém życiorys *Bartłomieja Groickiego* jest nowością dla literatury polskiej. Nie zostawił on dzieł oryginalnych, ale same tłumaczenia, które przecież wielce były pożądane w Polsce, bo miały na celu praktyczność, i wszyscy je kupowali. Groicki władał też ładnie językiem, który sobie na wzorach i poetach wykształcił. Byłto człowiek sumienny jeszcze wpośród bezsumiennych prawników i chciwych zysku sędziów krakowskich; to też przyjaciele wystawiali go prozą i wierszem, a wrogowie pisali na niego paszkwile. Groicki jeszcze z tego pamiętny w literaturze, że na prośbę Justa Decyusza ułożywszy rejestr do porządku i do artykułów prawa magdeburskiego i cesarskiego, położył przez to samo kamień węgielny do układania tak zwanych inwentarzy prawa w Polsce. Dwaj *Małeccy*, syn i ojciec, mają dlatego w literaturze pamiętkę, że narodowość polską utrzymywali w Prusiech Wschodnich. Ojciec z proboszcza katolickiego w Ełku został protestantem i drukował po polsku książki w drukarni, którą mu książę pruski Albrycht darował. Z początku ten książę, lennik Rzplitej dosyć gorliwie się zajął literaturą polską, i w interesie własnym lubo Niemiec, dużo w naszym języku drukował, rozszerzając zasady luterskie pomiędzy ludem mazurskim Prus Wschodnich; ale kiedy się przekonał z doświadczenia, że od rządu polskiego nie dozna w sprawie swojego wyznania żadnych przeszkód: staranie około rozszerzania zasad dyssydenckich w Polsce, a najwięcej w Mazowszu pruskiem, zlecił ojcu i synowi Małeckim, którzy pomimo tego że wiele pracowali, przyczynili się mało do wyrobienia stylu polskiego (str. 227). W litanii pisanéj dla kościołów polskich księstwa pruskiego, jest wyraźnie wskazany cel téj propagandy; tam chór śpiewa: np. „abyś króla polskiego ku uznaniu słowa Twego przywiódł” i t. d.; „abyś wszystkie stany korony polskiej słowem Śwém oświecił” i t. d. Małeccy nie mieli wiele zdolności; to i z tego widać, że język polski wyginali w czeskie obroty, i mnóstwo wyrazów, mianowicie do teologii brali z języka czeskiego, jak to sami zeznają. Mogło to być wszystko dobre, aby tylko nie trąciło przesadą.

*Marcin Krowicki* należy do wyborowych pisarzy pod względem języka; takim ludziom jak on, najwięcej wykształcenia winna jest mo-



wa ojczysta. Ale treść dzieł jego stanowią szeregi błuznierstw, które Aryanie miotali na kościół katolicki. Autora tego poznajemy w Piśmiennictwie bliżej, niż go znaleźliśmy dotąd, bo p. Maciejowski zebrał i w Dodatkach wydrukował jego listy, które pewne światło rzucają na epokę i na niego. Człowiek to był gwałtowny, zepsuty złemi przykładami, na jakie patrzył na dworze Piotra Kmity wojewody krakowskiego. Dzieła przecież zaciętego herezjarchy nie są tak bardzo rzadkie, jak to podaje Ludwik Sobolewski w notatach swoich. P. Maciejowski dość często je napotykał. Przeciwnie, drugi głośny swojego wieku reformator, *Jan Seklucyan*, który, jak domyślają się właściciel, nazywał się Siekluckim, nie położył już tych zasług względem literatury i języka jak Krowicki; owszem, lichą polszczyzną przyczynił się wielce do zagmatwania piśmiennictwa, a chcąc stanąć o zasadach pisowni naszej przekonał wszystkich, że nie miał do tego najmniejszego prawa (str. 245).

Następują znowu dwaj pisarze, zasługami i sposobem zapatrywania się na rzeczy wbrew sobie przeciwni, a obadwaj lekarze i jak tamci dwaj religijni reformatorowie: *Wojciech Oczko*, którego życiorysu błędne szczegóły poprawia p. Maciejowski, i *Marek Piotrkowita*. Pierwszy wielki miłośnik ojczystego języka, czuje pod względem naukowym jego społeczne ubóstwo i niewyrobienie naukowe; w każdej przecież okoliczności woli po polsku niż po łacinie o przyrodzie rozprawiać, choć po łacinie byłoby mu i piękniej i szerzej. Ale pełni powinność serca: zbogaca język swój, wynajduje zwroty mówienia i wyrazy, usuwa dzikie i pstrokate słowa, któremi język zepsuli inni lekarze; jednym słowem, wielką pracą toruje drogę swoim następcom, wtenczas, gdy drugi, Piotrkowita, przepelnia swoje dziełko o morowem powietrzu masą wyrazów greckich, łacińskich, niemieckich, a nawet arabskich (str. 248, 249).

P. Maciejowski daje zupełnie nowy opis dzieła *Mikołaja Gomółki*, którego przypisanie zrobione jest wierszami, po większej części miarowemi. Żałujemy bardzo, że przedsięwzięcie Józefa Cichockiego, który w r. 1838 miał zamiar wydać dzieła muzyczne Gomółki, jako wstęp do zbioru śpiewów kościelnych dawnych kompozytorów polskich, że to przedsięwzięcie, powtarzamy, urwało się na poszycie 14ym.

Artykuł o księdzu *Białobrzskim* rzuca zlekka cień na tę dość znakomitą postać Jagiellońskiej przeszłości. Biskup kamieniecki był mistykiem: wprowadza raz w kazaniu swoim rozmowę zmarłych na plac; a styl jego-pozbawiony wszelkich krasomówskich ozdób, nie jest przecież bez wdzięku. W ogóle jednak Białobrzski jest za rubaszny, a jak pokazuje się z mowy na pogrzebie Zygmunta Augusta, i bez koloru: bo to właśnie jego ostatnie kazanie można mieć było nad ciałem każdego innego człowieka, niekoniecznie Zygmunta Augusta, tak mało w nim barwy i rzeczy. Białobrzski byłto homiletyk dość wymowny, ale gruby za to, i niesprawiedliwie go liczą do reprezentantów kaznodziejstwa polskiego, jako wzór innym.

*Socyn*,—bodaj nigdy u nas nie postał!—woła p. Maciejowski, pisał wiele po łacinie, a wszystkie jego dzieła tłumaczono na język

polski. Obszernie obiecał nam rozpowiedzieć o tój postaci autor w tym oddziale Piśmiennictwa, który łacińską jego stronę przedstawi. Socyn najsilniej w Polsce popierał sektę Aryanów, czyli, jak u nas mówiono, nurków. dlatego, że zanurzali się w wodzie przy ceremonii chrztu (str. 287).

Autor „Wizerunku żywota chrześcijańskiego” z r. 1584, nazywa się *Janem Leopolitą*. Muczkwowski naliczył w osobnej rozprawie aż jedenastu tych Janów Leopolitów, a teraz z kolei dwunasty przybył do ogólnej liczby (str. 289). Po nim *Murinius*, autor kroniki pruskiej, ułożył pierwszy i ostatni u nas inwentarz do Pisna Świętego (str. 293). Poeta *Tobiasz Wiszniowski* pisał treny jak Kochanowski, ale na śmierć matki. Śliczny i czysty w nich język, lecz są to piękności słowa bez żadnej wewnętrznej poetycznej wartości. *Tomasz Rogaliusz* wydał w r. 1588 prognostyk na lat 6 przyszłych, w których miały spotkać Rplitą wielkie nieszczęścia, a od r. 1592 spiknąć się na nią wszystkie żywioły. Autor Piśmiennictwa mówi, że zgadł Rogaliusz, bo w r. 1592 zaczęły się intrygi Zygmunta III około unii, która nam sprowadziła wojny kozackie. O *Zawickim* i tragedji jego *Jeftes*, p. Maciejowski wypowiada zdanie sprawiedliwsze od wielu niezastużonych pochwał, jakimi w nowszych czasach bibliografowie i historycy literatury dzieło to zarzucili. Autor Piśmiennictwa broni *Zawickiego* od zarzutu, który mu rzucił *Kalinka*, że przetłumaczył tragedją *Buchanana Szkota*; ale z drugiej strony widzi w nim tylko doskonałego naśladowcę, prostą kopiję sztuk greckich. Prolog, zawiązanie i rozwiązanie intrygi, chóry, wszystko to u *Zawickiego* trąci naśladownictwem; ztąd też autor tragedji *Jeftes* nie mógł być policzony pomiędzy oryginalnych pierwszego rzędu pisarzy.

Edward Koźmian niedawno utrzymywał (w *Żywotach sławnych Polaków*, 81), że pierwsza książka polska, która wyszła głoskami łacińskimi, jest pieśń *Bogarodzicy*, wydana w r. 1621. Autor Piśmiennictwa odkrył inne dzieło, już w r. 1588 drukowane alfabetem łacińskim, a więc okres gotyckiego druku polskiego o lat 33 w tył się cofa. Jestto dziełko księdza *Pawła Łuszczewskiego*, a raczj mowa pogrzebowa nad młodym *Walknowskim* (str. 322). *Achacy Kmity* miał dać wzór *Krasickiemu* do napisania *Myszejdy*, kiedy sam walkę *pigmejów z żurawiami* ułożył (str. 329). Nie sądzim: jeżeli *Zawicki* nie tłumaczył *Buchanana*, dlaczegoż *Krasicki* miał koniecznie iść za natchnieniem *Kmity*? Przecież miał wzory piękniejsze. Zresztą mniejsza o to!

W artykule o *Joachimie Bielskim*, autor Piśmiennictwa oświadcza się przeciw zdaniu p. *Sobieszczańskiego*, który sądził, że ten *Dalszy ciąg Kroniki polskiej*, który wydał w Warszawie 1851 r., jest pracą wyłącznie *Joachima Bielskiego*. *Joachim* podług p. *Sob.* miał przerobić dzieło ojca (w przerobieniu tém doszło ono do naszej chwili); a dopełniając pracy ojca, sam już wyłącznie miał rozpowiadać dzieje *Zygmunta III*. Otóż p. *Maciejowski* twierdzi, że jak *Joachim* przerobił dzieło ojca, tak i ten *dalszy ciąg kroniki*, wydany w r. 1851, nie dostał się do nas w pierwotnej postaci, w jakiej wyszedł z pod ręki syna, ale



także w przerobieniu trzeciej nieznaniej osoby, która cudze dzieło nicując, chciała własność lepiej sobie przywłaszczyć (str. 336). Domysł sprawiedliwy, tém bardziej, że przerabiał takich dosyć w naszej literaturze; losowi temu jak Bielski, uległ Piasecki i Klimaktery Kochowskiego.

Zawadziliśmy téż po drodze o sławnego botanika *Marcina z Urzędowa*, dlatego tylko, że chcieliśmy spytać p. Wojcickiego, na jakiej zasadzie nazywa tego uczonego poprostu Urzędowem? Jeżeli gdzie litera z (z Urzędowa) była w druku opuszczona, jest to prosta pewnie omyłka: nie ma i nie może mieć żadnego znaczenia. Urzędów jestto małe miasteczko w Lubelskiem. Wiemy o tém, że nieszlachta brała swoje nazwisko od miast i miasteczek, i po tém téż głównie poznać można szlachcica od nieszlachcica, gdy od wiosek dziedzicznych panowie tylko i szlachta się zwali. Tak Jan z Grabowa, Tomasz z Kalinowy, Zygmunt z Koniecpola noszą nazwiska szlacheckie. Niejedna z tych wiosek była potem miasteczkiem, ale zawsze nazwisko szlacheckie od niej dawniejsze jak erekcyja wsi na miasto. Z drugiej strony Jan z Warszawy, Michał z Opoczna, Paweł z Piotrkowa, Mateusz Krakowczyk byli nieszlachtą. Nazwisko: Marcin Urzędów jest niezrozumiałe botanik nasz nazywał się Marcinem z Urzędowa, jak był np. Szymon z Pilzna (Marycki), jak Jan z Głogowy, Mateusz z Miechowa, Marcin z Olkusza i wielu innych (1).

Bardzo ciekawy jest artykuł o *Janie Januszowskim*, najdoskonalszym zbieraczu prawa polskiego (str. 386), który był razem prawodawcą językowym. Jednakże i ten dzielnie mową polską władający pisarz, tłumacząc kardynała Bessaryona rzecz o pochodzeniu Ducha Św., narzeka na ubóstwo polskie, i wiele łacińskich wyrazów niowytlumaczonych, pozostawił w textcie.

Dzieło *Lubienieckiego: Poloneutichia*, podług p. Maciejowskiego dałoby prawo autorowi stanąć w rzędzie pierwszych pisarzy, gdyby je był innemi pracami poparł. Powodów do takiego sądu nie rozumiemy dobrze: ho nam się zdaje, że co prawdziwie dobre, jest dobre i charakteryzuje autora, chociaż jedyne. Lubieniecki jest filozofem dziejów, i dojrzał porządku logicznego w faktach jak Vico; zawsze więc jest mężem znakomitym, postępowym ze względu na czas. Jeżeli dzieło jego ma wartość rzeczywistą, daje mu już tém samém prawo do świetniejszego stanowiska w dziejach literatury. Rozpatrując np.

(1) Na zbicie tego faktu przywiedziono nam nazwisko Oświecimów, czysto szlacheckie, chociaż Oświecim jest szlążkiem miasteczkiem. Przykład niefortunnie wybrany. Naprzód inna jest rzecz np. Stanisław Oświecim, a inna Stanisław z Oświecima; pierwsze będzie nazwisko szlacheckie, drugie mieszczańskie. Potem nie ma najmniejszej potrzeby widzieć związek jaki Oświecimów z Oświecimem szlążkim. Oświecim jest nazwisko takie jak Pieniążek, jak Górka i t. d. i nie pochodzi bynajmniej od wsi. Gdyby Oświecimowie pisać się chcieli ze wsi, nazywałby się Kunowskiemi, bo stawy miłośnią do siostry Anny dworzaniń Władysława IV pisał się Stanisławem z Kunowej Oświecimem. Nazwisko Oświecimów widać z tego jest bardzo starożytne, czysto szlacheckie i dawniejsze pewno od nazwisk, które tworzyły się za czasów Jagiellońskich od wsi dziedzicznych.

Górnickiego, sam uczony autor Piśmiennictwa zauważał, że pisarz ten zostawił jedno tylko arcydzieło, to jest: *Dworzanina*, i że reszta co napisał nie warta jest *Dworzanina*, a przecież Górnicki stanął w szeregu pisarzy wzorowych. Pytanie teraz, czyby stanął także, gdyby zostawił jedno swoje arcydzieło, a innych słabszych prac nie wygotował?

*Jakób Górski* tém odznacza się w literaturze polskiej, że narzeczę płocko-mazowieckie popierał, jako Mazur; ale uległ w walce z Januszowskim, który dał pierwszeństwo mowie krakowskiej. Januszowski mając powierzone sobie sławne dzieło Górskiego, wygładzał je: „że było trochę nie wedle wieku” (str. 404). Zawsze i tak zostały się tu ślady prowincjonalizmów mazowieckich, ważne dla historii piśmiennego języka polskiego.

Artykuł o biskupie *Wereszczyńskim* jest śliczną nowością dla historii literatury. Dzieje Rusi tak mało są nam znajome, że np. ta postać rycerska biskupa zakutego w hełm i pancerz, a bojującego na pograniczu ukraińskim z emą Tatarów, nietylko nas wcale dotąd nie uderzała, ale teraz dopiero nawet na jaśnią wychodzi, i zaczyna zwracać pilną uwagę na siebie. A takich postaci dzisiaj, ukrywających się jeszcze przed okiem historii, wieleżto być mogło w tamtych stronach! *Wereszczyński* jest poetyczniejszą od innych figurą, bo widzimy go z pastorałem w rękę i z infułą na głowie, ścigającego mieczem tłumy najezdźców, i marzącego o nowym urządzeniu Ukrainy, któreby niezawodnie dla Rzplitej dobre owoce przyniosło. Jakoś się dziwnie wszystko na to złożyło, że *Wereszczyński* zainteresować musi w tej chwili ogół czytelników, bo razem w naszym czasie występuje jako literat, nietylko jako biskup i obywatel. *P. Maciejowski* pobierał liczne jego kazania, ocenił je, i podał ich treść w bardzo ciekawym artykule; a jednocześnie ksiądz *Hołowiński* w *Petersburgu* czytawszy się w dawne zabytki języka, które po *Wereszczyńskim* w kazaniach jego pozostały, dostrzegł, że wydanie ich na świat przyniesie wielką korzyść dla bieżącej literatury i dla dziejów w ogóle. *Maciejowski* zebrał o *Wereszczyńskim* wiadomości; *Hołowiński* stworzył nowego literata, który zajmie teraz miejsce nawet w książkach doręcznych, prawiących o literaturze, jak książki *Majorkiewicza*, *Syrokomli*, *Lesława Łukaszewicza* i t. d. Dotąd było o nim głucho. Oczekujemy z niecierpliwością wydania księdza *Hołowińskiego*; rzadka to pewnie zasługa stworzyć człowieka w literaturze, a bez czego wydawcy *petersburskiego*, ksiądz *Wereszczyński* byłby więć painiątką, listkiem zachowanym w botanicznej księdze naturalisty, jak jest Piśmiennictwo.

Rycerską stronę *Wereszczyńskiego* poruszył świeżo zlekka *Rulikowski* w opisie powiatu wasilkowskiego. Niewiele tam o nim, ale z tych słów kilku miarkować można o duchu, jaki ożywił tego rycerza. Mówił nam też znany dziejów ojczystych pilny badacz *p. Seweryn Gołębiowski*, że pomiędzy rękopismami biblioteki *Zamojskich* jest wiele listów *Wereszczyńskiego*, które rzucają światła wiele i na dzieje ówczesnej Ukrainy, i na tę nową postać samego biskupa. Z owych napomnień wyrysował nam się, zbyt jaskrawymi barwami



w wyobraźni ten biskup kijowski na pograniczu ukraińnem z krzyżem i mieczem w ręku. Na tę jego bohaterską stronę i ksiądz Hołowiński i p. Maciejowski nie wskazali, bo mówiąc o jego pismach wyłączenie, nie zważali na inne zasługi Wereszczyńskiego; zresztą dla braku materiałów, mówić o nim obszerniej nie mogli. Miejscowym badaczom, jak Rulikowski, albo będącym u źródła historii, jak Gołębiowski, przyszło to w podziale, żeby i z innej strony ukazać na poetyczną postać kiskupa. Na Gołębiowskim leży teraz święta powinność odszkicowania nam téj wspaniałej postaci i całkowitego obrazu jój działań.

Wereszczyński był Rusinem. Urodził się w Zbarażu, blisko Ukrainy; nie więc dziwnego, że w nim za lat już młodych zagrata silnie dusza kozacza. Ojciec jego był pierwszym w rodzinie katolikiem; matka zaś u Niesieckiego w drugim wydaniu, z domu nazywa się Paroską (tak też jest i u Maciejowskiego); w artykule księdza Hołowińskiego (w Pam. Relig. Moral. 1852 r.) nazwana Jaroską, h. Rawicz, była najpewniej, jak sam herb wskazuje, Jarocką na Jaroczynie Rawiczanką. Sam ksiądz Wereszczyński najprzód był oficyałem władzyki chełmskiego, a potem dopiero przeszedł na obrządek łaciński, który mu dał krzesło w senacie i opactwo sieciechowskie. Opackie dochody szły na wsparcie ubogiego biskupa kijowskiego, bo jego stolica była więcej *in partibus*, jak niegdyś drugie biskupstwo lubuskie ufundowane dla Rusi w Opatowie. P. Maciejowski mówi, że biskupstwo kijowskie prawie nie exystowało aż do czasu Władysława Jagiełły i Zygmunta IIIgo, którzy chcieli je podźwignąć, ale napróżno, bo fundusze oddawna zaginęły, a resztki wystawione na upadek, zwłaszcza gdy ruskie ziemie wiecznie trapił najazd Tatarów, a od niedawna jeszcze wojna kozacza. Ztąd biskup kijowski Wereszczyński sam różne wymyślał i przedstawiał środki ku zasłonięciu ziem ruskich, i osadzeniu pustyni ogołoconej z mieszkańców krainy. Celem jego, jak powiada p. Maciejowski, było utrzymać biskupstwo przy życiu; nam się zdaje, że to punkt widzenia więcej ścieśniony, jak było w istocie. Wereszczyński urodził się na myślącego obywatela macierzystego kraju, z miasta biskupiego Chwastowa zrobił gród Nowy Wereszczyn i założył w nim drukarnię, w której kazał odbijać swoje projekta, żeby je rozrzucić po Polsce, i sejm jednać dla bardzo rozległych widoków. Chciał założyć na Ukrainie szkołę rycerską i zakon krzyżowy, któryby za cel jedynego życia miał walkę wieczną z barbarzyństwem mahometanśkiem. Napisał projekt obrony przeciw Turkom, których chciał wygnać z Europy. Podawał sposoby zaludnienia Ukrainy, np. żeby każdy szlachcic, który nie miał w posiadłości łanu całego, a kmięć, który nie miał pół łanku, aby na Ukrainę, dla jój osadzenia, prawem sejmowem z miejsca swego był ruszony. Wszystkie te plany pokazują w nim człowieka gorącego, marzącego, ale zawsze głęboko myślącego i może wyższego geniuszem nad wiek Zygmunta III. Był fantastykiem trochę, czego w tém dowód, że pisał list do sultana Mahometa, w którym radził mu, żeby przyjął wiarę świętą (u Maciej. str. 406). Że nie miał na celu ani władzy doczesnej, dowodzi tego sama myśl o założeniu zakonu; że nie myślał o zebraniu dochodów, dowód w tém widzimy, że w Chwastowie,

czyli w Nowym Wereszczynie swoim zbudował kościół i uposażył parafią, oprócz drukarni (Rulik. str. 68); a dalej, że na czele najmniejszych wojsk swoich i kozaków nadwornych, ścierał i zamiatał stępy w licznych pogoniach za Tatarami (jak nam rozpowiadał Gołębiowski). Myśl jego o kordonie pogranicznym na Niżu, któryby razem z kozakami z téj strony bronił Rplitéj przeciw wszelkiej napaści, znalazła wiele poklasku. Książd *Piotr Grabowski* proboszcz parnawski, rozwijał ją w osobnej broszurze, której tytuł: Polska bitwa (Maciejow. str. 380). Nie bez tego, żeby o niej nie zagadano kiedy i na sejmach, a jeżeli nie kto inny, to pewno sam biskup tę ważną materią wnosil na obrady narodowe.

Wereszczyński był uczonym człowiekiem i wcale nie uprzedzonym w teologii, chociaż nader gorliwie bronił religii i praw kościoła katolickiego i czynem i piśmem, chociaż sam nawracał żydów, i listy do nich drukował w Krakowie, dowodzące, że już przyszedł Messyasz. Jako dowód jego światła, a więc i umiarkowania, i to przytoczyć wypada, że w kazaniach swoich odwołuje się nawet do zdań Marcina Lutra, ilekroć widzi, że zgodne są z duchem kościoła katolickiego. Więc z którejkolwiek strony spoglądać będziemy na tego znakomitego człowieka, zawsze powinszować należy dwom uczonym, którzy go wskrzesili dla historii polskiej. Wereszczyński żyje, działa, naucza za króla Stefana i Zygmunta III; i jeżeli nie będzie wielkością majestatyczną, świecąca po wsze czasy i epoki, zawsze jest jedną z pierwszych znakomitości chwili swojej, i dzieje już teraz, kiedy zmartwychwstał dla nauki, bez niego pewnie się nie obejdą. Mimowolnie żal się rodzi, że następca jego na biskupstwie, książd Kazimirski, zniszczył wiele Wereszczyńskiego pamiątek; np. że Chwastow zrobił z Nowego Wereszczyna. Wiek XIXty zdaje się zapłacić z lichwą znakomitemu człowiekowi, za dawną społeczeńnych niesprawiedliwość.

Zaczepiliśmy o kazania. Przejście od dobrych do złych kaznodziejów wieku następnego, stanowi książd *Jakób Olszowski*, Jezuita, (str. 716), który już się zdobywał za Zygmunta III i Władysława IV na przesadne obrazy. Mając mowę nad ciałem biskupa wileń. Paca, Olszowski „mauzolea Pacowskie” rozkłada już na piramidy i kolumny. Na pogrzebie biskupa wdaje się w astrologią i chiromancyą; to dzieli kazanie na żaloby, tam znowu Sapieżyńskie cnoty przebiera jak pojedyncze grona. Książd jezuita *Skibicki*, współczesny Olszowskiemu, płata już do kazań Jowisza i opowiada bajki o ludziach i osłach (str. 758). Ma podobne dowcipy i drugi jezuita książd *Tomasz Młodzianowski*, a przeciw arcybiskup Hołowiński znalazł w kazaniach jego wiele ślicznych i narodowych rzeczy (czytaj artykuły o Młodzianowskim w Pam. Rel. Mor. 1852). Znajdzie się pewno wiele także podobnego uczucia jak w tym Olszowskim, tak w innych wieku owego kaznodziejach, aby tylko poszukać. Epoka saska grzeszy dopiéro pogardą wszelkiej przyzwoitości i brakiem metody, ale tylko saska. Młodzianowscy i Olszewscy przy zléj mają zapewne i swoje dobrą stronę. Książd *Jacynt Mijakowski* (str. 747) jest zapewne śmieszny z tym swoim pypciem i kokoszą, ale nie powiedzmy sobie z góry, że tam



wszędzie i wyłącznie śmieszność w kaznodziejach téj epoki, bobyśmy znowu popadli w ostateczność, i tworzyli w literaturze nowe przesady. Pamiętamy obszerny rozdział w Obrazie Jochera, poświęcony spisom dzieł kaznodziejskich. Nie same spisy dzieł, ale noty do nich dołączone stanowią skarbiec, pewnego rodzaju encyklopedyą narodową. Co téż z owych dzieł pogardzonych wybrał Jocher do swego obrazu anegdot, faktów, zdarzeń, uwag moralnych, ile tam nieraz w tych kazaniach błyszczy dowcipu! Wspominamy tutaj dlatego o tém, że prawie z owych wypisów w notach, dobrawszy co oryginalniejsze i śmieszniejsze, jeden z naszych historyków napisał dzieje wymowy kościelnej w Polsce z lat dawniejszych, i hołdując pojęciom ogólnym, spłwał całą epokę. Tak się niegodziło, a raczej tak się godziło przesądom. Dlatego zachęcamy posiadających stare kazania, żeby je czytali, a liści między śmieciem znajdziesz się niejeden dyament, niejeden ustęp piękny treścią i natchnieniem. Ma i p. Maciejowski w swoim Piśmiennictwie kilka takich ustępów, np. ów kawałek z kazania księdza *Wawrzyńca Prusa* (str. 752). Dla poezyi téż szczeropolskiej znajdziemy w kazaniach pewno niemniej obfite źródła, jak np. w pieśniach gminnych.

Z kaznodziejów zauważyliśmy jeszcze księdza Alexandra a Jesu, karmelitę, którego (nazywał się *Jędrzej Kochanowski*, był synem Marcina podstarosty sandomierskiego, umarł 1667; patrz Przyjacieli Ludu 1837, str. 38, czego nie uważał p. Maciejowski) kazania, jak mówi p. Maciejowski, możnaby nazwać pamiętnikiem rodziny Fredrów (str. 865); księdza *Augustyna Witwińskiego*, który jakby wybobraż kolejny przechód od lepszego ku gorszemu, bo jasny i prosty z postępem czasu robi się coraz więcej uczuciowy i ciemny, coraz więcej sady makaronizmami. Lubo miał niepospolite naukowe wykształcenie, lubo czytał autorów łacińskich i greckich, lubo znał dziejopisarzy narodowych, przecież tak rażące prawi błędy, że aż dziwno się robi czasem; np. mówi o wojnie Bolesława Krzywoustego przeciw Krzyżakom (str. 794). *Okolski* także do kaznodziejów należy, lubo zasługi jego równie rozległe są i w innych rodzajach literatury. Był i on tak, jak ongi ojciec Fabian (Birkowski) kapelanem oboźnym, i dopiero po śmierci betniana Koniecpolskiego udał się na spokojność w klasztorne zacisze (str. 808). Świadek zapasów z kozaczyzną, spisywał wojny ruskie. Wszędzie w nim makaronizmów pełno, i polszczyzna niewyborna; za to są szczegóły, których gdzieindziej szukać napróżno. Wreszcie *Drexeltusz*, jezuita, godzien tutaj wspomnienia, jako sławny wieku swego asceta; umiał tak dobrze trafiać do smaku swoim społecznym, że lubo pisał po łacinie, dzieła jego zaraz wychodziły w tłumaczeniu polskiem i rozchwytywane bywały (str. 802). To właśnie było przyczyną, że i autor Piśmiennictwa, lubo łacinnika, zaciągnął go do dziejów literatury polskiej. *Słonecznik* jego tłumaczył na polskie książę Albrycht Stanisław Radziwiłł.

Bardzo także bogate żniwo dla przyszłych dziejów Rplitéj stanowią te artykuły w *Piśmiennictwie* p. Maciejowskiego, które nam mówią o Rusi polskiej i jój stosunkach kościelnych. W ogóle wszędzie tam, w każdym wspomnieniu, które ma Ruś za treść, błyskają nowe fakta i jakoś powoli rozprzestrzenia się przed oczami naszymi

widnokrąg, w którym widzimy lepiej i dzieje kraju, i dzieje literatury, i co może najważniejsze, dzieje samych książek. Wyjaśniają się oblicza, postępują się zamglone rysy epoki, które stają się powoli jaśniejsze i zrozumialsze dla każdego. Teraz potrzeba przejrzeć krytycznie jeszcze to bogactwo dziejów przeszłości, jakie nam w zarysach tylko pokazuje p. Maciejowski. Szanowny autor Pismiennictwa wyliczając tytuły dzieł i wydania, opisując książki pod względem bibliograficznym, zwracał zawsze uwagę na ich treść, i w opowiadaniu łączył z sobą wszystkie fakta odnoszące się do pewnej osoby; ale zawsze nie rozszerzał się tyle, ilebyśmy może żądali, bo wszystko co tylko się powie o tak ważnych sprawach, jak dzieje narodu albo literatury, nigdy nie jest zanadto, chociażby ogromem uderzało. Szkice jednak *Pismiennictwa* niezmiernie wiele uczą. Za nicią, którą nam p. Maciejowski wskazuje, łatwiej teraz będzie rozpowiedzieć przyszłym badaczom umyślnie np. te dzieje kościelne Rusi, tę historią sporów scholastycznych, rozwinąć tę polemikę wyznań, o jakich dzisiaj prawie nie mamy wyobrażeń! Trzeba teraz będzie lepiej poznać te dzieła, na których treść tylko wskazuje nam p. Maciejowski.

Kto np. przeczytałwszy artykuł o *Melecym Smotrzyckim* (str. 455), nie ma jak na dłoni odmalowanej postaci człowieka, który w swoim czasie był człowiekiem wielkiego wpływu? Kogo po przeczytaniu tego artykułu nie uderzy myśl, że pragmatyczny wewnętrzny historyi Rusi jeszcze nie znamy? Im więcej się spotyka tych artykułów i im więcej czytelnik wgląda się w ten labirynt chęci, spraw, namiętności i rozumowań, tém więcej żałuje, że tutaj brak czegoś widoczny. Dla Kolumba polskiego w dziejach Rusi Czerwonej, Czarnej, Białej i ukraińskiej leży niezawodnie świat nowy.

*Adam Pocięf* pisał także i spierał się z drugimi (str. 420); w Dodatkach znajduję kilka jego bardzo ciekawych listów, w których tłumaczy się ze swojego postępowania i bije na Bałabana lwowskiego. *Kassyan Sakowicz* (str. 669), ten sam, co pierwszą wydał retorykę po polsku, broni kalendarza gregoryańskiego, pisze dyalogi polemiczne, o których żaden jeszcze nie wspominał bibliograf. *Welamin Rudzki* (nie Rutzki, jak go źle piszą, było bowiem koroniarz, czysty Polak, nie Rusin, Wężyk Rudzki). „Sowitą unią” walczył przeciw Smotrzyckiemu; nadto z rękopismu Bazyljanów lwowskich, p. Maciejowski przytacza ciekawe szczegóły do życiorysu tego kaptana, który był pierwiastkowo kalwinem, a potem katolikiem rzymskim (str. 684). *Zacny Sylwester Kossow* przedstawia się z bardzo szlachetnej strony: on chciał oświaty dla Rusi i całe życie o nią bojował: bo czuł, że z oświaty cały kierunek, jaki przybierało życie narodowości jego, zwróci się ku spokojnemu rozwikłaniu rzeczy (str. 776). A spótczesny Sylwestrowi *Jan Kreczmer* przedstawiał opłakany stan zakonników ruskich pod względem oświaty; mógł o tém dobrze sądzić, bo sam był superyorem Bazyljanów w Połocku (str. 860). Księżda *Suszy* dzieło „Phoenix tertiatu redivivus”, zna p. Maciejowski tylko z tytułu i ze wskazania Wagilewicza. Musi to być bardzo rzadka książka, bo z tytułu przytoczonego w *Pismiennictwie*, zdaje się, że ten Phoenix jest



historią obrazu N. Panny cudownej w Chełmie; kiedy Szabelski powiada, że to historia obrazu częstochowskiego, zdaje się mniej sprawnie. Szabelski zna tego dzieła wydanie zamojskie z r. 1684, dedykowane Janowi III (str. 856).

Z Pismiennictwa p. Maciejowskiego dowiemy się także literatura polska o wielu drnkowanych autorach raz pierwszy, dlatego, że są u nas nieznanymi, bo ich gdzieindziej wydano, a że wydano, nikt z nas dotąd nie wiedział. Ten los częstokroć spotyka dzieła drukowane w Rosyji, w których masa wiadomości i faktów do historii naszej się znajduje. Rzecz każda z Paryża i z Londynu ma rozgłos na wzięcie jakieś, tymczasem o tém co w Rosyji się dzieje, częstokroć nawet głucha do nas nie zalata wiadomość, z powodu braku czytających po rosyjsku, albo rzadkości książek. Tak np. zasłużony wiele dla historii Litwy, którą szczególnie pokochał i miłość swoją dla niej wyznaje, uczony książę Oboleński, wydał z rękopismów biblioteki cesarskiej opis *Samuela Bielskiego* wyprawy do Moskwy za Samozwańca (str. 543). Autor sam w tej wyprawie brał udział. Mamy teraz trzecie imię Bielskich dodane do dwóch dawniejszych, Joachima i Marcina. Jest i druga przyczyna dla której nie znamy wszystkich naszych pisarzy: rzadkość samych wydań, które z trudnością odszukiwać przychodzi, a które owszem, powiedzmy prosto, jako wyspy na morzu przypadkiem odkrywać musimy. Np. któżby się spodziewał, by dzielny hetman, dysydent, którego za wiarę prześladował Zygmunt III, *Krzysztof Radziwiłł* był autorem? A jednak p. Maciejowski znalazł w Kurniku jego mowę na pogrzebie Krzysztofa Sapiehy, mowę zawierającą wiele piękności krasomówczych (str. 745). Jest inny autor *Mikołaj Lubomirski* w Pismiennictwie (str. 565), którego pierwszy raz w spisach literatów polskich znachodzimy, i chociaż to poeta, nie ma go przecież Juszyński. Szanowny autor Pismiennictwa jednak nie powiedział, dlaczego „Łzy powinne na pogrzebie Joachima hrabia z Wiśnicza Lubomirskiego”, mają być dziełem tego Mikołaja? Na tytule tego nie ma: na czémże osnowany domysł? Rzecz ta więc w każdym razie wyjaśnienia potrzebuje.

Nie należy do tych nieznanych autorów, bardzo zacny i bardzo poczciwy kanclerz książę *Albrycht Stan. Radziwiłł*, który najlepsze na świecie miał chęci i osobieście sam był wcieloną cnotą, ale fanatyzmem dyszał zdaleka, co jedno pamięć jego troszkę mroczy. Pamięć tego pana wznowił Raczyński, kiedy wydrukował dwa spore tomy jego pamiętników; z tych pamiętników zna go literatura, ale poznałem go w dziele p. Maciejowskiego pierwszy raz jako pisarza ascetycznego! Rzadką pobożnością odznaczał się książę kanclerz; nikt może w Polsce tyle biczowań sobie nie zadał co on, nikt tak upokarzać się nie umiał przed sługą własnym: to też bardzo do twarzy tej postaci pobożne dzieła, które p. Maciejowski wykrył (str. 772). Ma Radziwiłł nawet i w ascetycznych dziełach swoich pewne historyczne fakta, np. anegdoty o Bartłomieju bernardynie w Rzymie, które p. Maciejowski przytacza, bardzo Radziwiłła charakteryzują.

Nieraz w tym tłumie pisarzy znajdziemy i ludzi podnioslejszego sposobu myślenia, przewidujących głębiej, szukających lekarstwa na rany zbolate Rzplitej. Są to także postaci mniej w dziejach, mało w samej literaturze znajome. Tak np. *Jędrzej Liszewski* utrzymywał w r. 1613, że bezrząd w Polsce i zepsucie obyczajów płyną z różności wiary; wnosił więc, że przywództwo kraju cały na łono rzymsko-katolickiego kościoła, tém samém się naprawi Rzplite (str. 586). Inny jakiś *Polczowski*, który w „Kołendzie moskiewskiej” opisywał wojnę Samozwańców, rozodzi się wiele nad opisem krajów wschodnich i północnych, które przebiegał i opisuje ich bogactwa; wreszcie podaje sposoby zaprowadzenia na tój przestrzeni zachodnio-europejskich urzędzeń. Miasta większe, jak: Nowogród, Psków, Kazań, Jarosław, ogłasza miastami na udzielnych prawach na wzór Gdańska i Torunia, zaprowadza osady, rozdziela szerokie ziemie na pewne dobra i dzierżawy, i prawem lennem je oddaje nowym właścicielom na przywilejach szlacheckich w Polsce (str. 556). Zacny *Starowski* myśli o wyrzuceniu Tatarów z Tauryki i osadzeniu tego kraju przez wychodźców polskich (str. 643). Inny *Mikołaj Chabiński*, który nie z jednego pieca chleb jadł, który był w Niderlandach i Węgrzech, a skończył na tureckiej niewoli, powróciwszy do kraju podawał sposoby urządzenia artylerji po województwach dla pospolitego ruszenia: szkoda, że nie ma daty pierwszego wydania jego pisemka, jest tylko data drugiego (str. 871).

*Piotr Ciekliński* przerobił na język polski jedną z komedj Plautusa (Trinimus). Dzieło to wynosił pod niebiosa; niewiele w tém sprawiedliwości, bo ani to tłumaczenie, ani naśladowanie, i autorowi może z tego najwięcej względu pochwała się należy, że pierwszy u nas puścił się na pole komiki rzymskiej, dotąd odłogiem leżące (str. 415).

*Jan Bojanowski* pisał sonety, i gdyby nie zwiódł go z prostej drogi panujący podówczas smak skażony, byłbyto może drugi Sęp Szarzyński (str. 679).

*Ksiądz Tomasz Węgierski*, dyssydent, był dobrym wieku swego kaznodzieją i myślącym pisarzem; objaśnienie jego pacierza, p. Maciejowski nazywa piękną pracą naukową, która wiek cały ozdobiła (str. 705).

Pierwszém dziełem wydaném w polskiej mowie przez zgromadzenie Jezusowe są kaznodziejskie prace *Wujka*. Dedykował je autor Henrykowi Walezemu na kilka tygodni przed ucieczką króla. Wielkie miał imię Wujek w zakonie, ale nie odpowiadały mu zastugi. W innych dziełach *Wujka* mamy różne wzmianki o tworzeniu się w Polsce cenzury duchownej; pierwszy Kościelecki biskup poznański, zabraniał w swojej dyecezyi drukować książki przeciwne kościołowi katolickiemu, i przeciw drukarzom pisał projekta (str. 435). W ogóle uczynnym był mężem *Wujek*, jak uważa p. Maciejowski, ale dla literatury nie dużo zrobił. Pomysły jego nie są oryginalne; wystowienie zaś, lubo pełne wzniosłości, poezyi i siły, przecieź dobór wyrazów często niefortunny. Postylla jego wszystkim katolikom wytrąciła z ręku heretyckie postylle dla piękności mowy. P. Maciejowski fakt ten przypisuje ra-



częj duchowi czasu a nie zacności dzieła, które pod względem sztuki jest daleko niższe od dzieł protestanckich. Wujek więcj umiał języków starożytnych jak Skarga; zresztą podobny do niego nauką, w wymowie mu nie sprostał. Silił się na piękne frazy, na obrazowanie, ale tam był najprzyjemniejszy, gdzie się najmniej przymuszał.

*Jan Żabczyc* dużo pisał wierszem i prozą (str. 485). Był to zły, a jednak bardzo popularny i czytany w swoim czasie pisarz. Najwięcej zasługują na uwagę jego symfonie anielskie, które i dzisiaj lud powtarza; np: „Przybieżeli do Betleem pasterze” i t. d. Kilka innych jego zdań weszło do słownika narodowych przypowieści. Kradli go wierszokleci, na co się sam Żabczyc uskarżał; ale wet za wet, boć i on nie robił sobie dużo kłopotu z cudzą własnością.

Szereg kleconych umyślnie śpiewów historycznych po polsku zaczyna się z *Janem Głuchowskim*, który był proboszczem plockim, a napisał „Ikonos książąt i królów polskich” w r. 1605. Przed nim po łacinie brał się do takiój historycznej poezyi znakomity poeta *Klemens Janicki*, którego wielu naśladowało aż do Ursyna (str. 494). Głuchowski zaczął od Lecha, a skończył na Stefanie Batorym.

Pierwszy co pisał po polsku o Ormianach był Jezuita *Mateusz Bembus* (str. 650). Pierwszy w literaturze europejskiej opis Tatary Przekopskiej; na który dzisiaj się jeszcze powołują podróżni, dał *Marcin Broniowski*, który pod Batorym poselstwa do Krymu odbywał (str. 657). Opis jego przedrukował Wojcicki w Bibliotece Starożytnej pisarzy polskich. *Książdz Sakowicz* pierwszy ułożył retorykę ojczysta (str. 671). *Wojciech Gostkowski* zagał w literaturze polskiej o mennicy (str. 690). *Maciej Głoskowski* dał początek rozlicznym pieśniom nabożnym, które dotąd powtarzają pobożne usta naszego ludu i z których powstały potem sławne *Gorzkie żale*; on też probował poematu o Gryzeldzie z Dekameronu Bocacyuszowego, którą dziś piękny talent unieśmiertelnił (str. 782).

*Marcin Błażewski*, pisarz bajek, z tego względu zasługuje bliżej na uwagę, że Krasickiemu i Trembeckiemu nieraz do bajek nastreczył treści: np. znajoma powszechnie ostatniego bajeczka „Myszka, kot i kogut” jest w istocie zupełną, chociaż doskonalszą kopią-oryginału Błażewskiego (str. 518).

Zwróciliśmy także uwagę na „Sermon pogrzebowy”, który miał ks. *Daniel Mikołajewski* nad ciałem kasztelana Mikołaja Łatałskiego w kościele dębnickim (str. 524). Szczególnie przyznanie się, rzadkie w literaturze zrobił tu autor, że wdowa zmarłego, Katarzyna z Przyjmy, długo nie chciała drukować jego sermonu jako niedoskonałego, aż wreszcie gdy lepszej mowy nie było, a honor domu, widać, pragnął literackiego uczenia ś. p. kasztelana, sermon świat ujrzał, niewiele piśmiennictwo bogacąc.

*Książdz Seb. Nuceryn* tłumaczył tylko dziełka o św. Teressie, tojest, jakoby do budowania zakonu w Polsce Karmelitów wapno do pobielania gotował. Wymownie też zachęcać umiał do czytania dzieł swoich: „na brzegu wód, prawil, małe pływają rybki, większe

w głębi; tak smaczne księgi pierwsze, smaczniejsze wtóre, a jeszcze smaczniejsze trzecie i t. d. (str. 527).

*Marcin Paszkowski* (str. 528) jest ważnym pod względem treści kronikarzem; wytykał on mocno wady polityczne ziomków, i przepowiadał im przyszłość zagrażającą od Turek. Rymował ciągle bez talentu. Zna go każdy z tłumaczenia Sarmacyi Gwagnina na polskie.

*Wawrzyniec Chlebowski* okradał wszystkich po kolei. W śmiećnisko swoich prac narzucał dużo drobnych dyamencików. *P. Maciejowski* przytacza np. niezłe wcale porównanie dawniej i nowój wojskowości Polaków z Krzysztofa Warszewickiego (str. 537).

W artykule o *Rysińskich* autor nasz poprawia kilka opuszczeń i błędnych podań *Wojcickiego*. Z *Juszyńskim* przeciw niemu utrzymuje: że „*Satyr na twarz Rzplitej*” jest dziełem *Jędrzeja*, nie *Salomona* (str. 600).

*Samuel ze Skrzypny Twardowski* (str. 639) rozpocznie nowy szereg pisarzy głównych w dalszych tomach Piśmiennictwa p. *Maciejowskiego*. Stanowi więc on ogniwo, obadwa działy wiążące. Małej wartości są jego prace poetyczne, wydane przed r. 1650. Wylicza je tu wszystkie autor dlatego, żeby w dalszém opowiadaniu zająć się mógł wyłącznie głównemi dziełami tego wieszczka.

Zapędziliśmy się tak bardzo w ten labirynt książek i broszur przeczytanych przez p. *Maciejowskiego*, że mimowoli o stu, a może i więcej osobach mówić nam przyszło. Przestańmy na tém, bo i tak już im bliżej końca, tém częściej autor powtarza „to licha, a to nędzna znowu ramota”. Wspomnim tylko jeszcze o *Michale Pontanie*, którego dziełko z r. 1643 z tego względu na uwagę zasługuje, że polszczyzna *Pontana* jest kaszubską i godną zastanowienia się i pracy filologa słowiańskiego; dlatego też postarał się i *Mrongowiusz* o przedruk tej broszury, którą zbogacił licznemi a ważnemi przypisami grammatycznymi (str. 840).

Ostatni oddział pisarzy, których imiona i dzieła nie dadzą się oznaczyć latami, jest bardzo szczupły. Obejmuje ledwie 13 nazwisk. Atoli rok kilku z tych dzieł dałby się może bliżej cokolwiek, choć w przybliżony sposób oznaczyć, kiedy się np. zważy, że *Jan Kruszyński* ma liche kazanie na pogrzebie *Szczęsnego Słupeckiego*, kasztelana lubelskiego i t. d. Tutaj następuje koniec tomu 3go, a jak nateraz ostatniego, pisze p. *Maciejowski*.

\* \* \*

Wykład dziejów literatury polskiej przez p. *Maciejowskiego* nie rozwija organizmu literackiego żywota *Rzplitej*. Są to tylko w systemat ulane fakta, z których ktoś sklepi pragmatyczne dzieje literatury. Autorowi głównie chodziło o to, żeby ocenił działalność pojedynczych osób, i dopiął celu jak nie można lepiej. Jeżeli to nie historia literatury pragmatyczna, to niezawodnie pragmatyczna historia wszystkich literatów; każdy pisarz obejrzany jak należy pod względem wszelkim: jest tu życiorys, jest historia jego dzieł i myśli, jest historia jego sporów i t. d. owszem śmiało powiedzieć można, że dzieło p. *Maciejowskie-*



go jestto pierwszy krok śmiało postawiony dla objęcia systematycznego całości.

Ale wracając do trzeciego tomu Pismiennictwa, o którym teraz piszemy, a w którym są dzieje pisarzy i dzieł trzeciego rzędu, znajdujemy tu często powtarzane jedne i te same fakta, co z konieczności i przyjętego sposobu opowiadania wypadło. Pod Niemojowskim jest np. że kłócił się z Wujkiem; pod Wujkiem, że kłócił się z Niemojowskim. Polemiki najczęściej żałujem, że dla niej obszerniejszego miejsca w Pismiennictwie nie było. W drugich tomie autor kreśląc dzieje pojedynczych gałęzi literatury, wskazywał w ogólnych słowach na rozwój i na ludzi, którzy ten rozwój reprezentowali, nie rozszerszając się zbyt nad szczegółami; tak więc i na fakta polemiki wskazywał, nie rozwijając obrazu. W tomie trzecim rozsypał iskier tysiące, nie zebrawszy ich w jedną słoneczną całość. Bogaty to jednak materiał, za pośrednictwem którego będzie można dokładnie kiedyś rozpoznać dzieje polemiki polskiej, religijnej, literackiej i politycznej. Jakie to ciekawe rzeczy w pismach Łukaszewicza, a nawet w żywocie Wolana przez Balińskiego? Ścierają się z sobą zdania, zasady, wyobrażenia i pojęcia; to tych sporów i kontrast, stanowi życie narodo-we, a więc historyę. Dotąd pisarze nasi najczęściej w badaniach swoich dotykali strony religijnej. Ależ równie będą ciekawe nasze spory polityczne; każdy wiek, każde pokolenie u nas marzyło o reformach politycznych; zasady się rozwijały, często nie przychodziły do skutku, i razem prawie z nastaniem Rplitej pojawiają się i starania i zabiegi o naprawę Rplitej. Wielkich polityków naszych znamy jednak tylko z imienia: w *Pismiennictwie* troszkę jaśniej wydatnieją Zamojski, Górnicki, Lew Sapieha i t. d.; ale i to wszystko jeszcze pierwszy zarys, pierwszy rzut oka w politykę narodową. Trzeba rozebrać sprawy, ocenić dzieła tych pisarzy, a będzie światło. Toż mówić o każdej innej polemice, która umiarkowaniem się nie odznaczała. Od ostatnich słów lżyli się ksiądz Jurgiewicz z Wolanem po lacinie, tak jak po polsku np. Orzechowski wymyślał najokropniej na księdza Powodowskiego (*Pism.* str. 282). Dzieło p. Maciejowskiego, powtarzamy, przyczyni się bardzo do rozpisania się w tym względzie; w tym katalogu znajdzie się każdy ślad, każde słowo w druku prowadzonej polemiki. Zebrać te wszystkie fakta i ocenić, rozpoznać je w chronologicznym porządku, byłoby to napisać dzieje cywilizacji polskiej, coś w rodzaju listów Commendoniego, które przenaјdoskonaleј przedstawiają epokę z jej wadami i cnotami.

Julian Bartoszewicz.

*Ob odnoszenii jazyka slawjanskago k' jazykam rodstwennym,*  
t. j. O stosunku (podobieństwie) języka słowiańskiego do języ-  
ków pokrewnych. Rozprawa A. Hilferdinga. Moskwa 1853.  
Ska str. 126.

W tém dziele, krótszém niż pierwsze lecz daleko większego zakresu, mówi p. Hilferding o najnowszych badaniach dotyczących się pochodzenia języków europejskich. Spokrewnionemi językami ze słowiańskim są: 1. Zendski czyli najdawniejszy Perski (język Zoroastra w jego Zendawesta). 2. Grecki. 3. Tracki, od którego, podług autora pochodzi albański. 4. Języki starożytnych Włoch czyli Italii. 5. Niemiecki ze swemi dyalektami. 6. Celtycki ze swemi odmianami. Autor skreśla charakter tych języków, porównywa je ze słowiańskimi narzeczaniami i między sobą. Lecz porównanie nie kończy się jak w pierwszym dziele, na samych pierwotnych wyrazach słowiańskiego i sanskryckiego języka. Autor przechodzi także odmianę imion i słów, wciągając w to i naukę języka litewskiego. Powodem do napisania tego dzieła była dla autora ta okoliczność, że uczeni filologowie zagraniczni, przy porównaniu języków europejskich ze sanskrytem, najmnień zajmowali się słowiańszczyzną, chociaż największe zachodzi podobieństwo jej do sanskrytu. Autor uczynił dalszy krok w filologii europejskiej. Wszystkie językowe spostrzeżenia i prawa autora są gruntowne, trafne, i jasno wysłowione. A jeżeli twierdzenia i wywody z filologii historyczne, nie trafią może do przekonania wszystkich uczonych badaczy, to nie jest wina autora, ale nowych badaczy historycznych, za które ni poszedł p. Hilferding. I tak np. uczone Szafarzyk nie uważa Traków za Słowian, gdy tymczasem ks. Appendini w przedmowie do słownika Szellego (w 1éj części Włosko-iliirskiej, Ragusa 1810, 4to) umieścił rozprawę obejmującą str. 40, o podobieństwie języka dawnych ludów Azji mniejszej z językiem trackim i ilirskim czyli słowiańskim; 2re Uczenie ks. Katanczyca, w dziele swoim *De Istro ejusque accolis* (Buda 1798. 4to) gruntownie dowodzi, że Trakowie starożytni byli Słowianie. Nie poszedł za ich zdaniem p. Szafarzyk (*Słowiańskie starożytności* 1837. 8ka). Ale najnowsze dzieło naszego uczonego historyka i badacza, p. t. *Narody na ziemiach słowiańskich*, Poznań 1853, nowe wykazuje dowody na poparcie zdań Katanczyca i Appendiniego. o których przecież zdaje się wcale nie wiedzieć. Czemże więc są Albańcy? czyli starożytni Epiroci? Pierwotkowo na ziemi słańskiejszej mieszkali Ilirowie, t. j. Słowianie, (ob. Lelewela *Narody*, dopiéro przytoczone). Wellejus Paterkulus, (które-go piękny przekład polski wydał Winc. Smaczniński, Warsz. 1834. 8) pisze w ks. I. § 1. że po zburzeniu Troi, Pyrrus syn Achilla zajął Epir. A więc na Słowian przybyli Grecy, a w następnych czasach osiadali tu mieszkańcy starożytnéj Italii, Gallowie, Rzymianie, Włochy i Tuny. Nie bez tego żeby krainy téj i Fenicyanie w dawnych czasach nie odwiedzali i nie zakładali tu swych osad. Pomimo tego na-



zwy miejscowe w Albanii po większej części są słowiańskie, i w języku albańskim znajduję wiele wyrazów słowiańskich. Dosyć jest przeczytać albański pacierz, jaki się znajduje w katechizmie Bellarmina p. t. *Dottrina Christiana trad. in lingua albanese*, Roma 1636 12mo p. 36, 51, 54. Przyznaje to w części i p. Hilferding, p. 24, mówiąc: „albański język najwięcej spokrewniony z łacińskim. Jest w nim także wiele greckich i słowiańskich wyrazów. ale wyraźnie są to słowa później przybraone; łacińskie zdają się być pierwotnemi.” Druga okoliczność historyczna godna dalszych badań, jest następna. P. Hilferding twierdzi, str. 56, że Grecy Trakowie (t. j. podług niego Albańcy) Włosi, Niemcy, Celtowie (t. j. Irlandcy, Szkoty, Bretońcy) wyszli z Indyj pierwiej od Słowian, a to jeszcze wtenczas, kiedy spółgłoski *m, n*, nie przeszły w nosowe brzmienie, samogłoski przy *r* nie wypuszczały się i t. d.” Nie wiem czy się to zdanie utrzyma. Bo być może że wymienione dopiero narody, później z Indyi od Słowian wyszedłszy, brzmienie nosowe utraciły, jak je utracili Bułgarowie, chociaż dowiedzioném jest, że je Słowianie dawni wymawiali, dziś nawet i Polacy w wielu wyrazach zaniedbują nosowość (szłem przez ulice Długie).

Także gardłowe *k, g*. przemieniają się w słowiańskich dyalektach na *cz, sz, c, dz*, np. ręka, ręce, noga, nodze. A wszakże teraz Rosyianie mówią i piszą *ruka, rukje*, a Polacy zamiast dawnego *dwie nodze* mówią *dwie nogi*; otóż i tu widzimy odwrotny stosunek, i to co autor uważa za starsze, okazuje się być nowszém. Badania historyczne najnowsze w ogóle okazują, że Słowianie pierwiej przybyli z Indyi do Europy niż Grecy i Rzymianie. Wiemy, kiedy powstał język grecki w Europie. Powstał (utworzył się) po przybyciu do Grecyi Cerkropsa z Egiptu (1582 przed Chr.), Kadmusa z Fenicyi (1549), Deukaliona z Tessalii (1532), Danausa z Libii (1511), Pelopsa z Azji mniejszej (1362).

Słowianie zaś pod imieniem Pelasgów, Traków i Illirów, mieszkali od wieków w Europie w czasach przedhistorycznych. Osadnicy wyżej rzeczeni, już ich na swém miejscu zastali. A Niemcy miełby podług autora pierwiej przybyć do Europy niż Słowianie? Niemcy powstałi w późniejszych dopiero czasach, już w Europie z uskoków słowiańskich, celtyckich czyli galskich, pomieszanych z ludami fińskimi, do czego przymięszali się później osadnicy wątpliwego pochodzenia (Cymbrowie, Sarmaci z Kaukazu?) a więc z Indyi jako Niemcy nie wychodzili. Zebrałi się na południowych brzegach Skandynawii i w Danii, nie inaczej jak Kozacy na Dnieprze, i opanowali lewy brzeg Renu przy jego ujściu, gdzie za Rzymian znajdujemy *Germaniam primam et secundam*, a szerząc swoje zabory poza Ren, wojowali na Słowian nie inaczej jak Hiszpanie na Indyan w Ameryce, i nazwali Słowiańszczyznę między Renem i Wisłą *Germaniam magnam*, tak jak Grecy nazwali Italią południową *Graecia magna*. Podobnie i Litwini są utworem już europejskim na pograniczu plemion słowiańskiego fińskiego i zlewu germańskiego. Na str. 62, nie wie p. Hilferding zkądby wywieść wyraz litewski *kainas* góra. *Kainas* zdaje mi się być wyrazem słowiańskim *chołm*, góra; *ch* zamieniło

się na *k*, o na *a*; zakończ nie *os* przypisać należy osadnikom z Grecyi lub Rzymu.

Na tych uwagach tą razą w ogóle przestajemy. Oby miłośnicy nauk filologicznych i historycznych Słowiańszczyzny wstępowali w ślady p. Hilferdinga, i tak gorliwie począwszy od młodocianego wieku pracowali; ujrzelibyśmy w krótkim czasie rzucone na dzieje i język słowiański światło, na jakie się wieki zdobyć nie mogły.

Pisałem w Warszawie 4 marca 1854.

Andrz. Kucharski.

*Theoria mundi. seu investigatio naturae rerum quam ex novis observationibus explicitis de situ solis et motu terrae vel de naturali systemate solis currentis depromsit luminique publico tradit A. L. Varsaviae, 1853, in 8vo. pag. praefat. IV, libelli 138 et in fine tab. opisthographae 2 tabellaque typis impressa.*

Autorowie oddający pod sąd publiczności utwory swojego gustu, swoje opinie polityczne, filozoficzno-religijne, socyalne, i. t. p. na ogłoszeniach, gdy te mają za podstawę własne ich *widzi mi się* a za cel *co też rzekną inni*, zwykle ukrywają swoje nazwisko, i pojmujemy tego przyczynę, a chwalimy zwyczaj. Ale nie było nigdy przykładu ażeby skromny i nikomu nie szkodzący badacz praw przyrodzenia, który to ogłasza co widzi, zatem co mogą widzieć i wszyscy jeśli mają dobre oczy, czuł się w potrzebie utajania nazwiska: byłoby to bowiem odkryć, i na nowo ukryć. Nawet w r. 1543, na owém sławnem *De revolutionibus* Kopernika, położono wyraźnie imię i nazwisko autora: jakoż i nasz A. L. (widać gdy już swoje utwory ujrzał utrwalone drukiem i przekonał się że były doskonałe), nie wahał się wreszcie pod przedinową położyć i całe *Antonius Lukasczek*, z niemiecka, a uprzedzić *intra parenthesin*, że język, którym się wyrażali jego poprzednicy, Kopernik, Tycho Brahe i inni podobni, ma tylko tyle prawa do jego nazwiska: „Lucascius“.

Lecz dlaczego Łukaszek, zatem wyraźniejszy niż Witelion Polak, pisząc w XIX wieku, obrał sobie język, którym pisano w XV i XVI? Może się lękał, ażeby dzieło jego oddawane ziomkom, nie zginęło dla świata? Ale nam zdaje się, iż to inna tego przyczyna. Jest pomiędzy słabościami człowieka i ta, że kiedy nie może zbliżyć się do świątyni sławy rzeczą, to pragnąłby stanąć tam formą. W istocie, naczytawszy się Ptolemeuszów, Newtonów, Kartezjuszów i t. p., i pomyśliwszy: *oni byli ludzie i ja człowiek*, każdy z nas, czy przynajmniej na chwilę, nie zamarzył stać się jednym z Łukaszczyków?

My oceniamy tu Łukaszczyka śmielszego od innych, który nie tylko wielkie folia i quarty w pergamin oprawione nieznudzenie czytał,



ale nawet przez całe dni, a może i noce lukubrował; potem, szlachetną wiedziony ambicyą, nie chciał całe życie gnusnieć pod niskim tytułem ucznia, lecz kiedyś przecie wyjść i na mistrza, i wyszedł wreszcie na autora dzieła *Theoria mundi*. Nie jest to wprawdzie *volumen* nawet *in 4to charta membranacea vestitum* i z zapachem pleśni, lecz tylko to co w XIX wieku nazywają *broszurą* z zapachem chloru; ależ w wieku XIX ile to razy ważne w przyrodzeniu odkrycia na dwóch ledwie kartkach ogłoszono, a już imię swoje w poetet sławnych zapisało?

Łukascyusz tedy nie mógł wiele napisać, bo nic nie badał. On tylko czytał. Jakoż przynajemy mu, że w rozprawie swojej lepszą okazał znajomość autorów dawnych, chociaż tylko pod względem historycznym. Bo co ci autorowie umieli, już na to świat miał od kilku wieków czas do wybadania i powiedzenia, nie żeby aż w wieku naszym pozostało coś do odkrycia w nich, i to takiemu, który (że się wystawimy z jasnością tegoczesną) nie umie tego co oni umieli.

Lecz, żeby okazać ile umieć, dosyć będzie przytoczyć te jego wstępu (p. III) wyrazy: „Nie mogę uwierzyć w ten szybki ruch słońca albo ziemi o którym nauczają zwolennicy Ptolemeusza lub Kopernika; zawsze mi się niepodobała ta myśl ekliptyki, jaką sobie wystawiają w płaszczyźnie elipsy ziemskiej, położonej około słońca” i t. d. W pierwszym twierdzeniu (*Assertio prima*, od str. 1—12) mówiąc o rozmaitych układach świata i o ich niedostateczności, nie odróżnia części teoretycznej od fizycznej, lecz wszędzie miesza jedno pojęcia z drugimi. W całym jego piśmie nie widać wyraźnego podziału materji czyli treści przedmiotu. Na str. 7 w § 11, tak mylnie daje wyobrażenie o biegu ziemi podług nauki Kopernika, iż nie ma wątpliwości, że tej nauki nie pojął i nie rozumie. Na str. 26 w § 25 mówi, że gdyby ziemia około słońca bieg odbywała, wtedy w różnych epokach roku widzielibyśmy słońce w różnym na ekliptyce położeniu“. (Właśnie też to jest, i mówimy że słońce wchodzi w znak Lwa, Panny i t. d. o czem autor zdaje się nie wiedzieć!). Z rozmaitych zarzutów czynionych powszechnie przyjętemu układowi dni, najwyraźniej widać, że nasz autor nie zna pierwszych zasad geografji matematycznej i fizycznej.

Nibyto okazawszy mylność układu Kopernika, Łukascyusz podaje swój własny. W § 29 czytamy zasadę nowego układu świata następującą:

*„Ziemia nie odbywa biegu około słońca, lecz krąży w wielkiej odległości obok albo ku niemu, po drodze podłużnej, czyli elipsie, zwróconej w bok ogniska słonecznego pod naciśnieniem promienia słońca, na 2216 mil geograficznych rozległej, a działa przez odpychanie słońca i swoje przyciąganie do magnetycznej równowagi, czyli określenie“ (1).*

(1) W obawie o zarzut wytłumaczenia ztego, wypisujemy to miejsce z oryginału: „*terram non moveri circa solem; sed moveri in magna distantia penes, vel versus illum, in via oblonga seu elipsi, directa ad latus foci solaris.*

Nietylko że wystowienie tój nowój zasady nie jest jasne i zrozumiałe, ale nawet wszystkie dowody i rozumowania, któremi usiłuje poprzeć swoję nową teorią, są mylne i na żadnym rachunku, na żadnej obserwacyi nie oparte. Jeżeli przyjmiemy z autorem, że granicą rozległości drogi ziemskiej jest odległość pomiędzy dwoma zwrotnikami ziemskimi (na 47 stopni od siebie oddalonemi), to oś elipsy, którą ziemia przebiega, powinna zawierać tylko  $15 \times 47$ , to jest 705, a nie 2216 mil, jak autor na str. 34 podaje.

Nie możemy wdawać się w czczą gadaninę z autorem o sile magnetycznej, elektrycznej i siłach natury, o których tak lubi mówić. Postrzegając na okładce jego książki wyraz *investigatio*, sądziliśmy, że znajdziemy w niej jaki owoc postrzeżeń lub doświadczeń: dróg któremi jednemi tylko naturę śledzić można. Nie masz tu tego wszystkiego; raczej to *refutacya*, którą ogłaszając publiczności, jeśli chciał nazwisko swe ukryć, byłby to najzgodniej z dobrem swoich czytelników uczynił, tając je w peryfrazie: „przez autora nieobeznanego z zasadami matematyki i astronomii“.

Książka więc pod tytułem *Theoria mundi*, nie przynosi żadnego pożytku dla nauki. Dla bibliografów tylko tę możemy zapisać uwagę, że ona jest dla tegoczesnej literatury naszej trzecią z kolei po sławnych Pomysłach Ludfima Wołyńskiego i Fizyce Żochowskiego.

*Wiejskie zarysy, przez Jana Kantego Gregorowicza. 2 tomy. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda 1854. 12ka. Tom I, str. 295, Tom II, str. 234.*

Pamiętamy p. Gregorowicza Obrazki wiejskie, które nam się dobrze wdrożyły w pamięć wydatnością postaci, prawdą i naturalnością swoją. Przyjęte z wielkim współczuciem od czytającej publiczności, imię ich autora postawiły odrazu w rzędzie głośniejszych pracowników naszych.

Tam pojedyncze postaci wyrazistością swoją nderzając i zajmując, pokrywały włość całości artystycznej. Zarysy wiejskie pokazują, że tajemnica sztuki nie jest obcą p. Gregorowiczowi.

Zarysy wiejskie drukowała nasza Biblioteka w swych zeszytach; przyjęciem i ogłoszeniem oceniła już ich wartość. Obecnie wydane oddzielnie, powinny znaleźć miejsce w literackiej kronice.

Obrazki i Zarysy wiejskie są, że się tak wyrażę, składnym a pięknym wleńcem literatury ludowej; literatury, która od ćwierć wieku poczęta zbiorami pieśni sielskich, przysłów, powieści, badaniem zwy-

*sub prementi radio solis, quae ad 2216 miliaria geographica extenditur, et per repulsum solis, et suam in magneticum aequilibrium attractionem, seu determinationem operatur” (pag. 34, 35).*



czajo i obyczajaj ludowego, dziś już przechodzi na pole artyzmu, i z prac zbieraczy zaczynamy zbierać owoce sztuki.

Zjawienie się utworów p. Gregorowicza, jeżeli z jednej strony wywołało współczucie i zajęcie, z drugiej przy zajęciu i opozycyą. Cóż tego mogło być powodem?

Literatura powieściowa tak niedawno okazująca życie, i tak prędko dobiegłszy dojrzałości swojej, porzućwszy cilkwą sentymentalność dawną, i wszelkie kłamliwe przystroje intryg, przypadków nadzwyczajnych, dziwotwornych charakterów i nadprzyrodzonych postaci, zstąpiła dorazu na drogę prawdy. Idąc po niej malowała świat w którym żyje, ludzi i czas, tak wiernie, tak sumiennie, że stała się, rzecz można, zwierciadłem społeczności obecnej, lub niedawnych czasów. W powieściach naszych ujrzeliśmy postaci z koła obywatelskiego z ich cnotami i przywarami, czasem z mgłych salonów pochwycone, a niekiedy z warstwy ludowej.

Wszakże jeżeli pierwsze i drugie postaci ujmowały prawdą ryśów, za to ludowe one miały swobody własnej, i albo lekko, pobieżnie zeszkicowane, albo też zaudto były upoetyzowane.

Niedość-bo mieszkać na wsi, patrzeć z dworu swego na pracujących rolników, lub weselących się na podwórzu dworskim w czasie dożynek i okrężnego, mieć nawet współczucie i być opiekunem gromadki swoich sielan; aby poznać gruntownie ten lud z sercem i myślą, trzeba się z nim zespolić, i umieć wierne pochwycić każde uczucie, które promieni jego myśl i cechuje jego życie.

Utwory p. Gregorowicza poprzedziły już tu i owdzie w powieściach pochwycone postaci ludowe, ale artystycznym piórem wyglądzone i dobrze wycackane. To też jego *Obrazki*, a nawet wyższe nad nie i doskonalsze *Zarysy wiejskie*, wyrazistością typową, dosadnością charakterów, i owym pełnym prawdy dyalogiem, musiały rozmaite wywołać zdania. Jeżeli jednych zajmowały prawdą, rzewnością i uczuciem szczerem, z taką wiernością wydartem z życia ludowego; w drugich obudzały niesmak: znajdowali w nich szorstkość, rozciągniętość dyalogów, i brak, jak wyrażano artyzmu. Pierwsi ulegali urokowi prawdy; drudzy wypleszczeni na gładzyszach powieściowych, nie mogli pojąć, żeby mogły nabyć prawa do powieści postaci z narobioną dłońią, z opalonem licem, a przedstawione w zwyczajnym powszednim życiu. Uważali więc za konieczność, że te zarysy winny być oglądzone piórem artystycznym, i podane do godności literackiej.

Dziwny obłąd! Sami ulegając urokowi prawdy, przyznawali tym utworom rzeczywistą wartość, a zarazem wymagali, aby dzlarski parobczak i wiejska dziewczoja nasza, wlećej upoetyzowanemi byli.

Przecież utwory p. Gregorowicza, wydane p. n. *Obrazków wiejskich*, nie mogły mieć żadnego prawa do nazwy powieści: bytyto wybornie narysowane pojedyncze postaci, które słaba nie trzymała z sobą w związku. Dopiero wydane *Zarysy*, całością obrazu i łącznością działających w nich osób, są rzeczywiście powieścią i powieścią w całym znaczeniu tego wyrazu ludową, i w tej gałęzi literatury najpierwszą i najlepszą, pomimo swoich nsterków i błędów.

Na ile właściwem jedną włoski w Sandomierskiem, daje nam autor trzy wydatne postaci: chłopa arystokratę, chłopa spekulanta, i chłopa poetę.

Nie będziemy powtarzali treści tych zarysów, bo znają ją nasi czytelnicy dobrze.

Każda z tych postaci wierna w swoim charakterze, przeprowadzona przez cały zawód życia, musiała zająć prawdą swoją. Utwór ten pojęty w szczęśliwej chwili natchnienia autora, równie myślą jak i wykonaniem okazał talent jego: mianowicie owe szczęśliwe wpatrzenie się w najdrobniejsze szczegóły życia domowego włościan naszych, i bardzo szczęśliwe stenografowanie mowy ludowej w dyalogach wszystkich.

Tu właśnie, oddając należną pochwałę tym dyalogom, w których autor potrafił pochwycić piśmem żywe słowo ludowe, jest miejsce powiedzieć o języku, jakim pisze swoje *Obrazki* i *Zarysy wiejskie*.

P. *Gregorowicz* jednego języka ludowego używa tak do oddania rozmów, jak i obrazków z natury malowanych. Język ten posługujący wybornie dyalogom, warty jest i zarozłągły do obrazowania. Nie ma on potrzebnej barwy poezji, tej energii artystycznej, co przy prostocie podnosi i potęguje siłą wyrażenia każdy przedmiot pochwycony myślą, oczyma i sercem. A to rzecz łatwa do pojęcia, że język ludowy, wyrobiony z potrzeb codziennego życia, na którym pot pracy i znoju, troska i zablęgliwość zwyczajna ziemska przysklepiły woń i barwę poetyczną, do obrazów już wystarczyć nie może.

Zapomniał autor, że jeżeli wielką jest jego zasługą prawda w charakterach, i, jak rzekliśmy, szczęśliwe stenografowanie dyalogów wiejskich, powinien baczyć, że gdy w obrazku jego lud zamyka usta, autor winien jako artysta wystąpić z całą zdolnością i umiejętnością władania oczystym językiem, właściwym do obranego przedmiotu.

Możeby kto mniemał z tego, cośmy rzekli powyżej, że zaprzeczamy mocy w wyrażeniach i barwy poetyckiej językowi ludowemu. Bynajmniej. I ten język bogaty, zasobny, ma właściwą sobie barwę poetycką, ale w chwilach jedynie nastroju uczuciowego, nie w chwilach powszedniego życia i zajęcia.

Jak każdy człowiek żyjący prawdą a Bogiem, u którego mowa jest wiernym odbiciem myśli i serca, i lud nasz, może w tym względzie typ najwierniejszy, ma do myśli swojej, do uczucia odpowiedłą mowę.

Małomówny w ogóle, bo ciągły trud, ciągła praca nie może gadalności wywołać, dobitera wyrażenia krótkich, węzłowatych a prostych: ale niech tylko silniejszem uczuciem serce jego nderzy, niech zapal wybije rumieńcem na lica, ręce w pracy wspaniałą, i postać się jego wyprostuje:—wówczas słuchaj jak w ustach jego mowa nabiera barwy silnej, zwrotów składnych; a gdy zabrzmi pieśnią, to uczujesz rzewną a prawdziwą poezją.

Ale ta poezja, wybornie mogąca malować jego uczucia, jego zapal, ma swoje granice: wystarcza też we właściwych szrankach. Gdy przyjdzie mu jaki obraz z przyrody malować, krótko go zbywa; nie pieści się nim i cacka, zaledwie jeno wspomni, a zaraz do swych uczuć zwraca. Mamy tego żywe przykłady we wszystkich pieśniach ludowych, a odbija się



to głównie w pieśniach naszych Podhalań. Mogą być cudniejsze widoki i obrazy jak Karpat polskich? Tam dla artysty obraz po obrazie jawi się co chwila. Góral w pieśń wspominał jednym wyrazem: „Góry moje góry,“ albo: *Hole moje hole!* i skończył opis cały, a dał wymownie pojąć każdemu o swej miłości i przywiązaniu do nich.

Owoż z tego widzimy, że są pewne graniczne kopce w zadaniu artysty, co postaci ludowe bierze do obrazu swego i powieści, kiedy stenografowanie mowy jego, choćby jak najwierniejsze, już nie wystarcza; język bowiem jego nie urobiony do tego wcale, i potrzeba już pióra artysty, ażeby to, na co patrzy własnymi oczyma, wlernie i malowniczo oddał.

W tym właśnie widzimy słabą stronę w utworach p. Gregorowicza, któremu jakkolwiek nie brak ani uczucia poety, ani poetyckiego wpatrywania się w cuda przyrody, brak mu jednak języka do oddania ich godnie w całej barwie, w całej świeżości, jak je poczuwa i patrzy na nie.

K. Wł. W.

### *Kilka słów na zaczepkę p. de Lavaux.*

W swoich „Uwagach krytycznych nad życiorysem Szymona de Cortecella“, p. de Lavaux oskarżył mnie o namiętność stroniczą, że niby umyślnie psuł fakta, aby tylko w złém świetle wystawić osobę, która go niegdyś *bliżej* obchodziła. Zarzut dziwny, bom nie znał nigdy w mojem życiu i nie widział Cortecellego, nie mi on złego nie zrobił ani ja jemu, więc z kądże mnie pomawiać o jakąś dla niego niechęć i zemstę? Tak rozumując, każdy historyk wyda się stronnym. Bo pytanie: z kąd w dzisiejszym czasie, kiedy morze wypadków przepłynęło już po nas, kiedy już nawet drugie, trzecie pokolenie po Stanisławowskie zmarło, kiedy ustały dawne swary, nieporozumienia i osobistości: z kąd historyk może mieć spólcucie dla jednego, a niechęć dla drugiego? Jużć jeżeli jest jedno i drugie, musi być temu jakaś przyczyna, ale nigdy osobistość. To raz.

Wystawiłem Cortecellego nie z pochlebnej strony—to prawda; więc były powody. Takim znalazł fakta po książkach, po których szukałem; jakże je było inaczej rozumieć jak są? Pan de Lavaux wie, co o Cortecellum pisał Kitowicz, człowiek spólczesny generałowi, człowiek który studyował epokę, a starał się zachować o niej dla nas każdy rys charakterystyczny. Jużć w malowidle Kitowicza źle wygląda Cortecella, bardzo źle. Fakt, że przeciw generałowi powstawał na sejmie 1784 r. Adam Rzewuski, rozповідаł mi autor Listopada, syn owego Adama; panu de Lavaux podobało się jednak nazwać fakt ten ceregielami. Wreszcie oskarżenie przeciw Cortecellemu na sejmie wielkim podniósł Jan Krasieński jeden z najdzielniejszych owego sejmu posłów, a inni go popierali. Jeżeli teraz spólcześni publicznie skarżyli Cortecellego, jakże teraz potomstwo ma nie wierzyć im, a gene-

rała bronić? Wszyscy ci trzej oskarżyciele są to ludzie bez zarzutu: témci gorzej. Każdy w innéj epoce i z innego powodu narzekał na generała; dla mnie to wszystko jasne. To druga więc z mojej strony odpowiedź na uwagi krytyczne.

Lepiejby zrobił p. de Lavaux, gdyby zamiast wdawać się w polemikę, zbijał zarzuty społecznych robione Cortecellemu i wykazał jego niewinność. Ale to byłoby cokolwiek zatrudno. Anegdutki i liściki, które czytaliśmy w uwagach, nie obalają oskarżeń i pospolicie są bezbarwne; ani jedna prawda więcej z nich nie przybyła do charakterystyki czasu. Jest tylko w nich dowód szlachectwa Cortecellego i łatwa krytyka podania Kitowicza o dziewicy uwiezionéj z kościoła. Rzeczywiście nie miał potrzeby Cortecella przebierać jej za ołtarzem. Ależ te dwa fakta wyjąwszy, w artykule p. de Lavaux jest tylko pogadanka przyzwolta, salonowa o Cortecellim:—nic więcej. Autor spiera się o wyrazy, jak np. że C. nie grał w karty, ale że nie odmawiał gry w lombra; że nie łasił się Karpińskiemu, a jednak człowiek w wieku i poseł, odwiedzał często młodzieńca nie nie znaczącego jeszcze; że Rzpłita nietylko Cortecellego, ale „i samego ukoronowanego za kulisami często stawiała”. Gniewa się autor na wiadomości, które nazywa kurdegardowemi; nie wierzy, że Stan. August nadużył prawa uszlachcania pozwolonego mu od Rzpłitéj. Dobra stołowe podług p. de Lavaux nie wystarczały nawet królowi na kuchnię (a jednak król oprócz ceł i wielu innych dochodów, pobierał całą jedną trzecią dochodów skarbowych, brał pensye, zarabiał na nobilitacyach, i mimo to Rzpłita kilka razy za niego dług płaciła). P. de Lavaux gniewa się, że urzędy dworskie Poniatowskiego nazwał kłamstwem (gdyby szambelanów postawić koło siebie, których król pominował, byłoby wojsko całe; a dodać do tego generałów-adjutantów, konsyliarzów i t. d. Europeyś niemi opasał: ci wszyscy panowie brali tytuły, i starali o przywileje dla popisywania się). Nie uważa tego p. de Lavaux za łaskę królewską, że Cortecella np. mógł sobie kupić jakie starostwo, jakby to mógł kupić bez przywileju? Powtarza kilka razy, że generał pochodził ze Szwajcaryi, nie z Włoch, Wolteryanizm nie uchodził wtedy za niekatolicki i t. d. Prawi, że Stan. August wolałby siedzieć w Wiedniu jako poseł, aniżeli w Warszawie jako król między burzliwą szlachtą. Wszystko to są rzeczy jednak postronne i sławy Cortecellemu nie naprawią.

Nie przeczym, że generał mógł ze szczerego serca i dobrze służyć królowi; ależ szlachta (nie o panach tu mowa, ale o téj klasie narodu, w którą się wcielił jego duch) nie była przyjaciółką króla. Wiedziała dlaczego. Cortecella raził ją cudzoziemskiem swoim nazwiskiem, i chociaż go p. de Lavaux gwałtem robi Polakiem, nie sądzim, by to szlachtę obowiązywało. Zresztą minął już czas bezwawrunkowych panegiryków dla Stan. Augusta. Król miał inną politykę, szlachta inną; ci co ze szlachtą nie byli, byli przeciw niéj, tém bardziej służy królewscy. Być może też, że Cortecella w dobrej wierze narzekał na zasłepienie szlachty; zawsze jednak miłości jéj mieć nie mógł.



W końcu odpowiem, że krytyka nieco spóźniła się: dziś, po trzech latach doświadczenia, byłbym szkic o Cortecellim napisał inaczej, chociaż i tak jakim jest, obwiniono go w Tygodniku Petersburskim o efekt Soplicowski. Przy następnem, da Bóg doczekać wydaniu życiorysu Cortecellego, niejeden ustęp będzie wyglądał inaczej, ale duch artykułu zostanie jaki jest, chociażby miał nas znowu p. de Lavaux posądzić o nienawiść dla cnoty, która go *tylko* obchodzi.

Dnia 21 marca 1854 r.

*Julian Bartoszewicz.*

### *Jeszcze słów kilka z powodu Ułamków Troga.*

Daliśmy już w Bibl. War. przegląd wydanych ułamków Troga; podamy teraz wyjątek z listu Tytusa br. Działyńskiego, pisanego do wydawcy pomienionych ułamków:

„Z wielką przyjemnością odczytałem ułamki Troga. W młodości mojej pochwyciwszy wiadomości o rękopiśmie Cyncerona w Polsce zagrzeźliśmy, a wspomnianym to pod nazwą traktatu *De Republica*, to traktatu *De Gloria*; skwapliwie zbierałem dawniejsze polskie wydania rozmaitych pism Cyncerona, wszędzie szukając śladu zawierzonego dzieła. Ale nie będąc uzbrojonym jak WPD. w potężną erudycją, zaniedbałem dalszych poszukiwań, kiedy nietylko zem nie wyszperał odpowiedniego w 23 wydaniach polskich rozmaitych pism Cyncerona z XVI wieku, ale owszem, kiedy wyczytał w dziełku Herbesta: „Ciceronis vita cum diligenti Chronologiae omulomque Ciceronis actorum et scriptorum observatione. Cracoviae, 1563” w oddziale 78 te słowa o księgach *rzeczypospolitej*: „Wielce podobno nieszczęśliwi jesteśmy, że ledwie sen Scyploua, z księgi szóstej dzieła tego, do naszych czasów przechował się.” Nie byli mi większą pomocą Marycki, Ujazdowski, Romer, Stężycki, Stogiusza: *Fragmenta Ciceronis Martiano Lesentio, patricio polono dicata*, Koszuckiego *żywoł Cyncerona*, Pilchowski, Bieńiasz, Budny, Bursius, Sierpski i t. d. Natomiast *zapewnić mogę, iż fragmenta Troga były u Hallera (w Krakowie) drukowane, że je mam, ale na żaden sposób wynaleźć je nie mogłem*. Skoro rzadkie to dzieło nadybię, pospieszę z przesłaniem onego do Lwowa. Szukając dla porównania owego Troga, natrafiłem w Kurniku na kilka rzadkich pism, należących do wydziału naszych filologów. Grecki Muza z 1525 r. jest w duplikacie; Eutropius tłumaczenia Glicznera, wydany w naszym wielkopolskim Grodzisku, wszystkie polskie tłumaczenia Wargockiego, a najrzadsze z jego tłumaczeń *Peregrynacya arabska*; nie wspomniam Falibogowskiego, Liblickiego, Petrycego jako pospolitszych:—to wszystko mamy w najpiękniejszych egzemplarzach, czasem nawet w duplikatach, ale cóż po témże krytyka jest, zbywa tylko na dostatecznej umiętności czerpania.”

Na ten list wydawca nianków Troga także robi uwagę:

„Nie podpada wątpliwości, że uawet późniejsze druki polskie ulegały niekiedy nader smutnemu losowi, i częściowo lub całkowicie zatracone zostały. Wiemy na przykład, że w r. 1593 wyszła we Lwowie książka z napisem następującym: „Annibal Kartagiński i Scypio Afrykański, to jest opisanie żywota i zacnych spraw Annibala, sławego hetmana Kartagińskiego; także i Scypiona, hetmana rzymskiego, który po porażeniu tegoż Annibala, Afrykańskim jest nazwany, przez Plutarcha (1) greckiego historyka, a na polski język przełożone od Jeremiasza *Wojnowskiego*, podstarościego sądowego trembowelskiego; przytém jest przyrównanie albo przystosowanie żywota postępków jednego do drugiego, z kąd ryccerzki człowiek siła pojąć może. We Lwowie, drukował Maciej Bernath.” Krewny *Wojnowskiego* podstarościego, Jakób Pretlic kasztelan kamieniecki i trembowelski starosta, napisał do tej książki przedmowę d. 7 sierpnia 1593 z zamku trembowelskiego datowaną, poświęcając ją Michałowi Jazłowieckiemu z Buczacza, swemu szwagrowi. To tedy dzieło, które treścią swoją nikogo razić nie mogło, wyniszczone zostało tak, iż tylko jeden jego egzemplarz znany jest dziś, i przechowuje się w toruńskiej bibliotece. Dzieło znowu głośnie w wieku swoim poety Mikołaja Sępa Szarzyńskiego „Rytmu abo wiersze polskie, po jego śmierci zebrane i wydane Roku Pańskiego 1601” przechowało się do naszych czasów także w jednym tylko egzemplarzu, znajdującym się w bibliotece krnickiej. Gdy takiego losu doznawały druki późniejsze, co też to dźać się musiało z pierwotnymi naszymi drukami, temi zwłaszcza, które z jakiegobądź względów wydać się mogły w owym przesadnym wieku niebezpieczne. Z całego nakładu pierwszego w języku polskim dziełka: „*Księgi Salomonowe*” drukowanego u Vietora, ocalały tylko dwie kartki; a to co o Hallerowskich drukach od wiarogodnych świadków słyszymy, jest tak dziwne, iż zdaje się graniczyć z bajecznością. „Widziałem (mówi Szymon Starowolski) na Rusi wiele ksiąg pisma świętego, przez Jana z Głogowy na język słowiański przełożonych, a wydanych w Krakowie nakładem obywatela krakowskiego Jana Hallera, który wszystkie swe siły w to włożył, aby dzieła wyborne w językach różnych. i członkami różnemi, rozsypać pomiędzy kralny północnej mieszkaneów ku ich pożytkowi. Podobnie oglądałem księgi przez doktora Franciszka Skorynę Połoczanina przełożone, a w Pradze wydane.” (Hekatont. wyd. Frankf. str. 59). Skoryny przekłady słowiańskie, o których tu autor napomknął, były u nas długi czas nieznanne; dzięki staranym poszukiwaniom nowszych bibliografów, natrafiono na nie,

(1) W dziełach Plutarcha, jakie do naszych czasów doszły, nie ma ani żywota Scypiona, ani Hannibala. Sam jednak Plutarch powołuje się na żywot Scypiona przez siebie pisany; ale o pisaniem przez niego żywocie Hannibala nie ma nigdzie najmniejszego śladu. Dopiero Donat Acciajoli, Włoch, zmarły r. 1473, ogłosił kilka przekładów z Plutarcha w języku łacińskim, a między temi żywot Scypiona i Hannibala. Grecki text tych żywotów jest dotąd nieznan. Tak ta, jako też i inne okoliczności, dały powód niektórym uczonym, że je raczej za dzieło samego Acciajolego, a nie Plutarcha uważają. I te to żywoty przełożył na język polski Jeremi *Wojnowski*.



I przekonano się o prawdziwości świadectwa Starowolskiego; nie ma więc dostatecznego powodu, dczegobyśmy o reszcie słów jego w tém świadectwie wyrzeczonych powątpiewać mieli. Tymczasem podziśdzien tak z owych Hallerowskich druków słowiańskich, jako i tłumaczeń słowiańskich Jana z Głogowy, ani jednej kartki nie znamy.

„Wydawca lwowski ułamekóv Trogowych ścigając ślady rozmaite, o bytności dzieł tego pisarza mówiące, powtarza kilkakrotnie z dobitnością, iż jest rzeczą niezawodną, że jeśli nie cała jego historia, tedy pojedyncze księgi, lub przynajmniej znaczne jakieś z nich wypisy, oprócz Justyna, znajdowały się w Europie w wiekach średnich, a w Polsce aż do wieku XVII. Ale według niego znajdowały się one w rękopismach. Że je drukował Haller, jestto wiadomość nowa, i nadzwyczaj zadziwiająca. Już z tego, cośmy o losie niektórych druków polskich i o Starowolskiego świadectwie powiedzieli, nie posądzi nas nikt pewnie o uporczywe przy dawniejszych mniemaniach obstawanie. Nietylko przypuszczamy, ale prawie pewni jesteśmy, że się niejedna jeszcze ciekawość tak czynnej niedgdyś Hallerowskiej drukarni wykryje; atoli o wykryciu jakoby drukowanych tamże ułamekóv Troga, wątpliwy, i zdaje nam się, że szanownego i wielce światłego korespondenta, co do tego punktu pamięć zawiodła. Miał on przed sobą inny jakiś *inkunabuł* z *owej* drukarni, co do treści również może szacowny, i warto aby się zajął jego wyszukaniem. Wszakże wynurzając tu naszą wątpliwość, wyznajemy, że szczerze radować się będziem, jeśli się szanownemu korespondentowi powiedzie okazać mylność naszego mniemania; w takim bowiem razie otrzymalibyśmy dowód niezbitny, że przodkowie nasi nietylko tak wybornych jak Trog pisarzy starożytności pilnie czytali, i w pismach swoich użytkować z nich umieli, ale oraz, że o przechowaniu ich w właściwej swój formie dla potomności okazali troskliwość większą, niż którykolwiek z europejskich narodów“.

A. B.

### *Uwagi tyczące się słownictwa chemicznego polskiego.*

Projekt do słownictwa chemicznego polskiego, ułożony przez chemików warszawskich, wyszedł drukiem w osobnej księżeczce 1853.

Projekt ten nzwzględni prace wyszłe w tym przedmiocie najdawniejsze aż do najnowszych, stara się zadosyć uczynić potrzebie nauki i języka polskiego, wzywa nakoniec rodaków do podania swych uwag. Projekt ten odznacza się chęcią zgody i wzajemnego porozumienia się; mam go przeto za pracę naukową i godną odpowiedzi. Milczalem przeciwnie z uwagami memi nad wydaniami, które wyszły drukiem, a nie mają tych powyższych zalet. Jako chemik używający języka polskiego, radbym przyczynić się do powszechnego przyjęcia słownictwa warszawskiego, jako jedyne go, wyłączne go i trwałe go, o ile nie zmieni się nauka. Mam to słownictwo warszawskie za dotychczas najlepsze;

nie sędę jednak, aby wszystkie jego wyrażenia się były wolne od zarzutu i nie dały się zastąpić dogodniejszemi.

Nadziwiał, jakle działały się dotąd w poprawieniu naszego słownictwa nauk przyrodzonych i w używaniu nowych wyrazów, bez względu na przyjęte przez większość naszych piszących uczonych, przyniosły nader złe skutki, i wstrzymały rozszerzanie się umięjętności. Ukończywszy nauki w językach obcych, cleszyłem się na myśl czytania dzieł polskich w przedmiocie nauk przyrodzonych; jakże wielkie było moje odczarowanie, gdym przekonał się, że nieomal do każdego musiałem się uczyć innego słownictwa. Zebrawszy to wyrazy wyszłe z używania a wydobyte z zapomnienia, to wyrazy samowolnie utworzone nowe: możnaby ułożyć z nich osobną historiją słownictwa naszego do nauk przyrodzonych. Polecilem i ja wprowadzić pewne zmiany w naszym słownictwie chemiczném, nie użyłem ich jednak nigdzie samowolnie do prac moich w chemii, bo nie czuję się uprawnionym do rozrzadzania mową, jako własnością kraju, ale nie moją wyłącznie. Spragniony końca walki bardzo niepożytecznej o kilka wyrazów lub końcówek, radbym zwrócić uwagę uczonych kolegów mego zawodu na niektóre potrzeby słownictwa naukowego.

Ścisłe naukowe nie jest żadne słownictwo. Francuzkie najlepsze, bo najstarsze i najregularniejsze, służyło za wzór wszystkim; podług niego ułożył Berzelius łacińskie, a nie może poszczycić się charakterem czysto filozoficznym. To jednak nie jest powodem, abyśmy, wątpiąc że da się ułożyć doskonałe, nie mieli starać się o ułożenie ile można naukowego, systematycznego.

Osiągnięcie słownictwa polskiego ile możność systematycznego, wolnego od wyjątków, było zasadą dla chemika Waltera; dlatego gdzie nie uchybił czystości naszej mowy, godne są uwagi pomysły jego. Proponowane przez niego (1) zakończenie dwóch kwasów jednego pierwiastku, w dwóch różnych stopniach utlenionych a a *awy* i *owy*, poleca się z wielu względów, niż na *ny* i *owy*.

1) Powiedziałwszy *grubawy* i *gruby*, *zielonawy* i *zielony*, każdy rozumie dwa różne stopnie tych przyimków. Dlatego *fosforawy* wyraża kwas słabszy, niżeli *fosforowy*, *chlorawy* ulż *chlorowy*. Nazwy przeciwnie *chlorny* i *chlorowy*, nie dadzą nikomu pojęcia dwóch stopni jednego przyimku.

2) (2) Brzmienie: *żelazowy*, *miedziowy*, *ołowiowy*, *złotowy*, bardzo dobrze wyraża, że nie jest *żelazny*, *miedziany*, *ołwiany*. Ostatnie te nazwy stosują się bardziej do wyrobów mechanicznych, niż chemicznych. Niezwyčajne brzmienie zarzucone końcówce na *owy*

(1) Nie nazywam przez to Waltera pierwszym właścicielem myśli: zakończenia kwasów na *awy* i *owy*; przyznaję mu tylko uchwycenie tej myśli i wprowadzenie jej w używanie w słownictwie polskiem w Krakowie. Pierwszy właściciel tych dla kwasów końcówek ma większe w chemii zasługi, aniżeli mu chodzić powinno o to, czy je nazwano Waltera lub jego pomysłem. Patrz projekt do słownictwa chemicznego. Warszawa, 1853, str. 35.

(2) W projekcie do stow. chem. str. 35 zrobiono uwagę, że wyrazy *żelazowy*, *miedziowy* i t. d. mają brzmienie uderzające.



w słowach *żelazowy, miedziowy*, nie jest wadą, bo nowe pojęcie nieważsze może być szczęśliwie oddane dawnym wyrazem. Uczeni wreszcie warszawscy, koledzy zawodu mego, wątplę aby zdołał nalknąć tych samych wyrazów, tak niezwyčajnie, jak mówią, brzmiających. Pokażę zaraz niżej, że jest czasem potrzeba zakończenia nazwy soli końcówką kwasów.

3) Brzmienie wyrazów *żelazowy, ołowiowy*, i t. d., nie jest wleć uderzające, niżeli *fosforny*, albo *antymonny, manganny, cynny, borny, tytanny*. Przyszyczajeni wreszcie do wyrazów niedających wymówić się płynnie, czego najlepszym dowodem jest wybór wielce dla języka gimnastycznego wyrazu *rtęć*, zamiast łatwiejszego do wymówienia *merkuryusz*, bez innych przyczyn, jak że *rtęć* był nazwą polską: możemy dla osłabienia potrzebniejszej nam systematyczności przyjąć trzy lub cztery wyrazy mniej splewne, przez zakończenie na *awy* i *owy*, niżeli na *owy* i *ny*. Zakończenia na *ny* w nazwach kwasów organicznych nieważsze będą, ile mi się zdaje, przyjemleć brzmiące, niżeli te na *owy*, np. *kwas formny*, albo *formiany, tartarny* albo *tartarany, sukcyniany* albo *sukcynny*, milej miłe jest dla ucha niżeli *formowy, tartrowy, sukcynowy*. Przyjęcie zaś końcówki na *owy* podług dzisiejszego słownictwa warszawskiego dla kwasów mineralnych mniej otleńionych, np.  $SO^2$   $HO$ , nie wypada używać do kwasów organicznych; zdawałoby się bowiem wskazywać, że jest tego samego rodzaju (radikału) także kwas organiczny mocniej tleony, którego nazwa kończy się na *ny*, a to byłoby widocznem zamieszaniem, zatem bardzo nienaukowem wyrażeniem się.

4) Nazwy na *awy* i *owy* polecają się nadewszystko do dwóch soli i zasad jednego metalu; np. zamiast *chlorek i chlornik manganu, chlorek manganawy* i *chlorek manganowy*. Prócz Francuzów przyjął tę nazwę i Berzeliusz. Są też chemicy, do których liczy się Gerhardt i wszyscy zwolennicy systemu jednostkowego, którzy w solach żelaza, manganu, merkuryusza i t. p. *piérwsszych (protosels* ou *sels en eux)* uważają ten sam metal, mający inne oddziaływanie, inną liczbę stosunkową, niżeli ten sam metal w solach drugich; różróżniają też nazwą i wzorem (formule) te niejako dwa metale (1).

przyjmując 1,0 jako liczbę stosunkową wodoru.

- Le ferrosom, żelazawo  $Fe=28,0$  w solach żelazawych na *eux* (francuz.).
- ferricum, żelazowo  $fe=18,6$  ( $fe=2/3$  Fe) w solach żelazow. na *ique*.
- chromosom, chromawo  $Cr=26,0$  w solach chromawych na *eux*.
- chromicum, chromowo  $cr. 17,3$  ( $cr.=2/3$  Cr) w solach na *ique*.
- aluminicum, glinowo  $al=9,2$  ( $al=2/3$  Al).
- manganosom, manganawo  $Mo. 20,0$  w solach manganawych na *ique*.

(1) Nie mogę przytoczyć miejsca i stronicy w dziele Gerhardta, aby objaśnić myśl tę własnymi jego słowami, albowiem wydanie drugie nie wyszło drukiem, autor zaś racyt mnie tylko, jako tłumaczowi jego dzieła, udzielić odmiany swego dzieła i systemu, jakie w roku 1851 uznał za potrzebne. Ja zaś nie mogłem wydać poprawnego tłumaczenia dziełka jego, dokąd nie mamy jednego powszechnego słownictwa zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie.

- Le manganicum, manganowo, mn. 18,6 (mn.  $\equiv \frac{2}{3}$  Mo).  
 — cuprosium, miedziawo Cu. 31,8 w solach miedzi na *eux*.  
 — cupricum, miedziowo cu 15,9 w solach miedzi na *ique* (cu  $\equiv \frac{1}{2}$  Co).  
 — bismallicum, bismutowo, bi, 70,0 (bi  $\equiv \frac{1}{3}$  Bi).  
 — stibicum, antymonowo, sb, 21,5 (sb  $\equiv \frac{1}{3}$  Sb).  
 — mercuriosum, merkurawo, Hg, 200,0 w solach na *eux*.  
 — mercuricum, merkurowo, hg, 100,0 (hg  $\equiv \frac{1}{2}$  Hg).  
 — stannosum, cynawo sn, —58,0 w solach na *eux*.  
 — stannicum, cynowo sn, —29,0 (sn  $\equiv \frac{1}{2}$  Sn).  
 — platinosum, platynawo Pt, 99,0 w solach na *eux*.  
 — platincum, platynowo pt—49,5 (pt  $\equiv \frac{1}{2}$  Pt).  
 — auricum, złotowo au—65,3 (au  $\equiv \frac{2}{3}$  Au).  
 — uranicum, uranowo u—40,0 (u  $\equiv \frac{2}{3}$  U).

Chcąc zastosować do tej potrzeby zakończenia gatunku soli zgodnie z dotychczasowym słownictwem warszawskiem, możnaby wprowadzić powiedzieć *chlorek merkurowy i merkurny, cynowy i cynny*; ale tak wyrazić trudno te niejako dwa metale soli merkuryusza lub cyny. Nieskładnie byłoby powiedzieć: *merkurowo i merkurno, cynowo i cynno*; nie mówię, że jest niepodobieństwem oddać tę myśl jednostkowego systemu słownictwem dotychczasowym warszawskiem, ale co lepsze, to się wlećć poleca.

Zakończenia soli haloidnych i tym podobnych na *ek* i *ik* nie stają się niepotrzebne w razie przyjęcia tej lub owej nazwy kwasów i gatunków soli, i mogą służyć tym, którzy nie są zwolennikami systemu jednostkowego. W niektórych wyrażeniach się mogą być nawet wygodniejsze, niżeli końcówki przyjęte dla kwasów i bezwodników (anhydride, bezwodny kwas) np. sól żółtą cyanku żelaza i sól czerwoną tegoż, wygodniej jest nazwać *cyanóżelazek* i *cyanóżelazik potassowy*, niżeli *żelazawo* i *żelazowocyanek potassowy*. Zauważać tylko i wykluczyć wypadka nazwę *siarczyk* zamiast *siarek* (*monosulfure* i *dwu* lub *mnogosiarek* nazywać *siarnikiem* (*bisulfure, polyssulfure*).

Z przyjęciem końcówki na *awy* i *owy* dla kwasów i gatunku soli, nie zgadza się ta przyjęta w Warszawie na *on* i *an*, t. j. dla soli z kwasu siarki mniej tlennego, zatem  $SO^2 MO$  *siarkon*, a dla soli z kwasu zupełnie tlennego, zatem  $SO^3 MO$  *siarkan*. Zowiąc bezwodnik  $SO^2$  *siarkawym*, niewypada połączenie jego z tlenkiem potasowym nazywać *siarkon*, a przeciwnie połączenie bezwodnika  $SO^3$ , jeżeliby się nazywał *siarkowym*, miaowało *siarkanem potassowym*. Przeciwnie także niewypada, bośmy się wszyscy przyzwyczaili od czasów Śniadeckiego, nazywać na *an* sole zupełnie tlennych kwasów. Aby uniknąć zamieszania, przy danu pierwszeństwa końcówkom na *awy* i *owy*, możnaby sole kwasów na *awy* zwać na *yn*, jak to proponował Walter i przyjęto w Krakowie, a sole kwasów na *owy* oznaczać na *an*; powiedzieć zatem: *kwas azotawy* tworzy z potażem *azotyn potażowy*, *azotowy kwas* zaś z tlenkami *azotany*.

Zakończenia soli na *on*, są mniej systematyczne z powodu nazwy na *on* stał organicznych, jakimi są *acelony*. Może przeto wypaść za-



mieszanie, np. *sól kwasu octawego czyli aldehydowego (acide aceteux)*  $C^4 H^4 O^3$  zwałaby się *octon* podług słownictwa warszawskiego, *aceton* zaś octowego rzędu, t. j.  $C^6 H^6 O^2$  byłby także *octon*. Podobnie *sól kwasu salicylawego (salicyleux)*,  $C^{14} H^6 O^4$  zwałaby się *salicylon*, i aceton salicylowego kwasu byłby także *salicylon*. Zamieszanie jakie ztąd powstaje jest wprawdzie rzadkie i wyjątkowe, ale dlatego nie ułkac wyrazów niesystematycznych, kiedy nie obrażając czystości mowy, można lunemi lepiej zadosyć uczynić potrzebie umiejętności. Za lepsze przeto i więcej polecające się, mam końcówki na *awy* i *owy*, a odpowiednich im soli na *yn* i *an*, wprowadzone przez Waltera, niżeli końcówki tym odpowiednie profesora Zdzitowieckiego.

W nazwie pierwiastków sędzę, że lepiej jest wykluczyć końcówki na *yn* i *an* i przyjąć:

Lityno	niżeli	Lityn.	Glinno	niżeli	Glin.
Magnno	—	Magnezyn.	Cyrkono	—	Cyrkon.
Toryno	—	Toryn.	Ceryno	—	Ceryn.
Glucyno	—	Glucyn.	Lantano	—	Lantan.
Itryno	—	Itryn.	Mangano	—	Mangan.

Również *Merкуро* lub *merkur*, zamiast merkuryusz.

Kończówki te byłyby systematyczne, a nie miałyby brzmienia włoskiego, owszem polskie, podobnie jak *żelazo*, *srebro*, *złoto*. Logicznie też jest, aby ciała nieżywotne były rodzaju nijakiego, aniżeli męskiego.

Te odmiany mam za korzystne dla słownictwa naszego, i sędzę, że mogłyby służyć do uzupełnienia słownictwa warszawskiego. Dla tyle każdemu w naukach przyrodzonych pracującemu uprąglonej zgody, pozwoliliśmy przyznać warszawskiemu słownictwu trafność wyrazów: *tlen*, *wodor*, *węglen*, i po większej części nazwy pierwiastków, równie działań i sprzętów chemicznych, a zarzuć szpetne i niedogodne wyrażenia się jednogłoskami, jak *tyt*, *ur*, *stront*, *wap*, *gluc*; w ogóle zaniechać tworzenia każdy z nas osobnych wyrazów. Z drugiej strony warszawscy uczeni mogliby uczcić pamięć zawczasie zmarłego Waltera, i przyjąć polecane przez niego końcówki na *awy* i *owy* dla *kwasów* i *gatunku*, a na *an* i *yn* dla *rodzaju soli*, jak niemniej wykluczyć nazwy pierwiastków na *an* i *yn*.

W interesie moim, kraju i umiejętności samęj wyrażać się będę tém słownictwem, jakiego używać będzie większość uczonych naszych w swych pracach piśmiennych. Sędzę też, że powaga większości powinna być dla każdego z nas dostateczną nawet i tam, gdzie nam się zdaje, że najsluszniejsze mamy powody do przyjęcia i używania innych wyrazów. Powtarzam, choćby najzasłużeńszy, ale jeden uczone, nie ma prawa wprowadzać odmiany mowy narodowej, przeciw woli większości swolch kolegów, bo mowa jest własnością narodu, nie pojedynczych indywiduów.

Niemniej też powinny stosować się odmiany mowy, gdy są konieczne, nie do przyzwyczajenia nieumiejętnej części narodu, ale do potrzeb naukowych. Tłumaczenie zatem wyrazów naukowych, więc powszechnych i wspólnych, bez różnicy języka, światu uczoneму nie tylko nie jest potrzebne, ale jako szkodliwe umiejętności wcale nie powinno mieć

miejsca. Nauki przyrodzone nie postąpiły u nas do tego stopnia, abysmy obejść się mogli bez czytania dzieł obcych, bez obeznania się przeto z wyrazami powszechnemi i naukowemi, a wspólnemi uczonym różnych narodów. Tłumacząc zaś wyrazy powszechne, wypada pamiętać dwie nazwy jednej rzeczy, a to bez wszelkiej korzyści, z których częstokroć nazwa nasza nie jest odpowiednia naturze rzeczy i dająca fałszywe jej pojęcie. Ten błąd nie jest nader rzadkim w mineralogii, a prawie koniecznym tłumaczenia skutkiem w chemii organicznej.

Pomijając niedogodność nazwy *wyskoków* jako nazwy na *alkohole*, robię ważnym u wyraz *kwas winowy* zamiast *tartrowy*. Czemże usprawiedliwić nazwę: *winowy*? Czy dlatego, że znajduje się w winogronach? Tak samo mógłby nazywać się kwasem *tarkowym*, albo mieć nazwę od innych jagód, z których otrzymać go można. Przyczyna, jakoby nazwy: *winowy*, *szczawinowy*, *mrówkowy*, *masłowy*, *mlekowy*, uczyły z czego powstają, jest mylna. Kwasy te otrzymują się daleko lepiej z krochmalu lub cukru, niżeli z istot, których nazwę noszą; *szczawinowy* zaś nie uczy, że *oksamid* jest *szczawianem amoniaku*, któremu brakuje jednego atomu wody. Jakże nazwać rzeczywiście kwas, który jest *kwaśnym tartranem etylu*, *metylu*, *amylu*? Wypadałoby powiedzieć, *kwas winowinowy etylu*, *metylu*, *amylu*, albo *winowyskokowy etylu*, *metylu*, *amylu*, po niemiecku: *tartroetyl*, *metyl*, *amyl weinsäure*, po francuzku *acide tartro-etyl*, *metylo*, *amyl-o-vinique*. Widocznie jednak lepiej jest powiedzieć *kwas tartro etylu*, *metylu*, *amylu-winowy*, a w solach *tartrowinian*, niżeli *winowinian*, albo *winowyskokan*. Że te i podobne połączenia mało są znane uczniom szkół naszych, nie pozwala wnioskować, że jedno lub drugie ciało takie nie może nabyć lada dzień wartości przemysłowej, a przeto stać się ważnem i dla uczulów początkujących. Nade wszystko zaś pomieć raczą purysci, że umiejętność nie jest II dla szkoły i przemysłu: jej wartość jest wyższa. Purysci najczęściej mało obeznani z potrzebami umiejętności, nie wiedzą, jakie zrzędzić mogą szkody zbyt czułem tłumaczeniem naukowych wyrazów, np. kwasy: *kaprowy* (acide caproïque)  $C^{12}H^{11}O^3$ , HO; *kaprynowy* (ac. caprique)  $C^{20}H^{19}O^3$ , HO, *kaprylowy*, (ac. caprillique)  $C^{16}H^{15}O^3$ , HO, i *waleryanowy* (ac. valerianique)  $C^{10}H^9O^3$ , HO, mogłyby zyskać następujące nazwy polskiego źródłosłowu, jakoto: *kozłowy*, *koźty*, *koziotkowy*, i *kozłekowy*. Nazwy te byłyby rzeczywiście polskie, ale powiększyłyby się zamieszanie chcąc tłumaczyć *waleryanę* na *kozłek*. Jeszcze niestosowniejsza wypadłaby nazwa *acetonu kwasu waleryanowego*, bo *kozłkon* lub coś podobnego.

Dzisiaj, gdzie ilość ciał organicznych wzrasta z dniem każdym i właśnie przez to staje się łatwiejszą chemia organiczna, niż była kilka lat przedtem, bo daje się znaleźć ład i porządek przez zyskanie ciał, które wykazują związek i pochodzenie innych mianych przedtem za oddalonych od siebie; dzisiaj mówię zmieniając się nazwy: daremne przeto byłoby tłumaczenie. Weźmy naprzykład nazwę: *spirytus drzewa*; nie jestże ona mniej stosowną aby oznaczyć naturę jego i pochodzące od niego związki metylu nieproblematicznego już dzisiaj, niżeli gdy go nazwiemy *alkohol metylowy*, albo *formowy*.





Kto przyjmie wyrazy powszechne, będzie mógł cieszyć się postępem chemii organicznej, a wyrażać pochodzenie i powinowactwa ciał stosowném ich naturze źródłosłowem; domyślić się do jakiego rzędu należą i jakim ciałom są odpowiednie. (Patrz: les series i les corps homologues et heterologues, w dziełku Gerhardt'a: l'introduction dans l'etude de chimie). Podobnie jak nazywamy w chemii mineralnej *chlerek*, *chloraon* lub *chloryn*, *chloraon*, *przechloraon*, ciągle jedném źródłosłowem, tak możemy i w organicznej lepij powiedzieć:

(to) butyrene . . . . .	nizell (ten) butyren
— chlorobutyrene . . . . .	— chlorobutyren
— butyral albo aldehyd butyrowy. —	— aldehyd masłowy
— butyron albo aceton . . . . .	— masłou
— butyran . . . . .	— masłau
— butyramid . . . . .	— butyramid
— butyranilld . . . . .	— butyranilld.

Nazywając jedne ciała tego rzędu źródłosłowem masła, drugie temże butyru, nikule związek tyle ułatwiający naukę chemii organicznej.

Lepij jest gdzie można nadawać nowym wyrazom chemicznym rodzaj njaki, nizeli męzki; zatem *metylene*, *butyrene*, nizeli *metylen*, *butyren*, bo naturalniej jest oznaczać ciała nieżywotne końcówką młiej polską, ale rozumą, nizeli dawać im nazwy polskie, ale niezgodne z naturą rzeczy. Nie sądzę, aby czystość mowy polskiej wymagała nowych nieogłębności przez nadawanie rzeczom nieżywotnym rodzaju męzkiego lub żeńskiego. W obronie wyrazów systematycznych i umięjnyeh powiem jeszcze, że polskim staje się każdy wyraz, choćby źródłosłowo miał obce, byle był używany przez polskich pisarzy. Puryści zaś, nie mogąc dać oznaczenia, który wyraz jest obcy a który polski, musieliby, chcąc mowę naszą oczyścić całkowicie z obczyzny, utworzyć przynajmniej połowę słów nowych. Pomijając bowiem obce pochodzenie wyrazów nawet tak śmiałych, jak nim jest *bursztynowość* zamiast *elektryczność*, nie byłoby trudno dowieść, że źródłosłowa naszej mowy ule są wyłącznie nasze, ale szczeru od którego pochodzimy. Przy najtroskliwszém unikaniu wyrazów obcego pochodzenia przyszlibyśmy ostatecznie do tej zasady, że wyrazem polskim jest każdy w tej mowie używany, stosujący się do jej praw, lub przyjęty przez jej pisarzy.

W umięjności każdej, gdzie znika podejrzenie zarozumiałości, każdy, choćby młiej zasłużony uprawiacz nauki ma prawo głosować w interesie umięjności; zatem podaję tu kilkadziesiąt wyrazów należących do chemii organicznej, któremi chciałbym dobitniej wykazać moje zdanie co do słownictwa polskiego.

Aceton w ogóle, w szczególe zaś octon, butyron i t. d. Alkohol zamfist wyskok. Alkaloid. Amld. Aullid (amld aullay, młiej jeden stosunek wody). Aldehyd. Amigdalín. Akontowy kwas. Azote ciało, t. j. zawierające azot. Asparaglua. Akrolein, ciało pochodzące z suchej destylacyi gliceryny.

Bezwodnik (anhydride, wasserfreye saure). Benzowy kwas. Butyrowe greno. Brucyna.

Cyanożelazek. Cyanożelazik albo cyanożelaznik. Cynamonowy kwas. Celluloz. Chlory, ciała chlore, np. kwas fenowy jednochlory, dwóchlory, tróchlory.

Tak samo ciała nitre, siarkie, brome i t. d. gdy wodor niemetalicznie działający, jest zastąpiony przez chlor,  $AzO^4$  czyli X, siarkę, brom i t. d. Dyastaz. Dwuwęglík wodoru.

Etyl, metyl, amyl, acetyl (w ogóle rodzien ciał noszących jego nazwę). Enantowy kwas, enantowy eter i t. d. Eapton (wodorowęglík zyskany przy suchej destylacji drzewa). Erytrowy kwas (zyskany z lichem przez Schuoka i Stenhousea). Emulzen.

Formlańy, formowy kwas, formene czyli gaz bagien. Glicerydy, gdy mowa o tłuszczach, które są solami bezwodnemi gliceryny, zatem łożu i jemn podobnych, ale nie wosku, sperma ceti i tych, które tylko w powszedniem życiu mogą zwać się tłuszczami. W naukowem wyrażeniu się tłuszcz nie ma ścisłego oznaczenia, dlatego nie powinien mieć miejsca, kwas butyrowy bowiem nie wleźć czy liczyć do olejków wonnych, czy do tłuszczów. Podobnych niepewności zdarza się bardzo wiele przez przyjęcie wyrazów powszednich. Glicerydem zaś jest ciało, które w rozkładzie przez suchą destylacją daje akrolein.

Fibren (włókno zwierzęce).

Glykokol czyli cukier galarety. Garbnikowy kwas. Gallasowy kwas. Pyrogallasowy. Gluten (po niem. Kleber).

Henaten. Humusowy kwas.

Izaten czyli cyanek salicylowy. Indygo.

Kauczuk, nie gumma elastyczna. Kodeloa. Kreaten. Karminowy kwas. Kazelo. Kaprowy kwas (ac: caprotique). Kaprynowy kwas (ac: caprique). Kaprylowy kwas (ac: caprilique). Krochmal albo mączka (amidon). Kumene czyli wodorowęglík kminowy; cymene lony wodorowęglík kminowy.

Luteolen. Legumen.

Olejowy kwas (ac. oleique).

Mukowy kwas nie gummowy, powstający przez działanie kwasem azotowym na gumę. Mannit. Merkaptan albo alkohol siarki czyli wodosiarek siarku etylowego.

Pyrokselen.

Nikotyna. Salicylany, nie wierzbiany; salicylowe grono, nie wierzbowe.

Terpentyna, tererebene, terebene chlore i t. d. Sylwowy kwas.

Wodorowęglíki (hydrocarbures) jakimi są po większej części olejki wonne, któryto ostatni wyraz dobry jest w życiu powszedniem, ale niedostateczny w umiętności. Olejki wonne, które nie są wodorowęglíkami, powinny w umiętności nosić nazwę swęj natury; zatem aldehyd benzowy, salicylan metylowy, nie zaś olejek gorzkich migdałów, olejek wonny gaulteryi.

Węgle ciała (corps carbonés, kohlenstoff haltige koerper). Siarkie (corps sulphurés, geschwefelte albo schwefelhaltige. Nitre (corps nitres, np. kwas nitrokminowy ac. nitrocuminique. Azote (corps azotés, azohaltige). Chlore (corps chlorés, gechlorte).



Nazwy powszednie niewszędzie mogą być wykluczone, osobliwie co do ciał surowych, które są mieszaniną dwóch lub więcej ciał oznaczonych chemicznie tutaj; zatem mogą być częstokroć nawet tłumaczenia tych wyrazów korzystne i objaśniające.

W ogóle, każdemu miłośnikowi nauk przyrodzonych nie może być jak wielce pożądanym słownik wyrazów polskich potrzebnych do nauk przyrodzonych, jeżeli nie cały, to przynajmniej nam chemikom jest niezbędny, osobliwie do chemii organicznej. Słownik jednakże taki, jeżeli ma być rzeczywistym pomnikiem umięjętnym, powinien mieć wzgląd na wyrażenia się nie tylko systemu, którego zwolennikami są pracujący nad tymże słownikiem, ale i na systemy istniejące choćby nie paujące.

Szczęśliwym, jeżeli wykazał rzeczywistą potrzebę słownika wyrazów do chemii organicznej i mineralnej, a przez to nakłonił uczonych kolegów zawodu mego do zaspokojenia tak wielkiej potrzeby narodowej; będę oczekwał i trzymał się wyroczni słownictwa naszego, jaką jest zgoda większości naszych uczonych.

Kraków, 20 lutego 1854 r.

*J. B. Rogojski.*

## ROZMAITOŚCI.

*Alexander Lisowski.*

Lisowski był ostatnim zabytkiem litewskich najezdników, którzy całą sławę zakładali na tém: żeby wpaść, rozbić i uciec. Za zyskiem nie gonili; jeśli co wpadło w ręce, to przehułał z towarzystwem, a po wojnie w której złupił bogate grody i postrachem napelnił dalekie okolice, wrócił jak bezdomny włóczęga na lichéj szkapie, ubogo i odarto.

Trzeba było odznaczyć się dziką odwagą, przymiotami rycerskimi i znajomością trybów wojennych, żeby zostać wodzem niesfornego żołnierstwa, które nie znało innego prawa nad siłę i zręczność. Trzeba było niepospolitego sprytu i silnej woli, żeby utrzymać ich w posłuszeństwie. Do tych przymiotów Lisowski łączył prawość charakteru; danego słowa nigdy nie złamał, a na jego wierze bezpiecznie można było polegać, jak to widzimy ze świadectwa Chodkiewicza. Dumny pan, patrycyusz, nie wstydził się zażyłości i przyjaźni z kozackim wodzem.

Wiadomości o Lisowskim zebrane z listów Chodkiewicza, posługują do uzupełnienia jego życiorysu.

Chodkiewicz uskarżał się, że naznaczenie Lisowskiego nastąpiło bez jego wiedzy, że nie mógł wyzebrać u króla wsparcia na poratowanie chylących się rzeczy, a Lisowskiemu na obronę Zawolocz tak wiele tysięcy dano, że na obronę Wiaźmy, Białej i Smoleńska więcej nie trzeba było; więc pieniądze bez korzyści padły, a Zawolocz prochem się rozsypał (1).

Lisowski ofiarował służby swoje hetmanowi; hetman z dobrą chęcią je przyjął, zapewniając go, że urazy zapomniął i nie szukał powodu do zemsty, lubo mógł go znaleźć, gdy towarzystwo pozwało Lisowskiego przed sąd hetmański (2). A jako był człek szczerzy, rzeczą samą pokazał mu swoją życzliwość.

(1) Do Lwa Sapiehy 4 września 1613.

(2) Do Alexandra Lisowskiego, 18 listopada 1613.



Po śmierci podkomorzego mściławskiego, wakowało kilka wiosek królewskich przez niego trzymany. Ledwie w dzwon uderzono, wnet rozstawionemi końmi skoczyli do dworu ci, co żyją w oczekiwaniu, rychłoli śmierć kogo z drogi im sprzątnie. Hetman puścił w te szranki Lisowskiego, nie na zawodnika, bo go ledwie nie pieszo na szkapie jednej wojna zostawiła, ale wyprawił go przed oczy pańskie z cnotą i zasługami, wstawiając się za nim i przypominając, że on wiernie i pracowicie z młodych lat panu i ojczyźnie służył (1).

Lisowskiego, który zebrał półtora tysiąca ochotnika, hetman wyprawił na Siewierszczyznę. Pan Bóg dobrze mu pofortunił, że Kwaczowa, który na Pohorełym starszym był, wziął w plen ubiwszy mu półtora tysiąca ludzi, i odesłał go do hetmana z dziesięcioma chorągwiami w pogromie wziętemi. Hetman wzmocnił go kilkoma stami kozaków, i nie myślał sprowadzać go z siewierskiej ziemi, dopóki traktaty, które toczyły się pod Smoleńskiem, pewnego skutku nie wezmą (2).

Na wiosnę 1616 Lisowski ze swoimi był w mozyrskim powiecie (3).

Hetman wydał list przypowiedny Lisowskiemu jako pułkownikowi J. Kr. M., aby zaciągawszy ludzi, szedł na miejsca ustnie jemu wskazane; którzyto ludzie nie mieli być na żołd Rzplitej zaciągani, ale jako ochotnicy z łupu w ziemi nieprzyjacielskiej żyjący, dopóki królewicz z wojskiem nie nastąpi, od którego łaski będzie zależało żołd im przypowiedzieć (4).

Z wielkiem podziwieniem hetman odebrał list od Lisowskiego i jego towarzystwa, w którym narzekając na jakąś niewdzięczność, oświadczali, że nie mają woli dłużej służyć na łaskę. Inaczéj przedtém deklarowali się hetmanowi, i z tego powodu cierpiał skargi, które często a gęsto na nich zachodziły, rozumiejąc, że wiernie służyć będą Rzplitej przy swoim pułkowniku. Dał im przeto do wyboru: albo słuchać jego rozkazów, albo rozjechać się z gromady (5).

Dali sobie wyperswadować panowie tarzysze, a Lisowski przeprawił się z nimi przez Dniepr niedaleko Homla (6).

W liście do towarzystwa z jego pułku, hetman żał swój oświadcza z powodu śmierci tak wielkiego i godnego w Rzplitej człowieka; bo nie jeno dawna z nim zażyłość, ale i dzieła przez Lisowskiego pod regimentem hetmańskim dokonane, zawiązały między nimi mocną przyjaźń. „Wiele tym człowiekiem panu, powiada dalej, wiele Rzplitej, wiele mnie wodzowi ubyto” (7).

Lisowskiego hetman bardzo żałował, nietylko jako człowieka, na którego życzliwości bezpiecznie się zawsze sadził, ale że podtenczas,

(1) Do Firleja referendarza, 28 stycznia 1615.

(2) Do Lwa Sapiehy 25 lipca 1615.

(3) Do starosty mozyrskiego, 3 kwietnia 1616.

(4) List Lisowskiemu dany, 16 lipca 1616.

(5) Do Alexandra Lisowskiego i jego towarzystwa, 4 września 1616.

(6) Do Tupalskiego 21 września 1616.

(7) Do towarzystwa pułku Lisowskiego, 20 października 1616.

gdy Rzplitej najpilniej było potrzeba, zniknął ze świata, a tém bardziej, że naglém zejściem duszy swój nie dobrze ustał. Następcy na jego miejsce nie widział, coby równy mu był czułością i umiejętnością trybów wojennych. Proponował Ruckiego, ale Lisowczycy pod jego regiment poddać się nie chcieli; więc téż w tym chłopie więcej było pierza niż mięsa, więcej słów i pstroczizny niż gruntu rzeczy (1).

Towarzysze pułku Lisowskiego, którzy po całej Europie sławę jego imienia roznieśli, obrali sobie wodzem Walentego Rogawskiego.

*Seweryn Gołębiowski.*

### *O fundacyach polskich, istniejących niegdys we Włoszech.*

Pielgrzymki pobożne odbywane dawnemi czasy do Rzymu i Loretu, dały początek niektórym fundacyom, przeznaczonym dla pątników z Polski przybywających. Fundacye te miały uposażenie w dobrach ziemskich, w budowlach i kapitałach; były zaś następujące:

Kościół, szpital i dom świętego Stanisława w Rzymie, założony przez kilku panów polskich, celem udzielania przytułku pielgrzymom polskim. Do tego kościoła należały jeszcze:

Domek leżący w miejscu zwaném *Monte Caprino*, oraz Winnica we wsi *Marino*, o ośmnaście mil włoskich od Rzymu odległa.

Posiadał prócz tego rzeczony kościół prawo jurysdykcyi, uwalniające od podległości miejscowemu rządowi, nabyte za 25,000 czerwonych złotych.

Kościół, szpital i dom świętego Stanisława zostały wcielone do dóbr narodowych państwa francuzkiego w roku 1810. Dom sprzedano; kościół i szpital, lubo nie miały stałej intraty, utrzymywał się mimo to kosztem i staraniem będącego przy nim kapłana. Znaczne bogactwa kościoła, również przez Francuzów zabrane zostały. Domek zaś w *Monte Caprino* i winnica w *Marino*, przywłaszczone sobie zostały przez osoby prywatne.

Drugą własność pod imieniem narodu polskiego będącą w Rzymie, składały kościół i dom, zwane *Madonna del Pascolo*, fundowane przez Bazylianów; tudzież domek do tegoż kościoła należący, położony przy placu *della Madonna de Monti*, także w Rzymie.

Trzecią własnością narodu polskiego w Rzymie, stanowiła summa 25,000 scudi, czyli złp. 250,000, którą Bernardynki sandomieckie złożyły w kassie depozytowój, zwanej *Luoghi de Monti*,

(1) Do Benedykta Wojny biskupa wileńskiego, 5 listopada 1616.



na wydatki kanonizacji błogosławionej Kunegundy, zakonnicy w tymże klasztorze. Gdy zaś do tego obrzędu nie przyszło, korzystający z upadku kraju kardynał *Tommasio Autici*, podówczas minister polski przy dworze apostolskim, sumę pomienioną sobie przywłaszczył.

Okrom powyższych, istniały jeszcze pod imieniem narodu polskiego trzy posiadłości położone w Lorecie, zwane *Bella Luce*, *S. Giuseppe* i *S. Ignazio*, nabyte na fundusz dla pielgrzymów polskich przez Jana i Agnieszkę z Firlejów małżonków Gostomskich. Zawiadywali niemi Jezuici, czyli ustanowiony przez nich spowiednik polski w Lorecie, do roku 1771; później zaś, a mianowicie w roku 1792, zajął je także wspomniany wyżej kardynał Autici.

Do funduszu loretańskiego należała także summa 2850 scudi, czyli złp. 28,500, z zapisu Józefa Zebrzydowskiego kanonika krakowskiego i kilku innych osób.

Ostatnią własnością był dom w mieście *Macerata*, czyniący rocznie 25 scudów dochodu, kupiony na rzecz funduszu loretańskiego przez Gąsiewskiego. Dom ten przeszedł także w posiadanie Auticiego.

Wartość powyższych posiadłości, szacowaną była na początku bieżącego stulecia jak następuje:

a) Possesya świętego Stanisława . . . . .	złp. 200,000.
b) Attynencye tej possesyi . . . . .	— 9,250.
c) Possesya del Pascolo . . . . .	— 162,500.
d) Possesya loretańska . . . . .	— 67,130.

Do czego dodając dwa kapitały:

e) Po Bernardynkach sandeckich. . . . .	— 250,000.
f) Z zapisu Zebrzydowskiego. . . . .	— 28,500.

Razem złp. 717,380.

J. P.

### Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Artykuł p. Jaroszy „*Nowy zwrot literatury francuzkiej*,” zamieszczony w styczniowym tegorocznym zeszyte Biblioteki Warszawskiej, wycisnął mi łzy serdeczne, których powód redakcyja wyrozumić z następujących słów moich:

„Dotknięty bolesną śmiercią brata mojego Dyonizego, który zaledwo 28 lat liczył życia, a który choć żył tak krótko dla szczęścia rodziny i tych, z którymi miał jakibądź stosunek: umiał jednak swemi zdolnościami, prawością charakteru i dziewiczą prawie skromnością życia, tyle sobie zjednać wziętości i miłości ludzkiej, że pomimo wieku młodego, stał przy sterze interesów najznakomitszych panów prowincyi, posiadał szacu-

nek i zaufanie najpierwszych dygnitarzy kijowskich, i od wszystkich w ogóle był kochany. Przejrzałem moje notatki, gdzie zapisując wszystkie wspomnienia, chowam je na starość. W tych pod rokiem 1844 zanotowałem tak:

Maja tego na dobrą godzinę przed zachodem słońca, przyjechałem do Kijowa. Brata Dyonizego nie zastałem w domu; powiedziano mi, że niedawno z Józefem Goźniewskim (1) poszli do ogrodu. Pospieszyłem ku nim i znalazłem ich siedzących na stoku góry, wpatrzonych na płynący pod nogami Dniepr w tak głębokiej zadumie, że nie spostrzegli mnie kiedyś się do nich zbliżył. Po powitaniach zwróciłem uwagę na tę ich zadumę; i objaśniony zostałem, że takowa spowodowana została małym sporem między nimi o prawdę myśli zawartych w złożonych przez jednego i drugiego wierszach do Dniepru. Wiersze te jednak Goźniewski złożył jeszcze przed miesiącem, kiedy Dniepr burczał i szumiał wiosenną wezbrany powodzią, a Dyonizy swoje tylko co przeczytał. Naśmiewszy się z brata, który nie był mi dotąd znany jako wierszujący, wprosiłem się na sędzięgo sporu; jakóż oba oddali mi swoje wierszyki, i oto one są:

### Wiersz Józefa Goźniewskiego do Dniepru.

Lubię widzieć ten Dniepr nasz, kiedy jego wody  
Podniesione powodzią wiosennych roztopów,  
Niby mury więzienne twarde łamią lody,  
By w wolnej piersi odbić rys niebieskich stropów.

Lubię widzieć ten Dniepr nasz, kiedy w jego łonie  
Ryczą spienione fale; gdy co spotka w biegu,  
Zbójecką chwyta mocą w bałwanów swych łonie,  
By, co porwał, gdzieś rzucił na dalekim brzegu.

Bracie! patrz nań w tej dobie, i wyznaj zdumiały:  
Że tło jego zorane bruzdami katuszy  
Wrzących w nim sił olbrzyma, jest obrazem chwały,  
Natchnień, wysilen i pracy wielu geniuszy,  
Co poczuwszy w swój piersi powódź rozhukaną,  
Kipiących natchnień myśli w ludzkości cierpieniach,  
Niosą je gdzieś daleko w krainę nieznaną  
W obrazach nakreślonych dżutem, pędzlem, w pieniach.

### Na wierszyk Józefa G.

Lubię widzieć ten Dniepr nasz, kiedy jego wody,  
Nie wzniesione powodzią wiosennych roztopów,  
Czyste, poważnie płyną w pełni swój swobody;  
Gdy odbija się w tle ich rys niebieskich stropów.

(1) Tłumacz pieśni ukraińskich, czekających wydawcy.



Lubię widzieć ten Dniepr nasz, kiedy w jego łonie  
Ledwo słyhać szmer fali; kiedy w jego biegu  
Nie ma gwałtu, przemocy, a na jego tonie  
Spokojnie łódź rybacka odbija od brzegu.

Bracie! patrz nań w tój dobie, i wyznaj zdumiały:  
Że tło jego nietknięte bruzdami katuszy  
Wrzących w nim sił olbrzyma, jest obrazem chwały,  
Natchnień, zasług, nauk i wielu geniuszy;  
Co stłumiwszy w swych piersiach powódź rozhukaną,  
Niebiański balsam pociech ludzkości w cierpieniach  
Niosą swoim i obcym, w krainę nieznaną,  
W obrazach nakreślonych pędzlem, dłutem, w pieniąch.

Uważ tylko Józefiel na tym wód kryształe,  
Co jak szyba zwierciadła u nóg naszych leży,  
Roje tych błędnych światel jak błyszczą wspaniale,  
Jak spokojna, bez trwogi ta wiotka łódź bieży;  
Jak w tych toniach odbita cała piękność nieba  
Z pogodą i gwiazdami; geniuszom myśli,  
Sądzę, takiegoż piękna i spokoju trzeba!...  
I bodajbyśmy rychło do poznania przyszli:  
Że prawda, piękność, urok, że wieszczę natchnienie,  
Balsam dla ran ludzkości, gdy ich chcemy szczerze,  
Znajdziem nie w tém, co winny pokryć wzgardy cienie,  
Lecz w odbitem w nas niebie, w spokoju i wierze.

---

Owoż czytając artykuł dziwnie piękny i nauczający p. Ja-  
roszy, szczerze pożałowałem brata, że zgasł tak młodo, że nie do-  
żył przeczytać tego artykułu. w którymby znalazł niemy przy-  
klask młodym swym myślom i życzeniom w owój poezji fran-  
cuzkiego poety, tak dziwnie podobnej do wierszy brata mego  
i jego przyjaciela.

Białacerkiew 1854 r.

*Ks. Erazm Izopolski.*

---

## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### CHEMIA.

Znakomity chemik Henryk Rose, zawiadomił akademią umiejętności w Berlinie, że dwa metale niedawnemi czasy odkryte, niob, i pelop, (niobium i pelopium), są tylko jednym, który radzi nazywać *niobem*, (niobium).

\* P. Payen również zawiadomił akademią umiejętności paryzką, że stosownie do jego doświadczeń, węglan wapna gotowy znajduje się w roślinach.

\* Na posiedzeniu akademii umiejętności paryżkiej w dniu 6 lutego 1854 r. p. Dumas okazywał metal glin (aluminium) otrzymany przez p. Deville, i zwracał uwagę na nowe wypadki, do których doszedł ten ostatni chemik w skutku zgłębiania własności powyższego ciała, oraz wskazywał korzyści, które spłynąć mogą na przemysł przez rozpoznanie dzisiejsze niniejszego metalu. Przytaczamy w treści w tym względzie słowa sprawozdania.

Wiadomo, że Wöhler otrzymał glin w proszku z chlorku glinu za pośrednictwem potasu. Zmieniając stosownie sposób Wöhler'a można tak urządzić rozkład chlorku glinu, że przez właściwe rozpalenie, cząsteczki metalu glinu skupiać się będą i utworzą kuleczki. Wziąwszy wtedy to ciało w kulkach, zmieszane z chlorkiem potasu, (w skutku rozkładu jak powiedzieliśmy chlorku glinu przez potas, utworzy się chlorek potasu i glin, i obadwa będą wspólnie); lub gdyby był użyty do rozkładu chlorku glinu metal sod, (co byłoby korzystniej), z chlorkiem sodu, i ogrzewając to w tyglu porcelanowym do mocnej czerwoności; nadmiar chlorku glinu się ulotni, a pozostanie istota solna kwasna, wśród której znajdują się kuleczki glinu zupełnie czystego.

Metal ten jest tak biały jak srebro, klepalny i ciągi w najwyższym stopniu; topliwy także prawie jak srebro, ciężaru gątkowego 2,56. Można go roztopiać i przelewać w powietrzu



bez widocznego zniepokwaszania. Jest bardzo dobrym przewodnikiem ciepłika.

Glin w zupełności nie psuje się w powietrzu tak wilgotnym jak suchym; nie ciemnieje i pozostaje błyszczącym za przecięciem, w czym różni się od cynku i cyny, które wkrótce tracą swój połysk. Wodoród siarkowy na niego nie działa, równie jak i woda zimna; woda gorąca nie przyćmiewa go. Kwas saletrowy tak roztworzony jak stężony, i kwas siarkowy roztworzony, nie działają na niego na zimno; rozpuszcza się zaś w kwasie solnym, a wtedy wywija się wodoród i powstaje półtoro-chlorek glinu. Glin ogrzewany do czerwoności w gazie kwasie solnym, tworzy półtoro-chlorek glinu suchy i lotny.

Z tego się pokazuje, że metal biały, nie ulegający zmianom podobnie jak srebro, nie czerniący się w powietrzu, topliwy, klepalny, ciągliwy i wytrzymały, a posiadający szczególną własność że jest lżejszy niż szkło; może przynieść nieskończone korzyści dla przemysłu, jeżeli będzie z łatwością otrzymywany. Tego zaś życzyć sobie należy ze względu, że jego ruda, to jest glina, znajduje się obficie w przyrodzeniu. P. Deville utrzymuje, że glin bez trudności da się wydobywać, bo chlorek glinu rozkłada się z wielką łatwością w temperaturze podwyższonej, przez metale pospolite.

W skutku powyższego ogłoszenia, p. Chapelle w dniu 6 marca r. b. także zawiadomił akademią paryzką o swych poszukiwaniach tyżących się glinu. Ponieważ nie miał ani chlorku glinu, ani sodu; otrzymał więc ten metal w sposób następujący. Sproszkował zwyczajną glinę, i zmieszał ją z solą kuchenną i pyłem węgla drzewnego, poczem to wszystko ogrzewał w tyglu pospolitym w piecu rewerberowym używając koksu; ale nie mógł uzyskać rozpalenia czerwono-białego. Po ostudzeniu, stłukł tygiel i wydobyl żuzel wzdęty, wśród którego znajdowały się rozsiane małe kuleczki białe jak srebro. Kuleczki te ubijane w moździerzyku agatowym, płaszczyły się z łatwością na blaszki, jakby ołów.

\* P. Personne preparator w szkole farmacyjnej paryzkiej, zajmował się badaniem pyłku chmielowego zwanego *lupulinem*. Wiadomo, że proszek ten żółty otrzymujący się przez wytrząsanie główek dojrzałych i suchych chmielu, stanowi najważniejszą część w tej roślinie, z powodu swego smaku gorzkiego i korzennego. Lupulin nalany wodą wrzącą, wydaje ciała lotne i nielotne. Do lotnych należą: kwas i olejek; najważniejszym zaś z nielotnych jest także kwas roślinny, i istota gorzka usaletroodniona, rozpuszczalna w wodzie. W niniejszej pracy ograniczył się autor jedynie na podaniu wiadomości o częściach lotnych.

Kwas posiada wszystkie własności kwasu kozłkowego (waleryanowego). Olejek jest lżejszy od wody, niekiedy pięknie zielony, którąto barwę traci za przepędzeniem; zapach jego podobny jest do chmielu, nie działa zaś kwasno, ale po wystawieniu

go na powietrze, ukwasza się i zmienia w żywicę. Wrze około 140° C. i może być przepędzany w 150° do 160°, a nie ulega zmianie nawet po długim trzymaniu w zimnie 17° C. Kwas siarkowy rozpuszcza go przy ubarwianiu na czerwono; z kąd się on znowu wydziela za dodaniem wody. Kwas saletrowy zmienia go w kwas kozłkowy i ciało żywiczne. Roztwór potażu zdaje się na niego nie działać, ale wpuszczając go kroplami na potaż roztopiony, otrzymuje się wodorodek węglowy ciekły, oraz węglan i kozłkan potażu. Widocznie więc przez to, olejek ten podobny jest do olejku kozłkowego.

\* Z prac p. Fremy tyczących się fluorków, okazuje się, że fluor wolny nie mógł być jeszcze dotychczas wydzielony.

J. B...a.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

125. Pięć poematów Lorda Birona (.) Przetłóżył Franciszek Dzierżykraj Morawski. Nakładem autora. Ska. Leszno. 1853. Drukłem Ernesta Güöthera. Kart 4 i str. 272. Rsr. 2.

126 Pompeli Trogi fragmenta, quorum alla in codicibus manuscritpis bibliothecae Ossolinanae inventi, alia in operibus, scriptorum maximam partem Polonorum, iam vulgatis primus anmadvertit, fragmenta pridem nota adnoxit, ac nua cum prologis historiarum Philippicarum et criticis annotationibus edidit Augustus Bielowski Ossolinanae bibliothecae Custos. Accedit notitia literaria de Trogo, et Index. Svo. Leopoli. 1853. In Typographia bibliothecae Ossolinanae. Str. XXVI i 91.

1854.

39. Asmodeusz w Paryżu. Wspomnienia lekarza Polaka, przez Dra. T. Tripplin. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1854. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom 1 str. 281. II, 341. III, 244. IV, 209. Rsr. 4 k. 50.

40. Bandomirowie, powieść kurlandska przez Henryka Laube (.) Przekład z niemieckiego. 12ka. Wilno. 1854. Druk M. Zymelowicza. Str. 303. (do str. IV znalezono rzymskimi liczbami). Rsr. 1.

41. Dra T. Tripplina Podróż przez Saharę (.) ułożona z opowiadań Jakóba Arago i objaśniona przypisami i uwagami. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1854. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 183. II, 164. Rsr. 1 k. 50.



42. Dusza człowieka. Nowy i zupełny wykład nauki o duszy, mianowicie: I. O duchowości duszy, to jest: o własnościach i władzach duszy, i ich przeznaczeniu. II. O nieśmiertelności duszy pojedynczego człowieka odrębnej. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1854. Druk Jana Jaworskiego. Tom I napisów, przedmowy i rejestru kart 21, i str. 267. T. II, kart 5 i str. 460. (W przedmowie podpisał się autor Alexander Łysiński).

43. Elektra (.) Tragedya Sophoklesa. Przekładała Antoniego Małeckiego. 8ka. Poznań. 1854. W księgarni J. K. Żupańskiego (druk W. Deckera i Spółki). Str. XVI i 89. Rsr. 1 k. 20.

44. Historia naturalna ogólna zastosowana do potrzeb życia czynnego i pożytecznego, upożyteczniecie rzeczy i ludzi na celu mającego. Przez Wojciecha Jastrzębowskiego. Wydanie drugie pomnożone. 8ka. Warszawa. 1854. W drukarni J. Tomaszewskiego. Napisów kart 2, listy pren. k. 2, spisu rzeczy kart 5 i str. XLI i 548.

45. List pasterski Wincentego Pieńkowskiego z Bożej i Stołicy Apostolskiej łaski biskupa lubelskiego, z powodu objęcia rządów swęj diecezji wydany. 8ka. Warszawa. 1854. Druk J. Uogra. Str. 47.

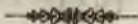
46. Pojata córka Lezdejki czyli Wilno w XIV wieku (.) Dramat z powieści Bernatowicza w trzech odsłonach, z prologiem i muzyką skreślił Emil Deryng. 12ka. Wilno. 1854. Druk M. Zymelowicza, Str. 111 (do str. XIznaczono rzym. liczb.). Kop. 60.

47. Przewodnik dyetetyczny dla używających wód mineralnych sztucznych w instytucjach warszawskich lub wód naturalnych przy źródłach, ułożony z najnowszych dzieł zagranicznych przez M. Studenckiego, lek. klas. i i akuszera w Warszawie. 16ka. Warszawa. 1854. Druk S. Orgelbranda (nakład autora). Str. 93, i rejestru karta 1. Kop. 30.

48. Typy i charaktery, przez. J. I. Kraszewskiego. 12ka. Wilno. 1854. Nakładem R. Rafałowicza, (druk J. Zawadzkiego). Str. 318. Rsr. 1 k. 35.

49. Wieczornice. Powiastki, charaktery, życlorysy i podróże, zebrane przez Lucyana Siemleńskiego. 3 tomy. 12ka. Wilno. 1854. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 263. II, 335. III, 294. Rsr. 3.

50. Zaporozec. Powieść przez autora Listopada. 16ka. 4 tomy, Warszawa. 1854. Nakładem i drukiem Józefa Unger. Tom I, str. 224. II, 235. III, 213, (a rzeczywiście 228). IV. 234. Rsr. 4 k. 50.



### *Doniesienia literackie.*

#### WARSZAWA.

Stanisław Jachowicz przygotował do druku dzieło p. n.: „Książka dla rzemieślników” i drugie: „Śpiewy dla dzieci” z muzyką Ignacego Dobrzyńskiego, K. Lubomirskiego, St. Mouinszki i Józefa Nowakowskiego.

— Powieść J. Korzeniewskiego „Stolnikowicz wołyński” drukowana w Drukarni Warszawskiej, wkrótce osobno opuści prasę drukar-

ską. — Od kwietnia r. b. objął redakcją tego Dziennika jako odpowiedzialny redaktor p. Julian Bartoszewicz.

— Sędziwy w wieku Mrongowiusz pracuje ciągle; obecnie wydał „Kanta Imanuela Rozprawa filozoficzna o religii i moralności.” 8ka. „Teofrasta charakteru obyczajowe“, Epikteta *řekoksigg*, i *Cebes*a Obraz życia ludzkiego.

— W Rydze, towarzystwo uczonych wydaje pismo pod tytułem: *Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichtskunde Liv-Est und Kur*, w którym się mieści wiele rzeczy dotyczących się historii polskiej. W ostatnim tomie, a w 7mym z porządku, są pamiętniki i listy społeczne, w których opisany jest stan Inflant w r. 1601 i 1602.

— Zygmunt Kaczkowski napisał do tej chwili 12 tomów powieści: Ostatni z Nieczujów 4 tomy, Mąż szalony 1 tom. Bracla ślubni 3 tomy, Wuczeta, powieść społeczna 4 tomy. Oprócz tego wykończą teraz dwie powieści dwu-tomowe z obecnych czasów, i Podróż po wschodniej Galicyi. Na przyszłość zamierza pisać powieść z czasów Kazimierza Jagiełłonczyka † Olbrachta, i zajmuje się studiami tej epoki.

— P. Schmidt, wydawca: Wizerunków starożytnych kościołów w Czechach, ma zamiar wydać mapę archeologiczną Czech, zawierającą przeszło 1800 nazwisk kasztelów i takich miejsc, w których odkryto zabytki starożytności.

— W nadwornej i rządowej drukarni w Wiedniu wyszło dzieło majora Sonklar, podające w 10ciu wielkich obrazach przegląd historii malarstwa. Za pomocą tych obrazów przejrzeć można rozwój rozmaitych szkół sztuki, w chronologicznym i synchronistycznym zestawieniu.

— W Pradze wyszedł ułożony przez W. Haukę: Spis bibliograficzny inkunabułów czeskich od r. 1468 do 1526, z 5 tabl. pod napisem: Bibliografie prvotisků ceskych. — Tenże Hanka ogłosił drukiem: Kronikę česką Dalemla, podług najdawniejszego tekstu z wariantami 10ciu rękopisów.

— W Wrocławiu wychodził ś. p. Gustawa A. Stenzel: Historia Szlązka (*Geschichte Schlesiens*). Tom 1szy obejmuje dzieje Szlązka od najdawniejszych czasów do r. 1335. Autor zamierzył dociągnąć historią swoją do r. 1840 w dwóch następnie wyjść mających tomach. Tom 1 dzieli autor na trzy księgi: 1) obejmuje historią od najdawniejszych czasów do r. 1163; 2) Szlązk pod niezależnym księżętami od 1163—1355; 3) najdawniejsze ustawy, wędrówka Niemców, osiedlenie niemieckich wsi i miast, wpływ Niemców na wewnętrzne stosunki Szlązka, ukształcenie, życie i obyczaje.

— Księgarnia dzieł katolickich w Krakowie drukuje między innymi: „Chemią”, napisaną przez profes. Emillana Czurylańskiego, autora słownika chemicznego.

---

† W dniu 28 marca r. b. umarł w Warszawie w sędziwym wieku Hippolit Kownacki znany i zasłużony pracownik na polu literackim. Był on przez lat wiele bibliotekarzem pięknego i zamożnego księgozbioru Po-



tockich w Wilanowie: tam też zwłoki jego z Warszawy przewieziono i pochowano. Tłumaczył Kownacki kroniki Baszki, Galla i w. l.; tłumaczył ustępy Długosza; wiele z akt Górskiego omeścił w Pamiętniku F. Benikowskiego, gdzie mamy pióra jego: „Dzieje w księztwie Mozwieckim od pierwszych początków, do wstąpienia Mazowsza do korony”. W młodszych latach przybywszy na dwór ks. arcybiskupa Poniatowskiego, był jego domownikiem, a niedługo zaufałym powiernikiem i przyjacielem. Na kilka lat przed zgonem, złożył na ręce sen. W. pakiet opieczętowany z wyraźnym zastrzeżeniem, aby był dopiero otwarty po jego śmierci. Z chciwą ciekawością oderwaliśmy pieczęcie, pewni, że znajdą się tam wspomnienia pobytu Kownackiego na dworze prymasa, szczegóły o tej dziejowej postaci i o jego śmierci dokładnie opowiedziane. Ale zamiast tego, znaleźliśmy dwa *hajeciki*: w pierwszym różne baśni o Lechu, Czechu i Rusie z różnych kronik, i dziwołagi o mitologii polskiej; w drugim, z Witykluda przekład o śmierci Wigmana.

Od lat wielu, zawsze rano i popołudzie chodził na Wiejską Kawę, a w przechadzce swojej z pałacu Potockich na Krakowskim-Przedmieściu, odpoczywał na Nowym Świecie na kamieniu przed pałacem księżąt Jabłonowskich. Raz spoczywając na nim, skromnie ubrany, zwrócił oczy swoją postacią na siebie przechodzącego żołnierza, który widząc błędnego starca wsunął mu grosz w rękę. Ucieszyło to wielce Kownackiego (jak sam to później opowiadał) i dał żołnierzowi trzy grosze. Kiedy mu szwajcar tego pałacu doniósł, że kamień na którym zawsze spoczywał, ma być usunięty: przerażony starzec zaraz nazajutrz ubiera się we frak, który spoczywał od lat wielu, spieszy do pałacu, i każe się meldować księżnie Jabłonowskiej. Przyjęty, wchodzi, kłania się, i odzywa w te słowa: — „Mam wielką prośbę do W. Ks. Mości”. — „Cóż takiego?” — zapytała ks. Jabłonowska patrząc na starca błędnie ubranego i sądząc, że żąda wsparcia. — „Od lat wielu, Mości księżno, w przechadzkach moich spoczywam zawsze na kamieniu, który przed pałacem leży; słyszałem, że mają go oprzątnąć: przyszedłem więc błagać łaski W. K. Mości, aby został na swoim miejscu, abym dopóki żyję mógł mieć spoczynek na nim. Bo gdzież strudzony odetchnę?” — Księżna z miłą chęcią spełniła życzenie skromne Kownackiego. Wychowany i wzrosły w opulnych Welterowskich czasach, miał tę cnotę, że z wolnomyślnością swoją i niewiarą nie odzywał się w towarzystwie; umarł przykładnie jak dobry chrześcijanin. Wiele zostawił rękopismów; o tych, które mamy pod ręką, zdamy sprawę w jednym z następnycy zeszytów naszej Biblioteki. (Kilka szczegółów do życiorysu Kownackiego, których tu nie wspomnieliśmy, ogłosił Dziennik Warszawski w Nr. 91 na r. b.).

† Dnia 18 kwietnia b. r., o godzinie 12½ z południa, zakończył życie w Elsnerówce pod Warszawą Józef Elsher, Nestor muzyki krajowej. Urodził się w Grotkowie, w Szlązku, dnia 1 lipca 1769 r. Pochowany na cmentarzu powązkowskim.

—————

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Wzrostek dostawca wzniesione jest 307 0 stopni paradyklic nad poziom morza  
 w roku 1854, 25, 50 to warstwy  
 Wzrostek 1854.

Dnia	Barometr w milimetrach sprężony do 0°					Termometr w stopniach				
	0	10	20	30	40	0	10	20	30	40
1	752.19	752.80	753.41	754.02	754.63	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
2	752.22	752.83	753.44	754.05	754.66	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
3	752.25	752.86	753.47	754.08	754.69	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
4	752.28	752.89	753.50	754.11	754.72	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
5	752.31	752.92	753.53	754.14	754.75	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
6	752.34	752.95	753.56	754.17	754.78	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
7	752.37	752.98	753.59	754.20	754.81	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
8	752.40	753.01	753.62	754.23	754.84	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
9	752.43	753.04	753.65	754.26	754.87	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
10	752.46	753.07	753.68	754.29	754.90	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
11	752.49	753.10	753.71	754.32	754.93	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
12	752.52	753.13	753.74	754.35	754.96	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
13	752.55	753.16	753.77	754.38	754.99	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
14	752.58	753.19	753.80	754.41	755.02	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
15	752.61	753.22	753.83	754.44	755.05	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
16	752.64	753.25	753.86	754.47	755.08	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
17	752.67	753.28	753.89	754.50	755.11	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
18	752.70	753.31	753.92	754.53	755.14	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
19	752.73	753.34	753.95	754.56	755.17	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
20	752.76	753.37	753.98	754.59	755.20	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
21	752.79	753.40	754.01	754.62	755.23	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
22	752.82	753.43	754.04	754.65	755.26	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
23	752.85	753.46	754.07	754.68	755.29	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
24	752.88	753.49	754.10	754.71	755.32	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
25	752.91	753.52	754.13	754.74	755.35	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
26	752.94	753.55	754.16	754.77	755.38	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
27	752.97	753.58	754.19	754.80	755.41	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
28	753.00	753.61	754.22	754.83	755.44	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
29	753.03	753.64	754.25	754.86	755.47	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
30	753.06	753.67	754.28	754.89	755.50	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
31	753.09	753.70	754.31	754.92	755.53	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
32	753.12	753.73	754.34	754.95	755.56	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
33	753.15	753.76	754.37	754.98	755.59	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
34	753.18	753.79	754.40	755.01	755.62	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
35	753.21	753.82	754.43	755.04	755.65	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
36	753.24	753.85	754.46	755.07	755.68	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
37	753.27	753.88	754.49	755.10	755.71	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
38	753.30	753.91	754.52	755.13	755.74	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
39	753.33	753.94	754.55	755.16	755.77	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
40	753.36	753.97	754.58	755.19	755.80	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
41	753.39	754.00	754.61	755.22	755.83	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
42	753.42	754.03	754.64	755.25	755.86	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
43	753.45	754.06	754.67	755.28	755.89	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
44	753.48	754.09	754.70	755.31	755.92	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
45	753.51	754.12	754.73	755.34	755.95	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
46	753.54	754.15	754.76	755.37	755.98	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
47	753.57	754.18	754.79	755.40	756.01	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
48	753.60	754.21	754.82	755.43	756.04	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
49	753.63	754.24	754.85	755.46	756.07	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
50	753.66	754.27	754.88	755.49	756.10	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
51	753.69	754.30	754.91	755.52	756.13	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
52	753.72	754.33	754.94	755.55	756.16	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
53	753.75	754.36	754.97	755.58	756.19	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
54	753.78	754.39	755.00	755.61	756.22	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
55	753.81	754.42	755.03	755.64	756.25	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
56	753.84	754.45	755.06	755.67	756.28	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
57	753.87	754.48	755.09	755.70	756.31	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
58	753.90	754.51	755.12	755.73	756.34	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
59	753.93	754.54	755.15	755.76	756.37	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
60	753.96	754.57	755.18	755.79	756.40	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
61	753.99	754.60	755.21	755.82	756.43	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
62	754.02	754.63	755.24	755.85	756.46	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
63	754.05	754.66	755.27	755.88	756.49	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
64	754.08	754.69	755.30	755.91	756.52	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
65	754.11	754.72	755.33	755.94	756.55	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
66	754.14	754.75	755.36	755.97	756.58	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
67	754.17	754.78	755.39	756.00	756.61	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
68	754.20	754.81	755.42	756.03	756.64	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
69	754.23	754.84	755.45	756.06	756.67	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
70	754.26	754.87	755.48	756.09	756.70	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
71	754.29	754.90	755.51	756.12	756.73	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
72	754.32	754.93	755.54	756.15	756.76	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
73	754.35	754.96	755.57	756.18	756.79	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
74	754.38	754.99	755.60	756.21	756.82	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
75	754.41	755.02	755.63	756.24	756.85	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
76	754.44	755.05	755.66	756.27	756.88	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
77	754.47	755.08	755.69	756.30	756.91	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
78	754.50	755.11	755.72	756.33	756.94	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
79	754.53	755.14	755.75	756.36	756.97	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
80	754.56	755.17	755.78	756.39	757.00	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
81	754.59	755.20	755.81	756.42	757.03	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
82	754.62	755.23	755.84	756.45	757.06	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
83	754.65	755.26	755.87	756.48	757.09	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
84	754.68	755.29	755.90	756.51	757.12	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
85	754.71	755.32	755.93	756.54	757.15	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
86	754.74	755.35	755.96	756.57	757.18	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
87	754.77	755.38	755.99	756.60	757.21	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
88	754.80	755.41	756.02	756.63	757.24	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
89	754.83	755.44	756.05	756.66	757.27	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
90	754.86	755.47	756.08	756.69	757.30	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
91	754.89	755.50	756.11	756.72	757.33	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
92	754.92	755.53	756.14	756.75	757.36	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
93	754.95	755.56	756.17	756.78	757.39	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
94	754.98	755.59	756.20	756.81	757.42	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
95	755.01	755.62	756.23	756.84	757.45	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
96	755.04	755.65	756.26	756.87	757.48	+ 0.2	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.7	+ 6.2
97	755.07	755.68	756.29							



Marzec 1854.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Watorium Astronomiczném Warszawskiém.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, 7, względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	752.19	753.96	760.27	765.51	+ 0°2	+ 1°7	+ 1°6	- 0°1	98.5
2	769.22	770.63	770.21	769.06	- 1.4	+ 0.0	+ 0.2	- 1.7	94.7
3	767.35	766.52	765.20	764.05	- 0.7	+ 0.2	+ 1.1	- 0.6	98.3
4	761.97	761.37	762.43	764.00	- 2.3	+ 1.1	+ 1.6	+ 0.6	96.2
5	758.74	756.59	751.71	749.61	- 0.1	+ 2.2	+ 3.1	- 0.2	83.8
6	753.25	755.50	757.53	761.27	- 3.7	- 0.4	- 1.0	- 4.2	98.0
7	767.08	768.42	768.39	768.12	- 0.6	- 5.1	- 1.7	- 5.7	78.7
8	765.92	765.06	760.91	757.34	- 9.5	- 4.0	- 0.4	- 2.4	80.0
9	751.30	750.01	748.85	746.37	+ 1.7	+ 2.9	+ 4.6	+ 3.0	98.5
10	746.34	747.22	748.43	748.54	+ 4.5	+ 5.6	+ 6.8	+ 5.4	99.0
11	745.96	748.29	748.49	745.02	+ 6.9	+ 6.3	+ 7.2	+ 4.6	76.5
12	745.24	747.30	750.03	753.68	+ 5.4	+ 6.1	+ 6.2	+ 1.6	78.7
13	758.11	759.91	761.66	763.57	- 0.4	- 0.0	+ 0.4	- 0.2	88.5
14	764.80	765.41	764.72	765.34	- 1.0	+ 2.1	+ 4.6	- 1.1	77.0
15	765.80	766.30	766.12	766.80	- 2.9	- 0.3	+ 1.5	- 0.6	83.3
16	766.01	765.10	762.19	757.63	- 3.8	- 0.5	+ 2.7	+ 0.3	79.0
17	755.13	750.77	757.58	758.42	- 0.9	- 1.3	- 0.7	- 1.9	75.5
18	758.42	758.55	757.32	757.62	- 3.1	- 1.1	+ 1.2	- 0.7	81.5
19	757.55	758.13	758.13	758.56	- 1.3	+ 1.3	+ 1.3	- 2.7	86.2
20	758.45	753.35	757.03	753.93	- 3.5	+ 0.6	+ 1.9	- 1.9	83.5
21	751.84	750.59	749.47	750.70	- 2.4	+ 0.8	+ 0.5	- 2.6	89.5
22	752.24	751.94	747.43	742.74	- 4.4	- 0.9	- 1.2	- 0.7	93.5
23	741.64	742.40	738.85	737.85	+ 0.0	+ 2.3	+ 3.8	- 0.4	90.5
24	736.49	737.50	739.32	743.28	+ 0.0	+ 2.1	+ 1.4	- 1.5	91.8
25	744.23	743.48	738.51	735.33	- 1.9	+ 1.6	+ 1.0	+ 2.3	89.5
26	732.31	733.19	737.78	745.85	+ 0.6	+ 1.6	+ 1.5	- 0.5	91.7
27	750.74	753.15	753.98	754.79	- 1.6	+ 0.8	+ 4.5	+ 0.4	72.3
28	753.37	753.16	752.21	752.88	+ 0.0	+ 3.5	+ 3.8	+ 1.9	84.5
29	753.99	755.36	754.11	753.42	+ 2.5	+ 2.9	+ 2.9	+ 2.3	92.3
30	754.51	755.93	756.58	756.59	+ 2.1	+ 4.2	+ 6.0	+ 4.2	88.8
31	755.32	755.42	754.45	755.39	+ 3.6	+ 8.5	+ 10.1	+ 7.0	77.0
Śre.	754.694	755.207	754.832	751.970	- 0°86	+ 1°43	+ 2°47	+ 0°13	86.9

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	śni- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1	och. śnieg	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	Z.	Z.	Pn	Pn.	2.0
2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	-	PdZ.	Z.	
3	och. mgła	mgła	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	
4	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	
5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	
6	pogodny	pochmurny	śnieg	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.	5.0
7	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.	
8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
9	och. d. sz.	mgła gruba	pochmurny	poch. d. mg	Z.	Z.	Z.	PdZ.	4.4
10	och. d. mg.	mży	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.8
11	pochmurny	napót pog.	pr. pogodny	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.	8.1
12	dészcz	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.	7.5
13	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	W.	
14	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	W.	
15	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	W.	PdW.	W.	W.	
16	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.	
17	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	W.	W.	W.	W.	
18	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.	
19	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdZ.	Z.	Pn.	
20	pogodny	napót pog.	pochmurny	pogodny	Pn.	W.	Pn.	PnZ.	
21	pochmurny	napót pog.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Pd.	PdZ.	0.9
22	pogodny	poch. śnieg	poch. śnieg	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	1.0
23	pogodny	śnieg prusz.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Pn.	6.2
24	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnW.	7.4
25	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	poch. dészcz	PnZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.2
26	och. śnieg.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.	3.4
27	pogodny	pogodny	napót pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.	4.4
28	pochmurny	pochmurny	poch. dészcz	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.	
29	pochmurny	poch l. mg.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Pd.	
30	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	Pd.	
31	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.	
Śre.								31.2	30.1



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.926	27	10.656
Najwyżej dochodził — d. 2 o g. 10 r.	770.63	28	5.617
Najniżej — — d. 26 o g. 6 r.	732.31	27	0.630
Średnia zmiana dzienna barometru	5.305		2.352
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 10 r.	19.96		8.848
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	5.977		2.650
Średnia temperatura marca wynosi:	748.949	27	8.006
i ta jest wyższa o	+ 0 <sup>o</sup> .79 C.	= +	0 <sup>o</sup> .63 R.
od stanu normalnego z 28 lat poprzedzających	0.34	"	0.27 "
Największe ciepło było d. 31 o g. 4 w.	+ 0.45	"	+ 0.36 "
Największe zimno d. 7 o g. 6 r.	+ 10.1	"	+ 8.08 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	- 9.6	"	- 7.68 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 8—9 o g. 6 r.	2.074	"	1.659 "
	11.2	"	8.96 "

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 9<sup>o</sup>.7 R. d. 31 po połud.

Minimum: — 7<sup>o</sup>.8 „ d. 7 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 87,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,96 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest równą normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 31,2 milim. czyli 13,83 lin. par.; z śniegu 30,1 milim. czyli 13,34 lin. par.; razem z deszczu i śniegu, 61,3 milim. czyli 27,17 lin. par.; ilość ta wody jest większa o 9,50 lin. par.; od tej, jaka średnio u nas spada.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 6, pochmurnych 20.

— deszczu 9 (d. 9, 10, 11, 12, 23, 25, 26, 28, 31).

— śniegu 11 (d. 1, 5, 6, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26).

— mgły 4 (d. 3, 9, 10, 29).

— gradu 5 (d. 6, 17, 22, 23, 26).

Wichrów było 4 (3 Z., 1 PnZ.).

Wiatrów mocnych 10 (5 Z., 4 PnZ., 1 Pn.).

Wiatr panujący zachodni.

Marzec r. b. w ogóle był dosyć łagodny; pierwsze ośm dni przy wysokim stanie barometru były pogodne, suche lecz zimne; następne pięć, niepogodne, wilgotne, słotne w deszcz obfite lecz ciepłe. W drugiej połowie miesiąc był niepogodny, wilgotny w śnieg obfity i chłodny; ostatnie sześć dni były ciepłe; w ogóle miesiąc ten był o 0,3 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Barometr w tym miesiącu bardzo wysoko się utrzymywał, dnia 2 o godzinie 10 z rana dochodził 28 cali 5,62 lin. par. tylko o 0,19 lin. par. mniej od najwyższego stanu barometru 28 cali 5,81 lin. par. w marcu r. 1826 d. 12; zmiany barometru były znaczne i częste. Śniegi w drugiej połowie miesiąca były obfite. Zadynek śnieżnych zwykle w tym miesiącu panujących, w tym roku nie było.

D. 11, 14, 15, 16, pokazywały się plamy na słońcu.



# PAMIĘTNIK

O

## STANISŁAWIE KONIECPOLSKIM.

PRZEZ

*Severyna Gołębiowskiego.*

### Młodość Koniecpolskiego i niewola u Turków.

„To wszystko z ust jego slyszalem, jako i insze sprawy, dobrze in privato z nim braterskie rozmawiając.”

*Zygmunt Koniecpolski, w rodowodzie domu Koniecpolskich.*

Stanisław Koniecpolski, herbu Pobóg, syn Alexandra i Anny Sroczyckiej, urodzony w 1591 r., pochodził ze znakomitego rodu w ziemi sieradzkiej. W dziewiątym roku ojciec posłał go do Krakowa, gdzie traktował nauki z krewnym swoim Zygmuntem Koniecpolskim, aż do rozruchów rokoszowych. Ojciec, wojewoda sieradzki, jadąc na sejm wziął go z sobą do Warszawy; a po sejmie, kiedy zanosilo się na krwawą rozprawę, odesłał do domu, pożegnawszy go temi słowy: „Mój Stanisławie! ja póki na koniu siedzieć mogę, królowi służyć będę; ciebie nie chcę na krwi braci swojej zaprawiać. Niech cię Pan Bóg chowa do usługi Rzplitej na lepsze lata”. Po uśmierzeniu rokoshu należał do królewskiego dworu. Nastąpiła wojna 1609, na którą król ruszył swoją osobą; Stanisław Koniecpolski nie mógł jechać, nie odstępując łoża chorego ojca; a gdy ojciec umarł, z bratem swoim Przedborem zebrał 200 kopijnika, 100 piechoty, i po-

szedł pod Smoleńsk. Tam przyłączył się do pułku Potockich, krewnych swoich po matce; ale gdy postrzegł nieszczerłość Jana Potockiego, że więcej blizkich swoich jak dalekich krewniaków naraża do usługi Rzplitej; udał się do Karola Chodkiewicza, który go uprzejmie przyjął i narażał w potrzebie. Podczas ostatniego szturmu, Przedbor Koniecpolski, brat Stanisława, został postrzelony i potłuczony przez obalenie się muru; wydobyto go z pod gruzów, ale umarł w skutek ran odniesionych. Chodkiewicz odjeżdżając do Litwy zostawił Stanisława namiestnikiem przy wojsku pod stolicą.

Powróciwszy z wyprawy otrzymał list przypowiedny na chorągiew kwarcianą; zlecił dowództwo Prokopowi Strzyżowskiemu, staremu żołnierzowi, który pod Czarnokozińcami zbit Tatarów, nabrał żywcem i przywiódł do Kamieńca, gdzie właśnie szlachta sejmikowała. Wtedy także pokojowy Koniecpolskiego wioząc z Warszawy chorągiew i kilkaset czerwonych złotych w sakwach, napadł na Tatarzyna błakającego się po pogromie i przyprowadził go z sobą.

Żółkiewski cenił wysoko Koniecpolskiego i wydał za niego córkę swoją Katarzynę. W półtora roku umarła, porodziwszy synaczka, który za nią poszedł, jak gdyby przeczuwał, że źle na świecie bez matki.

Będąc starostą wieluńskim w 1615 r. pogromił i pojął Karwackiego, który z kupą swawolnych ludzi chodził po Ukrainie i dwory szlacheckie najeżdżał.

Król mianował Koniecpolskiego podstolim koronnym, a gdy Żółkiewski został hetmanem wielkim, na buławę polną przedstawił Koniecpolskiego; król oddał mu ją z wielką chęcią (1618).

Koniecpolski powtórnie wszedł w śluby małżeńskie; pojął Krystynę Lubomirską, córkę Sebastjana kasztelana wojnickiego. Z téj żony miał syna Alexandra. Ledwie ćwierć roku minęło po przyjściu na świat dziecka, nastąpiła wyprawa do Mołdawii. Tam jako stawał przy hetmanie wielkim, dzieje świadczą. W bitwie na Cecorze dowodził prawém skrzydłem. Fatalna to była bitwa: tabor prawy zanadto się wysunął i bok wojska szeroko odsonił; Turcy z téj strony całą siłą uderzyli, tabor złamali, piechotę wycieli, i czoło wojska, hussarskie chorągwie, sromotnie ustąpić musiały. Hetmanów sprowadzono z pola, konie za cugle uwodząc, bo do ostatniej chwili zagrzewali do boju swoim przykładem. Koniecpolski gdy chorągiew jego szwankowała



w polu, na czele drugiej wpadł w tłum pogański, i własną ręką dwóch Turków z koni zwałił.

Po tej bitwie popłoch padł na wojsko; drugiego dnia nad wieczorem rycerstwo tłumnie uchodzić zaczęło. Koniecpolski wstrzymywał uciekających i przez całą noc objeżdżał czaty, strzegąc obóz od nieprzyjaciela.

Podczas odwrotu, ostatniej nocy, kiedy czeladź rozerwała tabor, posłyszawszy jednego, który wołał: „uchodzą hetmanowie! ratuj się kto w Boga wierzy!” szablą go przebił. Był w liczbie dwunastu dzielnych ludzi, którzy nie odstąpili Żółkiewskiego do ostatniej prawie chwili. Zaklinał wodza na miły Bóg, żeby się ratował, i konia mu podawał. „Wsiądź ty sam—odpowiedział Żółkiewski—a uchodź, zachowaj się dla Rzplitej, a ja swém ciałem nieprzyjacielowi drogę zawalę”. Za odpowiedź, razem z drugimi przez moc wsadził starca na koń i narzucił nań delią hajducką. Żółkiewskiego koń poniósł w tłum uciekających, a Koniecpolski pieszo uchodził, łuk trzymając w garści, a szablę na temblaku, razem z mężnemi rycerzami Hermanem Denhofem, Abrahamem Złotopolskim, Kurzyjańskim, Zbigniewem Silnickim i z kilkoma rajtarami. Odstrzeliliwali się uchodząc. Tatarzyn jakiś postrzelił w nogę Denhofa; padając dobył z kieszeni mieczek, w którym było kilkaset czerwonych złotych, i zawołał, cisnąwszy nim na Silnickiego: „Bierz, bo mnie już na nic się nie przydadzą”.

Koniecpolski samoszość uszedł do lasu; tam się do nich przyplątał zdrajca Wołoszyn, który obiecał przez Dniestr ich przeprowadzić. Zostawiwszy ich w jednej dolinie, poszedł dla przygotowania łodzi. Położyli się na trawie. Koniecpolskiemu przyniósł któryś wody w szyszaku: napił się i zasnął twardym snem. Wtém go budzi Złotopolski; otwiera oczy i widzi jak zdrajca Wołoszyn, razem z drugimi, których sprowadził, obdziera i wiąże jego towarzyszków. Koniecpolski i Złotopolski bronili się we dwóch jak mogli, ale siła złego dziesięciu na jednego. Koniecpolskiego Wołoszyn z tyłu uderzył w kark węgierką, tak, że upadł bez przytomności; wtedy go Wołoszy związali i uprowadzili, a prostych żołnierzy nagich porzucili.

Idąc do taboru przyszli na miejsce krwią zbroczone, a Wołoszyn odezwał się do Koniecpolskiego: „Jednegośmy tu z waszych sprawili przed wieczorem”. Poznali Wołoszy, że mają więźnia znacznego, nie tylko po osobie, ale i po łańcuchu i po krzyżyku dyamentowym, który miał na piersiach; pierścień ze

znakiem herbowym idąc przez las z palca zrzucił. Ukrył go jeden w swoim szałasie, i dał się namówić, że go do Kamieńca zaprowadzi; ale drudzy pobiegli do perkalaba sorockiego, powiadając, że pojмали znacznego więźnia. Przybieżał perkalab z gromadą ludzi, wydobył go z pod koców, pod którymi leżał ukryty, i zaprowadził do zamku. I z tym traktował, i ten obiecał, że go przez Dniestr przeprawi; ale wieść o pojmaniu więźnia doszła już do Turków, którzy do perkalaba przyszli, powiadając: „masz więźnia cesarskiego, trzeba żebyś go wydał“. Rad nie rad musiał to uczynić. Wzięli Turcy więźnia, wsadzili oklep na chudą szkapę i prowadzili wraz z drugimi do Bośni. W jednym miejscu droga szła górą, a w dolinie las był gęsty; Koniecpolski chciał skoczyć z konia na złamanie karku, spuścić się w dolinę i ukryć w lesie; a i miejsce było sposobne, i Turcy niebardzo pilnując więźniów, biegali z dzirydami igrając. Uprzedził go ksiądz ruski; kiedy on się namyślał, tamten z konia skoczył i w mgnieniu oka ukrył się w rozdole.

Iskiender pasza, któremu Turcy więźniów oddali, zasadził Koniecpolskiego do wieży w Akiermanie. Wieży tej nigdy nie oczyszczano od czasu postawienia. Przez środek przechodził łańcuch wielki, do którego przymocowane były mniejsze łańcuchy. W taki łańcuch i w okowy dostał się hetman polny pan na Koniecpolu. Turczyn, który trzymał straż, dał mu radę, żeby zaniósł prośbę do samego Iskiender paszy o przeniesienie do lżejszego więzienia. Przychylił się do prośby pasza i przeniósł go na salę, razem z Małyńskim rotmistrzem i Naramowskim towarzyszem, a nawet dał się z tém słyszeć: jeżeli mi ten więzień zapłaci 50,000 cz. zł., to go wypuszczę. Pisał o tém Koniecpolski do swojego szwagra Kaspra Denhofs. Ten wielkie staranie czynił, zebrał co tylko mógł klejnotów i srebra, i oddał je do ręki Zygmunтови Koniecpolskiemu, który naładowawszy srebrem dwa wozy pojechał do Gdańska starać się o pieniądze. Dostał 100,000 zł., a gdy więcej dostać nie mógł, już się gotował nazad wracać, kiedy w nocy przybiegł kozak z listami od Denhofs, że już pieniędzy nietrzeba, bo Iskiender pasza zdechł, a syn jego odesłał hetmana do Stambułu.

Emir, który odprowadzał Koniecpolskiego, zostawiwszy go pod strażą w karawanseraju, opowiedział o jego przyjeździe wezyrowi Giurdzi Minhamed paszy, głównemu nieprzyjacielowi chrześcian, który był u Solimana wszechbalwierzem. Wezyr



posłał konia po Konięcpolskiego. Ten przyjechawszy konia uwiązał i czekał ażby go zawołano przed oblicze wezyra, który na dywanie siedział. Zapytał go wezyr surowym głosem:

— Jakoś ty śmiałaś wojować państwa cesarza pana mego?

— Szedłem za wodzem.

— A któż cię ty jest? toś ty nie wódz?

— Nie byłem wodzem, ale porucznikiem wodza.

— Obieraj sobie: albo na muzułmańską wiarę przystań, a pan mój zaraz ci da 50,000 wojska, pójdiesz do Persyi, i co zawojujesz to twoje będzie; albo jeżeli nie, w niewoli żywota dokonasz.

— Uczynić tego nie mogę, bobym Bogu i panu memu wiarę zламаł.

— Idźże na więzienie wieczne, bo już grzech odemnie odszedł; nie moja wina, na mnie nie narzekaj.

Porwali się z dywanu wszyscy i samego więźnia zostawili. Nie wiedział co z sobą robić. Wyszedł z gmachu, aliści koń ów stoi na którym przyjechał; odwiązał go i pojechał nazad. W kilka godzin przypomniał sobie wezyr i zapytał: „gdzie گیاور?“ a گیاور spoczywał w karawanseraju. Kazał go wezyr wziąć na barkę i odwieźć do Jedykuly czyli Czarnej wieży. Zastał tam dwunastu Francuzów, Niemców, Włochów, a między nimi był też Polak z Łasku, który służył niegdyś u Hieronima Łaskiego, wówczas, gdy zebrawszy kupę ludzi, poszedł na pomoc Radułowi. Przegrał Raduła, naszych przetrzepano; a pasza, który pogromił Raduła, chcąc się zalecić cesarzowi tureckiemu, widząc między więźniami chłopca okazałej postaci, wygoliwszy go, kaftan nań piękny włożył i udał za znakomitego beja w Polsce. Hajduk poddał się operacyi i siedział w Jedykule jako ważny więzień. Kiedy przyprowadzono Konięcpolskiego powitał go jak rodaka; rozumiał zrazu Konięcpolski, że to pan jaki, aż on pyta go o Sieradzany, którym służywał i ofiaruje się ze swemi usługami.

Dał o sobie znać hetman do dworu i do szwagra swego Denhofa. Ten kazał kupić kaftan i zaszyć w niego kilkaset czerwonych złotych; więc posłał po Wojnę starszego nad królewskimi Tatarami, i prosił go, żeby mu dał wiernego Tatarzyna, któryby oddał Konięcpolskiemu listy wraz z kaftanem. Wojna postarał się wskok o Tatarzyna, który sprawił wszystko według potrzeby; a gdy powrócił, król udarował go wolnością od służby i kilka włók ziemi w Litwie mu nadał.

Potém przywieziono do Czarnéj wieży Łukasza Żółkiewskiego, Samuela Koreckiego i Włodzimierza Farensbacha, niespokojną głowę, bo i tam ze wszystkimi się wadził, mianowicie z Koreckim. A wtenczas cesarzem tureckim był Osman, którego zabito; wkrótce także i Giurdzi wezyr zdechł; obrano Hussejną paszę wezyrem. Właśnie wtedy przyjechał z Polski wielki poseł Krzysztof Zbarawski koniuszy koronny; pojechali z nim słudzy Koniecpolskiego Kawiecki i Włodek, i traktowali przez posła Betlem Gaborowego. Stało na tém, że mają zapłacić 30,000 talarów kopowych; ale kiedy do liczenia przyszło, Turcy nie chcieli brać kopowych tylko twarde. Kawiecki i Włodek poszli do Zbaraskiego i o tém powiedzieli. Zbaraski oddał wszystkie srebra stołowe i dopełniła się żądana summa. Wezyr dowiedziawszy się o tém, powiedział: „Baczysz tego psa węgierskiego: udawa, że on wykupuje, a to dlatego czyni, żeby go wziął i odwiózł do swego pana, żeby go tam zaowu zdarli. Nie będzie z tego nic: niechaj zaraz odwiozą hetmana do gospody posła polskiego”.

Półtrzecia roku w wieży siedział. Codziennie na dwie godziny zdejmowano go z łańcucha, zostawując na nogach okowy i prowadzono do bani. Na noc kładziono wszystkich rzędem obok siebie, wzięwszy nogi ich w kłode.

Agą téj wieży miał kilka zegarów, z którymi nie umiał dać sobie rady. Przyszedł raz do więźniów i zapytał, jeśliby który nie umiał nastawić zegarów? Koniecpolski na to: „możebym dał radę“. Kazał mu aga iść za sobą. Koniecpolski nastawił mu dwa zegary; nazajutrz nastawił dwa drugie, a jeden z wczorajszych zatrzymał. Tak przez kilka czasów chodził nastawiać zegary.

Czelebina, żona sipajego, opatrywała go chustami; miał i Guza, Turczyną, który mu żywność kupował. Raz gdy Turczyn przez sen zaczął ciężko wdychać i płakać, trącił go Koniecpolski i zapytał: „Czego płaczesz?“ „Jak nie mam płakać—odpowiedział Turczyn—śniło mi się że cię wykupili z niewoli“.

Turczynki mają za dobry uczynek żeby więźniów odwiedzać i dawać im jałmużnę. Przyjechała raz do wieży siostra wezyra Hussejny, nabożna niewiasta. Koniecpolski siedział przy stoliku i grał w karty, a między grającym stała flasza z winem i kieliszek. Turczynka pominawszy stolik poszła do innych więźniów i obdarzyła ich pieniędzmi, dając każdemu po czerwonym złotym. Zbliżywszy się do stolika dała po czerwonym zło-



tym i tym dwom, co z nim grali, a do niego zeicha rzekła pokazując miszek: „To twoje i ja twoją chce być“. Koniecpolski wypił do niej kieliszek wina; ona przyjęła, i obróciwszy się do swoich kobiet poszła na wieżę po wschodach, mieszkciem go do siebie wabiąc. Koniecpolski nalał kieliszek wina i wypił do niej. Widząc, że go zwabić nie może, rozgniewana zesła z góry, i przechodząc mimo niego pluwała trzęsąc mieszkciem.

Kiedy hetman z wieży wychodził, aga, któremu zegary nastawiał, na cześć jego kazał zarznąć kilka baranów i rozdał między więźniów. Darował mu téż laskę, żeby w dobrém zdrowiu do domu wróciwszy, z tą laską chodził. On téż nawzajem dał adze 100 talarów.

A gdy już był u Zbaraskiego na swobodzie, Dąbrowski, sługa jego chodząc po bazarze, zobaczył w pewnym kramie Wincentego Przerębskiego, krewnego Koniecpolskich. Dowiedział się od niego, że jest niewolnikiem u perskiego kupca, i że jutro z panem swoim do Persyi wyjeżdża. Koniecpolski, któremu sługa zdał sprawę, posłał zaraz po Czelebiego, męża onéj branki, która go chustami opatrywała, i jemu całą rzecz opowiedział, prosząc, żeby starania przyłożył o wyswobodzenie Przerębskiego. Czelebi zażył sztuki. Było takie prawo, że sipachowi wolno wziąć z niewoli od każdego kupca brata swojej żony. Tak tedy nauczył żonę: „Skoro Dąbrowski wskaże ci jednego czteka, witaj się z nim jak z bratem, a ja przypadnę i wezmę jak swego“. Przerębski zobaczywszy Czelebinę, wyściskał ją serdecznie, a ona go nawzajem. Pers, któremu niepodobały się te uściski, ściągnął go przez plecy nahajem; Czelebina narobiła krzyku wołając na męża, który z góry wsiadł na Persa, i brata swojej żony odebrał. Pers z wielkim płaczem prosił, żeby mu zwrócono te pieniądze, które zapłacił za niewolnika; Czelebi dał mu 200 talarów bitych i musiał na tém przestać.

Koniecpolski żegnając się z wezyrem prosił o Nikolego Francuza i o hajduka z Łasku; wezyr mu ich darował. Nikoli był u niego kapitanem, a hajduk umarł wrotnym w Ruścu u Jana Koniecpolskiego wojewody sieradzkiego. Ile razy się upił, zawsze płakał na hetmana, że go z niewoli wydobył, powiadając: „Lepiej mi było w wieży: tamem nic nie robił, a brałem na dzień po 6 asprów” (1).

(1) 120 asprów idzie na jeden talar.

Zbaraski puścił się do Polski przez węgierską ziemię; pospieszał jednak mając na baczeniu sztuki Betlem Gaborowe. W Dezy stanął u Degy Janusza, który po polsku dobrze umiał. Pyta go poseł:

— Gdzieś się po polsku nauczył?

— W Polsce służywałem po różnych dworach. Służywałem także u pana Alexandra Koniecpolskiego wojewody sieradzkiego.

— To znasz i synów nieboszczyka wojewody?

— Nietylko synów, ale i synowców.

Wtém przyniesiono wieczerzę; Zbaraski posłał prosić Koniecpolskiego, który przyszedłszy poznał odrazu Degy Janusza. Siła lat upłynęło, więc niedziw, że stary sługa nie poznał w dojrzałym mężu młodego panięcia. Wpatrywał się jednak w niego pilnie, aż z płaczem wielkim porwał się od stołu i upadł mu do nóg.

Zbaraski z Koniecpolskim ominąwszy strażę Gaborowe, szczęśliwie stanęli w Krakowie. Święta Wielkanocne hetman przepędził w Koniecpolu, wśród rodziny i przyjaciół, którzy się zbiegli z blizka i zdaleka.

Dni kilkanaście zabawiwszy w Koniecpolu, hetman z Kasprem Denhofem starostą laickim pojechał do Prus do króla, który był zabawiony wojną z Gustawem Adolffem. Król wdzięcznie go przyjął i oddał mu dowództwo nad wojskiem. Gustaw, który posiadał większą część Prus na odgłos trąby, od tego czasu na łokieć ziemi Rzplitej nie odjął. Brodnicę tylko zdrajca Francuz (1) poddał za jego regimentu, choć prochów i żywności miał dostatek. Sam Gustaw przyznawał, że z człkiem rycerskim ma sprawę i z wielkim wodzem.

(1) La Montagne poddał Brodnicę 4 października 1628. r.



# DWA OBRAZY

Z PAMIĘTNIKÓW JANA PASKA.

## Dedykacya Janowi Z.

Czytuję sobie po wiele razy,  
Co prawił ongi Pasek, gaduła;  
I jego żywe, proste obrazy,  
Tak silnie dusza moja uczuła:  
Że je powtarzać jestem gotowy,  
W rozkosznych chwilach złudzenia,  
Napoty jego i swemi słowy,  
Jak gdyby własne sny i rojenia.

Dola, mój druhu! obu nas nieraz  
W swém macoszyném tuląc objęciu,  
Karmiła czosnkiem; przyjmij więc teraz  
Powieść o czosnku i Janach pięciu...  
A imię Janów niech w pół tuzinie  
Karmazynowców, pełne estymy,  
W uściech i w druku na wieki słynie,  
Dopóki ludziom— starczy na rymy.

## I.

Rakocy wybrał się na czosnek do Polski (\*).

(1657).

Złodziej Rakocy, Węgrzyn szalony,  
Kiedy mu tęskno było z pokojem

(\*) Kartka 4.

A skóra świerzbla: chciał zoskomiony  
 Polskiego czosnku dostać przebojem.  
 Bo ktoś żartował przed nieborakiem,  
 Że polski czosnek celuje smakiem.

Jak niegdys Xerxes w minione wieki,  
 Straszliwą wojnę podniósł na Greki;  
 Tak on w podobnie szczęśliwą chwilę,  
 Zebrał czterdzieści sobie tysięcy  
 Węgrów, Multanów, i drugie tyle  
 Ściągnął kozactwa, a może więcej...  
 I tak do Polski na czosnek ruszył,  
 Swym bohaterskim chełpiąc się czynem.  
 Ale mu dano więcej niż tuszył,  
 Bo okrom czosnku — dzięgielu z kminem!

Jak skoro naszą przemknął granicą,  
 Wnet Lubomirski Jerzy ze swemi,  
 Zbrojno do jego wtargnął się ziemi;  
 I gdzie zasięgnął swoją prawicą,  
 Dokoła niszczył, ścinał i palił:  
 Ziemię a wodę tylko zostawił.

Długo tak znak swój znaczył; a potem,  
 Od stariej matki tego Węgrzyna  
 Zabrawszy okup srebrem i złotem,  
 Znów z perswazyami wyszedł do syna:  
 Żeby tak długo w Polsce nie bawił,  
 Żeby wszystkiego czosnku nie zjadał,  
 I choć na posiew dla nas zostawił...

Gdy mu tak prosby swoje przekładał,  
 My też z Czarnieckim, jako zdołali,  
 Jużesmy dawno posługiwali...  
 I tak się dobrze czosnkiem uraczył,  
 Że stracił wszystko wojsko i zbroje,  
 A sam się w rękach naszych obaczył.

Dalej więc w targi o skórę swoją;  
 Sypnął miliony, i co się zowie,  
 Jak żyd ciupasem unosząc zdrowie,  
 Samokilk tylko do Węgier wrócił.  
 Z liczby zaś swoich przybocznych panów,  
 Jaśnie Wielmożnych przybocznych panów,  
 W zakład wykupu swego porzucił.  
 Którzy w Łańcucie zrazu jadali  
 Na srebrnych misach, wino spijali,  
 A gdy okupu nie widać było,  
 Na chleb i wodę ledwo starczyło.



Potém drwa rąbiąc w kuchni palili,  
I w takiej nędzy żywot skończyli.

Okup zaś przepadł. Lecz pan Rakocý  
Nie miał pokoju ni w dzień, ni w nocy,  
Bo gdzie się zwrócił, płacz i przekleństwa  
Osieroconych po téj wyprawie,  
Wciąż go w zmieszanej ścigały wrzawie...  
I tak niemogąc przenieść męczeństwa,  
Zdesperowany—umarł w niemocy:  
Otóż ci czosnek panie Rakocyl!....

Mówią, że kiedy na wojnę jechał,  
Koń upadł pod nim gdy go dosiadał;  
Matka prosiła, żeby zaniechał  
Owéj wyprawy; lecz on przekładał,  
Ze w tém żadnego nie widział znaku,  
I tylko końskie obwinał nogi.  
A gdy na innym ruszył rumaku,  
Most się załamał gdzieś pośród drogi,  
I znów spadł z konia; lecz nic nie zważał,  
I tylko dyle mostu oskarżał....

Tak często wróżby napozór zwodne,  
Są sprawiedliwe i wiarogodne!....

---

## II.

### Janomachia (\*).

(1660).

„Gdyśmy do Sielec przyszli na leże,  
Dwaj towarzysze, starzy żołnierze,  
Jan Rubiszowski i Jan Wojnowski  
Zmarli, doczesne rzucając troski.  
Dziwna! że dwóch tych ludzi tak żyło,  
Że złe, czy dobre, lecz to i owo  
Zawsze obudwu razem trafiło  
O jednéj porze i jednakowo.

Oba Mazury, oba Janowie,  
Oba żołnierze, oba żonaci,

(\*) Kartka 64.

Obu jednakie siły i zdrowie,  
 Oba jednakiej, jakby dwóch braci  
 Byli fantazyi o każdej dobie,  
 Oba w rejestrze stali przy sobie.....

Pod Chojnicami, kiedy nas w nocy  
 Szwedzi napadli w ciężkiej niemocy,  
 Skłóci, zrabani, za zmarłych mieni;  
 Na bojowisku oba zostali.  
 I oba potem z ran wyleczeni,  
 Królowi Imci wraz dziękowali  
 Za swe pogrzeby; bo gdy z wieczora  
 Wódz ich tak rannych królowi wskazał,  
 Król sześćset złotych dać im rozkazał  
 Mówiąc, że daje nie na doktora,  
 Ale na pogrzeb. To też dostali  
 Po tysiąc złotych, gdy dziękowali.  
 A nierzucając naszej kompanii,  
 Obadwa z nami walczyli w Danii;  
 I jakby sojusz z sobą zawarli  
 Jednakiej doli, czemu dotrwali,  
 Oba w dniu jednym zachorowali,  
 Oba w dniu jednym w Sielcach pomarli.

Jan Domaszowski pogrzeb im sprawił  
 Pełen solennej okazałości;  
 Jam k'woli wszystkich pamięć ich sławił,  
 I na żałobny chleb spraszał gości" ....

W swe pamiętniki powieść tę włożył  
 Ongi Jan Pasek poseł lelowski,  
 A dziś ją z prozy w rymy ułożył  
 Piąty już z rzędu.....

Żytomierz, 1858.

*Jan Prusinowski.*



# NOTATKI

GENERAŁA J. L. Z LAT 1775 — 1778.

Ze starego rękopisu zebrane

PRZEZ

*Józefa Jg. Kraszewskiego.*

---

(Dokończenie).

Pisze pan J. Potocki do hetmana z rekomendacją za JmPanem Niewęglowskim rotmistrzem chorągwi przedniej straży pułku J. K. M., który chorągiew swoją nabywszy, teraz odmianami w wojsku jest zastraszony i chorągiew swoją stracić może; upraszając, ażeby mu krzywda nie była uczyniona i polecając go jako odważnego serca i poczciwego człowieka, gotowego do wszelkich usług. Ale chociażby najpoczciwszy miał tracić, czy dla niego regulamin wojskowy cierpieć ma, aby się jednemu dogodziło? Strażnik mi przysła ciekawą dosyć kopią listu generała artylerji Brühla, do hetmana pisanego 11 stycznia o dziewiątej wieczorem, którą tu konnotuję. Otóż jak ma być niżej zgoda i ład, kiedy ich i w górze nie ma.

„ Miałem honor donieść JWPanu dzisiaj ranną pocztą, że Rada Nieustająca zagroziła mi obszerną expedycją do niego; tylko co mi ją przysłano, i wyprawilem ją natychmiast z pierwszą sztafetą. Król JMość kazał mi przed kilką dniami przyjść do siebie, mówiąc, że Rada Nieustająca prześle mi przez prezesa departamentu wojny, księcia kanclerza Sapiechę, depeszę, abym

ją niezwłocznie do JMPana wyprawił, zawierającą nowy dyspartyment, ułożony przez departament, i że JKMość nie czytał szczegółowie całego planu nowego, ale wie, iż w nim jest sześćuset ludzi więcej niż w planie, który JMPan i Kommissya zrobiła; że JKMość nie zapewnia, żeby ten plan nowy miał być koniecznie lepszy, ale poleca mi komunikować JWPanu od niego prośbę, ażebyś JWPan nie odrzucał planu Rady sucho i stanowczo, ale odpowiedział nań bez złości i bez uniesienia, i odbił argumenta Rady przekonywającymi dowodami; że JKMości insynuacją tę czyni JWPanu przez afekt, lękając się zażrzenia i nieprzyjaciół, których JWPan mógłbyś sobie zrobić. Taki jest rozkaz wyraźny JKMości, który JWPanu komunikować mi polecono. Depeszę tę przesyłam wraz z listami do pana strażnika Mierzejewskiego i podkomorzego Buskiego; przysłano mi także i do Wodzickiego i do mnie, a że wprzód nie chciałem odbierać żadnych pism z tytułem: przydującemu *ad praesens* w Kommissyi wojskowej: teraz mi przysłali prosty list adresując osobiście tylko: JW. hrabiemu de Brühl, generałowi artylerji wojsk koronnych. Szczególniejszy to adres; nie jestem jedynie generałem wojsk, ale generałem korony (?), bo mi taki tytuł przyznano konstytucją. JWPan łatwo zgadniesz czyj to planik; uchodzi on za robotę księcia Antoniego, ale wszyscy myślą, że brat młodszy najwięcej się do niego przyłożył; przynajmniej pewna, że co do Litwy cały jest jego inwencyi, chociaż uchodzi pod imieniem kanclerza litewskiego. Mówił mi to książę generał, zapewniając, że hetman litewski nie przyjmie go pewnie. Sądzę, że panowie koledzy moi nie będą się mogli stawić na wezwanie aż około 10go, ale na wszelki przypadek, jeśliby z nich kilku przyjechało, a był tym sposobem komplet, upraszam JW Pana o rozkazy co mam czynić? 1) Czy mam stać przy moim pierwszym argumencie, że nie mogę zwoływać kommissyi przed 10 Februarii? 2) Gdyby pomimo to król JM. i Rada stawiali koniecznie o konferencyą, co ja mam odpowiedzieć? 3) Ostatecznie jakie są rozkazy JW Pana. Nie posyłam JW Panu listu, który odebrałem od pana kanclerza, bo listy do strażnika i Kurdwanowskiego są słowo w słowo jednakowe: obesłali nas okólnikiem.“ Jeszcze z terażniejszej poczty odebrane wiadomości późniejsze z województwa braclawskiego:

„Nowości żadnych tu nie słyszymy, któreby warte były doniesienia; jedne okoliczności bawią wszystkich w każdym



prawie posiedzeniu, a coraz wyraźniej sentymenta dają się poznawać, tak dalece, że się to już sekretem zwać nie może, albo przynajmniej powolną i cichą radą. Pretendentów do funkcji tuzinami liczyć można różnego gatunku. Podkomorzy łaty-czewski, do którego najczęstsze czynią referencye, w szczerości niektórym odpowiada, aby się nie starali; ale upewnić mogę, że i sam doskonale nie wie, kto się utrzyma. Zawołani do Warszawy tenże podkomorzy i Gawroński, w tych dniach wyjeżdżają, i to nie sekret, że dla umówienia się, które na funkcji mają być utrzymane osoby. Już tedy po skończonych tych w Warszawie obradach, JWPan nas prędzej upewnisz, kogo na tę straszną poświęcą ofiarę. Ale jakoś trudno będzie, bom jeszcze żadnego nie słyszał, aby się oświadczył substancją tracić; płochością wielką ten krok jest teraz nazwany, i te przypadki, które dotąd trapiły kraj, mają początek w żwawości niepotrzebnej dawniejszych młodych posłów, którzy niepotrzebnym uporem swoim, przymuszali sąsiedzkie potencye do gwałtowności. Zgoła najwięcej usłyszeć można jednomyślniej konkluzyi zdań, że lepiej zostawać w wiecznej submissyi, niż w kilkoletniej wojnie i t. d.

„Hetman nasz wiele tu szacowany, i to ma w sobie upatrzone ale, że lubi wojnę proponować. My trochę grzeszymy, że stojąc tu w Podolu ze szwadronem, bezpożyteczni jesteśmy, gdy ja dotąd pod Barem mam lokacyą, i po wioskach tułając się z chorągwiami, ani te exercerować mogę, bo rozłączeni, ani obywatelom usłużyć, a chłopstwo gwałtownie na Wołoszczyznę ucieka. Raporta dają bardzo często o tém, wszystkiém, ale nigdy rezolucyi nie odbieram; i tak choć czasem z domysłu co uczynię, to się lękam, abym tém nie obraził wyższej komendy. Zmiluj się JWPan Dobrodziej, namawiaj tam JW. generała majora do jak najprędzszego wyjazdu ku nam, bo się ckną w takim opuszczeniu zostawać. Ja przyznam się JWPanu Dobr., że tu nie żołnierską czynię służbę, ale sejmikową: włóczyć się tylko muszę ode wsi do wsi, objeżdżając roty, aby komu nie były przykre, wzajemne znowu odbierać wizyty, ze straszną subjekcyą i expensem.

„Major Kiśliński, który był przy Szczerbatowym u magazynów, pisał tu do Podolanów swoich, assekurowanych przyjaciół, aby o ile możności kwity ich wykupywali, a szkodować nie będą na tém, upewnia.

Dopraszam się łaski JW Pana Dobrodzieja, abyś interesowaniem się swoim do JO. księcia Marcina, uczynił mu perswazyą tój absolutności, którój nad szlachtą używa. Imienników moich dwóch, za ustawiczném pochlebném naleganiem zaciągnął w służbę regimentu swego; potóm, gdy tój sukienki krótkiej przyjąc nie chcieli, dał jednemu rotmistrzowstwo, drugi został towarzyszem. Wyniszczyli się ludzie do ostatniego grosza swego, płacy kilka kwartałów nie biorą, widzą regiment zredukowany, meldują o abszyt z intencją przejścia do regimentu JW. generała Kurdwanowskiego; otóż za to wzięci w areszt, odebrali rezolucyą, że Waś nadwornemi będziecie. Towarzysz uwolniony za urlopem przyjechał do mnie, i kazałem mu przez list za tę nadworną podziękować służbę, a rotmistrz prawie od kontraktów dubińskich jęczy w areszcie. Bądź JW Pan Dobr. łaskaw wynajdź na to sposób wyperswadowania JO. księciu tój absolutności, wyrób przez dobroć swoją abszyta, i wnieś interesowanie się swoje do JW. generała, aby byli pomieszczeni w kompucie wojska kawaleryi narodowej lub jego regimentu; bo z żalu do tego księcia obawiam się, abym go sobie gorzej nie naraził.“

Kęszycki widzę frant, albo mu się chce mnie zażyć, czego nie dokáže. Pojechałem do Rogalina, ale o ćwierć mili zachwyił mnie posłaniec z doniesieniem, że pisarz jechał do księżny: obróciłem trakt do Mosiny do Kęszyckiego i zastałem go w domu. Niezarazem go począł patroszyć, ale poczekawszy chwilę pytam, jak byli przyjęci w Warszawie. A on zbywszy to milczeniem, zaczyna mi opowiadać, głęboki polityk, systema przyszłego sejmu: że to sejm będzie nawalny, że nie każdemu tam być posłem, bo zysk wielki. Na co ja, niby to nie do siebie biorąc: „Pocziwemu człowiekowi nic nie ciężko, a zwłaszcza taka funkcya, gdzie człowiek stawa ze swoim zdaniem i trzyma co widzi z dobrem swojego kraju. Słodko jest znosić, choć przykro być może cierpieć.“ Mówiliśmy o wielu okolicznościach, aż przyszło tandem do władzy hetmana. Tu mi się zwiorzył, że Raczyński nie chce być posłem, żeby się tój albo innój nie narazić stronie, bo jedna z nich musiałaby być obrażoną. Powiedział mi, że kanclerz z królem sklejonny zupełnie, i bez niego a jego wiedzy nic prawie zrobić nie można. Ja go tedy: „A cóż W Pan Dobrodziej myślisz trzyma o hetmanie kanclerz?“ Zmydlił, powiada, że w tój materji nigdy mu z nim



mówić nie przyszło, ale właśnie o innych. Zagadłem go: „To tedy zapewne o legislacyi była mowa?“ Na to mi: „Prawie go poznać nie można, co on chce, co myśli, i ku czemu się skłania.“ Inne rozmowy nasze słowo w słowo jak Raczyńskiego z księżną w Warszawie.

Raczyńskiego owa podróż do księżny zawsze mówię i powtarzam, że to czysto pylityka, żeby ludziom pokazać i ludzi, że z księżną i hetmanem trzyma. Niechby go dobrze wymacerowali, bo ja mu taki nie wierzę.

Kasztelan poznański, jak Mosiński powiada, także za tydzień do Warszawy się wybięra. Raczyński go ruszył: już to robota Stackelberga. Ja dziś na całą noc muszę biedz do Poznania, żeby się z kasztelanem zetknąć; dowiem się najlepiej, bo kto umie, to z niego wszystkiego dojdzie, nawet tego, czego nie powiada i unika.

Uwinę się jednak, wyślę na czas, zbiorę co potrzeba, spiszę i przez pewnego człowieka księżnie prześlę, a będzie na czas, bo kości nie pożałuję. Tylko że niemając nikogo do pomocy w takiej chłopskiej pracy, a chcąc co na sejm zrobić, to mnie wiele kosztuje zdrowia, że o wszystkiem myśleć muszę i na wszystkie strony się rwać.

Z téj wielkiej imprezy i zbytecznego krzątania się pod tę porę wiosenną, ażem w łóżku obległ. Nie wiem na czém się to skończy ta choroba nie w porę, alem srogiej codziennój dostał febry; gorączkę miewam codzien po ośiem godzin: nie wiem czy to przetrzymam. Przywieziono mnie na furze z Kłoska o ósmój przed południem schorzałego jak Łazarza. Widziałem, że gdyby trocha dalej, tobym był nie dojechał; nie wiem co się ze mną będzie dziać: posłałem po doktora. Z téjto pracy się doczekałem tego skutku chcąc co zrobić, a bodaj żeby dusza nie wyskoczyła.

Tymczasem będą ludzie i z choroby korzystać, choć ja, byle chwila przytomności, swojego nie zaśpię i dopilnuję. Starosta nakielski przysłał Piotra Rogalińskiego Gurowskiemu proboszczowi, żeby go z Gniezna posłem zrobili. Starostę konińskiego Ogrodzki używa do Warszawy, chcąc go widzę do Raczyńskiego przyłączyć. Szlachta gnieźnieńska męczy mnie srodze, żebym tu był posłem; ale ja się jeszcze nie determinuję. Zobaczę, niechno to chorobsko odejdzie, a człek wprzód na

nogi wstanie. Książę nasz będzie gdzie sobie sam zechce; niech dobiera tytułu jaki mu lepiej brzmieć może; że obożny zostanie, za to się ja zapisuję. Ja widzę, że muszę być pięknie odmalowany u dworu! Żeby mój portret i po ulicach wieszali, będę zawsze przekonany, że uczciwym być powinien, bo się o to całe życie staram. Jeszczebym darował tój przeklętej febrze, ale mi przeszkodziła dojechać do Warszawy i widzieć się z księciem.

Hetman polny łąje o excessa komend w Krakowskiem; a któż ich upilnuje? ja jeden pewnie nie, i teraz z dziewięciu pod aresztem za furtą siedzi. Przez kasztelana Zakrzewskiego, który także do Warszawy sunie, trzeba *ex instanto* pisać do strażnika koronnego; gdyby mnie tylko to osłabienie po gorączce przeszło cokolwiek.

Ledwie się zwłokłem z łózka, a już zaleglój roboty kupka czeka. Dziś mnie doktorowie upewnili, że to minie, ale co ledwie od malignowój febry uwolnili, jak powiadają; może aby się pochwalić. Muszę, choć jeszcze słaby okrutnie, wlec się do Kościana, a tam i dworek mój wilgotny, bo wszystkie dyspozycje po djable, kiedy mnie tam nie ma, i nikogo takiego, którymby się choć z gruba wyręczyć można. Komu Pan Bóg dał rozum, to mu brak animuszu, a ci coby się z motyką na słońce gotowi porwać, oleju nie mają. W komendzie nieład okrutny; osobliwie te krakowskie szwadrony tak były rozuzdane, że ani ich teraz powściągnąć: niema dnia, żeby który do aresztu nie poszedł, ale i to nie pomaga, i jeszcze krzyczą.

A tu za pasem i święty Jan i wyjazd do hetmana; pewnie i kondescensya czeka na dwudziesty trzeci. Żeby choć patrona mego wstrzymał, aby mnie zastąpił, bo w skórę wezmę, niedopilnowawszy się.

Kęszycki pozywa o wykupno Radlina, święty Jan tuż, tuż, a o pieniądzech nic jeszcze nie wiem, przyślą czy nie? I moich tysiąca dukatów nie widać. Goły jestem jak nigdy, w kłopotach jak rzadko. Nie wiedzieć co robić i z tём poselstwem księcia, czy zechce czy nie? Tu już słyszę chodzą wieści, że książę ma być posłem z Kalisza. Dzisiejszą pocztą muszę donieść hetmanowi, że mam to sobie za największą i stateczną obligacyą, teraz mu tu jak najwięcej zrobić przyjaciół. Zakrzewski regent poznański, który księżnie wiele winien, bo go z niewoli rato-



wał, uproszony odemnie z powiatu konińskiego; niechajby i do niego napisali.

Jakoś powoli do zdrowia przychodzę, i nic mnie tak nie restauruje jak stare wino, które za lekarstwo po małym kieliszku doktor pić nakazał. Bardzo się też na ten medykament nie skarżę, bo on dla mnie nie nowy i nie przykry, a do niego kompanów znajdę łatwo. Trzeba też już gwałtem wyzdrowieć, bo się hetmana spodziewamy; a bardzom temu rad, bo pozna raz przecię moje za wszystkich pracę. Ciężko też dłużej wytrwać tak, kiedy nikt słowa dobrego za nią nie powie. Nie ma tygodnia jak pozbyłem się choroby, a musiałem już objechać wszystkie szwadrony; bo o to mi bardzo chodzi, żeby wszelka skromność była. I dają też świadectwa, że każdy ze swego żyje: stacyj żadnych nie wyciągają, extencyi nie czynią. Dokażę tego, że za mego komenderowania skarg nie będzie i żołnierz się przez to do subordynacyi i porządku wciągnie, a obywatel przestanie się bać swojego własnego wojska, jakoby nieprzyjacielskiego.

Ciężko mi tylko na to poradzić, że łąk na paszę dla koni nikt sprzedawać nie chce; ledwie coś uprosiłem u moich przyjaciół, to po kilkanaście koni rozstałem. Ale z tém bięda wielka, że spasać jak to bywało pokątnie, nie pozwolę. Każdą najmniejszą rzeczą samemu się trzeba trudnić: gdyby o guzik szło. Likwidacya się przecie kończy, i w tych dniach się im odeśle: niech sobie na nią jak chcą zęby ostrzą, nie ukąszą tam nic.

Przy płacy żeby każdego regularnie doszło co należy, sam w każdój chorągwi musiałem być, pierwój ludzi rewidując, ile ich jest. Ani oficerowie, ani gemejni za tę płacę długo służyć nie będą; bo u mnie służba ciężka, za każdą bagatel krótko ale dobrze łaje, a jadają bardzo cieżko. Z Kęszyckim bięda i bięda: pozwał o wypłatę summy, zapłacić go nie mam jeszcze czém, utrzymać dalej nie można, a puścić z kwitkiem to będzie znowu gardłował między swojemi i może mi bardzo przeszkodzić do funkcyi. Muzyki nie lubi, a kazałbym mu cały rok na klarnece grać.

Szlachcicowi także oddaćby trzeba, bo mnie niewypowiedzianie ciemięży; nie mówię już że u mnie jé, pije, spi, dniuje i nocuje, ale gdyby cień się za mną włóczy. Żeby choć natrętny albo impertynent, tobyśmy się może powadzili i prędko-

bym się go pozbył; ale taki pokorny, taki polityk, a tak utrapienie nudny, że już mi dojadł gorzej drugiej choroby. Wolałbym gorączkę. Tylko oczy otworzę, jest już na dzień dobry w progę, a wzdycha, a kłania się. Chciejże go racyą odprawić, niezbyty; argumentów ma podostatkiem, a najgorszy *redde quod debes*. Ja swoje poczekaj, a on swoje oddaj. Czy gość, czy interes, czy lustracya, czy exercerunek, lub inna powinność wojskowa, nieodstępny towarzysz wszędzie, jakby go przykleił do mnie. Jeśli mu dalej księżna nie odeśle tych przeklętych 3,000 dukatów, duszę zastawię a oddam, bo mnie czysto w grób wpędzi.

Jeszczem takiego człowieka w trakcie całego mego życia nie spotkał, żeby submissyą i weneracyą, duszę z człowieka wyciągał i tak do żywego dojadł. Przychodzi do tego, że mnie na grzech naprowadza, bo mu choroby życzę, tobym go przecie na ręce felczera mógł oddać, i zamknąć gdzie w alkie-rzu. Począłem był konno jeździć, choć jeszcze niebardzo przyszedłem do zdrowia, żeby się jakoś od niego uwolnić: zachciał mi i tu towarzyszyć. Podał mu Trzebintowski takiego szalonego konia, że na nim mało kto usiedzi; ten się trzyma jak kleszcz, i jeszcze mi konia chwali, że taki z fantazyą. Takiego dopóki świat i korona polska nie widziała, a urodził się wi-dać umyślnie na moje skaranie.

Wracając do mojej komendy, muszę *iterum* pisać do hetmana, aby żadnego patentu na żadne rangi nie dawał bezemnie, póki ja nie powiem o każdym co on wart, bo mi dobrzy oficerowie nad wszelki wyraz potrzebni, a tych, co nic nie umieją i niewiele chcą się nauczyć, mam do sytu. Co po mojej pracy: unteroferowie piękni, gemejny dobrane, jak nigdzie, a oficerów najwięcej pięciu, co swojego czasu dobrzy być mogą. Nakielski pisze do mnie, rekomendując Piotra Rogalińskiego na poselstwo; alem mu odpisał walnie. Bóg widzi, że bardzo mi tę komendę z gospodarką i facyendami, procesami swojemi i cudzemi pogodzić trudno. Tu hetman przybywa do Warszawy, i mnie za nim potrzeba będzie niechybnie, a moja kondescensya 23 przypada, gdzie że o dwakroć blisko chodzi, nie można żartować. Muszę dobrze głową natłuc, żeby ją zali-mitowali do dalszego terminu i postarać się u Bogdańskiego przez Mikorskiego podkomorzego, i u Szczanieckiego, bo ina-czej nie dopilnowawszy się, przepaść mogę.



Febra mi się powraca od polowania, choć mało co się przeziębilem na ptaszkach; licha to warte wszystko z taką zwierzyną, co naboju nie warta, a chorobym znowu napytał. Likwidacya dzięki Bogu skończona przecie zupełnie: *finis felicitatis*; i z tém się nabiedowałem, bo każdy grosz usprawiedliwić muszę. Jak skoro mój kwatermistrz wróci z zagranicy, bo z temi towarami dziś jutro być powinien, zaraz go wysyłam z protokółami do Warszawy. Najdalej ósmego Junii trzeba żeby staął na miejscu. Święty Jan nadchodzi, a moich 1,000 czerwonych złotych nie widać, ani słyhać: golizna zwyczajna, a potrzeby nadzwyczajne.

Tak z zaszłych między pierwszemi osobami kłótni, jako i tłących się dotychczas między niemi zobopólnych niesnasek, na sejmie przyszłym spodziewać się potrzeba wielkiego zamieszania. Księżę marszałek Rady Nieustającej, w grodzie warszawskim na wyjeździe swoim do Wielkiejpoli zaniósł manifest przeciw księciu marszałkowi wielkiemu koron. pod datą 27 Junii, w którym ponawia swoje żale o wyrugowanie żydów z Jerozolimy Nowej. Na wstępie tegoż manifestu przytoczywszy prawo Kazimierza III, zalecające, aby urzędy pierwsze godnym osobom powierzane były: wyraźnie dodaje, iż takiej godności zaszczyty życzył sobie znajdować w osobie księcia marszałka wielk. kor., czego jednak przez przypadki na sobie ziszczone inaczéj doświadcza. Już powtórny król JMci pruski wydał uniwersał, ostrzegając świeżo za kordon jego weszłych obywatelów, jako i tych, którzy jakiegokolwiek w państwach jego mają possessyę, aby się na sejmie przyszłym znajdować nie wazyli; ktoby zaś mimo tego ostrzeżenia lub krzesło senatorskie osiadać, lub poselską funkcją sprawować wazył się, dobra jego nieochybnéj podpadną konfiskacyi. Ostrzeżenie takowe bardzo wszystkich zadziwia.

Miasto Gdańsk statecznie króla JMci pruskiego przemocą uciśnione, nie mogąc się żadnego, od rzeczypospolitéj doczekać wsparcia, odzywa się do niej z dawną pretensją o dług na 4 miliony z prowizją wynoszący, jeszcze za Jana Kazimierza zaciągniony. Są tacy, którzy twierdzą, że go będzie musiała wypłacić rzeczpospolita, gdyżby się może Gdańszczanom uprzykrzyło rządzić cierpliwością, a tak dla odzyskania swojej własności, jako i oswobodzenia z ceł uprzykrzonych handlu, rezolwowaćby się mogli pójść pod rządy pruskie.

Książę Henryk pruski w kompanii księcia wojewody ruskiego, już od kilku tygodni, (jako słycać z Warszawy) wyjechali z Petersburga. Cała kompania do 70 wynosi osób. 15 lipca znajdować się mają w Oliwie, dokąd na powitanie wyjechali ztąd: miecznikowa koronna Humiecka, ksiądz koadjutor kujawski i oboźny koronny Krasieński.

Feldmarszałek Romansów w téj kompanii nie znajduje się: słabe zdrowie jego od téj go ekuzowało podróży. Pasterz nasz ksiądz biskup poznański, chcąc jak najprędzej przyprowadzić do skutku lustracye szpitalów, kommissyi, której on jest prezesem, ostatnią konstytucyą zleczone, obligował biskupów, aby lustratorowie wyznaczeni chcieli i tę dla Rzeczypospolitej uczynić przysługę. Także i książę biskup wileński wydał w tych czasach do proboszczów dyecezyi swojej uniwersał, ale w różnej daleko materji; obliguje albowiem ich, aby dezertorów regimentu Massalskich łapali i do komendy odwozili. Komendant tego regimentu JP. Roulleur bardzo grubo ze szlachtą tamtejszą postępować sobie poczyna. Hajduka chorążego smoleńskiego ludzie jego zawerbowali; ten uciekł do pana: najeżdżają dom jego ludzie regimentu Massalskich, hajdukowi kilkaset kijów nie żałując, a chorążemu 50 liczą. Za ten gwałt komendanta przecie areztować mają, jeśli się prawdą wszystko okaże; pewnie że nie ujdzie kuli, czego mu życzę.

Nadbiegła w tych dniach do Warszawy sztafeta do dworu od kommissarzów polskich prowadzących rozgraniczenie Polski od państw cesarskich, że czasem przypada granica przez wieś; czy ją więc dzielić na dwie części, czy téż ma nastąpić zamiana w proporcji waloru, osiadłości i gruntów jaka się okaże. Słycać téż, że ma być w Paryżu złożony kongres na zgodzenie dworów hiszpańskiego i portugalskiego, lubo mimo téj pogłoski obadwa te mocarstwa wszelkie do wojny czynią przygotowania. Anglia wystanego wojska przeciwko osadom amerykańskim przeszło 50,000 liczy, a w téj liczbie posiłkowego, z Niemiec najetego, 17,000 znajduje się.

Że JMć pan marszałek wielki koronny rezyduje teraz w Łancucie, u którego znajdował się niedawno z Litwy powróciwszy pan hetman, i że ci panowie oba na sejmikach ruskich przytomni być mają, to także słycać bardzo.

Zapytuje pan Jan S. co ma czynić z wolencyą przez kozaków mu wyrządzoną: czy się manifestować albo nie, dodając,



że skarga jednego obywatela osobista, zaszkodzić nie może. Niech czyni jak chce. Donosi mi zarazem, że w Zakroczymskim posłów czterech: jedna para pan Ogrodzki z Łempickim szambelanem; druga Wołowicz z Zielińskim; młodzi ludzie przecież z jakąkolwiek byli rezolucją. Z Łomżyńskiego nie ma wiadomości, tylko słyhać, że paść miało niemało trupa.

Z Warszawy mi donoszą, że podług uniwersału JKMcI d. 15 Julii odprawił się sejmik przedsejmowy, przez JW. Alexandrowicza kasztelana wiskiego, marszałka dworu N. Pana zagajony, którego marszałkiem obrany JP. Szamota stolnik sochaczewski, a posłami na sejm JMPP. Mokronowski generał inspektor wojsk koronnych i Sobolewski pisarz ziemski warszawski. Od JKMcI na ten sejmik wyznaczony poseł JMP. Popławski stolnik braclawski, przeczytał uniwersał na sejmiki przedsejmowe JKMości.

Podczas tego sejmiku przybyło dwóch oficerów rossyjskich z deklaracją JW. JP. Stackelberga posła Rosysi, i tę oddali Alexandrowiczowi kasztelanowi wiskiemu, który zabrawszy głos, oznajmił ziemi warszawskiej na sejmik zgromadzonej, że JP. Wigel obersztlejtant wojsk rossyjskich, imieniem monarchini swój deklaracją zgromadzonej ziemi warszawskiej podaje i żąda, aby była przeczytana. Zaraz tedy tę deklaracją JMP. Skulski czesz. warsz., asesor koła rycerskiego, przeczytał, której treść, że imperatorowa JMć wielkie dla ziemi warszawskiej oświadcza względy, i dla zgładzenia rozsianych wieści i przewencyi, jakoby miała czynić przeszkodę w elekcyi na przyszły sejm, życzy owszem takowych obrać posłów, jakowi mogą być najpożyteczniejsi dla dobra publicznego; i cokolwiek da Bóg na przyszłym sejmie uznają być pożyteczniejszego i do poprawy rządu skuteczniejszego, to wszystko dla uszczęśliwienia królestwa polskiego przyjąć i aprobować deklaruje.

Cała ta deklaracja w generalnych terminach ułożona, wyrażała życzenia dla kraju i sprzymierzonych z nim traktatami najlepsze. Po tej deklaracji czytane były listy z punktami do instrukcyi, jako Rzewuskiego wojewody krakowskiego, księcia marszałka w. koronnego, księcia Radziwiłła wojewody wileńskiego, hetmana i innych do zakonotowania oddane.

Sejmik był dosyć liczny i podług dawnego zwyczaju wiele głosów *nie pozwalam* dało się słyszeć. Były także godne

uwagi głosy rekomendujące punkta do instrukcyi obranym posłom; między innemi najciekawszy głos pana Witkowskiego burgrabiego grodzkiego warszawskiego, żalący się w 3ch punktach: 1) że tego z kondescensyi powracającego pod Kaliszem w roku 1772 wojsko, pod komendą generała Glesmera mocno poraniło i skrzywdziło, a w obdukcie i manifesta poczynił, i na świadectwo *tot testis quod cicatricis* dowodził; 2) że wojska obce miały wyjść z kraju, i to upewniono było przez publiczne deklaracye, czytane na przeszłym sejmie, a dotąd w Polsce zostają, które kwaterować i żywić muszą. Wyraził się w ostatku: „Wieleśmy od swojego własnego żołnierza ucierpieli podczas zamieszania krajowego, ale gdy po zamieszanu nastąpiła spokojność, utraciliśmy w trzech prowincyach znaczne kraje koronne, a i wojska obce utrzymywać musimy, zostając pod protekcyą N. Pana w téj stolicy, jak orłéta pod skrzydłami; zaczęliśmy wojskom tym kwater i żywności nie dawali expostulujem. 3) Wojska tak bitne nie powinny się rozpraszać po kwaterach, ale ile teraz lato, powinny stać pod namiotami; przeto aby z Warszawy sobie w pole wymaszerowały pod namioty, do-praszać się powinniśmy u N. Pana i t. d.“

Wyznaczono więc posłów do JMP. Kłopockiego podkanclerzego rawskiego i Rogowskiego chorążego warszawskiego, z instrukcyami, upraszając o ewakuacyą. Takowy głos poparł JWP. Wołuński podczaszy warszawski, i przeczytał dwa bilety z doniesieniem, że JMP. Staniszewskiemu sędz. warsz. do dworu przysłano żołnierzy na kwaterunek.

Po zakończonym sejmiku, JMP. Makronowski poseł uprosił wszystkich urzędników i szlachtę na obiad do siebie w refektarzu księży Augustyanów sporządzony, i tam hojnie wszystkich częstował. Dwór odebrał już wiele sztafet o sejmikach, gdzie którzy posłowie stanęli spokojnie, a gdzie zaszyły kłótnie i podwójni obrani posłowie, o czém obszerniej później donieść obiecuja.

Obszernie téż o wołyńskich elekcyach odebrałem notatę z 26 Julii, z Rownego, którą także konotuje. Przysposabiają się sejmiki dotąd z wielką forsą i przewagą familii. Pisano nalegając do podkomorzego łuckiego; do łowczego koronnego także przyjsć mają listy, ale się jeszcze z niemi wahają. Łowczy na nie formalnie oczekuje, a bez nich nie podejmie się słysząc funkcji; tém bardziej, gdy książe generał podolski nie



puszczony do Brześcia, na tym tylko przypadku przestał, nierobiąc innych sejmików, coby jako z równych przyczyn uczynić należało, boby każdemu miléj było utrzymać się i nie utrzymać w takowéj kompanii. Jeżeli zaś łowczy koronny nie przyjmie téj funkcji, i Zagórski, lubo zagrzany tą expedycją, pewnie się cofnie, a drudzy nie widząc przed sobą tych osób, których dobra w narodzie znajomość, i z szacunku ich zacności, i przymiotów, i kredytu dobrego *in populo*, pewność i wagę uczyniłaby, umkną się nieomylnie. Koniecznie tedy listem swym potrzebują z Puław pism nalegających do łowczego, za którego charakter i cnotę zaręczają, a wszelkie *supposita* o nim znoszą formalnie.

Do tych dwóch posłów, myśli dyrygujący dobrać jeszcze czterech: chorążego wołyńskiego, księcia Józefa Lubomirskiego, księcia Antoniego Czetwertyńskiego i Jerzego Falkowskiego; sam bowiem dał słowo ambassadorowi, że posłem nie będzie i chce go dotrzymać. Do chorążego koronnego mają téż z Puław pisać, aby jako niepuszczony do Winnicy, drugi zrobił sejmik pod inną datą, i dobrał sobie za kolegów podkomorzego braclawskiego, sędziego ziemskiego bracl. księcia Janusza Czetwertyńskiego, sędziego grodzkiego winnickiego, Podolskiego cześnika braclawsk. lub Wisłockiego podsędka; a tak z jednych i równych powodów gwałtowności okazujących, jedna elekcya drugąby wspierała, i prawdziwie chybaby albo na tém pęknać musiał zjazd sejmowy, lub pójść *combinative*. Inaczéj niewielka liczba podwójnych elekcji zatarta być może, a gdy ich więcéj się okaże i wejdą w nie tak wielkich imion osoby, względ jakiś uzyskać muszą.

Do Puław posłał dyrygujący kuryera w tym interesie; gdzie, że nie było jeszcze księcia marszałka w., koron. obojętną odebrał odpowiedź od pisarza W. koron. żeby mieć i manifest i posłów.

Na czém się to skończy, przewidzieć łatwo.

\* \* \*

..... Trochę mi się ulżyło zajęcia wojskowego, i na czas zostałem znowu, dawne lata przypominając, wieśniakiem; mogę nawet powiedzieć piecuchem, bo od komina do komina jeżdżę, a zem nawykł już do roboty, to mi za nią niekiedy i tęskno. Zgola, jeżelibym umarł zawczasie, gotowy nagrobek dla mnie: uro-

dził się, ochrzcił i umarł; bo tój pracy com ją w życiu miał, niktby się nie dopatrzył. Jak prędko człek dziś nie księdzem, to pewno największy zaszczyt, że szlachcicem umrze. A przecie będąc księdzem, dobrze jest zostać proboszczem, potem kanonikiem i oficyałem, naostatek i biskupem. I tak nie uczyniwszy wielkiej w kraju akcyi, dobrze jest złożyć rękę do parykroć sto tysięcy zbliżyć się intraty, i dobrych w każdym rodzaju używać sobie wygódek. Żebym dziś był wolny do obioru stanu, pewny ksiądz ze mnie; żołnierski zaś ów najcelniejszy stan, wcale w Polsce zbankrutował, bo sam na to patrzę, że od początku oddania mi komendy, wszyscy do Opatrzności modlą się, z nią żyją.

Przyjechałem do Pyzdr, gdzie mnie zagnał *insperato* list hetmana dla sejmików; z tym listem wozic się musiałem, aby go sobie po powiecie czytali i tłumaczyli jak się komu podoba lub jak komu trzeba. Już we wszystkich powiatach zabezpieczyłem osoby; w jakich zaś jestem znowu sam obrótach, ciężko wypowiedzieć, bo się ciężko opamiętać. A tu mi figle płatają i podstępny obmyślają co krok, że włosy na łbie drzeć, gdyby w tój głowie oleju nie było. Chcąc upewnić konińskiego starostę, że będzie posłem z powiatu kościańskiego, gdzie ja mam najwięcej przyjaciół i adherentów moich, ustąpiłem mu funkcyi w dobrej wierze. Cóż się dzieje? aby go odwieść od tego, różnych używają fortelów; spostrzegli wreszcie, że ambycją ma i do wyższych urzędów pnie się: kasztelanią więc kaliską do kupienia mu podstawiają. Mój starosta na to jak na lep poszedł, i posłem już nie będzie; recessuje się i od wszystkiego umywa ręce; woli krzesło spokojne. Koniec ciekawy dalipan. Posłali akordować o kasztelanią. Poznański kasztelan całej tój roboty instrumentem. Znowu tedy nie wiem, kogo w kościańskie forsować, ale znajduję przecie kogoś, co nam, po woli będzie; wszyscy, którychem dotąd na myśli miał, słabi. Teraz jadę w gnieźnieńskie; chcę tam czterech posłów zrobić, tojest i Kcyńskich w Gnieźnie promowować będę. Słyszę, że starosta Lubintowski i ów partysta Kwilecki z elekcyą dla bezpieczeństwa chcą się aż na wieś wynosić, aby się utrzymali drudzy posłowie kcyńscy; a roznoszą tu wszędzie, że są wcześniej zapewnieni potwierdzenia w Warszawie. Kwilecki przyniósł listy od posła i niemi świeci wszędzie; miał je do poznańskiego kasztelana i do Raczyńskiego. Staną za ordynanse.



Dałby mi teraz każdy świadectwo, że się z wieśniaka znowu w kursora przemienił, bo nocy nie mam dla tych sejmików i całe dnie za nimi latać muszę, a to sam jeden prawie, bo reszta flegmatycy. Radoński wątpię żeby tu co zrobił: wiele ma wszędzie nieprzyjaciół; jedzie do Pyzdr.

Z wojewodą poznańskim widziałem się; dobrze gada, ale u siebie tylko w czterech ścianach. Niewiele na niego rachować można; jedzie on do Poznania na sejmiki; nie pomoże, nie zawadzi, tak z nim, jak bez niego.

Sokolnicki starosta będzie z Gniezna. Przyjemskiego też tam z sobą biorę, a mam dotąd wszelką nadzieję, że utrzymam robotę, tylko trzeba mi wcześniej zamawiać posłów, żeby Kcyńskich przez naszą partję obranych utrzymać w Warszawie, bo może być elekcyą rozerwana. Na mnie forsę okrutną ze wszystkich stron, jakbyto mnie nie dopuścić; szczęściem, że trudno, i poznać muszą, że ognistych mam przyjaciół i w kaszy się zjeść nie dam. Do tego przyszło, że księgi po grodach rewidowano, czy kiedy na mnie jakiej kondemnaty nie było; ale na taką nowalią nie trafili.

W Kaliszu grzmot wielki będzie niechybnie. Sarawelscy ze Skoczewskim gotowi za łby i do szabel: rozjątrzenie ogromne. Jak widzę, trzeba by wcześniej w różnych punktach felczyrów obmyślać, bo będzie dla nich robota. Gurowskiemu marszałkowi oddałem wczoraj list hetmana; przeczytał i odpowiedział. „Będę trzymać to pewna, byleśmy nie przesolili“: to są własne słowa jego. Raczyński, nie mogę inaczej powiedzieć, tylko że politykuje i ostrożny. Smutny czegoś, nikomuby się narazić nie chciał i umknąć rad, gdyby tylko można. Siedzi w domu zamknięty; nie wyjedzie aż na sejmik. Poznański kasztelan, daj mu Boże zdrowie, najlepiej forsuje: cała robota na nim tylko, ale mnie się strzeże.

Chwała Bogu, że się choć aby jednego kłopotu pozbył, bo z Kęszyckim przecie skończył ugodnie, nie narażając go sobie. Reces od zaniesionego manifestu uczynił, reklamował, pretensyj nie ma żadnych i tych się solemniter rzekł. To wszystko *officiose* zrobił.

Nigdy się już chyba w życiu na obietnice spuszczać nie będę; zawsze to sobie święcie przyrzekam, a dotrzymać ciężko. Jak człowiekowi słowo dadzą i zapewnią, da się wziąć znowu

na tę plewę. Ot i teraz z łaski pana strażnika, że mi mojej należności nie odsyła, mogę mieć wielki kłopot i wstyd niemały, a ludziom będzie radość wielka. Te summy, o które mnie procesowano, że dekret *solutionis* umyślnie przepuściłem dufając obietnicy, iż pieniądze mieć będę, grożą mi utrapieniem. Dukatów nie widać; odprosiłem się rachując na przysłanie *ad ultimam praesentis* z wypłatą. Tymczasem już listami awizują, że wioski mi zajeżdżać mają. Choćbym tu i po 10 od 100 prowizyi dał, taki nacisk o grosze, że ich nie dostanie. Męczą mnie to, bo i uprzykrzać się muszę i wiadomi panowie będą mieli wielką radość, jeśli mi wioski zajadą i wstydu narobią. Posyłam znowu z gwałtem o moje pieniądze, ale w kassie księżny zawsze pustki.

..... (Kilka kart brakuje).

2 Augusti. Po sejmiku w dwie niedziele następował generał w Poznaniu (sejmik generalny), i czyniąc zadosyć prawu, tylko com miał wyjeżdżać na generał, aliści wpada do mnie przyjaciel z zawiadomieniem z Poznania, że miasto otoczone dokoła, wszystkie drogi i najmniejsze ścieżki poprzecinane, wszędzie warty stoją, i każdego przyjeżdżającego dopytują kto taki, a uważają czyli to nie ja czasem. Od mojej komendy, od szwadronów przyjeżdżający, całkiem nie byli do miasta puszczeni; musieli się nazad jak niepyszni powracać. Daje mi znać o tém jeden i drugi, przyjaciele ze wszystkich stron, tak dalece, że w pół godziny potwierdzenie téj wiadomości zewsząd odbieram i oczywiście djabli mnie biorą.

Niezważając jednak wcale na doniesienia, jadę: Nie biorę z sobą nikogo, tylko powóz i dwóch ludzi do usług. W samą wigilią generała staję przed miastem opodal, gdzie pierwsza pikietta: dwudziestu pięciu i oficer kapitan. Natychmiast jak mnie tylko zoczył, powitał i powiada, że ma rozkaz abym się wrócił, bo mnie nie puści do miasta. Ja tedy już pod samém przedmieściem zostałem na mieliźnie i siedzę w polu patrząc tylko na Poznań. Jeszcze dobrze, że tak bez żadnego towarzystwa przyjechał, bo rozgłosili zawczasu nieprzyjaźni, że mam gotów atakować patrole i siłą się przebijać; a ja nie myśląc ni o czém, osobno nawet mam po szwadronach ludzi, a osobno konie. Do tego bez ordynansu na to, żołnierza ani cienia jego dla prywaty pewniebym nie użył.



Coż dalej? Pytam kapitana, czy ma na to ordynans? Powiada że ma; proszę go żeby posłał do majora bilecik mój i piszę zapytując, co to się dzieje i co znaczy? Czemu mnie do miasta wpuścić nie chcą? W kwadrans jest i odpowiedź i komplement razem bardzo grzeczny, ekzując się, iż to nie jego wina, że takie są rozkazy wyższe, a puścić mnie do Poznania na generał żadną miarą nie może.

Śmiałem się patrząc na przygotowania, że na mnie się sposobiono, jakbym siłą miał się przebijać: nawet armaty i piechota wystąpiły. Ja nie chcąc odjechać, czekam w polu na zaczęcie generała, w największą flagę, dęszcz, pioruny i burzę do samej nocy.

Co mi służyło to moje zmartwienie, to obywatelskie serce braci szlachty; co tylko było obywateli w mieście zamkniętych, a liczyli ich przeszło 1,000, i pewnie tyle się zgromadziło, dowiedziawszy się co się święci, hurmem ruszyli do księcia wojewody poznańskiego, oświadczając, że do niczego nie dadzą przystąpić, jeśli ja nie będę przypuszczony; dodając, że dobrze wiedzą, czyje to są figle. Książę posłał notę do majora, ale ten odpisał ni to ni owo politycznie. Mamy oryginały. Tu się pokazało kto ma przyjaciół: rejwach wielki.

Jeden z krewnych Radońskiego wprost przystępuje do Gurowskiego marszałka lit., i w oczy mu powiada, że wiemy, czyja to sprawa panie marszałku; ale wet za wet oddać potrafim. Gurowski się na wszystkich świętych zaklina; nie pomaga nic: krzyk, wrzawa, aż musiał umykać. Stał cały czas w stancyi komendanta, otoczony swojemi i wartami dookoła; nigdzie już z domu nosa nie pokazał, tylko się u siebie bawił. Nawet na generale nie zasiadał, bo się moich obawiał.

Ja tymczasem z przedmieścia list do generała piszę, dopominając się o moję krzywdę i onę wnosząc. A tak się stało, że ten list mój publicznie czytano. I nim się generał począł, deklaracya stanęła bardzo śmiało, popierająca stronę moję. Krzyknęli wszyscy: „jeżeli jego i Radońskiego tu nie ma, zatem żaden poseł choć w rozdwojonych sejmikach zasiadać nie będzie. Kiedy jednych za murami przytrzymało, niech i ci co są w murach nieczynni zostaną.“ Tak się też i stało: chodzili po ulicach, a *ab activitate* zawieszeni zostali, w akcji żadnej mocy nie mając. Dosyć, że i tak jam na swoim dobrze wyszedł i wygrał sprawę.

Chcieli posłowie, jakoto: Raczyński, Małachowski, Skórzewski, Zakrzewscy, przebieć się do mnie i choć w polu, *suć Jove* złożyć drugi generał; ale w senatorach serca, a osobliwie pierwszym zabrakło, prawda: że ulewa była rześista. Dobryto pan, ale odwagi mu Pan Bóg nie dał; do mnie osobliwie przywiązany, cóż kiedy bojazliwy. Najśmielęj się okazali Raczyński, Małachowski *et principaliter* Skórzewski.

Gdy więc musieli nareszcie złożyć generał, moję instrukcyą przyjęto i dołożono, aby nasamprzód mego pokrzywdzenia dochodzić i pełnomocnego posła o to się pytać. Tak rzeczy sprawiwszy, oddaliłem się o pół mili od miasta weselszy; ale mi dodano kilku aniołów stróżów, którzy za mną skrós jeździli, choć bardzo grzecznie. Nawodziłem się ich dosyć, zabawiłem z nimi i uśmiełem; cała to moja rozrywka była w tém strapieniu.

Bnińskiego starostę sokolnickiego, kolegę mego, który z miasta się ruszył, już nazad nie wpuszczono. Wyjechał był do Rogalina i zaraz w godzinę wysłał komendant do Raczyńskiego, żeby go z sobą do karety nie brał, bo wybaczyć będzie musiał, że z nim i samego Raczyńskiego nie puści. Bniński ruszył konceptem: wdział burkę, zasmolił sobie twarz gdyby cygan, i piechotą wszedł do miasta. Dowiedziawszy się o tém, chciano go aresztować, ale tak się wykręcał, że go nigdy na stancyi znaleźć nie mogli, bo ciągle po cudzych kwaterach siedział. Mnie ta sztuka nie uchodziła: trzeba było albo bramą w biały dzień, albo nie.

Wszystko to nie czyja, tylko Gurowskiego kochanego sprawa: stał u komendanta i obracał nim jak sam chciał, a pilnowali gagatka, jak drogiego klejnotu, żeby mu się co nie stało. Młodszy Bniński temu był przyczyną, bo go bardzo przestraszył, krzyknąwszy: „Poczekaj ptasiu, złapię ja ciebie.“ Żeby nie Raczyński, byłoby może z Gurowskim gorzój.

Jak tylko generał się skończył, bramy natychmiast otwarto i wpuszczono wszystkich, a ja z mojęj peregrynaeyi poza murami i ochoty ze stróżami memi, powróciłem do miasta. Obywatele oczekiwali na mnie, wszyscy witali najśłodziej, dając znak jak szacują, że się niemal do łez rozczulił. Bniński starosta sokolnicki dał bal otwarty i wspaniały. Przyszedł nań chwilkę i ten impudent Gurowski, ale jakem ja tylko wszedł, a dali mu znać, bo miał widać nasadzonych co tego strzegli,



zaraz umknął i znikł mi jak kamfora. Za co mam mu prawdziwą obligacyą, że mnie od awantury uwolnić raczył.

Instrukcyja dobra: wszystko w niej jest, ale skomunikować się z nikim nie mogę, bo listy moje przejmują wszędy i słysząc nawet, że mnie téż do Warszawy nie mają puścić. Już téż ledwie chodzę: dzień z nocą jedno dla mnie, zdrowiem zrujnował i mało co zrobił. Komendy muszę strzedz jak we łbie oka, żeby z przywiązania do mnie nie zaczepiła kogo; okazyi nie ciężko, a z ładu iskierki wielkie nieszczęście być może. Da Bóg, że przy ostrożności i pilności nic złego nie wypadnie. Tylko jeśli do Warszawy mi wypadnie, nie mam komu komendy oddać; ze wszystkich szwadronów jednego nie wybiorę, ktoby mnie tu zastąpił. Co do ludzi, brygada w komplecie, koni tylko i broni mi braknie.

Sześciu towarzyszków do hetmana do Warszawy mam wykomenderować; ale z tém towarzystwem największe zatrudnienie, bo za 600 złotych nie mogą być przytomni u szwadronów: wielu, prawie połowa większa od pierwszego septembra o abszyt proszą i wcześniej się meldują. Gemejnow komplet pełny. Szeląga w kassie nie masz, ja wyjeżdżam, a pierwszego *septembris* należy się ludziom lenung. A tu i delaty nie odebrałem, i w Krakowie kilkunastu tych tysięcy nie mogę wykołatać. Likwidacyja posłana; mogę ja ją sam i kwatermistrz oprzyśiądz.

O sejmikach i generale jak to poszło donoszę dzisiaj do Warszawy. Instrukcyą mi w téj chwili przysłali. Nie tak napisana, jak się spodziewałem: niezłe to zapewne, ale zbyt po tchórzowsku. Żeby mi téż wcześniej dali znać, czy mnie istotnie do Warszawy nie puszczą, tobym daremnie nie jechał. Ja tym strachom wcale nie wierzę, ale próżnobył się ruszyć nie chciał. Wszyscy jadą do Warszawy, a wszyscy choć z nich raj malować—goluteńko. Spodziewam się co chwila generała Goltza do Kościana, gdzie i sam być muszę: będzie opatrywał tych trzechset ludzi. Co téż powie, ciekawym.

Z Kamieńca generał Brühl przed odjazdem do Warszawy dwa listy do hetmana pisał: 19 Julii i 4 Augusti, których kopie od strażnika otrzymałem. Naprzód o Holsztyńskim donosi, że wszystko poszło dobrze, ale przyplacić musiał. Generał Brühl z całym garnizonem odbywał wielkie manewra, które mu się udały: prochn napsuli i łatwo otrzymał zwycięztwo. Rozdzielił swój korpus na dwoje: sam jedną częścią komenderował,

a drugą generał Fischer, którego chwali, że swoją rzecz zna. Temu dostała się pozycja jedyna: wzgórek dosyć obszerny, który w potrzebie mógł pomieścić do dwudziestu batalionów, mający przed frontem głęboki parów, otoczony domami i ogrodami, ciągnącemi się nad lewem skrzydłem; w prawo krzaki prawie nie do przebycia, a na tyle most i wioskę, poza którą wzgórki zajęte wojskiem i armatami dla pokrycia rejterady. Atakował go Brühl ze trzech stron, okrywając atak dobrą baterją; i supponując, że nieprzyjacielowi posiłki nadeszły, rejterował przez mostek, który za sobą zniósł, uchodząc ku fortecy. Nieprzyjaciel go dognał i chciał otoczyć lewe skrzydło; sformowano szubienicę i tak cofano się pod działa fortecy, które gdy grać poczęły, odepchnęły napastników. Byli w tym ogniu przez godzin 3. Oddaje sprawiedliwość żołnierzowi, że rzadko znaleźć coby miał tyle zdolności i ochoty, i łatwo z niego zrobić co chcąc, byle dobra wola i praca.

Prosił Brühl do Kamieńca o dwie jakiegokolwiek kompanie kawaleryi, mieniąc się zginionym bez nich, bo dezercya za kordon okrutna. Kordon pod nosem, pewni są, że ich nie wydadzą, i najlepsi ludzie uciekają. Niedawno czterech z regimentu buławy wielkiej z bronią i ładunkiem drapnęło, najpiękniejsi ludzie niemal z całej chorągwi. Pisze też generał do hetmana za porucznikiem Auspitz, dla którego o patent kapitański prosi, bo nie ma za co awansu kupić, a młodszy go wyprzedzają. Ruszając z Kamieńca chce generał Brühl zostawić Wittemu na piśmie służby garnizonowej porządek, od którego nic zbaczać nie mają. Hetmanowi kopiją ma tego rozkazu przesać, a przez swoich afidowanych spodziewa się, jeśliby co chybiono, wiedzieć natychmiast. Na generała Witte niesposób się spuścić: stary i bardzo podupadły, wszędzie widzi nieprzyjaciół i siedzi jak na gorących węglach. Radby całą armią sprowadził sobie do Kamieńca, a uparty jak kozioł, i nie rozumie co mu mówią, aż chyba łopatą kładną. Myśli, że Kamieniec, jak to bywało dawniej, nie do wzięcia, a okropna słyseć rzecz co się tam dzieje, i jakito téj twierdzy upadek, a jaki w niej nieład! Generał Brühl ustnie o tém hetmanowi ma oznajmić, powróciwszy do Warszawy. Ktoś tam zachwalił hetmanowi cisawego konia generała, aż o niego do Brühla pisał, i słyseć od strażnika, że mu go prowadzi; ale dla hetmana koń to nicpotém, lękliwy strasznie: znam go.



Czekam, czekam i słowa z Warszawy doczekać się dotąd nie mogę; miesza mnie to niezmiernie, widocznie listy kędyś się zatrzymują i giną, bo od nikogo ani słowa; czy to może być? Chciałbym do Warszawy we wtorek, ale nie wiem sam jak się tam znaleźć; nie byłem jeszcze nigdy w takim ambasarsie jak teraz: słowa od nikogo jakby na złość. I strażnik że nie pisze nie rozumiem. Puszcę się już na hazard, zdam komendę porucznikowi Maliszewskiemu, kresy ponastawiam, do hetmana oficerów i towarzystwo wyślę, a sam siądę i ruszę.

Była rewia za ordynansem Goltza; rewidowano wszystko. Komenderowałem sam i mustra była z ogniem połowy brygady; druga czeka w Rogoźnie. Byli i zagraniczni oficerowie, i niby nie ganili, ale też na pochwały skąpi.

Z korespondencyi dochodzą mnie wiadomości, że lustrator Łuba troskliwy osobliwie o moją komendę, ma przeciwko mnie głównie dwa zarzuty: pierwszy, dlaczego w każdej chorągwi nie ma dwóch namiestników, a dlaczego znowu jest wachmistrz i dwóch kaprali; więc brakuje trzech gemejnow, a kaprali być nie powinno. Druga kwestya: czemu nie okazuje gdzie są pieniądze niepłatnych towarzyszków i oficerów, którzy się nie meldowali.

Explicacya łatwa będzie: jaki mi etat komendy i ułożenie jój oddano, takie jest zakompletowanie. Gdyby mi byli napisali, zamiast kaprali, że powinno być dwóch kapelanów, pewniebym był uczynił jak rozkazano. Zgoła, co mi ordynanse zaleciły, szczerze i chciwie czyniłem, bo tak poczciwość i posłuszeństwo kazało; wiem ja że to dla dobra kraju, a w rozporządzenia samowolne się nie wdaję. Na drugą kwestyą, o płacę oficerów i towarzystwa niemeldowanych do chorągwi, również jasne tłumaczenie. Wyznaczona została płaca na umundurowanie przez cztery raty, przy każdej części jedna; należało więc umundurować przez cztery kwartały moich ludzi, ja ich omundurowałem przez pół roku, mój forszusz dodawszy; w czém że głupstwo zrobiłem, nie zaprzeczam. Pieniądze więc te weszły w umundurowanie, a kto będzie te dwie raty odbierał, to je znajdzie: pieniędzy nie ruszono i szeląga. Każą zapłacić nie meldowanym do brygady ze swego worka, to dopełnię. Wszakże jest fundusz, bo umundurowanie do ostatniego człowieka dane: widział to lustrator. Za cóż dziś

za pocziwą i z ochotą zdrowia pracę moją jeszcze mnie chce prześladować i potwarzać. Nie jestem ja tak potrzebny, żebym się cudzem chciał bogacić; nie byłoby to z bogaceniem, a bardziej łupieztwo własnego sumienia, honoru, który każdemu miły. Nie wiem, jak o tém pan lustrator trzyma.

Wszakże są dwie księgi: jedna w kommissyi wojskowej, druga w radzie. Niech mi odeślą jedną, rozpatrzę się i koniec. A toć od pierwszego do téj godziny ludzie płatni z mojej kieszeni, a jabym miał moje chwytac? Wołę biędę klepac, nizeli na cel skarg i zażaleń się podawać.

Nie wiem nic dotąd, co się z wojskiem dzieje, czy jest jaka nadzieja utrzymania porządku; przynajmniej, by się uczciwie można zameldować o abszyt. Posłowie wielkopolscy piszą tu o Kraszewskim, że ma mieć komendę moję, i że mnie o nowy etat będzie pozywał; niepodobna, abym się nie śmiał na takie mowy.

Na dopełnienie likwidacyi, dziś 16 Augusta posyłam kapitana Gislera, który kasę trzymał do téj daty. Z obudwóch rat likwidacyą im oddaję; rozpatrzy się kommissya, że praca moja nie była płonna, żem wprowadził regularność i porządek, od których w wojsku wszystko zawisło. Żeby mnie tylko wcześniej expedyowali, bo od pierwszego z kieszeni mojęj płacić lenungi, bardzo już ciężko. Hetman żądał, żebym mu posłał rezydentów z brygady; ale niepodobna, aby tak stanąc mogli jak chce, bo w cztery dni 40 mil, to konie pozarzynają, i nie mieliby potem na czém przed hetmanem jeździć. Ja jutro do drogi się sposobię, ale muszę wprzód brygadę objechać i pozostawić ordynanse. A tu i zdrowie nicpotém: ale cóż robić.

W téj chwili odbieram list od hetmana. Patrzcie, co już wymyślili na mnie: zem się od funkcyi poselskiej recesował. To prawda, że nie ma tego wynalazku i inwencyi, którychby już na mnie nie użyto, a na tyle głów, ja jeden wszystkim odcinać się muszę.

Przecie i to doszło uszów pańskich, zem się już recesował, a co gorzej, choć słabo, ale wiarę dają. Krotofilne wieści: należą one do tych panegiryków, których nie mała, odbieram, bo ich nie mała dla mnie wynaleziono. Tylko szubienicy dla regalizacyi zupełnej braknie, gdybym był taki jak powiadają.



O psie języki! gdzie mogą jakie padło wywlekał Cicho! cicho! okaże się wszystko na wierzchu i kto jakim jest. Ja mojej ręki użyć nie umiem tylko w rozważnej okoliczności, ale w podłej i podłość mnożącej nie nauczył mnie mój profesor, ani się podpisać, ani dopiéroż mego podpisu wyczytać. Przymus i wiolencya taka jaka była na generale, mogły mnie skonwinkować: tegom ja już przemódz nie potrafił, musiałem się im poddać; ale żebym z woli własnej mógł taką podłość uczynić i recessować dla strachu jakiegoś, znaczyłoby to, że zdania mego najniegodziwiej używam. Ja sobie powinienem pomnażać afekt obywatelski, a miałbym od niego dobrowolnie recessować; to jedno, co się kazać w piecu zamurować. Wiem ja tych, co o mnie takie złe wieści roznoszą, ale się z nich śmieję; niedługo prawda zataić się może, choćby ją w worek zaszyli.

Jużem był w Trzebnicy na wsiadaném do Warszawy, i kresy porozstawiałem, i komendę oddałem Maliszewskiemu, a powóz stał zaprzężony, tylko siadać, gdy kuryer nadleciał od hetmana. Muszę tedy zostać; nowe wynikają okoliczności, które wstrzymują mnie tutaj; chwała Bogu żem się znowu pokazał potrzebny. Wyruszam zamiast na sejm i ucieczę w to miejsce, gdzie sejmik ma być powtórnie złożony. Dochodziły mnie te wiadomości, ale prawie nie do wiary, żeby te sejmiki miejsce mieć mogły. Był tentowany Bniński starosta sokoln. ale się jasno wytłumaczył, że tego nie uczyni, ani ręki poda, boby to było podejście plamiące jego charakter, i spełzła zrazu myśl podobna. List od hetmana odebrawszy, posłałem wraz do starosty sokolnickiego, aby spieszył i lekko do Warszawy; dziś powtórnie wysłałem za nim, aby się ze mną gdzie pod Gnieznem spotkał koniecznie, a jeśliby już wyjechał, kazałem go nagonić i cofnąć jeśli można.

Rogaliński z drugiego koła utrzymać się nie może w żaden sposób, bo podkomorzy kaliski ma na nim proces *in causa honoris* wielki; manifesta są szpetne, i na generale w Poznaniu w instrukcyą go wciągnięto. Doniósł mi, że sam nie jedzie, ale uczynił manifest i plenipotencyą vadiálną na swego synowca; głowa porządna, ten się potrafi postawić i rady sobie da. Gdyby dziś drugi sejmik miał nastąpić, toby taką rzeczą i generał poznański był niedobry, bo legalności rozpoznanie odeśłał generał do sejmującej Rzeczypospolitej; pokrzywdzenia po-

słów przez niedopuszczenie ich do miasta upominać się zalecił, więc tém samém sejmik się przyznał za sejmik, a który z nich legalny, to zostawił wyrokowi rzeczypospolitėj.

Wiém to, że kasztelanowi gnieźnieńskiemu kazano do Warszawy jechać; poco, domyslić się nie mogę, ale to taki pan, że jak go kto chce, tak go mieć może, boć w Poznaniu po generale (sejmik kcyński gając) przeciwko temuż sejmikowi potém się manifestował.

To prawda, że jakie tylko są i być mogły do wymyślenia obroty, wszystkie mnie spotykają. W téj godzinie dowiaduje się, że kasztelan gnieźnieński na elekcyą pisarza ziemskiego gnieźnieńskiego wydać miał wezwanie; otóż kto wie, czy czasem i sejmiku przy tym zjeździe insperato nie robią. Kuryera zaraz pchnąłem, a za nim w trop sam biegnę. Wątpię jednak o doniesieniu, bo tam swoich mam, i wiceregent dałby mi już znać, gdyby co groziło, a nic nie pisze. Wczoraj dopiero list miałem od niego; chyba że i ten już przekupiony, o co teraz nietrudno. O! gdyby był tylko wojewoda poznański miał ducha i rezolucyą wyniść naówezas z Poznania, byłibyśmy generał w polu złożyli. Posłowie inni bardzo tego chcieli, i byłoby dobrze, a na swójém.

Kasztelan poznański gryzie się, i chory mocno; naganiono mu jeszcze czynność niektórych sejmików. Raczyński przeklina funkcyą, jednakże politykuje; także od starosty sokolnickiego mam list, że jedzie wprost do Warszawy na dobra swoje pod Kłodawą. I jego charakterowi ufam, że nie uczyni tego, a z Korytowskim aniby się wdawał, bo niepodobna aby go kto miał aprobować w Warszawie; chyba najpotrzebniejszy, który za małą rzecz chce mieć takiego przyjaciela.

Do czwartku muszę się tu kręcić i pilnować; jeśli nie będę widział podobieństwa żadnego do drugiego sejmiku, dobrze wymacerowawszy rzeczy, wyjadę.

Król pruski dziś aktualnie spodziewany do Głogowa; będzie tędy do Wrocławia przejeżdżał. Od granicy dość spokojnie, prócz werbunków, których patrole moje odganiają i niekiedy łapią. Mówią tu, że kasztelan kijowski miał mieć wiele na Rusi zleconych czynności, niezgadzających się z myślą hetmana; piszę o tém do strażnika, żeby powiedział komu potrzeba.  
 . . . . . (Kilka kart wydartych.)



15 Sbris. Jak powróciłem z Warszawy, dotąd nie byłem nigdzie, tylko z szwadronu do szwadronu jeżdżąc, lustruję i dopiero jutro całkowicie lustracją moją dokonczę. Figla mi chcieli zrobić, ale się nie udało: gwałtownie wysłano na rewizyą, myśląc znowu, że nie zastaną jak być powinno. Nie wiem za co tyle na mnie podejrzeń i niechęci; utrzymywałem przecie komendę dopóki tu stała spokojnie, porządnie, a choć nigdy pieniędzy niestarczyło, mojami forszusowałem. Dziś odebrałem ordynans 120 koni komenderować ku Przedborzu i dalej. Ludzie są w pogotowiu, konie téż, ale czyżem ja winien, że ani lenungów, ani futerażów nie masz. Nie moja téż będzie rzecz, jeżeli się z tego excessa urodzą, bo ludzie niepłatni nie mogą być dobrzy, a głód wielki majster. Nie spóźniam jednak dyspozycji i komenderuje we dwa dni po odebranych z góry ordynansie. Gdybym się był cokolwiek wstrzymał w Warszawie, dobrzebym się opóźnił: bom kurjerem biegnąc tyle pośpiał, że lustratora zsiadając z wózka już na miejscu zastałem. Nawet pana hetmana pożegnać nie miałem czasu; zgrzeszyłem, ale przepraszę, i gdy usłyszysz jak mnie tu pan lustrator zastał, będzie kontent, byleby go chciał spytać.

. Kwaśniewskiemu wyszedł patent na chorągwo; ale wielkie dziecko, nie wiem na co się zda. Podałem fortraga na innych i patenta wyszły; niektórzy prosili się o uwolnienie, a teraz gdy na ich miejsca wyznaczeni już inni, skwierczą. Pan Brochocki sam tego żądał po mnie i list jego mam, że o abszyt prosił, i chciał, bym Podlewskiego w Warszawie umówił, by mu co dał za ustępstwo, a teraz się żali i piszczy. Odsyłam więc patent, niech będzie i tak. Bez tego wszystkiego musi się to raz skończyć: już mnie to nudzi. Nie ma do komenderowania oficerów; z temi komendami co odeszły, poszło co najlepszego, dwóch tylko przy mnie zostało, ale i ci abszytu proszą, bo cały rok najwięcej pracują, a równo są z innymi płatni. Bogu dziękuję, że lustracja skończona; czekam aż lustrator będzie w Warszawie, bo chciałbym się nauczyć, co będzie gadał o mnie: nic złego nie zastał.

Patenta niewszystkie według fortragu; nie znajduję między niemi pana Madalińskiego na porucznikowstwo, ile że ten całą chorągiew podniósł. Rotmistrz Kwilecki tego żądał za porucznika sam; znajomy hetmanowi, żołnierz dobry, człowiek zdolny.

Chorążstwo miał wziąć Koszutski, ale że wakuje, należy do hetmana koronnego; rotmistrz sobie żąda pana Jaruchowskiego, który do téj godziny ani wiem czy jest nawet towarzyszem: o miłę mieszka, ani się u komendy meldował i konia nawet i nic nie ma.

Rzązewski, aktualny chorąży w chorągwi Debińskiego kasztelana wojnickiego, *post fata* na wakujące poruczeństwo fortraktowany, i ten nie ma patentu; a należy mu się słusznie, bo ciągle szwadronem komenderuje. Wszystko to są kłopoty, które mnie gryzą, a ja piszę i piszę a darmo do strażnika koronnego. Jemu to widać nie w głowie, ale interesa, woły i awanturki. Dobry może gospodarz, poczciwy człowiek, ale strażnik nieosobliwy, bo więcej spodniczki jak wszystkiego pilnuje. Ogląda się tylko, którą dziurką wymknąć się do wód albo do stolicy.

Jeszcze mi do licha, na większe moje umartwienie, calutenka psiarnia znosiała: charty tylko może wyjdą. Dla nienasyconego Kurdwanowskiego, któremu psów nie nastarczyć, do mego brata po ogary posyłałem, żeby téż przysłał.

Słyszę téż, że wielce wielmożni i jaśnie nawet, konkurują już o moje komendę; niech im Bóg na niéj szczęści, ja się ubijać nie będę. Chciałbym przynajmniej popatrzeć, jak tu sobie na mojem miejscu rady dawać będą ci, co to dziś zdaleka rozumieją że to lekki chléb. Zapocą się należycie, gdy im go przyjdzie skosztować, corazto z próżnego nalewając. Byleby mi oddali mój miły grosz com go forsusował, z Panem Bogiem: pokłonię się, gdy mi tego koltuna wezmą. Jest co i bez tego robić po wioskach: kupa interesów swoich i cudzych, gospodarstwa i polityki. Gdyby nie hetman, nigdybym się téj komendy nie podjął: dla niego to tylko uczynił. Raczyński swego czasu, kiedym brygadę obejmował, śmiał się i dziwował, że się téj biędzy podjął, ekonomie i interesa porzuciwszy. Onto o nic nie dba, i otwarcie powiada, że dukat to grunt i człowieka błogosławi. Że człek inaczej myśli, to mu na świecie ciasno, a drugim się jeszcze zdaje, że tu tylko w specyalach opływa.

Jechałże was sęk: są lisy koło Ra.... charty zdrowe, konie dobre, będą sprzątał ogoniaszów porządnie, jak i teraz ich sprzątam, aż miło. Wczoraj pięciu uszczuliśmy; wróciły mi się moje dawne dobre czasy, a wieczorem klarneści i kieli-



szek z przyjacielem.... to się o waszym kiepskim świecie zapomni.

1776, 24 8bris. Jużto podobno należy sposób życia odmienić: trzeba mieć perspektywę jakąś przed sobą, aby na dalej z chleba nie spaść. Gospodarstwo i majątek tym celem być powinien każdemu, bo na funkcyach i urzędach nie przesiedzi się długo: trzeba mieć dziurę kędy wleźć na zły czas. Sprawowanie dłuższe komendy wywołoby mnie z mojej własności; nie takiego to ułożenia człowieka potrzeba do tego: ja siebie znam, gdzie swego nie dodam, cudzego nie wezmę. A ambit, aby przymiennie dobrze wszystko było, żeby ludziom pokazać swoje, to by mnie tak wystawił, żebym potem sam w dalszym wieku niedobrze się miał przez niedostatek. Na traktamenta nietyle się straci, bo to od ochoty i dla siebie się czyni, a wedle sytuacji; ale do tego zmierzam, że gdzie ustawicznie z kieszeni dokładać potrzeba, a o każdy grosz dopraszać się gdyby o jałmużnę, tam się musi źle skończyć. Trafia się przytém, że zawierbowany człowiek do mojego gustu i tuzin dukatów wyłowi, co się nie jeden raz zdarzało.

Uganiałem się do tój chwały, chcąc pokazać naówczas hetmanowi, że nieplonno mi zawierzył: dziś ta moja chęć niknie, ochota ustała, zdrowie też okrutnie nadrujnowane. Wiém, że się tacy ubiegają wcześniej, co na mojem miejscu gotowi i bez pensyi komenderować; łatwiej mi będzie zapatrywać się na nich, nizeli samemu pracując nigdy nie być spokojnym. Oddać mi tylko będzie należało rachunek z trzech-miesięcznej płacy, a forszusy moje nie wiém w co się obróca. 500 lederwerków, pałaszy, ostróg, widział lustrator i zakonotował, że magazynu piękniejszego i zagranicą nie zobaczyć. Pana Boga tylko proszę, żebym z tój komendy wyszedł tak, obym choć swego nie stracił, a na widok pokazał, com przez rok zrobił. Niech hetman wierzy, bo ma na to dowody, że mu jestem wdzięczny i rozumiem com mu winien, a co całym życiem wystługiwać jestem obowiązany; ale z dłuższego komenderowania niech mnie wyexkuzuje, bo jeden sam pracowałem na tysiąc ludzi, jedenbym na życiu szwankował przez stratę zdrowia, i tyleby tego było.

Dziś urlopów od marszałka konfederacyi gęsto; prawie wszyscy je podostawali aż do maja. Któż szwadronami komenderował?—zapewne ja; kto chorągwiemi?—ja; brygadą ja, a jak

nie pozwolę na urlopy, wychodzą z subordynacyi i niemal w głos sobie mówią: „Trafię ja do Warszawy, to tam bez niego dostanę”. Z téj poczty pisze jeden porucznik do namiestnika: „Powiedz wacpan generałowi, że mam urlop od marszałka konfederacyi do 1go maja, a napisz mi, czy zapłacą tę ratę, bo jeśli będzie odmówiona, to sobie rady dam”. Słyszana to rzecz w wojsku taka subordynacya, gdzie młodszy starszym rozkazy dyktują!

Nie, nie, niech mnie Bóg broni, niech się kto raczy przyzwyczają do téj służby, bo ja w takiej wytrwać nie mogę; wolę mój spokojny zagon, co go sobie jak chcę uprawiam i gdzie mnie mój parobek usłucha, a nie, to kańczuk w robocie.

Chorągwie przytém na starą formę mają znowu redukować i przesadzać, i przez to ludzie przezemnie zawerbowani, osobliwie unteroficerowie tak piękni, których 70ciu przeszło jest, nie wiedzieć w co się obróć. Gemejni także ludzie piękni i ci umykać poczną; naostatek honor mój w tém narażony, bo to najwięcej na parol odmówieni ludzie z zagranicy. Dziś stare prawo wrócone rotmistrzom. Co oni mogą wiedzieć kto zdatny, kto nie, a ci nieszczęśliwi ślicznie się dosłużą. To bięda, że u nas w niczém na jutro rachować nie można: co nowy człowiek, to nowe prawo.

Nigdy jednej dosyć, mam i nową biędę. Ja wszędy na placu być muszę i zajechałem już widzę aż do Kodnia, żem gadał o 12,000 czerwonych złotych!! Widzę, że tego jednego w życiu nigdy mi brakować nie będzie, że każdy coś musi na mnie napisać, a jak kto nie może prawdy, to choć łgarstwo, byle dobre. Byłem komendantem, mówiono żem pewny rebellizant, do rokoshu piérwszy; oddałem się od tego, znów nowego rodzaju plotki i czernidła. Jakże to ja mam o 12,000 czerwonych złotych gadać, kiedy naprzód tyle i nie mam, powtóre że to Kęszyckiego, potrzecie, cóż ma być do tego za okoliczność? Próżna chęć obmowy.

Jakem z Warszawy przyjechał, siedzę spokojnie we Wschowie, albo w domu; mało nawet kogo dotąd widywałem, z nikim nie mówiłem nawet. Kasztelan poznański był u mnie i wspominał mi prawda o pieniądze: upewniłem, że księżna nie tylko jego, ale wszystkich stara się uspokoić; był Herztowski, toż samo mu powtórzyłem. Nawet wzmianki o interesie Radlińskim nie było. Ledwie z Warszawy wysiadł, zaraz posłyszałem tu o tych punktach od tych, co o nich już uwia-



domieni byli przedemną. Mam ten dar, że swoich interesów mało komu powierzam: sam je najlepiej robię, a niedopiero je wygadywać przed czasem. Kęszycki bardzoby chciał coś wiedzieć, a nie wie, bom mu indyferentnie odpowiedział, że dość mu będzie wiedzieć jak swój grosz odbierze i przyjdzie kwitować. Jam zawsze dobry i będę równy, a te garnitury jaszczurczej natury, diabła warte.

Trudno tu co pomódz interesom księżny, kiedy po staremu goło i nic nie przysyłają na ułatwienie ich, jeno coraz wykrętniejszych ludzi. Wykrety, toby się i tu znalazły, gdyby co niemi załatać można; bięda, że się teraz ludzie racyami nie płacą, a gwałtem brzęczącej monety potrzebują. Hetman w Kordniu; dobre czasy widać, poluje sobie z generałem Kurdwanowskim i strażnikiem, weselą się, miłują, umizgają, a mnie tu w utrapieniu i biędzie, o głodzie i chłodzie, za wszystkich pańszczyznę odbywać każą.

1777. .... Jakos ten święty Jan przeskoczyłem. Prałat Kościński zjechał, rzucono się do niego po satysfakcją, ale jakos powoli to się zmodyfikowało, i geby im pozamykaliśmy. Radolińscy dwaj chcieli summy, ale baron Floto, który pojął wdowę Radolińską, mającą successorów po pierwszym mężu, sprzeciwił się, że aż po działach świeżo zmarłego Radolińskiego ją podejmą, i tak uspokoić się musieli.

Raczyński prolongować nie chciał i przedał swój wexel Radolińskiemu; kasztelan poznański do septembra prolongował, Bniński dłużej nie chciał tylko do połowy Julii; ale choć później mu się odda, wiem pewnie, że protestować nie będzie, bo on też nie wyjeżdża. Herztopski jak waryat lata, ani się z nami widział, tylko pobiegł do kancelaryi naprzód, i *de diligentia* uczynił manifest o niesatysfakcją summy. Ja, jako sługa księżny pani, musiałem, dając dobry przykład, prolongować do ostatnich Julii, choć goły, choć z Twardowskim mam robotę, i jeżeli nie zapłacę, dobrą mi zajędzie. Były na święty Jan pieniądze, ale na majątności, a na prowizyą ani tysiąc dukatów znaleźć. Mielżyński, pisarz koronny miał 32,000 czerwonych złotych, ale ich ani ruszył, ani nikomu dać chciał, tylko stękał i leży na nich. Jam się ślicznie wykrecał i z cudzego i ze swego: chwała Bogu jakos przebyliśmy kryzys (1).

(1) W tych ostatnich notatach, jak w samym początku, mało jest ciągu, z powodu wielu bardzo kart wydartych.

Już z tych kłopotów ani wyleźć! Ten Herztopski to drugi ów Józefowicz, co mnie tak prześladował, tylko w innym gatunku. Ten krzyczy, gardłuje i lata, aż się miasto trzęsie; myślałby kto, że mu o miliony chodzi. Rozsierdził się na księżnę, rozgniewał na mnie i mnie też przypozwał: muszę się jakkolwiek w Pyzdrach wykrecać.

Przeszłoroczny ów sejmik gnieźnieński także mi bokiem wylazi. Sędzia Radzimiński, którego prawda że tuzali nasi, ale nie ja, bom go przecież bronił i swojej dla niego skóry nadstawiałem, przypozywa mnie teraz o tumult. Spotkaliśmy się świeżo; pytam go, jestli przeświadczony zem go bił? a czemuż mi naówczas nie oddał? Szyk, pyk, ale pozew swoją drogą; niewielkie i to rzeczy, znajoma arynga, pogada się i pójdzie *per non sunt*.

W brygadzie tutejszej rewolucya: płacy septembrowej oficerowie brać nie chcieli, że im abcug na mundury krajowe robić chciano z niej. Posłał z tém Łuba do departamentu: ma zabawkę, trzeba go żalować, bo się słyszę sceny dzieją. Niechajże się teraz przekonają, jak to lekko wszystkim wygodzić.

O! tak mi tu w tych Mazurach tutejszych tęskno, że gdyby nie polowanie i muzyka trochę nie bawiła, przyszłoby nakoniec rzucić się do nabożeństwa, i Kapucynem zostać. Jeżeli nie pójdę kiedy jeszcze do wojska, to sobie gdzieś za łowczego przystanę. Tego roku nawet lepiej strzelam; muszę o tém donieść generałowi Kurdwanowskiemu, że lepiej mi się coś szykuje niż owe skowronki pod Warszawą, których się to tam tyle chybiło.

.....6 Novembris z Rogoźna wyprawilem list do JMP. hetmana w tych słowach; głowym sobie nasuszył, a kto wie czy go przeczytać raczą: „Kaźde zawołanie JWWPana Dobrodzieja czyniło mnie najposłusznieszym w rozkazach pańskich; a powierzenie mnie komendy wielkopolskiej brygady kawalerji narodowej, sposobilo mnie przez chciwe w niej pracowanie w zaslugiwaniu względown i respektu jego. Gdy zaś to roczne nieoderwane usiłowanie moje daje mi poznawać niewydostarczenie pracy samemu jednemu, ile że i pracujący (bo tylko kilku oficerów) rocznie przytomni, urlaupu się dopominają, a inni, którzy dotąd służby nie czynili, ani się znajdować będą; bo jeżeli do namiestników piszą, to chyba o płacę, ale nie żeby przybyć mieli: przetoż więc nieporządek tłumaczyć moge, że



w takim stanie rzeczy i najlepszy ład zniknąćby musiał, a co najwięcej, iż do exercytowania ludzi w komendzie tój nikt nie był wydoskonalony. Miałem przy sobie i oficerów zagranicznych, którzy czynili co mogli; ci zaś z mojej expensy ile mogłem byli wynagrodzeni. Teraz i tych mi oddalić przyszło, bo dosyć dla mnie było ciężko swoim zastępem 10 niedziel, ukompletowaną z unteroficerów i gimejnów całą brygadę utrzymywać, którą codzień płatną aż do nadeszłych trzechmiesięcznej płacy pieniędzy, bez najmniejszego ukrzywdzenia dochowałem. Sam JWWPan Dobrodziej uzna, że jeden nie może tój znacznej komendy porządku dopilnować, a przejazd i odjazd i coraz nowe zdawanie sobie komendy, to nieprzyzwyczajonych do służby zupełnie rujnują i porządek nadwierzają. Sami więc unteroficerowie prawie dotąd za wszystko byli u mnie w odpowiedzi, ile nieustannie po szwadronach jeżdżąc, szczerze to wprowadzałem. Teraz przez pozwolenie kreowania oficerów i towarzystwa rotmistrzowi, upadła i dla unteroficerów nadzieja, których najwięcej ze szlachty i młodzieży aplikującej się dobrałem, aby kiedyś awansowali. I towarzystwo uczyło się, bo przekładania moje zachęciły ich, że nie lata, nie rejestra, jak dawniej bywało, ale umiejętność i aplikacja awans przyspiesza: więc i chęci im przybywało. Teraz śmieie JWWPanu Dobrodziejowi pisać mogę, iż to wszystko ustało.

Gdy zaś jeszcze dotąd porządek utrzymywałem, raczy JWWPan Dobrodziej wytłumaczenie przyjąć za sprawiedliwe, że ten wołę oddać póki pora, i dlatego dopraszam się, abym przez pańskie względy został od tój komendy wolnym, ile że i zdrowie moje nadrujnowane woła o ratunek. Przeto muszę sobie spokojniejszego życia użyć, i lubo oddzielam się ze służby wojskowej, ale mnie nigdy nie od tój myśli oddzielić nie potrafi, jak powinienem być wdzięcznym i przywiązanym dla wszystkich rozkazów pańskich, z tём się głoszeniem, że jest z najpowinniejszym respektem“ i t. d.

*J. L. G. W. B.*

Ciekawa na to dla mnie odpowiedź. Napisałem tóż do Maszkiewicza świeżo kreowanego vice - komendanta brygady kawaleryi narodowej, aby miał ordynans od JMP. Goltza na użycie go i opłacenie, dodając. iż bardzo żałuję, że na schyłku

mojej komendy przychodzi, gdyż dalej jak do końca tego miesiąca nie pobędę, i jużem się formalnie o abszyt meldował. „Zastaniesz jednak, dodałem, w komendzie porządek i regularność jakie były dotąd, ale racz przyspieszyć przyjazd, abym mu pokazał wszystko.“ Zdawszy komendę, z której mi nie żał tylko muzyki chyba, przynajmniej otrząsłszy się z interesów i zapłaciwszy Twardowskiemu, będę mógł przecie i do wód za granicę, dla poprawy zdrowia i rozrywki pojechać.

Księżę jest w Koźminie, a ja siedzę w Kaliszu. Wołają mnie po staremu dworować. A ja tam po co? będzie tych dosyć, co tam już są. Napisałem list do księcia generała artylerji jeden i drugi; na oba ani słowa. Widać mnie nie chcą, kiedy nawet literką obdarzyć nie raczą. Piszę jeszcze jeden do księcia w takim sensie: „Szczęściem żem się dowiedział, że wody wielkie spadły około Wrocławia, że musiały i ludzi pozatapiać, między którymi musiał być i postyjon z pocztą, co do mnie list wiozła, bobym inaczej rozumiał, że księżę na ten rok przestał być grzecznym i szlachcie już nie odpisuje, kiedy tak wiele nowego księciu pisząc, żadnego nie odbierałem na to wszystko responsu.“

Piszę tedy księciu co się działo: „najpierw wielkie szczęście, że kto Poznań zakładał, musiał głębokie fundamenta dać, bo się cały ruszał za księciem; żeby mógł, toby się był za nim przeniósł choćby do wód, do których księżę spieszysz. Jednakże ruszyły się osoby, które czysto nie przewidziały losu, nie poznały się na tém, żeś je księżę z nudy tylko bałamucił. Na ulżenie rozpaczy przypadł im niefortunny Bolesza, któremu los fatalny nadwerężył twarzy. Radbym tam był na to patrzeć, czy z nim osłodziły sobie zmyśloną księżęcą attencyą. Ja ledwo dla wyjazdu tój pani z Poznania nieszczęścia nie miał, o czém ona jednak wcale nie wie. Okoliczność takowa: jechałem ja se konno do Poznania; tandem naprzykrzyło mi się, usiadłem z kupcem na wózek parokonnny ubogi, chcąc pod wieczór incognito do miasta się wsunąć. W samej bramie spotykam jadącą karetę żółtą, szczęcią białemi końmi dążącą do wód, i wpadam na nią z moim wózkiem o parze szkap niepoczesnych. Kazali mi się umykać w bramie z tym komplementem: „Umykaj, a prędko, bo cię diabli wezmą, jak cię pocznę biczem kropić“. Ledwo uskrobałem w stronę i ustąpiłem pilnej potrzebie przedkiego wyjazdu, ale sobie pomyślałem: co téżto ja dla tego



księcia generała cierpię! Com ja winien, że kto za nim chciwie do wód spieszy. W wielkiem jestem zamęceniu, że w Koźminie być nie mogę; w procesa wszedłem, głowę straciłem, prawie czysto waryatem zostałem. Pocóż pojedę do Koźmina?—żeby ze mnie drwili; więc aż sobie wypocznę, aż się wyspię, póty się nie stawię. A do tego ksiązę téż masz interes z jurystami, kompromissa, i t. d. to będzie zajęty. Wiem, że ksiązę lubi interes w zamknięciu trzymać, więc nie chcę przeszkadzać. Ale przyjadę jak ksiązę będzie wolny, jak konferencye pokończy, summaryusze przygotowane przejrzy i t. d.; naówczas stawić się będzie ten, który jest wiernym, poczcziwym i najniższym sługą“...

Jednakże do Koźmina, a może za niemi i do Altwasser dojechać wypadnie, bo i księżna jedzie.

Może się lepij to stało, że mi się szyki popsuły i do Altwasser nie dojechałem, alem mało na tamten świat nie wyperegrynował. Wybrałem się był wprawdzie służyć księżnie JMci, alem ledwie za granicę się dostał, przydybała mnie taka codzienna febra gorączkowa, jak zaprzeszłoroczna; ledwie z nią dostałem się do domu i trochę wydobrzałem.

Lator mnie na nogi postawił swoim przyjazdem od księżny; chciałem się z nim wybrać do Koźmina, zastał mnie na wsiadanem, ale widzę księżna podrażniwszy tylko sługi swoje, umyka z Wielkiéjpolki. Jam chciał dopięro zacząć księżnie służyć i spodziewałem się, że przecie doczekam jubileuszu, że moja téż chata będzie tak szczęśliwa, iż Jasnie Oświeconą powita; ale tandem tą razą wszystko minęło, a drugą razą nie wiem czy się już przyjdzie tego kiedy doczekać. Już tedy nie moje żadne szalbierstwo winno, zem chybił sposobności służenia księżnie, ale zły los, co mnie złożył chorobą.

Wiem przecie, że temu wierzyć nie zechcą i upatrywać będą ważne racye. Na załatwienie sprawy musiałem się z najlepszych psów dla strażnika wyzuć: posłałem mu ogarów sfore najlepszą; nie personaty, ale co się zowie dobre: sprobuje ich w Kodeńszczyźnie. Osobliwie na sarny i lisy goniać do upadłego. Selka szczególnie się zagania, i jeśli jój pilnować nie będą, to zginie, bo nie wróci aż chyba i zwierzę z nią: gotowa za niem pędzić na koniec świata.

Dla hetmana także przygotowałem sfore takich jak mój Tryumph roślých, na grube zwierzę. Te są jeszcze w Czerniejo-wie, a moje w Trzebiněj; wszystko lekkie psy, bo tu tylko zając

i sarną. Młodych nie oddam, bo muszę jeszcze wypróbować przy tych: niech pochodzą do ś. Marcina; szczenięta także na potem do podziału. Owiec także ztąd mi żądają i muszę ich dać; ale już je późno pędzić; bo teraz gnając można je zatruci na złej paszy. Lepiej je będzie wysłać zaraz z wiosną, bo te już pewne będą, co po zimie zostaną; a że się tu koczają na Boże Narodzenie we wschowskiej ziemi, więc i jagnięta pójdą.

Jest zabawek dosyć, bo i po sejmikach drożdże się do wypicia zostały; atakują mnie jeszcze o owe niedoszte poselstwo. Teraz znowu miałem sprawę w Kaliszu z podkomorzym kaliskim, za co stawałem na sejmie jako poseł, kiedy nim nie byłem. Sąd kazał prokurować zaświadczenie od sejmowego marszałka. Pisałem więc do Mokronowskiego, który z Białegostoku przysłał mi takowe i powiada, że L. przybył w nadziei poselstwa, ale że okoliczności wstrzymały go *ab activitate*; jednakże był tu przez cały czas sejmu, a przeto sąd żądając odemnie zaświadczenia, za sprawiedliwe przyjąć raczy suspensy wymożenie naówczas generała L..... Radziwiński także mnie pozwał i Bnińskiego starostę sokolnickiego, żeśmy go kazali rozsiekać. Ot, co się to dzieje! Byłem na gospodarskim sejmiku i sprzeciwiałem się Nieustającój; nie wiem, czyli mnie nie opisali, ale miałem obywateli po sobie: wiele wymazałem. Powiadał mi Rączyński, że czuł to gdy na sejmik przyjechałem, iż niepróżno, bo te magistratury nie są u mnie w szczerzej kon-syderacyi. I prawda.

Piszę do księżny JMci za panem Krzyżanowskim skarbnikiem poznańskim, który z Gurowskim marszałkiem jedzie tych dni do Warszawy, żeby mu tam w jego sprawie nie dopuścili kommissyi, bo zginie: niechaj go do przyzwoitego *forum* odesłają.

1778. Nareszcie tego zajadłego Herztopskiego uchodziłem; choć stary, ale gorączka i do procesu skory, jakby mu własna spokojność nie miała. Jeśli księstwo zechcą, to się ta rzecz zgodnie ukończy. Gwałtownie parł w sądzie o dekreta, podsędek w ziemstwie sprawę spuścić nie chciał: owoż wypadł dekret kondescensyi granicznej po Świątkach we środę, a w drugiej kategorii *pro comportatione*, nakazano to *in proximis* uiszczyć. Zaraz tedy napisałem do niego, zkąd u licha jemu taka wściekłość do procesu; odpisał mi, że lubo ma za sobą dekreta, chce jednak zdać się tak, żeby księżę jednego, a on drugiego przyjaciela wybrał, i ci żeby rozstrzygli; dodając, że



stare lata nie pozwalają mu puszczać interesów w odwołkę. Co drugiemu lata są powodem do uspokojenia, to jemu do wojny. Względem zaś komportacyi, że księciu *personaliter* zaprzysiądz kazano, on powiada, że tego wcale żądać nie będzie: zgoła spuszcza teraz interes na delikatność książąt, byleby prędzej mógł skończyć. W dodatku jeszcze obiecuje się, jakby to wszystko ułatwiło się, w wielu interesach ś. p. wojewody smoleńskiego dać ważne objaśnienia z awantazem książąt. Niechże widzą jaki ze mnie przyjaciel, kiedy i tego wroga związanego im przyprowadzam.

Polowanie dobre, alem się napędzał za trzema niedźwiedziami, które dopiero pod Kłodawą obległy i tam szczęśliwie w łeb wzięły. Mam tej zimy kondle, że gracko i niedźwiedzia męczą: porwą i należycie trzymają; dzik żaden z miejsca nie ujdzie. Chciałem którego z Radlina wybrakować dzika, ale puste knieje: nie masz nic. Posyłałem objeżdżać, bo ustawicznie gonią, a wiem że w lesie były tam trzy stada dzików. Hetmanowi charta pośle do Warszawy, że się nim będzie mógł pochwalić, byle go tam zastał jeszcze mój posłaniec.

Byłem temi. czasy w Poznaniu. Powiadano mi, że wojewodzina smoleńska miała wezwać panów Moszczeńskich, Bronikowskich i Rogowskiego do jakiejś facyendy. Wąchałem, ale to wszystko plotka. Widziałem się z Moszczeńskimi, którzy nie byli wzywani i listu nie mieli żadnego.

Z Osieka pisze pani Branicka do córki, że jój starostwo ciągle pod sekwestrem, a ona prawie w niedostatku; z tego powodu chciała starostwo lubomlskie kupić, ale do skutku nie przyszło. Starają się pilno o zniesienie sekwestru ze Złoczowa.

..... Dla gwałtownych werbunków musiałem się powrócić, gdyż tak wielki w Szlązku werbunek, iż przewyższa zaprzeszłej wojny, choć po przegranej batalii. Jednakże dotąd mocno zakazują, ażeby o tém nie mówić, i tak tu cicho, iż można się napatrzeć wyprowadzanej z arsenałów artyleryi; ale gdzie i na kogo? nie masz wiadomości. Przecie wnoszą sobie, że przeciwko Austryakom. O tém zaś powszechnie gadają, że jeśli się wojna zacznie, pewnie Rosyjanie cokolwiek artylerją króla pruskiego wspierać będą. Ta pomoc zapewne i w kozakach nastąpi. Zboże trochę teraz tańsze, ale niebardzo; po 8 złotych korzec żyta, pszenicy po 12—13,

owies po 5, jęczmień po 6; ale wnoszą wszyscy że będzie płacać, jeżeli istotnie do wojny przyjdzie.

Biéda mi, że moich kilku tysięcy dukatów nie ma sposobu wystukać od księżny; jako staremu słudze łatwo odmawiają i podobno nie liczą nawet do wierzyieli. Muszę spróbować czyli się w ten sposób nie uda, żeby com winien p. Chełmskiemu, który kupił dobra od podkomorzego gostyńskiego, za mnie zapłacili, starając się uzyskać kredyt u podkomorzego. Temu prędzej oddadzą niż mnie, a ja byłem się długów już pozbył. Interesa poułatwiam, a jeśli wojna będzie, muszę wypaść do wojska którego, gdzie się będą lepiej bili, choć na jedną kampanią. To tak pewna jak ewangelia, że to pragnienie uspokoić muszę; choć w Polsce nie na wiele się to przyda, ale przynajmniej dla siebie będę miał satysfakcją, i już koniki powoli sobie rekrutuję.

Widzialnie się okazuje, że wojny należy się pewno spodziewać z znacznego przygotowania króla JMci pruskiego, który nadzwyczajny werbunek robi w kraju swoim, i co tylko jest ludzi zdatnych do wojska, bez względu: mężów od żon, wdowców od dzieci, zabiera. Konie u obywatelów tamecznych do armat dobierają. Powracający mój posłaniec dziś z Głogowa, powiada, że przed kowalami, stelmachami, lawety od armat po ulicach stoją, i nocą i dniem na gwałt sporządzają.

Dla nas pogranicznych udał się moment większej ceny na zboża; kiedy przed trzema niedzielami zboże we Wschowie płaciło korzec warszawski po pięć i trzy srebrne grosze, dziś po 9; owies po 3, dziś po 6. Jedni mówią, iż długo trwać nie będzie ta cena; drudzy, że jeszcze wyżej pójdzie. I konie zaczynają płacić: wiem to najlepiej, bo kupuję.

Na ostatniem polowaniu pod Kłodawą udało mi się ślicznie, jak nie można lepiej. W kniei jednej ośmiu niedźwiedzi zastałem; bez sieci, przecież 6 wielkich zaraz zginęło: moge się z memi pieskami popisywać. Brały dobrze za łeb kondle i żaden nie uszedł. Ale kawalerów miałem, co przed rykiem godnie uciekali, gdzie pieprz nie rośnie. Klarneceście faworyta mego jeden bestya symfonii nauczył: jak go złapał, całkowicie na nim suknie podarł. Psy mu życie dały, bo go ściągnęły z kawalera. Ja także musiałem się raz rejterować, boby był i mnie zmęczył. Jeszcze wiem o bardzo wielu niedźwiedziach; będzie i więcej satysfakcyi. Muszę jednak wprzód pojechać do doktora



Tralesa, bom coś nie zdrów: musiałem zziębnąć w lesie, albo się zgrzawszy około tych niedźwiedzi, zawiąło.

Gdyby się udało pojechać do Pymontu! Ale dużo wprzód porobić tu trzeba, żeby za sobą ogonów nie zostawiać. Tu na mojej głowie skarbnik Kęszycki, z którym się nie układają, a słusznie się do mnie odzywa, bom ja go zatrzymał dla księżny, więc i ratować muszę. A tu nawet nie piszą nic. Święto-Jańskie tranzakcyje księżny wszystkie na mojej znów głowie, bo na księdza Czechowskiego spuścić się nie można; do gotowego dobry, ale do roboty niepotém, i nadto swój fryzury przed zwierciadłem pilnuje.

Radoliński, z którym czynność była, zaczął się, *alias* umarł; godni sukcesorowie *exquidem* Jarociński szturmuje o sumę i ma proces przewidziony, *a quo fato* nie było na nich sumy. A miałby się dorwać dóbr, lepij je spalić.

Radoliński chorąży, człowiek zacny, ze wszelkimi excepcyami, które są podane inwentarzem, daje 250,000 zastawu; powtóre sobie sumę całkowitą potrąca, a resztę przejmie. Kęszycki toż samo wprawdzie daje, ale z excepcyami, jakie były w dawniejszym kontrakcie, i dołożeniem mu propinacyi z nowych Holendrów. Na téj robocie wszystko się sparło i zastanowiło; nie dają rezolucyi, a św. Jan tuż i mnie pilno. Chorąży Radoliński nie tak interesowany: porządniejsza rzecz z nim facyendę zrobić.

...Chwała Bogu że już po św. Janie, i że tak się tu wszystko ułatwiło, jakem ja projektował. A dobrze zem swoich choć 2,000 dukatów wydzwignął: reszta została bez kancelaryi na wierze i łasce. Kęszycki chciał arędę trzymać i do 10,000 dukatów dodać; ale jak mi ks. Czechowski powiedział, że więcej pieniędzy potrzebuje, do téj tranzakcyi nie nakłaniałem. Chorąży Radoliński dopożyczył i na proponowane przystał kondycyę.

Pieniądzy było ogrom, ale się szlachta bardzo oglądała, nie chcąc ani facyendować, ani pożyczać. To prawda, że żadnego św. Jana tyle pieniędzy nie pamiętam, co terazniejszego: było w gotowiznie, co ja wiem, przeszło 160,000 dukatów. Raczynski dał wojewodzie poznańskiemu 290,000 złotych, bo dobra sprzedał. Książę wojewoda zaciągnął tu w Wielkiej Polsce 35,000 dukatów.

Słyszymy tu o wielkim zjeździe w Rydzynie, gdzie książę prymas podjął się Sułkowskiego absolwować od wierzycieli,

a tu podobno najwięcej się zjechało takich, co się spodziewali brać. W Gnieźnie znać księżę prymas zabawi, aby swobodniej wieść pożegnać i nie oglądać się na lada deszcz, myśląc ile on tam gnoju narobi.

Dumana sukcesorowie tak mi się udali, że dwóch wczoraj wilka okrutnego w miejscu utrzymali. Harakas po chorobie wyszedł i lisy łapie, ale na wąsach jak ja posiwiiał. Bodajto wyrzutki od panów brać z psiarni: byle psiarzy posmarować, zawsze się na coś zdadzą. Chciałbym zamienić ogiera cisawego z generałem Szwykowskim, ażeby mi za niego polskiego dał, ale jak to zrobić? Kurdwanowskiemu proponowałem, ale ten tak zajęty u siebie, że nawet nie odpisuje.





# NOTATY BEZ ŁADU Z WYCIECZKI PO KRAJU.

PRZEZ

*Władysława Wiczorkowskiego.*

## BUSKO.

*Zielony i Czerwony Chotel.*

....**N**a drodze między Chmielnikiem a Buskiem, okolica niezbyt wesola. Mało tu życia w naturze: bo czyż podobna, aby było tam życie, gdzie przemagają piaszczyste wydmuchy i z żółtego piasku sfalowane wzgórza; gdzie nagie i zczerwieniełe ugory, gdzie wreszcie trudno napotkać gaju, nie powiem już lasu, przy drodze posypanej grubo białym kamieniem wapiennym, wydającym tumany nieznośnego kurzu. Niełatwo, tu nawet o rozłożyste drzewo, pod którego cieniem rad spocząć wędrownik. kiedy słońce pali żarem gorącego lata. A gdzie drzew braknie, tam jakoś pusto i smutno wygląda świat Boży, pomimo najpiękniejszych miejscami łąnow złotój naszej pszeniczki, co zbiwszy się szczelnie niby w jedną powierzchnią, w zaporę nieprzebytą, uśmiecha się nadzieją pracowitemu chłopkowi, kłoniąc ku ziemi kłos ciężarny: jak gdyby chciała połączyć się z tą ukochaną matką swoją, co jęj dała to życie tak czerstwe i pełne wdzięku. Kilka gdzieniegdzie drobnych strumyków, kilka wzgórz, ciemny las w dali, ostro odrzynający się od błękitu: to i wszystko co powiedzieć możemy o drodze do Buska. Nie zwłócząc więc i niezatrzymując się, chyba dla odpoczynku, stajemy u celu,

w owém cudowném miejscu, któremu niejedyn z pośród nas winien szczerą a prawdziwą wdzięczność.

Otóż właśnie wchodzimy do Buska przez niewielką uliczkę, strojącą się w nowe domostwa, w jednéj linii z szosą: a przed nami zaraz rynek miejski, z którego urządzono coś naksztalt ogródka, bo cała przestrzeń rynku niegdyś pusta, dziś młodém drzewem zarosła. Tu ześrodkowane życie małego miasteczka, tu owe tymczasowe cukiernie, restauracye, bilardy i t. p. zakłady, gdzie wiele rzeczy, choć niewszystkiego za pieniądze dostanie; książek np. brak wielki. Jeśli pogoda potemu, a zabrzmi śród tego cienistego rynku muzyka, zarzępoli najemny żydek; ujrysz niebawem snujących się licznie po tym improwizowanym ogrodzie, i zrobi się żywo, gwarno i wesoło. Tu młodzież wy-lakierowana, wylokowana i t. d., obok wykwintnie strojnej płci pięknej; tam poważniejsze grona mężczyzn, toczących zacięte, a jeśli się nie mylimy, teraz nieco w modę wchodzące dysputy w przedmiocie ekonomii politycznej lub ulepszanego gospodarstwa krajowego. Rozmaite w tém towarzystwie żywioły, typy, jak to zwyczajnie w każdym towarzystwie, zwłaszcza tak liczném, jak bywają letnie zebrania w Busku. Jedno jego kółko charakteryzuje naturalność, naiwność i wesołość prawdziwa, bo to trzy siostry rodzone; w inném dopatrzysz się kokieteryi, kto wie czy nie graniczącej z emancypacją; w tamtych znowu grupach etykieta przewodzi, a z nią w parze sztywność widoczna na piérwszy rzut oka: całe zaś zebranie utrzymuje się niemal na stopie wykwintności stolicy. Więc téż dziwnie odbijają obok tego eleganckiego buskiego świata owi arcy-poważni jegomościowie szaraczkowi, a bez jasno-żółtych rękawiczek; ludzie dawnego autoramentu, co tu przybywają nie dla jakiejś tam mody, ale dla ulżenia trapiącej ich niemocy. Każda taka postać tchnie jakąś starzyzną czy pleśnią, postawiona obok reszty towarzystwa; jest jednak dosyć i tych weteranów, tych ludzi nie mody, ale wspomnień.

Podobnego rodzaju zebrania, które muzyka zwabia, bywają w kilku jeszcze innych punktach miasteczka.

Nie będziemy obchodzić dalej wszecz i wzdłuż Buska, boć zresztą nie na wieleby się to przydało; tylko klasztor po Norbertankach, górujący ponad kartłowatemi budowlami małej miejsciny, mógłby zwrócić naszą uwagę, ale pogadamy o nim zaraz nieco szerzej.



Gmach przy solance, która o porządnym kawał drogi oddalona od miasta, nie jest tak pięknym jak mi o nim mówiono, ale też i brzydkim nazwać go nie można; wewnętrzne zaś urządzenie kąpeli i porządek, chwalone są powszechnie. O solance samęj, tój cudownej wodzie, zbytecznym byłoby dziś mówić; ogół dał się przekonać wreszcie, że i ten źródło w ustronnym zakątku naszego kraju, równie może być uzdrawiającym, jak niektóre wody zagraniczne. Fakt to ważny, to przewyciężenie wstrętu do tego, co swoje; miejmy nadzieję, że tak wszystko pójdzie z kolei.

*Dlu uprzyjemnienia pobytu osobom bawiącym w Busku* (wyjątek z afisza) dają się tu w pewne dni wieczory, zwane na miejscu technicznym wyrazem *reunion*, co znaczy w mowie polskiej poprostu *zebranie*. Mieliśmy to szczęście znajdować się na takowem zebraniu, albo, jeśli mamy prawdę powiedzieć, tylko w miejscu, gdzie miało być to zebranie; bo chociaż huczna muzyka na zabój wygrywała skoczne mazury, a młodzież wyfraczona była już w pogotowiu w sali rześisto oświetlonej stearyną, zabawa jednak najzupełniej się nie udała: płeć piękna nie pospieszyła na zebranie. Widzieliśmy jak weszło kilka dam, ale wkrótce też same panie wyszły temiz samemi drzwiami, wzięwszy zapewne na uwagę, że daleko lepiej siedzieć w domu, niżli się nudzić na tak nielicznem *reunion*. Co było przyczyną niepowodzenia wieczoru, zostawiamy to bliżej znającym miejscowe okoliczności do rozwiązania; my to tylko wiemy, że przez to niefortunne zrządzenie losów, straciliśmy sposobność nieco bliższego poznania towarzystwa bawiącego w Busku, i zwyczajów i obyczajów miejscowych.

Gdy wracaliśmy do domu z tój, nie powiemy, zabawy, droga wypadła nam obok karczemki. Tu także było *reunion*; a choćto tylko Janek ciął od ucha na skrzypkach skoczego, chociaż ledwo łożówka oświecała izbę: rozochociło się przecież całe zebranie; taniec szedł zwawo, do upadłego, aż się skrzyły podkówki. Walek, chłop rześki, odbijał to Kaszę, to Maryskę; brzmiały wesołe piosnki dziarskich parobków, przerywane rozgłosnem: hu! ha! A i starszych gospodarzy rozochociło to życie młodzieży i zawtórowali młodym, przypominając sobie dawne czasy. O! ileż tam było serca w każdym słowie!.. Jakaś spokojna rzewność i szalona wesołość odbijały się naprzemian w tych

piosnkach, tak jako w życiu tych naszych pocziwców. Gdziez się lepiej bawiono? pytamy.

\* \* \*

Obiecaliśmy pomówić o kościele buskim; bo téż w Busku, prócz solanki, której zresztą sława wczorajsza dopiero, głównie zasługuje na uwagę gmach kościelny i przyległy mu murowany klasztor. Niedawno jeszcze mieszkaly w tym klasztorze zakonnice Norbertanki, a mieszkaly do czasu spalenia się go w r. 1820. Czasy to świeże bardzo, żyje jeszcze wielu, co zapamiętają ten pożar okropny Buska. Przypadł on w dzień pogodny, ogień ogarnął kościół, zniszczył wieżę, organy paląc się wydawały odgłos; i byłby może kamień na kamieniu nie pozostał z buskiego kościoła, ale niespodziewanie Bóg zesłał deszczową chmurę, która wzniosła się prostopadle ponad miasteczkiem i przytłumiła żywioł straszliwy. Miasto całe wiele ucierpiało od tego pożaru; niejednen z mieszkańców zubożony tą klęską, musiał kryć się przed słońcą i zimnem w niezdrowych dołach w ziemi kopanych, gdy go niestać było na rychłe wystawienie sobie domostwa. A i klasztor niebawem opustoszał: mniszki wynalazły sobie w inném miejscu schronienie, i zajęły w Pińczowie klasztor po Paulinach; kościół zaś buski pozostał parafialnym, naprawiono go i przerobiono nieco, ale nienader fortunnie. Tam gdzie stał kiedyś główny ołtarz, drzwi wybito; a gdzie były drzwi wchodowe umieszczono wielki ołtarz. Oddzielono przytém kościół od klasztoru, a przez to osłabiono sklepienie, tak, że w kilku już miejscach widne szerokie rysy, niebardzo korzystnie wróżą o przyszłości kościoła.

Starą jest fundacya buskich Norbertanek; budowle jednak, na które dziś patrzymy, nie sięgają zbyt odległych czasów. Już w r. 1470 nie istniały pierwotne mury; w tym bowiem roku, Jan z rodu Koźlarogów, proboszcz buski, wystawił nowy kościół z ciosowego kamienia na miejscu starego, który podniszczał, a przytém niezbyt był obszerny, ciemny i niski (1). Ale kościół ten wystawiony w r. 1470 kosztem pobożnego proboszcza-szlachcica, snadź nie potrwał długo, kiedy w roku 1595 Jerzy Radziwiłł kardynał i biskup krakowski poświęcał *nowo*,

(1) Józ. D. An. Kraszewski w Żywotach... Część IIga, supplement.



a więc *powtórnie* odbudowany kościół w Busku (1). Tablica zaś marmurowa umieszczona w kościele buskim mówi, że:

„W r. 1621 za świętym Błogosławieństwem Jaśnie Oświeconego Pana Je<sup>o</sup> Mści X. Marcina Szyszkowskie<sup>o</sup> z łaski Bożej Biskupa krakowskie<sup>o</sup>, Xiążęcia Siewierskie<sup>o</sup> A te<sup>o</sup> kościoła patrona i pasterza, E. T. C. Za staraniem szlachetney Panny Zofiey Chomentowskiey Xieniey Conventu te<sup>o</sup> Ten kościół jest zasklepiony. A kto iey był do te<sup>o</sup> pomocny bądź radą, bądź iaką Jałmużną, temu on z conventem swym U Pana Boga o błogosławieństwo święte na ziemi a W niebie o wieczną nagrodę gorąco prosić będzie. Amen”.

Roku 1678 zgorzał klasztor, przyczém spaliło się zarazem niemało kościelnego ochędóstwa; naprawiono go na razie, ale mur był już zasłaby, więc nie można było liczyć, aby długo potrwał. Musiała więc ksieni zakonnice buskich, Jadwiga Pierzchałonka pomyśleć o nowym, i wnet znalazła dobrodzieja w kanoniku katedralnym krakowskim, Dominiku Lochmanie, toż i w Konstantym Szaniawskim księciu biskupie krakowskim. Ale Lochman może być uważanym wyłącznie i właściwie za fundatora tego nowego klasztoru. Używając tytułów nadawanych dobrodziejom przez kronikarzy klasztoraych, wypadłoby Lochmanowi dodać przydomek *benefactor munificentissimus*. Przykładał się też niepomału Odymalski kanonik sandomierski, pleban sędziejowski, a przytém dziekan kijowski;łożył on na obicie kopuły blachą i pokrycie dachów drzewem. Budowę tego klasztoru ukończono dopiéro w r. 1730 (2).

O nowój naprawie albo raczój rozszerzeniu i upiększeniu kościoła w nowszych już czasach, czytamy przechowany w kościele na marmurze ryty napis:

„Cześć Boskiej Opatrzności (3) za której pomocą, przy staraniu Nayp. w Bogu J. P. Xięni Konstancyi Kochanowski Z. S. N. klasztoru tego Xięni w lat Jey zakonności 50, przełożęństwa 22, kościół ten murami wzdłuż powiększony, ołtarzem Wielkim, zakrytyą, Organem y dzwonem dużym nowo przelany przyozdobiony, ukończony został R. P. 1814. Umarła dnia 13 Maja 1806; prosi o westchnienie do litościwego Boga“.

(1) Liplński Star. Pol. T. II. str. 360.

(2) Kraszewski w Żywotach (tamże).

(3) Na czele wyrte oko Opatrzności.

Przy tak, częstych naprawach i przebudowaniach z gruntu, niepodobna, aby chociaż ślad pozostał z pierwotnych budowli, chyba tylko jaka stara cegielka, lub może odłam kamienny mógł się zawieruszyć między te nowe ściany kościelne, by posąsiadować z młodszą swą bracią, dopóki czas nie zetrze w proch wszystkiego zarówno. Z wnętrza kościoła wypisaliśmy wszystkie historyczne nagrobki, pominąwszy nowe zupełnie, jako mniej godne uwagi. Napisy te nieznanne zkądinąd, zamieszczamy tu.

1) W kaplicy:

„Qui legis haec luctum et lachrimas compesci viator

Ullo nec turbes qui jacet hic strepitu

Sed si vacat titulum lege et disces quis hic iaceo

Tomas Kowalkowski de Kowalkowy terrae Dobrzinien:

et districtus Ripinen: Melchiore Kowalowski et,

Caterina de Radomino parentibus Natus, in Zbludowicze

haeres Vir nobilis animum habens sua sorte

contentum primum notarius de inde vice capitaneus

et iudex castren: Corczinen: post vero terrae

sandomirien generalis notarius

Vixi corpus terrae animum coelo dedi

Vivo adhuc faelix placidaquae quiesco in Urna

Hoc si probas mihi fave aeternumque vive praecare

Tibi vero idem praestolare

Vivens hoc suo cadaveri monumentum ad posteritatis

memoriam fieri fecit.

obiit plenus dierum ano 16 (więcej niewyryto) die mensis (.....)

aetatis sue anno (.....) domine dius sis illi portio in

terra viventium (1)”.  
 O nowy i piękny kościół w Dobrzyniu, w którym się znajduje ten nagrobek, został wzniesiony w roku 1606.

2) Także w kaplicy:

D. O. M. S.

Annae de Koritno matronae

pudicissimae Andr. Koriczinski

et Barbara de Ujazd Duninówna

Parentibus natae viam universae

carnis ingressae et hoc in tumulo

corporis sui instauratione: praesto

lati: Thomas Kowalkowski haeres in

Zbludowicze maritus merens id quod

nollet erexit. vixit annos 35

obiit 20Xbris A. 1606”.

(1) Kowalkowscy herb. Przegonia w ziemi dobrzyńskiej. Niesiecki nie wymienia tych Kowalkowskich o których mowa w nagrobku.



## 3) Po prawej wielkiego ołtarza:

D. O. M.

„Gnosi Dni Sigismundi a Łapsów Trembecki  
terminale hoc vita mortalis saxum  
meta honoris est et aeternum gloriae immortalis monumentus  
vixit ille Deo

Zelosa enutritas pietate catholicae religionis acerrimus  
propugnator Pro fide contra infideles christianus milles  
vixit patriae

Cui non tantum proprium vitae pignus debito reddidit  
sacrificio sed etiam unici sui nati Joann: olim a Łapsów  
ipsum iuventutis florem cruento Martis in ludo  
in campis Bathoviensibus aeternum consecravit  
vixit omnibus

omnium amor ornamentum Patriae, Domus et Familiae  
honor et gloria, pauperum pater, pro Deo et patria  
ex publica contra svecos expeditione redux, om-  
nium desiderium luctus et lachryme aetatis suae  
anno quinquagesimo quarto mortuus die VIII  
mensis Julii Anno Dni MDCLVI

Praevit secuturis ut hoc monumento omnia unico  
momento facile posse terminari, et magnas re-  
rum humanarum spes in nihil abire edoceret” (1).

## 4) Po lewej drzwi głównych:

D. O. M.

„Hic tumultus operit corpus Gnosi  
Joan: Królewski de Królowicze in Oweza-  
ri et Głuchów haeredis viri pii et catho-  
lici qui obiit anno vero Dni 1613 oretur pro eo  
Hospes eram in mundo per mundum semper eundo  
Nunc suprema dies, fit mihi summa quies” (2).

\* \* \*

A teraz nieco z dziejów Norbertanek buskich.

Podanie *kronikarzy* mówi, że w XIIIym wieku było w Busku opactwo Norbertanów, w Witowie zaś pod Piotrkowem miały mieć siedzisko Norbertanki. Ale do Witowa zajrzeli w r. 1241 Tatarzy, i krew się polala w ustroniu dziewic po-

(1) Rozgalecowa familia, która nazywała herbem Prus.

(2) O familli Królewskich nie ma nic w Niesteckim. Jakiś Królewski podpisał elekcyą Augusta IIgo, jak o tém Małachowski w Niestec. wydania Bobrowicza T. X. str. 255 (w dodatkach).

święconych Bogu. Ucudownił się wtedy Witów, bo gdy Tatarzyn nurzał żelazo w niewinnych łonach polskich dziewic, Bóg miał zesłać cuda; i oto legenda klasztornego rocznikarza mówi: że w sercu jednej z zamordowanych, imieniem Moniki, przedstawił się obraz narodzenia Chrystusowego; że pomimo rzezi całego zakonu, trzy przecież siostry cudownie uniknęły krwi chciwych rąk tatarskich, znalazłszy w przyległym lesie wybawienie. Chroniąc się tam o głodzie i chłodzie w dole, który dodziśdnia *dołem panińskim* się zowie, to błądząc po lesie, szczęśliwym trafem napotkały Dzierżława wojewodę sandomierskiego, (tak), który je zabrał do Buska; umówił się potem Dzierżek z opatem i zakonnikami, aby opuścili Busko i do Witowa się przenieśli. Stało się wedle umowy, a trzy zakonnice ocalone z rzezi, która Witów nawiedziła, pozostały już w Busku na zawsze, i były zawiazkiem liczniejszego zgromadzenia świątobliwych panien w Busku. Taką jest opowieść zestawiona z kronikarzy krajowych i rocznikarzy klasztornych o osiedleniu się Norbertanek w Busku (1).

Ale co nam po spleśniałych annalistach, kiedy stara babcina nauczy nas może lepiej niżli jaki tam nauczny i przemądry kronikarz; bo jejmość pani Maciejowa wie o wszystkiém od ludzi bardzo starych, co się porodzili i pomarli w Busku, a i ci jeszcze mówili, że słyszeli od swych dziadów, którym to opowiadali pradziadowie i t. d. Niezawadzi więc posłuchać pani Maciejowej:

„Dawno już, bardzo dawno był klasztor panien gdzieś niedaleko *Budzka*, bo tak się kiedyś nazywało *Busko*; a klasztor to był panie zamożny; i nie dziwota, bo ludzie dawniej byli pobożniejsi niż dzisiaj, do zakonnice nie nowina, że szły wtedy panny z dobrych familij, bogate szlachcianki, a gdy która wstępowała do zakonu, wносиła jakoby w posagu swoje część majątku, czasami gruntu kawał albo nawet i wsie całe. Nie zbrakło więc na niczém zakonnicom; to tylko im wadziło, że klasztor stał w miejscu niezdrowém i często z téj przyczyny chorowały. Ale było dwóch braci bardzo bogatych, którzy mieli siostrę w tym klasztorze; ci postarali się zaradzić złemu, i wyszukali zdrowe

(1) Bielski 135, 308. Kromer pod r. 1240. Długosz I. 540. Replnicki T. II. str. 219 powtórzył z Kraszewskiego Żywotów. Lubleński Series vltae res gest: Eplsc. Ploc. Damalewicz Series Archiept. Gnesn. 121.



miejsce w *Budzku*. Ułożyli się między sobą bracia, że jeden zbuduje kościół, a drugi klasztor wystawi; a jak się umówili tak i zrobili: stanął kościół i klasztor, a zakonnice przeniosły się do niego i mieszkały aż do spalenia się zabudowań w roku 1820".

Z ładem mówi pani Maciejowa, ale nam niewolno ani kronikarzom, ani buskiej mieszczce na ślepo wierzyć, kiedy mamy wiarogodniejsze źródła. Opowiadanie to podaliśmy jeno dla porównania o ile podanie miejscowe nieraz zgodnym bywa z prawdą. Dwaj ci bracia, o których mówi legenda, byli: Wit, biskup płocki, i Dzierśław (Dirsko) Janinowie, obu pisano z Chotła Zielonego, co pod Buskiem leży. Wit, jak mówią inne znowu podania, kiedy jeszcze młodzieńcem zwiedzał cudze kraje, upodobał sobie zakon ś. Norberta, tak, że majątek swój cały zaofiarował później na rozszerzenie tego zakonu w ojczyźnie, wystawił mu klasztor, uposażył nieladajako mnichów i mniszki zakonu św. Norberta, zwanego inaczej premonstratenskim, w Witowie i Płocku (1). Brat biskupa płockiego Dzierśław, snadź także polubił mocno ten zakon, kiedy sprowadził z Witowa, jak sam o tém mówi, braci i siostry tej reguły (2). Byli więc także w Busku oprócz zakonnic i mnisi, Norbertanie, owi kanonicy regularni ustawy św. Augustyna w białych sutannach a ze złotym krzyżem na piersiach. Kronikarze podają rok 1179, jako ryczałtową datę założenia trzech klasztorów w Witowie, Płocku i Busku, przypisując zarazem osadzenie zakonu św. Norberta w Busku Witowi biskupowi płockiemu; ale data ta za zbyt jest ryczałtową, aby można ją przyjąć za prawdziwą; rok 1179 jest jeszcze rokiem objęcia przez Wita z Chotła katedry biskupstwa płockiego.

Zagadkowa to dla nas jeszcze postać tego Dzierzka z Chotła, chociaż mniej może niż tyle innych z czasów Piastowskich; zagadkowa, pomimo, że dziś jeszcze możemy oglądać dwie prastare pamiątki Dzierśława dotyczące. Boć przecież mamy własny jego testament, a przytém napis grobowy, niedawno odszukany na miejscu, na którym czytamy:

(1) Rupnckł, Lubieński i wypis z *Liber beneficiorum* Długosza, który miałem chwilowo udzieleny przez ś. p. Ant. Muczkowskiego, a którego obecnie nie mam pod ręką.

(2) Codex Dipl. Rzyszcz. i Ant. Muczkowskiego. T. I, str. 15—16.

„*Derstaus de Chotel militari palati. sandomirie cap. cra. fundator loci huius obiit A. D. 1241*”.

Co do napisu podejrzujemy jego starożytność: przede-wszystkiém dlatego, że w żadnych drukowanych i rękopiśmien-nych spisach nie znajdujemy z tego czasu ani wojewody sando-mierskiego, ani starosty krakowskiego tego imienia. A chociaż i postać głosek i brak dyftongów i wiele innych pozorów prze-mawiają za dawnością napisu: nie możemy jednak dla téj, aż nad-to ważnej przyczyny usunąć naszych podejrzeń. Nam się zdaje, że to w późniejszym już czasie kazały zakonnice wyryc na ka-mieniu ten napis, odpłacając dług wdzięczności swemu dobro-dziejowi. Wszakże wiele podobnego rodzaju pamiątek, poświę-conych pamięci fundatorów, znajdujemy i po innych kościołach.

Za to testament Dzierzka ze wszech miar ciekawy; ma to być najdawniejszy znany nam zabytek tego rodzaju: autentyczność jego nieposzlakowana. Szkoda tylko, że brak w nim daty (1).

Dzierśław z Chotla, pan bogaty, dziedzic licznych włości w krakowskiej i sandomierskiej ziemi, wybiera się na woja-czkę (2). Więc z Bogiem poczyna wedle starego przodków zwy-czaju: spowiedzi nie zabacza, ciało i krew Chrystusową przyjmu-je, objawia wreszcie na piśmie ostatnią swą wolę i rozrządza do-statkim jak przystało na człowieka przezornego, co nie radby, iżby ojcowizna poszła na marność. Pani żona przyrzekła mu kiedyś pod przysięgą, że w razie śmierci męża oblecze się w suknię Norbertanki w Busku; ale Dzierśław jakoś niebardzo dowierza swój połowicy i na wszelki przypadek robi w testa-mencie zastrzeżenia téj treści: „Jeśli mojej żonie zachce się innemu ślubować, wyznaczam jej tylko wieś Wistokę; jeśli wdową pozostanie, dodaję jej Wiśnicę, i wolno jej nadto wziąć z sobą cały dwór, tojest sługi i służebnice: resztę niech miejsco-wy klasztor posiędzie. Jeśli zaś dotrzyma przysięgi, całe moje dziedzictwo staje się témsamém jej własnością; a dziedzictwo to składa: część na wsi Busku, nadto ośm wsi: Nosów, Piotrów, Tuczępy, Bezdruowo, Rechowo, Wiznicia, Corenowo, Premi-

(1) Testament ten w Kodexle Dypł. Rzyszczew. i Muczkow. T. I, str. 15—16; także w Polsce wieków średnich, J. L. T. III, str. 143.

(2) Nie mam żadnego przekonania o tém, żeby Dzierśław miał się koniecznie wybierać przeciwko Romanowi, jak to wszyscy za jednym po-wtarzają, boć w testamencie daty nie ma.



słowo (1). Jesliby zaś w innym klasztorze chciała zostać siostrą, ma z sobą zabrać tylko suknię, którą ma na sobie; ale dobra nie przejdą na rzecz brata mego Wita biskupa płockiego, ani téż mają dostać się krewnym, ale otrzymają je prawem wieczystém bracia i siostry reguły św. Augustyna w Busku."

Czy dopełniła ślubu żona Dzierzka, nie wiemy; wprawdzie dobra te należały później do klasztoru zakonnic buskich, ale czy przeszły na własność klasztoru przez wstąpienie pani żony, czy z mocy innego warunku testamentu, to także pytanie. Wolno nam wierzyć mimo powątpiewania własnego męża w cnotę żony, że dawna polska matrona, gdy pod przysięgą uczyniła obietnicę, uszanowała przysięgę. A i to być może, że testament był przedwczesnym, był prostą tylko przezornością, i że Dzierzek żyjąc dłużej, jakim innym sposobem przeprowadził myśl swą oddania dziedzictwa ulubionemu zakonowi.

W każdym więc razie Dzierzław z Chotła Zielonego jest *de facto* założycielem klasztoru w Busku, bo przez ten zapis rozległych dóbr dziedzicznych zapewnił mniszkom na zawsze byt materialny. Ale i Wit biskup płocki mógł być współ-fundatorem, jak tego chce podanie, mógł przykładać się także do dzieła; wiemy owszem, że nie był mu obojętnym klasztor Norbertanek w Busku. Biskupa krakowskiego Pelkę wciąż kłopotał ksiądz biskup płocki, ażeby nieco z dóbr kościoła krakowskiego przeznaczył na oprawę Norbertanek buskich; ale Pelka nie miał prawa rozrządzać wedle swego widzimisię mieniem biskupstwa. Więc Wit wystarawszy się u stolicy apostołskiej o pozwolenie na darowiznę, dopiero wtedy uzyskał od biskupa krakowskiego to, czego pragnął. Roku 1207 wydał Pelka osobny dyplom; przeznaczał w nim dla klasztoru buskiego dziesięcinę z *Wojezy, Winiar i Balina* (Balino) (2). Kapituła krakowska potwierdziła to nadanie, a pięciu biskupów przywiesiło pieczęcie do pergaminu. Chciał Pelka uczynić na wieczne czasy nietykalnym ten

(1) *Nosów* (Nosowo), *Piotrów* (Petrowo) oble w obwodzie opatowskim, w parafii waśniewskiej; (*Piotrów* także w powiecie sandomierskim, w parafii Łągów); *Tuczemy* (Tuchapi) wieś parafialna obwodu szydłowieckiego; *Bezdrucowo*, niewiadomo gdzie leżała ta wieś; *Rechowo* albo *Rzechów* w obwodzie soleckim, parafii Ilży, albo téż *Biechów* w obwodzie stopnickim, którego wieś jest blisko innych posiadłości klasztornych, gdyż mogło być wziętém *R. za B.*

(2) Cod. Dipl. Rzeszczew. i Muczkow. nr. 8.

dyplomata, więc niedość na tém: rzucał jeszcze biskup krakowski klątwę na tych, którzyby odważyli się naruszyć to jego postanowienie.

Temuż Pełce przypisuje historyk zakonu Norbertanów (Daniel Kraszewski) udzielenie pozwolenia na wystawienie klasztoru w pobliżu parafialnego niegdyś kościółka, który dziś pod imieniem św. Leonarda czerni się modrzewiową ścianą na ustroniu Buska, również jak i przeniesienie do nowego kościoła parafii. Był to zapewne także wynik usilnych próśb i zabiegów księdza biskupa płockiego (1).

Każda nowa zakonna fundacya budziła téż zawsze jakieś spółczucie w pobożnych sercach zamożnych panów; bo polscy magnaci, jak gdyby sadzili się jedni nad drugich w uposażaniu tych miejsc uprzywilejowanych, zapisy dóbr, albo co rzadziej znacznych kwot pieniężnych sypały się jak grad na te zakonne siedziby. Rzekłbys, że to pobożność pierwszych wieków chrześcijaństwa wszczepiła się między polskimi pany, tak dalece starali się ciągle dowodzić, że są prawdziwemi synami Chrystusa i Jego kościoła. Zaraz w początku istnienia buskiego klasztoru, bo około r. 1212 (2), niejaki Sławosz *ob amorem Dei salulemque animae* zapisał dziedziczne dobra Sławoszków z przyległościami; znane są dwa pergaminowe zapisy Sławosza, a świadectwo księcia Leszka i innych znakomitych dostojników stwierdza te dwa akta.

O innych z tego czasu darowiznach nie wiemy; z późniejszych zaś nieco, znajdujemy ciekawą wzmiankę o zapisie uczynionym przez *Jana Długosza*, a raczej o zamianie wyżej wzmiankowanej wsi Sławoszowa, mocno przez exakcyę zdezwolowanej, na wsie dziedziczne *Służów* i *Kostrze* (3), do czego przydał jeszcze nasz historyk 300 grzywien. Byłoto r. 1470. Król Kazimierz wydał Długoszowi i mniszkom pozwolenie na podobnego rodzaju zamianę.

Tak darzony klasztor buski hojną ręką Derśławów i Sławoszków, przyszedł do własnych obszernych posiadłości; miał

(1) Kraszewski Daniel (tamże) pod Buskiem.

(2) W Kodexle Dypł. Rzyszczew. i Muczkw., Kraszewski w Żywotach podaje datę r. 1210.

(3) Kraszewski D. Żywoty cz. II, Suppl. pod Buskiem. *Służów*, powiat wiślicki parafia Gnojno; *Kostrze* (?), (Kostrze) powiat wiślicki, parafia Gnojno.



już także przywilej zwierzchności duchownej, bo biskupa krakowskiego. Aby dopełnić miary łask mających podeprzeć nową fundacją, brakło tylko przywileju książęcego; bo posiadłość ziemska i dwa przynajmniej dyplomata: jeden od duchownej, drugi od świeckiej władzy, byłyto trzy rzeczy nieodbitie potrzebne ku podtrzymaniu na czas dłuższy nowo zakładającego się klasztoru. Książę Leszek nie odmówił przywileju. Uwolnił wszystkich w obrębie klasztoru buskiego zamieszkałych, zarówno poddanych, jako i wolnych od powoływania przed sąd nawet samego kasztelana wiślickiego, jeno wojewoda miał do tego prawo. Nie znamy tego przywileju Leszkowego, ale mamy o nim wzmiankę w niewiele co późniejszym dyplomie potwierdzającym księcia Bolesława Wstydliwego z roku 1252, wydanym na prośby ciotki jego Salomei, a małżonki króla węgierskiego Kolomana. Bolesław, ile pan pobózny, przyczynił z swój strony uwolnień w tém potwierdzeniu, oswobodził od wielu podatków zwanych stróżą, powołowem, stań, podwodę i przewod, a co ciekawsza, przeznaczył klasztorowi na lat 15 połowę zysku ciągniętego z soli znajdowanej pod Buskiem.

Rok 1415ty był rokiem zmian ważnych dla naszego klasztoru. Władysław Jagiełło bawiąc jeszcze poprzednio to w Wiślicy, to w Nowém-Mieście Korczynie, nieraz zjeżdżał do Buska: może upodobał sobie to miejsce. Widząc król, że siedziby zakonnic w Krzyżanowicach i Ibramowicach są mocno przez czas i wypadki zniszczone: powziął zamiar wystawienia innego klasztoru w Wiślicy. Ale Wiślica, miejsce błotniste, niegdyś podobno nawet kępa Nidy, nie była dość dogodną z przyczyny nizkiego położenia: słowem Wiślica byłoto miasto z natury niezdrowe; porzucił więc król Jagiełło pierwotny zamiar, i za pozwoleniem papieża (Jana XXIII) i generała zakonu Piotra Hermi, połączył Bogu poświęcone panieństwo dwóch klasztorów w Krzyżanowicach i Ibramowicach, z trzecim buskim w jedno zgromadzenie.

Zwiększała się ludność w murach klasztornych, zatem i wydatki musiały wzrosnąć. Dlatego téż do dawniej oprawy klasztoru buskiego przyłączono od Ibramowic wsie: Brzezno, Dębowa Łąka i Szczepanowice (1), z dziesięcinami na wsiach

(1) *Brzezno*, wojew. krakowskie, powiat kielecki, parafia Brugi. *Szczepanowice* wojew. krakowskie, pow. mlechowski, paraf. Mlechów.

Giedcy (?), Swieczu, Nowój-wsi, Junowicach i Przyszańsku; wieś zaś należące poprzednio do klasztoru w Krzyżanowicach, jak Kliczanów, Szarbków i Kowala, stały się także własnością zakonnic w Busku (1). Wyzaczył nadto król Władysław z własnej szczerobliwości, jakoby pensją roczną: 4 bałwany soli, 4 miar drobnój i 4 miar zuzolu (2).

Akt połączenia odbył się (w r. 1415) z niemaleni uroczystościami. Widziało wtedy Busko w swych murach wiele znakomitego duchowieństwa, a na czele tych gości był biskup krakowski Wojciech Jastrzębiec, z ramienia zda się królewskiego zesłany. Było tam i dwóch opatów, ludzi także godnością znakomych: jeden Witowski imieniem Świętosław, drugi był opatem Hebdowa, leżącego tuż przy mieście Brzesku ponad Wisłą w krakowskięj ziemi; obaj z zakonu Norbertanów albo inaczęj kanoników regularnych ustawy św. Augustyna. Było też w Busku z téj okoliczności i wielu innych kommissarzy, którzy mieli w wykonanie wprowadzić wolę królewską (3).

Z późniejszych znakomitszych wydarzeń, które urozmaicają i ożywiają kronikę domową klasztoru, jest najprzód małe wspomnienie, że kiedy szlachta ciągnęła w roku 1474 przeciwko Węgrom, dopuściła się w klasztorze wielkich zbrodni... (4). We dwa stulecia potem, pierwsza wojna szwedzka wypiętnowała się krwawemi śladami w buskim klasztorze; zamordowali wtedy kozacy niejaką pannę Bardecką zakonnicę, a klasztor tak był przez przechody Szwedów, Węgrów i Kozaków zniszczony, że Jan Kazimierz w r. 1657 uwolnił dobra zakonne na lat 4 od wszelkich podatków. Byłato zresztą doła nie samego tylko Buska, ale wszystkich niemal posad Rplitej; nie znajdziesz zakątka w koronie, któryby mniej więcej podobnego nie doświadczył losu.

Buski klasztor Norbertanek nie byłato tylko zwyczajna siedziba pobożnych zakonnic. Busko z dawien dawna było miejscem cudownem, a więc koniecznie i celem wędrówek pobożnych naszych praorców. Jak dziś czarowne źródło wody uzdrawiającej ścięga tłumy; tak w XIII już wieku żywa krew Chrystusa, brocząca obraz Zbawiciela w buskim kościele, spro-

(1) Kraszewski Damiel pod Krzyżanowicami.

(2) *Mensura, miarka*, była *ćwiercią korca*, a dzielila się na 3 *korczyki* (chorl); *et quatuor urnas suzalez*.

(3) Długosz T. I, księga 11, str. 369 (A).

(4) Starożytna Polska T. II, str. 360.



wadzała zapewne tłumy pobożnych pielgrzymów. Jeszcze Leszek Czarny w przywileju z r. 1287 wspomniał o krwi, która w kościele buskim rozmaitemi znakami kwitnęła i kwitnie (1). A gdy w r. 1664 lud polski patrzył na cudowny obraz Maryi w Studziannie, gdy inny wizerunek Przenajświętszej Panny w Dzierzgowie obfite łyzy toczył: „w kościele buskim obraz ubiczowanego Chrystusa, krwawemi kroplami i odnowionemi ranami płynący pocił się, na co zakonnice i wiele ludu patrzyło” (2). O kroplach krwi starannie ongi przechowywanych w skarbcu klasztornym, taką słyszeliśmy gadkę:

„Onego czasu, jakiś Reformator z Stobnicy, chciał wykraść te krople dla swojego klasztoru. Po odpuście, który tu był u św. Norberta, udało mu się wynieść naczynie; przy wyjściu z kościoła nic mu nie przeszkadzało, ale gdy graniczną miedzę Buska chciał przestąpić, żadną miarą nie mógł tego dokazać. Chodził długo, długo na granicy, i wyjść nie mógł: zakopał więc relikwiarz z kroplami na łące zwaną dziś Kaczowa i dopiero wrócił szczęśliwie do Stobnicy. Gdy zakonnice spostrzegły kradzież, zaczęto wszędy szukać téj nieocenionej straty, ale próżnicy: tylko ponad łąką unosiło się światło, dające poznać miejsce pochowania krwi Przenajświętszej. Poszukiwania w ziemi także nic nie nadały: więc tylko miejsce to, dopóki w Busku mieszkaly zakonnice, w osobliwszym było poważaniu. Światło nie przestało się pokazywać ciągle, nieraz goniło krok w krok za ludźmi, i dziś jeszcze da się czasami widzieć, jak promyk ognia granicę łąki dokoła obchodzi“.

Tak w cudownej swój ustroni, zdala od zgiełku świata, pędziły czas na pobożnych modlitwach i *medytacyach* siostry reguły św. Norberta. Ale „według pierwsiastkowego zwyczaju zakonu Norbertanów, przy klasztorze panieńskim fundowano i zakonników, a to dla wygody panien w administrowaniu sakramentów śś. i innych potrzebach duchownych i świeckich“ (3). Kobiety więc i mężczyźni, osobnemi rozdzielni mieszkaniem, Bogu służyli, a zakonnicy nad pannami mieli zwierzchnictwo (4).

(1) Jest o tym przywileju wzmianka w Staroż. Pols. T. Liptńskiego.

(2) Kochow. Klím. 3 i. V f. 148 przywiedzio. w Kraszewskiego D. Żywotach.

(3) Dantel Kraszewski str. 318.

(4) Vita Epls. Plocen. Łubień. pod Wittem.

Byli zatem przy klasztorze panieńskim w Busku i zakonnicy; przełożony ich miał tytuł *proboszcza*. Piérwszym takim przełożonym, jak nas uczy testament Dzierśława, był niejaki Jan. *Proboszcz*, byłato wcale znakomita figura w składzie zakonnym; był zwierzchnikiem zakonnicy, mniej znaczył od opata, ale opatów zakonnych szukano zwykle między proboszczami, a bywały przykłady, że ci przełożeni zakonnicy wychodzili na biskupów, i to nie *in partibus*, ale takich, co zasiadali w senacie. Tolibowski był przecież proboszczem Norbertanek w Płocku wprzód, nim infuły poznańskiego biskupstwa dostał. Przy klasztorze były jeszcze inne beneficya: jak komendarza, kaznodziei, prokuratora i spowiednika; miejsca te w ostatnich zwłaszcza czasach, z wyjątkiem spowiednika, który był zawsze Norbertanem, zajmowało zwykle świeckie duchowieństwo.

Wewnątrz klasztoru głową była ksieni. Nie powinniśmy szukać pośród tych przełożonych zakonnicy imion rozgłosznej sławy; ksieni mogła zasłynąć jeno dobrym rządem domowym, dobrocią, dziwną a przednią pobożnością. Dobre imię ksieni nie powinno było przekraczać dalej za kółko klasztorne, a co najwyżej, za ziemię powiatu. Pojmowały to dobrze prababki nasze, że sława zakonnicy, a nawet każdej kobiety, nie jest z tego świata. Zakonnica winna była uczynić rozbrat z światem, z ciałem, z przyjaciółmi, „uczynić separacją, jak mówili nasi przodkowie, od parenteli, kolligacyi, tytułów i herbownych klejnotów.“ Ale i w tym szczupłym obrębie bogobojność, prawość, żywe starania około murów klasztornych, téj jakoby skorupy, w którą się zasklepily i ukochały, a którą powoli przyzwyczaily się uważać jako drogą swą własność: oto było pole do jakiegoś odznaczenia się, do sławy i poczciwego wspomnienia.

Kronikarz zakonny oddając hołd wszelkiej zasłudze, winien był i o cnotach naszych prababek zapisać dla nauki potomności. Taką zasługą w gronie księń Buska jaśnieją imiona Zofii Chomentowskiej (około r. 1621), siostry rodzonej dzielnego Marcina Chomentowskiego podkomorzego braclawskiego, który zginął w Wołoszech pod Sasowym Rogiem. Zasłużyła sobie podobnie na dobre imię Jadwiga Pierchalonka (około r. 1678), o której mówiliśmy, że nowe mury klasztorne wzniosła. Zasłużyła wreszcie Joanna Katarzyna Bobrownicka; „sama pobożna, radaby była i innych widzieć pobożnemi, a urządziła przy



klasztorze mieszkanie dla panien świeckich (1), wzniosła kościół we wsi klasztornej Kliczanowie, surowo przestrzegala reguły, i urządziła śpiewy kościelne.“ Panegiryzkarz nie może znaleźć dość słów ku jej uwielbieniu; mówi o niej że: „radaby kościół w niebo, a ludzi wszystkich w aniołów przemieniła..... Zgoła cokolwiek wspaniałego w Judytach, wstydliwego w Zuzannach, hojnego w Pulcheryach, pobożnego w Matyldach świat mógł upatrzeć i pochwalić, to świętą na sobie wyrażała emulacją w jedną skoncentrowawszy doskonałość“. W ostatnich czasach staraniem około klasztoru zasłużyła się, jak to już wiemy, Konstancya Kochanowska.

Wspomnieniem tém o ksieniach, kończymy naszą niezupełną monografią buskiego klasztoru.

\* \* \*

Pozegnajmy już Busko; ale oto właśnie na wychodnym zawadziliśmy po drodze o kościółek św. Leonarda. Oddzieliła się ta kapliczka od miasta, jakby chciała przerwać związki z tą dziwną terażniejszością; bo miasto Busko, to jakby wrzawliwa terażniejszość, a biędny ten drewniany kościółek, to jakby przypomnienie przeszłości spleśniałej: to też dokoła kapliczki zaległy smutne, chwastem porośłe grobowce. Tam na lewo, w niepozornej chałupie, mieszka grabarz, który nam ciekawcom ma otworzyć drzwi od tego ustronnego kościółka. Na progu owój chatki siedzi dziewczynka i zabawia młodszą swą siostrzyczkę; byłto córki biędnego grabarza.

— Czy jest ojciec w domu? — spytałem.

— Są tatusio — odpowiedziała smutno dziewczynka.

(1) Z panegiryka, n. n.: „Konsekracya kościoła dwuletniego, albo błogosławieństwo konsekrujących się na usługi Bogu, przy proczystości poświęcauła kościoła w Busku, y przy annwersalney pamiątce Benedykty na przełożęński urząd Nayprzewielebniejszey JMci Panny Katarzyny Bobrownickiey, Xieni Buskiey, a oraz przy dwóch zakonnie profesyyl, kazaułem romantrowane, a potym przy doroczney patronki festywie Teyże Nayprzewielebniejszey JMci Pannie Xieni na wiązanę dedykowane. Przez X. Jana Nepomocena Rymlńskiego, kanonicznego instytutu premonstratęńskiego, professyyl hebduwskięy, nateńczas kazuodziele Buskiego, R. P. 1756.“ (W Krakowie w drukarni J. O. X. JMci biskapa Krakowskiego, przy admistracyi Józefa Halka, Bibliopoli Nadwornego). Na końcu approbata z datą d. 23 Sbris 1756.

— Powiedz więc tatusiowi, moja mała, żeśmy tu przyszli prosić go o klucz od kościółka.

— E! kajta, tatusio dziecko pochowali i napili się, tota śpią. Ścisnęło się serce, nie chcieliśmy snu przerywać biednemu grabarzowi, który upił się na frasunek. Klucza nie mogliśmy znaleźć, więc odeszliśmy, nieobejrzawszy wewnątrz starego modrzewiowego kościółka, co miał tu być kiedyś, wedle podania, parafialnym; ale to już dawno, bardzo dawno, wtedy jeszcze, kiedy Busko było wsią tylko a nie miastem.

Pół mili za Buskiem, w małej wioseczce, którą tu zwykle nazywają Chotelkiem, a która na mappach zachowała dawną właściwą nazwę Zielonego Chotla, jest kościółek także modrzewiowy św. Stanisława. Wioska jak wszystkie wioseczki, a kościółek w niej jak wszystkie stare modrzewiowe kościółki: czarny, bo burze i słoty taką narzuciły mu barwę, a jeśli się gdzie bieli, to chyba od pleśni. Rodzony to brat buskiego, tak jak i tamten mchem obrosły, spruchniały i zestarzały; otacza go dokoła niskie obmurowanie przez pół rozwalone. Kościółek ten, również jak i kaplica św. Leonarda w Busku, są oba dziś filiami buskiej parafii.

— Kiedy ten kościół stawiany, nie wiecie? — zagadnąłem wieśniaka, który przyniósł klucze, aby go pokazać wewnątrz.

— A juści wtedy, kiedy tu był las — odpowiedział.

Obejrzałem się wkoło, a wszędzie na przestrzał żółciło się tylko szerokie pole; lasu nigdzie ani śladu, dziesiątka drzew nie doliczyłeś się na całej przestrzeni.

Umieszczony na wystawie przy wchodzie napis: *A. D. 1765 Die Junii*, jest zapewne datą odnowienia kościółka; bo trzeba wiedzieć, że ściany jego zewnętrzne obite są deskami niby futerałem. To pewna, że już za czasów Długosza istniał tu już takż drewniany kościółek (1).

Wewnątrz zastanawiają przedewszystkiém dwa obrazy w stylu bizantyjskim, bardzo stare, malowane na drzewie na tle złoconém: jeden Bogarodzicy, drugi ukrzyżowanego Chrystusa. U dołu grupy osób w dawnych ubiorach, zapewne portrety fundatorów tych obrazów; sufit malowany klejową farbą w kwadraty: słowem, postać wewnętrzna kościółka zupełnie podobna

(1) Wyplis z Liber. Benef. J. Długosza.



do tych, jakie pan Łepkowski opisywał nam w listach z ostatniej swojej podróży archeologicznej po Galicyi.

Znajdujemy tu jeszcze wpuszczony w podłogę taki kamienny nagrobek:

„Tu odpoczywa Anna Gniewosowa  
 Jusz nie wątpiąc Bóg ja w Łasce chowa;  
 Tei Jan z Wnorowa Gniewos pozostały  
 Po swei małżonce wpadł w smutek nie mały,  
 Kazał nagrobek stawić marmurowy  
 By każdy wierny był na to gotowy,  
 Gdy się przypatrzeć okiem swoim raczy,  
 Za duszę prosić Boga nie przebaczy.  
 Umarła roku 1630 (?) dnia 22. Grudnia” (1).

U krawędzi wielkiego ołtarza taki znowuż niezgrabny zdecydowaliśmy napis: „1524 *Venerabilis D. Stanislaus Słupsky cano. Sande. aedificavit*”.

Z Chotlem Zielonym wiąże się jedno, ale bardzo dawne wspomnienie. Przypomnijmy sobie, że owego *Dzierśława*, założyciela kościoła w Busku, nazywano *Dzierśławem* z Chotla, a i Wit biskup płocki ma być także rodem z tej wioski. Zebrałiśmy do żywota Wita biskupa płockiego nieco danych; może kiedy będziemy mogli ułożyć ten materiał w jaką opowieść. To przecież wiemy, że na miejscu nie przybył nam ani jeden szczegół do życiorysu Wita biskupa płockiego, ani też do jego brata Dzierśława.

Za czasów Długosza należał Zielony Chotel w połowie do kolegiaty sandomierskiej, a druga połowa była własnością Stanisława i Piotra Korzeńskich, herbu *Strzemię* (*de armis streparum*). Pod wioską płynie strumień zwany Chotel, którego woda wydaje zapach siarki (2).

\* \* \*

Przed tobą płaszczyzna jak okiem zasięgniesz. Widok rozległy, bez końca; bo ziemia z niebem splotły się tu w jedną całość, tworząc pełny obraz, oświecony słońcem, cudny grą

(1) W kościele XX. Franciszkanów w Nowém-Mieście Korczyne jest nagrobek jakiegoś *Jana Gniewosza z Wnorowa* herb. Kościeszka, zmarłego r. 1621. *Pam. Relig. Moral.* r. 1843. T. IV, str. 440.

(2) Podłóg wypisu z *Liber benef.* Długosza, znajdującego się w kolegiacie sandomierskiej.

kolorów. Na tém tle wspaniałém rysują się ostre formy gotyckiego kościółka, wzniesionego na gipsowej skale, która Bóg to wie jakim dziwnym trafem dostała się na tę płaszczyznę. Może dlatego wyrosła ona z pod ziemi, aby biedny lud wiejski mógł się do niej przytulić i rozłożyć się u jój podnóża ze swą sadybą; a może dlatego, aby na niej stanął kościółek, i aby tenże lud Boży miał go wciąż na oku, i chwalił Pana nad Pany, chociażby za tę rodzajną glebę, co mu daje chleb powszedni. Ze skały téj ukazują ci 16 kościołów. Miejsce to nazywa się *Czerwony-Chotel* i jest bezwątpienia niezmiernie starą osadą. Ktoś powiedział, że w Czerwonym Chotlu, na téj samej skálce, z której szczytu wybiega w górę gotycki kościółek, stać miała kiedyś pogańska świątynia, a później znowu wieża strażnica od najazdów tatarskich (1). Nie potrafimy tego sprawdzić, ale to jest rzeczą niewątpliwą, że w XIV już wieku był tu drewniany kościółek. Odszukaliśmy napoły zniszczony dyplomata erekcyjny tego drewnianego kościółka w Chotlu, a na nim czytamy rok 1313; był on założony wedle słów tegoż dyplomatu pod wezwaniem św. Bartłomieja (2). Ale chociaż taki niepozorny, boć ledwo drewniany, daleko jednak sięgała jego władza, bo aż po miasto Chmielnik; nawet kościół w Dobrowodzie, założony przez Florjana biskupa krakowskiego był tylko filialnym chotelskiego. Kustodya wiślicka i wiele innych kościołów w okolicy, stanęły z dochodów parafii w Chotlu.

A wiecie kto wystawił tutaj ten kościół gotycki murywany?..... To Jan Długosz, zaszczyt naszego dziejopisarstwa, wznosił Bogu na chwałę, a ludziom na zbawienie te mury. Kiedy zakładał w r. 1440 pierwszy kamień na budowę świątyni w Chotlu, był wtedy Jan Długosz kustoszem sąsiedniej kolegiaty wiślickiej; kościółek chotelski, ile że z drzewa zbudowany, był już spruchniały, więc na jego miejscu ksiądz kustosz postawił nowy wspanialszy (3). Kościół Długosza dotrwał dotąd w całości. Na ściany, podparte z każdej strony trzema gotyckimi skarpami, użyto ciosu z gruba obrobionego; a ponad ścianami poprzecznymi snadź sterczały przed laty misternie wyrobione

(1) Opis Buska i jego okolic.

(2) Erekcyja, po staranném zdcyfrowaniu, ma wejść w skład dyplomatarjusza, który zamierza wydać Alexander hr. Przezdziecki.

(3) O tém wypis z *Liber benef.* Długosza znajdujący się na miejscu.



gotyckie krzyże, bo szczątek jednego z nich jeszcze dziś widzimy.

W kruhcie nad bocznymi drzwiami umieszczona erekcyjna tablica z piaskowca, dość ciekawym jest zabytkiem. Wyobraża ona płaskorzeźbioną postać Bogarodzicy, a po bokach jej figury śś. patronów kościoła, ś. Stefana i Hieronima. Wokoło tej rzeźby wyrobiony wypukło scholastycznymi literami następujący napis:

„ANNO D. M<sup>o</sup>CCCC<sup>o</sup>L<sup>o</sup> AD HORE OIPOTEF<sup>s</sup> DI ET BTE MARIE VIRGIS SCTORUM STEPHANI REGIS ET IERONI QFESSOR<sup>s</sup> H. ECCIA E FABRICATA.“

To jest:

(Anno Domini Millesimo quadingentisimo quinquagesimo, ad honorem Omnipotentis Dei et beate Mariae Virginis, Sanctorum Stephani Regis et Hieronimi confessoris haec ecclesia est fabricata). Więc dopiéro w r. 1450 ukończono budowlę.

Wewnątrz kościoła sklepienie gotyckie bez filarów, na ścianach zbiegające się; pośrodku zaś wiązań sklepiennych, na klucznikach, tarcze z rodzinnym herbem Długosza *Wieniuwę*. Nad drzwiami zakrystyi jest płaskorzeźbiona figurka św. Stefana króla.

Za istnienia kollegiaty wiślickiej, kollatorami Chotla byli tameczni kustosze; dziś rząd jest kollatorem.

\* \* \*

Daleko zostawiliśmy poza sobą Czerwony Chotel, a jeszcze ciągle snuła się w wyobraźni postać Długosza,.... I rzuciłem raz jeszcze okiem poza siebie na pamiątkę po człowieku, którego pracy nikt jeszcze dotąd nie objął, po światłym mężu, któremu dzieje przeszłości zawdzięczamy. Przeniosłem się w te czasy, kiedy Długosz był luminarzem wieku; w owe czasy Kazimierza, co miały tyle chwil prawdziwego blasku: i widziałem też jak i Długoszowa nauka, talent i praca, rozjaśniły jednym szerokim promieniem więcej ten blask, który przyswiecał Polsce Jagiellońskiej. A potem z księgami Długosza przeniosłem się w nasze czasy; i smutno się zrobiło, gdy stanęła na myśli dotkliwa prawda, Gdzie pomnik Długoszowi wystawiliśmy w literaturze? pytałem; gdzież zyciorys dziejopisarza i człowieka publicznego? gdzież przekład historyi w mowie rodzinnej? I dla jakiejże znowu przyczyny stosy mozolnych a ważnych prac tego

pierwszego naszego *historyka* butwieją i niszczeją, jakby gwałtem chciano, aby je czas strawił? Nie przeczę, że rozwiązać te pytania przyszłoby może niejednemu z łatwością; co do nas, nie mamy żadnej a żadnej na nie odpowiedzi.

Z myślą o Długoszu stąpałem ku Wiślicy po ciemnym złotodajnym gruncie klassycznej ziemi Wiślan; niknące z poziomu słońce, krasnemi płomienistemi wstęgami osuło niebios sklepienie. Wyrzał potem raz jeszcze złoty, drżący promień słońca, błysnął po czarnych jak sadze wiślickich zagonach, oświecił kilka grupp hożych wiejskich dziewczuch, które z sierpem w rękę a pieśnią na ustach wracały do chałup po całodziennęj pracy, przesliznął się ponad poetycznym, starym może jak Polska grodem, i skrył się het daleko.... Potem zbladło jarzące niebo, i zwolna pograżyło się wszystko w ciemnościach....

Myśmy stanęli w Wiślicy.

Dnia 28 stycznia, 1853 roku.

---

## DODATEK.

### *Cechy w Busku.*

1) *Cech szewski*, ustanowiony przez kardynała Fryderyka Jagiellończyka w r. 1490, potwierdzony i nowemi przywilejami obdarzony przez króla Zygmunta IIIgo.

2) *Cech krawiecki, kuśnierski i postrzygacki*. Ustawa tego ostatniego cechu z r. 1412, odnowiona w r. 1578 przywilejem króla Stefana; później, gdy upadły postrzygalnie przyłączyli się do tego cechu *tkacze*.

3) Cech połączony kowali, bednarzy, rymarzy, powrozników, stelmachów, kołodziei, ślusarzów, kotlarzy i garncarzy, utworzyła Zofia Chomentowska, ksieni, i nadała mu ustawy, które potwierdzili Władysław IV w r. 1633, i Jan Kazimierz w r. 1661.

4) Cech piekarzy ustanowiony przez radę miejską Buska w r. 1730, a zatwierdzony w r. następnym przez króla; do cechu tego przyłączyli się za ksieni Jadwigi Pierzchałonki rzeźnicy i przekupnie.



# PAN DWÓCHSET WYSP.

POEMAT WALTER-SKOTA.

## PIEŚŃ I.

I.

„O córko Lorna, powstań z twego łoża!  
Spiewają bardy w zamku Astornika (1),  
A melodyjna pieśni ich muzyka  
Łączy się słodko z głuchym szumem morza,  
Co tocząc zwolna spienione bałwany,  
Bije o gmachu starożytne ściany.

Na Junimoru wyżynach skalistych  
Cisza się robi, i wiatr wiać ustaje;  
A na wybrzeżach Loch Allinu mglistych  
Stoją w milczeniu szeleszczące gaje:  
Jakoby wody, i lasy, i skały  
Słodkiej melodi przysłuchać się chciały.

Nigdy też wdzięczniej, o nigdy weselój,  
Pieśń się o owe nie odbiła wzgórza,  
Bo wszystkie szkockie wyspy oceanu:  
Ross, co się z piany srebrzystej wynurza,  
Illaj, Argile, stromy szczyt Aranu,  
Wszystkie swych wieszczych wysłały minstrelki.  
Hańba! o hańba wieczysta bardowi,  
Który nieczuły na uśmiech piękności,  
Nadzieję sławy i urok miłości  
Gościnnym chęciom godnie nie odpowie!  
Hańba wieszczowi, co w tym dniu pamiętnym  
Nieme ma usta, z sercem obojętnym.

(1) Widownią tego poematu jest najpierw starożytny zamek Astornik, następnie wyspy Skija i Arran, wreszcie okolice Sztirlingu. Akcja rozpoczyna się z wiosną 1307 roku, kiedy Robert Bruce przez Anglików z kraju wygnany, powrócił z wyspy Rokrynu.

## II.

„O córko Lorna! przebudź się z uspienia!  
 Spiewają bardy w zamkowym krużganku,  
 A dźwięki z arfy i minstreli pienia  
 Powinny piękność budzić o poranku.  
 O córko Lorna! i ziemia i morze  
 W milczeniu słodkich pieni naszych słucha,  
 Łękliwy jelen staje w Letermorze  
 Na dźwięki harfy nadstawiając ucha;  
 Po Hańskaru szumiącej głębinie (1)  
 Dziki lew morski za minstrelem płynie,  
 Kiedy na lekkiej ślizgając się łodzi,  
 Duchowi morza pieśń swoje zawodzi;  
 I siwe orły kołyszą się w chmurach,  
 Gdy harfa zabrzmiała na Ben-Kajlu górach:  
 A ty szlachetnej krwi szkocka dziewico,  
 Czyż cię nie wzruszą wdzięczne nasze pienia?  
 O córko Lorna! ocknij się z uspienia!  
 Z łoną spoczynku wstań oblubienico!

## III.

„Wstań córko Lorna! po łąkach łśni rosa,  
 Błaskiem jutrzeńki pałają niebiosy;  
 Natura cała poranku ozdoba  
 Zdaje się rada, aby walczyć z tobą.  
 Ona skowronka budzi między wrzosem,  
 Ażeby z twoim ubiegał się głosem;  
 Ona fiołki, co w dolinach kwitną,  
 Ubięra w barwę oczu twych błękitną....  
 Wstań córko Lorna! wstań Edyto młoda,  
 A w blasku swoim zagaśnie przyroda!  
 Ukaż się! ukaż! Lecz czemuż jej nie ma?” —  
 Zawoła minstrel, co rej w pieśniach trzyma—  
 „Bardowie tkliwsze dobierajcie tony,  
 Lżej i łagodniej uderzajcie w strony;  
 Niechaj pieśń wasza w lubą ranku ciszę  
 Oblubienicę lekko ukołysze:  
 Aż sny skrzydlate rozkosznośm marzeniem  
 Obudzą serca drzenie tajemnicze,  
 Zapłonią lica, a łono dziewicze  
 Lubiej tęsknoty wzniesie się westchnieniem.”

(1) Lwy morskie nadzwyczaj lubią muzykę, i długo płyną za łodzią, na której słyszą dźwięki jakiegobądź instrumentu.



Tak mówił minstrel, a słodka i tkliwa  
Pieśń się miłości po gmachu rozlega,  
Z falą się morską kołysze u brzegu.  
W czystych się tchnieniach poranku rozptywa.

## IV.

„Jako jasny promień słońca,  
Co się z łona wód odstrzeli:  
Wstań dziewico, wstań z pościeli  
Zapłoniona i marząca.  
Wstań pożegnać druchny młode,  
I dziewiczych chwil swobodę.  
Wstań, bo miłość niecierpliwa  
Strun dźwięczeniem,  
Bardów pieniem,  
Z łona marzeń cię wyrywa!  
Wstań Edyto!... Już u brzegu  
Chybkie nawy drżą do biegu;  
Fala boki im podmywa,  
Wnet bandery wiatr rozwije...  
O! i kobza się odzywa!  
O Edyto! imię czyje  
Głosi wdzięczna pieśń kobziarza?  
I gór echo je powtarza.  
I wiatr niesie ponad falą;  
Czyje herby złotem tkane  
Na jedwabiach wyszywane  
W promieniach się słońca palą?  
Słodka... luba tajemnica!  
Mnie jęć spiewać nie wypadnie,  
I płonąca się dziewica  
Niech ją w głębi serca zgadnie”...

## V.

W komnatach zamku, w służebnic swych kole,  
Słyszy Edyta, jak bardów muzyka  
Brzmi wśród posepnych sklepień Astornika;  
Lecz, wzrok ma chłodny i twarz jęć nie płonie.  
I jako skała zimna i nieczuła,  
Co wszystkie ognie w granicie zakula,  
Słucha z pogardą srebrnego strumienia,  
Który miłośnie przy jęć stopach dyszy:  
Tak ona głucha na minstreli pienia,  
Zdaje się dźwięku złotych harf nie słyszy.

Tymczasem młode dziewice w milczeniu  
 Stoją posłuszne pani swój skinieniu:  
 Katlena z Ulmu z skrytą dumą w sercu  
 Złote Edyty zaplata warkocze;  
 Ellena, dziecię łube i urocze,  
 Klęcząc schylona na miękkim kobiercu  
 Jedwabne meszty na nóżki jój wtlacza;  
 Bertolda ręce perłami otacza,  
 I klamry spina kunsztownej roboty,  
 A modro-oka, białej płci Enona,  
 Płaszcz purpurowy rzuca na ramiona.  
 Płaszcz purpurowy, a na nim haft złoty  
 I złota frendzla bogato się świeci;  
 Płaszcz w mnogich faldach aż do ziemi splywa,  
 Przecież powabów dziewiczej kibici  
 Przed oblubieńca okiem nie ukrywa.

## VI.

Jestże dziewica, która w dniu wesela  
 Oblubienicy ozdobiona wieńcem,  
 Gdy przed wybranym stanąć ma młodzieńcem,  
 A miłość śpiewa dzwięczny głos minstrela,  
 Ani się razu uśmiechnąć nie raczy  
 Gdy postać swoją w zwierciadle obaczy?  
 Jest;—i minstreli niechaj głoszą pienia,  
 Że dostojnego Lorna dumna córą,  
 W dniu ślubów swoich zimna i ponura,  
 Ani na ustach cichego westchnienia,  
 Ani rumieńca nie miała na twarzy  
 W którym krew serca na licach się żarzy.

## VII.

Morag sędziwa, wiekiem pochylona,  
 A która niegdyś mléką swego łona  
 Lornu dostojną karmiła dziewicę,  
 I jako własne ukochała dziecię;  
 Morag się patrzy na oblubienicę.  
 Patrzy się długo stanawszy na boku,  
 Jak gdyby chciała skryte serca bicie,  
 I myśl tajemną wybadać jój w oku.  
 A kiedy wreszcie płaszcz świetnej purpury  
 Odział ramiona pięknej Lornów córą,  
 Harfarzy głośnieję zadzwięczały pieśnie  
 Dając znać, że się godzina przybliża;



Sędziwa Morag westchnęła bolesnie,  
 Kreśląc w powietrzu święte znamię krzyża.  
 Wié ona teraz, że słowa minstrela  
 Klamią swojemi wróżbami wesela,  
 Bo w narzeczonej rozbolalém sercu  
 Świetne nadziei mary się nie roją;  
 Wié, że Edyta na ślubnym kobiercu,  
 Gdy ją służebne klejnotami stroją,  
 Jest niby świętej posąg ów kamienny,  
 Który dziewice klasztornej ustroni  
 Zdobią pobożnie w róży kwiat wiosenny,  
 A posąg przecież nie czuje róż woni.  
 Więc smutna mamka za rękę ją bierze,  
 Do bijącego przycisnie ją łona,  
 Krętymi wschody prowadzi na wieże,  
 Co w groźne baszty stojąc najeżona,  
 Kamienném czołem puie się pod obłoki.  
 U stóp jej czarnych straszna przepaść leży,  
 Gdzie się dwa dzikie, zlewają potoki;  
 Co piany tocząc ryczącą gardzielą,  
 Od umajonych Morwenu wybrzeży  
 Smutnego Mullu czarne wzgórza dziela (1).

## VIII.

— „O córko moja!— rzekła Morag siwa—  
 Spójrz na morze, które wody swemi  
 Zielone brzegi dwóchset wysp oblewa (2);  
 A potem oczy twoje zwróć ku ziemi,  
 Gdzie tyle zamków, tyle baszt i wieży  
 Wznosząc się dumnie nad wody i gaje,  
 Jak zastęp strasznych olbrzymów się jeży,  
 I brata twego za władzcę uznaje.  
 Tam od Mingary, której gród posępny  
 Z łona się lasów wznosi niedostępny  
 Do Dunstaffnagu, gdzie Konnala wały  
 Z granitowemi pasują się skały:  
 Pośród tej całej, ogromnej przestrzeni,  
 Jak tylko okiem zasięgniesz dokoła,  
 Ani jednego nie napotkasz czoła,  
 Które gniew marszczy, albo smutek cieni.

(1) Cieśnina Mulla, dzieląca wyspę tegoż nazwiska od stałego lądu Szkocyi, jest jednym z najciekawszych i zarazem najposępniejszych widoków Hebryd.

(2) Wyspy zachodniej Szkocyi przechodzą liczbę 200.

Bo dziś dziewica piękna i szlachetna,  
 Gór naszych róża dostojna i świetna,  
 Krwi bohaterów dumnego dziedzica,  
 Najgodniejszego z wnuków Somerleda (1),  
 RONALDA, pana dwóchset wysp zaślubi;  
 Którego czyni minstrel śpiewać lubi,  
 A na którego wspomnienie, dziewica  
 Twarz zapłonioną kryje połą pleda,  
 A który królom równy, w swojej dumie  
 Miłość obudzać, cześć nakazać umie.

Potężny Ronald z Edytą nadobną!!  
 Gdzie znaleźć w Szkocyi parę wam podobną?!!...  
 Więc w zamku wodza, więc w chacie nędzarza  
 Wieść tę wesolą wdzięczna pieśń powtarza:  
 Młoda dziewczyna skronie zdobi w kwiaty,  
 Dni uroczystych przyobleka szaty;  
 A pasterz ognie po górach roznieca,  
 Których blask chwilom godowym przyświeca!  
 I grają kobzy, dzwon powietrze kłóci,  
 Pobożny kapłan hymn dziękczynny nuci;  
 Tylko Edyta dnia tego królowa,  
 Ponurym smutkiem zasępi oblicze  
 I pogrążona w dumy tajemnicze,  
 Nie chce odplacić życzliwego słowa.”

## IX.

Lica dziewicy rumieńcem zabłysły,  
 Łzy gniewnej dumy z oczu jej wytrysły;  
 Ale im ręka płynąć nie pozwoli,  
 I szybkim ruchem z policzków ocięra,  
 A gniew i duma koi się powoli,  
 I głos się z piersi z westchnieniem wydziera:  
 — „O Morag moja! przestań nadaremnie  
 Dziwactw płochości upatrywać we mnie!  
 Niech twa wymowa, najemnych harfiarzy  
 Za pieśń kłamana pochwałami darzy,  
 Lub druchnom moim wśród biesiadnej sali,  
 Niech głos twój zręcznie przepych godów chwali..  
 Praw im godzinę o weselnych darach,  
 Huczących trąbach, wiejących sztandarach;  
 Praw im, o mamko, o purpurach drogich,  
 Lokryńskich perłach i klejnotach mnogich;

(1) Około połowy XII wieku Somerled był wodzem Argilu i lordem wysp. Potomek jego nosił imię Angus-Og, my z wolności poetyckiej przeważaliśmy go Ronaldem.



Lecz mnie Edytę, mnie coś od dziecięcia  
 Wykolysała u twego objęcia,  
 Mnie nie omamią cacka i bawidła,  
 W które się płochość próżnych dziewcząt sidła:  
 Bo jam mam serce, co w szlachetnej dumie  
 Korzyć się nie chce, ale kochać umie!...  
 O mamko moja! nad tém sercem biedném  
 Użaliłbys się mogła słowem jedném,  
 Jedném, jedyném, ale niedaremném:  
 Czemu mi Ronald nie chce być wzajemnym?...

## X.

„Naprózno mamko głową wstrząsasz siwą:  
 Znam serca twego przychylność zyczliwą,  
 Bo raczej matką jesteś mi nie służą;  
 Lecz ja się sama zwodziłam dość długo....  
 Dość długo jego wyrazy kłamane,  
 Cześć płci méj winną, względy udawane,  
 Słodkiem miłości chciałam nazwać mianem,  
 Sądząc że kocha tak, jak jest kochanym.  
 Bo mnie niestety! w pierwszych życia latach,  
 Gdy inne dzieci snią cicho na kwiatkach,  
 Dumnych rodziców wola nieugięta,  
 W wiecznej przysięgi skrępowała pęta.  
 O! ileż razy w piersi méj dziecięcej  
 Krew młodocianna zawrzała goręcej,  
 Gdy imię mego świętego bogdana  
 Słyszała z sławy zmieszane odgłosem!  
 Nigdy w gościnnym zamku Lornu pana  
 Nie stanął święty pielgrzym z siwym włosom,  
 Aby Ronalda walki i zwycięstwa  
 Złotoustemi wyrazy nie sławił,  
 I obrazami jego cnót i męstwa,  
 Zebranych dziewic wieczorem nie bawił;  
 Nigdy w dniu biesiad i uczt uroczystych,  
 Minstrele harf się nie tknęli złocistych,  
 Aby śpiewając bohaterów dawnych,  
 Czynów Ronalda nie głosili sławnych.  
 A ja płonąca dumą i rozkoszą  
 Czułam, jak ogniem pałają mi lica,  
 Czułam, że piersi westchnieniem się wznoszą  
 A w sercu słodka budzi się tęsknica!...  
 I przybył Ronald, syn krwi Somerleda!  
 Przybył nareszcie, karmicielko droga!  
 A ja myślałam, że pstry tartan plega,  
 Ziem tych dawnego przyodziewa boga!..

Przybył waleczny! Kłamią harfy wieszczce,  
 Obraz pielgrzymów zimny i jałowy!  
 Bo żaden minstrel w dźwiękach szkockiej mowy  
 Rycerza mego nie wyśpiewał jeszcze...

## XI.

„I odtąd każda myśl twój wychowanki,  
 Dla niego było każde serca bicie;  
 O nim cichemi wieczory i ranki,  
 Marzyłam słodko i dumałam skrycie.  
 Dla niego świetne polubiłam stroje,  
 Dla niego w uśmiech krasilałam oblicze,  
 A za sny moje, za marzenia moje,  
 Za serca mego uczucie dziewicze,  
 Jaka zapłata? ach! jaka nagroda,  
 I jaka przyszłość Edytę twą czeka?  
 Codzień to nowa znajdzie się przeszkoda,  
 Którą lord Ronald śluby nasze zwleka.  
 Nareszcie dzień ten zabłysnął szczęśliwy!  
 Mnie w wieńce stroją, a Ronalda niema....  
 Czy go moc jakich talizmanów trzyma?  
 O nie!... Pan wysep zimny i wzgardliwy,  
 Może wśród dworzan hałaśliwej tłuszczy  
 Hasa swobodnie po Bentalu puszczy,  
 I echa budząc, za jeleniem goni!....  
 A może teraz, o biada mi! biada!  
 Zwiedzioną piękność żegna na ustroni  
 I w tkliwych żalach przyrzeczenie składa:  
 Że chociaż dzisiaj u stopni ołtarzy  
 Edytę z Lornu, do której go sprzęga  
 Dawny krwi węzeł i nowa przysięga (1)  
 Małżonki swojej imieniem obdarzy;  
 Niedługo przecież do lubej powróci  
 I pięknych oczu łzami nie zasmuci.”

## XII.

— „Edyto!—mamka ozwie się poważnie—  
 Czyliżto córka Lornów się wyraża?...  
 Poprzestań mowy, co ród twój znieważa  
 I czi rycerza nie szarp nieuważnie.  
 Ze szczytu wieży zwróć oko na morze.  
 Patrz, jak po zdrańczej żywioli głębinie

(1) Dom Lornów pochodził również jak i pan wysp od jednego z synów Somerleda.



Z zatoki Arros sto świętych naw plynie,  
 A każda rufą świetne fale porze  
 I silném wiosłem z falami się mierzy;  
 A białe żagle, co się z wiatrem wiją,  
 Mgły błękitnawe dalekich wybrzeży  
 Śnieżną zasłoną przed oczyma kryją:  
 Jak owe chmurki, których lekkie cienie  
 Nieba jasnego zasłonią sklepienie.  
 Spójrzysz na statek, który przed wszystkiemi  
 Co rychłej radby dosięgnąć już ziemi:  
 Maszt się ugiha pod wiatrów oddechem,  
 A on chorągiew rozwija z pośpiechem  
 Aby powitać okno, gdzie ukryta  
 Na oblubienca wygląda Edyta!  
 To twój kochany spieszy się do brzegu.  
 Morze się pieni od naw jego biegu,  
 A on się jeszcze żałośnie uskarża  
 Na obojętne lenistwo wiosłarza!" .....

Spójrzy Edyta, rumieniec na twarzy  
 I blask się jakiś w piękném oku żarzy;  
 Lecz wkrótce głowę pochyliwszy wzdycha,  
 I tak do mamki odezwie się zeicha:

### XIII.

— „Mnie już nie złudzisz nadzieją zwodniczą,  
 Bo młode serce nieraz się zawiodło:  
 Znam ja prawdziwsze chęci jego godło.  
 Widzisz na morzu barkę tajemniczą?  
 Oko ją moje od poranku śledzi.  
 Patrz, biały żagiel z winęła przezornie;  
 Napróżno sternik z falami się biedzi,  
 Barkę zawraca i walczy upornie:  
 Znać z drogi wiatry zwróciły go sprzeczne.  
 Czemuż przed burzy zdradliwej zawieją,  
 W zatoki naszej schronienie bezpieczne  
 Żeglarze wplynąć nie chcą, czy nie śmieją?  
 Czyliż im miłsze oceanu wały,  
 Podwodne rafy i nadbrzeżne skały,  
 Walka żywiołów niepewna i dzika.  
 Niżli gościnną przystań Astornika?"

### XIV.

Prawdę mówiła narzeczona młoda:  
 Biedni majtkowie pocą się i męczą,

Wiatr dmie przeciwny, a posłuszna woda  
 Silnym balwanem bije w statku boki,  
 Prężą się liny, deski głucho jęczą.  
 Gdy sternik barękę na morze zawraca,  
 Pożal się Boże, marna twoja praca!

Dlaczegoż nie chcesz wpłynąć do zatoki?  
 Patrz, tutaj Arros zatoka spokojna,  
 Gdzie cię żywiołów nie pochwyli wojna;  
 A tu wygodna przystań Astornika,  
 Kędy wesola przygrywa muzyka.  
 Czyliż żeglarzu cierpisz tak boleśnie,  
 Że cię harfiarzy odstraszają pieśnię?  
 Czyliż dla tego łódź twoja ucieka,  
 By nawy ślubne ominąć zdaleka?  
 Strzeż się żeglarzu. abys przed wieczorem  
 Nie szukał w zamku wsparcia i ratunku!  
 Bo wiatr przeciwny nie zmieni kierunku,  
 A duch się morza rozgniewa uporem.....

## XV.

Tymczasem wiatry, co silnym oddechem  
 Samotną barękę zatrzymały w biegu,  
 Nawy Ronalda z tryumfu pośpiechem  
 Do ojczystego prowadziły brzegu:  
 Bez trudu majtków i pomocy wiosła  
 Błękitna fala lekkie statki niosła.

A na tych statkach muzyka i śpiewki,  
 Harfy i kobzy z piszczałką ochoczą;  
 A na tych statkach świetne chorągiewki  
 Polyskliwemi herbami migoczą;  
 I na tych statkach purpura mieniają,  
 I drogic złoto miesza się ze stalą  
 W jasnych promieniach porannego słońca.  
 Błyszczą się helmy i zbroice pałą,  
 I świecą tarcze, mieniają się puklerze,  
 Bo na tych statkach dwóchset wysp rycerze  
 Lorda Ronalda drużbowie weselni,  
 Synowie morza szlachetni i dzielni,  
 Zbrojną i strojną a gwarliwą rzeszą  
 Na wodza swego wesele się spieszą.  
 A wiatr tymczasem piosenką swą dziką  
 Łącząc z wyspiarzy godową muzyką,  
 Silniejszym tchnieniem w białe dmie im żagle.  
 Nawy do portu przybijają nagle:  
 Brzegi Salinu i Skalastlu góry  
 Wesółych dźwięków powtarzają chóry.



Zadrzały lasy i gaje zielone,  
Echa Morwenu budzą się uspione,  
A Duart słyszał, jak dalekie wały  
W smutnej cieśninie Mullu zajęczały.

## XVI.

Tak więc weselne przybijają nawy.  
Wiatr je do portu zanosí łaskawy,  
A jeżeli czasem któremu z wiosłarzy  
No owę barcę obejrzyć się zdarzy:  
Patrzy się zimno w obojętnej dumie,  
Jak bogacz, który gardzić tylko umie.  
Lecz gdyby imię tego, co tam płynie,  
Po oceanu zagrzmiało głębinie:  
Czołoby wasze pobieliła trwoga;  
I nigdy góral, śmiertelnego wroga  
Chyżej i żwawiej po górach nie goni,  
Jak po tej modrej oceanu toni  
Okrety wasze dumne i wspaniałe  
Żagle tej barki ściagałyby białe.  
A ty Ronaldzie płyn sobie wesoło!  
Płyn przy muzyce oblubieńcze młody,  
Kłamanym blaskiem ustroiwszy czoło,  
Do narzeczonej pospieszaj na gody!  
Lecz gdybyś wiedział, kto tam na tej łodzi  
Walcząc z falami morskimi uchodzi:  
Jakżeż twe serce, wnuku Somerleda,  
Bićby musiało pod fałdami pleda?  
Jakieżbyś okiem miotał błyskawice!  
Jakbyś zaklinał wiatr i nawałnice!  
A więc płyn lepiej przy pieśniach minstrela,  
Spiesz się na gody twojego wesela.

## XVII.

Niech świetne nawy po męczącym biegu,  
Błękitna fala kolyse u brzegu;  
Niech w Astorniku bogatych komnatach,  
Zebrani goście cieszą się i gwarzą;  
Niechaj dziewice w jedwabiach i kwiatach  
Młodych rycerzy uśmiechami darzą;  
Niech płatne bardy w miarowych balladach  
O pana zamku śpiewają pradziadach;  
Niech potem słodsze przygrywiają dumy,  
Co młodą piękność skłonią do zadumy;

A wreszcie z piosnką wesolą pospieszą,  
 Którą odurzają, jeżeli nie pocieszą.  
 Niech głos ich bawi, rozrzewnia lub śmieszy,  
 Minstrel za łodzią samotną pospieszy,  
 Nad którą wichry przeciwne się srożą,  
 Którą przepaści, skały, nurty grożą;  
 Za tym żeglarzem. co w dumie spokojnej  
 Dzikie żywioły wyzywa do wojny,  
 I śmiercią gardzi walcząc z nawałnicą  
 Za czarnooką, łagodną dziewicą,  
 Która ku niebu pogląda i płacze  
 I cichy paciérz mówi za tułacze.

## XVIII.

Próżno majtkowie dzień cały się silą,  
 Aby podwodne omijając skały  
 Na pełne morza wydostać się wały,  
 Przed niebezpieczną ciemnej nocy chwilą.  
 Gdy w smutną Mullu wpłynęli cieśninę,  
 Wre nurt silniejszy bliskością jeziora;  
 A tu już cienie cichego wieczora  
 Okryły ziemię i morza głębinę.  
 Ostatni promień zagasnął na górach;  
 Księżyc i gwiazdy utonęły w chmurach.  
 Na Inimoru granitowej skały  
 Wiatry z południa zawyły jęczące:  
 Jakby wybrzeża duchy bolejące,  
 Nad rozbitkami zawodziły żale.  
 Fale się z strasznym krzyżują łoskotem,  
 Szeroką szparą woda się zakrada,  
 Czoło sternika załżało się potem,  
 Chciał westchnąć: Boże! a zawołał: — biada!!

## XIX.

Naówczas rycerz szlachetny i młody,  
 Którego kształtną i mężkłą postawie  
 Raczej weselne przystałyby gody,  
 Niżli tułactwo na samotnej nawie,  
 Dźwięcznym swym głosem do sternika rzecze:  
 — „Bracie mój, ciemność szerzy się dokoła,  
 Dłoń masz znużoną, z dostojnego czoła  
 Pot ci gorący strumieniami ciecze:  
 Maszże nadzieję, do świtu jutrzeńki  
 Walczyć szczęśliwie z falą i wiatrami?



Czujesz jak barka drży nam pod nogami?  
 Słyszysz jęk boków kołatanych jęki?  
 Cóż pocniem dalej? Wzburzone żywioły  
 I groźne niebo śmierć nam zapowiada;  
 Patrz, Izabella mdlejąca i blada,  
 Z trwogi i trudu umiera napoly!

Wierzaj mi bracie, że o nią jedynie  
 Braterskie serce lęka się i troska;  
 Bo ja o każdej chwili i godzinie,  
 Gdzie jeno wola powoła cię boska  
 Pójdę za tobą bez żalu i trwogi,  
 Na śmierć niebaczną, na trudy niedbały.  
 Czy oceanu każesz ścierać wały,  
 Czy w nieprzychylne zamku tego progi  
 Pomiędzy podle słuźalce Albionu  
 Wejdiesz, szukając schronienia lub zgonu:  
 Pójdę za tobą, bracie mój dostojny,  
 Jeden na groźne sta nieprzyjaciela,  
 Dołać krwi cieplej w pułhary wesela,  
 I w imię twoje umierać spokojny."

## XX.

Na to brat starszy spokojnie i stale  
 Rzekł, głos swój mężki wznosząc ponad fale:  
 — „Edwardzie! nieraz w najcięższej potrzebie  
 Pomoc skuteczna znalazła się w niebie.  
 Ja ster utrzymam, ty żagiel podarty  
 Zwiń, niech się z wiatrem nie drażni, uparty.  
 Walki żywiołów niepewne wypadki:  
 Puśćmy się wolno z silnym pędem wody,  
 Tak barkę łatwiej ocalim od szkody;  
 Miniem zatokę i weselne statki,  
 I ku zamkowej skierujem się wieży,  
 Co czarnym cieniem ku niebu się jeży.  
 Gdy sprzecznych wichrów sroży się zawieja  
 I rozdąsane miota nami morze:  
 Tam ocalenia ostatnia nadzieja.  
 Tam gościnności wezwę w imię Boże.  
 A jeśli hańbiąc ojców swoich imię,  
 Pan zamku święte prawo nadwereży:  
 U boku mego miecz nieczynny cięży,  
 A dłoń tułacza ořeza się imię.  
 Bo mnie w walk chwale umierać się godzi,  
 I lepiej poledz od rycerskiej dłoni,  
 Niż na samotnej błakając się łodzi  
 Usnąć bezsławnie w oceanu toni."

## XXI.

Łódź kierowana ramieniem rycerza,  
 W przeciwną stronę szybko się zawraca;  
 Ciężka wiosłarzy ulżyła się praca,  
 Wiatry ich same pędzą do wybrzeża:  
 I lekka nawa ślizga się po fali,  
 A bystra rafa rozcina bałwany.  
 Nagle u rudla, wśród wzburzonej piany,  
 Ogień się jakiś błękitny zapali.... (1)  
 O piękne, dumne, szlachetne oblicze  
 Pochyłego nad sterem żeglarza,  
 Łamią się owe światła tajemnicze,  
 A blask ich drżący w ciemnościach przeraża.  
 Zdaje się patrząc, że ocean stary  
 Z głębi wód swoich tajne ognie zionie  
 Jak owa Hekla, w której straszném łonie  
 Pałają wiecznie niezgaszone żary,  
 A która nocą czarne dymu chmury  
 I ognia kłęby wyrzuca do góry.

## XXII.

Ale krążąc po ciemnościach łodzi,  
 Pewniejsza światłość na pomoc przychodzi.  
 Gród stary, który ze szczytu opoki,  
 Nad oceanu burzącem się łonem  
 Zdaje się wisieć pomiędzy obłoki,  
 Wiatry znęcając czołem pochyloném:

(1) Zjawisko to od żeglarzy hebrydzkich przezwane zostało *ogniem morskim*. Niekiedy okręt płynący po spokojnych falach oceanu, zdaje się cały w płomieniach, a długa bruzda światła daleko jeszcze ciągnie się za nim. Fosforyczny ten ogień, niezbadany jeszcze od naturalistów, pochodzić zapewne musi od istot żywych, światłość z siebie nocą wydających, a które po wszystkich prawie pokazują się morzach. Krystybal w balladzie: Stary żeglarz, tak te żyjątko opisuje:

„Tam, gdzie okręt wiatrami kołysan wspaniale,  
 Długie i czarne cienie na ciche słał fale,  
 Widziałem węże owe. Niepewne ich ślady  
 Zdradzał w ciemnościach promień łagodny i bładny.  
 A gdy czubiaste głowy nad wodę uniosły,  
 Promień ten fantastyczny prysł w iskier tysiące:  
 I zdało się patrząc, że gwiazdy błyszczące  
 Za drżącemi gonią wiosły.”



Gród stary pośród zamglonej oddali,  
 Tysiącem światel jaskrawo się pali,  
 I jasną lunę szeroko roztacza  
 Na cichą ziemię i szumiące wały,  
 I jest latarnią, co z wierzchołka skały  
 Dla żeglownego przyswieca tulacza.

## XXIII.

Błądzą żeglarze płyną wprost wybrzeży,  
 Gdzie chór weselnych odgłosów się szerzy;  
 A szumy morza, nocnych ptaków krzyki,  
 Których złowróżbia trzepocze się rzesza,  
 I poświat wiatrów jęczący i dziki,  
 Z muzyką godów weselnych się miesza.  
 Tak nieraz pogrzeb idzie wzdłuż ulicy  
 A tu pijani gwarzą biesiadnicy,  
 I hymn nucony żałobnemi usty,  
 Łączy się z piosnką szalonej rozpusty.  
 Tak nieraz trąby zwyciężkiej akordy  
 Brzmią tryumfalnie na wyżynach góry,  
 A na dolinie krew, rozpacz i mordy,  
 Zgrzyt konających i jęk ich ponury.  
 Bo na téj ziemi gdzie wszystko sprzecznością,  
 Zbyt często boleść styka się z radością....

A łódź tymczasem coraz brzegów bliżej,  
 Lot zda się wzięła od jaskółki chyżej;  
 Już ją wiatr silny wpędził do zatoki,  
 Już uderzyła o granitu boki;  
 Już blask co bije od okien zamczyska,  
 Drży koło rafy, na pokładzie błyska,  
 I znika obraz zwodniczej rozkoszy,  
 Co nam pielgrzymom po téj biednej ziemi  
 Chwilę przyswieca blaskami swojemi,  
 A gąsnąc, czarnych cieni nie rozproszy.

## XXIV.

Ścieżka spadzista, wykowana w skale  
 Wiedzie na zamek taką przykrą drogą,  
 Że gdyby korsarz marzący zuchwale  
 Zachciał się wdrapać napastniczą nogą:  
 Dośoby jednego było wysłać sługę  
 Uzbrojonego w dębową maczugę;  
 On przed tysiącem dziryków i broni,  
 Gród starożytny bezpiecznie uchroni,

I napastników postrąca w otchłanie,  
Z których, niestety! nikt już nie powstanie.

Rycerz, po skałach brzękając ostrogą,  
Do bram się zamku trudną przebrał drogą:  
Wdarł się na stopnie spadziste i ślizkie,  
I w róg zatrąbił mężkim ust oddechem,  
A stare baszty i skały pobliskie  
Odpowiedziały przeciągłém swém echem.  
Chód jakiś słyhać... zasuwy skrzypnęły,  
Klucz się z trudnością po zamku obraca:  
Ciężka być musi odźwiernego praca!  
Lecz wreszcie skończył. Kagańce błysnęły.

„Ojczye wielebny — zawołał głos z bramy—  
Witaj nam! witaj! Dawno cię czekamy,  
Bo orszak ślubny w pogotowiu stoi,  
A oblubieniec nudzi się i boi,  
Czy łodzi twojej nie uniosły fale  
I gdzie po morzu nie wodzą zuchwale.”

— „Marszałku! — dumny wędrowiec zawoła,  
Nie rozmarszczywszy szlachetnego czoła—  
Płochosć się twoja myli nieostrożna;  
Innaby razą uśmieć się z niej można,  
Ale mnie dzisiaj nie weselą żarty.  
A gdy na morzu dmie wichur zażarty,  
Igrać słowami i śmiać się nie godzi.  
My tu żeglarze obląkanej łodzi  
Przychodzimy w imię Boga i ludzkości,  
Dla téj dziewicy szukać gościnności.  
Bo rycerz, który nieraz walczył z losem,  
Twarde i mokre deski na pokładzie  
A miękkie łoża uścielone wrzosem  
Jednako lubi i na równi kładzie.

Spytaj się twego pana i dziedzica,  
Czy barka wpłynąć do przystani może;  
A ta szlachetna i młoda dziewica,  
Czy znajdzie ciche do spoczynku łożo.  
Nie będziem długim utrudzać pobytém:  
Ledwo brzask zorzy zapłoni na' wschodzie,  
My za słonecznym nie czekając świtem  
Znowu się zdradnej powierzmy wodzie.”

Przezorny sługa słowom nie dowierza,  
Bo słowa nieraz łatwowiernych zwiody;  
Patrzy się bacznie w oblicze rycerza,  
Patrzy się długo i ozwie nareszcie:  
— „Błądny żeglarzu! zkąd rodem jesteście?  
Czyli was wiatry Norwegii przywiodły,



Czy od zielonych Erynu wybrzeży  
 Ku górcom Szkocyi nawa wasza mierzy?  
 Lub może z dalszej, nieznanej ojczyzny  
 Anglii wesolój szukacie płaszczyzny?"

## XXVI.

„Ród nasz i miano niech tajnia osłoni,  
 Słub uczyniony wyjawić ich broni;  
 Zdalekiój strony płynie nasza nawa,  
 Wojownikami znają nas po świecie:  
 Wśród ciężkich losów, fortuna i sława  
 Nieraz się do nas uśmiechnęła przecie.  
 Praw gościnności dochowamy święcie,  
 Bo nigdy na nas wstyt ludzkiego sromu  
 Ani przekleństwo nie ciążyło nieba!  
 Niewiele rzekłem, lecz więcej nietrzeba,  
 Aby braterskie serce i przyjęcie  
 Znalazł w rycerza i szlachcica domu.  
 Za dobrodziejstwo damy dank wdzięczności.

Ty długo myślisz? Wędrowcze tułaczy!

Dla potężnego pana mnogich włości,  
 Dla pana mego, cóż twa wdzięczność znaczy?...  
 Ale jak piosnka uczy nas minstrela:  
 „Nikt przyszlój doli tajemnic nie zgadnie;  
 A kiedy na nas grom złych losów padnie,  
 Dobrze wdzięcznego znaleźć przyjaciela.”  
 Lecz jeżeli duszą nieczulą i hardą  
 Lord zamku prośby odpłaci pogardą:  
 Bóg z nim! Na wiatrów szalone igrzysko  
 Puścim łódź naszą po wzburzonej fali,  
 Może się niebo zbłąkanych użali;  
 Ale to wasze ponure siedlisko  
 Hańby i sromu przedmiotem się stanie:  
 Szlachetny rycerz u bram nie postanie,  
 Pielgrzym i śpiewak ominie je zdala  
 Jak lupieżnego jaskinię górała.”

## XXVII.

— „Dumny przybylcze! na żądanie twoje  
 Jakieżby mogły zamknąć się podwoje?  
 Chociaż twój mowy królewska powaga,  
 Rozkazy zda się rzuca a nie błaga.  
 Każ więc w przystani zatrzymać się łodzi,  
 I wiedz, że stary zamek Astornika

Przed nikim dzisiaj bram swych nie zamyka,  
 Bo ślubne gody pan jego obchodzi.  
 Gdybyście nawet w dumie swęj zuchwali  
 Przeciwno Anglii królowi powstali,  
 Rycerza z Lornu obrazili dumnie,  
 Lub przeciw losom walcząc bezrozumnie  
 Z Elliselimem błędzili po puszczy  
 I należeli do występnej tłuszczy,  
 Z którą król Robert bezbożny morderca  
 Sięgnął żelazem do Komyna serca;  
 Gdyby... lecz po cóż roić przypuszczenie?  
 Pan zamku tego daje wam schronienie!...  
 Dalej odźwierny! pełń powinność twoję,  
 I bramy domu otwieraj podwoje."

## XXVIII.

Przy blasku, który rzucają pochodnie  
 I przy złocistych ostróg swóich brzęku,  
 Idą rycerze śmiało i swobodnie;  
 Młodszy dziewicę unosi na rękę  
 Z czułą tkliwością kochanka czy brata.  
 Ona na ramię chyli mu się biała.  
 Drobną swą rączką szyję mu oplata;  
 A czarny warkocz po zbroi opada  
 I z wiatrem igra sięgając ku ziemi.

Ów starszy rycerz szedł zwolna za niemi;  
 Miecz ciężki mężka unosi prawica:  
 To nie miłośnie tuląca dziewica,  
 To nie dziewica z włosiem rozpuszczonym,  
 Liliowém licem a bijacém łonem.  
 Nie każda ręka ciężar ten podola:—  
 Miecz to królewski; gdy z góry opadnie,  
 Najtęższy puklerz skruszy się tak snadnie  
 Jak ręka dziecka marne kruszy lalki,  
 Albo jak ręka dziewczyny góralki  
 Kruszy w zadumie wonne wiosny ziola.

## XXIX

Zelaznej kraty minęli zapory,  
 Pod łuki sklepień posuwają kroki,  
 Straszne sklepienia, których czarne boki  
 W strzelnicę głębokie zbroją się otwory.  
 Tam się łucznicy kryją w czasach wojny;  
 Lecz dzisiaj zamek bezbronny, spokojny,



Wszystkie swe przejścia zostawia otworem.  
 Straży na szanclach nie stawia wieczorem;  
 Bo dziś czas biesiad, dziś gody, wesele,  
 Dziś wszyscy bracia, wszyscy przyjaciele.  
 Aż wśród galeryi i wązkiej i długiej,  
 Gdzie wśród filarów wieczny cień się błąka,  
 Marszałek gości wiezie do przedsiönka,  
 Kędy dworzany i przedniejsze sługi  
 Ucztują, dzbany wysuszając piwa:  
 Tu radość szczerą, wesołość prawdziwą.

## XXX.

— „Zechciejcie chwilę wstrzymać się rycerze—  
 Mówi marszałek—ja do pana bieję,  
 Aby mu wasze oznajmić przybycie.  
 Wy towarzysze! czego się tłoczycie?  
 Czemu ciekawe wlepiacie zrenice  
 W obcych przybywszy i młodą dziewicę?  
 Czyż wam nieznanie stroje wojownicze?  
 Czyliście jeszcze nigdy nie widzieli  
 Niewiasty, której szlachetne oblicze  
 Bolesć, niewyczas lub trwoga pobieli?”

Daremne były słowa Eakina:  
 Coraz ciekawców gromadniejsze koło.  
 W sercu Edwarda krew już wrzecz zaczyna,  
 Już mu rumieniec wystąpił na czoło;  
 Wtém jeden z giermków najkrnąbniej się tłoczy,  
 Najbliżej stawa, patrzy się najsmieliej.  
 I najzuchwaliej wlepia swoje oczy  
 W blade a cudne lice Izabelli.  
 Rycerz go w męzką pochwyci prawicę,  
 Wstrząśnie nim silnie, pled mu z ramion zrywa,  
 I przełknięną, mdlejącą dziewicę  
 Przed okiem tłuszczy ciekawej zakrywa.

Szkot brew namarszczył i nasepił twarzy,  
 Dziko się patrzy okiem swoim płowém,  
 W którym gniew nawspół ze wstydem się żarzy;  
 Ale mu rycerz krótkim rzecze słowem:  
 — „Służalcze! gdyby z ramion twego pana  
 Płaszcz najczystszej, najdroższej purpury  
 Stał się zastoną téj dostojnej córy:  
 Taka cześć, taka godnośćby mu dana,  
 Że byłby odtąd jak szata godowa,  
 Która się w skarbcu wśród klejnotów chowa.”

## XXXI.

Mowa rycerza dumna lecz spokojna.  
 Godność mu z oczu patrzyła dostojna,  
 A widać z ruchów, postawy i chodu,  
 Że rozkazywać nawykął od młodu.  
 Więc się gmin dworski rozsuwa w milczeniu  
 Jak płochę stado lękliwych danieli,  
 Kiedy myśliwiec wśród puszczy wystrzeli,  
 Pierzcha i w lasów rozprasza się cieniu.  
 Już też marszałek od pana powraca,  
 Długi przedsiónek szybkim krokiem skraca;  
 Bo mu kazano gości wieść do sali,  
 Gdzie dźwięczą harfy, gdzie pieją minstrele,  
 Gdzie tysiąc światła jaskrawo się pali,  
 Gdzie ślubnych godów przepych i wesele;  
 Gdzie oblubieniec w złocie i purpurze,  
 Pan Astorniku i dwóchset wysp książę (1),  
 Pięknej Edycie, dumnych Lornów córce  
 Wiarę poślubi, przysięgą się zwiąże;  
 Gdzie lord Allaster, brat oblubienicy,  
 Pan licznych włości, rozległej dzielnicy,  
 Gdzie tłum rycerzy szlachetnego rodu,  
 Kwiat gór i nizin, duma mórz zachodu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) Ronald był panem Astorniku, gdyż wedle starożytnego zwyczaju górali, przyprowadzano narzeczoną na kilka miesięcy piérwój do domu przyszłego małżonka, który pomimo tego miał jeszcze prawo porzucić ją. Ztąd nader często okropne i krwawe wynikały kłótnie.



## O ISTOCIE KARY PODZWYCZAJNÉJ.

**Z**łona średnich wieków dochowały się dwa rodzaje postępowania kryminalnego, a mianowicie: proces akkuzatoryjny i proces inkwizytoryjny. Pierwszy właściwie ma dwa początkowania: jedno z prawa rzymskiego, drugie z zwyczajów germańskich, łączących się z sądami przysięgłych, jury. Proces zaś inkwizytoryjny jest utworem prawodawstwa kanonicznego, i w niém tylko kara podzwyczajna się znajduje.

Obie procedury kryminalne dotychczas u nas używane, tak pruska jak austryacka, oparte są na zrębie procesu inkwizytoryjnego; lecz tylko ordynacya pruska przypuszcza karę podzwyczajną, stanowiąc w § 391, „że kara łagodniejsza od kary prawem ustanowionéj, czyli kara extraordynaryjna, ma być wymierzona, jeżeli przeciwko obwinionemu walczą znaczne dowody, tylko nie tak uzupełnione, iżby obwiniony mógł być uważanym za przeświadczonego zupełnie o czyn onemu zarzucony”. W oryginale niemieckim: „Auf eine gelindere, als die gesetzliche, oder auf eine ausserordentliche Strafe, soll erkannt werden, wenn gegen den Angeschuldigten erhebliche Beweise vorhanden, diese aber nicht so vollstaendig sind, dass er der That für voellig überführt geachtet werden koennte.

Niewiem, czy kto wyjaśnił istotne znaczenie kary podzwyczajnéj we względzie dowodu prawnego, albo jeżeli kto o niéj traktował, czy przeniknął i wystawił jéj przyczynę wewnętrzną lub konieczność organiczną w procesie inkwizytoryjnym.

W dawnéj Themidzie Polskiej wprawdzie znajdują się dwie krótkie rozprawy do kary podzwyczajnéj odnoszące się,

lecz te ograniczając się na pytaniach względem skutków jęj zastosowania i jej prawnego bytu obok kodexu karnego z r. 1818, do naszego użytku służyć nie mogą.

Lubo nadto w jednym z najznakomitszych dzieł teorycznych niemieckich prawa karnego, a mianowicie w 14tém wydaniu Feurbacha przez Mittermajera z r. 1847, w § 83, powoływano kilku autorów rozprawy co do kary podzwyczajnej; jednakże tych nie mając pod ręką, poprzestać musimy na przywiedzeniu zasady teorycznej przez obu znakomitych uczonych w § tym przyjętej: „że jeżeli nie ma zupełnego dowodu prawnego, kara jest nieprawną, bez względu na to, czy kara zwyczajna lub podzwyczajna byłaby wymierzana.” (Die Strafe ist rechtswidrig, wenn der gesetzliche Beweis unvollstaendig ist, gleichviel ob die Strafe des Gesetzes, oder eine von derselben abweichende, gelindere, ausserordentliche Strafe in Anwendung gebracht werde).

Nikt zaiste nie zaprzeczy tak prostęj prawdzie, jaka tu jest głoszona: że wszelka kara bądź zwyczajna, bądź podzwyczajna byłaby nieprawną, któraby obok *niedostateczności* dowodu prawnego była wymierzana; a lubo każdy nadto dostrzeże, że w samém już wysłowieniu niemieckim leży bezpośrednio potępienie przepisu § 391 Ordynacyi Pruskiej, jednakże kara podzwyczajna z § 391, wbrew jego przeciwnemu brzmieniu, nie polega na niedostatecznym dowodzie prawnym, ale owszem i w istocie na zupełnym dowodzie prawnym, czyli na tych wszystkich warunkach, które w znaczeniu prawném zupełny dowód, *den gesetzlichen Beweis*, stanowią. Albowiem zasada teoryczna dwóch znakomitych uczonych niemieckich, chociaż sama przez się jest prawdziwą, *wodzi się złudzeniem*, którego wszakże jedyną prawie przyczyną jest niedostateczna redakcyja co do istoty i treści dowodu prawnego § 391 Ordynacyi Pruskiej przypuszczonego; redakcyja, która ustanowionym przez tę Ordynacyą *zasadom* dowodu prawnego zupełnego, rzeczywiście nie odpowiada, która w formalném wysłowieniu swoim co innego i mniej objawia, w istocie zaś co innego i więcej, a właśnie tyle, ile do zupełnego dowodu prawnego potrzeba przypuszcza; która aczkolwiek i sama w sobie i łącznie z innymi paragrafami, to w sobie zawiera, jednakże tego wyraźnie nie wyrzekła: że *własne przekonanie sędziego z całego ogółu*



*sledztwa czerpane stanowi istotną część zasadniczą dowodu prawnego zupełnego.*

Lubo twierdzenia te, jako wyraźnie formalnemu brzmieniu przepisu § 391 Ordynacyi Pruskiej przeciwne, zdawać się będą z góry za niepodobne do usprawiedliwienia; wszelako po wysłuchaniu następnego wyводу, po odsłonienu *zachodzącego złudzenia* i przeniknieniu wewnętrznych czynników dowodu prawnego kryminalnego, każdy przyzna im nietylko pierwszeństwo nad nawykłe dotychczasowe rzeczy widzenie, ale i niewzruszalną prawdziwość, która teorią dowodową kryminalną od skrzywienia ochronić zdoła.

Powołuję się przedewszystkiém na dwie rozprawy w Bibliotece Warszawskiej umieszczone, o odwoływaniu się od wyroków, karnych i na trzecią, jako odpowiedź na rozbiór w tymże samym przedmiocie (1). W rozprawach tych wykazano źródło i pobudki rozmaitych kategorii wyrokowania podług procedur austriackiej i pruskiej, a poniekąd i przyczynę kary podzwyczajnej.

Podług procedury austriackiej trzy są kategorie wyrokowania, a mianowicie:

- a) skazanie na karę;
- b) uznanie niewinności;
- c) przerwanie śledztwa dla niedostatku prawnych dowodów.

Procedura pruska ustanowiła pięć kategorii wyrokowania, a mianowicie:

- a) skazanie na karę zwyczajną;
- b) skazanie na karę podzwyczajną;
- c) zupełne uwolnienie dla wykrytej niewinności;
- d) zupełne uwolnienie dla niedostatku dowodów niewinności.
- e) uwolnienie dla braku dowodów winy, *ab instantia*.

Różnice kategorii tych tak jednej jak drugiej procedury odnoszą się do wyższej różnicy procesu akkuzatoryjnego przed sądem przysięgłych, i procesu inkwizytoryjnego.

Wielki przedział, jaki między dwoma temi rodzajami procesów zachodzi, pomijając wszelkie inne punkta, najszerzej na teorii dowodu prawnego polega.

(1) Bibl. Warsz. z r. 1842, tom I. 338, z r. 1847, tom I. 221, z r. 1848, tom III. 561.

Pierwotne instytucje sądów przysięgłych, łącznie z procesem akkuzatoryjnym, wychodziły z tej zasady: że kara jedynie na przyznaniu się oskarżonego do przestępstwa uzasadnioną być może, że więc jego winę lub niewinność koniecznie wykryć należy, niedopuszczając wypadku niemożności wykrycia prawdy.

Przyznanie nie może zkadinać pochodzić, tylko z *sumienia*. Dla dojścia więc winy lub niewinności, sąd przysięgłych używał jedynie sumienia oskarżonego, lub jeżeli tenże nie przyznawał się, sumienia swojego własnego.

Jeżeli obwiniony nie przyznawał się, w takim przypadku sąd przysięgłych przez *idealne podstawienie swego sumienia* w miejsce sumienia oskarżonego, zamiast niego i w jego sumieniu przyznawał winę oskarżonego obciążającą, albo jej nie przyznawał.

Przyznanie się oskarżonego do winy pośrednio przez sąd przysięgłych, *jedynie* zupełną jednomyslnością głosów sędziów przysięgłych nastąpić mogło: bo oskarżony ma tylko jedno sumienie, a zatem i sąd przysięgłych, jako podstawiający się, tylko jedno niepodzielne sumienie mieć może; *to zaś sumienie sędziów przysięgłych wyobrażało się i objawiało przez jednomyslność* głosów.

Lecz jak własne przyznanie oskarżonego z istoty swojej od żadnych poszlak lub dowodów zewnętrznych nie zależy, będąc bezpośredniem wzruszeniem i wpływem wewnętrznego sumienia; tak i wyznanie sądu przysięgłych jednomyslnością głosów objawione, jego wyrocznia od żadnych przepisów dowodowych zewnętrznych zawisłem być nie może.

Sądy przysięgłych czerpiją swe przekonanie i wyznanie jedynie w swém indywidualnem sumieniu i doświadczeniu, w ślad całego toku śledztwa przed nimi wyprowadzonego, i jednością sumienia czyli jednomyslnością głosów winę oskarżonego uznają, albo jeżeli nie ma jednomyslności głosów, jedności sumienia, niewinnym go ogłaszają.

Jeżeli z jednej strony teoria dowodowa sądom przysięgłych właściwa zatracą urokiem wyobrażeń i pojęć mistycznych średnim wiekom towarzyszących; z drugiej utwierdziła wysoką zasadę ludzkości, ochraniając oskarżonego,



którego wszakże wyrocznia sądu przysięgłych niewinnym uznać może, od przedwczesnych udręczeń.

W procesie inkwizytoryjnym, podobna co w procedurze sądów przysięgłych panowała zasada: że kara tylko *na przyznaniu* obwinionego zasadać się może, że więc dowód prawny w sumieniu obwinionego czerpanym być powinien.

Lecz dla wydobycia głosu sumienia i przyznania z obwinionego, używano *tortury*, która powszechném uczuciem ludzkości i głosem sławnego *Beccaria*, z użycia sądowicznego wywołana, zastąpioną została w procedurach postępowych pruskiej i austriackiej, przez *teoryą stanowionych dowodów zewnętrznych*.

Teorya ta wychodzi z przypuszczeń następujących: że bez wnikania w sumienie obwinionego siłą *tortury* lub innych niewczesnych udręczeń, bez przyznania się obwinionego, zupełny dowód prawny przeciwko niemu otrzymanym być może, ze *zbiegu zewnętrznych poszlak* lub z *zesań świadków*, lub łącznie z jednego i drugiego źródła; że niesłusznie obwiniony, będzie w stanie odeprzeć walcząc przeciwko sobie poszlaki lub zeznania świadków, i wykazać swoją niewinność stanowczo; że nakoniec może pozostać wypadek niemożności wykrycia prawdy, czyli niedostatek lub brak dowodów względem winy lub niewinności.

W celu prawnego ustalenia tych przypuszczeń, procedury pruska i austriacka ustanowiły pewne zasady i prawa dowodowe, wskazujące: co stanowić będzie cały dowód prawny przeciwko obwinionemu bez jego przyznania, co będzie dowodem niewinności, co nakoniec uważaném być ma za niedostatek lub brak dowodów.

Następnie, podnosząc wszystkie trzy strony domniemanego dowodu prawnego do potęgi stałych pryncypiów, do kategoriycznych form wyrokowania, stanowią: że obwiniony, na zasadzie całego dowodu prawnego o jego winie, acz bez jego przyznania, ma być skazanym na całą karę prawem ustanowioną; że w razie odparcia wszelkich poszlak i wykazania niewinności ma być uniewinnionym, że nakoniec w przypadku niedostatku czyli braku dowodu prawnego ma być przerwaniem śledztwa *ab instantia* uwolnionym.

W głównych tych widokach i zasadach, procedury pruska i austriacka zgadzają się między sobą; lecz Ordynacya

pruska nie poprzestawszy na trzech kategoriach wyrokowania, rozszerzyła je do pięciu kategorii powyżej wytkniętych, wynikających z logiczną konsekwencją z *wrodzonej* niedoskonałości teorii stanowionych dowodów zewnętrznych.

Albowiem doświadczenie wszechstronne, z praktyki sędziowskiej *bezpośrednio* czerpane, naucza, że nie ma dowodu bezwzględnie i bezwarunkowo prawdziwego, nawet ani z przyznania obwinionego, a tém mniej z zbiegu poszlak zewnętrznych lub z zeznań świadków. Prawidła *stanowione* względem całych dowodów, półdowodu, ćwiercidowodu, w sprawach kryminalnych, nie mają i nie mogą mieć mocy i skuteczności takich *domniemań prawa*, przeciwko którym dowodzenie przeciwne nie jest dozwoloném, *praesumptiones juris et de jure*. Cała rozmaitość nastęrczających się poszlak zewnętrznych lub zeznania świadków, nie dają się ująć w niewzruszone formy dowodów nieomylnych. Większy lub mniejszy zbieg poszlak, mniej lub więcej *uzasadnionych*, mniej lub więcej *dowodzących*, jest niewyczerpany. Domniemaniom co do winy lub niewinności przez prawo przypuszczonym, zawsze towarzyszą stopnie pewności większej lub mniejszej, bliższej lub odleglejszej, bądź za winą, bądź za niewinnością przemawiającej. W sprawach kryminalnych nie ma granicy ani oznaki nieomylniej, gdzieby krępująca moc dowodu *in abstracto* nadanego zaczynać się lub ustać powinna; słowem, nadana pewnym zasadom i prawidłom moc dowodowa nader łatwo w błąd wprowadzić, i skazanie niewinnego lub puszczanie winnego za sobą pociągnąć może; tém bardziej, że w procesie inkwizytorijnym śledztwo odosobnione jest od wyrokowania.

Z takich zapewne pobudek, Ordynacya pruska niedowierzając nieomylności ustanowionych przez nią domniemań dowodowych, a chcąc jakokolwiek zapobiedz nazbyt mechanicznemu, a tém samém błędnemu ich stosowaniu, otworzyła większy zakres dla działalności umysłowej sędziego, wprowadzeniem skali dowodowej w pięciu możliwych kategoriach; a nie mogąc się usunąć od sterującej zasady w przypuszczaniu samoistności zupełnego dowodu prawem przewidzianego, czyli niezależności takowego dowodu od domniemań i przekonania sędziego, wyraziła się co do kategoriycznej kary podzwyczajnej, chwiejącym się sposobem, w



Mo i ciemno, że kara ta polegać będzie na *znacznych* dowodach, którym czegoś niedostaje do dowodu, któryby obwinionego zupełnie przeświadczał; rozumié się, do dowodu zupełnego, wynikającego z domniemań prawa.

Trzymając się więc literalnego brzmienia nieokreślonych wyrazów tych, zdawać się będzie, że kara podzwyczajna wyrzeczoną być może na zasadzie niedostatecznego dowodu prawnego.

Tymczasem po rozważeniu wewnętrznej istoty dowodów kryminalnych prawnych, po zbadaniu rzeczywistego ich pochodzenia, okaże się, że nietylko w wysłowieniu § 391 Ordynacyi prus., ale nawet w całym systemacie teoryi dowodów zewnętrznych prawem przepisanych wielkie *złudzenie* zachodzi.

Złudzenie to występuje na jaw w tytule Ordynacyi pruskiej o *skuteczności* dowodów, szczególnie w § 364, 366, 381, 390, co do kary podzwyczajnej, w §§ 393, 395, 405, 407, 402, 401.

Z porównania i przeniknięcia tych i innych rozporządzeń Ordynacyi pruskiej, okazuje się jak najwyraźniej, że pomimo wszelkich wysień teoryi dowodowej absolutnej, cała siła dowodów w zastosowaniu, *in concreto*, od przekonania i uznania sędziego zależy. Ordynacya w szczególnych rozporządzeniach swych dowodowych, ciągle odwołuje się do indywidualnego sądu sędziego, pozostawiając *skuteczność tak przepisanych jak wykrytych* poszlak lub dowodów, jego rozważeniu i przekonaniu, jego przyjęciu lub odrzuceniu; przez to zaś, w zakresie pięciu kategoriycznych form wyrokowania, wcieliła do pojęcia i bytu dowodu prawnego, *eines gesetzlichen Beweises*, *domniemanie sędziego*, *praesumptionem hominis*, czyli wnioski, które sędzia z wykrytych przez śledztwo czynów, działań i okoliczności, jako też z zeznań świadków wyprowadza.

Stwierdza to bezpośrednio dosłowna ośnowa § 401 w tém brzmieniu: „wyszczególnione w § poprzedzającym poszlaki, wysoki stopień podejrzenia wywołujące, służą tylko za przykład, gdyż *pozostawia się uznaniu sędziego*, czy w szczególnych sprawach zachodzą poszlaki, którym *równa moc dowodowa* towarzyszy. Tu więc domniemania sędziego

nietylko są przypuszczone, ale i dobitnie prawem upoważnione i do potęgi dowodu prawnego podniesione.

Tylko przez własne złudzenie lub przez twardą i źle zrozumianą konsekwencyą, lub przez nieoświeconą chęć powściągnięcia mniemanej samowolności sędziego, Ordynacya pruska nie wyrzekła tego wyraźnie, że w sprawach kryminalnych *domniemanie sędziego*, *praesumptio iudicis*, nad domniemaniami prawa panuje.

Cóż to znaczy *erhebliche Beweise*, *znaczne dowody*, *des preuves importantes*? gdzie się ta znacznosc lub waznosc dowodów zaczyna i gdzie się kończy? czegożto w mniemaniu prawa niedostaje do zupełnego dowodu? komużto pozostawionem jest uznanie, iż zachodzą *znaczne dowody* acz niedostateczne do kary zwyczajnej, jednak dostateczne do kary podzwyczajnej, jeżeli nie osobistemu rozpoznaniu, przekonaniu i uznaniu sędziego? Albowiem to nadewszystko zważyć potrzeba, że przecież w każdej sprawie kryminalnej tak domniemania dowodowe prawne, jako téż wszelkie inne poszlaki lub dowody znachodzone, dwukrotnemu ulegają przerobieniu logicznemu sędziego, a w szczególności raz każde z nich samo przez się, drugi raz każde w oddziaływaniu na drugie.

Z takowego przerobienia dowodów umysłem intelektualnym i moralnym sędziego, wypływa ich związek wewnętrzny, logiczny, a z niego sąd, wyrok.

Wynalezienie i uznanie takowego związku wewnętrznego logicznego, tegożo stanowczego wątku sądu i wyroku, zależy jedynie od umysłowej roboty sędziego, od jego wniosków, od jego przekonania i sumienia.

A zatem sąd, wyrok, zawisł nie od mocy tych lub owych prawideł dowodowych przepisanych, lecz w istocie od mocy dowodu z przekonania sędziego wypływającej.

Mniemane absolutne prawidło, że dwóch świadków przysięgłych wiarygodnych stanowią zupełny dowód prawny, co do każdego czynu przez nich własnymi zmysłami pojętego i jednozgodnie przez nich opowiedzianego, bynajmniej nie stanowi nieomylnej prawdy, ani może się ochronić od przerobienia i ukwalifikowania według sądu i przekonania sędziego.

Stosownosc tego prawidła zawisła najprzód od stanu moralnego społeczeńskiego, od stanu umysłowego sędziów



śledczych i wyrokujących, od warunków wiarygodności tak bezwzględnych, jak względnych, od rozmaitych okoliczności *in concreto* zachodzących, które wszystkie i same przez się i w oddziaływaniu jednych na drugie, ocenienia i uznania wymagają. Przypuściwszy, że świadkom nie ma nic do zarzucenia; wtedy pozostaje jeszcze możliwy wypadek, że obaj świadkowie własnymi zmysłami źle czyn widzieli lub pojęli, i jednogłośnie a mylnie odpowiedzieli, bo inne poszlaki lub okoliczności do czynu odnoszące się, zeznaniom obu świadków przeciwnymi być mogą.

Z przykładu tego łatwo poznać, że mniemana moc prawna prawideł dowodowych w nieograniczonej mocy sędziego pozostaje.

Jakoż w duchu Ordynacyi pruskiej istnieją dwa rodzaje dowodów prawnych, z których jeden na domniemaniach prawa, *praesumptiones juris*, drugi na domniemaniach sędziego, *praesumptiones* właściwie *judicis*, nie zaś *hominis* polega. Pierwszy z nich jawnie i otwarcie w przepisach prawa wyłożony, w istocie jest słabszym od drugiego, który aczkolwiek milczącym tylko sposobem w przepisach prawa tkwi, jednakże z natury swój jest mocniejszym a panującym.

W prawie wykonalnym dwa te rodzaje dowodów prawnych ciągle się spotykają, schodzą i zlewają w jedno, albo się rozchodzą mniej lub więcej. W pierwszym przypadku jeżeli domniemania prawa z domniemaniami sędziego zbiegają się i zlewają, tak, że dowód co do winy w dwójnasób: i przez prawo, i przez sędziego jest popartym, natenczas cała kara, kara zwyczajna miejsce znajduje.

Jeżeli zaś domniemania prawa tylko w części zachodzą, obok nich wszakże występują domniemania sędziego, a jedno z drugimi połączone tworzą wewnętrzny związek logiczny, który zarówno tak czyn występny jak obwinionego ogarnia: natenczas ma miejsce kara podzwyczajna.

Kara ta więc polega na zupełnym dowodzie prawnym, który z upoważnionych Ordynacją domniemań tak prawa, jak sędziego się składa.

Nazywa się karą podzwyczajną jedynie dlatego, że dowód na którym się opiera, uważanym jest za niezupełny tylko w obliczu stanowionych domniemań prawa, a mianowicie tych zasad i prawideł, które prawo *in abstracto* za dowodo-

we poczytało, nie zaś dlatego, jakoby nie było w istocie zupełnego dowodu, który, jak się rzekło, z domniemań prawa i domniemań sędziego, równą moc dowodową mających, wynikał.

Jest nakoniec karą nie całą, lecz podzwyczajną, łagodniejszą dlatego, że i domniemania sędziego, *praesumptiones judicis*, podobnie jak domniemania prawa, *praesumptiones juris*, za nieomyślne uważanemi być nie mogą, a przezorność prawa przy niepodobieństwie zapobiegania raz na zawsze wszelkiemu złemu, każe mniejsze nad większe złe przekładać.

W miarę wyłuszczonej tu zasad i następstw, i dowód prawny zupełny względem niewinności, a poniekąd i kategorie względem niedostatku dowodów winy lub niewinności, ustalić się dają. Ostatnia wszakże różnica, która się do §§ 409 i 413 w ustępie drugim Ordynacyi pruskiej odnosi, jako nazbyt wykwinna, w praktycznym użyciu lub stosowaniu prawie ginie lub dowolną się staje.

Z powyższego wywodu okazuje się dostatecznie, że lubo Ordynacya pruska formalnie i uroczystie nie wyrzekła, że obok stanowionych domniemań prawa, domniemanie i przekonanie sędziego służyć ma za podstawę lub część zasadniczą dowodu prawnego; jednakże w pojedynczych przepisach dowodowych starała się zachować i ustalić równowagę między martwem prawidłem prawa, a umysłową władzą sędziego, w celu zapewnienia przez to wszelkiej możliwej przezorności i pewności w skazywaniu na kary kryminalne, a nawet że w istocie karę podzwyczajną oparła na dowodzie prawnym zupełnym, uformowanym tak z domniemań prawa, jak z domniemań sędziego.

Niewiadomo nam, jakim spostrzeżeniem krytycznym, w drodze praktycznej, teoria dowodowa stanowiona Ordynacyi pruskiej, w późniejszym postępie prawnictwa kryminalnego pruskiego ulegać mogła; to wszakże pewna, że wydany w r. 1839 przez Mankopfa komentarz do Ordynacyi, który wszelkie reskrypta interpretacyjne i ministeryalne w sobie obejmuje, nic zgola nie objawia, coby się do główniejszych zasad lub prawideł teoryi dowodowej stanowionej ścierało.

Tymczasem naukowość teoretyczna, która w Niemczech acz nazbyt odlegle od umiejętności praktycznej zawsze panuje, nie przestała wywierać swego wpływu na postęp i udo-



skonalenie prawnictwa kryminalnego wykonawczego. Skutkiem tego wpływu, dobitnie wytkniętego w rozprawie Gansa o sądach przysięgłych, której tłumaczenie znajduje się w dawnéj Temidzie Polskiej w tomie VIII, 177, widzimy jeszcze przed ostatnią epoką zmian legislacyjnych dorywczych, a mianowicie w roku 1846 dnia 17 lipca występującą przez dekret królewsko-pruski nadzwyczajnie ważną ustawę, która przypominając szkołę prawniczą historycznego i organicznego rozwijania, żywością w całym znaczeniu tego wyrazu reformę Ordynacyi kryminalnéj pruskiej z dnia 11 grudnia 1805 r. przedstawia.

Albowiem ustawa ta, zakładając główny cel swój na wprowadzeniu przyspieszonego a bezpiecznego, oraz powadze sędziego odpowiadającego wymiaru sprawiedliwości w sprawach kryminalnych, mocą jawnego przed sądami zwyczajnymi postępowania i za pośrednictwem prokuratorów, między innymi ważnymi urządzeniami, nietylko wyszczególnione powyżej 5 kategorii wyrokowania uchyliła, przy ustanowieniu w ich miejsce trzech nowych kategorii, a mianowicie uznania winy zawsze z całkowitą karą, uznania niewinności bezwarunkowo i zwolnienia od skargi, ale nadto, obok przepisu wyłoczenia całego śledztwa dowodowego w obliczu sądu, usunęła cały system stanowionych przez Ordynacyą prawideł dowodowych, i przyznała sędziom zwyczajnym moc i potęgę dowodową taką, jaka gdzieindziej sędziom przysięgłym służy; stanowiąc, że odtąd sędzia, po zbadaaniu wszelkich dowodów, za oskarżeniem i obroną przemawiających, wyrokować ma według swobodnego przekonania swojego, czerpanego z całego toku śledztwa, przed nim wprowadzonego.

Niepodobna tu ominąć przytoczenia oryginału niemieckiego w dwóch §§ 19 i 20.

§ 19, „Die bestehenden gesetzlichen Vorschriften über das Verfahren bei Aufnahme der Beweise, insbesondere auch darüber welche Personen als Zeugen vernommen und vereidigt werden dürfen, bleiben ferner massgebend.

Dagegen treten die bisherigen positiven Regeln über die Wirkungen der Beweise ausser Anwendung. Der erkennende Richter hat fortan nach genauer Prüfung aller Beweise für die Anklage und Vertheidigung, nach seiner fre-

ien, aus dem Inbegriff der vor ihm erfolgten Verhandlungen geschöpften Ueberzeugung zu entscheiden: ob der Angeklagte schuldig oder nicht schuldig, oder ob derselbe von der Anklage zu entbinden sei. Er ist aber verpflichtet, die Gründe, welche ihn dabei geleitet haben, in dem Urtheil anzugeben.

„Auf vorläufige Losprechung (Freisprechung von der Instanz) soll nicht mehr erkannt werden.“

§ 20. „Der für schuldig Erklärte ist zur vollen gesetzlichen Strafe zu verurtheilen.“

„Wenn jedoch im Gesetz Todesstrafe oder lebenswierige Freiheitsstrafe angedroht ist, so ist das Gericht ermächtigt, in denjenigen Fällen, in welchen gegen den für schuldig Erklärten ein nach den bisherigen positiven Regeln der Kriminal-Ordnung für vollständig zu erachtender Beweis nicht geführt ist, anstatt der Todesstrafe auf lebenswierige oder zeitige Freiheitsstrafe, anstatt der lebenswierigen Freiheitsstrafe aber auf zeitige Freiheitsstrafe zu erkennen.“

Chociażbyśmy nie podzielali wszystkich zasad żywo-  
tnych lub stanowczych téjże ustawy, jednakże zawsze ją za  
świątą w postępie prawodawstwa kryminalnego uważać  
powinniśmy, dlatego, że wzruszyła dwa wkorzone prze-  
sady prawnicze, a mianowicie jeden już powyżej wyjaśniony  
co do mniemanéj skuteczności i trafności stanowionych raz  
na zawsze dowodów zewnętrznych, drugi również ciemny  
i wewnętrznemu znaczeniu sędziego ubliżający, jakoby ten-  
że, pomimo wyższego pojęcia naukowego, moralnego i pra-  
ktycznego o ludzkich sprawach, nie mógł się obejść bez nar-  
zuconéj mu teoryi dowodowéj, tak dobrze a nawet daleko  
prędzej, jak nowożytny francuzki lub niemiecki sędzia przy-  
sięgły, niezachwycony bynajmniej urokiem badawczym su-  
mienia oskarżonego i swojego własnego, nieprzejęty żadną  
tradycyjną teorią dowodów, ażeby mógł wydać pewniejszą  
wyrocznię winy lub niewinności, niż sędzia zwyczajny.

Albowiem ustawa ta, podnosząc swobodę intelektualną  
i moralną sędziego zwyczajnego, jego domniemania i jego  
sumienne przekonanie z ogólnego toku sprawy czerpane nad  
stanowioną teorią dowodową, poświęcającą zdanie sędziego  
martwym prawidłom dowodowym, narażającą je usta-  
wicznie na szwank sprzeczności z przypuszczonemi *in abstra-*



cto dowodami domniemalnemi, tém samém odsłoniła dotychczasowe złudzenie i uznała, że niepodobną funkcją umysłową sędziego przeistoczyć w mechaniczną robotę dodawania, odciągania, lub mnożenia arytmetycznego, nadanych z góry liczb lub gromad dowodowych; że sędzia, w istocie, właściwe panowanie nad literą wątkich przepisów dowodowych wywierając, dowód prawny zawsze z ogólnego toku sprawy wyprowadza.

Z drugiej strony atoli zdawałoby się, że powołana ustawa, przez usunięcie w zupełności dotychczasowych stanowionych prawideł Ordynacyi o skuteczności dowodów, emancypacją sędziego zwyczajnego zadaleko posunęła, pomimo, że ją znowu nieco powściągnęła włożeniem nań obowiązku, ażeby powody, według których sąd swój wyda, w wyroku umieszczał. Należało bowiem jeszcze owę tradycyjną teorię dowodów, którą sądami przysięgłych w Anglii kierują, zastąpić innym normalnym wzorem, a mianowicie tradycją czyli teorią naukową zasad i prawideł dowodowych, rękojmią doświadczenia wieczystego za sobą mających, i ażeby taka teoria naukowa sądom zwyczajnym za wizerunek dowodów lub poszłak, *speculum probationis* służyła, pod obowiązkiem usprawiedliwienia sądu i wyroku swojego powodami, którychby początek i tok z niego był czerpanym.

To stanowiłoby zachowanie właściwój równowagi między umysłową swobodą sędziego, a rękojmią prawideł dowodowych oderwanych.

Co się tyczy drugiego przesądu, powyższą ustawą wzruszonego, w przyznawaniu sędziemu zwyczajnemu takiej możności i swobody dowodowój, jaka sędziemu przysięgłemu służy, wiedzieć przedewszystkiém potrzeba, że między sądami przysięgłych w Anglii, a sądami przysięgłych we Francyi lub Niemczech, roztwiera się niezgłębiony przedział umysłowy, który żadną sztuką zapełnić się nie daje: albowiem angielski sędzia przysięgły sam przez się niczém nie jest, lecz w przykładaniu się do utworzenia stowarzyszonej jedności sumienia sądu przysięgłych, podstawiającego się w miejsce sumienia oskarżonego w celu wydania jednomyślnój wyroczeni, nabiera znaczenia dowodowego, jakiego nowożytny sędzia przysięgły francuzki lub niemiecki nigdy

dopiąć nie może, ponieważ jego sąd, jego zdanie, większości głosów poddanem zostało. Zbývá więc nowożytnemu sędziemu przysięgiemu na istotnej wewnętrznej własności prawdziwego sędziego przysięgłego, a mianowicie na tém, że sąd ostatniego jest wypływem stowarzyszonej jedności sumienia, czyli poprostu wypływem zespolonego sumienia dwunastu sędziów przysięgłych, kiedy przeciwnie, sąd, głos, zdanie każdego nowożytnego sędziego przysięgłego stanowi osobną jedność, większości głosów ulegającą. Większość zaś głosów idealnej jedności sumienia wyobrażać nie może, i dlatego zbiór dwunastu nowożytnych sędziów przysięgłych nigdy istnej wyroczeni sądu przysięgłych nie wydaje. Pozostaje po jego wyrokowaniu niepewność taka, jaka zwykle większości głosów towarzyszy, a nawet niepewność ta wzrasta; bo nowożytny sędzia przysięgły, zwykle rzemieślnik, fabrykant, kupiec, literat, urzędnik niepłatny, lub inny obywatel, chwilowo od swych właściwych zatrudnień oderwany, nie ma ani umiejętności, ani wprawy w poznawaniu i zgłębianiu winy lub niewinności oskarżonego, a nadto ulega nieobliczonym niezdolnościom umysłowym, skutkiem których jego przekonanie, z całego toku sprawy powzięte, a następnie jego głos, jego zdanie, zupełnie przypadkowemi się stają (1).

Takiemito zasobami uformowana większość głosów nowożytnego sądu przysięgłych, nie przedstawia bynajmniej takiej rękojmi pewności, jaka towarzyszy wyłącznemu stanowi prawników i sędziów, którzy cel i pracę żywota swojego na zbadaniu i wykonaniu istoty sprawiedliwości założyli. Z téjto strony uważane, wyzwolenie sędziego zwyczajnego z przymusu teoryi dowodowej absolutnej, przez pruską ustawę z r. 1846, okazuje się być dostatecznie usprawiedliwionem, tém bardziej, że zwyczajny sędzia za własnym domysłem zasilać się będzie teoryą dowodową naukową. Wyzwolenie to znajduje nadto wielostronną rękojmię w możności odwołania się tak prokuratora jak i obwinionego od wyroku pierwszej instancyi do instancyi appellacyjnej, a wraze niezgo-

(1) Z powodu kuracyi mineralno wodnej będąc w Akwisgranie w Prusach, miałem między innymi sposobność poznać niewyczerpaną, a ztąd niewypowiedzianą szkodliwą zarozumiałość i gadatliwość sędziego przysięgłego z liczby tamecznych mieszkańców.



dności wyroków I i IIéj instancyi do rewisorium, skutkiem czego, sprawy w miarę swéj ważności rozpoznawane są w appellacyi przez komplet trzech, sześciu, ośmiu, lub nawet dziesięciu sędziów, w trzeciej zaś instancyi rewizoryjnej zawsze przez sąd z dziesięciu członków złożony.

Tym sposobem wszelkie ważniejsze sprawy przychodzą pod rozagę umysłową większej liczby sędziów, których właściwém powołaniem i rzemiosłem jest wykonanie prawnictwa i sądownictwa. W stopniowaniu instancyj sądowych, w rozpoznawaniu dwu lub trzykrotném jednej i téjże samej sprawy, podług dojrzałego doświadczenia, objawia się większa pewność dowodu prawnego, pozostawionego nieograniczonym domniemaniom sędziego, aniżeli w gronie dwunastu *przypadkowych* sędziów przysięgłych, o ile większością głosów dalsze rozpoznawanie i osądzenie dowodu prawnego przecinają.

Nierozwodząc się nad zwodniczą marą sądów przysięgłych francuzkich lub niemieckich, których wewnętrzna istota nawet z cieniem sądów przysięgłych w Anglii porównana być nie może, wracamy się do ustawy pruskiej z r. 1846 z powodu usunięcia przez nią kary podzwyczajnej.

Już wyjaśniliśmy powyżej, z jakiej przyczyny Ordynacya pruska z r. 1805 kary podzwyczajnej dopuszczała. Przyczyną tą nie był niedostatek lub brak dowodu prawnego zupełnego, lecz jedynie niedostatek takiego dowodu, jakiego samo prawo, według swych domniemań, według mniemanej abstrakcyjnej teoryi dowodowej wymagał. Atoli Ordynacya ta przenikając niedostateczność i zwodniczość takiej nieruchomej teoryi, dozwoliła niedostatek domniemań prawa, zastąpić domniemaniami sędziego. Jeżeli więc obok domniemań prawa zachodziły domniemania sędziego i tym sposobem ustaliła się równowaga jednego i drugiego rodzaju dowodu: natenczas istniał podobnież zupełny dowód prawny, który wszakże tylko karę podzwyczajną za sobą pociągał dlatego, że prawo niedowierzając zupełnie swym domniemaniom, nie mogło bezwarunkowo dowierzać domniemaniom sędziego.

Kara podzwyczajna więc w duchu Ordynacyi pruskiej była wynikiem koniecznym wrodzonej niedostateczności teoryi dowodów zewnętrznych, to jest systematu dowodowego, który pomimo wszelkiej przezorności legislacyjnej łatwo

do mylnych lub uciążliwych wypadków wyrokowania doprowadzić może.

Lecz kara podzwyczajna nie pozostała w obrębie procesu inkwizytoryjnego, i wdrożyła się już w obręb procesu akkuzatoryjnego, połączonego z nowożytnymi sądami przysięgłych, wywierając wpływ i panowanie swe we Francyi pod postacią systematu *des circonstances atténuantes*. Wpływ ten już nie pochodzi z przyczyny niedoskonałości teorii dowodowej zewnętrznej, lecz z innej wcale przyczyny, a mianowicie z teorii poczytania, z zasad imputacyjnych, z niekończonego stopniowania winy, złego zamiaru, umyślnego lub nieumyślnego czynu, rozmysłu.

Staje w sądzie trzech oskarżonych, którzy zupełnie jednakowe przestępstwa popełnili i wszystkim trzem zagraża jedna i taż sama kara prawem ustanowiona. Pomimo to w duchu teorii imputacyjnej, do wnętrza sumienia wnikającej, każdy z nich na inną zasłużył karę. Jeden z nich zasłużył na całą karę, drugi na pół téj kary, trzeci prawie na żadną.

Coż się stanie? Sąd przysięgłych, kierowany przez zasiadający sąd karny (*Assises*), każdego z nich uzna za winnego; skutkiem czego każdy na całą karę skazanym zostanie. Lecz sąd przysięgłych, przewidując to, a przenosząc zbytnią łagodność nad zbytnią surowość, tylko jednego z nich uznał za winnego, dwóch zaś drugich wolał uznać za niewinnych. Tym sposobem dwaj oskarżeni, mimo zasłużonej kary, acz łagodniejszej od zagrożonej prawem, bezkarnie puszczeni zostali.

Zapobiegając temu, prawodawstwo francuzkie chwyciło się środka i systematu *des circonstances atténuantes* i pod tą postacią snują się właściwie kary podzwyczajne.

Toż samo dzieje się i dzieć się będzie w sądach zwyczajnych pod coraz nowemi formami; albowiem owe abstrakcyjne czyli oderwane definicje przestępstw lub wykroczeń, ściśle i literalnie nieodpowiadają wydarzonym rzeczywistym przestępstwom lub wykroczeniom w tysiącnych swych odzieniach. Częstokroć niedostaje czegoś do literalnej ścisłości określenia prawnego. Sędzia więc niemając dozwolonej możliwości skazania na karę podzwyczajną, a w danych okolicznościach powodowany uczuciem i wiedzą sprawiedliwości,



jakich mu żadne prawodawstwo ludzkie ani nadawać, ani odjąć nie może, skłania się raczej do zastosowania innego powinowatego przestępstwa, mniejszą, acz nazbyt mniejszą karę za sobą pociągającego. Przez to wszakże zbyt często, zbyt wielkie pobłażanie w wymiarze sprawiedliwości karnéj wydarzać się będzie, bez wszelkiéj nawet możności powściągnięcia takiej praktyki, lub rozciągnięcia nad nią skutecznego dozoru: raz dlatego, że sędziowie wyższych instancyj rządzą się témże samém uczuciem i wiedzą sprawiedliwości co i sędziowie niższych instancyj; drugi raz dlatego, że w drodze administracyjnój niepodobna sprawdzać ścisłości wyrokowań.

Z trzech więc początkowań, odnoszących się do samego wątku prawodawstwa i prawnictwa kryminalnego, a w szczególności najprzód, z niemożności ustanowienia nieomyślnéj teoryi dowodu prawnego i konieczności odwoływania się zawsze i w każdym przypadku do domniemań sędziego; powtóre z powodu niewyczerpanych stopni w poczytywaniu obwinionym większej lub mniejszej winy lub złego zamiaru; potřecie z uwagi na niepodobieństwo matematycznego określenia przestępstw lub wykroczeń w rozmaitych ich odcieniach, kara podzwyczajna nietylko stanowi konieczną a zatém organiczną część całego organizmu prawa i postępowania kryminalnego, w którém nie znachodzimy istotnych warunków sądu, wyobrażającego nierozzerwaną jedność sumienia oskarżonego i wyrokującego jednomyślnością lub niejednomyślnością głosów, ale co większa, kara podzwyczajna w dzisiejszym stanie prawodawstwa kryminalnego, nietylko u nas, lecz i we Francyi lub Niemczech jest i powinna być osią, na którój system i udoskonalenie tegoż prawodawstwa obraca się lub obrócić powinno.

Nowożytné prawodawstwa kryminalne w istocie krążą około kary podzwyczajnéj, lecz dotąd jéj istoty organicznój nie przenikają, lękając się wyrzec prawdę, która po odsłonięciu i usunięciu wszelkich złudzeń, najwyższy szczybel prawodawstwa kryminalnego zajmie. Teorye dowodu prawnego, poczytania czyli imputacyi, i kary prawem ustanowione, tylko za normę służyć będą i kara podzwyczajna *zwyczajnie* wymierzoną będzie. I sądownictwo w Anglii temu wypadkowi ulegnie.

*August Heylman.*

## KRONIKA ZAGRANICZNA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Iszczą się dziś w oczach naszych dwa dziwy, które publiczność tutejsza, zmęczona zwłoką i zawodami, zwykła już była uważać za nierozwiązalne. Nie myślę tu mówić o odkryciu Tombuktu przez Anglika Bartha, ani o róży niebieskiej wynalezionnej (podobno) w Passy: Tombuktu pokazało się nędzną mięściną, nie wartą wzmianki, a w niebieskie róże nie wierzę. Chcę mówić po prostu o dokończeniu Luwru, i o *niezawodnie* już podanym do druku katalogu biblioteki cesarskiej w Paryżu. Tam skarbnica sztuk, tu skarbnica nauk; artysta i uczyony z równą dziś dumą mogą patrzeć na resztę Europy.

Pominiem Luwr, ale nad katalogiem zatrzymamy się nieco; powagą będzie nam tutaj raport urzędowy pana Taschereau, któremu przed dwoma laty nadzór tej pracy poruczono.

Dlaczego dotąd tak mozolne, a jednak bezowocne były wszystkie w tej mierze usiłowania? Oto, że kiedy z jednej strony porządkowano książki dawne, z dniem każdym napływały do biblioteki takie masy nowych, że ile dziś odrobiono w katalogu, tyle znów narastało jutro; praca więc, jak kamień Syzyfa, staczała się na głowę robotnikom po całodziennym mozole. Nieporządek łatwo zakradający się pomiędzy książki niewciągnięte do katalogu sprawiał, że czasem niepodobna było znaleźć na żądanie książki świeżo wydanej; ztąd nieład z ujmą dla publiczności.

Dopiero od 1 października 1852 wszystko co wchodziło do biblioteki, wciągano natychmiast do spisu. Założono naraz wszystkie głoski alfabetu, i podporządkowano pod nie co tylko



każdego dnia wpłynęło. Taką drogą załatwiano bez zwłoki rzeczy bieżące, a obok pracowano ciągle, żeby raz przecie zaległość całą odrobić. Zadanie było niemałe, ale uproszczone, ujęte w karby i granice.

Z dniem więc 1 października zapisywano na luźnych kartkach tytuł każdego dzieła, każdej książki wchodzącej do biblioteki, jakiegokolwiek ona była treści; tym sposobem zaczęto jednocześnie wszystkie materye. Następnie oprócz codziennych spisów, z okazji każdej nowo przyniesionej książki, katalogowano wszystkie poprzednie jej wydania. Z okazji np. nowego wydania *Naśladowania Chrystusa*, spisano 728 różnych wydań tekstu łacińskiego i tłumaczeń; 442 wydań *Grammatyki francuzkiej* *L'homonda*, 409 wydań *Listów i ewangelij*, 338 wydań *Bajek Lafontaine'a*. Te kilka przykładów dadzą miarę, jakie w ten sposób uprzątniono nawały, przyczém odnaleziono niemało duplikatów, które na właściwe miejsce odesłano. Zmudna to była praca! Trzeba było nietylko wertować wszystkie katalogi szczegółowe znajdujące się w bibliotece, ale nadto przetrząsać szczegółowo wszystkie pułki biblioteczne (długość ich razem wzięta wynosi blisko 4 mile polskie), żeby zebrać wszystkie wydania jednego i tego samego dzieła, porozrzucane nieraz pod różnemi literami dzieł niewciągniętych do katalogu, czasem znów objetych między książkami różnej treści. Zpomiedzy druków *Nowego Robinsona* (Campe), jedne wpisane były między romanse, inne między dzieła o wychowaniu. *Korynnę* pani Staël, znaleziono między romansami, i między dziełami o Włoszech; było nawet jedno dzieło, którego 3 tomy pod trzema różnemi wpisane były literami.

Mozolna ta robota ułatwi przyszłe poszukiwania, bo za każdą nową książką zarywa się wiele zaległości, i trud będzie o wiele mniejszy, kiedy przyjdzie kolejno każdą się zająć literą.

Dawniej, miarą jak daleko posunięto pracę, była liczba kart sporządzonych; mnożono je więc może nieraz bez potrzeby: dziś jest tylko karta na wszystkie wydania tegoż samego dzieła, tak, że niepotrzeba już powtarzać kilkaset razy jednego tytułu; na imię autora także jedna karta, więc nie tyleset, ileby było kart na treści. Dla jednej grammatyki *L'homonda* było 163 karty na imiona, 163 na treści; wszystko to dziś spalono.

Ogółem zniszczono kart 7,626.

Wszystko co biblioteka cesarska posiada obecnie z historii francuzkiej, z medycyny, i z historii angielskiej, od początku druku aż do dziś dnia, wszystko to przeszło przez ręce urzędników układających katalog.

Wszystkie karty dotyczące historii francuzkiej będą niebawem ukłasyfikowane; pierwsze rozdziały już skończone: publiczność z radością powita je drukowane, albowiem na 378 dzieł żądanych świeżo w biurze czytelnicy, 99 tyczyło się historii francuzkiej. Po wydaniu katalogu, liczba ta podwoić się może. Dziś każdy co studjuje jaką część francuzkiej historii, żądając jakiego dzieła, musi o niem wiedzieć sam przez się; wcale inaczej będzie, kiedy katalog drukowany na użytek wszystkich, odkryje mu istnienie dzieł mało znanych dotąd, a dotyczących panowania, wypadku, albo historycznego faktu, należącego do przedmiotu badań nowego dziejopisa.

Żeby ile możności uzupełnić inwentarz skarbów, jakie biblioteka w drukach posiada, spisano w wydziale rękopismów tytuły wszystkich druków, które się liczą do zbioru rękopismów; podobnie wszystkich dzieł dotyczących historii francuzkiej, które dla rycin albo mapp geograficznych pomieszano między sztychy, mappy i plany. Tytuły takich dzieł zajmą w katalogu miejsce stosowne do właściwej treści i wieku; odsyłacz przy każdym ostrzeże gdzie się udać po bliższe objaśnienia.

Nareszcie karty odsyłaczowe wskażą w katalogu historii francuzkiej dzieła, które dla swojej natury, albo ze względu na zbiory do jakich należą, musiały być zapisane pod inną literą, dopełniające atoli seryi dokumentów dotyczących wypadku jakiego, albo faktu historycznego.

W końcu proponuje pan Taschereau, żeby jeden z urzędników pod jego dyrekcją będących, spisał po bibliotekach publicznych w Paryżu tytuły dzieł dotyczących historii francuzkiej, mogących się znajdować tu i owdzie, a brakujących w wielkiej cesarskiej bibliotece. Wykaz taki byłby wydrukowany na końcu ostatniego tomu katalogu, uzupełniając szacowny ogół instrukcyj bibliograficznych. Z niego, każdy cudzoziemiec wiedziałby naprzód o wszystkiém, coby w pomoc swoim badaniom w Paryżu mógł wynaleźć.

Oprócz historii Francyi, ułożono także całą medycynę i historią Anglii.



Co do medycyny, dawniej pracując nad katalogiem medycznym, zachowano system klasyfikacji przyjętej na początku zeszłego wieku przez Clémenta, który nie da się już zastosować w naszych czasach, gdzie zmysł analityczny wyjaśnił węzły łączące wzajem różne gałęzie jedułej nauki, i nauki same między sobą. Weźmy na przykład chemią; w tej klasyfikacji wliczono ją między gałęzie medycyny a w ślad za nią perfumeryą i kucharstwo. Jakżeż podobna wprowadzać do katalogu porządek metodyczny, tak mało zgodny z obecnym stanem umiejętności? Po klasyfikacją zatem medycyny, udano się do akademii medycznej. Akademia wyznaczyła komissyą, ale i koniec na tém; dopiero na ponowione nalegania, członek jeden komissyi zaczął pomagać przy tej katalogowej pracy: układają więc medycynę nie wedle liter alfabetu, ale wedle naukowej metody.

Wszystkie te roboty posunięte są już dziś tak daleko, że choćby przy największym pośpiechu, będzie co drukować bez przerwy.

Tutaj przytaczam własne słowa z raportu pana Taschereau: „Uroczysta to chwila dla dyrektora katalogów bibliotecznych, chwila, w której ogłasza pierwszy odcisk tak ważnego dzieła. W papierach jednego z moich poprzedników który przed stą laty kusił się o rzecz podobną, znalazłem notatkę świadczącą o wzruszeniu księdza Sallier. Wróciwszy z Wersalu, gdzie był złożył swoje katalogi, pisze: „Zawiózłem i oddałem początek kopii piśmiennój katalogu dzieł drukowanych. W dzień świętego Klaudyusza mego patrona, 6 czerwca roku Pańskiego 1737”.

W skutek układu z rządem, który na ten cel znakomite już poczynił wydatki, pp. Firmin Didot zobowiązali się drukować własnym kosztem pierwsze wydanie *katalogu historii Francyi*. Druk katalogu obejmować ma tomów 60, a każdy tom kart 100 w 4ce. Format ten zdał się dogodniejszym niż dawny in folio, w jakim zaczęto drukować katalog w połowie zeszłego wieku.

W ostatnich czasach założono w Paryżu dwie nowe katedry: katedrę *Paleontologii* (historia stworzeń przedpotopowych), i *Fizjologii powszechnej*. Professorem pierwszej mianowany pan Alciade d'Orbigny. Kurs ten obudził powszechną ciekawość; do amfiteatru na pierwsze lekcye docisnąć się nie

można było, choć professor mówił tylko o *skorupiakach*, a cóż to będzie, skoro pocnie wykladać o mamutach.

Professorem drugiej katedry jest pan Claude Bernard doktor *és science*, po cztery-kroć uwieniczony przez akademią. Oto jak sam minister oświecenia (Fortoul) motywuje potrzebę tej katedry:

„Laplace, są jego słowa, którego młodzieńcze prace stawia jako założyciela szkoły fizyologicznej we Francji, powtarzał nieraz, że dwie są umiejętności najgodniejsze zajęcia dla wyższych umysłów: fizjologia i astronomia. Jeżeli, mówił, stawiam fizjologią na pierwszym miejscu, to dlatego jedynie, że nie miała dotąd swego Newtona.“ „Dwojaką jest nauka życia. Kiedy moralista przy świetle sumienia studyuje czynności i władze duszy; fizjolog niezapominając o zasadzie panującej ponad jego badaniami, ucieka się do fizyki, chemii i anatomii po jak najdelikatniejsze sposoby, celem opisanja funkcyi ciał organicznych. Wprowadza on w życie, pod jej najrzeczywistszą formą, owę piękną metodę doświadczalną, źródło tylu odkryć w nowszych czasach. Zagadnienia, które on porusza tak są godne myślenia, odkrycia tak powabne i wzniosłe, że żadna może nauka nie płaci sowicięj prac ku jej zbadaniu podjętych.

„Jakże zajmujący jest pogląd na zjawiska, które fizjologia nauczyła obserwować i tłumaczyć, które odnosi do ich przyczyn, i śledzi w ich ostatecznych skutkach. Te organa, te funkcyje, które w jednym i tem samym jestestwie dopełniają się, albo równoważą, walczą ze sobą, lub sobie pomagają; te różne jestestwa tak całkiem niby odmienne, które atoli porządek natury lepiej obserwowany solidarnie łączy; te powawy życia tak liczne, a coraz inne postacią, rolą, i trwaniem, gdzie atoli wszystko się rozwija wedle porządku i planu zadziwiającej prostoty! Ileż tu przyczyn społeczeństwa wznosi umysł ludzki ku tej niewzruszonej mądrości, co rządzi światem!

W każdym, a mianowicie też w naszym społeczeństwie potrzebna jest katedra, z którejby fizjologią wykładano w całości, bez myśli wstecznej w zastosowaniu, jedynie aby wywołać i obudzić podziw dla natury, podziw wyrozumowany, a dla jej Stwórcy miłość opartą na przekonaniu“.



*La divine Comédie du Dante* nowego tłumaczenia p. Pier-Angelo Fiorentino, wyszło wydanie piąte. Oto najlepsza pochwała dla książki tak wzniosłej treścią, i tak poważnej stylem; a rozpowszechnienie jej w owój Francyi, którą świat cały ochrzcił lekkomyślną i plochą, to zaiste piękny i zaszczytny dla tłumacza tryumf, chociaż niekoniecznie świadczy o spoważnieniu Francyi, ale raczej o potrzebie zrozumienia sławnego włoskiego poematu, którego nie znać jest grzechem w modno-literackim świecie.

Wielu jest ludzi, którym dlatego że zrozumieli libretto opery i potrafili rozmówić się z posługaczem we włoskich hotelach, zdawało się, że umieją po włosku. Miłe to przekonanie odbiega ich, niestety! skoro przypadkiem wpada im do ręki dzieło Danta. Wtedy zdziwieni niepomatu, zaledwie z wysileniem uwagi i nużącą pomocą dykcjonarza potrafili sylabizować słowo po słowie ów język tajemniczy, zwięzły i urywany, nie mogąc skupić ani ogarnąć tych myśli głębokich, oblezonych w archaiczne formy. Zazwyczaj cierpliwość ich kończyła się na epizodzie o Francesce da Rimini, uświetnionej pędzlem Ary Scheffera, i tragiczném Pelika piórem. Poza tę powieść, mało kto się posunął ze zwykłych czytelników. Dla takichto, (a jest ich niemało) Pier-Angelo wyborynym jest przewodnikiem, i na żadnym ich nie odbiegnie bezdrożu.

Tłumaczenie Fiorentiniego jest bardzo znakomite, dlatego, że tłumacz i rodzinny i francuzki język zna równie dobrze; a co najważniejsza, dla elegancyi stylu nie odstępuje od textu, jak to się często dzisiejszym tłumaczom przytrafia. Zazwyczaj, mianowicie téż Francuzi, omijają bez żadnej ceremonii wszystko, czego nie rozumieją w oryginale; bez namysłu zastępują obrazami własnej fantazyi obrazy lub idee, które im się dziwne lub niewłaściwe wydają, i tak z modną przyprawą podają publiczności stary poemat, pewni, że jej będzie lepiej smakował. Zaledwie z łaski swojej ogólne zarysy zachowują, i to niezawsze; ale o koloryt miejscowy, oryginalność myśli lub stylu, o wyraz, że tak powiem autora, nie pytaj tłumacza. Co większa, czasem z arcydzieła (jak się to niedawno wydarzyło z Shylockiem Shakspearą) wyrzuciwszy aktów kilka, obskubawszy z najwznioślejszych myśli, pod pozorem że ciemne, nie wahają się przedstawić ich na scenie, bez zmiany tytułu.

-Dzięki Bogu, głos powszechny zaczyna nieco szemrać na takie profanacye. Feiletoniści i krytycy dowodzą, że tłumaczenie

winno być przedewszystkiém wierne, winno być dagerotypem literackim, przedstawiającym wzór z najmniejszymi szczegółami. Nad piękne i dźwięcznie ułożone frazy, wyległe w głowie tłumacza, wyżej, i słusznie, stawiają dosłowność, gotowi łatwiej przebaczyć szorstką sumiennność, niż elegancką niewierność.

Słuszność tych uwag zrozumiał Fiorentino; choć zna doskonale język francuzki, wolał nie popisywać się z francuzczyzną, ale raczej wiernie myśli Dantego tłumaczyć. Nie kopiuje on, ale kalkuje wzory mistrza; nie *urozmaica* tego, co Dante powtarza, nie osłabia, nie cukrzy dziwnych często porównań, nie denerwuje jedrnych okresów, nigdy synonimem nie zastępuje właściwego wyrazu. bo najmniejsza pomyłka w odcieniach mowy, może stać się herocyą w tłumaczeniu tak wysoko katolickiego poety, jakim był autor *Boskiej Komedyi*.

Dante rzadko gdzie jest jasny, i być inaczej nie może: mówi bowiem o rzeczach tak niedociekłych, wznosi się w sfery tak wysokie, tak wylatujące ponad doniosłość ludzką, że nieraz biedz w ślad za nim niełatwo: wina to nie poety, ale czytelnika. W takich trudnych razach Fiorentino jest nieoceniony: bo nie wymija żadnej trudności, do żadnego nie ucieka się wybiegu; naśladowuje cieni, jak naśladował światło, boć malarz kopiując dawnego mistrza, nie będzie rozświetlał pociemniałych części obrazu, ale szare, szarym też odda kolorem. Fiorentino nie grzeszy także wspólném wszystkim komentatorom majaczeniem, co to rzeczom nawet najprostszym dają zawsze skryte jakieś i mistyczne znaczenie. Wedle niego, w dziele starego Gibelina wszystko dosłownie brać należy. Olbrzymią tę epopeję ułożoną z matematyczną symetrią, starannie wykończoną, porównać można z ogromu kształtów i nieskończoności szczegółów, raczej do gotyckiej katedry, nie zaś do febrycznej hallucynacyi, jak to się mylnie niektórym zdawało.

Jak wiadomo, *Boska Komedia* dzieli się na trzy części: *piekło*, *czyściec* i *raj*; tojest: *mękę*, *oczyszczenie* i *nagrodę*, trzy ogromne akta dramatu przyszłego życia, wedle wiary katolickiej. Poemat dzieli się na sto pieśni: jedna wstępna, a po 33 (liczba mistyczna lat Chrystusowych) na każdą z trzech części wypada, tworzących razem 14,230 wierszy, podzielonych tak równo, że *piekło* o 30 tylko wierszy krótsze jest od *czyścica*, a *czyściec* o 6 od *raju*. Każda część poczyna się porównaniem ze sztuki żeglarskiej, a kończy na słowie: *gwiazda*,



dla pokazania, iż żeglujący chrześcianin nigdy nie powinien spuszczać z oczu najwyższego celu. Ostatni wyraz każdej strofy spojony jest rymem z następną, tak, że chcąc je rozłączyć, potrzeba rozerwać bliźnie ogniwo.

W każdym nieomal wierszu *Boskiej Komedyi* znać tę surową symetryą, tę wypracowaną dokładność, która cechuje Dantego. Nie znajdziesz tam ani jednego słowa rzuconego dla rymu, lub napisanego przypadkiem. Dante wiedział wszystko co wiadzano za jego czasów, i trochę więcej jeszcze; znał teologią, filozofią, loikę, dyalektykę, kosmografią, medycynę, historią naturalną; znał książki duchowne i świeckie, znał poezyą, malarstwo, muzykę: słowem znał się na wszystkiém, i umiał wszystko. Cała téż średniowieczna oświata zawarta jest w *Boskiej Komedyi*, jak mądrość Greków w *Iliadzie* i *Odysei*.

Dante pisał swój poemat w narzeczu ludowém, nie zaś w języku łacińskim, który był wówczas językiem uczonych, *Virgiliusz* jest jego mistrzem i przewodnikiem: od niego, jak mówi, nauczył się stylu i zaczerpnął starożytnych tradycyj. Jednocześnie, wmieszane do poematu nazwiska mitologiczne, nie psują bynajmniej harmonii hymnu na cześć jedności katolickiej, który jest duchem *Boskiej Komedyi*. Dante bowiem, mimo pogańskiéj nauki, mimo miłości dla *Virgiliusza*, patrzy na rzeczy zawsze ze stanowiska ortodoxyi, zawsze się na biblii i ojcach kościoła opierając. Świętego Bonawenturę i Tomasza z Akwinu czi on i umieszcza w najświetniejszym rajskiém gronie, uświęcając ich pierwéj niż kościół, który ich późniéj dopiéro kanonizował. Jasna więc rzecz, że komentatorowie upatrujący w dziełach Dantego heretyczne dążności, oczywiście są w błędzie.

Dziwna rzecz, czemu najsmielsi nawet czytelnicy nie wybiegają nigdy poza pieśń o *piekle*. Któż zna *czyściec*? a *raju* nie zna nikt. Jest przesąd jakiś, że natchnienie poety szło *decrecendo*; tymczasem rzecz się ma bodaj całkiem przeciwnie. W *czyściu* przemieniają się męki na doczesną karę; dalekiego *raju* jasność rozwidnia już to miejsce pokuty, kary uduchowniają się, nieraz anioł nadziei o białém skrzydle, ze stepionym mieczem w dłoni, przeleci tędy, niosąc przyszłego szczęścia obietnice. Jakaś pogoda epiczna panuje w téj *umiarkowanej* strefie poematu. *Raj* znowu odznacza się rozkielznanym liryzmem, zawsze atoli bardzo religijnym.

W *Boskiej Komedyi piekło*, to dramat, *czyścić* epopeja, a *raj* to oda. W pierwszej części, poeta przejęty świętym strachem przestępuje bramy piekieł bojaźliwie, za skraj Wirgiliuszowej tuniki się trzymając, i mdlejący co krok na widok strasznych obrazów w *mieście utrapienia*; swobodniej już stąpa po *czyściu*, wyprzedzając niejako mistrza: ledwie zaś stanął na *rajskim* progu, gdzie go odbiega pogański przewodnik, wnet wlatuje po jasnym szlaku *Lucii* i *Beatricze*, przez wszystkie kręgi i sfery, aż do ognistej *Delty*, aż do *jedności we trzech*.

Tutaj Dante opisuje rzeczy niewystowione! To, o czém myśl śni zaledwie, on wlewa w formy plastyczne, dotykalne, i rymuje zachwyt z olśnieniem. W tém nadludzkiem zadaniu stać musiał o własnych siłach, bo tu skrzydła poezji już wiśną: pióro za piórem ronią śmiertelnicy takich dolatując wysokości. Są to orbity świetlane, girlandy róż płonących, gdzie każdy listek duszyczką; duchy skrzące w świetle, jak promienie słoneczne w wodzie, mrugania gwiazd na tle pożarném, fosforescencye jakieś przy których szarzejają księżycy;.. łuny czerwone roztaczają się jak kręgi na dyamentowém jeziorze, ogniki błędne, wonne; śnieżna białość rozwidnia gdzieniegdzie nieznaną głębiny... wszędzie war blasku, promieni i elektrycznych trysków, a wskroś latają roje aniołów i dusz błogosławionych, niby proszki we wstędze światła falujące. Wśród tego pożaru wieczne hosanna płynie w górę na opalowych obłokach, tajemniczy orzeł dwoma skrzydłami bije oba nieskończoności końce; nareszcie wśród koła w jakie się zlewają dwóch innych słonecznych kręgów blaski, poeta widzi zamdlony obraz człowieka, symbol Trójcy, i człowieka stworzonego na podobieństwo Boże. Wtedy spuszcza olśnione oczy... wszystko znika i tu koniec epopei.

Czemuż przypisać, że chociaż *raj* taki piękny, *piekło* jednak nieskończenie więcéj znajduje zwolenników??

PP. Emil Augier i Juliusz Sandeau napisali komedią we czterech aktach: „*Le gendre de M. Poirier*.” Są to właściwie mówiąc nowe waryacje na stary, ale niewyczerpany temat „*Sacs et parchemains*.” Sztuka wielkie zyskała oklaski, i zapewne długo przedstawianą będzie na bulwarowej scenie. Jak wszystkie utwory Juliusza Sandeau, odznacza się dowcipem i sta-



ranném opracowaniem; jak wszystkie jego utwory, ma niezawodne prawo obywatelstwa w literaturze francuzkiej. Ze stanowiska więc literackiego rozebrać ją wypada. bo są w niej miejsca ciemne, a mianowicie téż razi skrzywienie myśli ogólnej, która powinna być jednym z najważniejszych, jeżeli nie pierwszym względem dramaturga.

Treść sztuki taka:

Pan Poirier dorobił się 4 milionów na handlu sukna, poczem zachciewa mu się szlactwa. Długò tłumiona żyłka ambicyi wybucha w nim nareszcie z podwójną siłą. Przez całe życie pokornie schyloną głowę podniósł nakoniec; chce mieć tytuły, ordery, honory, chce być parem Francyi: dlaczegoż nie? Albożto mało było takich, co z tak nizka jak on wyszedłszy, doszli do szczytu godności? Rozsądek atoli doradza, że aby dopiąć tak wysokiego celu, potrzeba współnika. Na szczęście Bóg zsyła mu onegoż w osobie markiza de Presles, zrujnowanego panka, który pewnego dnia mocno będąc podrażniony przez smyczę natrętnych wierzyieli, wbiega zadyszany, i pada na kolana przed panną Antoniną Poirier, siedzącą w zamysleniu przy ojcowskim piecu. Zaryczały na taką poniewierkę splendoru oburzone lwy herbowe, spłonęła wstydem tarcza markiza, ale on wyższy nad przesady nie zważał na to, i dozgonnym ślubem związał się z panną Antoniną.

Mimo tak straszego *mesaliansu*, pierwsze dni miodowego miesiąca mile biegną młodej parze, bo Antosia świeża jak polna stokrotka, potulna jak gołąbek; bo papa Poirier zdaje się wzorem teściów; bo... bo wszystkie początki (wyjąwszy sylabizowania) są, jeżeli nie miłe, to przynajmniej zabawne. Ex-kupiec baczny na każde skinienie szlachetnego zięcia, stoi przed nim jak szambelan na rozkazy czekając; co więcej, zgaduje myśli i zachcenia jego, i wszelkie zawady z drogi mu usuwa. Łatwo się domyslić, że markizowi przypada do smaku postępowanie teścia, i posługuje się nim bez ceremonii, uważając go za niedołągę oślnionego herbowym blaskiem, za głupca uszczęśliwionego, że może swoje skarby złożyć szlachcicowi w ofierze,

Pan Poirier nie taki dobroduszny, jak się wydaje: celu swego nie spuszcza z oka, płaci długi markiza, ale po swojemu, to jest sam kapitał tylko, nie licząc ogromnych od kilkunastu lat narosłych lichwiarskich procentów. Zięć rozgniewany skąpstwem teścia, spłaca resztę połową posagu żony, która chętnie na to zezwała.

Neoględność córki w bardzo zły humor wprowadza papę, skutkiem czego następuje między nim a zięciem dosyć ciepka rozmowa. Ex-kupiec zdejmując maskę, i odkrywa markizowi swoje plany, które tenże wyszydza; co zdaje mi się nienaturalne, a nadewszystko niezręczne (mianowicie téż w naszych czasach), bo milionów nikt zadarmo nigdy nie dawał, a cóż dopiero teraz. Cóżkolwiekby, markiz - legitymista, mimo ojcowskich nalegań, nie chce służyć młodszej linii Burbonów (rzecz dzieje się za Ludwika Filipa), a raczej lenistwo *wierności* dla dawnego tronu pokrywa. Ojcowska wymowa pozostaje bez skutku. Zięć o honor przodków dbały, nie chce nic zawdzięczać Ludwikowi Filipowi. Atoli wielkoduszności swojej byłby dowiódł wyraźniej, nie żeniąc się dla pieniędzy, i umiając nosić bez fałszywego wstydu wielkie imię w ubóstwie. Dosyć, że markiz wyszydza ambitne żądze kramarza, jakbyto mieszczanin oddający zapracowane złoto za szlacheckie tytuły, zasługiwał na większą pogardę, niż szlachcic żeniący się dla posagu.

Skoro pan de Presles oświadczył ostatecznie teściowi, że nic robić nie myśli, że chce mieć konie, powozy, łoże w teatrach i dom otwarty: słowem, że chce dogadzać wszystkim swoim zachceniom za jego pieniądze, a w zamian nic dla niego nie uczyni: pokorny teść dotąd cichy i zgięty, jak żyd, kiedy chce oszukać chrześcianina, podnosi nagle głowę, i z baranka staje się wilkiem. Od rana do nocy upokarza i dręczy markiza. Wyborne, z trudem układane obiady dla licznych gości, zmienia podstępnie na mieszczańskie potrawy, na których widok markiz rumieni się ze wstydu. Zamiast dysponowanej żółtawej zupy, podają niecną grochówkę; baraninę zamiast sarny, chudą kurek zamiast bażantów, a zamiast tortów, łazanki! O zgrozo! Lecz nie tu koniec upokorzeń: kielich żółci jeszcze nie do dna wypity. Teść postanowił odnajdąć w swoim pałacu pierwsze piętro, które w szczodrocie swojej był dawniej nowożeńcom na mieszkanie przeznaczyl. Przybija fatalną kartę na drzwiach domu, poczem, całe czeready amatorów schodzą się oglądać mieszkanie.

Najpiękniejszą figurą w całej sztuce jest Antonina, dobra, cierpliwa aż do zbytku; czego umysłem nie ogarnie, to sercem zgaduje. Wszystkich tych zalet żony mąż nie widzi, bo nawet nie zadał sobie pracy poznać bliżej ów dodatek do 4.000,000. Mimo to, przy ludziach obsypuje ją grzecznościami, które zwykły płynąć jak woda z ust salonowego człowieka, nie mordując go



bynajmniej. Biędna Antosia bierze dosłownie mężowskie grzeczności, i sądzi, że ją kocha; on zaś tak mało zważa na nią, że nawet po ożenieniu nie zerwał stosunków z pewną hrabiną, której niewieścia sztuka sprawiła, że był srodze zakochany.

Pewnego dnia, niezręczny lokaj przynosi list od hrabiny, i w niebytności markiza oddaje go żonie. Ta patrzy podejrziwem okiem na woniejący bilecik, ale jednak wrodzona delikatność odpieczętować jój nie dozwala. Nadchodzi ojciec, a oderwawszy pieczętkę od listu, jak zamek od kantorka, wykrada zeń, nie pieniądze wprawdzie, ale tajemnicę, co na jedno wychodzi. Tu następuje łatwa do przewidzenia burza: córka płacze, a ojciec wymaga, żeby się podała do rozwodu.

Przestraszony markiz widząc los hrabiny w ręku swego teścia, a bojąc się przedewszystkiē *skandalu*, przystaje na warunki pana Poirier.

Więc najprzōd teś wskazuje go na potrawkę z królika i kartolle; zamiast paliowych, każe nosić ciemno-zielone rękawiczki, a nadewszystko i przedewszystkiē bywać na dworze Ludwika Filipa. List hrabiny ma być teściowi rękojmią dotrzymania obietnic. Antonina oburzona ojcowskim targiem, wrywa mu i rzuca w ogień rekojmią traktatu, oświadczając, że zmianę postępowania męża zawdzięczać chce natchnieniu jego i wolnej woli, nie zaś przymusowym środkiem. Markiz wzruszony wspańałością małżonki, chce się zaciągnąć do afrykańskich strzelców, aby odzyskać sprzedaną niezależność, i stać się jój godnym. Zanim jednak wyjedzie, musi odbyć pojedynek z kolegą, który śmiał żartować sobie z niego i hrabiny. Żona błaga męża żeby zaniechał pojedynku; markiz długo się waha, aż w końcu, zwyciężony jój przywiązaniem, woli poświęcić honor, niż obmywać go łzami żony, i upokarzać ją, bijąc się za jój rywalkę.

Wtedy Antonina rzuca mu się na szyję i woła: „kochany! teraz możesz się strzelać!” Ten heroiczny wykrzyk, godny rzymskich czasów, uszlachca na wieki kupiecką córkę, i zyskuje jój miłość męża, który z okrucich dawniej fortuny i żoninego wiana, odkupuje pałac przodków, i żyje w nim szczęśliwy, czasem teścia na obiady zapraszając.

Pod względem prawideł sztuki, łatwości dyalogów i dowcipu, jak powiedziałem, nic nie można zarzucić tēj komedii; ale myśl pierwotna autorów, zdaje się, źle przeprowadzona,

a raczej zupełnie zwichnięta w końcu. Z początku zdawało się, jakoby autorowie, w tej walce mieszczaństwa ze szlachtą, chcieli malować tryumf kupca, obracającego na swoje korzyść związek, w którym szlachcic swoje zbawienie upatrywał. Zdawało się, że Poirier wiążąc się z markizem, miał na myśli wymianę złota za dostojęstwa, to jest, że mu da 1,000,000 za tytuł dla córki, 1,000,000 za baronostwo, 1,000,000 za krzyż legii honorowej, a czwarty 1,000,000 za parostwo; słowem, zdawało się, że apoteoza Poiriera zakończy sztukę. służąc za nauczkę zbankrutowanej sztachcie: że niezawsze dobrze wychodzi kto djabłu duszę dla pieniędzy sprzedaje, że *male parta* musi iść do czarta. Tymczasem dzieje się przeciwnie: szlachcic tryumfuje, ma piękną i dobrą żonę, majątek, spłaca długi, odkupuje zamek przodków, i od początku do końca życia próżnuje, o nic się nie troszcząc, a używa jak prawdziwy ulubieniec fortuny; kupiec zaś, w pracy i zabiegach życie strawiwszy, oddaje obcemu skarby, i wychodzi z niczém. Wyrażnie nie taka była myśl pierwotna p. Sandeau.

W końcu pokazuje się, że kupczący Syxtus był głupcem, bo wszystkie plany jego w niwecz obraca markiz, bez trudu ani kłopotu.

Szkoda, że autorowie nie korzystali z mistrzowskich wzorów, jakie Balzac w tym rodzaju zostawił; mianowicie też wzór pana Poirier mieli gotowy w osobie *Guillauma (Maison du chat qui pelotte. Scènes de la vie privée)*; to mi to kramarz spekulant! Zda się, niby pajęczce, niewidzialne sieci frycom rozwiesza, a mocniejsze niż siatka z drutów stalowych; jak kret nurtuje w cichości wydrążając podziemne kanały, jak pajak kąsa, bo tylko krew z serca wyssie, zostawiając formę, jak plewę. Kto z niczego dorobi się kolosalnej fortuny, i jeszcze chce być parem w dodatku, podobny charakter mieć musi. Ale Poirier hałaśliwy, który tłucze szyby i krzesła rozbija, co gada do zięcia jak do lokaja, zupełnie do typu kramarskiego dorobkowicza niepodobny.

Charakter szlachcica nie jest także dobrze narysowany; widocznie koloryt zamazał kontury. Jestże on szanowny, czy godzien wzgardy? — nie wiadomo. Chcianoż w nim podnieść, czy poniżyć arystokracją? — nie wiadomo. Figura ta niejasna, i nigdzie nie wychodzi poza szranki salonowej nicości. Jedna tylko Antonina jest ładnie i prawdziwie skreślona: dobra piękna, szlachetna. Trudno pojąć, czemu markiz, który znawstwo koni



i kobiet całym majątkiem okupił, tak długo rzadkich przymiotów żony ocenić nie umie.

Czy powyższe uwagi są słuszne, nie śmiem wyrokować; sztuka bowiem od początku do końca przyjętą była z poklaskiem, i nikt nie zdawał się uważać, że myśl filozoficzna znikła w jej wykończeniu.

---

Nieznane dotąd widowisko ściąga tłumy ludzi do teatru Porte-Saint-Martin. Świeżo przybyła trupa sztukmistrzów chińskich jest celem tej ciekawości publicznej. Jakoż rzeczywiście niepodobna sobie wyobrazić pociesniejszych karykatur. Parawany, wachlarze, herbatniczki, nic a nic nie przesadziły chińskiej brzydoty; cudaki, które na nich nieraz podziwialiśmy, uważając je za wybryk niesmacznej fantazyi, są najwierniejszym dagierotypem z natury zdjętym. I pomyśleć dopiero, że jest ich tam takich 300,000,000 na jeden model ulanych, i że patrzą na siebie bez śmiechu!

Dziwny, niepojęty to naród: starzec i dziecko zarazem, znał jeszcze przed potopem wszystkie wynalazki europejskiej oświaty, jakoto: igłę magesową, proch, druk, studnie artezyjskie, gaz, i nie posunął się odtąd ani na krok dalej. Śmiesznie-poważny, poważnie-szalony, pełen zepsucia, namiętny na zimno, ocytany i ograniczony zarazem, jada za przysmaki psy zdechłe i gniazda jaskółcze, a mówi jakby niemowlę w kolebce oderwanemi głóskami bez ładu, ani związku.

Po krótkiej sztuczce, która służy za prolog Chińczykom, wychodzi na scenę mandaryn O-Mi-To-Fo, człowieczek maleńki, z wielką głową, rodzaj porcelanowej pagody, z 12stą towarzyszącami monstrualnej brzydoty, w sukniach atlasowych, pomalowanych w węże i smoki. Mandaryn siada w krześle, a orszak wybija mu pokłony. Potem dwunastoletni chłopiec, podobny do czerwonego jabłka z czarnemi ślępkami, z uszami mocno od głowy odstającemi, wyrzuca w powietrze trzy różno-kolorowe lśniące kule, które chwytając i odbijając z nadzwyczajną szybkością to nogą, to wachlarzem, a kule krążą koło niego ciągle jak świętojańskie robaczki, powracając doń zawsze jakby magnesem przyciągane. Następnie ów chłopczyzna skacze z niepojętą zręcznością, chodzi na głowie, i przewraca koziołki trzymając w zębach filizankę, talerze pod pachą i między kolanami, ani jednego z nich nie rozbiwszy. Wszystkie te sztuki dzieciak do-

kazuje bez żadnego wysilenia ani zmęczenia, z najpocieszniej błazeńską miną, jaką sobie tylko wyobrazić można.

Po nim, dwaj Chińczyki przynoszą długi bambus. Gdyby ktoś utrzymywał, że można podnieść siebie samego za włosy, nie uwierzylibyście zapewne; ja sam nie wierzyłem dotąd, ale w teatrze Porte-Saint-Martin przekonałem się, że można. Mieszkańcy państwa niebieskiego mają, jak wiadomo, ogoloną głowę, na jej wierzchu tylko długi kosmyk zostawiają, i splatają go w warkocz. Otóż dwaj Chińczyki trzymają bambus, a trzeci siada na podłodze z podwinionymi nogami, przekłada przez bambus swój warkocz, chwytając za drugi jego koniec, i, jak wiadro korby ze studni ciągnięte okręca swój sznur na walcu, tak on przerzuca się, zniża, to znów podnosi na owym naturalnym sznurze, przyrosłym na środku czaszki. Nie jest to prawdziwie chińska sztuka, bo wykonalna tylko przez Chińczyka? Grzmotem okłasków przyjęto tę osobliwszą gimnastykę.

Sztukmistrze wykonywali potem wiele jeszcze zabawnych łamania w tym rodzaju; ale zakończyli widowisko straszną, niesłychaną dotąd igraszką, na którą patrząc, włosy na głowie powstają.

Jeden z nich kładzie na przybitej desce otwartą rękę. Drugi staje naprzeciw niego opodal, a mając w ręku pęk ostro zakończonych nożów, rzuca je jedno po drugim na deskę, w którą wbijają się między palcami człowieka... Jeden włos w tę lub ową stronę, a ręka byłaby przybita do deski.

Doprawdy nie wiedzieć, którego z tych dwóch ludzi więcej podziwiać: czy tego co rzuca noże, czy tego co mu za cel służy? Cóż za pewność siebie, krew zimna, i niepojęta odwaga! Ale niedosyć na tém: Chińczyk zamiast ręki, głowę podaje, a noże świszczą i wokół niej utykają... Jedno drgnięcie muskułu w ciskającej ręce, o śmierć drugiego przyprowadza!

Przynaję, że równie przerażającej zabawy w życiu nie widziałem.

---

Emil Montégut wydał nowe tłumaczenie historii angielskiej pana Macaulay. Dzieło to (*Histoire d'Angleterre depuis l'avènement de Jacques II*) jest niezmiernie rozpowszechnione we Francji. Piérwsze tłumaczenie barona de Peyronnet zwróciło nań ogólną uwagę: jest bowiem bardzo przystępnie i ja-



sno napisane. Autor zastanawia się głęboko nad przyczyną i skutkiem przeróżnych wstrząśnień, jakie przechodziła Anglia zanim doszła do stanu obecnej potęgi. Przekład pana Montégut lepszy od pierwszego, przyczynił się wiele do wziętości dzieła; jest on nowym dowodem, że aby dobrze tłumaczyć myśli znakomitego pisarza, trzeba samemu posiadać niepoślednie zdolności.

---

Nowo wyszłe dzieło Guizota o Anglii: *Histoire de la république d'Angleterre et de Cromwell*, nacechowane jest, jak wszystkie poszukiwania historyczne pana Guizot, głęboką erudycją, świadomością wszech rzeczy, i zupełnem wyczerpaniem przedmiotu, tak, że ktoby po nim chciał tenże sam okres badać, więcej już faktów niezawodnie nie zgromadzi.

Ale i tą razą pan Guizot grzeszy zwykłą sobie stronniczością. Wyrokując o rewolucyi angielskiej, wyraźnie francuzką ma ciągle na myśli, a wszystko sądząc z osobistego stanowiska, ściągając do siebie samego. Pominąwszy stronniczość, która zwinąć koniecznie musi sąd dziejopisa, dzieło to jest bardzo znakomite tak pod względem rozumowania, jak niemniej jasności i piękności stylu. Obraz atoli Kromwella nie jest ani dość silnie, ani dość prawdziwie narysowany. Są lepsze.

---

Pan de Laténa wydał dziełko pod tytułem: „*Etude de l'homme.*” Nie jestto wycieczka w kraje nieznane, bo pan Laténa nietylko nowego świata, ale żadnej nawet wysepki w podróżach swoich nie odkrył, ale opowiada przyjemnie znane rzeczy. Jestto właściwie mówiąc, salonowy *turysta*, który ułożył *przewodnik* dla *dobrze wychowanych* ludzi. Pierwszą część książki, najstarszą, zajmuje metafizyka. Panu Laténa dziwnie jakoś nie do twarzy w to; dalej, kiedy mówi o kobietach i miłości, nie brak mu ani dowcipu, ani trafności spostrzeżeń; znać, że więcej praktycznie niż teoretycznie zdolności swe rozwijał.

---

„*L'inégalité des races humaines*” napisał Artur de Gobineau. Wielki ten przedmiot, pod którym niejednen zachwiałby się zapewne, pan Gobineau dźwiga na swych barkach bez wysilenia. Umysł jego bystry i badawczy, wszechstronnie rozbiera

przedmiot. Prócz bystrości, p. Gobineau ma wiele nauki, bo inaczej nie podolałby zadaniu: prace jego przygotowawcze były ogromne. Znany od lat kilku w literaturze z dzieł swych ulotnych, poezyi i romansów, wystąpił teraz jako erudyta, znający dokładnie pochodzenie ras ludzkich i stan ich obecny, jak niemniej wszystkie szczegóły potrzebne do podporządkowania takowych pod swą teorią; chociaż ta wydaje mi się zupełnie fałszywą, wiedzie bowiem prosto do fatalizmu, któryby był niesprawiedliwą zaporą do rozwoju moralnego ras fizycznie upośledzonych.

Dążność społeczna dzisiaj wyraźnie do zjednoczenia skierowana, oczywisty fałsz zadaje filozofii pana Gobineau; dziś nie tylko krytyka przeciw jego teorii powstaje, ale cały wiek XIX, pełen cudownych wynalazków, które chłonąc przestrzeń, dążą niechybnie ku połączeniu wszystkich szczepów w ludzkość.

Gobineau prawo czasowe kładzie jako prawo odwieczne. Człowiek tylko wiecznie istnieć będzie, a rasy zatrzeć się muszą, bo przestrzeń dzieląca je znikła. Dziś łatwiej całą kulę ziemską objechać, niż dawniej kraj jeden; łatwiej z jednej stolicy do drugiej się przenieść, niż dawniej dowiec do powiatowego miasteczka. To ułatwienie widywania się, to nieustanne ścieranie się stosunków, wymiana wynalazków i spostrzeżeń, kultura, która nawet klimat łagodzi, czyż nie prowadzą do zmieszania, a następnie do zjednoczenia ras?

Zamiast wywodzić teorią fatalizmu, pełną starego przesądu, gdyby pan Gobineau był z właściwym sobie talentem i erudycją, opowiedział w jaki sposób stopniowe zlewanie się szczepów nastąpi, byłby daleko ważniejsze dzieło napisał.

---

„*Les paraboles*” przez pana Cerfbeer de Medelsheim, powinny matki czytać dorastającym dzieciom. W młodziuchnych, świeżych umysłach, książka ta pełna prostych a wzniosłych myśli, zasiać może zdrowe i prawdziwe ewangeliczne zasady:

„Bóg ci pomóż robotniku!  
Anioł w locie błogosławi”.

---

Mur chiński już mocno porysowany, wali się niemal codziennie. *Podróż po Chinach* przez kapitana Montfort niemal także w nim wyłom uczyniła, bo przezeń odkrywa publiczności



mnóstwo ciekawych a dotąd zupełnie nieznanych szczegółów o *Państwie Niebieskiem*.

---

„*La liberté dans le mariage par l'égalité des enfants devant la mère*” przez Emila de Girardin, rozprawa zamieszczana dotąd po różnych pismach jego, wyszła teraz osobno, wraz z uwagami o zwyczajach, prawach, pojęciach dotyczących kobiet u starożytnych, i za naszych czasów.

---

„*Les contes sans prétention*” nie zadają kłamstwa tytułowi. Pan Alberic Second pisze rzeczywiście bez przesady ani wyrachowanych efektów; a pisać bez przesady, to rzecz nielatawa, mianowicie też we Francyi, gdzie przestarzała literatura, jak stara kokietka próbuje dla odmłodnienia się najgwałtowniejszych środków. Zarozumienie leży tylko w tytule, bo potrzeba niemało odwagi i pewności siebie, aby wśród manierowości literackiej i zdenerwowanych francuzkich czytelników, wystąpić i powiedzieć: „zabawię was prostotą”.

---

„*Les Nuits de Rome*” przez Juliusza de Saint-Felix, są uczone i poetyczne zarazem. Jestto poemat prozą. Francuzom podoba się niezmiernie.

„*Les Nuits Espagnoles*” Mérego, także świeżo wydane, daleko są piękniejsze. Bo też Méry jest sztukmistrz nielada! Sztukę pisarskich efektów do najwyższego posunął stopnia; jak Paganini na skrzypcach, tak on na każdej strunie serca ludzkiego uczone umie zagrać waryacje. Nie idzie za tém, żeby był czuły, ale to pewna, że pracowicie okresy buduje i po mistrzowski je rzeźbi.

---

„*Les Femmes aimées de Goëthe*” bardzo ładne, choć może trochę wymuszone obrazki.

---

Wychodzi w Paryżu co niedziela nowy dziennik: *Figaro, Journal non politique*; jestto rodzaj Charivari, tylko daleko mniej dowcipny, a więcej dotykający osobistości i skandalów. Redaktorami są: pp. Vilmessaut i Jouvin.

---





## ZYCIE DOMOWE

# JADWIGI I JAGIEŁŁY.

Z REGESTRÓW SKARBOWYCH Z LAT 1388 — 1417,

PRZEDSTAWIONE PRZEZ

*Alexandra Przewdziekiego.*

(Dokończenie).

Ostatni wypadek historyczny w regestrach naszych wspomniany; był zjazd Jadwigi i Jagiełły z Zygmuntem królem węgierskim, w Sączu, w lutym 1395 r. odbyty, na którym zrzekli się praw swoich do korony węgierskiej, po śmierci królowej Maryi, siostry Jadwigi, a żony Zygmunta bezpotomnie zeszlęj.

Przerwa lat ośmiu w regestrach (od r. 1395 do r. 1403) przedstawia nam już inną królowę na tronie polskim. Po śmierci wiekopomnej Jadwigi (17 lipca r. 1399), Jagiełło lękający się stracić koronę wraz z jej ręką nabytą, z porady niektórych panów zaślubił sobie, zaraz w r. 1401, Annę, córkę Wilhelma hrabi Cylijskiego, i Anny córki Kazimierza Wielkiego. Ta lubo z twarzy mniej nadobna, przy pierwszym poznaniu tak mu się niepodobala, iż chciał ją po zrekowinach odesłać; jednak lat 15 zgodnie z nim przeżyła, i nie obeszło się nawet bez zazdrosnych posądzeń za strony męża, jakiemi ten wszystkie żony swoje prześladował. Z braci królewskich, stryjeczny Witold zawsze Litwą rządził; rodzony, Swidrygiello, opuściwszy Krzy-

zaków, dostał był rządy Podola od króla; ale wkrótce sprzykrzył mu się pokój domowy, i znowu do Krzyżaków powrócił. Z książętami mazowieckimi i wielą książąt ruskich i szlązkich zgoda była wielka i przyjaźń, gdyż ciągle okazują ich nam te rejestra na dworze królewskim.

*Rejestr przychodu pieniędzy królewskich na roboty w zamku Nowego-Miasta, do rąk Gronostaja z Bussiny, kleryka Najjaśniejszego króla JM. R. P. 1403 (1).*

Od pana Jakusza, 7 grzywien. Od Andrzeja mistrza mennicy, 8 grzywien. Od księdza Macieja, pisarza czynszów zamku krakowskiego (*notario censuum castris Cracoviensis*) 10 grzywien. Od Zygmunta, pisarza Andrzeja mistrza mennicy królewskiej, 8 grzywien.

**Rok 1404.**

Od króla JM. ze Stobnicy na ręce Piotra z Luki, 20 grzywien. Tegoż roku 28 grzywien z podatku wiardunkowego, (*de exaccione fertonalis*) z powiatu nowo-miejskiego (2).

Od sługi Jana z Tęczyna (*de Thanczin*) kasztelana krakowskiego, 40 grzywien.

**Rok 1405.**

Od Kozuszka (*a Coschuscove*) 33 grzywny.

**Rok 1407.**

Ze skarbu od pana Nowka (*a D. Nowcove*) 100 grzywien.

**Rok 1408.**

Od żupników (*de Suppariis*) 150 grzywien. Summa ogólna z lat pięciu, 585 grzywien.

(1) Księga nr. 9. Nazwiska *Gronostaja* w Niesleckim nie znajdujemy; mógł to być Litwin z rodu Hornostajów.

(2) Na zjeździe w Nowem-Mieście Korczyńce 11 listopada 1404 r. postanowiono pobór 12 groszy, to jest *wiardunku* z łanu, na wykupienie ziemi Dobrzyńskiej od Krzyżaków; okazuje się, że ten podatek używany był i na potoczne wydatki dworu królewskiego.



### Rejestr stacyi od roku 1403 (1).

Oto jest rejestr w którym zapisana jest stacya króla JM. i królowej pani gdy przybyli do Nowego-Miasta, w sobotę w wigilią św. Marcina (10 listopada) r. nar. P. 1403 (2).

W sobotę (10 listopada) dla króla JM. na obiad, 3 grzywny, 5 skojców i 1 grosz; dla królowej pani 1 grzywnę 22 skojców; dla księcia Siemiszka (3).

W niedzielę i poniedziałek (11 i 12 listopada), dla księcia Janusza cieszyńskiego (*Duci Janussio Czesnieszki*) (4), dla marszałka (5), dla podskarbiego (6), i t. d. Za beczi zwane przykadki (*pro doliis dictis prxicadky*) 15 skojców. Za podjęcie sługi królewskiego zwanego Krupką, (*pro familiari D. Regis dicto Krupka*) w gospodzie u Skody mieszczanina z Nowego-Miasta, 12 skojców. Za lutnistów ruskich (*pro citaristis ruthenicis*), Michałkowi mieszczaninowi tamecznemu, 12 skojców. Za podejmowanie w gospodzie Ostaszka z Moskwy (*pro Ostaszcone de Moszkwa*), 12 skojców (7). Staroście sandomierskiemu (8) gdy gonił do Krakowa za rozbójnikami (*post pdones, predones*), wedle listu króla JM. 20 skojców i 3 kwartniki (9). Z polecenia króla JM. podkoniuszemu królewskiemu,

(1) Księga nr. 10.

(2) Królową była druga żona Jagiełły, zaślubiona r. 1401 († 1416) córka hrabiego Cylli, a wnuczka Kazimierza W. króla polskiego, z córki jego *Anny*.

(3) *Siemiszko*, t. j. Zlemowit, syn *Ziemowita* księcia mazowieckiego, i *Alexandry*, siostry Jagiełłowej.

(4) Nie znajdujemy księcia tego imienia w liści wprost cieszyńskiej; ale że to była tylko gałąź domu książąt szlaskich na Opolu, Cieszynie i Oświęcimie, być może, iż to był książę *Jan Oświęcimski*, syn *Przemysława*, zabitego r. 1401. (Ob. *Sommersbeßg*, t. 1, str. 667, tablicę genealogiczną).

(5) Marszałkiem koronnym był *Zbigniew* z Brzezia, jak świadczą dalsze rejestra.

(6) Podskarbim królewskim był w dawnych rejestrach naszych *Hinczko z Przemankowa*; później zaś pod r. 1412 napotykamy *Medyolańskiego*. Kto mianowicie był podskarbim w r. 1403, zostawia Nieściecki wątpliwym.

(7) Córka księcia Witolda była za Wasylem W. Ks. Moskiewskim.

(8) Starosta sandomierski. z nazwiska bliżej nie oznaczony.

(9) Rozbójnicy ci byli pod dowództwem dwóch możnych panów: *Grotu Stupeckiego* i *Jana Rogali* kasztelana włocławskiego, których wypędzono poza granice kraju, do Moraw.

zwanemu Wassilec (*Wassilecz*), który przybył do koni, 6 skojców. Temuż na wydatki podrózne, gdy z końmi na Ruś pojechał, 7 skojców. Rajcom wiślickim za konia, którego król JM. polecił kupić dla Zyndrama, oprawcy, (*Zindramo, justiciario*) 6 grzywien (1). Za koryta (*pro lintribus*), w których bydłęta pić zwykły, do zamków i folwarków, 8 skojców. Piotrowi ptasznikowi (*aucupi*) za konopie, i len na siatki, za wice-prokuratorowi pana Gronostaja. Dwom bębniatom na parę koni, 3 grzywny. Za naprawę szyb w łaźni białej dolnej (*ad albam stubam inferiorem*), 7 skojców. Skodzinie (*Scodzino*) (2) za pranie obrusów króla JM. 16 skojców.

*Następuje stacya króla JM. z królową, gdy przybyli do Nowego-Miasta w sobotę przed niedzielą Invocavit (1sza W. postu, 17 lutego) R. P. 1404.*

W sobotę, niedzielę, poniedziałek i wtorek (17, 18, 19, 20 lutego) dla księcia Bolka (3), księcia Siemiszka, marszałka, podkanclerzego (4), dla gości z Czech, Prokopa z Niesporkiem, (*Procopio cum Nessporek*) (5); dla księżny z pannami i t. d. Za sześć rzesot (*pro VI cribris rzessotha*) 3 grosze. We wtorek (20 lutego) król JM. pojechał na noc do Przymankowa.

Król JM. z królową panią przybyli do Nowego-Miasta w niedzielę przed św. Jakóblem Apostołem (20 lipca). Dla króla i królowej, pana marszałka, gości z Moskwy, (*hospitibus de Mosskwa*), dla p. Mikołaja podkanclerzego (6) i t. d. W sobotę (26 lipca) po obiedzie król JM. pojechał na noc do Skalmierza.

(1) *Oprawca*, ceklarz, łapacz, sługa miejski do łapania złodziejów (*Linde*) *Malefictorum iudex opravca dicitur* (Vol. Leg. I. 5.).

(2) Skodzina, zapewne żona wyżej wymienionego *Skody* mieszczanina i właściciela gospody w *Nowem-Mieście*.

(3) *Bolko* zapewne *Bolesław* ks. mazowiecki, syn ks. Janusza i Anny Danuty siostry Wtolda.

(4) Podkanclerzym był *Mikołaj Trąba* późniejszy arcybiskup gnieźnieński.

(5) Księżna, zapewne Złemowltowa, Alexaudra, siostra Jagiełły.

(6) *Mikołaj Trąba* kanonik krakowski; dawniej proboszcz S. Floryański, prokurator generalny krakowski, później został arcybiskupem hallickim, (r. 1411) i tegoż roku jeszcze arcybiskupem gnieźnieńskim, po zejściu *Mikołaja Kurowskiego*.



Za 2 kopy *stracsusz* (1) 1 kwartnik. Za 11 kóp garnków (*ollarum*) po 4 grosze, 22 skojce. Za 8 kóp misek (*scutellarum*), po 5 groszy. 20 skojców; za 14 niecek, 4 skojce; za 6 naczyń zwanych przykadki (*przicadkij*), 12 skojców.

*Stacya króla JM. i królowej pani gdy przybyli do Nowego-Miasta*, w sobotę przed niedzielą *Invocavit*, 1sza W. postu (7 marca) R. P. 1405, za wice-prokuratorowi p. Gronostaja dziedzica z Bussiny.

Obiad dla króla JM, dla królowej pani, dla księcia Alexandra (*Duci Alexandro*) (2), dla ks. Bolka, dla p. marszałka, dla pana Mikołaja, podkanclerzego, dla gości z Czech, dla p. Mikłasza Węgrzyna i dla gości pana Hinczka, z Czech. We wtorek (10 marca) po obiedzie, król JM. z królową panią pojechali do Przymankowa.

*Druga stacya króla JM. w Wislicy, kiedy przybył w piątek w wigilią Wniebowzięcia N. Panny (14 sierpnia) R. P. 1405* z królową panią, z księciem Bolkiem, p. marszałkiem, p. Mikołajem podkanclerzym, i innemi książętami.

W niedzielę (16 sierpnia) król JM. z królową panią pojechali na wieczerzę do Niepołomic. Zostali się w Wislicy: książę Świdrygiełło (3); ks. Bernard (4); ks. Zygmunt (5) z Grabą, który mu zawsze zwykł towarzyszyć; marszałek Zbigniew, i książę Siemiszko czyli Alexander.

*Stacya króla JM. z królową panią gdy przybyli do Przymankowa w piątek przed S. Klemensem (21 listopada) za prokuratorowi p. Gronostaja, prokuratora Nowego-Miasta i Wislicy R. P. 1404.*

(1) *Stracsusz*, może to samo co *strekfussy*, już wyżej w tych rejestrach wspomniane, a których znaczenia nie mogliśmy odgadnąć.

(2) Ks. *Alexander* tak nazwany od matki Alexandry, siostry Jagiełły, ks. *Siemiszko* czyli *Ziemowit*, mazowiecki.

(3) Ks. Świdrygiełło opuszczony od Krzyżaków, którzy zawarli pokój z Jagiełłą i Witoldem na zjazdach w Gnieźnie (7 czerwca) i w Kownie (29 czerwca t. roku), musiał się pogodzić z bratem, i dostał zamiast odebranego mu Podola, księstwa brańskie i starodubowskie.

(4) Ks. Bernard zapewne Namysłowski (*Falkenbergensis*), syn księcia Opolskiego, brat Jana Kropidła nominata arcybiskupa gnieźnieńskiego, ożeniony z Jadwigą córką Spytka z Melsztyna wojewody krakowskiego.

(5) Ks. Zygmunt Korybut, syn Dymitra brata rodzonego Jagiełły, książę nowogrodzki.

Ugoszczenie dla króla JM., królowej pani, księcia Siemiszka, p. Miklasza Węgra, p. Zbigniewa marszałka króla polskiego (*Marsalconi Regis Polonie*).

W niedzielę (23 listopada) król JM. pojechał (*equitavit*) z królową panią, na noc do Stobnicy.

Stacya królowej pani pojechała (*equitavit*) naprzeciwko króla po drodze do Krakowa w sobotę w wigilią św. Andrzeja (29 listopada) R. P. 1404. W niedzielę (30 listopada) pojechała na noc do Opatowca.

Rejestr wydatków zamku Nowego-Miasta dla sokolników i innych, po wyjeździe króla JM. we czwartek po św. Idzim (3 września) R. P. 1405 (1).

W piątek w sam dzień św. Doroteusza (9 października), pan Scibor przyjechał z Litwy na obiad (2). Daniłkowi sokolnikowi, Słachcie (*Slachcze*) sokolnikowi, 7 skojców. Opanaszowi za przyrządzenie skóry do bębnow królewskich, (*ad cymbalum Regis, vulgariter bambnij*) 3 skojce. Hopanasowi harfście (*sambucino*)... (3); za kozłą dla służących, 4 grosze; za ptaki leśne zwane cietrzewie (*czetrzewe*). Piotrowi Pomykadle (*Pomicadloni*) dyety na miesiąc za słońce, miarkę mąki i t. d. 4 grosze.

#### Rok 1406.

We czwartek, w oktawę Bożego Ciała (18 czerwca) książę pan Michał przybył do króla do Nowego-Miasta, jadąc na Litwę (4). We wtorek, w wigilią wigilii św. Jana (22 czerwca) goście z Kijowa przybyli do króla JM.

W poniedziałek po pierwszej niedzieli po ś. Idzim (6 września), książę Zygmunt bawił w zamku z całym dworem swoim po wyjeździe króla JM. z Nowego-Miasta.

(1) Księga nr. 11.

(2) Scibor ze Sciborzyc herbu Ostoja, później wojewoda siedmiogrodzki, rycerz i mąż stanu wielce zasłużony w Polsce i w Węgrzech.

(3) Zapewne Wajdelota litewski.

(4) Książę Michał może syn ks. Zygmunta Klejstutowicza, a synowiec Witolda.



1) Tu znowu przerwa pięcioletnia w rejestrach, zapełniona jednak w dziejach ważnemi wypadkami: wojną Witolda z zięciem swoim W. K. Moskiewskim, wspieranym przez Swidrygiełłę, (1407 — 1408); urodzeniem córki królewskiej Jadwigi, 8 kwietnia 1408 r., nareszcie odnowioną wojną z Krzyżakami, i świetnym zwycięstwem Jagielly i Witolda nad nimi pod Grunwaldem, odniesioném 15 lipca r. 1410. Mniej korzystny pokój z Krzyżakami zawarty został w Toruniu, 2 lutego r. 1411; potem Jagiello z królową zwiedzili Litwę całą, Ruś, Kijów, Kamieniec i Lwów. a za powrotem do Krakowa, 25 listopada tegoż roku, chorągwie krzyżackie pod Grunwaldem zdobyte, w katedrze krakowskiej złożyli. O tych wypadkach na nie szczęście w rejestrach naszych żadnego śladu nie ma.

#### Rok 1411.

*Rejestr stacyi króla JM. i królowej pani, którzy przybyli do Wislicy, w sobotę w wigilię św. Andrzeja (29 listopada) R. P. 1411 (1).*

Tu pierwsza stacya miała miejsce za prokuratoryi pana Gronostaja z Bussiny (*de Busszinja*). prokuratora Nowego-Miasta, i kantora podówczas kościoła sandomierskiego.

Obiad dla króla JM., królowej pani, księżny Ziemowitowej, księcia Siemiszko, ks. Zygmunta, ks. Romana (2), wice-marszałka (3) podskarbiego (4), księdza i pisarzy, kuchmistrza i t. d.

Następuje inna stacya królowej pani, gdy przybyła z Wielkiego Opatowa od króla JM. do Wislicy w sobotę w wigilię św. Mikołaja (5 grudnia) r. 1411. W poniedziałek (7 grudnia) pojechała na obiad do Proszowic.

#### Rok 1412.

*Następuje inna stacya króla JM., który przybył w piątek pierwszy po oktawie Trzech Króli (15 stycznia) 1412 r.*

(1) Księga nr. 13.

(2) Niewiadomo którego.

(3) *Vicemarscalcus*, może ten sam urząd przeistoczył się później na marszałkostwo nadworne. Włocemarszałka w r. 1415 nazywają rejestra nasze Grochockim (może Grochowski herbu Junosza, w ziemi przemyskiej; ob. Niesieckiego).

(4) Podskarbiem był niejaki Medyolański, może Wegler, bo w Koronie polskiej Niesieckiego żadnej wzmianki o nim nie ma.

do Wislicy na obiad z księciem Mitkiem (*Duci Mitconi*) (1) z ks. Romanem, księdzem i pisarzami, wice-marszałkiem, dyakiem Moskwą (*cum Mosquitis*) i innemi Rusinami.

W sobotę (16 stycznia) król JM. po obiedzie wyjechał na noc do Proszowic; Rusini i Moskwa pozostali jeszcze, jakoto dyak, lutniści i Wołczek z towarzyszami.

Następuje stacya księcia Konrada Oleśnickiego (2), który przybył do Nowego-Miasta w piątek piérwszy po niedzieli *Oculi* (3iój w. postu, 11 marca) r. 1412.

Tenże ksiązę pojechał konno na Litwę z poselstwem do ks. Witolda w 54 koni. Ksiązę Roman także przybył do Nowego-Miasta w piątek po niedzieli *Oculi* (11 marca).

### *Rejestr wydatków w Sączu r. 1412 (3).*

W niedzielę zapustną (14 lutego) obiad dla króla JM. i królowej pani; oraz dla księżny raciborskiej (4), księżny Ziemowitowej, ks. Ziemowita, ks. Bolka, ks. Zygmunta, ks. Siemiszka, p. marszałka, kasztelana krakowskiego z Chroberza (*de Chroberz*) (5), mistrza dworu, marszałka nadwornego, podskarbiego, kapelanów, pisarzy, podczaszego, krajczego, pana Zbysława, p. Wołczka, p. Piotra, gości saskich, i innych Sasów, księcia Hurka (*Duci Hurkoni*) (6) z ks. Romanem, ks.

(1) Ks. Mitko będzleto może ks. Dymitr (syn Teodora, Lubartowicza) Sanguszko.

(2) Konrad III, albo IV, jeden z braci synów Konrada II, księcia na Oleśnicy. Konrad IV ożenił się później z Dorotą, córką księcia Janusza mazowieckiego.

(3) Księga nr. 14. Przed zapustami odbyło się w Krakowie wesele księżny Cymborki, siostrzenicy królewskiej, córki ks. Ziemowita mazowieckiego, z Ernestem księciem rakuskim; i pani ta została matką rodu cesarzów Habsburskich.

(4) Księżna raciborska, zapewne Helena Korybutówna, żona ks. Janusza raciborskiego na Opawie.

(5) Kasztelanem krakowskim był w roku Jan z Tęczyna.

(6) Ks. Hurko posadał dobra Kraśniczyn w ziemi chełmskiej, które w r. 1433 należały do synów jego, pod administracją wuja ich, księcia Sanguszki, jak świadczy dyplomata drukowany w *Turgeniewo historica Russicae Monumenta*. Ob. także list do Warneńczyka drukowany w nr. 65 Gazety Codzienniej z roku 1854.



Mitko z Daszkiem (*Duci Mytkoni cum Daschcone*) (1), Myszki (*Mysszconi*) z towarzyszymi i pisarzem ruskim, Grodnian, Smolan, Żmudzinów, (*Hrodnanom, Smollnanom, Semeytis*) sokolników, lutnistów (*cytharedis*), koniuszych Rusinów i chrześcian (*agazonibus Ruthenicalibus et Christianis*), psiarzów Rusinów, Chrościela, Alberta krajczego, Pietrasza obrocznego i t. d.

Za ryby zwane lipienie 9 skojców; za ryby zwane zlice (?) (*pro piscibus fundiculis zlice*) 8 skojców; za kruczmorekę dla ks. Siemistka czyli Alexandra; za soczewicę 2 skojee i t. d.

W piątek (przed niedzielą Reminiscere, 26 lutego). Hrabie mu Cylijskiemu (*Comiti de Cijlia*) (2), panu Mikłaszowi z Gary (*D. Gera miclász*) (3), panu kardynałowi (4) i t. d. ugoszczenie.

W niedzielę *Oculi* (6 marca) dla gości z Węgier tegoż dnia przybyłych, obiad drugi. W poniedziałek goście z Węgier odjechali przed obiadem.

We środę (9 marca) królowa pani z dworem swoim rano wyjechała na obiad do Sącza, po drodze (*equitando*) do Węgier (5). Tegoż dnia przybyli goście z Bessarabii (*de Bessarabi*) (6).

We czwartek (10 marca) król JM. do Węgier wyjechał. Goście z Bessarabii, z Grodnianami, i komornikami Sochaczewskim i Floryanem, pozostali w Sączu; obiad dla nich i dla Szirdela.

(1) Tego Daszka nazywają niżej rejestra księciem; będzie to zapewne Dautel ks. Ostrogski.

(2) Brat albo krewny królowej Anny, drugłej żony Jagiełły.

(3) Mikołaj de Gara wojewoda (palatyn) węgierski.

(4) Kardynał *Branda-Castiglione*, poseł króla węgierskiego Zygmunta do Polski.

(5) Na zjazd z Zygmuntem królem węgierskim w Lubowli, na Spiżu, na którym 15 marca obaj królowie zawarli przymierze wieczystej przyjaźni, i traktat o Ruś, Podole i Wołoszczyznę. Oryginał tego traktatu, na pergaminie z 38 pieczęciami wiszącymi dotąd (oprócz 12 odpadłych, przechowany jest w cesarskim archiwum w Wiedniu, gdzie oglądałem go w grudniu 1851 roku. Pomędzy świadkami cytowani są *Semoithus Senior, Boleslaus Mazovie, Sigismundus Novogrodensis dei gracia dux* i t. d.

(6) Bessarabia należała do księstwa wołoskiego.

W niedzielę *Judica* (20 marca) Dobrogost komornik z sokolnikami pojechał z Nowego-Miasta do Węgier za królem.

We czwartek (24 marca) po obiedzie Grodnianie wyjechali, ale goście z Bessarabii z innymi do Wielkiego Czwartku pozostali oczekując na królowę.

W Wielki Czwartek (31 marca) królowa pani przybyła z Węgier do Sącza na obiad, a po obiedzie Bessarabowie odjechali; komornicy i inni studzy królewscy na obiad chodzili do pana Gronostaja.

W Wielki Piątek (1 kwietnia) na obiad dla królowej pani, przybyłej z Węgier, i dla księżny raciborskiej, za olej do placków, 7 skojeów; za mak do placków 2 skojece; za 2 achtele piwa, 16 skojeów; za wino 13 skojeów.

W niedzielę, w uroczystość Wielkanocną (3 kwietnia) za groch i jagły, 5 skojeów; za kapustę surową (*pro caulibus crudis*) 3 skojece; za kapustę młodą, *odroslij*, 2 skojece; za 12 prosiąt 12 skojeów; za 4 sery młode 3 skojece; za 900 jaj 15 skojeów.

W poniedziałek (4 kwietnia) po obiedzie, królowa pani wyjechała do Lipnicy.

*Następują porządki wielkiej stacyi w Sączu, gdy król JM. i królowa pani tu przydłużej zabawili, jadąc do Węgier.*

Za 407 miarek i 2 korczyki mąki pszennej, po 4 skojece, czyni 67 grzywien, 22 skojece, 1 grosz i 12 denarów.

Za 1,300 miarek owsa po 2 skojece, czyni 108 grzywien, i 8 skojeów; za siano, 75 grzywien, 10 skojeów i 1 grosz.

Dwa naczynia zwane dzieże (*dzesze*); za tarcice (*tharczicze*) do robienia stołów; za 6 kóp zwanych *assarum*) *uszczankij*) 1 grzywnę i 1 grosz.

Stanisławowi woziwodzie (*vectori aque*) 20 skojeów. Kokotkowi (*Kocothconi*) za łososie żywe 2 grzywny i 1 grosz. P. Wierukowi (*D. Verucconi*) za ryby kupione, 60 grzywien, ale mu zapłacono tylko 20. Władysławowi z Koszyc za 8 baryłek węgierskich ryb, 65 grzywien; za 4 sztuki sukna swidnickiego, po 4 grzywny sztuka, dla Wołczka, Polezajka, Dymitra, Hejrosza, Holeniszczu, Częstopiana (*Czenstopijan*), i innych sokolników, w liczbie 15tu, wraz dla Benka podkoniuszego przy koniach królewskich.



(1) W niedzielę w dzień ś. Stanisława (8 maja) Rumbold (*Rumpoldus*) marszałek księcia Witolda, przybył na noc z Łapą.

W niedzielę po Podwyższeniu Św. Krzyża (18 września) królowna JM. młoda (2) przybyła na noc do Nowego-Miasta.

Tegoż czasu przybył rotmistrz p. Jaśko. W sobotę w dzień św. Jadwigi (15 października) książę Iwan (*Dux Hywan*) przybył z Krakowa do Nowego-Miasta na noc.

We środę nazajutrz po św. Łucyi (14 grudnia) ks. Zygmunt po obiedzie wyjechał na noc do Przymankowa.

Następuje stacya księżny Ziemowitowej w Wiślicy, w niedzielę pierwszą po św. Elżbiecie (20 listopada), na obiedzie; która pojechała potem (*equitavit*) do Niepołomic, do króla JM., gdyż podówczas książę Cieszyński (*dux Thessyensis*) z córką jej ożenił się.

#### R. 1412 (3).

Następuje stacya króla JM. z królową panią w piątek w dzień św. Katarzyny, (25 listopada), w Wiślicy; z księżną Ziemowitową, ks. Bolkiem, ks. Zygmuntem i t. d.

Rejestr w którym jest stacya królowej pani gdy z góry św. Krzyża przybyła do Wiślicy we wtorek po św. Magdalenie (26 lipca) 1412, za prokuratoryi wielebnego pana Gronostaja, kantora sandomierskiego.

Rejestr stacyi króla JM. i królowej pani. gdy przybyli do Wiślicy w sobotę w oktawie Wniebowzięcia (27 sierp.) 1412 r. za prokuratoryi pana Gronostaja kantora sandomierskiego w Nowém-Mieście.

Obiad dla króla JM. i królowej pani, oraz książąt Siemiszka i Zygmunta, kanclerza (4), podskarbiego Medyolańskiego, kapelanów i pisarzów; tudzież dla p. Wołczka, krajczego, mistrza dworu, dla Sasów, Austryaków (*Saxonibus, Australibus*) ks. Michała, ks. Hurka z Romanem, ks. Mitka.

(1) Znowu księga nr. 13 wydatków w Nowém-Mieście i Wiślicy.

(2) Córka Jagiełły z Anny Cylijskiej, Jadwiza, urodzona 8 kwietnia 1408 r.

(3) Zapewne Bolesław ks. cieszyński, który miał za sobą Annę córkę ks. Ziemowita mazowieckiego i Alexandry siostry Jagiełły; gdyż siostra tej Anny Ofka, wyszła za Wacława ks. cieszyńskiego, brata Bolesławowego dopióro w r. 1426.

(4) Według Niesieckiego kanclerzem był w r. 1412 Wojciech Jastrzębiec biskup krakowski.

Dla gości z Francyi (*Hospitibus de Francia*), za ryby 6 skojców; za masło ser i jaja 3 skojce; za pół achtela piwa 4 skojce (1). Dla Jana z Gallicyi (*Johanni de Gallicio*) (2), Tomasz ze Sławonii (*Thomede Słowani*), ks. Iwana włodzimirskiego (*Duci Hywo Włodzimiriensi*) (3), Czechów, sługom Mężyka (4), podczaszemu, Rumbolda marszałkowi ks. Witolda.

W niedzielę (28 sierpnia), dla podkanclerzego Donina (*Vice cancellario Donijn*) (5). Dla Jana z Francyi (*Johanni de Francia*) za ćwierć mięsa, 3 skojce; za 5 kurcząt, 2 skojce; za barana bez skóry, 3 skojce; za półachtela piwa, 4 skojce. Dla ks. Iwana włodzimierskiego, dla gości ze Sławonii, dla ks. Daszka i t. d.

We środę po św. Bartłomieju, (31 sierpnia) król JM. pojechał do Stobnicy na obiad; ale królowa pani pozostała jeszcze na cały dzień; a nazajutrz (1 września) wyjechała na obiad do Pacanowa.

#### Rok 1413.

Następuje stacya króla JM. z królową panią, gdy przybyli do Nowego-Miasta w sobotę przed niedzielą *Reminiscere* (2ga W. postu, 18 marca) za prokuratoryi p. Gronostaja r. 1413.

Obiad dla króla JM. i królowej Pani oraz dla księżąt Zygmunta, Romana, Feduszka (*duci Feduschoni*), (6) podkanclerzego Donina, marszałka nadwornego, podskarbięgo i t. d.

We środę (22 marca) król JM. i królowa JM. pojechali do Przymankowa na obiad.

(1) We Francyi panował podówczas słaby na nmyśle Karol VI, a stronictwa orleańskie i burgundzkie rozdzielały państwo. Niewiadomo które z nich utrzymywało stosunki z królem polskim.

(2) Jan z Gallicyi, zapewne zamiast z Gallii czyli z Francyi, jak niżej.

(3) Zapewnie z rodu Lubartowiczów.

(4) Jan Mężyk z Dąbrowy, komornik królewski, już pod r. 1394 wspomniany; nieodstępny mu był podczas bitwy grunwaldzkiej; później różne poselstwa sprawował, nareszcie wojewodą ruskim został.

(5) Donin t. j. Dunin ze Skrzywna, Piotr, dziekan krakowski, z rodziny odnoszącej swój początek do Piotra, wielkiego hrabiego na Skrzywnie, towarzysza broni Bolesława Krzywoustego, fundatora tylu kościołów.

(6) Feduszko czyli Teodor, może ksiązę Ostrogski, synu księcia Daniela, czyli Daszka.



Następuje stacya króla JM. i królowej pani, gdy przybyli do Wislicy w poniedziałek, w wigilią Wniebowzięcia N. Panny (14 sierpnia) r. 1413.

Obiad dla służby króla JM., dla królowej pani, dla książąt Zygmunta, Hurka, z Mitkiem, i Feduszka; dla marszałka, podkanclerzego Donina, podskarbiego króla JM. Jaśka, podskarbiego królowej pani; dla p. Mężyka, Czechów, kapelanów i pisarzów, kapelana Tomasza z Rakusz (*Thomassio de Racussij*), doktora Janusza, gości z Francyi, mistrza dworu królowej; mistrza dworu młodej królowej, p. Wolczka, krajczego z p. Henrykiem; dla posłów z Bosnii (*nuncijs de Bosna*) (1); dla sokolników wszystkich, p. Zamby (*D. Zambe*) oraz łowczych, lutnistów, flecistów, przekupniów (*mangonibus*), Grodnian, Smolan, piekarzów, i innych Rusinów.

W niedzielę w oktawę Wniebowzięcia (20 sierpnia) ugoszczenie dla ks. cieszyńskiego, dla gości z Rakusz, Grodnian, Smolan, Kijowianów (*Hrodnanom, Smolanom, Kijanom*) piekarzów i innych Rusinów. W piątek, nazajutrz po św. Bartłomieju (25 sierpnia) król JM. pojechał do Radłowa na łowy, a część dworu swojego zostawił. W sobotę (26 sierpnia), król JM. z Radłowa powrócił na wieczerzę.

W niedzielę (27 sierpnia) obiad dla króla; a wszystkie potrzeby dostarczano z Opatowa tak dla króla JM. jak dla królowej pani, i na wszystkie dyety.

W poniedziałek (27 sierpnia) król JM. objadał w Wielkém Piasku (*in Magno Pijassek*) na łowach, ale wszystkie potrzeby dostarczano z zamku.

We środę (30 sierpnia) król JM. z królową panią bardzo rano wyjechali na Ruś (2) (*recesserunt summo mane ad partes Russie*).

---

Konnotuje się, co dostarczyły folwarki, z których najdogodniej było, a mianowicie: chleb pszenny, chleb biały, groch, jagły,

(1) Podczas przeszłorocznej bytności swojej w Węgrzech, Jagiełło poznał się był z królem, t. j. banem Bośni, Twartklem II, i jego małżonką, i zawarł z nimi stosunki przyjaźni.

(2) Do Horodła nad Bugiem, gdzie w jestni tegoż roku odbył się sławny sejm unii Litwy z koroną. Przywilej horodelski dotowany jest 2 października r. 1413.

siemię konopne, mak, kapusta, cebula, pietruszka, rzodkiew, melony (*melones*), ogórki, mąka biała i pszenna do piekarni, lój, świece, owies, siano, trawa (*gramina*), słoma (*stramina*).

#### Rok 1414.

Następuje stacya królowej pani gdy przybyła do Wiślicy w piątek nazajutrz po Wszystkich Świętych (2 listopada r. 1414. W sobotę (3 listopada) królowa pani wyjechała na obiad do Skotników.

Następuje stacya królowej pani, gdy przybyła do Przymankowa w sobotę w wigilią św. Katarzyny (24 listopada) na obiad, a król JM. na noc, za prokuratoryi p. Gronostaja.

Obiad dla królowej pani, oraz dla mistrza dworu, marszałka króla JM. podkanclerzego, ks. Zygmunta, ks. Siemiszka, ks. Mitka z Romanem, p. Zdakowskiego (*D. Sdacowskij*), Mężyka, p. Henryka, Wacława starosty bieckiego (*Wacławo capitaneó Byeczziensí*), podskarbiego króla JM. księdza, doktora, pisarza, p. Dobrzyńskiego (*D. Dobrzynskij*), Magiera krajczego (*Mageroni incisori*), Daszka, p. Sampeńskiego (*D. Sampeńskij*) (1) Czechów, puszkarzy i t. d.

W niedzielę pierwszą po św. Łucyi (16 grudnia) królowa pani przybyła na wieczerzę do Wiślicy z Wielkiego Opatowa od króla JM.

We wtorek (18 grudnia) królowa pani pojechała konno (*equitavit*) z Wiślicy do Podolan, i tam przekąsiła cokolwiek (*fecit ibi prelibacionem*), a potrzeb wszystkich dostarczał p. Gronostaj.

W poniedziałek po św. Andrzeju (3 grudnia) pan Zygmunt przybył do Nowego-Miasta na obiad; we środę (5 grudnia) przybył na obiad do Przymankowa. We czwartek w wigilią św. Tomasza (20 grudnia) mistrz Hieronim (*Mr. Jeronimus*) przybył na obiad z listem królewskim wraz z Łappą (2).

(1) Mikołaj Sęplński, (także Szepenski, Sompeński, Sopiński zwany) posłował kilkakrotnie od ks. Witolda.

(2) Może ten Hieronim z Pragi (nie uczeń Hussa), który nawracał Litwinów na wiarę chrześcijańską, i dla przelamania przesądów pogańskich, własną ręką gaje bogom poświęcone ścinał. Ale tém wielu przeciwko sobie podburzył, do tego stopnia, że ks. Witold uznał potrze-



Stacya króla JM. i królowej pani gdy przybyli w niedzielę *Reminiscere* (2ga W. postu 4 marca), na noc do Nowego-Miasta r. 1414.

Wieczera dla króla JM., królowej pani i młodej królowej; oraz dla książy Mitka z Romanem, marszałka, podkanclerzego Domina, podskarbiego króla JM., podskarbiego królowej i t. d.

Dla Czarnego Zawiszy (*Nigro Zawisze*) za ryby świeże, 6 skojców; za olej 2 skojce, za ahtel piwa 7 skojców (1).

Dla Stanisława, Jawora i Benasza Czechów, Budziszewskiego (*Budzyszowskemu*), Mężyka, Janusza, doktora mistrza Jakóba, mistrza Stefana, krajczego Miedziedzkiego (*incisor Medzvezskij*), P. Henrykowi, p. Wołczkowi, Jurdze Rakuszanie, Francuzom (*Franczussom*), p. Rydzkowi, Włostawowi węgrynowi; dla 76ciu Rusinów, tojest łowczych, przekupniów, bębennistów, Grodnian i Smolan, piekarzy, których spis jest osobny (2); dla Andrzeja Węgrzyna, Władysława Węgrzyna, podskarbiemu Lubańskiemu (*Lubańskij*). We środę (7 marca) król JM. na obiad pojechał do Przymankowa.

### Rok 1415.

Stacya króla JM. i królowej pani gdy przybyli do Nowego-Miasta na noc we środę po niedzieli *Reminiscere* (27 lutego) roku 1415.

Tegoż dnia król JM. z królową panią obiad jedli w Połańcu; ale wszystkie dyety dawano w Nowém-Mieście, mianowicie:

Zbigniewowi, marszałkowi, wicemarszałkowi Grochockiemu (*Grochothskij*), księżętom Zygmunutowi, Alexandrowi, synowi

bném oddać go z Litwy. Będąc na soborze bazylejskim, Hieronim ten opowiadał wiele szczegółów o Litwie Eneaszowi Sylwiuszowi (późniejszemu Piusowi II papieżowi); a ten je w dziele swoim o Polsce i Litwie wydrukował.

(1) Byłto Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima, i z dzieł rycerskich, i jako mąż stanu sławny.

(2) Oto niektóre nazwiska z tego spisu: Dasz, Michał Niemrowicz, Miszko diak, Liszka, Drohobisz z Kaszyną, dwaj Swatkowie, Wołodko, Bataban, Maszko diak, Maszko Stauliszowicz, Straskowicz, Trumpan, Żmudzta, Chotek, Zeryto, Alexander, Szesztrzys, Huba, Szetyło, Ryzek, Zedwid.

Ziemowita, Konradowi (1) Bernardowi, Romanowi; podkanclerzemu Doninowi, podskarbiemu Medyolańskiemu, p. Mężykowi, p. Henrykowi z Rogowa, Daszkowi z Miszkiem, sędziemu sandomierskiemu; kapelanom, pisarzom, doktorowi, dwom mnichom zakonu kaznodziejskiego, Piotrowi dyeciście (*dijariste*); gościom z Francji, kanclerzowi, dyakowi, Maciejowi Rusinowi, Gerdonowi z przekupniami, psiarzom, Grodnianom, sokolnikom, Kiwale, fleciście; dwom bębennistom, łąziebnikowi, puszkarzowi.

W sobotę (2 marca) wszelkie potrzeby czyli dyety dla króla JM., królowej pani, księżąt i całego dworu dawano z Opatowca.

Królowa Pani przybyła na obiad do Wiślicy, a król JM. na wieczerzę, w niedzielę w oktawie Wniebowzięcia (19 sierpnia) r. 1415. Byli też księżęta Alexander, Zygmunt, Roman z Hurkiem. marszałek, podkanclerzy p. Chodko, księżę Jurga (2) Medyolański podskarbi, p. Henryk z Rogowa, Magier krajczy, Kostka Czech. Floryan podczaszy p. Mężyk; Koziel (*Cozel*) i inni posłowie księcia Witolda! Bawiono do 2 września.

Stacya króla JM. i królowej pani gdy przybyli do Przymankowa w niedzielę w wigilią św. Katarzyny (24 listopada) r. 1415. Byli też z nimi księżęta Zygmunt i Roman z Mitkiem, księżę Żegański (*Zagansky*) (3), wice marszałek Grochocki, podkanclerzy Donin, mnich prowincjał, p. Zbiszek (4) z księdzem Zbislawem, Waclaw starosta biecki, p. Scibor, Floryan podczaszy i wiele Rusinów, jakto; Brindza, Waško, Skoruticz, Przeszdybloto, oraz lutniści, Moskwa, Andrejko, Szudicz, Chodko, Steczko. Lukijan, Podolan, Katoka.

(1) Zapewne księżę oleśnicki już wspomniany jako gość królewski pod rokiem 1411tym.

(2) Ks. Jurga czyli Jerzy zapewne smoleński, szwagier księcia Witolda.

(3) Ks. Żegański Jan, synowiec Jadwigi, czwartej żony Kazimierza Wielkiego, z której córka Anna hrabina Cylejska, była matką królowej Anny Jagiellowej.

(4) Zbiszek t. j. Zbigniew z Oleśnicy, późniejszy biskup krakowski i kardynał.



## Rok 1416.

Stacya króla JM. gdy przybył do Wislicy w piątek, w wigilią Wniebowzięcia (14 sierpnia) r. 1416, za prokuratoryi p. Gronostaja kantora sandomierskiego (1).

Byli też książę Zygmunt meklemburski z synem (*Ducei Machemborski cum filio*) (2), Hurko, Mitko z Romanem, Alexander mazowiecki; marszałek, wice-marszałek, podkanclerzy, Scibor Czech, Henryk z Rogowa, Gutger poseł z Litwy, prowincyał i doktor, kapelan i pisarz, Zbizek protonotaryusz, Rumbold poseł z Litwy, Jakób Francuz (*Jacobo gallico*), Szepieński (3) poseł księcia Witolda.

We wtorek (25 sierpnia) król JM. obiadował we wsi Miernowie; a po obiedzie pojechał na noc do Skalmierza, i tam wszystkie dyety oddawano.

We środę (26 sierpnia) król JM. obiadował we wsi Zagorzyce, ale po obiedzie wyjechał do Przymankowa na noc, i tam wszystkie dyety oddawano.

We czwartek (27 sierpnia) obiad króla JM. w Przyman-kowie; po obiedzie pojechał na noc do Opatowca, i tam wszystko oddawano. Przybył książę Jerzy.

W piątek (28 sierpnia), król JM. przybył do Nowego-Miasta na obiad, i tu wszystkie dyety oddawano.

## Rok 1417.

Stacya króla JM. w Nowém-Mieście w sobotę, w wigilią niedzieli *Oculi* (3ciój W. postu, 13 marca) r. 1417, za prokuratoryi p. Gronostaja kantora sandomierskiego; byli też książęta: Ziemowit i Siemiszko, Wilhelm Grabicz (*Vylhelmo Grabicz*) (4), ks. Mikołaj opawski (5), ks. Bolko, podkanclerzy, Medyolański ze skarbnemi (*cum thesauranis*); Maciej Czech,

(1) Królowa Anna Jagiełłowa umarła była 12 maja tego roku, w Krakowie.

(2) Zapewne Jan II i syn jego Henryk Tłusty (Pinguis), książęta meklemburscy.

(3) Sęplński.

(4) Zdaje się, że powinno być Grabla, t. j. Wilhelm brabia Hollandyi, o którym niżej.

(5) Mikołaj ks. szlązki na Opawie (Troppan).

p. Zbigniew protonotaryusz (*D. Sbygneo prothonotario*), pan Henryk z Rogowa, p. Włodko gość z Wołoszczyzny (*D. Włodconi de Valachia hospiti*), ks. Roman, ks. Wasyl (*Duci Waszyloni*) (1), doktor, prowincyał, mistrz Jakób, p. Włodek, Dederko, Sokolnik, Falkowski, p. Konrad, p. Włoczek, Mrzygłodzki oprawca (*Mrzyglockij oprawca*).

We wtorek (16 marca) wszystkie dyety sam p. marszałek rozdawał, wzięwszy pieniądze ze skarbu króla JM. Przybyli: książę Miktaśz opawski, pan Maciej Czech, hrabia Holandyi (*Grabij de Holunia Comiti de Holonia*) (2).

We środę (17 marca) król JM. wyjechał do Przymankowa na obiad, i tam wszystkie dyety oddawano. Ale pozostali skarbnicy, a z nimi łowczowie, Grodnianie i inni sokolnicy.

Tegoż dnia Dąbrowa (*Dambrowa*), poseł ks. Zygmunta, przyjechał z Litwy z jastrzębiami (*cum accipitris*).

Tejże środy w Przymankowie dyety dawano księciu Miktaśzowi opawskiemu, hrabi z Holandyi, Maciejowi Czechowi, Gerdowi i wszystkim przekupniom i podkoniuszym.

KONIEC (3).

(1) Ks. Wasyl, niewiadomo który.

(2) Wilhelm hrabia Holandyi, zięć Filipa Śmiałego księcia Burgundyi, umarł tegoż roku 1417.

(3) Dodatki zawierające dyaryusz podróży króla i królowej (1388—1417), zebranie dworu Władysława Jagiełły, objaśnienia o ubiorach, uzbrojeniu, kuchni, zapasach i sprzętach domowych w wieku XIV w Polsce, z tychże rejestrów powyciągane i systematycznie ułożone, oraz Słowniczek wyrazów polskich z pisownią wieku XIV, dodrukowane do samych rejestrów, stanowić będą osobną ksiązkę, która nie bez pożytku może być dla badaczy dziejów naszych.



## KRONIKA LITERACKA.

*Przegląd literatury ludów wschodnich, poezyi greckiej, średniowiecznej, polskiej XVI i XIX wieku. Odczyty publiczne Dra Karola Mecherzyńskiego z miesiąca maja i czerwca 1850 r. Kraków 1851 r.*

„Od niejakiego czasu, pisze p. Lucyan Siemieński w przedwstępie do przekładu perskiej epepei: Szach Nameh (1), wzięto się u nas naprawdę do przenoszenia na język ojczysty najwyborniejszych utworów starożytnych i średnio-wiekowych, a wzięto z większym nierównie talentem, znajomością i ocenieniem rzeczy, niż dawniej“. Ani słowom tym, ani zasłudze naszych tłumaczy, żaden, zda mi się, z miłośników piśmiennictwa ojczystego nie zaprzeczy. Lecz kiedy z jednej strony, przy pomocy dobrych przekładów, obznajmiamy się pojedynczo coraz więcej i więcej z arcywzorami rozmaitych narodów: to z drugiej, konieczna dla ogółu wynika potrzeba takiego dzieła, któreby o ile można całkowite i zupełne mogło dać wyobrażenie o tej rozległej dziedzinie literatury narodów, której wpływ rozciągał się na całe wieki. W samą porę ukazały się zatem na widok publiczny wymienione na wstępie z tytułu odczyty p. Mecherzyńskiego.

Jestto pierwsza podobna w naszym języku praca arcy-pożyteczna, a poprzedzająca, według oświadczenia samego autora, przygotowująca się przezeń dzieło większych rozmiarów: *Historią literatury powszechną z szczególnym względem na polską.*

Kiedy wypadnie czynić rzecz o wielkiej umysłowej widowni narodów, toć należy nasamprzód w ogólnym poglądzie przedstawić, iluto odmianami płyną społeczne dzieje, grają żądze, wrzą żywioły, jak „w walce ustawnych przerodzin świata i wirującej ciągłym ruchem rzeczywistości, snuje samoczynne siły duch, twórca życia, i dokonywa niewidomie swoje dzieło“. Nadobnym stylem objaśnia nasamprzód autor czytelnikowi znaczenie literatury w ogólności; słusznie wykazu-

(1) Bibl. Wars. z r. 1858. T. III, str. 393.

jąc, że wszelka umiejętność i sztuka, powinna być owocem życia. „Wszystko się z życia rodzi, życiem krzewi i życiu służy. To jest najwyższa zasada uprawy społecznej; z tej zasady wychodzi pojęcie ogólno-umiejności, sztuk i wszelkiej umysłowej oświaty“. Z niej więc wysnuwa autor dalsze pasmo dowodów, a po wytłumaczeniu co jest naród, ilorako się w nim objawia życie, jak umysłowość rozmaitych czasów i ludów zlewa się i łączy z sobą, jakie wreszcie koleje przechodziły same dzieje literatury ludów, co dlań uczynili: Bako Werulamski, Vico, Herder, Szległowie, Szelling, Wachler, Buterweck i inni, przystępuje następnie do wyłożenia literatury ludów wschodnich.

Przedmiot to nader ciekawy, a u nas mało znany: od niewiele bowiem dopiero lat poczęli nasi uczeni zwracać się ku Wschodowi, jako najdawniejszemu siedlisku społeczeństw ludzkich i porównywać pierwotne zawiązki religijnej i umysłowej jego uprawy z mitologią i literaturą ludową słowiańską. Spotykamy tu rys piśmiennictwa Indów, Egipcyan, Persów, Arabów, Chińczyków i Hebreów, poprzedzony ogólną charakterystyką religii, oraz życia publicznego i intelektualnego tych narodów. W rozbiórce naszym szczegółowszą ma tę część odczytów zwrócimy uwagę, wymieniając z treści cenniejsze utwory Indów, Persów i t. d.; dodając pod odsyłaczami, gdzie się to tylko dało, wiadomość kiedy jakie dzieło, tego lub owego autora, wydaném było w przekładzie, a przez to dla nieznających narzeczy oryentalnych uprzyjętnioném zostało. Tuszymy sobie, że się szanowny professor bynajmniej na nas za takie rozmaite dodatki gniewać nie będzie: Lém więcęć bowiem dowodzimy przez to, ile nas obchodzi przedmiot, któremu on swoim wykładem tyle dodał powabu.

### *Literatura indyjska.*

Ukazuje się ona naprzód jako religijna, w obejmujących ją księgach świętych. Później w miarę rozwijających się coraz więcęć stosunków życia, występuje w dziejopisarstwie pokoleń indyjskich, w naukach przyrodzonych i w poezyi, która nawzajem łączy się z mitologią. Zbieramy tu pod osobne ustępy ważniejsze utwory tej literatury.

*Księgi Weda.* Dawno już świadczyły o tém podania, że w Indyi są księgi święte, zawierające całą treść nauki braminów; lecz napisane w dyalekcie od kilkuset lat zapomnianym, pozostały one długo całkiem niezbadane. Anglik Kolborn pierwszy dopiero zapoznał z niemi świat uczony, a poszukiwania jego dopełniali Rot i Weber.

Księgi *Weda* tak wielkie w Indyanach wzbudzały poszanowanie, że wolno je było czytać najwyższej tylko kasty; sama ich nazwa zna-czyła naukę wyższą.

W prawach Manu, które Anglik William Jones pierwszy dał poznać Europie, napisano: „Modlitwy w Rig Jadzusie i innych rozdziałach Sama Wedy, stanowią troistą Wedę; kto ją zna, zna całą historią świętą Indyj“. Lecz później wyraz *Weda* zmienił swoje znaczenie;



szczególne bowiem księgi, jak: Atarwan, Magabarata, Purany, a nawet Siwatantra, tém mianem przezwane zostały. Księgi Weda bardzo są ważne dla poznania historii literatury i wykształcenia Indostanu; malują one panteizm téj okolicy z całą jego przesadą i metafizyką; wyziera z nich tajemna przyczyna owego dziwnego kierunku, który od stoickiego spotęgowania doszedł do zupełnej obojętności dobrego i złego.

*Rig-Weda* (1) pozostała zbiorem lirycznych hymnów. Starożytność jej niepomału posługuje ku jej zrozumieniu. Hymny te, jako téż i niektóre pieśni, początkowo miały być bogów utworem. To jedyna księga Indyan, która nie uległa dodatkom i odmianom, jakie skazyły inne księgi Wedy.

Z *Rig-Wedą* łączy się drugie, równie ważne zadanie: zbadanie filologiczne języka sanskryckiego, który w tak blizkiem zostaje pokrewieństwie ze wszystkimi europejskimi dyalektami. Pokrewieństwo to nie jest już urojeniem uczonych, ale jasnym i niezbitym faktem. Dawne księgi Indyan blizkie epoki przesiedlenia się narodów, które później zamieszkały Europę, rzucają wielkie światło na język i mitologią tych narodów, wykazując zarazem przez to ich pierwotne pochodzenie. Aczkolwiek postęp naszej oświaty dawno już zagładził wszystkie prawie cechy pierwotnego pochodzenia ludów europejskich, mimo to jednak w piśmienniczych zabytkach Indyj możemy jeszcze wynaleźć niektóre żywioły umysłowego życia naszych prapraojców.

Chcąc poznać księgi Weda, trzeba nasamprzód wyjaśnić ważne pytanie: w jakim się one pojawiły czasie. Metafizyczne i religijne pojęcia Indyan, obojętne na wszelką matematyczną ścisłość, niestychanie zagmatwały tę całą kwestyą. Są pewne wydarzenia historyczne, pozostające bez przyczyn i skutków, jako zagadkowe pytania; i dlatego epokę spisania ksiąg Weda, można przypuszczalnym jedynie naznaczyć sposobem.

Jeśli można wierzyć kronice, zamieszczonej w rękopismach *Rig-Wedy*, to księga ta napisana została na 1400 lat przed Chrystusem. W każdym razie odległych bardzo sięga ona czasów. Grammatyk Panini, żyjący na 350 lat przed Chrystusem, wspomina o objaśniaczu *Wed* indyjskich *Jaski*, który nie na wiele lat przed nim pozostawił traktat o języku sanskryckim ksiąg Weda.

Drugim dowodem starożytności Wedy jest to, że prawa *Manu* w wielu miejscach przepisują nieledwie dosłownie całe z niéj ustępy, a dawniejsze są od *Ramajany*; albowiem w prawach tych nie ma wcale mowy ani o *Ramie*, ani o żadnej przemianie *Wisznu*. Sam nawet język ksiąg Weda zdradza w układzie swoim czasy bardzo odległe: grammatyka jego nie ma jeszcze pełności i systematyczności, uwydatniającej się w języku epoki późniejszej; słownik przechował mnóstwo pierwiastkowych wyrazów, które znikły z piśmiennego języka sanskryckiego i natrafiają się tylko w *Zendskim*, który acz bliźniący z nim prawie w pochodzeniu, gubi się atoli w zamierzolnej starożytności.

(1) Revue Contemporaine.

Nawet w nowszych hymnach nie ma wzmianki o braminizmie, który będąc nazwany buddyzmem, nie wprzód jak w VIym wieku przed Chrystusem początek swój bierze. Miarkując po oporze, jakiego doznać musiała na Wschodzie ta nowa nauka, niemilosiernie niweczająca lepsze nadzieje człowieka i odrzucająca zasługę cnoty, nie dziwnego, że siedmiu czy ośmiu aż potrzebowała wieków, zanim się ostatecznie rozkrzewiła w Indostanie.

Rig-Weda jestto zbiór hymnów (Sanhita); oprócz przedmiotów religijnych, są w niej pieśni o żabach (mandousach), o grze w szachy, o wodach i napoju alkoholycznym, *soma* zwanym.

Trudno wiedzieć, czy Rig-Weda została napisaną odrazu w pewnym czasie, czy też jest tylko zbiorem poematów rozmaitych epok. To ostatnie przypuszczenie zdaje się być prawdziwem. W Rig-Wedzie jest nawet wzmianka o życiu koczowniczem pasterskiego narodu. W poemacie tym zanoszą prośby do Pouzana (słońca żywiciela), aby przywiódł naród na żyzne pastwiska, a boga Somu porównywał z wojownikiem idącym na zdobycie krów.

Patryarchalne obyczaje, których już nie ma ani śladu w Ramujanie, w Rig-Wedzie przyoblekają jeszcze głowę rodziny w nieograniczoną władzę, którą nauka braminów zwała. Z utworu tego widać, że po śmierci głowy rodziny nie rozpierchała się ona, lecz jakby jaki klan szkocki pod jednym zostawała zwierzchnictwem.

Z dalszego ciągu okazuje się, że po życiu pastuszem, nastąpiło rolnicze. Indyanie uprawiali ziemię bykami, zbiór z pola zwozili do domów na wozach, młócili i przesiewali żyto, uprawiali także ryż. W ogóle sztukę rolnictwa przyznawali bogom. Kwitnął tam także i przemysł; przedzono len i wełnę, przerabiano kruszce, robiono stal, siekiery, kotły, okuwano koła; mowa tam o okrętach wiozących skarby świata, o cyrulikach, o poborach podatków, nawet o ruszających się lalkach. Pozostały nawet ślady apoteozy: As-finy byłito książęta, którym oddawano cześć boską za to, iż nauczyli ludzi rolnictwa. „Tak (opiewa poemat). wy za czyny wasze staliście się *diwami* i wzięci jesteście do nieba. Dzieci Sud-Hanwana, dzieci sity, zlećcie na nas łaski wasze, wy, coście osiągli nieśmiertelność“.

Z hymnów można także poznać i obrzędy pogrzebowe przy paleniu ciał; śpiewano bowiem: „niechaj płomień spali ciało jego; niechaj go uniesie w lepszy świat. *Agni* (albo Ogniu, bóg ognia ziemskiego) i Soma niech mą w tój towarzyszą pielgrzymce“.

O metafizycznem bóstwie *Trimurti* i o przejawieniu się jego w *Awatarach*, nie ma jeszcze ani słowa w Rig-Wedzie. Nie ma nawet pieśni na cześć Lingama i Lotosa, tylekroć pojawiających się w późniejszej mitologii indyjskiej. Mniemanie o przesiedlaniu się dusz, które Pitagoras wziął od Indyan, powstało widać daleko później niż Rig-Weda. Prawo Manu wspomina już o tój nauce. Powiedziano tam: „Jeżeli Dwudza zniestawia zwierzchnika swego, to będzie po śmierci osłem; jeśli nań rzuca potwarze, przemieni się w psa; jeżeli komu mienie odbiera, stanie się gadem, a jeżeli komu zazdrości, robakiem“.



W Rig-Wedzie jest jeszcze mowa o ubitych ptakach i zjedzonych psach; snadź nie myślano wtenczas o przemianie dusz. Zrzadka nawet i w sposób zagadkowy jest tam wzmianka o kastach, tak dalece, iż wątpić należy o rzeczywistém naówczas znaczeniu wyrażenia, odnoszącego się do tego społecznego podziału.

W ogóle w Rig-Wedzie mitologia stanowi dopiero początek; osoby i pojęcia często tam razem pomieszane. I tak np. Soma był to spirytusowy napój, burzący krew i drażniący siły żywotne, a później nazwę tę dano księżycowi jako bóstwu. Istoty najwyższego rzędu zwały się u Indów *Divy*, to jest świetne. Grecy przerobili to w *teos*, Rzymianie w *divus deus*, Gotowie w *Tius*. Lecz i z Rig-Wedy okazuje się, że nazwa ta początkowo nadawaną była kapłanom, których zaczęto później ubóstwiać za to, iż przechowywali u siebie ogień.

W Rig-Wedzie trzy są główne bóstwa: Agni, Waju (albo Indra) i Sourya; lecz nad niemi jest jeszcze wyższe bóstwo; mędry nazywają je w rozliczny sposób: Agni, Jama, Matarysuan. Agni początkowo czczono pod postacią ognia; lecz z czasem przyobleczo go w pewne kształty, nadając rozmaite postacie. „Kiedy się rodzisz, o Agni! jesteś *Waruna*; kiedy się rozplomieniasz, jesteś dzieckiem siły, a wszystkie bogi są w tobie; tyś Indra dla człowieka, który tobie służy, tyś jedyną duszą innych bogów”. Słońce również pod rozmaitemi czcili nazwiskami. Początkowo było ono *Aryamanem*, to jest rządcą gwiazd, mierznikiem czasu, i ządło sekta pod nazwiskiem Aryasów. Wyraz *Mitra* znaczył także słońce, jako darzące ciepłem żywotném; dodawano doń także wyraz *Waruna*. „O Mitra Waruna! ty wstajesz i schodzisz ku nam, tyś okiem całego świata; tyś strażnicą wszystkiego co obdarzone i nieobdarzone duszą. Ty słyszysz sprawiedliwego i złego”.

Wisnu stał się później także przedstawcą słońca; w trzech krokach obchodził ziemię całą.

Każde zaćmienie słońca przypisywane było złym duchom.

Często chmury sprawiały zaćmienie, i dlatego wiatrom rozpędzającym chmury niesiono także hołdy. Wiatr nazywał się naprzód Waju, potem przezywano go od strony z której dął.

Burzę nazwano Rudro.

O kosmogonii indyjskiej zachowały się w Rig-Wedzie ciekawe pieśni. W hymnie *Puruszie* jawia się bóstwo nie mające żadnego kształtu i zupełnie obce w mitologii. Księżyc (napisano tam) urodził się z serca jego, słońce z oczu, ogień i Indra z ust, wiatr z oddechu, powietrze z jego żołądka, niebo z głowy, ziemia z nóg.

W prawach Manu jest jeszcze wyraźniejszy opis tego kosmogenicznego bóstwa. „Bóstwo istniejące przez własną swą władzę, utworzyło naprzód wody i złożyło w nich nasienie, które się stało jajkiem, błyszczącym tysiącem promieni złocistych. Z jajka powstała istota najwyższa pod postacią Bramy, włodącego ród wszystkich istot żywych.”

W dawnych księgach Weda nie ma jeszcze ani kapłanów, ani świątyni.

Każdy naczelnik pokolenia z domownikami swemi sprawował religijne obrzędy. W późniejszych pieśniach znać już utworzenie teokracji. Są już kapłani. Nie było jeszcze kasta polityczna, lecz zawsze stowarzyszenie w którym dostojenstwo spadało z ojca na syna, bez względu na wiek i stopień wykształcenia.

Rzecz dziwna, że Indianie, którzy sobie później tyle natworzyli bogów, nie mieli praw państwa i rodziny. Wyobrażenie o złem i dobrem, o sprawiedliwości i niesprawiedliwości, zbrodni i cnocie było u nich względnem, pomieszaniem, prawie urojonem. Nauka Wed wiodła do filozoficznego odrzucenia człowieczeństwa. Nie było w tej nauce ani psychologii, ani początków moralnych; człowiek nie miał prawa myśleć cokolwiek o swęj osobistości; nie miał ani praw, ani obowiązków. Prawa Manu jedno tylko wkładają na braminów zobowiązanie: milczenie. Wszystko zasadało się na nieczynności.

Nauka Wed przez kilka wieków przeszła do braminów a od nich do drugich kast. Parsowie czcili słońce, lecz uosabiając w Ormuzdie i Arymanie walkę złego i dobrego, stworzyli dualizm. Ciemny Agidazaka po sanskrycku, Aszi-dagako po zendsku, stał się w Iranie Zogakiem-tyranem, a Trastana-Wedów, Traetaono Zendów, stał się u Parsów Ferydunem. Soma zmienia się w *Gom*; w ten sposób coraz bardziej zbliżając się do źródła, znikają różnice które wieki potworzyły.

W Grecyi znajdujemy także ślady sabeizmu. Uran odpowiada Warunowi; Jüpiter (Zeuspater) a podług Horacyusza Dięspiter, Diauszpitarowi; Merkury (Ermejas) to w Wedzie *Seramaja*, strażnik pół i posłannik bogów. *Karbura* pies bóstwa Jama, to grecki Kerber (Cerber); Cerera to indyjska *Sres-żniwo*. Wakh zupełnie indyjskiego pochodzenia, (Dionysos-dewaniszi). Dawna skandynawska mitologia widocznie także od indyjskiej pochodzi. Tam świat powstaje także z rozmaitych części ciała głównego bóstwa. I tam krowa karmiła Imera, a indyjski podział na kasty przeszedł do sag-skandynawskich. Bóstwo *Rif* (potężny) wydało naprzód Tremsa (niewolnika) z czarną twarzą i włosami, potem *karta* (człowieka wolnego) z rudemi włosami i kolorową twarzą, wreszcie *Jarta* (szlachetnego) z włosami jasnymi, różowemi policzkami i silnem spojrzeniem.

Chociaż Rig-Weda złożoną jest z hymnów i pieśni, nie ma w niej atoli prawdziwej poezji. Religia niweczająca osobistość człowieka, nie dająca mu żadnych pociech za nędzę tego żywota; nie może wzbudzać poetycznych myśli. W tego rodzaju pieśniach niema co szukać piękności literackich, a Rig-Weda zasługuje jedynie na uwagę jako obraz panteizmu indyjskiego i braku wszelkiej nauki moralnej, z całą niedorzecznością przesądów i odrzuceniem pojęć o porządku i kunsztowności stworzenia. Ważną jest ona jako historyczna pamiątka starożytnego świata, z którego powstałi Grecy i Rzymianie, w mowie których zawsze można dopatrzeć pierwiastku sanskryckiego. Pamiętnik ten historyczny napisany był przynajmniej na XIV wieków przed Chrystusem, i ot na tém cała jego zasadza się wartość.



Przez wiele wieków język ksiąg Weda uległ zmianie. Dla ich zrozumienia trzeba było komentarzy Mathawy i Jaski, żyjących ze 2,000 lat temu. P. Langlois wydał niedawno Rig-Wedę w przekładzie francuzkim (1), i tym sposobem uprzystępniał jęj czytanie całemu naukowemu światu.

### *Ramajana* (2).

*Walmiki* miał być pustelnikiem i wynalazcą poetyki indyjskiej. Przypisują mu poemat bohaterki *Ramajana*, blisko z 24,000 podwójnych wierszy złożony, a na 7 ksiąg (kanda) podzielony; został on ułożony nie później jak na lat 1,000 przed Chrystusem. Zdaje się, iż przez liczne późniejsze przerabiania *Ramajana* wiele straciła na pierwotnej piękności; zadaniem to dzisiejszej krytyki o ile możliwości z niewłaściwych oczyścić ją wstawek. Główną treść tego poematu stanowi wygnanie *Ramy*, syna królewskiego, do dzikiego lasu *Dandaka*, uwiedzenie jego małżonki *Sita* przez napaścniczego olbrzyma *Rawana*, uprowadzenie jęj na wyspę *Lanka* czyli *Ceylon*, i wreszcie zwycięstwo przez *Ramę* na *Rawanie* odniesione.

### *Mahabharata*.

Niejaki *Wiasa*, którego historyczne istnienie jest wątpliwem, gdyż nazwa ta oznacza zbieracza, ma być twórcą poematu epicznego *Mahabharaty* czyli wielkiej *Bharaty*, opisującego domową wojnę między *Kuruidami* *Panduidami*, pochodzącymi od *Kuru*, potomka *Bha-*

(1) Tytuł przekładu jest taki: „Rig-Veda, ou le livre des hymnes, traduit du sanscrit par M. Langlois. Paris, 1849, 8vo.

Wspomnieć tu jeszcze należy dzieło *F Nève* p. t.: *Essai sur le Mythe de Ribbavasy, premier vestige de l'apotéose dans la Védá avec le texte sanscrit et la traduction fr.* Paris, 1847, in 8vo.

(2) Cała *Ramajana* nie została jeszcze przetłumaczoną na język niemiecki. *Fryderyk Rückert* wmieścił główną jęj treść w piękny krótszy poemat w swoich opowiadaniach bramańskich (*Brahmanische Erzählungen*, I 79). Najważniejsze opracowanie niemieckie *Ramajany* jest następujące: *Rama*, poemat indyjski podług *Walmiki*, przekład *Adolfa Holtzman*. Karlsruhe, 1853—8, ed. 2a. Jest to całkowity wyjątek z drugiej części *Ramajany*; opiewa się tu wypędzenie szlachetnego *Ramy* na usilne intrygi jego macochy *Keikeji*, wtenczas, kiedy zgrzybiały jego ojciec *Dasaratha* chciał go na następcę tronu namaścić. Całość tego utworu jest pełną życia: celuje doborem myśli i nadobnym typem szlachetności ludzkiej w *Ramie* upersonifikowanym.

Włoski przekład *Ramajany* wydany został w dziele p. t. „*Valmiei Ramajana, Poema indiano, publicato per Gaspare Gorresio*” 1851, (z tekstem sanskryckim). Tłumaczył także na łacinę niektóre ustępy *Ramajany* *A. Szlegel*, i wydał w *Bonn* (1829—38).

raty. Utwór ten sam w sobie nie jest zbyt długim, o tyle jednak przez rozmaite ustępy został przedłużonym, że się aż ze 100,000 podwójnych wierszy składa. Późniejszą musi być Mahabharata od Ramajany; miarując atoli po jej treści, także niewcześniejszej pewno jak na lat 1,000 przed Chrystusem utworzoną być musiała. Dziś jestto raczej zbiór rozmaitych poematów różnej wartości, aniżeli jedna zupełna całość. Cała Mahabharata została niedawno wydana w przekładzie przez Towarzystwo azyatyckie w Kalkucie. Główna jej treść po odrzuceniu wszelkich ustępów, zawartą jest z niektórymi odmianami w książce, pod napisem: Kuruingowie. Poemat indyjski przez Adolfa Holtzmana. Karlsruhe, 1846, 8.

Występujący tu Kuruingowie czyli Kuruidzie rozpadają się na dwa stronnictwa: na Kuruingów starszej i młodszej linii. Naczelnikiem pierwszej jest król Duryozana, syn Zertarasztra; przywódcą drugiej Juziszthira syn Pandu, młodszego brata Zertarasztry. Duryozana i bracia jego zostają uznani za prawych posiadaczy tronu Kuruingów, a Juziszthira z braćmi po ojcu swym Pandu, Paduingami się zowią. Juziszthira grając w kości z królem Duryozana, przegrywa doń całe swoje mienie, stryja swego, czterech braci i w końcu siebie samego. Jednak na prośbę Draupady, małżonki Juzisztra, Duryozana wypuszcza go na wolność wraz z braćmi, pod tym jedynie warunkiem, aby przez lat 13 w lesie i pustyni na wygnaniu żyli. Wkrótce atoli Juziszthira zostaje na wygnaniu podmówionym przez przyjaciół, aby Duryozanie życie i panowanie wydarł, i wyruszył przeciw niemu ze swemi stronnikami.

Powstaje zacięta i długotrwała bitwa, w której obie strony cudów waleczności dokazują. Szczególniej zaś odznaczają się bohaterstwem ze strony Duryozany starzec Fiszma, ojciec Zertarasztry, i Pandu, Karna syn syna słońca Suryi, i Aswatthaman syn Drony. Z partyi Juzisztra odznaczają się nad innych mężem, bracia jego Fima i Ardszuna, a szwagier tego ostatniego. przebiegłością. Kuruingowie biją się dzielnie, lecz że pobudka ich walki jest szlachetną, a Panduingów podstępna i szalbierczą, traci też stronników Duryozana, nie wyłączając wodzów Aswatthamana, Fodsza i Krypy; on zaś sam zostaje śmiertelnie ranny. Wtedy Aswatthaman ślubuje umierającemu królowi pomścić jego krzywdy, wciska się nocą do nieprzyjacielskiego obozu, zabija wraz z Kryszną Panduingów, a przez Fodszę i Krypę wsparty pobija na głowę nieprzyjacielskie zastępy. Odebrawszy o tém wiadomość Duryozana, umiera. Jestto nader piękny poemat, przypominający w niektórych miejscach Iliadę Homera. Z ustępów Mahabharaty, których dosyć na język niemiecki przełożono, najcelniejszym jest Nalas i Damajanti (króćej Nalodaya) (1). Nalas młody król pięknymi

(1) Pomiędzy wielą niemieckimi opracowaniami tego przedmiotu, najmielszém w układzie przy zachowaniu głównej oryginału treści jest: Nal i Damajanti. Historia indyjska przez Fryderyka Rückerta. Frankfurt nad Menem, 1846. 16. Wyd. 3e popr.

Z przekładów wiernie podług oryginału dokonanych, najudatniejszym jest; Nal i Damajanti, poemat indyjski, z sanskryckiego przełożony i obja-



obdarzony przymiotami, z Dumajantą będącą wzorem doskonałości niewieścięj, w małżeńskie wstępuje związki. Po niejakiem czasie od złego ducha wiedziony, Nalas przegrywa w kości całe swoje państwo i miennie; porzuca kraj swój, a małżonkę opuszcza w lesie, nie chcąc jej czynić uczestniczką swój niedoli i mając nadzieję, że ją bogowie pod swoje wezmą opiekę i do krewnych ją doprowadzą. Oboje błąkają się przez pewien czas, rozlicznych doświadczając przygód; wreszcie znajdują się, a Nalas odzyskuje swoje państwo. Czułość, wzniosłość umysłu i wytrwała miłość, silnie tu są przedstawione.

### Sakuntala.

Kalidasa żył na 100 lat przed Chr. w Udszajini na dworze króla Wikramaditia zwolennika poezyi i nauki; obok Walkimi i Wiasy najwyżej jest ceniony zpomiedzy indyjskich poetów. Szczególnie zaś odznaczył się jako dramaturg, mianowicie przez dramat mitycznej osnowy Sakuntala (1) (pierścień przeznaczenia). Treść tego dramatu jest następująca: Sakuntala jest córką pewnego króla i nimfy, a wychowanicą pustelnika Kanwa. Podczas nieobecności Kanwy, król Duszmanta będący na polowaniu, zachodzi do jego pustelni. Ujrzawszy nadobną Sakuntalę, silnym ku niej przejinuje się affektem, a otrzymawszy jej wzajemność, żeni się z nią. Poczém król ten powraca do swėj stolicy Hastinapura, pozostawiając Sankuntalę przed miastem, aby ją potém przez nadwornego urzędnika do stolicy swojęj sprowadzić. Wkrótce atoli po odjeździe króla, mędrzec Darwasas, w gościnie złe przez Sakuntalę przyjęty, wymówił w gniewie przekleństwo, aby król o nią

śniony przez Ernesta Mejera, prywatdocenta języków i literatury wschodniej w uniwersytecie w Tubingen. Stuttgart, 1847. 16.

Z pozostałych ustępów Mahabharaty niemniej jest zajmującym ustęp: *Sawitri*, nazwany tak od królowny, która przez rozsądek i miłość jaką kochała męża swego *Satjawana*, wzruszyła boga śmierci Jamasa, przez co zmarłego małżonka do życia przywraca. Najbliższém oryginału jest tłumaczenie: *Sawitri*, poemat indyjski, tłumaczył z sanskryckiego Józef Merkel professor i bibliotekarz w Aszaffenburgu. Aszaffenburg, 1839. 12. Tu także należy wolny przekład w skróceniu przez Ruckerta w bramańskich opowiadaniach (I, 81) zamieszczony, niemniej dzieło francuzkie p. n.: *Bhagavata Purana, ou histoire poetique de Krichna*, trad. et publ. par Eugène Burnouf, Paris 1841.

(1) Przytaczamy tu niektóre tłumaczenia tego dramatu: *La reconnaissance de Sacontala*, tłum. przez Chery, z dołączeniem textu sanskryckiego (Paryż 1830). *Sakuntala* czyli pierścień przypomnienia: dramat Kalidasy, z sanskrytu i prakrytu na niemiec. tłum. przez Bernharda Hirzel. Zürich, 1849. 8. Ed. 2a.

*Kalidasy, Pierścień Sakuntala*. Wydany, przełożony i przypiskami objaśniony przez Dra. Ottona Boehlingk, adjunkta cesarskiej akademii nauk w St. Petersburgu. Bonn. 1842. 8.

zapomniał i wtedy dopiero do niej powrócił, kiedy spostrzeże ofiarowaną jej poprzednio przez siebie przy pożegnaniu pierścień. Gdy Kanwa powrócił i na małżeństwo zezwolił, pełna najpiękniejszych nadziei Sakuntala udaje się do małżonka swego; ten atoli jej nie poznaje. Chce mu okazać swój pierścień, ale go już na palcu nie znajduje; król ją odtrącił, a matka jej nimfa Menaka odsunęła ją od widoku obecnych. Pierścionek zaś ów spadł z palca królowny do stawu, kiedy zeń wodę czerpała. Połknięty przez rybę i znaleziony w jej wnętrzu przez jakiegoś rybaka, który ją złowił, wystawiony zostaje przez tegoż na sprzedaż; lecz że biedny ten człowiek nie był podobny do godziwego posiadania takiej kosztowności, ujęła go służba policyjna, posądzwszy o kradzież: sam zaś pierścionek, na którym wyrte było całe Duszmanty nazwisko, odniesiono królowi. Na widok pierścienia odżywiła się w nim zapomniana miłość, a jej wspomnienie w ciężki pograżyło go smutek; po wielu staraniach znajduje on wreszcie swoje narzeczoną wraz z synem, który był owocem tego ich związku. Syn ten byłto ów sławny Bharata, od którego ród swój wiedli Kuruidowie i Panduidowie.

Dramat ten, pisze p. Mecherzyński, świeci całym urokiem powabu. Takiego przepychu barw, tej woni i kwiecistości, w żadnej innej poezyi nie znajdzie.

Najslawniejszym z niedramatycznych utworów poetycznych Kalidasy jest elegia *Meghaduta* (1) czyli obłok posłańcem, treści następującej: Kuwera bożek bogactwa skazuje jednego ze sług swoich za opuszczenie się i niedbalstwo w obowiązkach, na niewidzenie i rozłączenie z małżonką przez rok cały. W czasie tego rozłączenia, przywołuje on obłok zawieszony ponad pewną górą, opowiada mu smutki swe i troskę, śle przezeń żonie uściski, wskazuje drogę którą się do niej udać potrzeba, opisuje obłokowi piękność jej twarzy, przymioty duszy i wypowiada mu słowa, któremi do niej ma przemawiać.

### *Gita-Gowinda* (2).

Dszajadewa jest najcelniejszym poetą lirycznym Indyan. Miał żyć około początku ery chrześcijańskiej. Pozostała po nim idylla *Gita-Gowinda* opisuje miłość Kryszny, będącego wcieleniem Wisznu, z pasterką Radha, w nader malowniczy i artystyczny sposób. Gowinda

(1) Dobry przekład niemiecki tego utworu jest: *Meghaduta* czyli obłok posłańcem, staro-indyjska elegia podług Kalidasy ułożona i przypisana objaśniona przez Dra. Max. Müller. Królewiec, 1847. 8.

(2) Najlepszy z przekładów niemieckich tego poematu dokonany przez Fryderyka Rückerta, znajduje się w piśmie: *Zeitschrift f. d. Kunde des Morgenlandes*, przez H. Ewalda w tomie 1 zes. 2im, Göttingen, 1837. 8.

Późniejszym nierównie jest przekład francuzki: „*Gita-Govinda ou le Ritou Sanhara*, przez Hippolita Fauche.” Dołączono tu dwa hymny z *Rigweddy*. Paryż, 1850 r. w 8ce.



znaczy znalazcę krów i jest jedném z licznych przezwisk bożka, jak tu pasterskim, a Gita-Gowinda znaczy pieśń o Gowindzie.

### *Vryhatkatha* (1).

Somadeva Bhatta żył w Kaszmirze na początku XIIgo stulecia po Chrystusie. Jest twórcą *Vrihatkatha*, czyli wielkiego opowiadania, najbogatszego zbioru indyjskich legend, bajek i opowieści. Dzieło to składa się z 18stu ksiąg. W pierwszej opisanem jest powstanie legendy, która swój początek wzięła od bogów i od nich dopiero do ludzi przeszła. Księgi 2, 3, 4, 5 i 6 zawierają dzieje Udajana króla Vatsa i jego małżonki Vasavadatty. W następnych księgach opisano losy Navarahanadatty, syna tych ohojga, co właściwą dopiero treść dzieła stanowi, bo pierwsze 6 ksiąg służą niejako za wstęp. Obok głównego opowiadania, autor pomieszał wszędzie legendy, powiastki i bajki zebrane z różnoczesnych źródeł piśmiennictwa indyjskiego. Z książki téj można nierównie lepiej poznać życie umysłowe i wewnętrzne całego narodu Indów, jak z któregokolwiek bądź innego pojedynczego literackiego zarysu. Wiersz tego poematu jest metryczny w budowie i podziałach zupełnie do wiersza Ramajany i Mahabharaty podobny. Wspomnieć tu jeszcze musimy o *Pilpaju*, a właściwie Bidpassu, Ezopie indyjskim, wezyrze króla indyjskiego Dabshelim; według jednych miał on żyć na lat 2,000, a według drugich na 250 przed Chrystusem. Znany on jako twórca zbioru bajek w języku sanskryckim pod napisem: Pantcha Tantra (2).

(1) Nie ma jeszcze całkowitego przekładu *Vryhatkathi*. Początek atoli obejmujący 5 pierwszych ksiąg tego dzieła zawdzięczają Niemcy Dr. Hermanowi Brockhaus, profesorowi literatury sanskryckiej w uniwersytecie lipskim, który je z sanskryckiego na niemiecki przetłumaczył i wydał w dziełku: *Mahrchensammlung des Somadeva Bhatta aus Kaschmir*. Części dwie, 1843 r. 12.

(2) W VI wieku naszej ery, przełożył to dzieło na język pehlewii (dawny dyalekt perski) mag Burzuyeh z rozkazu króla Khozru Nuschirwan, p. t. „*Kalilah' el Dimnach*”, następnie przetłumaczone na hebrajski przez rabinę Joela; wydanie to ogłosił po łacinie Jan z Kapui około r. 1262., p. t. „*Directorium Vitae, parabola antiquorum sapientium*.” Galland wydał przekład francuzki r. 1724, a książkę Dubois powtórny w r. 1826, wprost z sanskryckiego oryginału uskuteczony. Dzieło przypisywane Pilpajowi jest pewnym rodzajem polityczno-moralnego romansu, w którym głównie działającymi figurami są dwa szakale, zwierzęta podobnie u Indyan charakteryzowane jak u nas lisy. Według badań uczonych nowoczesnych, prawdziwym twórcą wspomnionego zbioru miał być bramin Wisznu-Sarma. Silvestre de Sacy ogłosił w r. 1816 wydanie tych bajek z przekładu arabskiego, z dołączeniem uwag o historii samego dzieła.

O Somadeva-Bhatta i o Bidpay'u nie znajdujemy w przeglądzie p. Mecherzyńskiego żadnej wzmianki.

## Egipt.

Egipcyanie nie byli pierwotnym ludem afrykańskim; to ród z Azji południowej, który idąc ku zachodowi na morze Czerwone, przeszedł je, i zwolna się od Etyopii aż do Egiptu rozszerzył. Główne pomysły religii Egipcyan, wspólne im są z wielu krajami Azji wyższej, tu tylko podług historyi naturalnej kraju i charakteru ludu w hieroglify obleczone. Słusznie więc Egipt zalicza się do Wschodu. Kraj ten, powiada Herder, przez swoją dawność, przez swe kunszta i urządzenia polityczne, stawa przed nami jako zagadka świata pierwotnego, i żeby ją odgadnąć, niejedna już badacz potem się zalewał. Najpewniejszą o nim wiadomość dają nam jego storożytności: ogromne piramidy, obeliski, Sfinksy, katakumby, szczątki kanałów, miast, słupów i świątyń, z ich hieroglificznymi napisami. Malarstwo i rzeźbiarstwo stały tu na niskim stopniu; cała sztuka była rękodziełem religijnem pewnej tylko klasy ludzi. Świątynie powstawały z widoku jaskiń ogromnych, a posągi wykształcono podług wzoru mumii, której kunsztownym charakterem była wiekista spokojność. Całe piętno sztuki egipskiej jest symbolicznem. Sztuka ta nie jest znamieniem pomyślności i prawdziwego oświecenia dawnego Egiptu, ale raczej niezaprzeczonym pomnikiem zabobonności budujących, a dumy tych, którzy budować rozkazywali. Poezya miała być Egipcyanom całkiem wzbronioną. Jednakże Herodot wspomina o pieśni, którą sam słyszał od ludu śpiewywaną i porównywa ją z pieśnią Linosa u Hellenów. Miała to być jedyna pieśń ludu ułożona na skorozryły zgon syna pierwszego króla Egiptu. (1).

## Persya.

W Persyi spotykamy trojaki idyomat językowy: 1) dawny język *Zend*, w którym spisane są dzieła Zoroastra (2); 2) *pechlewi* panu-

(1) W tym oddziale mogą między innemi służyć za pomocnicze następujące dzieła: J. Fr. Champolion a „L'Egypte sous les Pharaons ou recherches sur la géographie, la religion, la langue, les coutumes et l'histoire de l'Egypte avant l'invasion de Cambyse. 2 t. 1814 r. Paris.”

Dulaurier „Examen de quelques points de doctrines de Champolion relatives à l'écriture hieroglyphique des anciens Egyptiens.” Paris, 1849.

Lanci: Lettres sur l'interprétation des hieroglyphes égyptiens, adressées à Mr. Prisse d'Avennes.” Paris 1847. Briere: „Essai sur le symbolisme antique d'Orient, principalement sur le symbolisme égyptien, contenant la critique raisonnée de la traduction du 5e livre des Stromates de Saint Clément d'Alexandrie, relatif aux écritures égyptiennes de M. Letronne.” Paris, 1847.

Monuments de l'Egypte et de la Nubie d'après les dessins exécutés sur les lieux, sous la direction de Champollion le jeune, et les descriptions autographes qu'il a laissées; z 400 tablicami. Wydanie *uskuteczne* one z polecenia rządu francuzkiego.

(2) Obacz dzieła p: n. Zend-Avesta, ouvrage de Zoroastre p. Anquetil



jacy w drugim okresie literatury Persów, zachowany w pismach religijnych znanych pod nazwą Bundebesch; 3) dyalekt *Parsi* nowoperski, jednoczesny z przyjęciem islamu w Cyrusowem państwie.

Główny i pierwszy pochop do poezyi dali w Persyi szachowie: *Kabus*, który się stał przedmiotem słynnej księgi *Kabusname*, i *Mahmud*, który dawną księgę dziejów *Bastanname* dał do przerobienia wierszem sławnemu poecie *Ansarri*, zasługują na uwagę między władzcami, co dzielną narodowym piewcom dawali zachętę i opiekę. Inni celniejsi poeci perscy są następujący:

*Abul Kasim Mansur Firdussi*, zwany rajsłym spiewakiem, (*firdussi*) urodzony w mieście Tus w Chorazanie około r. 940 po Chr., był synem szczytłego posiadacza ziemskiego; trudnił się od młodych lat przerabianiem na wiersze epicznych podań perskich. W 36 roku życia rozpoczął najważniejsze swoje dzieło *Szachname* czyli księgę królów; w 38 r. przybył na dwór sułtana *Mahmuda* z Gasny, (panował od r. 997 do 1030) i po dwunastoletnim tamże pobycie, zatrutym zabiegami licznych jego nieprzyjaciół i zawistnych, ukończył w r. 1011 swój poemat, złożony z 60,000 podwójnych wierszy, i zamknął go słowy, które tu z przekładu p. L. Siemieńskiego przywzodzimy:

„Kiedy się księgę tę napisało,  
Jako świat duży rozbrzmiałem chwałą;  
Bo kto ma dowcip, rozum i wiarę,  
Ten zgadnie mojej wartości miarę.  
A więc zasiawszy słowa nasienie  
Nie umrę, chociaż ziemski byt zmienię!“

Słowa te cechujące zasłużoną dumą, przypominają nam wieszczka z *Czarnogolasu*, który podobnie odgadując uznanie swych zasług przez naród, z większą wprawdzie niż *Firdusi* skromnością napisał:

„Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty  
Nie będą moje czułe noce bez zapłaty;  
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,  
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.  
I opatrzył to dawno syn pięknej *Latony*,  
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony.“

Z polecenia *Mahmuda* miano wypłacić *Firdussemu* za każde 1000 podwójnych wierszy, tyleż sztuk złota. Gdy atoli poeta po ukończeniu całej epopei, odrazu wypłaty przyobiecanej mu summy żądał; sułtan kazał mu dać tyle złota, ileby słon mógł udźwignąć; cofnął jednak ten rozkaz, przez wezyra *Hassana Majmendi* ku temu podmówiony. Wypłacono mu tylko 60,000 sztuk monety srebrnej. Poeta rozdarował natychmiast te pieniądze, ułożył na sułtana ostrą satyrę, opuścił Gasnę, i tułał się po rozmaitych miejscach; w końcu wrócił do Tus, gdzie r. 1020. umarł. Tymczasem *Mahmud* uznał niesprawiedliwość swoją, i chciał *Firdussemu* wręczyć przyobiecaną

du Perron, Paris 1771 t. III, oraz text oryginalny ogłoszony przez *Engeniusza Burnouff*.

naprode; ale posłańcy szacha przybyli z nią do Tus w chwili pogrzebu poety. Córka jego odrzuciła początkowo przywiezione skarby, lecz później za poradą jednej z sióstr zmarłego, pieniądze przyjęto i obrócono je na urządzenie splawnego kanału, o budowie którego napročno nieraz marzył za życia Firdussi.

Szachname (1) czyli księga królów Firdussego, obejmuje całą starodawną historią perską, aż do upadku dynastji Sassanidów w r. 641 po Chr. W poemacie tym opiewane są głównie walki Persów czczących Ormuzda, czyli mieszkańców Iranu, z ich sąsiadami osiedlonymi w Turanie, trzymającemi za Arymanem. Są więc to zapasy światła z ciemnością, dobrego ze złem. Cała ta epopeja jest napiętno-

(1) Nie ma jeszcze dotąd niemieckiego przekładu całej Szachname; przetłumaczono atoli już z niej znaczną liczbę ustępów, z których niektóre same w sobie wzięte, stanowią zupełnie oddzielne poemata; najcelniejsze z nich znaleźć można w książce p. n.: „Heldensagen von Firdussi” po raz pierwszy wierszem miarowym z perskiego przełożone przez Adolfa Fryd. Schack, poprzedzone wstępem, w którym tłumacz wyłożył znaczenie epopei Iranu. Berlin 1851. 8a. Jest tu dziesięć osobnych części, mających za przedmiot mityczne dzieje Iranu przed Cyrusem, a obok nich treści tych oddziałów poematu, które poprzedzają części jego już przetłumaczone. Ztąd łatwo powiązać wszystko w jedną całość. Przetłumaczone ustępy są następujące: Feridun z synami; Sam i Sal, sprowadzenie Kai Kobad; Kai Kawus w Masenderanie; bój siedmiu bohaterów; Sohrab; Sijawusz i Sudabe; śmierć Firuda; Biszen i Menisze; śmierć Rustema. Z nich do najpiękniejszych liczą się Ferydun, Kai-Kawus, Sohrab oraz Biszen i Menisze.

Obok pracy Schack'a, traci wiele na dokładności w porównaniu z oryginałem, sam przez się piękny poemacik Ruckerta, wydany pod tyt. „Rostem i Suhrab.” Wspomnieć tu jeszcze należy Józ. Görres'a zbiór wyjątków z Szachname, wydany p. n. „Das Heldenbuch von Iran”. Berlin 1820, t. 2.

Szachname wydana została po persku w Londynie przez kapitana Turner-Macan w r. 1829, t. IV, a tłumaczona na angielski przez Atkinson'a, Londyn 1831. Vallenbourg opisywał ją po francuzku i podał w tłum. niektóre z niej wyjątki. Wreszcie to ogromne dzieło przetłumaczył całe na język francuzki i wydał z komentarzami Juliusz Mohl, 1838, 1839 w 2 tomach in folio (ostatnie wydanie z r. 1846 w 3 tomach).

W uczonych zapiskach za r. 1849, wydawanych przez uniwersytet w Kazaniu, spotykamy między innemi utwór Stan. Nazarianea p. t. Абыръ Касемъ Феридуну Турскии i t. d. z przydaniem starannie skreślonego rysu historyi perskiej poezji, aż po koniec IV wieku po Chr.

My z swęj strony winniśmy wdzięczność p. L. Siemieńskiemu, że nam dał poznać w udatnym wierszu ustęp z Szachname: Biszen i Menisze (Bibl. Warsz. za r. 1853 t. III), jak niemniej, że nam i więcej z tego poematu miejsc pięknych w polskiem tłumaczeniu dać obiecuje.

Czekamy z upragnieniem pojawienia się tej książki, która niewątpliwie dobrze przyjęta, wywoła może i inne podobne prace, któremiby p. Siemieński wzbogacił niwę ojczystego piśmiennictwa.



wana ideą fatalizmu, skutkiem którego, jakiś przed wieki spełniony czyn, ciągnie za sobą pasmo zniszczenia dla całych pokoleń, a winę na winę gromadząc, jedną zemstą drugą zmywa. Wielkie tu bogactwa treści; charaktery bohaterów samodzielne, pomysł całości śmiały i zadziwiający. Trudno prawdziwie pojąć, jak jeden człowiek mógł podać tak olbrzymiemu a pięknemu dziełu; usprawiedliwia też to, dlaczego Firdussi tak wielkiej dostąpił chwały jako poeta.

W XII wieku nastaje nowy zwrot poezji perskiej. Błyszczące bogactwem wyobraźni dzieło Firdusiego, miało być pierwszą i ostatnią epopeją Iranu. Czasy się zmieniły; poemat bohaterski zastępują tu wiersze pochwalne i miłosne. Szach staje się sam przedmiotem poezji, kiedy dawniej tylko ku niej zagrzewał. To druga epoka piśmiennictwa perskiego. Poeta *Enweri* tworzy panegiryczne kassydy na cześć sultana Sandszaar, olśniony blaskiem i wspaniałością jego dworu. *Nizami* (1) (także Nazami zwany) urodzony z Ghendsze, zmarły w r. 1180 po Chr. opiewa sceny miłosne, i daje początek epopei romantycznej. Cenniejsze jego utwory są: Chozru i Schirin, w którym opisuje miłość Khozroesa Ito (panował w Persyi od r. 591 do 628 po Chr.) z armeńską księżniczką Schirin. Dalej *Leila i Medschnun*, *Machsenolesrar*, dzieło treści obyczajowej; poema *Iskandername*, na cześć sławnego Alexandra Macedońskiego, powieści romantyczne *Hestpeiger* (siedm piękności) i inne.

Godnemi są jeszcze wspomnienia w tym okresie poeci, *Omar Chiam*, *Senafi* i *Ferideddin Altar*. Pierwszy tworzył pieśni miłosne i biesiadnicze, drugi wydał dzieło „Ogród ozdobny” (Hadika), napiętnowane mistyką. Ostatni pisał w materji religijnej i pozostawił: *Żywoty świętych* (Teskeretolewlia), oraz księgę tajemnic (*Essername*). Mistycyzm doszedł najwyższego szczytu w poezji perskiej w następnym okresie, którego wypadki napiętnowane są złowrogami Mongołów napadami. Daje się tu już sprawdzić uwaga przez p. Mecherzyńskiego w przedstępie do odczytów uczyniona, że literatura u nowoczesnych stoi częstokroć w nieodpowiednim stosunku z życiem publicznem; gdy tymczasem u starożytnych wraz z niem wznosiła się ona i upadała. Przedstawicielami téj epoki jest dwóch poetów: *Dschelaleddin Rumi*, autor poematu *Mesnevi*, będącego zbiorem legend, powieści i allegoryi, i twórca wielu pieśni lirycznych czyli *Gazel*. Przyrodę, życie, świat, ogarnione ogólnem uczuciem miłości, opiewa on pełnym wdzięku językiem, rozrzucając na wsze strony najpiękniejsze myśli, najmoralniejsze zdania, ożywione pełną świeżością fantazyą.

(1) Jego *Iskandername* wydrukowano w Kalkucie w r. 1812 w 4ce, a niektóre powieści tłumaczone, zamieszczono w 2 tomie „Asiatic Miscellanies” (1786). Józef Hammer ogłosił w r. 1809 w Lipsku niemieckie dziełko p. n. „Schirin,” poema romantyczne perskie, podług wschodnich źródeł. Części 2. Jest tu 14 śpiewców, w których najpiękniejsze miejsca wybrane są z cenniejszych *Nizami* utworów. Całkowitego tłumaczenia dzieł tego poety nie ma dotąd.

*Moslicheddin Saadi*, szeik, urodz. w Schiras w r. 1161, zmarły w r. 1263 po Chr. pobierał nauki w Bagdadzie, odbywał liczne podróże, a w późnej starości żył w odosobnieniu od ludzi, łożąc swój czas na naukę i modlitwę. Pozostawił następujące dzieła: 1) *Gulistan* (1) czyli ogród różany, utwór napisany wierszem i prozą; zawiera praktycznie wyłożoną naukę życia. Oprócz wstępu obfitującego w przyczajowe zdania i opowieści nauczające, oraz stosownego zakończenia, składa się to dzieło z 8 oddziałów, a mianowicie: O królach i życiu dworskiem, o umysłowości derwiszów, o przestawaniu na swoim; o korzyściach wynikających z milczenia, o miłości i młodości, o słałości i wieku podeszłym; o wpływie wychowania; o umiejętności obchodzenia się z ludźmi. 2) *Bostan* (2) czyli ogród owocowy, cały wierszem, obejmuje 10 pieśni; jest to zbiór podobny do pierwszego, surowszy tylko w wykładzie zasad religijnych. 3) *Pendnahme* (3) czyli księga rad, poemat obyczajowy.

Gazete Saadego erotyczno-filozoficznej treści, w Europie całym prawie są nieznanne.

W czwartej epoce poezji perskiej liryka jaśnieje całym blaskiem świetności. Wyobrazicielem jej jest Mohammed Schemseddin *Hafis* (4) ur. na początku XIV wieku w Schiras, zmarły w r. 1339; był derwiszem i nauczycielem publicznym w rodzinnym swym mieście. Umiał on napamięć cały Koran, a mimo to odmówiono mu po śmierci zwyczajnego pogrzebu z powodu, iż zbyt ponętnie przedstawiał rozkosze życia w swoich poezjach; dopiero przyjaciele nieboszczyka wystawili poezye jego jako allegorye i oddali wieszczowi ostatnią postugę. Jest to prawdziwy śpiewak miłości, piękności i wdzięków.

Po Hafizie upadać poczęła poezya perska. W XVém stuleciu pojawił się poeta *Mewlana Dschami*, górujący nad innemi nauką i ukształceniem. Sultan Abu-Said (panował od r. 1457 do 1468) we-

(1) *Gulistan* był tłumaczony na jęz. francuzki przez Duryer'a, Paryż 1634, przez Aligrégo, 1704, przez Gaudin'a 1791, a w r. 1838 umieszczony w publikacji „*Panthéon français*.” Najlepszy przekład niemiecki jest: „*Meslicheddin Sadi's Rosengarten*” podług textu i komentarza arabskiego Sururego, tłumaczył z perskiego, dodatkami i przypisami objaśnił, Karol Henryk Graf, licent-teol. członek niemieckiego i paryzkiego towarzystw azyatyckich. Lipsk 1846. 12.

(2) Wydano go w tłumaczeniu niemieckim w Hamburgu 1696 r. in folio.

(3) Tłumaczony na angielski w Kalkucie r. 1788 w 8ce, a na francuzki przez Garcin de Tassy 1822.

(4) Zbiór jego poezji zawierający 571 gazeli ogłoszono w jęz. perskim w Kalkucie w r. 1791 (t. 1 in folio). Herbelot w swęj bibliotece wschodniej, oraz Herbin w r. 1806 tłumaczyli niektóre jego poezye. Józef Hammer dał całkowity jego przekład niemiecki wierszem nierymowym „*w Dywanie*” (Tubingen 1812) przedrukowany w r. 1840. Jest tu 701 utworów poetyckich. Wybór z 249 poezji Hafiza nader starannie obrobiony wydał w Hamburgu G. Fr. Daumer (1846). Nowy zbiór poezji Hafiza z dodaniem muzyki, także przekładu Daumera, wyszedł w Norymberdze w r. 1851.



zwał go na swój dwór do Herat, i z wielkiem był dla niego poważaniem. Dschami jest naprzemian lirykiem, śpiewakiem epopei romantycznej i powieściarzem; zapatrywał się on na arcydzieła swych cenniejszych poprzedników. Za najlepsze z jego dzieł, których dosyć zostawił, poczytują poemat historyczno-romantyczny: *Jussuf i Suleicha* (1). Jestto według fantazyi autora przerobiona historia żony Putyfara i wielkiego wezyra Egiptu Józefa, syna Jakóbowego. Myślą tu było główną wykazać pierwszeństwo czci jedynego Boga nad bałwochwaltwem. Obok wielu pięknych ustępów, niektóre sytuacje są nudne i przesadzone.

W miarę upadku poezyi perskiej, podnosi się zaczęto dziejopisarstwo. Oprócz licznych kronik, zasługuje na wspomnienie historia *Mohammed Mirchond'a* i jego syna *Kondemira*. Pierwszy ur. r. 1433, zmarły 1498, od młodości poświęcił się gruntownemu poznaniu historii. Popierany przez Ali-Chyra władcę Korazanu, Mirchond zamknawszy się w klasztorze w Herat wypracował tam p. t. „*Rouzat al safa*” (2), (Ogród czystości) obszerne dzieło, będące niejako encyklopedyą historii wschodniej, sięgające epoki stworzenia, i obejmujące dzieje patryarchów, proroków, dawnych królów perskich, Mahometa i jego następców, dynastij tureckich, tatarskich i t. d.

Kondemir bibliotekarz emira Ati-Chira, wydał dwa wielkie zbiory „*Khelasse-al-Akbar*” (cenniejsza treść historii), rzecz chronologicznie od stworzenia świata aż do r. 1500 doprowadzona, oraz „*Habyb-al-Sejar*” (zwolennik życiorysów), gdzie opisy sięgają po r. 1523. Wcale o nim nie wspomina p. Mecherzyński.

Obfitując w tyle pięknych utworów, piśmiennictwo perskie nie ma właściwego dramatu; w nowszych tylko czasach powstał tam pewien rodzaj widowisk scenicznych. „Każdy Pers, pisze p. Mech. obeznany jest z literaturą swego narodu, a odwoływanie się do poezyi i bajek jest w domowym życiu Persów rzeczą tak zwyczajną, że bez znajomości pisarzy krajowych, nie można przyjemnie podzielać zabaw towarzyskich.” Oby tak wszędzie być mogło!.

### Arabia.

Na szczęśliwie od natury położonym półwyspie arabskim, zamieszkałym przez koczujące od niepamiętnych czasów plemiona, słynne z dosadnej, dźwięcznej i poetycznej mowy, z mężstwa, podniosłości ducha, i skłonne do przygód mitosnych; na ziemi, która była przytu-

(1) Wincenty Rosenzweig wydał w r. 1824 w Wiedniu nierymowy przekład niemiecki tego poematu, ze stosownemi objaśnieniami, p. n.: Joseph und Suleich'a.

(2) Jeszcze je nie przełożono w całości; są tylko niektóre ważne urywki w łacińskim i francuzkiem tłumaczeniu. I tak de Sacy w swych pamiętnikach starożytności perskich, wydał hist. królów Sassamidów, 1793 r. dzieje Thaherydów i Soffarydów Jenisch, p. t. „*Historia priorum re-*

liskiem to Hebreów, to chrześcian, to świadkiem walk rozlicznych nieprzyjaznych sobie plemion; na której zmieszało się tyle różnorodnych przemysłów i pierwiastków:—na takiej ziemi poezya była niejako wrodzoną, a technienie jęj rozlane w powietrzu. Ztąd téż dawna jest niestychanie poezya ludu w Arabii, poezya stepowa. Poprzedziła ona na wiele lat przyjście tego, co jakby czarodziejską rószczką, nadał swym współbraciom religijną ustawę, siłą wiary połączył ich w jedno i do świetnych powołał przeznaczeń. Na dorocznych zebraniach w *Okhas* odbywały się publiczne zawody poetów, a nazwiska zwycięzców, wypisane złotem na jedwabiu, w przysionku świątyni Beith-Atlas zawieszano; ztąd téż pochodzi nazwa poezyi *Moallakat*, (t. j. zawieszonych). Spotykamy tu nazwiska i utwory piewców Amru Ben Kothun, Haret Ben Hillosa, Tarafach, Caab Ben Johair, Antara Ben Scheddad, Lebid Abu Akil ben Rabiad, i wreszcie *Amri el Kais* (1) także Amrylkais zwanego. Żył on za czasów Mahometa, był synem Ben Hodschr'a króla pokolenia arabskiego Béni Essed, który dla okrucieństw swoich nienawidzony, zamordowanym został. Cbiał się Amryl Kais pomścić śmierci ojca, lecz mu tego okoliczności nie dozwoliły. Umarł w Małej Azji, pozostawiając oprócz ulotnych wierszy, jeden *Moallakat*, t. j. uwieńczony na konkursie poemat, niemniej *Dywan* czyli zbiór poezyj.

Mahomet z Koranu, który oprócz wielu innych nazw, zowie się także *Kitabullach* (KsięgaBoga) starał się uczynić wzór mowy arabskiej. Wystawia téż doskonałość téj księgi w jednej suracie, kładąc słowa pochwały w usta anioła. Koran (2) jako księga święta i źródło wszelkiej umiejętności muzułmańskiej, zrodził nader obszerną gałąź literatury i niezliczone mnóstwo przypisów. Po Mahomecie odznaczyli się następujący poeci: żyjący od r. 807 do 845 poeta arabski *Abu Temmam* rodem z Syrii „oprócz *Dywanu*, zebrał także stare pieśni ludu pod napisem *Hamasa* (3) (waleczność).”

gum Persarum post natum islamismum (Wiedeń, (1792); historią Samanidów i Gaznewitów Fryd. Wilken po łacinie (Getynga, 1808—1832); toż samo Frémery po francuzku w r. 1845; historią Dżengischana tłum. Langlès, a Izmaelitów perskich, Jourdain (tom V i IX dzieła *Notices et Extraits*).

(1) Liryczne jego utwory zebrał w jedno i z arabskiego na niemieckie przełożył Fryderyk Rückert. Wydano je w Stuttgarcie i Tybindze w r. 1843 p. n. „*Amrylkais der Dichter und König*.”

(2) W Bibliotece Warsz. za m. październik z r. 1851, zamieszczono artykuł p. n. „Mahomet i jego Alkoran. Obok biografii proroka, dołączono tłumaczenie dwóch rozdziałów koranu. Przekład ten jest dokonany podług francuzkiego wydania współziomka naszego Kazimirskiego. Widzieliśmy już kilkadziesiąt rozdziałów tego przekładu w rękopiśmie; po ukończeniu, ma on być osobno wydany.

(3) Zbiór ten przełożył na język niemiecki i objaśnił przypisami Rückert (Stuttgart, 1846). W książce téj jest blisko tysiąc poezyj rozmaitych autorów, podzielonych na 10 ksiąg. Są tu pieśni bohaterkie, zale zmarłych, przysłowia towarzyskie, pieśni miłosne i pochlebne, gościnne i po-



*Montenabi* (1) uro. w Kufa nad Eufratem r. 915, wystąpił w 30 roku życia jako prorok, z niepomysłnym jednak skutkiem; żył po dworach książęcych w Haleb, Kairze, Sziras i Bagdadzie. Padł w utarczce z napastniczymi Beduinami odbywając podróż w r. 965 do Kufa. Opiewał on bitwy i składał wiersze pochwalne. Uczczono go przydomkiem sultana poetów. Jego Dywan obejmuje 289 poematów (podług p. Mech. 187), rozpadających się na 6 oddziałów).

Arabowie posiadają liczne zbiory przypowieści, satyr i bajek, tak oryginalnych, jako też i z indyjskiego naśladowanych. Obok pieśni, znakomicie rozwinęła się jeszcze u nich powieść czyli romans. Nie wdajemy się tu w obszerniejszy rozbiór tej części literatury arabskiej, o powieściach tych bowiem spotykamy w Bibl. War. z r. 1852 (T. 2 str. 69) starannie przez p. Kazimierza Puchałę skreślony artykuł.

Wspomnieć tu tylko jeszcze musimy o pisarzu *Hariri* (właściwie Abu Mohammed al Kasim Ben Mohammed) urodzonym w Basorze, (1054 † 1124), który występuje jako poeta, retor i filolog. Jest on twórcą sławnego dzieła: *Macamat* (2) (posiedzenia towarzyskie), podzielonego na 50 ksiąg, przedstawiających rozmaite przemiany, podróże i przygody rycerza Abu Seid z Serudsz.

*Tysiąc nocy i jedna*, zbiór opowieści perskiego pierwotnie pochodzenia, wielokrotnie przez arabskich pisarzy przerabianych i dodatkami pomnżanych, któż nie zna, kto nie czytał? Przetłumaczono je na wszystkie prawie europejskie języki; liczną więc jest ich bibliografia.

Ostatnie tłumaczenie polskie, ogłoszone podług nowego wydania paryzkiego z rycinami, wyszło w r. 1842 w Lipsku, w 12tu tomikach.

Co się zaś tyczy postępów, jakie Arabowie poczynili w rozlicznych gałęziach nauk, korzystając z chrześcijaństwa i pogaństwa, z mądrości indyjskiej i greckiej, oraz niepowetowanych klęsk, które w epoce ciemnoty i zagorzałego fanatyzmu swego, umiejętnościom zadali: zbytęcną byłoby rzeczą tu się nad niemi rozwodzić. Dzieje wyświelają nam dostatecznie owe świetne niegdyś chwile ich panowania w naukowym świecie, jak również letargicznego w dzisiejszych czasach umysłowego uśpienia.

### Chiny.

Nie pomnę już, któryto autor z szczególniejszego punktu widzenia rzeczy wychodząc, powiedział, że Włochy są krajem świata najmniej

chwalne, opisy, podróże i spokojność, żarty, figliki. Najbardziej zachwycają poezye malujące uczucia żywe, siłę i dzikość, jako znamiona duchowe i fizyczne ludu żyjącego w pustyni, wśród walki i niebezpieczeństw.

(1) Józef Hammer przełożył po raz pierwszy w całości dzieło tego poety i wydał je w r. 1824 w Wiedniu p. n.: *Motennebi, der grösste arabishe Dichter.*"

(2) Udatny ten retoryczno-poetyczny utwór, oryginalny w układzie, chłuszczący śmieszności i obyczaje ludzkie, opracował w języku niemieckim

znany w Europie. Mniemam, iż właściwie przedziejby można to do Chin zastosować. Jakie są społeczne i polityczne ustawy Chin, jaka ich literatura?—kiedyś nie wiedzano o tém wcale; dziś wiemy cokolwiek więcej, wszystko to jednak nie jest bardzo dokładne. *Fohi* miał być pierwszym cesarzem i ustawodawcą Chin; żył na 3,000 lat przed Chrystusem. Na zasadach jego nauki, rozwinął swój system *Konfucyusz*, sławny filozof i prorok (ur. około r. 551 przed Chr.). W zamiarze poprawienia zwyczajów swego narodu, i zwrócenia ich na tor dawniej prawości, przejrzał i poprawił *Kings*, dawno księgi święte Chińczyków. Nauczał cnoty i obyczajów, kazał doskonalić w sobie rozum, jako najwyższy dar niebieski, oddawać się pożytecznej pracy, rolnictwu i przemysłowi, a za główną podstawę mądrości poczytywał umiarkowanie. Pozostałe po nim pisma są: 1) *Chu-King* (1) traktat moralności i polityki w przykładach; autor przebiega tu przeszłe dzieje narodu, i wykazuje pożytek ustaw i przepisów pozostawionych zdawna, przez rozmaitych monarchów i uczonych. 2) *Tchun-sien* (wiosna i jesień), historia królestwa Lu, od r. 722 do 480 przed Chr. 3) *Hiao-King* (dIALOG o powinności synowskiej). 4) *Ta-hio* (wielka nauka) i 5) *Thong-yong* (o utrzymaniu stałego środka) traktaty dogmatyczne moralności i polityki. 6) *Schi-King* zbiór blisko 300 pieśni ludowych, nacechowanych zdrowym rozsądkiem i naturalnym dowcipem, mających za przedmiot rozliczne stosunki prywatnego i publicznego życia Chińczyków.

Ważną była bardzo ustawa państwa chińskiego, według której monarcha otoczony uczonemi, stanowił rząd. Dzielił się oni na 3 klasy. Kto publicznie udowodnił swe usposobienie umysłowe, przechodził z niższej do wyższej klasy; pierwsza otwierała podwoje do najwyższych państwa dostojenstw. Przez to nsunięto w Chinach wszelkie społeczne różnice.

Panujący z domu Tcheu, (2) postanowili pewną liczbę prowincjonalnych urzędników zwanych *Yang*, którzy zdając dworowi sprawę

nader starannie Fr. Rückert i wydał pod tytuł: „Die Verwandlungen des Abu Seid von Serug etc.” (Stuttgart i Tübingen. 1844. T. II, wyd. 3).

(1) Pierwsze z wymienionych dzieł, przełożył na język francuzki ksiądz Gaubil (Paryż 1770 w 4ce); piąte wydał w jęz. chińskim, łacińskim i francuzkim, Abel Rémusat (1817 w 4ce); czwarte przełożył Pauthier (po chińsku i fran.) 1837. Wszystkie księgi moralne Konfucyusza przetłumaczyli na łacinę oraz przypisami i uwagami pomnożyli, Intorcetta, Herdrich, Rougemont i Couplet p. t. „Confucius Sinarum philosophus” (Paryż, 1687 in folio). Niektóre także dzieła Konf. znajdują się w zbiorze Fr. Noëla: „Sinesis imperii libri classici VI (Praga, 1711. Toż samo tłum. na fran. przez Pluquet'a r. 1784 tom. 7). Pieśnioksiąż Schiking przełożył na jęz. łac. Lacharme, a wydał w Stuttgardzie w r. 1830 J. Mohl p. n. Confucii Chi-King sive liber carminum.” Z tego tłumaczenia poczynili przekłady niemieckie, i wydali je: Rückert w Altonie (1833), a Cramer w Crefeld (1844).

(2) Dynastia ta osiadła tron w r. 1122 przed Chr. liczy 36 panujących (do r. 247 przed Chr.) Nie trzeba jej mieszać z dynastją Tscheuban, panującą od r. 226 naszej ery.



zarządu swego, winni byli nadto doręczać cesarzowi zbiór wszystkich pieśni ludu, które szły pod sąd uczonych, a w razie uznanój wartości, do monarszego księgozbioru.

Na niewiele lat przed Konfucyuszem żył filozof *Lao-Tsee* zwolennik metampsychozy. Pozostawił księgę *Tao-te-King* (pierwszorzędną mądrość) i utworzył sektę (1), która się później znakomicie rozrosła, i współzawodniczyła z Konfucyuszową; zajmuje ona atoli stanowisko od téj ostatniej daleko niższe, spokrewniona jest nieco z buddyzmem, a liczni jéj zwolennicy wpadli w epikureiczną zmysłowość.

Wiemy ogółowo, że z poetów chińskich, Tufu, Li-thai-pe i Kieng-Long, najbardziej są cenieni, a utwory ich najwięcej rozpowszechnione. Bliższe zaś o nich szczegóły są nam mało znane. Amiot wydał po fr. w r. 1770 pochwałę miasta Mukden, rzecz przez Kien-Longa skreślona. Wiadomością o dramatach, teatrach i romansach, kończy p. Mecherzyński swój przegląd literatury chińskiej. Dodajemy tu jeszcze jeden drobny szczegół. Istnieje znany w Europie utwór p. t. *Choatsien* (2), czyli kwiatami upiękuszony papier, dzieło fantazyi chińskiej późniejszych czasów, mogące dać miarę o ich życiu towarzyskiem i sposobie myślenia. Jestto romans wierszowy, w którym młody człowiek Liang, figuruje jako uczony i bohater na wojnie; zyskuje on serca dwóch dam: Joazii i Jükingi, a po usunięciu rozmaitych przeszkód, obie je poślubia. Utwór ten wziął nazwę od papieru w złociste kwiaty, na którym kochankowie robili sobie wzajemne oświadczenia miłosne; autorami jego miało być dwóch dostojników kantońskich, za panowania dynastyi Ming (od r. 1368 do 1644 po Chrystusie).

Dzisiaj ogólna uwaga Europy zwróconą jest na Chiny, z powodu ruchu zagrażającego upadkiem dotychczasowej dynastyi, i całkowitą przemianą istniejącego tam dotąd porządku rzeczy. Autor artykułu „o Chinach” w Roczniku Strąbskiego na r. 1854 powiada „że może szczęśliwemu dotąd Tienti, Opatrzność przeznaczyła odrodzenie zamkniętego w sobie i zbitwiałego w bezczynności państwa; że może za jego sprawą krzyż św. zabłyśnie na murach tych miast, gdzie się lała krew męczenników chrześcijańskich, i powoła Chińczyków na drogę miłości bliźniego i zbawienia.” Może..... Jakażkolwiek jednak będzie przyszłość Chin, to wątpliwości nie ulega: że wielkie monarchie europejskie, wpływające przeważnie na to państwo od lądu i morza, wciągną je do ogólnego ruchu spraw całego świata.

(1) A. Remusat przełożył na fr. celniejszą księgę téj sekty p. t. „księga kary i nagrody.” (Paryż, 1816); tenże uczony wydał także pamiętnik o życiu i nauce wspomnianego filozofa. (Paryż, 1823). Pautier napisał uczony traktat o nauce Tao (Paryż, 1831), a Stanisław Julien przełożył całe *Taote-King* w r. 1842 na fr.

(2) Dr. Henryk Kurz professor przy szkole w St. Gallen, wydał tamże w r. 1836 ten poemat w tłumaczeniu niemiec. p. n. „Das Blumenblatt, eine epische Dichtung der Chinesen, aus dem Original übersetzt.” Dodał także ogólne uwagi o poezyi chińskiej, i chińską nowellę.

Skoro to nastąpi, Europejczycy poznają wszystkie dotychczasowe tajemnice Niebieskiego państwa, a wraz z nimi i literaturę tego tak dawno już ucywilizowanego narodu.

### Hebrajczycy.

Ze wszystkich azyatyckich państw, ten najmniejszą przestrzeń ziemi zajmujący naród, a sięgający dziejami swemi samych świata początków, szczególniejszém zrządzeniem niedoścignitych wyroków, stał się najbardziej wpływowym. Z jegoto łona powstała księga ksiąg wszystkich—biblia; z niego prawda objawienia. Biblia téżto jako dająca najdokładniejsze pojęcie o jedynym Bogu stwórcy świata, jest skarbnicą całej umysłowości hebrajskiej. W niej szukać należy wszystkich kształtów ich piśmiennictwa. Nosi ono na sobie z tego powodu charakter uroczysto-religijny; treścią jego dzieje, prawodawstwo, nauka obyczajowa i poezya. Księgi Mojżeszowe, proroków i królów, hymny przy uroczystościach kościelnych śpiewywane, psalmy, treny Jeremiasza, pienia Joba, którego Pan srodze doświadczał, przypowieści i kazania Salomona, wreszcie Sehirhaschirim, owe *canticum canticorum*, pieśń pieśni: ot i wszystko, co nam przedstawia literatura hebrajska. Jako spuścizna narodu, na łonie którego powstał chrześcijaństwo, utwory te przełożone zostały na europejskie i inne języki, i przyswojone przez wszystkie narody, którym zajaśniało prawdziwe światło wiary.

\* \* \*

Na stu kilku stronnicach przedstawił nam p. Mecherzyński cały obraz literatury ludów wschodnich. Przynajmy, iż nader to szczupłe miejsce na tak obszerny przedmiot, aby można być zupełnie dokładnym i szczegółowym. Całe dziełko, które tu rozbieramy, złożone jest z ośmiu odczytów. Niepomatu żałujemy, że ich tak mało mógł tylko mieć szanowny professor; przy większej ich liczbie, przedmiot cały zyskałby w obrobieniu. Wśród zajmującego opowiadania o literaturze ludów wschodnich, ujrzelibyśmy zapewne wyjątki z celniejszych autorów, w Polsce tak mało znanych, przyczém daleko stałyby się zrozumialszemi uwagi nad treścią ich pism podane. Przy obszerniejszym zakresie odczytów, byłibyśmy zapewne oglądali Egipt w pełniejszém świetle; nie ów Egipt dawny, ale późniejszy z Alexandryą na czele, gdzie się ześrodkowały zabytki umysłowe Wschodu i Grecyi. Bylibyśmy mogli bliżej się przypatrzeć epoce zabyśnięcia Arabów na naukowém polu, poznalibyśmy się z nazwiskami i dziełami ich uczonych i historyków. Pod oddziałem „Hebrajczycy” należlibyśmy może wzmiankę o Majmonidesie i innych znakomitych uczonych żydowskich, którzy w rozmaitych okolicach słynne zakładali szkoły. Wreszcie, wyjaśniłby nam zapewne autor, co w naszym kraju zrobiono dla literatury wschodniej, i jakie sami, nieznając języków wschodnich, możemy mieć inne dostępne źródła, w którychbyśmy tę ogromną literaturę bliżej i dokładniej poznać mogli. Odczytany w utworach wscho-



dnich, a znakomitym obdarzony talentem, p. Mecherzyński tryska wokoło potokami dźwięcznego i czystego jak kryształ słowa, żywo obracając dany przedmiot; dodaje mu jakiejś świetności i krasy, które niezawsze się spotyka w naukowych rozprawach. Czyta się téż prace p. M. nie jak ciężki jaki traktat, ale jak najlżejszą, najprzystępniejszą dla wszystkich powiastkę. Taka przystępność ważną zaiste jest zaletą wszelkiego publicznego wykładu.

### *Poezya Grecyi.*

Tyle razy wspomniane odczyty, składają się, jakśmy to widzieli na wstępie, z kilku odrębnych części. Drugą z nich stanowi wykład poezyi greckiej. Żałujemy najprzód, że tylko samą poezyi; radziłyśmy bowiem o piśmiennictwie tego znakomitego narodu czytać zupełny rys p. M. Na takim nawet oderwaniu poezyi od reszty literatury, całość przedmiotu niezmiernie traci. Może nam to p. M. w inném miejscu wynagrodzić zechce.

Choć Grecya pierwotnie miała związek z cywilizacją Wschodu, choć ją kiedyś miały zaludniać nieukształcone wcale, ze Słowianami pobratymcze szczepy: bardzo już przecież dawno poczęła się ona rozwijać twórczo. Dość za przykład, wskazać na jej poezyę. Piękna i zachwycająca przyroda, wpływowo historyczne wypadki, wiele piewcy: wszystko to połączyło się razem, aby utworzyć harmonijne dzieła, które poznawszy, nie dziw, że podobały się i służyły za wzór całemu ukształconemu światu.

Epos, lira i drama, to trzy główne podziały poezyi greckiej. Ztąd konieczność rozbioru dzieł Homera, Hezydosa, Pindara, Stezychora, Simonidesa, Bachylidosa, Terpandra, Sapho i Alceusa, Anakreona, Hipponaksa, Archilochosa, Mimnerma, Teognisa, Eschyła, Sophoklesa i Eurypidosa, wreszcie Arystophanesa. Mybysmy tu jeszcze dodali Xenofonta, jako autora Cyropedyj (*Κυρον και δελα*), Platona, za jego „wieczerzę” (*Συμπόσιον*), Teokryta dla licznych idylli, które tu wymieniam nie widzimy potrzeby; Lyncana dla dyalogów jak np. Charon, Tymon, Sen, Przeprawa, Hermitimus, Rybak, tragiczny Zeus; w końcu Babryosa i Ezopa, jako twórców bajek.

Choć nie wszystkie utwory te wierszem są pisane, niezaprzeczenie noszą atoli na sobie piętno poetycznego natchnienia.

### *Poezya wieków średnich.*

Wielki postęp potęgi rzymskiej, a następnie jej upadek, zrodziły zupełne przeobrażenie w polityczném i obyczajowém życiu narodów europejskich:

Skoro dawne plemiona znikły, albo raczej skryły się pomiędzy nowo-zdobycami; kiedy się wynarodowiły, aby mózż żyć za nowego porządku rzeczy; kiedy ze starcia ciągle po sobie walących się barbarzyńców powstały nowe żywioły: wtedy wzburzenie umysłu ludzkiego okazuje się nam w całym swym ogromie.

Jak naprzód wielka pielgrzymka narodów,  
 Potém pielgrzymka mętnych wyobrażeń,  
 I wyobrażeń tych óma światem leci,  
 Jak psy bez panów, gwiazdy bez ogniska,  
 Jak śpiew bez związku, jako błędne dzieci,  
 Jak ciemne duchy wzdłuż pobojowiska.

Na obszarze dawnego państwa rzymskiego, wszystko przemienione i przewrócone; już tu nie Gallo wie, nie Iberyjczykowie, którzy się stali Rzymianami, ale nowe plemiona odmiennego języka i twarzy; to odradzający się chaos pośród dotychczasowej jednostajności. Życie jednak umysłowe tlało wśród tych społecznych przewrotów, bo w jakichkolwiek okolicznościach, nie gaśnie ono nigdy; mniej tylko, lub więcej widzialnym połyska światłem, aż wreszcie stosowną znalazłszy chwilę, pełnym i jasnym wybucha płomieniem. Tak też i w wiekach średnich, owym niezupełnie zbadanym jeszcze dotąd zawiązku cywilizacji europejskiej, życie umysłowe wystrzela tu i tam nowemi objawy, a poparte potęgą kilku geniuszów, rośnie w siłę i dochodzi do wielkości, która i dzisiejsze jeszcze zdumiewa czasy. Określić w całej pełni wieki średnie, rzecz to wielkiego wymagająca mozółu, niejaka praca; bo wieki średnie, to niejako przystępna góra, która jednak w swém łonie zawiera miny złota. P. Mech. czuł dobrze ważność tej epoki. Treściwie dał nam poznać jeden z niej ustęp, jeden z najżywotniejszych, najbardziej artystycznych—jój poezją. Wyjaśniliśmy rodowód romantyzmu i rycerstwa, zastanowiliśmy się nad Rzymem i zatkniętym na jego gruzach godłem zbawienia, nad dzikim Atyllą i nad feudalnemi zamkami i burgami, od nowego zwrotu poezji greckiej przebiega do kaledońskiego Ossyana, a dalej do islandzkiej Eddy. Minesingerowie i Trubadurowie, z celniejszemi z ich grona piewcami, uwagi nad Boską Komedią Dantego, nad pieśnią Nibelungów, poematem Gudrum, Heldenbuch, Hildebrandslied i wiadomość o bractwie Meisterzengerów, dopełniają reszty obrazu.

Przejdźmy teraz do niektórych szczegółów. Kiedy p. Villemain miewał w Paryżu publiczne prelekcye o literaturze wieków średnich, po pierwszym wstępnym odczycie, zarzucono mu w jakimś piśmie peryodycznym, iż nie oddał należnego hołdu wpływowi, jaki chrystyanizm wywarł na cywilizacją nowoczesną; że nie znał pomników umysłowości kościelnej, że zatem był winnym niesprawiedliwości i nieznamomości rzeczy. W końcu domagano się zniesienia jego katedry. My także mamy niektóre do poczynienia zarzuty p. Mech. Pisząc o poezji wieków średnich, mógł był nam więcej o niej powiedzieć, aniżeli to uczynił. I tak nie dotknął wcale poezji łacińskiej. Śty Ambroży, Prudencjusz, św. Paulin z Nole, Seduliusz, Prosper z Akwitani, Klaudyanus Mamertus, Paulin z Perigueux, Avitus, Eunodius, Fortunat z Trewizu, żyjący w IV, V, VI, i na początku VII wieku, występują jako poeci chrześcijańscy, piszący po łacinie. Niemniejszym jest z tegoż czasu zastęp poetów łacińskich świeckich, jakoto: Auzoniusz



z Bordeaux, Prudencyusz z Saragossy, Klaudianus alexandryjski, Rutilius Numatianus, Martianus Capella, Sidonius Appollinaris z Clermont, Boecyusz Rzymianin, Maximianus, Corippus z Afryki, Fortunat z Trevizu, Sisebut król z Toledo.

O poezyi greckiej kilka pięknych, lecz ogółowych powiedział nam autor słówek, nie wyrzekłszy, kto mianowicie ją uprawiał. Synazyusz, Nonnus z Panopolis, Quintus ze Smyrny, Muzeusz grammatyk, Coluthus z Lycopolis, Tryfiodor, Grzegórz z Pizydy, zasługują przecież na wzmiankę. Mybyśmy nawet wymienili ówczesnych romansopisarzy greckich, Heliodora z Emezu, Achillesa Tatiusa, Longusa, Charytona Afrodisiasa, Eustathiusa z Egiptu, Arysteneta z Nicei.

Obok Trubadurów byli jeszcze Truwerowie. Pierwsi pojawiają się w południowej Francji; kwitnęli szczególnież w Tuluzie, Narbonne, w Aix w Prowancyi. Twory poetyczne w rodzaju lirycznym, znane pod nazwą: *sirventes*, *plaints*, *tensons*, *ballades*, *novas*, składali w języku d'Oc. Truwerowie zaś zajaśniali w północnej Francji, mówili językiem *d'Oïl*, i odznaczali się szczególnież w poezyi epiecznej i romansie. O ile pierwsi świetnie obrazowali swoje liryczne pienia nadając im muzykalność, właściwą południowemu narzeczu; o tyle drudzy są prozaiczni i szwargotliwi. Żywość ich jest szyderską, satyryczną. W wierszach pewien metr, a rymowanie nieudatne, zupełny brak harmonii; subtelność dowcipu w opowiadaniu, zamiast poetyckiego talentu. Mieli jednak i oni, podobnie jak Trubadurowie, chwile natchnienia, które się nie ograniczało na kilku śpiewach poddyktowanych pod wpływem wrażenia. W małych ośmiosyllabowych wierszach tworzyli rycerskie romanse, w rodzaju epopei. Czytano ich chętnie: jedna książka z ich utworami stanowiła całą bibliotekę rodziny lub zamku, była niejako sprzętem, ujęta w deseczki drewniane i okuta. Otwierano ją z poszanowaniem, jakby świętości jakie, i wielokrotnie odczytywano. A tak jak Trubadurowie mieli swego Bertranda de Born, Wilhelma IXgo de Poitiers, Daniela Arnaud, Rambaud d'Orange, Alfonsa IIgo Aragońskiego, Ryszarda Lwie Serce, Bernarda de Vendatour, Piotra Vidal, Delfina d'Anvergne, Blacas'a d'Aulps, Serdella z Mantuy; tak Truwerowie mają Roberta Wace, Chretien'a z Troyes, Auboin'a z Sezanny, Alexandra, Huona z Villeneuve, Giberta z Montreuil, Piotra Mauclerc, Thibaut IVgo z Szampanii, i Wilhelma de Lorris. P. Mech. odróżnił dwa odcienia poezyi francuzkiej: północnej i południowej, ale z nazwiska wymienił tylko Trubadurów, o Truwerach i ich celniejszych piewcach przemilczając.

Może wyliczeniem wszystkich powyższych nazwisk zanadto jesteśmy drobni; czujemy dobrze, iż professor dający tylko zarys ogólne poezyi wieków średnich, wchodzić w szczegółki nie widział potrzeby, bo go one mało obchodziły; ale z drugiej strony zdaje nam się, iż w pięknym wykładzie, kilka nazwisk więcej dorzuconych, nie tylko mu w wartości nic nie ujmuje, ale pobudza czytelnika do ciekawości, a tém samem do śledzenia po innych źródłach, w których o zapomnianych autorach więcej się dowiedzieć można. Prelekcji uniwersyteckiej słuchają zwykle ludzie młodzi, a wystawiając im w po-

wabnym obrazie umysłowość pewnej epoki i dodając bodźca do bliższego wpatrzania się w dany przedmiot, jest to zachęcić ich do badań naukowych, do pożytecznej pracy. Professor nie powinienby spuszczać tego z uwagi; obowiązkiem jego baczyc wszechstronnie na korzystny wpływ, jaki na swych słuchaczach wywrzeć może.

Rozbierając Boską Komedję Dantego, p. Mech. słuszną czyni uwagę, że zapał świętych mężów owego czasu, którzy w zmysłowych i dotykalnych postaciach uprzytomniali chrześcianom niebo, czyściec i piekło, wreszcie widowiska sceniczne podobnego rodzaju, mogły nastęrczyć poecie myśl do odmalowania piekła. Oprócz św. Franciszka i Dominika był jeszcze jeden mąż, mogący wywrzeć wpływ na Dantego, jeden z tych wielkich myślicieli, co wstrzasali pomysłami i zwycięstwami swojego wieku. Był nim Grzegórz VII. Z tego powodu przytaczamy tu okoliczność wspomnianą tylko w Villemain'ie, a o której nie ma ani w Muratorym, ani w Tyraboskim, ani w Baroniuszu (1).

Na kawał czasu przed Dantem, w malém mieście Arezzo, bawił papież Mikołaj IIgi, a w czasie nabożeństwa jeden z kardynałów wszedłszy na ambonę, prawił kazanie. Kardynał ten miał wówczas lat pięcdziesiąt; był niewielkiego wzrostu, oczy jego połyskiwały ponurym i ognistym blaskiem, od którego drżeli grzesznicy; włosy jeszcze całkiem czarne, nadawały rysom zestarzałej już twarzy, wyraz jakiegoś hartu i mężkości. Lud uwielbiał jego słowo, on sam uchodził za świętego męża, a biskupi całych Włoch drżeli przed jego władzą: był to archidyakon Hildebrand, później Grzegórz VII.

W tém co mówił, znajdziemy może natchnienie Danta. Ale po co sięgać tak daleko. Kiedy o podobnej rzeczy kazał człowiek geniuszu, musiała ona być powtarzana, komentowana, przesadzana, a w obiegu swym przybierając w wyobraźni ludu tysiączne dodatki, stała się wielką legendą, którą później drugi geniusz pochwycił i wyniósł do najwyższego szczytu poezji. Grzegorzowi VIIIu nie szło o myśl polityczną, lecz o akt duchownej władzy. W straszliwym obrazie chciał dać zrozumieć, że dobra kościelne były rzeczą świętą i niewzruszoną, i że ani baronowie, ani książęta nie mogli bezkarnie sięgnąć po nie ręką. Co więcej, zakładając sobie cel polityczny, chciał tę najcięższą zbrodnią wytknąć Niemcom, wrogom Włoch i papieża. Słuchajmyż co mówił:

„W jednej okolicy Niemiec, pewien hrabia bogaty i potężny, i co nader rzadkie w tego rodzaju ludziach, za sumiennego i cnotliwego uważany, umarł temu blisko lat 10. Po jego śmierci, jeden z świętych mężów zstąpił duchem do piekieł, i spostrzegł rzeczonego grafa na najwyższym szczeblu drabiny. Upewniał on, że drabina ta stała niewzruszona pośród buchających płomieni ognia mściciela, i była przeznaczoną na przyjęcie tych wszystkich, coby z tegoż hrabiowskiego pochodzili domu. Ciemny chaos i straszliwa przepaść ciągnęła się aż do nieskończoności, i łączyła się z piekielną głębią, z której owa drabina

(1) Cały ten ustęp wyjmujemy z kursu literatury wieków średnich przez Villemaina. (Wyd. Bruksel. z 1847, str. 537).



wystawała. Taki był ustanowiony porządek między temi, co po sobie następowali: nowoprzybyły stawał na najwyższym szczeblu drabiny, ten zaś, który tam był poprzednio, oraz wszyscy za nim, schodzili każdy po jednym szczeblu, ku otchłani. Członkowie tego rodu, łącząc się z sobą po śmierci na tej drabinie, koniec końców, nieuniknioném prawem, zstępowali jeden za drugim aż na dno przepaści.

„Święty on mąż, który na te rzeczy patrzył, pytając o powód tak okropnego potępienia, a szczególnie też o to, za co ponosił karę ów hrabia, który za jego czasu żył tak cnotliwie, sprawiedliwie i przyzwyczajony; taką miał sobie przez głos jakiś udzieloną odpowiedź: za dobra należące do kościoła w Metz, przez jednego z jego przodków, którego on jest potomkiem w dziesiątym stopniu, błogosławionemu Stefanowi odjęte; oni wszyscy jednaką ponoszą karę, a jak jeden i ten sam grzech skąpstwa połączył ich w jednym błędzie: tak też sama kara jednoczy ich w ogniu piekielnym”.

Owe 10 szczebli drabiny, symbolizujące postępek w piekielnym nowicyacie, oraz inne podobnego rodzaju słowa, wyszłe z ust przed któremi drżeli władcy, i z kazalnicy ciskającej klątwami, obiegając w ustach przerażonego tłumu, musiały prędzej czy później zrodzić w głowie genialnego człowieka plan wzniosły i nadzwyczajny, w którym 9 kół piekielnych stawało w oczach poety, jako ciągły postępek męczarni.

Skończywszy rzecz o wiekach średnich, p. Mech. przechodzi następnie postępek oświaty w czasach późniejszych, a pomiędzy wielu narodów zwraca się szczegółowo do Polski, i określa znamiona naszej poezji w wieku XVI. Z duchowego i tendencyjnego pokrewieństwa tej epoki z dzisiejszą, rozbiera dalej twory wstępnych poetów naszych XIX wieku. Choć te ustępy, jako najbliżej nas obchodzące, pisane są z sercem; trudno jednak powiedzieć, aby wyczerpywały przedmiot zupełnie. Są to raczej pewne myśli rzucone o naszych piewcach, poparte wyrokiem wydanym już na nich oddawna przez naród, aniżeli zupełne rozbiory, któreby dany przedmiot tak w oczach czytelnika odbijały, jak się odbija promień słoneczny w czystej krynicy. Może po tylu dobrych dziełach traktujących o literaturze naszej, z nadto jesteśmy wymagającemi; sam atoli autor nie zaprzeczy nam, że ta ostatnia część jego odczytów jest wiankiem, w któreby wpleść jeszcze można niejeden piękny kwiat, choćby żdźbło zielonej trawki tylko, przez coby się jego krasa bardziej podniosła i żywsze uczyniła wrażenie.

Podobnie jak wspomniany powyżej komentator prelekcji p. Villmain, wystąpił w jakimś piśmie z swoim domaganiem się, którego powody czy były należycie usprawiedliwione, nie widzimy potrzeby tu rozbierać; tak też i my kończąc niniejszy przegląd występujemy z domaganiem, którego urzeczywistnienie od samego p. Mecherzyńskiego zależeć będzie.

Na początku odczytów obiecał nam autor napisać historią literatury powszechniej, z szczególnym względem na polską. Z dotychczasowych jego prac biorąc miarę, czujemy jak wielki spłynąć ztąd może

dla nas wszystkich pożytek. Uniknęlibyśmy w nauczaniu posługiwania się pracami obcych, którzy acz trafnie nieraz malują obraz umysłowości pewnych epok, w sędzie atoli swym zbyt często powodują się osobistością, o naszych naukowych skarbach zbyt mało, a nawet nieraz i żadnej nie czyniąc wzmianki. Kiedy w obecnych czasach tylu pisarzy zbiera plony wyłącznie na ojczystej niwie, niechaj jeden z tych pożytecznych krajowi mężów, wstąpiwszy w rozleglejszy działania zakres, upowszechni między nami dzieje krytyczne wielkiej literatury ludów, z wykazaniem wpływu stanu społeczności na nauki, i nauk na społeczność. „Dziedzina badań literatury powszechniej, powiedział zacny nasz Majorkiewicz, i w ogóle naukowości uważanej wszechstronnie, leży u nas dotąd odłogiem i w zapuszczeniu tém: tylko na niej rosną niniemań osobistych i urojeń riedojrzate owoce; a przecież literaturą powszechna, historia albo prawo i t. p. nauki, z wszechstronnego uważane stanowiska, są to przedmioty równie ważne jak dzieje i literatura krajowa; opracowaniu więc ich równie poświęcać się potrzeba“.

Niechaj więc wezwanie p. Mecherzyńskiego do wydania nowój książki będzie dowodem, iż go stawiamy w rzędzie tych, którzy dla pożytku współbraci nie powinni ani na chwilę ustawać w swych naukowych pracach.

Pisano w Warszawie, w styczniu 1854 r.

J. Z.

### *Kilka słów o czystości mowy, z powodu dzieła p. Antoniego Nowosielskiego: Stepy, morze i góry; szkice i wspomnienia z podróży.*

W ostatnich czasach Naddnieprze zaczęło piśmiennictwu polskiemu dostarczać hojną daninę plodów pióra młodych, i po większej części wiele obtecującami zdolnościami odzuaczających się pisarzy. Wielu ich jest? niewiadomo, bo każdy kryje się pod kilką przybranemi nazwami, ztąd nazwisk poczet dość liczny. To wszakże pewna, że pisma peryodyczne zalewa powódź korespondencyj o tém i o owém, z których lepij zoamy Berdyczew jak Łowicz, a szyk i barwę kijowskich kontraktów, nawet rozmowy najużywanisze i siła plotek umiemy napamięć. I przyzwyczailiśmy się do tych nowych gwiazd, bo nienastannie błyszczą; a choć która i zajdzie na chwilę pod nasz poziom, przypominają o jej blasku tunc, wołając: „patrzcie! co to za jasność!“ Ale nie życzylibyśmy sobie przyzwyczalać się do sposobu, do środków, jakim blask ten na nas pada; powiedzmy bez ogródki:—do języka, jakim karmi nas nieogłędnie wielka część tych nowych pracowników; języka skażonego tém, co nazywamy prowincjonalizmem.



Nie nastajemy wszakże na pojedyncze wyrazy, na odmienne nazwy, barwę miejscowości noszące—broń Boże; ale na owę dziwną mieszaninę słów, ów zlewek brzmień bez nazwiska, który do mowy naszej wprowadzają.

Główny powód do tych uwag dała oam książka przez p. Antoniego Nowosielskiego wydana w roku bieżącym, w dwóch sporych tomach: *Stepy, morze i góry; szkice i wspomnienia z podróży*.

Nie zamierzyłem pisać recenzji téj książki, bo nie czuję się powołanym i właściwym krytykiem; lecz przedsięwziąłem sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego po przeczytaniu tych dwóch tomów książki, która tak zachęca i zaleca się napisem i osnową, mimowoli czuć się daje niezadowolone, niesmak, jak gdyby po nagryzieniu lukrecyi?

Że autorowi wspomnień i towarzyszym jego podróży nie nastroczyło się wiele nowych i zajmujących niespodzianek, nie ich w tém wino. Nie każdy może być tak szczęśliwy jak Dr. T. Tryppilo, który w podróżach swoich złowil wlećej wrażeń i wspomnień, jak wszyscy razem turyści, jacy podziśdzien szukali po świecie wrażeń; nie każdemu też dane, wrażenia z taklém opowiedzieć życiem, tak uczynić zajmującemi. Widać w szkicach p. Antoniego Nowosielskiego prawdę i chęć prawdy, czasem aż nazbyt drobiazgową; wierzmy na słowo wszystkiemu, nie myśląc się sprzeczać o to, czy w Kozłowie jest istotnie sklepów 336, mydlarni 11, garbarni 10, szynków 18 i t. d., lub mniej albo więcej; wysoko cenimy badania i pomysły o starożytnościach okolic, które zwiedził autor Szkiców samotnie, lub w towarzystwie autora Pokojówki; (1) nie chcemy nawet obstawać przy tém może urojeniu tylko, że humorystyka i liryczno-dramatyczna opisowość, nie są właściwym rodzajem p. A. N., który daje tak jędrne i zdrowe prace czysto naukowej barwy; lubo takie zdałe łatwo byłoby poprzecć tém, że o stepach i górach w Krymie dowiedzieliśmy się tego tylko, cośmy z Maryi i Sonetów już wiedzieli; a o morzu, że jest ciemno-zielone i kosztowało autora rubla srebrem danego za obiad. O co innego nam chodzi. Utrzymujemy, że niesmak, jaki zostawia książka rozbierana przez nas, a rozbierana dlatego, że jest pracą większego rozmiaru niż urywkowe korespondencye, i że jest otworem pisarza, który niepospolite zdolności dał już poznać, mimo wielu istotnych zkadłnąd zalet pochodził głównie złą: *że jest pisana nie po polsku, choć polskimi głoskami* wydrukował ją Glücksberg, lecz zdaje się być mierném tłumaczeniem.

Na poparcie tego twierdzenia przytoczymy kilka dłuższych wyjątków, i wskażemy niektóre bardziej rażące zwroty; bo chcąc wytknąć wszystkie wady języka, jakiego używa p. A. N., trzeba by nie mulejszą, jak jego Szkice, książkę napisać.

(1) Wyrażenie to kilkakroć spotykamy w książce p. Antoniego Nowosielskiego. Nikogo nie zadziwi omówienie takie, jak: autor Maryi, Listopada, Murdeliona, Fausta i t. d. bo to są dzieła będące żywemi, nieśmiertelnemi pomnikami ich twórców; ale taka figura retoryczna jak *autor Pokojówki*, jeżeli nie jest ironią, jest śmiesznością.

Stron. 102. Tom I. „Ku wieczorowi coś zanosiło się na deszcz; Liman przybrał jakiś ołowiany kolor: niebo poczerwiało, a na niem przesunęło się kilka obłoków, mieniących się od zachodzącego słońca to bursztynową, to opalową barwą. Fale się wzdymały, z szumem szły ku brzegowi i pientąc się wylewały na plasek. *Kiedy tak się działo*, od brzegu *tymczasem* odbijało czołno, a na niem—jakaś *musi być niezawodnie* familja marynarska; stary oficer, żona, córka szesnastoletnia i syn lat trzynastu, zrećnie pomagający włosem ojcu i sternikowi. Kilka błyskawic mignęło gdzieś daleko, głuchy grzmot dochodził do uszu, a *łódź poniosła się bystro od brzegu*, i tylko biała sukienka migiała i od wiatru”.....

Stron. 106. 107. T. I. ....„Zajawszy w hotelu *kwatere*, wyszliśmy zwiedzać miasto. Nasamprzód *poszliśmy po placyku* zasadzonym bzami i akacją, z widokiem na Dniepr. Stoł tu posąg spiżowy Potemkina, dzieło francuzkiego artysty Falconeta (;) *zdaje się pogląda on z tój wysokości na swoje miasto*, i ręką wskazuje na port”.

„Jest tu wojenna (1) cerkiew śwłetej Katarzyny męczenniczki, wystawiona 1786 roku. *Kiedy była cesarzowa Katarzyna w Chersonie 1787 roku*, odbywało się poświęcenie tój cerkwi; nad drzwiami jój *zrobiony był napis z bronzu*: „Zbawicielowi rodu ludzkiego Katarzyna IIga poświęca”. Obrazy w cerkwi w stylu włoskim; *mówią, malował je służący księcia Potemkina*, który się uczył malarstwa we Włoszech.... Po bokach *kurszą się* kadzidła w urnach w Wielki Płatek, kiedy ta Golgotha stawił się naprzeciw grobu pańskiego (Pańskiego)”.

Stron. 111. Tom I. „*Toż samo się dzieje co się dotyczy* zawojowania Taurydy; ten *niekczemny* dziś kraj, strasznym i zgubnym był dla Polski; niszczył on jój piękne prowincye, obierał z ludności, a Polska nie pomyślała *nawet o tēm*, aby *silną ręką* przerwać te łupieżstwa, *raz wtargnąwszy* z wojskiem do tój ziemi rabusiów, i podbiwszy ją pod swoją władzę”... I dalej: „Polska mając kozactwo, mogła była zrobić wiele, *gdyby zamiast tego, coby tracić siły własne* za krwawe wojny z Ukrainą, obróciła była raczej siły całej kozaczyzny na Krym i Turcyę (a), dając Ukraincom swobody i religijną tolerancję (a). Nieroztropny Zygmunt IIIci stanął *zawadą* w tój wielkiej sprawie wewnętrznego i zewnętrznego zmoocnienia się Polski.”

Stronbica 114. Tom I. „W Chersonie *opatrywałem* nazajutrz rano nową żydowską bóżnicę; *doskonała to jest świątynia*; *opatruje się ją* z kapeluszem na głowie. Dalej *opatrywaliśmy* jeszcze cerkiew soborną raskolników (heretyków ruskich), i cerkiew grecką... *Kiedyśmy spoglądali* na to miłe trzynastoletnie dziecko, *spostrzegłem iż wchodził do pensjonatu* urządzonego dla żydów.”

Tom II. stron. 14 i 15. „Ścisłkanta i całusy *tu i tam*; grupy na brzegu najrozmaitsze; psirokaczna i ścisłk najwiękwszy; *więj* kobiece szaty, wznoszą się parasoliki, powlewają chustki... Jakis pan N. gruby, zdrów, dziś kommissant w Odesse *jakiejsis* fabryki cukrowej, *jechał dla interesów* do Taganrogu, i po drodze zwiedzał wszystkie porty, ba *pyroskał*

(1) Wojskowa.



*zachodzi* wszędzie na morzu Czarném, nim dojdzie do Azowskiego. Jedziemy więc sobie rzemlennym dyszlem. Na bulwarze, wystrzał z armaty oznajmił nareszcie południe; *parowa świstatka zaświstała na całe wybrzeże* i obcy uciekali z pokładn; a tymczasem *zaczęto zdejmować kotwicę*, puszczone parę, która buchnęła raptownie, i spadła *bryzgami* na pokład; zadymiały następnie burym i czarnym dymem kominy, i okręt po mału zaczął się oddalać od brzegu, i t. d."

Stron. 16. „Bojąc się morskiej choroby, nie chciałem jeść obiadu; kazałem *tylko podać zupę*, ale wedle ustawy *pyraskafów*, chociażby kto nie jadł obiadu, za obiad wszakże płacić powinien, i płacić dobrze”.

Stron. 53. „O drugiej z południa zaczęły pokazywać się nam w dali brzegi; z razu majaczyły *one* tylko oczom; przez llnetę odznaczały się jak szara smuga; dalej *zaczęły bieleć* przed nami baterye Sewastopolskiego portu i wieże kościołów, i coraz *więcej i więcej* wydobywało się z morza miasto, jakby zakłete wychodziło *ono* z wody na rozkaz wróżki. Nasamprzód *wchodząc w zatokę* z jednej i drugiej strony ciągnęły się baszty.... *Przebywszy tę linię, ciągnie się* już w porcie druga podobna' i t. d.

Stron. 65. 66. 68. „Statek nie mógł odpłynąć *raniej jak* o 10ej (nb. mowa o 10ej wieczornej); zostawała jeszcze *godzina i kwadrans...* Nareszcie niespodzianie wystrzał armatni rozległ się po brzegu, i *tu i tam* powtórzył się echem, odbijając się po kilkakrotnie o mury baszt ciągnących się po obu stronach portu...”

„O pół do dziesiątej para zaczęła świstać przeraźliwie; *zaczęto zdejmować kotwicę*, i ciszę przerywał tylko ponury dźwięk *ciągnanych* po moście łańcuchów i t. d.

„Ale zaraz zaczęliśmy się zbliżać do Jałty, *przez trzy ćwierci godziny* mieliśmy zawinąć do jej portu” i t. d.

Stron. 62. „Postrojone kobiety i oficerowie morscy chodzili tu i tam, pod dachem portyku, u stóp bóstw greckich siedziały kompanije, a na tarasie wojenna muzyka grała najpiękniejsze motywy z oper Łucyl, Normy i Purytanów” i t. d.

Podobnych ustępów wynotowaliśmy bardzo wiele, lecz i tych wystarczy. Podaliśmy próbkę stylu pana Antoniego Nowosielskiego bez komentarza, w przekonaniu: że ktokolwiek czuje ducha mowy polskiej, zgodzi się z nami, że pan A. N. używa języka bardzo skażonego.

Każdemu wiadomo, że duch mowy polskiej wymaga przeniesienia formy czynnej nad bierną, i że forma zwrotna, zaimkowo nieosobista, zupełnie mu jest niewłaściwą. Autor Szkiców rzadko umi uniknąć tego błędu, zwiększając go użyciem słów niewłaściwych, inne znaczenie mających w polskim języku, a ztąd, przez nieznaną języka rossyjskiego zaledwie rozumianym być może.

Np. „w powietrzu wznosił się aromat majowego deszczu.”

Str. 94 t. I. „Śliczny tu ogródek z przeprowadzonymi źródłami, które się wlewają w kamienne basejny.”

Stron. 101. „Łódź poniosła się bystro od brzegu.”

Str. 232. „Łodzie, odwożące na statki zagraniczne zboże i ludzi na nich, za każdą razą *okurzają się*, i na takiej łodzi *stawi*

się llera *O*, co znaczy okniona, albo oczyszczona, i taka tylko *wypuszcza się* na brzeg."

Str. 245. „Wino, którego uprawa *przypisuje się* Dionisowi, którą on przywiósł z dalekiej Azji, *chroniło się* zwyczajnie w wielkich nurnach, które, jak wiadomo, nosiły nazwę *Butle*...”

(Okres ten mógłby służyć za wzór, jak nie należy pisać po polsku. Zaimek *który* użyty aż trzy razy, z odniesieniem coraz do innego rzeczownika).

Stron. 247. „Herkules *wyobraża się* na płaskorzeźbach starożytnych odpędzającym Centaurów, chcących pić z wazy *Fanlusa*.”

Tom II. stron. 44. „Głównym punktem handlu jest zboże, które *wysyła się* stąd... Kawior kefalowy *bardzo się* ceni...”

Stron. 53. „Coraz *więcej i więcej* wydobywało się z morza miasto.

Stron. 58. „Widzieliśmy okręt czyszczący kanał z mułu, *którym się ten* zanosi; *pracuje* tu parowa maszyna, ale czuć tu okropole.”

Str. 61. „Przez otwarte okno jednego domu, *połaty się* na nas melodyjne i burzliwe fale polki Każyńskiego... Bulwar lepij wydaje się z dołu; drzewka akacji żółtej małe, liście na w pół uwędle, *przypadłe* pyłem białym; na *tym panującym* nad miastem wzgórzu, z *którego widzi się* port, i z którego widzieliśmy Jenkale, jego buchające dymem kominy i rozpięty biały baldachin na pokładzie; na *tym* wzgórzu powiadam, stoi monument i t. d.”

Zbyt często powtarza autor zaimki osobowe: *ja, ty, on, ona, one*, i płące mowę zaimkami względnymi: *który, jaki*. Z przysłówkiem *tu*, przynajmniej po razy kilka na każdej stronie spotkać się trzeba, a zamiast *żeby, jak, jeżeli*, używa *co*. Często także słowom i przedimkom inny rząd niewłaściwy narzuca. Naprzykład:

Tom II. Str. 265. „Nie uwierzysz jakim to ja jestem tu pielgrzymem; zwiedzam tu wszystkie przybytki Pańskie.. Nie uwierzysz z jaką zazdrością poglądam *ja* na koblęty wielkoruskiego ludu, co w grubej czarnej odleży, z tykwą i paclorkami u czarnego pasa, naszywanego jakąś pobożną sentencją psalmu, kwestujące ze Iżą w oku grosza, o którym mają się dostać do grobu Pańskiego. Wyciągają one rękę i z jękłem proszą o jałmużnę...”

Tom I. Str. 106. „Poszliśmy po placyku zasadzonym bzami.”

Tom II. Str. 66. „Gwiazd przez kwadrans powtórzył się. Przez trzy ćwierci godziny mieliśmy zawinąć do portu.”

Str. 59. „Nie masz tu tak pięknego widoku co tam. Zaczął narzekać przed nim, że ciągle posyłają go za wodą. Wskazał nam na ścieżkę”.

Str. 91. Tom I. „Kolonije wojenne były założone za cesarza Alexandra. Pierwsza myśl ich należy się generałowi Arakcejew; jego projekt założenia kolonij jazdy, któraby konsystując stale w swoich stałych kwaterach, *nic nie kosztowała* rządowi, owszem powiększała się jeszcze stale dziećmi żonatych żołnierzy, wstrząsnęła była, w swoim czasie, całą Europę”.

Ciągle używa autor Szkleów *nazad*, zamiast *napowrót, zamienić* za *zastąpić*, *drugi* za *inny*, *wojenny*, za *wojskowy*, *kazarmy*, za *kosza-*



ry, nieboskłon za widnokrąg, karantyna za kwarantanna, którą autor tak określa: „jesto kwartał obniesiony murem; żyją tu ludzie pracujący nad odwożeniem do statków zagranicznych zboża i ci, co przybyli z Turcyi. Str. 232. tom I.

„Deszcz napadł jeszcze, burza nas napędziła; napędzałem czasem karawanę czekającą na mnie; gdziebym nie był kaszląca czas od czasu... Żyją tu jeszcze Ruscy (1) zostający na służbie, odstawni żołnierze, skarbowi chłopci. (Str. 41, t. II.).

\* \* \*

Nie temi tylko wytkniętymi zwrotami grzeszy pan A. N.: pełno w jego książce usterek grammatycznych; np. mówi: obrzęda, okręta, motywy, zamiast obrzędy, okręty, motywa. Czwartym przypadku zaimków: *moja, twoja, swoja*, kończy na *a*, a szósty i siódmy przymiotników nijakiego rodzaju na *yna*. Mnóstwo też używa rażących galicyzmów, np.

Na stronnicy 36. Tomu II. „Wszedłszy na dziedziniec po jednej stronie i po drugiej ciągnęła się budowa długa.”

Na str. 37. „Zwiedzając synagogę, weszliśmy nasamprzód do drugłej, potem przybudowanej sali.”

Na str. 37 tomu I. „...wioski ze stawami, na których gminy wiejskie nie widząc żadnej dobrej racyi mościć grobil, zostawiają podróżnym przyjemność jechać w brod”.

Str. 45. Tom I. „Podczas kiedy gospodyni jeła podtrzymywać rozmowę, z drugiego pokoju dały się słyszeć melodyjne akordy mazurka Szopena.”

Tom I. Str. 77. „Podczas gdyśmy piłł herbatę à l'anglaise... wszedł do nas siwobrody Mejer.”

Na str. 96. tomu II. „Co zajmuje, to, iż widzisz tu ciche gusta kobiety mieszkającej na wsi”.

Na str. 99. tomu II. „Przedtém jak mieliśmy wjechać do rezydencji księcia Woroncowa, nad drogą ukazał się nam obelisk z kamienia; na nim zamiast hieroglifów, prosto napis głoścący, iż jest to Ałupka”.

Na str. 170. tomu II. „zrobiliśmy go naszym factotum, posłaliśmy go natychmiast po samowar, bułkę i śmietankę, co było wszystko rzeczami bardzo trudnemi do dostania...”

Tom II. Str. 62. „podnosiły i migały białe żagle, lub też rysowały się tylko czarne sylnety pyroskafów stojących na radzie (la rade) w widoku porta” i t. d.

\* \* \*

Była chwila u nas, która bodaj bezpowrotnie zapadła w przeszłość i dziedzinę historii, że aby uchronić za dobrze wychowanego i dobrego tonu człowieka, trzeba było przeplatać mowę ogólnikami i frazeskami francuzkimi. Dziś lieu-commun'y te powtarzają już tylko pokojówki

(1) Po polsku mówi się Rosyianie, oznaczając nazwą zbiorową mieszkańców cesarstwa, lub Rusini, gdy jest mowa o mieszkańcach Malorossyi.

i lokaje, nasłuchawszy się ich z przedpokoju. Pan A. N. upstrzył swoje książkę innym słownikiem takich ogólników, jak: *Comme il faut; d'un prix fou; le parti pris, vogue la galère; comme si de rien était; faire fureur; à la belle étoile*, i t. d.

Pojmujemy, że miał to być dowcip i humor!!

Zakończymy te uwagi dwiema jeszcze:

1) Autorowie wiuul przedewszystkiēm nauczyć się władać językiem tak, aby myśli ich przez ucho traflały do serca i rozumu, ule raniać boleśnie; a wzorów, dzięki Opatrzności, nie zbrakule im nawet w tegoczesnej literaturze.

2) Drugą uwagę sklerujemy wprost do pana Antoniego Nowosielskiego, który podobno nie jest Nowosielskim.

Nie myślimy tu nastawać na pseudonimizm. Kto nie chce nibyto wydać się, niech się nakrywa kapturem pseudonimu, ku pociesze przyszłych bibliografów, którzy niemają mozoł mieć będą odgrzebywać, co kto w naszej epoce napisał. Lecz widzimy się w obowiązku ująć za prawdziwym Nowosielskim. Może nie wle pan pseudo-Nowosielski, że młodzi nam, w murach Warszawy istniejące rozgłosuēj, niemniej przeto rzetelnej sławy pisarz, Teofil Nowosielski, współpracownik na jednej ulwie z Jachowiczem.

Znają go dzieci i prostaczkowie, bo na jego bajeczkach i powiastkach kształca młodociany umysł i serce, uczą się pojmovać i wyrażać myśli po polsku. Niech pan pseudo-Nowosielski oblerze sobie przezwanie z królestwa zwierząt, ryb, gadów, ptaków, roślin lub mineralów, jak to jest w zwyczajnaju w jego stronach; ale niech się nie spokrewnia z nazwiskiem znanēm i nie wprowadza w bład tych, którzy luszą mowę słyszeli z ust prawdziwego Nowosielskiego.

Nie przepraszamy pana Nowosielskiego Antoniego za trochę żółci, jaka mimowoll i rozlać się musiała, i zaprawić goryczą obronę w sprawie tyle ważnej, jak czystość mowy; bo mamy przekonanie, że o to nie dba. Jakżeby mógł zresztą liczyć na współczucie i pobłażanie autor, który odzławszy się w fałdzisty płaszcz arrogancyi i samolubstwa, odzywa się do swoich spółbraci na stronnicy 123, tomu II, w te słowa: „Ale dosyć tego; wezbrane uczucia popłynęły, podczas kiedy miałem opisywać tylko moję podróż, a nie kreślić myśli i uczucia, jakie się rozwijały w sercu i głowie; co komu do serca mego, kiedy wiele wątpli nawet czy ja mam serce. I moi państwo! dla was lepij byłoby daleko, abym go nie miał wcale, w niēm bowiem dla was obrzydzenie tylko i pogarda się kryje; co komu do tego, czy na dale tego serca zwinęta gadzina, czy rozkwitły kwiat się mieści.”

Warszawa, dnia 31 marca 1854 roku.

K. T.



Do autora: *Kilku słów na zaczepkę p. D.* w Bibl. Warsz. na m. maj r. b. umieszczonych.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej otrzymała od p. De Lavaux odpowiedź na *kilka słów obrony autora życiorysu Kortycellego*, umieszczonych w zeszycie majowym na r. b. Dla zakończenia sporu, przywiedziem tu tylko szczegóły nowe co do samego Kortycellego:

„Gdy szanowny autor (pisze p. De Lavaux) ma zamiar wydać w dziele swoim nowy życiorys wspomnionego urzędnika, niech raczy dodać, że po skończonej missyi reprezentanta dworu i Rzplitej polskiej, Kortycelli miał proponowane od cesarza kanclerstwo, lecz od tego słabością zdrowia i podeszłym już wiekiem wymówił się. Ten więc urząd dostał się później *Wojnie*, byłemu ministrowi Rzplitej, a Kortycelli tytuł hrabiego otrzymał.

„Jeden błąd zaszedł w moich uwagach krytycznych, że niemogąc znaleźć na mappie Włoch miasta *Come*, mylnie zostałem informowany przez pewnego wojażera, że to znajduje się w Szwajcaryi włoskiej: ztąd nazwałem naddziadów Kortycellego Szwajcarami, nim ci do Kurlandyi przesiedlili się. Później po napisaniu artykułu, przekonałem się, że to miasto leży w Lombardyi, lecz przypisku wykreslić zapomniałem”.

Kraków, 15 maja 1854 roku.

L. De Lavaux.

## ROZMAITOŚCI.

Wyjaśnienie: *jaka była długość mili słusznej, używanej w r. 1669 w dzisiejszych zachodnich guberniach cesarstwa.*

**P**rawa polskie koronne i litewskie stanowią wielkość miar nżywanych w handlu do mierzenia płynów, ciał sypkich i towarów łokciowych, jak o tém przekonywają liczne konstytucye, a mianowicie:

z r. 1565 vol. 2 fol. 687, tyt.: A co się tyczy łokci.

— 1598 vol. 2 fol. 1473, tyt.: Miara jednaka.

— 1613 vol. 3 fol. 200, tyt.: O miarach.

— 1677 vol. 5 fol. 532, tyt.: Reassumptio.

— 1764 dla Korony vol. 7 k. 330.

— 1766 dla Litwy Vol. Leg. 7, k. 519.

Pomimo jednakże tych konstytucyj i licznych innych względem wielkości miar uchwalonych, względem dróg postanowiono tylko tyle w dawnych prawach polskich, że ich szerokość dla dogodności handlujących prawem oznaczono, a mianowicie: konstytucją z r. 1569, fol. 189, „Ciż lustratorowie” i artykułem 32 rozdziału IX Statutu Litewskiego.

Dopióro postanowienie Księcia Nam. Kr. z d. 13 czerwca 1818 r. (Dzien. Praw tom 6) długość mili polskiej na łokci 14816 oznaczyło.

Długość zatem mili, równie w Koronie jak w Litwie nie będąc oznaczoną żadnem prawem, polegała na zwyczaju miejscowém, i w różnych prowincjach była rozmaita; a nawet w jednej i tej samej prowincyi były: mile wielkie, średnie i małe. Tak np. podług Solskiego, który dzieło swoje: „Geometra Polski“ wydał w Krakowie r. 1683, mila polska zawierająca 4 włoskie, liczy łokci krakowskich  $13333\frac{1}{3}$ , czyli kroków 4000; jeżeli zaś mila polska zawiera w sobie półpiętej mili włoskiej, liczy łokci krakowskich 15000; nakoniec jeżeli mila polska zrówna pięciu włoskim, będzie liczyć łokci  $16666\frac{2}{3}$  (Solskiego Geometra Polski. Kraków 1683, zabawa XI, rozdz. V, karta 145).

Wiedząc, że łokieć dawny polski Koronny czyli krakowski zawiera 1,0339218 nowych łokci polskich, a 0,837387 arsz. ros. (Porównaue



miar i wag Kolberga. Warszawa, 1838, karta 18) łatwo jest długość dawnych mil pols. obrachować w nowych łoklach pols. lub arszynach ros.

Dziełko Kolberga: Porównanie miar i wag (k. 37) wymienia dawne mile polskie *duże*, których liczy 15 na 1 stopień południka i *małe*, których liczy 20 na jeden stopień; a że na jeden stopień południka idzie 104,21 wiorst rossyjskich podług tegoż dzieła, zatem dawna mila polska

duża=6,9478 wiorstom

mała=5,2105 —

Dykeyonarz polsko-łaciński Knapskiego z r. 1621 wymienia milę polską: „pospolita, młerna“ zawierającą 4000 kroków, to jest też sama, na którą Solski rachuje 4 mile włoskie, czyli łokci krakow. 13,333  $\frac{1}{3}$  czyli kroków 4000; lecz mili zwanéj *stuszną* ani w Solskim, ani w Knapskim, ani w Słowniku Lіндеgo, ani w dziele Czackiego: O litewskich i polskich prawach, doczytać się nie można. Prócz tych, były przejrzone inne dzieła, lecz żadnej wzmianki o mili *stusznój* nie zawierają. Wszakże wyrażenie: *mila stuszna* ale może znaczyć nie innego, jak mila wielka; albowiem w polskim języku człowiek wzrostu słusznego, znaczy to samo, co wzrostu wielkiego. W Wielkopolsce, a podobno i w okolicach Kiele i Krakowa, jest używane dodziśdła w mowie potocznej wyrażenie: „słuszny kawał, słusna mila”, zamiast: wielki lub spory kawał, wielka lub spora mila. Podobnież w niektórych prowincjach cesarstwa mówią dodziśdła: „słuszna wersza“, w znaczeniu: bardzo długa, czyli wielka wiorsta; „słuszkom” znaczy w ross. języku: „nazbyt wiele, wielce.” Podobnież w Mazowszu dotąd mówią: mila dobra, w znaczeniu mila wielka, słusna.

Niezaprzeczonej wynika ztąd wniosek, że w duchu tak polskiego jak ruskiego narzecza: „mila słusna“ nie może znaczyć nic innego, jak: „mila wielka“.

Wiadomo zaś, że i ruski i polski język przeważnie w dawnéj Litwie panowały; z tych przeto języków i w znaczeniu temi językami wskazaném, weszło na Litwie w użycie wyrażenie: „mila słusna“, oznaczając toż samo, co: „wielka, duża, spora mila“.

Pozostaje zatem wykazać, jaka była na Litwie długość *mili wielkiej* czyli *stusznój*.

Mikołaj Krzysztof Radziwiłł ksiązę na Ołyce i Nieświeżu, zmarły w roku 1616, ten sam, który wykupił i spalił Biblią Radziwiłłowską, drukowaną dla wyznania reformowanego kosztem jego ojca Mikołaja Czarnego wojewody wileńskiego; wyłożywszy 5000 dukatów na jej wykupienie, nie żałował starań i znacznych nakładów dla sporządzenia wielkiej geograficznej mapy Litwy i Żmudzi. Użył do tego Jana Portacynsza Infantczyka, i Marcioła Helwiga Szlązaka (zbiór Miclera t. 2, k. 41; Jaroszewicza Obraz Litwy cz. 2 k. 119). Była ta mapa wydana na nowo w roku 1613, i jest także zamieszczona w atlasie Merkatora i Hondiego wydanym w Amssterdamie w r. 1638, jak przekonywa napis na mapie Litwy, w atlasie Merkatora zamieszczonéj, położony w słowach:

„Magni Ducatus Lithuaniae exactra descriptio Illustrissimi Principis Nicolai Christophori Radziwiłł.... opera et cura io lucem edita“.

Na mappie téj są dwie skale: jedna z napisem: „Millaria magna“, druga skala z napisem: „millaria communia.“ Podług tychże skal, 24 *miliaria magna* równają się 32 *miliaria communia*.

Innych skal, prócz tych dwóch na mappie w mowie będącej nie ma. Porównawszy te dwie skale z samą mappą, pokazuje się, że: z Wilna do Kowna jest w prostej linii 12cie *miliaria magna*, czyli mil wielkich albo słusznych, a 16cie *miliaria communia* czyli mil zwyczajnych. Taż sama odległość z Wilna do Kowna podług atlasu Polski przez Zanoniego z r. 1772, zawiera w prostej linii mil geograficznych  $13\frac{1}{4}$ . tojest takich, jakich 15cie idzie na jeden stopień południka; a zatem 12 mil wielkich czyli słusznych = 16tu milom zwyczajnym =  $13\frac{1}{4}$  milom geograficznym.

Podług Kolberga (k. 37) 15 mil geogr. = 104,21 wiorstom rossyjsk., zatem 1 mila jeogr. = 6,94733 wiorstom, tém samem mil jeogr.  $13\frac{1}{4}$  = 92,047 wiorstom: a ponieważ mil jeogr.  $13\frac{1}{4}$  = 12 milom wielkim czyli słusznym = 16 milom zwyczajnym, zatem 12 mil wielkich czyli słusznych = 92,047 wiorstom, i 16 mil zwyczajnych = 92,047 wiorstom; z czego wynika, że 1 mila wielka czyli słuszna = 7,670 wiorstom, a 1 mila zwyczajna = 5,127 wiorstom.

Nadmienić tu jedyne wypada, że części dziesiętne mniejsze od tysięcznych, są w tym rachunku opuszczone.

Ten obrachunek wielkości mili litewskiej słusznej i zwyczajnej, zdziałany na zasadzie kopii mapy Radziwiłłowskiej, w atlasie Merkatora i Hondego z r. 1638 znajdującą się, stwierdza jeszcze podanie, jakie Zanoni w swoim atlasie z r. 1772 o wielkości mili litewskiej zachował. Podług Zanoniego bowiem idzie na 1 stopień mil litewskich 20; że zaś na 1 stopień południka, podług Kolberga, idzie wiorst rossyjskich 104,21: zatem mil litewskich 20 = 104,21 wiorstom, zatem 1 mila litewska, jaką podaje Zanoni = 5,2105 wiorstom. Podług zaś powyższego obrachunku, na zasadzie mapy Radziwiłłowskiej skutecznionego, mila zwyczajna = 5,127 wiorstom: różnica zatem między, milą litewską atlasu Zanoniego a milą litewską zwyczajną mapy Radziwiłłowskiej, wynosi tylko 0,09. Widać ztąd:

1) Że Zanoni zamieścił w atlasie swoim milę zwyczajną litewską, o innej zaś litewskiej, prócz takiej, jakich 20 idzie na stopień, nie wspomina.

2) Że mile zamieszczone na mappie Radziwiłłowskiej pod nazwą: „millaria magna” i „millaria communia”, są istotnie milami litewskimi, gdyż mila zwyczajna mapy Radziwiłłowskiej równa się prawie zupełnie mili litewskiej atlasu Zanoniego, a nadto na mappach każdego kraju, jak teraz tak i dawniej kładły się skale z milami tego samego kraju, który mappa przedstawiała.

3) Skoro powyższy obrachunek mili litewskiej zwyczajnej jest prawdziwy, jako stwierdzony podaniem Zanoniego o mili litewskiej; tém samem prawdziwy być musi powyższy obrachunek, o ile się tyczy mili litewskiej wielkiej czyli słusznej.

Zresztą dokładniejsze i pewniejsze obrachowanie długości mili litewskiej słusznej czyli wielkiej, może być powzięte:



1) Z oryginalnej edycji mapy Radziwiłłowskiej, która bez wątpienia znajdować się musi w dawnej bibliotece Zaskłch w Petersburgu będącej, gdzie inne materyały do niniejszego przedmiotu wynaleźć się dadzą, do tu na miejscu trudno było wleźć wynaleźć.

2) Za Zygmunta Augusta w r. 1550 i latach następnych dokonany był pomiar geometryczny ekonomij królewskich na Litwie i Żmudzi (Jaroszewicza *Obraz Litwy część II*, k. 118), a z tego pomiarowego dzieła, zapewne i o mil litewskiej słusznej możnaby powziąć wiadomość, gdyż jak powołany wyżej Solski nadmienia, przy mierzeniu granic większej rozległości, mierzono i rachowano na mile. Dzieło to jednakże miernicze z r. 1550 i lat następnych, znajdować się także musi w Petersburgu w aktach metryki litewskiej tamże będących.

Do wynalezienia długości mil na Litwie nżywanej, posłużyć także mogą następujące wiadomości:

W dziele: „*Limites Regni Poloniae*”, wydanem przez Dogiela w Wilnie r. 1758, w oddziale: *Granica z Turkami*, k. 69 i 70 są wyrazy: „non tantum Chocimium duobus fere milliaribus a Camenieli Podollae distat”.

W oddziale *odnowienie granic między Inflantami i Litwą*, k. 221 są wyrazy: „od jeziora Okmena gdzie się schodzi granica Dryswecka z Smolwanami, do jeziora Kurczmy półtrzęciły mil” (r. 1529). W dziele *Republica Poloniae, Linguae Batavorum*, a. 1627 f. 277, de ducatu Samogitiae ex Alex. Gagnino, zapisano: „est etiam quatuor a Vilna miliaribus Lavariski villa regia in qua a multis adhuc serpentes coluntur”, (umarł Gwagula r. 1614).

Wiedząc, ile dziś rachuje się mil z Chocima do Kamieńca, ile od jeziora Okmena do jeziora Kurczmy, ile mil z Wilna do Lawaryszek, i mając tu powyżej podaną odległość tych miejsc w dawnych miarach, łatwo dojść jak długa jest mila dawna litewska na dzisiejszą miarę rachując.

W końcu należy jeszcze dodać, że podług atlasu Zanouiego z r. 1772, idzie na 1 stopień mil kurlandzkich żmudzkich  $18\frac{1}{2}$ , wielkich ukraińskich  $12\frac{951}{2000}$ , ruskich i pokuckich  $14\frac{1}{4}$ , podolskich  $10\frac{1223}{2000}$ , wołyńskich 13, wiorst ross.  $104\frac{1}{2}$ ; podług tego łatwo jest obrachować w wiorstach rossyjs. wielkość każdej z wymienionych tu mil.

D.

### *Kolonie rolnicze w Holandyi.*

Holandya jest kraj dawny i bogaty. Ludność jej przemysłowa, rozległość szczytła, zasoby ograniczone. Bogactwo Holandyi pochodzi głównie z handlu, i to raczej z handlu dawniejszego, niż z handlu obecnie prowadzonego, wśród spółubiegania się wielu spółzawodników. Część kraju jest urodzajna, część bardzo nleżyzna. Ludność dochodzi 5,200 głów na milę kwadratową. Pauperyzm był długo jedną z naj-

większych kłesk kraju; wspomóżenie ubóstwa kosztuje rocznie więcej niż 3,000,000 rubli, jakkolwiek ogólna ludność wynosi tylko 3,360,000. W celu wykorzystania tej kłeski, lub przynajmniej zapobieżenia jej szerzeniu się, ułożony został w roku 1817, przez generała Van den Bosch, plan kolonizacji wewnętrznej. Plan ten przyjęty został, znalazłszy poparcie u rządu. Zasady jego są następujące:

Kolonie wewnętrzne podzielone są na dwie klasy; na kolonie wolne i kolonie ubogich. Pierwsze przeznaczone są dla rodzin niezamożnych, mogących stać się ciężarem społeczeństwo; drugie dla rodzin popadłych już w ubóstwo.

Towarzystwo kolonii wolnych rozpoczęło swoje działania w roku 1818, z wielkimi nadziejami i pod szczęśliwą wróżbą. Zakupiło około 2,160, morgów nieużytków, nieżywnych wprawdzie, lecz do korzystnej uprawy zdalnych, i wystawiło budynki gospodarskie. W roku 1825 kolonia liczyła 3,227 dusz; w latach 1843—53 było osiedlonych w przecięciu dusz 2,543, składających 425 rodzin. Każda rodzina zajmuje i uprawia osadę  $5\frac{1}{2}$  morgową. Są w tej kolonii szkoły, kaplice, sklepy, około 400 warsztatów tkackich (oprócz innych rzemiosł, których wyroby dochodzą wartości 120,000 rub. na rok); grunta kolonii są dobrze uprawne, a całość przedstawia widok kwitnącego zakładu, zielonej oazy na pustyni. Ścisłe przecież zbadanie rachunków, rzecz w innym okazyje świetle.

Założyciele towarzystwa liczyli na to, że po dwóch lub trzech latach, gdy już grunt będzie uprawny i sprzęt z niego nastąpi, osiedlone rodziny będą w stanie same się utrzymać i płacić czynsz umiarkowany. W tym przewidzeniu czynsz ustanowiony został na 25 rubli z  $5\frac{1}{2}$  morgów, czyli około rsr. 3 k. 30 z morgi; a towarzystwo oddając kolonistom użytki z gruntu, wystawiło jeszcze dla nich domy, obowiązało się naprawiać je swoim kosztem, zaopatrywać kolonistów w krowy w stanie ciągłej dojrzości, w pomoc lekarską, zakłady wychowania dzieci, i otworzyć im w razie potrzeby zarobek w tkalni towarzystwa. Kolonie istnieją już od lat 35, jednakże w roku 1853 było tylko 16 kolonistów wolnych, t. j. mogących utrzymać się własną pracą i opłacić czynsz naznaczony. Reszta kolonistów pracowała za najem dla towarzystwa, i w części przynajmniej utrzymywana była jego kosztem. Taki jest stan protegowanych kolonii. Więcej jeszcze zadziwla, że na tej samej glebie, w małej odległości od kolonii wolnej, pewna ilość niezależnych robotników osiedliła się, zajmąwszy nieużytki pod uprawę, i chociaż niezopatrzeni w krowy, lekarstwa, zakłady wychowania i zarobki dla dzieci w fabrykach, utrzymują się w stanie kwitującym, a nawet płacą 42—48 r. czynszu, z  $5\frac{1}{2}$  morgów gruntu, t. j. prawie w dwójnasób więcej, niż czynsz dla kolonistów naznaczony, lecz przez 16 z nich tylko rzeczywiście opłacany. Dziwny ten i zastanawiający wypadek wytłumaczył panu John Mac Neill, prezydującemu w zarządzie ubogich w Szkocji (Poor-Law-Board) który w roku 1853 zwiedził kolonie rolnicze i stan ich opisał, pomocnik dyrektora wolnych kolonii. Mówił on, że przekonanie w którym zostają koloniści, iż towarzystwo przyjdzie im w pomoc na wszelki wypadek i utrzyma ich bez względu na to, czy są lub nie są



oszczędni, czy pracują pilnie lub opieszale, wywiera szkodliwy wpływ na ich oszczędność i zabiegłość. Przejrzenie rachunków kolonii od jej założenia, utwierdziło wniosek, że pomimo zysków na rękodzielniczej części zakładu, towarzystwo na każdej osadzie straciło w przecięciu 520 r. czyli traci r. 13 k. 50 rocznie. Taką kwotę dopłacać trzeba, ażeby kolonista protegowany mógł utrzymać się na swej osadzie, podczas gdy obok niego, z gruntu równej dobroci i rozległości, osadnicy niezależni nie tylko mają utrzymanie, lecz nadto płacą czynszu 42—48 r. Wypadek pracy obudwu różni się zatem o rubli 60 rocznie.

\* \* \*

Kolonie ubogich dają wypadek jeszcze niekorzystniejszy. Podzielono je na folwarki pewnej rozległości, któremi zarządzają praktyczni agronomowie, kierujący pracą ubogich robotników. Inwentarz i kapitał dostarcza towarzystwo. Oprócz przemysłu rolnego istnieją jeszcze w kolonii znakomite zakłady rękodzielnicze, dający zatrudnienie kobietom i dzieciom, i zbywający swe wyroby rządowi po korzystnej cenie. Nadto rząd dodaje towarzystwu 432,000 złot. holenderskich na rok. Organizacya jest w ogóle dobra; kontrola rządowa nie uciążliwa; nie schodzi też na podnietach do pracy. Pomimo to, obliczono, że potrzeba 15 ubogich robotników do wykonania tego, co jeden dobry najemnik na własny swój rachunek pracujący, w ciągu dnia jednego zrobić jest w stanie. Ze starannego przejrzęcia rachunków okazuje się, iż 7,700 ubogich, zamieszkałych w tych koloniach, kosztują rząd, w przecięciu, każdy po r. 40, oprócz procentu od kapitału włożonego w grunt, inwentarz, narzędzia i t. d. a towarzystwo około 3 r. więcej, czyli w ogóle około 48 r. rocznie, t. j. prawie dwa razy więcej, niżby kosztowali nie nie robiąc zupełnie.

Materiałowe i pieniężne wypadki kolonii prowadzą do potępienia zasad na których ich założenie się opiera. Pod względem moralnym wypadki nie są lepsze. Założyciele kolonii spodziewali się, że osadnicy, nabycy przemysłu i zabiegłości, staną się użytecznymi członkami społeczeństwa i nie wpadną już potem w otchłań pauperyzmu. Te oczekiwania zawiedzione zostały. Trzy piąte części osadników kolonii ubogich w r. 1853, byli to ludzie którzy po trzech latach przemysłowego kształcenia się w kolonii, napowrót do niej oddani zostali jako recydywiści. Wpływ wolnych kolonij na osadników, Sir John Mac-Nell tak opisuje:

Na zapytanie o stan tych, którzy opuścili kolonią, pomocnik dyrektora odpowiedział mi: „z młodych ludzi, którzy opuścili kolonią, wielu poprawiło się i prowadził się dobrze; ale mało który z nich dość jest zabiegły, aby się własną pracą przez cały rok mógł utrzymać. Przyczyna tego jest jasna. Niedostaje im najlepszej części wychowania robotnika, który na łonie rodziny, z przykładu otaczających go osób, nauczył się polegać na sobie; tego braku nie zastąpi cała literatura, jakiej koloniści uczą się w szkole. Widząc, że ich rodzice spuszczają się na drugich co do środków utrzymania się, i sami będąc do tego przyzwyczaję-

ni, młodzi koloniści nauczyli się czytać, pisać; poznali arytmetykę, geografją, a czasem i trochę matematyki, lecz nie nauczyli się ufać własnym słowom, aby zarobić na życie, i dlatego mało który z nich jest w stanie sam się utrzymać”.

Z.

### Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszytce Biblioteki Warszawskiej na m. maj r. b. P. Julian Bartoszewicz w rozbiórce tomu 3go Piśmiennictwa Polskiego W. A. Maciejowskiego, między innemi pisze:

„Zawadziliśmy też po drodze o sławnego botanika, dlatego tylko, że chcieliśmy spytać p. Wójcickiego, na jakiej zasadzie nazywa tego uczonego poprostu *Urzędowem*? Jeżeli gdzie litera *z* (z *Urzędowa*) była w druku opuszczona, jestto poprostu pewnie omyłka: nie ma i nie może mieć żadnego znaczenia. Nazwisko *Marcin Urzędów* jest niezrozumiałe; botanik nasz nazywał się *Marcinem z Urzędowa*, jak był np. *Szymon z Pilzna*, jak *Jan z Głogowa*, *Matousz z Miechowa* i wielu innych”.

Na tak stanowczy zarzut winienem odpowiedzieć:

1) Że p. J. Bartoszewicz widać na oczy swoje nie widział nigdy Herbarza ziół tego botanika, bo gdyby go przejrzał uważnie, nie robiłby pewnie takiego zarzutu, przekonawszy się, że żadnej myłki druku nie ma tam, gdzie cztery razy raz po raz nazwisko *Marcina Urzędowa* jest wydrukowane wyraźnie.

2) Że wszyscy błędzili, którzy nazywali go nie wiadomo dla jakiego powodu *Marcinem z Urzędowa*, i że błędu tego poprzedników niegodzi się już dziś powtarzać, ani go w czémkolwiek bronić.

„*Herbarz polski to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych, i innych rzeczy do lekarstw należących księgi dwoje*”, drukowanym był w Krakowie w drukarni Lazarzowej w 1595 r. in folio. Na samym czele wydrukowano:

„*Doktora Marcina Urzędowa* kanonika niekiedy sędmirskiego, i Jaśnie Oświeconego hrabie pana, pana Jana z Tarnowa, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego medyka.”

Wydawcą tego Herbarza był Jan Firlwicz, który przypisując powyższe dzieło *Gabryelowi Wojnie* podkanclerzemu W. Ks. litewskiego, pisze:

„Przyszła mi do rąk księga zacnego niekiedy medika, doktora *Marcina Urzędowa*”.

W przedmowie samego autora czytamy: „*Doktor Marcin Urzędów do czytelnika*”.

Nadpis główny po raz czwarty podaje nazwisko autora, przed samym opisem ziół:

„*O przyrodzeniu ziół rozmaitych księgi pierwsze: Doktora Marcina Urzędowa*”.



Zapytam teraz p. Bartoszewicza, czy można tu przypuścić myłki druku aż w czterech miejscach przywiedzionych? Przecież wiedzieć powinien szanowny autor rozbioru Piśmiennictwa: że dawniej tro-skliwsza była w dziełach korrekta niż w dzisiejszych, że rzadki błąd znaleźć można w największej chociażby księdze, a prawie nigdy na karcie tytułowej. Zkądby więc tu aż cztery omyłki znalazły się na pięciu tylko kartach, i to jeszcze w nazwisku autora?

Już w roku 1840 pisząc o Marcynie Urzędowie, sprostowałem błąd ten. podając w treści wiadomości i o zmarłym autorze, i o jego dziele (Stare Gawędy i Obrazy t. 3 str. 83).

Nie widzę powodu i dzisiaj, mimo odezwy p. Bartoszewicza, zmie-niać zdania. Że to dla niego, jak sam wyraża, jest *nieszrozumiałe*, nie nasza w tém wina; ale wspierają nas oczywiste dowody, i chrztu no-gowego *Marcinowi Urzędowi*, na Marcina z *Urzędowa* nie damy.

K. Wł. Wójcicki.

---

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

### 1853.

127. Pielgrzymka do Ziemi Świętej przez (ks.) Ignacego Hołowińskiego arcybiskupa mohylewskiego, metropolitę wszech rzymsko-katolickich kościo-łów w Cesarstwie Rossyjskiem. Wydanie drugie, poprawione i pomnożone. 8ka wielka. Petersburg. 1853. Nakładem B. M. Wolffa, (druk Wienhöbera). Napis, i przypis. kart 4 i str. 667. Rejestru kart XVI. Rsr. 5, a z rycina-mi r. sr. 9.

### 1854.

51. Kazania Józefa Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego, wydane przez Ignacego Hołowińskiego arcybiskupa mohilewskiego, metropolitę rzymsko-katolickich kościołów w Cesarstwie. 8ka. Petersburg i Mohilew, 1854. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa (druk Karola Kraja). Na-pisów kart 2, str. XXI i 402. Rsr. 2.

52. Odkrycie wodociągów dawnych Nowej Warszawy. Z ryciną. Po-dał Alexander Wejnert wydawca Starożytności Warszawskich. 8ka. Warsza-wa. 1854. Druk Strąbskiego. Napisów kart 2 i str. 15.

53. Pan i szewc. Powieść J. I. Kraszewskiego. Wydanie drugie po-prawione przez autora. 12ka Petersburg. 1854. Nakładem B. M. Wolffa (druk J. Zawadzkiego w Wilnie). Str. 209. Kop. 70.

54. Senatorska zgoda. Tradycja szlachecka Jegomość Pana Bene-dykta Winnickiego. Opowiedział Wincenty Pol. 8ka. Petersburg. 1854. Na-kład B. M. Wolffa (druk C. Wienhöbera). Napisów kart 2 i str. 132. Rsr. 1 k. 50.

55. Śpiewy dla dzieci przez Stanisława Jachowicza. (Z melodyjami: Ignacego Dobrzyńskiego, księcia Kazimierza Lubomirskiego, Stanisława

Moniuszki i Józefa Nowakowskiego. 12ka. Warszawa. 1854. Druk J. Ungra. Str. 142, (z 114 tabl. muzyki). Rsr. 1.

56. Sen wieszca. Opera we trzech aktach, do muzyki Stanisława Moniuszki, podług francuzkiego przerobienie Władysława Syrokomli. 16ka. Wilno. 1854. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Kart VIII i str. 127. Kop. 60.

57. 1000 potraw, ciast i wetów (,) podług najbogiejszych europejskich kuchmistrzów (,) z dodaniem kilku słów o usłudze stołowej. 12ka. Warszawa. 1854. Nakładem S. H. Merzbacha (druk pod firmą J. Kaczanowskiego). Kart 2 i str. 307. Rejestru str. XX. Rsr. 1. k. 20.



### *Doniesienia literackie.*

#### WARSZAWA.

Nakładem S. Orgelbranda i w tegoż drukarni, wkrótce wyjdą zpod prasy dzieła: „Pamiętniki lekarza Polaka” p. T. Dr. Tripplina, 4 tomy; oraz VI tom Historji powszechnej „Cezara Cantu”.

— Nakładem S. Merzbacha wyszedł w dalszym ciągu „Skarbca arcydzieł pismienicznych Europy” poszyt piérwszy „Don Kiszota z Manszy”, Cerwantesa, przekład W. Zakrzewskiego, a Księgi Świata zeszyt X. w którym czytamy obszerny życiorys „Bogumiła Dawison” rodem z Warszawy, znanego na scenie naszej, a dziś głośnego imienia w całych Niemczech artysty dramatycznego. — Nakładem G. L. Glücksberga rozpoczął się druk powieści Alexandra Niewiarowskiego p. n. „Laookon” w jednym tomie.

(Z listu ze Lwowa). „Towarzystwo agronomiczne lwowskie nabyło wioskę Dublany o  $\frac{3}{4}$  mili od Lwowa leżącą na zakład agronomiczny, i zamierza téj jesieni jeszcze otworzyć tam szkołę gospodarstwa. W tym celu ogłosiło w Gazecie Lwowskiej konkurs na dyrektora i profesora szkoły. Piérwszy pobierać będzie 1200, drugi 1000 złr. mk. i pomieszkanie. — Towarzystwo sztuk pięknych ma się wkrótce ukonstytuować, gdyż statuta jego uzyskały już dawno sankcją w Wiedniu. — Towarzystwo muzyczne otwiera szkołę muzyki i śpiewu, którychto nauk prawie bezpłatnie, bo za kilka cwancygierów miesięcznie udzielać będzie”.

— Nakładem Józefa Zawadzkiego wyszła broszura p. n. „Alexandra Zdanowicza, nauczyciela historji w wileńskim dworz. Instytucie sprawozdanie o dziele pod tytułem: „Wykład systematyczny filozofji, obejmujący wszystkie jéj części w zarysie przez Józefa Kremera”. Sprawozdanie to zajmujące stronic 38, ma na celu w treści podać zarys dzieła Kremera, „oraz (jak wyraża prof. Zdanowicz) dotknąć pobieżnie stosunku filozofji do religii, aby przekonać wątpiących, że uprawa filozofji nie grozi żadnem niebezpieczeństwem dla uczuć prawowiernych, i że ta nauka wykazuje na drodze myślenia nieomylność prawd, któreśmy już na drodze objawienia i wiary poznali”.

— Nakładem téjże księgarni wydano tom 1 i 2 Historji nauk przyrodzonych Kuwiera; całe dzieło obejmie tomów sześć. Jestto przekład znanego z swéj rzetelnéj wartości dzieła przez pp. Belkego i Kremera,



z którego wyjątek dawniej umieściła. Biblioteka Warszawska; przekład zbogacony przypisami tłumaczy. Napis tego dzieła jest: „Historia nauk przyrodzonych podług ustnego wykładu Jerzego Kuwier'a, ułożona i uzupełniona przez p. Madelen de St. Azy; na język polski przełożyli i dodatkami do piśmiennictwa polskiego odnoszącemi się wzbogacili Gustaw Belke, i Alexander Kremer”.

— „Dwie koronacye Sasów”: Augusta II i Augusta III królów polskich, ze współczesnych rękopismów ogłosił, z przedmową i kilką objaśnieniami Władysław Syrokomla.

— W Pradze Czeskiej od r. 1853 zaczął wychodzić „Tygodnik” poświęcony gospodarstwu polowemu, leśnemu i domowemu, pod redakcją Dra F. S. Kodym'a.— Józef Hawelec ksiądz i nauczyciel w głównej szkole prąskiej wydaje pismo czasowe pedagogiczne p. n. „Szkoła”. Oto cały tytuł: „Skola, Casopis paedagogicky, ucitelum na Skolach obecnych hlavnich a realnich, rodicum, i vychovatelum.”

— P. Alexander Przeddziecki wydaje oddzielnie rozprawę swoją: „Życie domowe Jagielly i Jadwigi” drukowaną częściami w piśmie naszym, z dodaniem słowniczka wyrazów polskich z tamtego okresu, oraz zebraniem oddzielnem wszystkich szczegółów, jakie tylko ściągać się mogą do ubiorów, zbroi, i t. p. starożytności naszych.

— P. Jan Kanty Gregorowicz pisze obecnie „Powieści dla ludu” i znaczenie w tej pracy postąpił. Ustępny, któreśmy czytali, pokazują, że te powieści nie ustąpią w wartości swojej „Zarysom wiejskim,” o których zdaliśmy krótkie sprawozdanie.

— Młody nasz rzeźbiarz Świącki, o którego pracach pisma nasze po kilkakroć wspominały, wykończył obecnie model z gliny wnętrza polskiej karczmy. Izba duża, na kominie pali się ogień; za stołem na ławach siedzą trzej wieśniacy: pod piecem przy kominie wiejska dziewczyna, przy niej na ławie dziecię w koszuli, w rogu izby karczemnej żyd arendarz. Chwila wybrana, gdy dwaj młodzi artyści-malarze wchodzi: jeden staje wprost komina, drugi z uśmiechem spogląda na krasne dziewczę. Przez drzwi otwarte widać sionkę. Model ten właściwie kolorowany, tak wybornie jest oddany, z taką prawdą i szczęśliwem pochwyceniem charakterystyki oblicza i postaci każdego, że słuszny podziw wzbudzić musi.

— „Wzorów sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce,” wydawanych p. A. Przeddzieckiego i E. Rastawieckiego, wyszły zeszyty IX, X, XI i XII, z 8ma tablicami chromolit., przedstawiającemi: 1) Najdawniejsze obrazy w kated. krakow. św. Wojciecha i św. Stanisława. 2) Obraz nadgroby Wierzbity z Branicy. 3) Ornat Kmity. 4) Ornat perłowy w Częstochowie. 5) Tablica tytułowa. 6) Kielich królewicza Karola Ferdynanda w Płocku. 7 i 8) Wizerunki Elżbiety austriackiej i Barbary Radziwiłłówniej, wraz z oprawą książki, należącej do Zygmunta Augusta, w której są oprawione.

— Cesarzkie rosyjskie towarzystwo geograficzne odbyło w dniu 31 marca szóste publiczne posiedzenie, na którym znajdowało się 97 czynnych członków, pod prezydencją vice-prezesa, członka rady państwa M. N. Murawiewa. Po odczytaniu listy nowo-przedłożonych artykułów oraz wyjątków z dziennika rady, objawiono obecnym nazwiska kandydatów, których rada przedstawiała do wyboru na stopnie: vice-prezesa, pomocnika prezesa, dwóch

członków rady i podskarbiego towarzystwa. Balotowanie, ma się stosownie do istniejącej ustawy odbyć w tym celu na posiedzeniu kwietniowym, czyli doroczném. Stały członek Z. N. Muchartow odczytał treściowe sprawozdanie o daném sobie przez morskie ministerstwo zleceniu, zbadania na gruncie pokładów kamienia węgielnego w gubernii nowogrodzkiej. Podług wiadomości téj, komunikowanej towarzystwu na skutek zezwolenia J. C. Wysokości Wielkiego Księcia KONSTANTEGO MIKOŁAJEWICZA, okazało się, że węgiel nowogrodzki, obok dobroci gatunku, z łatwością do Petersburga dostawianym być może, i że cena puda z dostawą, nie przeniesie 7 1/2 kop. sr.; co gdy obecni z prawdziwém wysłuchali zajęciem, członkowie S. S. Kutorga i A. D. Oziński ustnie wyłożyli niektóre własności i przymioty rzeczowego węgla. Na zakończenie, odczytano nazwiska osób, nowo na członków czynnych towarzystwa powołanych.

(*Pszczota Północna nr. 84, z r. 1854*).

— W dzienniku Moskwiitanin z 1852 r. jest rozprawa obchodząca dzieje nasze p. n. „Wieś Kurba, rodzinna i dziedziczna książąt Kurbskich.” Wiadomo, że za Jana Groźnego Andrzej Michałowicz Kurbski uciekłszy do Litwy, wystąpił w znaczącej postaci w owocnych dziejach. Ciekawe i ważne pamiątki tegoż księcia wydał professor Ustriałow, a wiele nowo odkrytych dokumentów ogłosiła niedawno Archeograficzna kommissya w Kijowie.

— Wkrótce ma wyjść 4ty tom Propylejów, wydawanych przez prof. Leontiewa, w którym zawarte są artykuły, tyżące się klassycznej starożytności. Między innymi wydrukowany w nim będzie początek Iliady, tłumaczenia zmarłego niedawno Żukowskiego. Tenże tom obejmować będzie rozprawę o ujściach Dunaju, o Kustendże (dawne Tomi, miejsce wygnania Owidyusza); o Mangalii, Warnie (przez prof. Beckera), i o starożytnéj Syropie (artykuł redaktora). Dalej w tymże tomie czytelnik znajdzie opis archeologicznych poszukiwań, dokonanych z Najwyższego rozkazu w r. zeszłym przy ujściu Donu, pod kierunkiem redaktora Propylejów; niemniej dokończenie artykułu prof. Kudrywewa: O rzymskich kobietach według Tacyta. Do tego tomu dołączone będą portrety dwóch Agryppin, Messaliny, Poppei i współczesnych im cesarzów, litografowane przez Kirstena.

(*Gaz. Moskiewska nr. 54 z r. 1854*).

† Dnia 22 stycznia r. b. umarł w Pikowie na Podolu śp. Aloizy Kalixt Kozłowski, znakomity filolog. Urodził się dnia 14 października 1806 r. we wsi Jurowie w powiecie radomyńskim, i ztąd na swoich pismach dodawał „Jurowianin.”

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej

Wolno drukować.—Warszawa, d. 19/21 maja 1854 r. Starszy Cenzor, J. P. [nieczytelny]





Wzrost 1854.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomicznym w Warszawie

Miejsce dostrzeżeń w Warszawie 52° 10' północnej szerokości i 20° 45' wschodniej długości w roku 1854

Dzień	Barometr			Termometr		
	Barometr	Termometr	Termometr	Barometr	Termometr	Termometr
1	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
2	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
3	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
4	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
5	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
6	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
7	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
8	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
9	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
10	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
11	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
12	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
13	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
14	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
15	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
16	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
17	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
18	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
19	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
20	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
21	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
22	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
23	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
24	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
25	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
26	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
27	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
28	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
29	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
30	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
31	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
32	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
33	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
34	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
35	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
36	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
37	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
38	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
39	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
40	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
41	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
42	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
43	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
44	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
45	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
46	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
47	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
48	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
49	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
50	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
51	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
52	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
53	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
54	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
55	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
56	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
57	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
58	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
59	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
60	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
61	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
62	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
63	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
64	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
65	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
66	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
67	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
68	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
69	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
70	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
71	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
72	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
73	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
74	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
75	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
76	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
77	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
78	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
79	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
80	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
81	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
82	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
83	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
84	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
85	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
86	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
87	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
88	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
89	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
90	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
91	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
92	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
93	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
94	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
95	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
96	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
97	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
98	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
99	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0
100	757.0	13.0	13.0	757.0	13.0	13.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomicznym

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1854.



**Kwiecień 1854.**

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,  
czyli w łuku 18°41'25,5" na wschód

Data	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1	756.73	754.41	759.08	761.07	+ 5.3	+ 9.3	+ 12.5	+ 5.6	81.2
2	761.49	761.93	759.86	759.01	+ 3.9	+ 9.9	+ 12.9	+ 8.1	75.5
3	758.34	751.84	747.53	747.01	+ 4.3	- 8.0	+ 12.5	+ 3.9	75.3
4	747.42	749.28	753.41	758.04	+ 2.0	+ 4.7	+ 6.7	+ 1.2	64.5
5	754.92	754.36	753.63	751.96	+ 3.3	+ 6.7	+ 6.4	+ 5.0	79.2
6	753.72	756.05	758.32	755.21	+ 3.8	+ 6.1	+ 9.2	+ 3.6	66.3
7	750.09	748.49	747.42	747.23	+ 5.8	+ 9.6	+ 10.2	+ 6.2	64.0
8	748.54	750.79	752.76	754.41	+ 2.4	+ 4.4	+ 8.1	+ 2.5	49.5
9	751.45	749.57	744.71	742.57	+ 1.8	+ 8.7	+ 12.9	+ 7.5	66.5
10	744.88	748.09	751.82	754.41	+ 4.9	+ 5.0	+ 6.5	- 0.6	61.5
11	752.08	750.50	749.71	751.76	+ 2.4	+ 7.9	+ 11.5	+ 5.6	62.7
12	755.14	758.14	760.29	763.28	+ 0.4	+ 1.7	+ 3.6	- 0.6	61.5
13	766.07	766.16	764.71	765.24	- 2.6	+ 2.0	+ 5.1	+ 0.6	62.3
14	765.07	764.35	761.56	760.83	- 0.5	+ 4.8	+ 11.9	+ 3.4	56.5
15	758.78	757.72	754.29	752.65	+ 0.9	+ 9.9	+ 14.2	+ 8.5	57.5
16	751.33	750.92	748.24	749.92	+ 2.7	+ 12.4	+ 16.6	+ 5.3	59.2
17	754.62	757.60	759.28	761.47	+ 0.4	+ 4.2	+ 6.5	+ 2.5	60.5
18	761.36	763.82	761.82	761.42	- 0.6	+ 5.4	+ 9.7	+ 4.2	59.8
19	760.64	760.39	757.90	757.19	+ 2.1	+ 9.9	+ 14.4	+ 8.2	53.0
20	754.86	755.83	752.61	750.73	+ 3.8	+ 13.8	+ 18.6	+ 9.8	51.2
21	747.93	746.00	741.55	741.14	+ 5.0	+ 17.5	+ 21.0	+ 13.9	59.8
22	738.05	736.49	734.70	735.36	+ 11.9	+ 18.5	+ 18.4	+ 12.0	55.7
23	734.40	734.90	731.82	736.73	+ 9.8	+ 11.2	+ 15.6	+ 8.7	84.5
24	739.60	742.61	747.20	750.82	+ 0.2	+ 0.4	+ 0.6	+ 0.8	96.5
25	752.77	753.21	752.65	752.34	- 1.3	+ 2.3	+ 4.0	+ 0.0	69.3
26	751.61	752.07	751.89	752.06	- 0.6	+ 4.6	+ 7.7	+ 2.9	64.7
27	750.23	749.17	741.84	741.22	+ 0.2	+ 6.5	+ 9.9	+ 6.4	69.5
28	737.25	736.72	735.21	735.08	+ 4.6	+ 6.9	+ 8.1	+ 4.5	89.3
29	734.09	734.47	734.65	735.53	+ 2.0	+ 7.8	+ 8.3	+ 3.5	80.7
30	735.74	737.06	738.45	739.14	+ 3.8	+ 3.7	+ 3.5	+ 3.6	91.0
Śre.	751.010	751.300	750.430	750.761	+ 2° 74	+ 7° 46	+ 10° 24	+ 4° 89	67.5

watorium Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>h</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>, 7,  
względem południka paryzkiego.

Data	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	Śnie- gu
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	Z.		
2	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.		
3	lek. pochm.	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	Z.	1.8	
4	pr. pochm.	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	Z.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
6	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
7	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	lek. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
8	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
9	pochmurny	lek. zamat.	lek. pochm.	pr. pochm.	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
10	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
11	pochmurny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
12	pochmurny	napót pog.	napót pog.	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.		
13	pogodny	napót pog.	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.		
14	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PdZ.		
15	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	Z.		
16	pogodny	pogodny	pogodny	napót pog.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
17	pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.		
18	pogodny	lek. zamat.	pogodny	pogodny	PnZ.	Z.	PnZ.	Z.		
19	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
20	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	Z.	Pd.	PdW.		
21	pogodny	pogodny	lek. zamat.	pr. pogodny	—	PdW.	PdZ.	Pd.		
22	lek. zamat.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.		
23	dészcz	dészcz	pochmurny	pochmurny	Pd.	—	—	Pn.		
24	poch. dészcz	śnieg	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	6.0	
25	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.	2.8	3.6
26	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PdZ.	Z.	—	PdZ.		
27	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
28	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.	8.6	
29	pr. pogodny	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	Pd.	PdZ.	Z.	PdZ.		
30	pochmurny	pochmurny	dészcz z gr.	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	6.4	
Śre.									25.6	3.6



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.875	27	8.860
Najwyżej dochodził — d. 13 o g. 10 r.	766.16	28	3.636
Najniżej — — d. 29 o g. 6 r.	734.09	27	1.419
Dotąd ani razu barometr w kwietniu nie miał tak znacznej wysokości.			
Średnia zmiana dzienna barometru	5.540		2.456
Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 10 w.	14.09		6.246
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 28 lat poprze- dzających	2.367		1.050
Średnia temperatura kwietnia wynosi:	748.508	27	7.810
i ta jest niższa o	+ 6 <sup>o</sup> .33 C.	= +	5 <sup>o</sup> .06 R.
od stanu normalnego z 28 lat poprze- dzających	1.00	„ +	0.80 „
Największe ciepło było d. 21 o g. 4 w.	+ 7.33	„ +	5.86 „
Największe zimno d. 13 o g. 6 r.	+ 21.0	„ +	16.80 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	- 2.6	„ -	2.08 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 23—24 o g. 4 w.	- 3.148	„	2.518 „
	15.0	„	12.0 „

Termometrometr wskazał:

Maximum: + 18<sup>o</sup>.3 R. d. 21 po połud.

Minimum: — 2<sup>o</sup>.8 „ d. 13 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 67,5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5,31 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0,07 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 25,6 milim. czyli 11,35 lin. par.; z śniegu 3,6 milim. czyli 1,60 lin. par.; razem z deszczu i śniegu, 29,2 milim. czyli 12,95 lin. par.; ilość ta wody jest o 4,29 lin. par. mniejsza od tej, jaka zwykle w kwietniu spada.

Dni pogodnych było 14, napół pogodnych 6, pochmurnych 10.

— deszczu 8 (d. 3, 9, 22, 23, 24, 28, 29, 30).

— śniegu 2 (d. 13, 24).

— gradu 4 (d. 13, 24, 29, 30).

— deszczu ze śniegiem 1 (d. 24).

Wichrów było 7 (4 PnZ., 2 Pn. i Z.).

Wiatrów mocnych 18 (7 Z., 5 PnZ., 5 Pn., 1 PnW.).

Wiatr panujący zachodni.

Kwiecień r. b. był pogodny, suchy, wietrzny, blisko o jeden stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Wyjąwszy cztery dni: 20, 21, 22, 23 które były znacznie ciepłe, cały miesiąc był chłodny. Wichry i wiatry mocne zwykle w marcu panujące, w tym roku w kwietniu, osobliwie północno-zachodnie były częste, i te znacznie powietrze oziębiały. Siedm dni od d. 13 do 20, między pełnią a ostatnią kwadrą księżycą, przy wysokim stanie barometru były zupełnie pogodne. Dzień 30 odznaczał się szczególnym stanem powietrza, albowiem w dniu tym kilkakrotnie deszcz padał z gradem przy wichrze zachodnim, i obraz dnia marcowego przedstawiał.

D. 15 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 18 o godz. 11, min. 42 rano, koło białe otaczało słońce.

## SPIS RZECZY

### ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z R. 1854.

#### *Materyały historyczne.*

	Stron.
Notatki generała J. L. z lat 1775 — 1778. Ze starego rękopisu zebrane przez <i>Józefa Ig. Kraszewskiego</i> . . . . .	205, 413
Życie domowe Jadwigi i Jagielly. Z rejestrow skarbowych z lat 1388—1417, przedstawione przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i> (dokończenie). . . . .	299, 529
O fundacyach polskich, istniejących niegdyś we Włoszech, przez <i>J. P.</i> . . . . .	387
Pamiętnik o Stanisławie Koniecpolskim, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> . . . . .	401
Wyjaśnienie: jaka była długość mili <i>stusznój</i> , używanej w r. 1669 w dzisiejszych zachodnich guberniach Cesarstwa, przez <i>D.</i> . . . . .	582



## Biografia.

	Stron.
Świętosław Orzelski, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> . . . . .	60
Alexander Lisowski, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> . . . . .	385

## Archeologia.

Pomniki mowy i prawodawstwa polsko-litewskiego w wieku XIV i następnych, wedle kodexu papierowego w archiwum domowém pułkownika Stanisława Chomińskiego, obywatela gubernii wileńskiej, przez <i>Adama Jochera</i> . . .	121
--	-----

## Prawo.

Pogląd ogólny na naukę i historią dawnego prawa polskiego, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i> . . . . .	1
O istocie kary podzwyczajnej, przez <i>Augusta Heylmana</i> . . . . .	493

## Nauki społeczne:

Kolonie rolnicze w Holandyi, przez <i>Z.</i> . . . .	585
--	-----

## Opisy i podróże.

Wspomnienia z podróży w latach 1852 — 1853. — Tyrol (do-kończenie). . . . .	23
Wspomnienie historyczne o Wilkowyszkach, przez <i>L. Wojciechowskiego</i> . . . . .	190
Notaty bez ładu z wycieczki po kraju, przez <i>Władysława Wieczorkowskiego</i> . . . . .	451

## Literatura.

Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna: Fotografie Du Campa. — Tchihatcheff: Azya Mniejsza. — Demidow: Voyage en Russie etc. — Mirecourt: biografia pani Sand — Autografy. — Madonny Rafaela — Pralnia parowa — Nowe publikacye. . . . .	130
Kronika z Paryża literacka naukowa i artystyczna — Historia Grecyi przez p. Duruy. — Przedmowa Humboldta do dzieł p. Arago. — Biografie Mirecour a. — Teatra. — Aluminium. — Nowe zastosowanie chloroformu. — Wiadomości bieżące . . . . .	321
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. . . . .	510

*Powieści.*

	Stron.
Chata za wsią. Powieść <i>Józ. Ig. Kraszewskiego</i> (koniec t. IIgo).	67
Kłopoty starego komendanta. Odwet za siostrzenicę. Opowiadanie, przez <i>J. Wilczyńskiego</i> .	258

*Poezye.*

Zagroda wiejska. Powiastka z pierwszych lat XIX wieku (dokończenie).	93, 242
Chrześcianin. (Legenda), przez <i>Kazimierza Kaszewskiego</i> .	342
Dwa obrazy z Pamiętników Jana Paska, przez <i>Jana Prusinowskiego</i> .	409
Pan dwóchset wysp. Poemat Walter-Skota.	473

**Rozbiory.**

O srodstwie jazyka slawjanskago s sanskryckim sostawil A. Hilferding. Sanktpeterburg. 1853. (O pokrewieństwie języka słowiańskiego ze sanskryckim, napisał Hilferding. Petersburg. 1853). Przez <i>And. Kucharzkiego</i> .	148
Improwizacye i poezye Deutymy. Warszawa. 1854. Przez <i>T.</i>	172
Piśmiennictwo polskie, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i> . Tom 3ci. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .	345
O stosunku języka słowiańskiego do języków pokrewnych. Rozprawa A. Hilferdinga. Moskwa. 1853. Przez <i>And. Kucharzkiego</i> .	365
Theoria mundi, seu investigatio naturae rerum quam ex novis observationibus explicitis de situ solis et motu terrae vel de naturali systemate solis currentis depromsit luminique publico tradit A. L. Varsaviae. 1853. Przez ***.	367
Wiejskie zarysy, przez Jana Kantego Gregorowicza. 2 tomy. Warszawa. 1854. Przez <i>K. Wł. W.</i>	369
Kilka słów na zaczepkę p. De Lavaux. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .	372
Jeszcze słów kilka z powodu Ułamków Troga. Przez <i>A. B.</i>	374
Uwagi tyżące się słownictwa chemicznego polskiego, przez <i>J. B. Rogojskiego</i> .	376
Przeгляд literatury ludów wschodnich, poezyi greckiej, średniowiecznej. polskiej XVI i XIX wieku. Odczyty publiczne Dra Karola Mecherzyńskiego. Kraków. 1851. Przez <i>J. Z.</i>	547
Kilka słów o czystości mowy, z powodu dzieła p. Antoniego Nowosielskiego: Stepy, morze i góry; szkice i wspomnienia z podróży. Przez <i>K. T.</i>	574
Do autora: Kilku słów na zaczepkę p. D. w Bibl. Warsz. na m maj r. b. umieszczonych, przez <i>L. De Lavaux</i> .	581



## Korrespondencye.

	Stron.
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>ks. Erazma Izopolskiego</i> . . . . .	388
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>K. Wł. Wójcickiego</i> .	588

## Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...ę</i> . . . . .	391
<i>Kronika bibliograficzna</i> . . . . .	196, 393, 589
Doniesienia literackie . . . . .	197, 394, 590
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:	
za miesiąc luty r. b. . . . .	201
— — marzec r. b. . . . .	397
— — kwiecień r. b. . . . .	593

